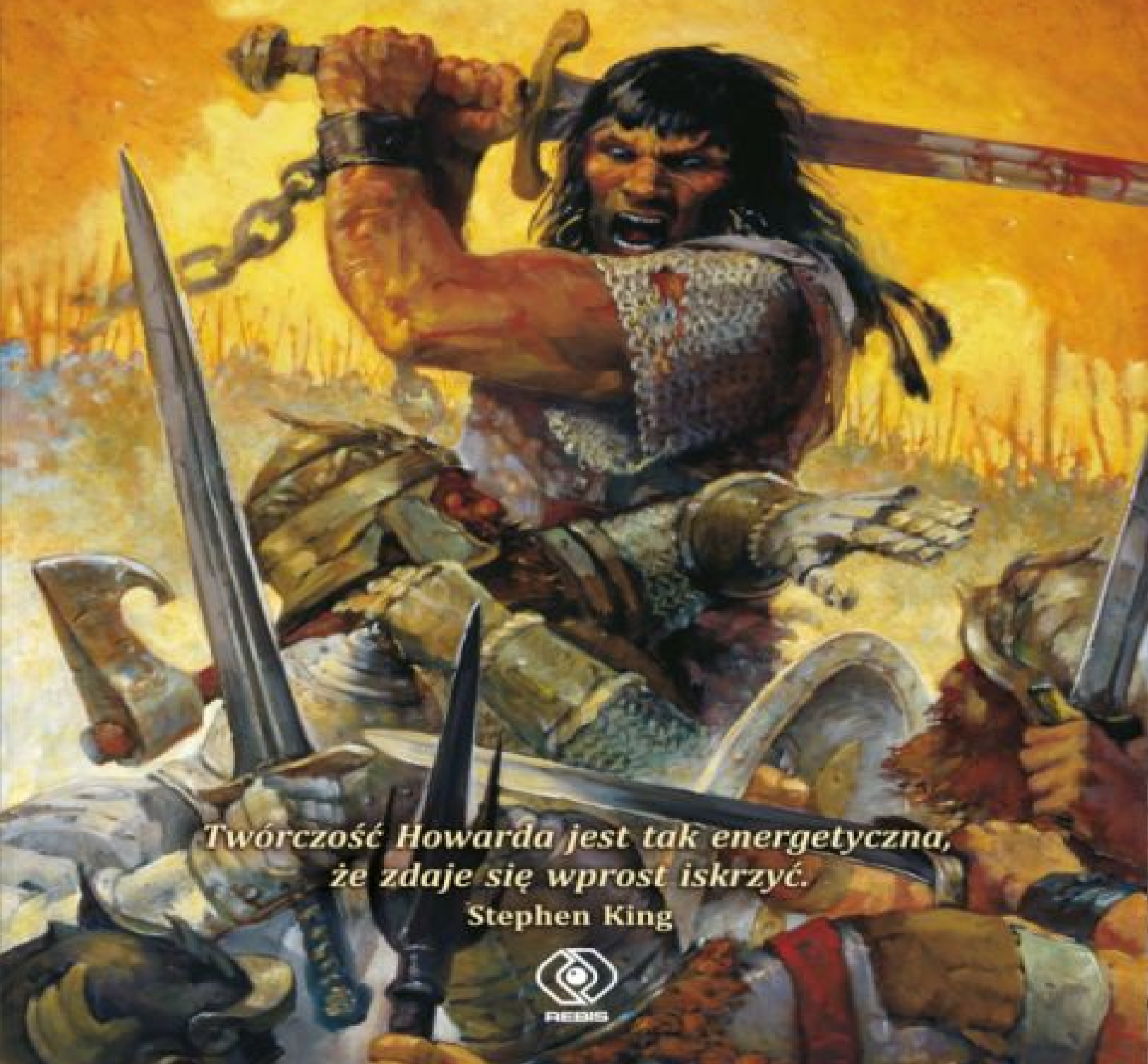


ROBERT E. HOWARD

CONAN[®]

I SKRWAWIONA KORONA



*Twórczość Howarda jest tak energetyczna,
że zdaje się wprost iskrzyć.*

Stephen King



ROBERT E. HOWARD

CONAN[®]

I SKRWAWIONA KORONA



Ilustrował Gary Gianni

Przełożył Tomasz Nowak



DOM WYDAWNICZY REBIS



*Wszystkie ilustracje w niniejszej książce dedykuję
Margaret i Louisowi Giannim
Garry Gianni*

W HOŁDZIE ROBERTOWI E. HOWARDOWI

Uwielbiam te książki. Howard ma styl szorstki, tętniący życiem – to pisarstwo, które mieczem wycina sobie drogę wprost do serca, zaludnione naprawdę ponadczasowymi bohaterami. Z wielkim zapalem polecam je każdemu miłośnikowi fantasy.

David Gemmell, autor powieści *Legenda* oraz *White Wolf*

Wyraziste brzmienie narracji Roberta E. Howarda nadal, po tylu dekadach, oddziałuje na czytelników w równej mierze, gdy chodzi o dźwięczącą stal, grzmiący tętent końskich kopyt czy bryzgającą krew. Wykreowany przez niego Conan to prawdziwie wielka postać poszukiwacza przygód, daleka od stereotypów. Jego niesamowita muskulatura i budowa, gorący temperament oraz lubieżny śmiech stały się standardami, z którymi muszą mierzyć się wszyscy współcześni bohaterowie.

Eric Nylund, autor powieści *Halo: The Fall of Reach* oraz *Signal to Noise*

Cudowny gawędziarz Robert Howard stworzył po prostu giganta [Conana], w którego cieniu muszą znaleźć się wszystkie inne opowieści o bohaterach.

John Jakes, autor bestsellera z listy „New York Timesa” – trylogii „Północ i Południe”

Co do absolutnego, żywego strachu... Jakież inny pisarz może równać się w swych dokonaniach z Robertem E. Howardem?

H.P. Lovecraft

Howard pisał literaturę wszelkiego rodzaju, dla każdego rynku, który tylko go zechciał, lecz jego prawdziwą miłością były opowieści niesamowite. Wniósł tyle fermentu, nowych, stałych odtąd elementów do fantasy, że zmienił kierunek jej rozwoju w Ameryce. Jego odejście od literatury szlacheckiej i statycznego ukazywania rzeczywistości ma tę samą wagę co zmiany, jakie do nurtu amerykańskiej powieści detektywistycznej wnieśli Hammett, Chandler czy inni autorzy z kręgu czasopisma „Black Mask”.

Michael Moorcock, autor uhonorowanej wieloma nagrodami sagi o
Elryku

Wigor, szybkość, żywotność – to elementy, w których sztukę Roberta E. Howarda trudno prześcignąć. No i jeszcze to wściekle galopujące tempo narracji.

Poul Anderson

Howard szczerze wierzył w podstawowe prawdy, na których zasadzają się jego opowieści. To tak, jakby mówił: „Tak właśnie wyglądało normalne życie w tych minionych, dzikich czasach”.

David Drake, autor zbioru opowiadań *Grimmer Than Hell*, redaktor
antologii *Dogs of War*

W materii nieustannych, toczących się w szalonym tempie przygód oraz soczystych, wręcz kwiecistych scenerii nikt nawet nie zbliżył się do Howarda.

Harry Turtledove

Ludzie Czarnego Kręgu (The People of the Black Circle)

Pierwsza publikacja w „Weird Tales”, wrzesień, październik i listopad
1934

Godzina Smoka (The Hour of the Dragon)

Pierwsza publikacja w „Weird Tales”, grudzień 1935 oraz styczeń,
luty, marzec i kwiecień 1936

Wiedźma się narodzi (A Witch Shall Be Born)

Pierwsza publikacja w „Weird Tales”, grudzień 1934

Od tłumacza i redaktora wydania polskiego

Podobnie jak w poprzednim tomie – *Conan i pradawni bogowie* – niniejsza edycja zachowuje pochodzące z wydania oryginalnego zasady redakcji. Krok ten podyktowany został chęcią przybliżenia polskiemu czytelnikowi tekstów Roberta E. Howarda w postaci pierwotnej, czyli takiej, w jakiej wyszły spod ręki autora.

Miejsca, w których można byłoby upatrywać błędów, zostały oznaczone [sic!]. Stosowanie kursywy i dużych liter – nawet niekonsekwentne – jest zgodne z wolą autora, który chciał zwrócić uwagę albo położyć nacisk na określone słowo lub zwrot. Do tej kategorii należą również charakterystyczne dla jego stylu powtórzenia, a także zamiłowanie do niektórych określeń.

Dociekliwi czytelnicy znajdą jeszcze więcej takich literackich ciekawostek, które, mamy nadzieję, świadomie pozostawione wbrew późniejszym zmianom oraz ingerencjom, sprawią, że lektura i odkrywanie na nowo fascynującego świata epoki hyboryjskiej stanie się źródłem wielu emocji. Wszystko to tworzy bowiem wyjątkowy klimat prozy Roberta E. Howarda, twórcy Conana – jednej z najbardziej wyrazistych postaci współczesnej popkultury.

Przedmowa

Kiedy byłem dzieckiem, obserwowałem człowieka, który wielkim młotem rozwalał dom. Nie był to dokładnie dom – słowo „chałupa” byłoby określeniem trafniejszym. Potrafię precyzyjnie przywołać z pamięci tamto popołudnie – chłopcy z sąsiedztwa zebrali się na podwórzu u mojego kumpla Joego, ponieważ jego ojciec zamierzał lada chwila zburzyć starą chałupę stojącą na skraju ich posiadłości. Czyż ośmiolatek mógł nie chcieć być tego świadkiem?

Kiedy dotarłem na miejsce, pan Lill właśnie przymierzał się do tej roboty, trzymając zarzucony na szerokie ramiona wielgachny młot kowalski. Konstrukcja chyliła się ku niemu, jakby rzucając wyzwanie, i może wyczuł w tym jakąś kpinę, gdyż nagle rzucił się do działania. Stał się maszyną zniszczenia. Obracając ramionami niczym skrzydłami wiatraka, zadawał miażdżące razy tak, by jego chwiejny przeciwnik doświadczył jak najwięcej zniszczeń. Chmury pyłu w połączeniu z jękiem drewna sprawiały wrażenie, iż ma tu miejsce jakaś fantastyczna bitwa. Ja sam byłem całkowicie pochłonięty tym spektaklem i ciekaw jestem, ile spośród tamtych dzieciaków z zaciśniętymi zębami i dłońmi toczyło w swych głowach podobną walkę.

Kiedy ostatni stojący pał został zwalony na stos, mężczyzna wspiał się na jego szczyt, wsparł na młocie i groźnym wzrokiem zmierzył dzieło swych rąk.

Z perspektywy czasu był to moment transcendentny – spotkanie na żywo z wcieleniem Johna Henry'ego^[1], Herkulesa oraz Samsona. Każdy z nas doświadczył czegoś podobnego w takiej czy innej postaci, a owe wspomnienia najlepiej można opisać jako „realizm heroiczny” – określenie ukute przez pisarza Louisa Menanda. Obok elementów fantasy to cechy, którymi jestem najbardziej zainteresowany w mej pracy z Conanem – poczucie prawdziwego niebezpieczeństwa, przygoda i intryga osadzona w konkretnej rzeczywistości.

Jako nastolatek, lata całe po zwaleniu chałupy, natrafiłem na pewną książkę. Obrazek na jej okładce przedstawiał człowieka wspartego na mieczu o szerokim ostrzu, stojącego na szczycie stosu rozgromionych przeciwników. Ilustracja ta głęboko w zakamarkach mej pamięci wzbudziła jakieś znajome odczucie.

Pomyślałem o tamtym popołudniu i przeszedł mnie dreszcz. Siła obrazu.

Książką tą był oczywiście *Conan the Adventurer*^[2] Roberta E. Howarda, a ilustrację na okładce namalował Frank Frazetta. To było moje pierwsze spotkanie z literackim barbarzyńcą Howarda.

Było to dawno temu i wielu utalentowanych artystów ukazywało już przygody Conana. Byłem zadowolony, stojąc z boku i ciesząc się ich pracami, jednak sposobność, aby do tego grona dołączyć, zrodziła się samoistnie po tym, jak zilustrowałem opowieści o dwóch innych wielkich bohaterach Roberta E. Howarda – Solomonie Kanie i Branie Mak Mornie. Jakżeż mógłbym się oprzeć?

Czuję się wyróżniony tym, że mogłem zobrazować te postaci, a teraz dołączam do grona wybitnych ilustratorów, którzy dostali szansę zobrazowania Conana. To odpowiedni hołd dla pisarskich

zdolności Roberta E. Howarda. Niezależnie bowiem od tego, jak wielu artystów dołoży coś od siebie do mitu Conana poprzez książki, komiksy czy filmy, to właśnie same oryginalne opowieści oraz potęga obrazów, jakie rodzą one w wyobraźni, ostatecznie przyprawiają czytelnika o dreszcz.

Gary Gianni

2003

Wprowadzenie

„Nie ma dla mnie innego literackiego rzemiosła, dającego mi nawet w połowie taką radość, jak pisanie o historii pod płaszczykiem beletrystyki” – pisał Robert E. Howard do swego przyjaciela H.P. Lovecrafta. To oczywiście ułatwia po części wyjaśnienie radości, jaką można odnaleźć w jego opowieściach o nieustraszonym Conanie z Cimmerii, gdyż historia występuje w nich w postaci pełnej życia, spektakularnej fikcji.

Co? Conan jako historia? To chyba fantasy, nieprawdaż? A ten świat, „epoka hyboryjska”, jest zwyczajnie wytworem wyobraźni Howarda, prawda? I tak, i nie. Z całą pewnością to unikatowa literacka kreacja Teksańczyka, jednakże przelał on w nią całą swą miłość do historii, legend i eposów.

Robert E. Howard był pisarzem niezwykle utalentowanym, więcej niż tylko komercyjnym. Snucie opowieści przychodziło mu najwyraźniej z naturalną łatwością. Przyjaciele z dzieciństwa potwierdzili, że przewodził ich zabawom już w wieku dziesięciu lat, a jako nastolatek stał się czarującym wprost gawędziarzem. Oczywiście mówi nam też o tym jego spuścizna literacka. I podczas gdy on sam odżegnywał się od jakichś konkretnych artystycznych pobudek, w jego najlepszych pracach widać prawdziwy artyzm. Jak zauważył Lovecraft: „Był większy niż założenia finansowe planu, którego realizacji się podejmował”.

Jednak Howard zaprzęgił swój naturalny talent gawędziarza do pracy nad tym, aby wyrwać z życia coś dla siebie, zatem ważne dla niego było to, czy jego praca ma rynkowe wzięcie. Na początku lat trzydziestych, podczas wielkiego kryzysu, jaki ogarnął cały kraj, magazyny pulpowe, jego odbiorcy, walczyły o życie. Tym, które przetrwały, udało się to poprzez cięcie stawek autorskich lub zmniejszenie częstotliwości wydawania, a więc zapotrzebowania na nowe materiały. I mimo że tak bardzo uwielbiał opowieści historyczne, które pisał do „Oriental Stories” – umiejscowione głównie podczas wypraw krzyżowych bądź w epoce mongolskich i muzułmańskich podbojów, a także historie o dawnych wojownikach irlandzkich, na które nie znalazł miejsca na rynku – wymagały one mnóstwa pracy badawczej, a w owym czasie nie mógł sobie na to pozwolić. „Każda karta historii roi się od scen, które winny zostać przelane na papier – pisał. – Pojedynczy akapit może być napakowany akcją i dramatycznymi wydarzeniami tak, iż wystarczyłoby ich do wypełnienia całego tomu beletrystyki. Jednakże pisząc coś takiego, nie zdołałbym wyżyć; rynki są skąpe, ich oczekiwania zbyt wąskie, a ukończenie jednego tekstu trwa zbyt długo”.

Przy całej swej sile zainteresowanie Howarda historią nie rozciągało się na ludy „cywilizowane”. „Kiedy jakaś rasa – prawie każda rasa – wychodzi z barbarzyństwa bądź jeszcze zeń nie wyszła, przyciąga moją uwagę. Wydaje się, że potrafię je zrozumieć i inteligentnie pisać o nich. Jednak w miarę postępu w kierunku cywilizacji mój zapał do nich zaczyna słabnąć, aż w końcu zupełnie zanika, a ja stwierdzam, że ich obyczaje, sposób myślenia czy ambicje są mi całkowicie obce i niezrozumiałe. W ten sposób

pierwsi mongolscy zdobywcy Chin oraz Indii rozpalają we mnie najgłębsze zainteresowanie i podziw, lecz kilka pokoleń później, kiedy już przyjęli cywilizację swych poddanych, nie budzą w mym umyśle najlżejszego nawet zaciekawienia. Moje studia nad historią są ustawicznym poszukiwaniem coraz to nowszych barbarzyńców, z epoki na epokę”.

W pierwszych miesiącach 1932 roku, podczas wycieczki do Mission w Teksasie, w dolinie Rio Grande znalazł wreszcie odpowiedź: epoka hyboryjska – okres umiejscowiony pomiędzy zatonięciem Atlantydy a kataklizmami, jakie ukształtowały współczesny świat; zaludniona antenatami – rzeczywistymi archetypami – wszystkich tych barbarzyńców, których tak uwielbiał badać. Postać Conana „wyłoniła się w pełni ukształtowana z nieświadomości i skłoniła mnie do pracy, do zapisywania dziejów jego przygód”. Owe szczytne wydarzenia miały miejsce w świecie zaludnionym elżbietańskimi piratami, irlandzkimi łupieżcami, berberyjskimi korsarzami, amerykańskimi pogranicznikami czy kozackimi rozbójnikami; egipskimi czarnoksiężnikami i wyznawcami tajemniczych kultów rzymskich; średniowiecznymi rycerzami i wojskami asyryjskimi. Wszystkim nadano przebrania, w rzeczywistości nie próbując wszak ukryć ich prawdziwej tożsamości. Właściwie Howard próbował nadawać im nazwy i imiona, które przy niewielkim wysiłku pozwoliłyby czytelnikowi odgadnąć ich tożsamość. Chciał, byśmy rozpoznawali ich natychmiast, ale z przymrużeniem oka mówił: „Wiemy, że to tylko bajanie, prawda? No to jazda!”. Czy którykolwiek z czytelników może nie zauważyć, iż Afghulistan to Afganistan, albo że Vendhya to Indie? Jasne, że nie!

Tworząc epokę hyboryjską, Howard wykreował świat, w którym jego ukochani historyczni barbarzyńcy mogli swobodnie działać, a on był w stanie snuć historie napakowane akcją i dramatycznymi wydarzeniami, które tak uwielbiał opowiadać. To genialna koncepcja, która, jak sędzę, mogła nasunąć się mu za sprawą G.K. Chestertona. Jego poemat epicki *The Ballad of the White Horse* był jednym z ulubionych utworów Howarda. Świadczą o tym nie tylko wylewne komentarze w dwóch odrębnych listach do przyjaciela Clyde'a Smitha z 1927 roku, ale również częste stosowanie zaczerpniętych zeń cytatów jako epigramów bądź wierszy otwierających własne opowieści oraz to, iż przytaczał go wciąż nawet w swych późnych listach z 1935 roku. *The Ballad of the White Horse* opowiada o królu Alfredzie i bitwie pod Ethandun, lecz Chesterton przyznaje, że „to wszystko, co nie stanowi w nim wprost fikcji, podobnie jak w prozatorskich powieściach o przeszłości, ma na celu bardziej uwypuklenie tradycji aniżeli historii”. Ponieważ dzieło, które chce świętować, a więc walka „o chrześcijańską cywilizację przeciwko pogańskiemu nihilizmowi”, „naprawdę dokonywało się z pokolenia na pokolenie”, stworzył fikcyjnych rzymskich, celtyckich oraz saskich bohaterów, by dzielili chwałę zwycięstwa z Alfredem. „Naczelną wartość legendy – pisał – stanowi to, iż można mieszać stulecia, a jednocześnie zachować zapatrywania i ujrzeć wszystkie wieki w czymś na kształt doskonałego skrótu perspektywy. Taka jest rola tradycji – kompresja historii”.

Chesterton nie był oczywiście pierwszym, który stworzył takie dzieło literackie. Na myśl nasuwają się tu powieści arturiańskie Chrétiena de Troyes oraz sir Thomasa Malory'ego, jak również

wcześniejsze sagi skandynawskie oraz pradawna legenda o Beowulfie. Jednak wygłoszone przez Chestertona racjonalne uzasadnienie mogło się wkraść do umysłu Howarda i wypłynąć lata później jako epoka hyboryjska. Teksańczyk też napisał poemat, *The Ballad of King Geraint*, który stanowi echo utworu Anglika. Przedstawia on ostatnie śmiałe wystąpienie celtyckich plemion Brytanii i Irlandii przeciwko anglosaskim najeźdźcom. Jednakże dopóki nie stworzył w 1932 roku epoki hyboryjskiej, nie był w stanie skutecznie stosować własnego pomysłu na kompresowanie, przemieniającego historię w – jak to ujął Lovecraft – „barwną, stworzoną sztucznie legendę”.

Ponieważ Howard spisał długą historię epoki hyboryjskiej i podjął trud uczynienia z niej samoistnego świata, niektórzy krytycy zaliczają go do grona twórców tradycyjnych dla fantasy tak zwanych światów urojonych. Jego reprezentantami są tak kreatywni pisarze, jak George Macdonald, William Morris, Lord Dunsany oraz J.R.R. Tolkien. Jednak epoka hyboryjska jest historyczna, a nie wyimaginowana. Stanowi po prostu węzeł, w którym elementy z rozmaitych okresów historycznych splatają się dla dobra opowieści. Urok utworów o Conanie wynika po części z tego, że wydają się one tak realne, ponieważ rozpoznajemy świat, w którym porusza się Cimmeryjczyk. Howard nie był więc literackim stylistą na wzór owych twórców „światów urojonych”, był gawędziarzem, który preferował jasny, bezpośredni, prosty język obarczony opisami w stopniu minimalnym. Z całą pewnością, jak pokazuje dobitnie rozdział otwierający *Godzinę Smoka*, poezja odgrywa w jego najlepszej prozie rolę znaczącą. Howard wychował się na poezji, którą czytała mu matka, i sam był bodajże najlepszym

poetą pośród pisarzy fantastyki. Jak mówi Steve Eng: „Howard być może wyczuwał, że poezja pasuje lepiej do jego wyobraźni niż proza. Zdałoby się bardziej naturalne, gdyby jego literaccy bohaterowie magii i miecza oraz ich wrogowie byli opiewani w hymnach i pieśniach, aniżeli opisywani w akapitach”.

Ale w utworach Howarda jest jeszcze jeden składnik. „Każda ma cząstka skłania mnie do realizmu” – powiedział E. Hoffmannowi Price’owi. Takie podejście ze strony autora znanego najszerzej z twórczości fantastycznej może wydawać się absurdalne, aczkolwiek przyglądając się uważnie całości jego dorobku, odnajdujemy w nim powieść „realistyczną”, znaczną liczbę historii bokserskich, wiele opowiadań historycznych i westernowych – innymi słowy: sporą dawkę realizmu. Do tego możliwe jest, iż jego ulubionym pisarzem był Jack London. Twórca znany dziś najbardziej ze swoich wojaży był jednocześnie zdeklarowanym socjalistą, którego na wprost autobiograficznego *Martina Edena* – wzór dla Howardowego *Post Oaks and Sand Roughs* – uznaje się niekiedy za pierwszą powieść egzystencjalną. Kolejnym autorem, jakiego Teksasczyk wysoko cenił, był Jim Tully, którego beletryzacje historii z własnego życia włóczykija, pracownika cyrku, boksera i dziennikarza znajdują odzwierciedlenie w prozie Howarda. Zarówno London, jak Tully byli „dziećmi drogi”, a on często pisywał o postaciach, włączając w to Conana, które za młodu porzuciły dom, by wędrować po świecie.

W swym ważnym eseju *Robert E. Howard: Hard-Boiled Heroic Fantasist*, George Knight sugeruje, iż Teksasczyk wniósł do fantasy element takiej samej wrażliwości, jaką współczesny mu Dashiell Hammett i inni wnieśli do opowieści detektywistycznych: odważne i twarde nastawienie do życia, wyrażone w prostej, energetycznej,

bezpośredniej prozie (choć nie pozbawionej poezji), z przemocą stanowiącą mroczne sedno opowieści. Conan w swej epoce hyboryjskiej ma wiele wspólnego z Continental Op na podejrzanych ulicach San Francisco: działa niezależnie, a jego cyniczną, opartą na bogatym doświadczeniu postawę łagodzi własny, surowy kodeks moralny. Nie czuje potrzeby lojalności wobec praw narzucanych przez władze czy tradycję, wybiera życie według zasad, jakie pomagają mu „utrzymać porządek w świecie popadającym w szaleństwo”. Można go wynająć, ale nie kupić. Jest on, jak zauważył Charles Hoffman, „Conanem egzystencjalistą”: „Spełniony, biorący swój los we własne ręce człowiek, sam we wrogim mu wszechświecie”. Conan, stwierdza Hoffman, wie, iż życie jest pozbawione sensu. „W wierze mego ludu nie ma nadziei ani teraz, ani na przyszłość – wyznaje w *Królowej Czarnego Wybrze*. – Na tym świecie ludzie zmagają się i cierpią nadaremnie”. Niemniej owa wiedza o całkowitej bezsensowności ludzkich czynów nie przyprawia Conana o rozpacz. „Pokazuje, jak człowiek o silnej woli może kreować cele, wartości oraz sens dla samego siebie”.

Uważam, że właśnie w tym tkwi solidna część uroku Cimmeryjczyka. Nasze przeznaczenie, jak mówi, nie jest zapisane w gwiazdach ani w szlacheckiej krwi, ale w gotowości do tego, by wykreować siebie samych. Historie zgromadzone w niniejszym tomie są tego wyborną ilustracją: w każdej Conan staje przed wyborami i podejmuje je nie na podstawie jakiegoś mającego się wypełnić „szlacheckiego przeznaczenia”, lecz według tego, co, jak się jemu zdaje, stanowi właściwy kierunek działania w danym czasie. Łapie okazje, by dostać to, czego chce, a odrzuca takie, które kto inny pochwyciłby bez wahania. Chadza swoimi drogami i robi

wszystko na swój sposób, wiedziony niewiele więcej niż kaprysem chwili oraz własnym poczuciem dobra i zła.

Jednak nade wszystko urok historii Roberta E. Howarda o Cimmeryjczyku tkwi oczywiście w talencie autora do snucia opowieści. Pozostaje on niedościgniony w swej umiejętności przekonywania czytelnika i wciągania go *do wnętrza* swego utworu. Odwróć zatem tę stronę i przygotuj się na porywającą podróż przez zadziwiającą historyczną krainę epoki hyboryjskiej.

Rusty Burke

2003

Ludzie Czarnego Kręgu

Ludzie Czarnego Kręgu

I

ŚMIERĆ RAZI KRÓLA



Król Vendhyi był umierający. Pośród gorącej, dusznej nocy dudniły gongi i huczały konchy świątyni. Ich tumult odbijał się słabym echem w komnacie o złotym sklepieniu, gdzie na

wyłożonym aksamitem posłaniu Bunda Chand walczył o życie. Krople potu lśniły na jego ciemnej skórze, a dłonie kurczowo chwyciły tkaną złotogłowie materia, na której spoczywał. Był młody, nie trafiła go żadna włócznia, trucizna nie czyhała nań w winie, lecz żyły na skroniach wystąpiły mu niczym błękitne sznury, a oczy rozszerzyła bliskość śmierci. U stóp posłania klęczały roztrzęsione niewolnice, a jego siostra Devi Yasmina pochylała się nad nim, przypatrując się mu z przyprawiającą o ból intensywnością. Przy niej stał *wazam*, nobil wyrosły na królewskim dworze.

Kiedy grzmot odległych bębnow dotarł do uszu Yasminy, dziewczyna poderwała głowę w gwałtownym geście gniewu i rozpaczy.

– Ci kapłani i ich zgiełk! – wykrzyknęła. – Nie są mądrzejsi od medyków, a ci pozostają bezradni! Ach, nie, on umiera i nikt nie potrafi powiedzieć dlaczego. Umiera właśnie teraz, a ja stoję tu bezradna, ja, która spaliłabym całe to miasto i rozlała krew tysięcy, by go ocalić.

– Żaden człowiek w całej Ayodhyi nie chciałby umrzeć zamiast niego, nawet gdyby tak się mogło stać, Devi – odparł *wazam*. – Ta trucizna...

– Mówię ci, że to nie trucizna! – krzyknęła. – Od dnia narodzin był strzeżony tak ściśle, że najsprytniejsi truciciele Wschodu nie zdołali go osiągnąć. Pięć czaszek bielejących na Wieży Drapieżców może zaświadczyć o próbach, jakich dokonano. Wszystkie zawiodły. Jak dobrze wiesz, mamy dziesięciu mężczyzn i dziesięć kobiet, których jedynym zadaniem jest próbowanie jego potraw i wina, a jego komnaty, tak jak teraz,

strzeże pięćdziesięciu uzbrojonych wojowników. Nie, to nie trucizna, to czary, czarna, upiorna magia...

Ucichła, gdyż król przemówił. Jego zsiniałe wargi nie poruszały się, a w zaszklonych oczach nie było świadomości, lecz jego głos wzniósł się w straszliwym wołaniu, niewyraźnym i odległym, jak gdyby przyzywał ją z za ogromnych, owiewanych wiatrem otchłani.

– Yasmino! Yasmino! Moja siostro, gdzie jesteś? Nie mogę cię odszukać. Wszędzie tylko ciemność i ryk wichrów!

– Bracie! – zawołała Yasmina, chwytając w konwulsyjnym uścisku jego bezwładną dłoń. – Jestem tutaj! Czyżbyś mnie nie poznawał...?

Jej głos umilkł wobec całkowitej pustki na jego obliczu. Z ust króla dobył się cichnący, niezrozumiały jęk. Niewolnice u stóp posłania zakwiliły ze strachu, a Yasmina w udreće biła się w pierś.

W innej części miasta pewien człowiek stał na ażurowym balkonie wychodzącym na długą ulicę, na której jaskrawo migotały pochodnie, ukazując spowite dymem, trawione niepokojem ciemne twarze i białka błyszczących oczu. Z gardeł tłumu dobywało się przeciągłe zawodzenie.

Mężczyzna wzruszył szerokimi ramionami i skierował się z powrotem do zdobnej arabeskami komnaty. Był człowiekiem wysokim, mocno zbudowanym i bogato ubranym.

– Król jeszcze nie umarł, ale pieśni żałobne już rozbrzmiewają – rzekł do drugiego mężczyzny, który ze skrzyżowanymi nogami siedział na macie w kącie. Ów człowiek odziany był w brązową szatę z wielbłądziej wełny oraz sandały. Na głowie miał zielony

turban. Jego twarz była spokojna, a wzrok beznamiętny.

– Lud wie, że nie doczeka kolejnego świtu – odparł.

Pierwszy z mężczyzn obdarzył go długim, badawczym spojrzeniem.

– Nie potrafię tylko pojąć – stwierdził – dlaczego musiałem tak długo czekać, by twoi mistrzowie uderzyli. Skoro będą w stanie zabić króla teraz, czemu nie mogli zrobić tego parę miesięcy temu?

– Nawet sztuką, którą ty zwiesz czarnoksięską, rządzą prawa kosmiczne – odrzekł człowiek w zielonym turbanie. – Takimi działaniami kierują gwiazdy, podobnie jak w innych sprawach. Nawet moi mistrzowie nie są w stanie zmienić układu gwiazd. Dopóki nieboskłon nie znalazł się we właściwym porządku, nie mogli skorzystać z nekromancji. – Długim, brudnym paznokciem kreślił mapę gwiazdozbiorów na posadzce z marmurowych płytek. – Pozycja Księżyca zwiastuje królowi Vendhyi zły los. Zamęt panuje wśród gwiazd. Wąż w Domu Słonia. Przy takim układzie niewidzialni strażnicy są usuwani z ducha Bhundy Chanda. W niewidocznych królestwach otwarła się ścieżka, a gdy punkt styczności został raz ustanowiony, tą drogą do gry włączyły się potężne moce.

– Punkt styczności? – dopytywał ten drugi. – Masz na myśli ten pukiel włosów Bhundy Chanda?

– Tak. Wszystkie odrzucane części ludzkiego ciała nadal pozostają z nim związane, połączone nieuchwytnymi więzami. Kapłani Asury mają jakieś niejasne przeczucie tej prawdy, więc wszelkie ścinki paznokci, włosy i inne śmieci uzyskiwane od członków rodziny królewskiej są starannie przemieniane w

popiół, a ten jest ukrywany. Jednak na usilne błagania księżniczki Khosali, która pokochała go nieszczęśliwie, Bhunda Chanda oddał jej w dowód pamięci pukiel swych długich, czarnych włosów. Kiedy moi mistrzowie zdecydowali o jego losie, ów pukiel, przechowywany w złotej, wysadzonej klejnotami kasetce, został jej wykradzony podczas snu spod poduszki i zastąpiony innym, tak podobnym do oryginalnego, że nigdy nie dostrzegła różnicy. Potem autentyczny pukiel przebył wraz z karawaną wielbłądów długą, bardzo długą drogę do Peshkhauri, a stamtąd dalej przez przełęcz Zhaibar, aż dotarł do rąk tych, dla których był przeznaczony.

– Jedynie pukiel włosów – mruknął nobil.

– Za sprawą którego dusza wyrywana jest z jego ciała i ciągnięta poprzez otchłanie powtarzających się odbić przestrzeni – odrzekł człowiek na macie.

Nobil przypatrzył mu się dziwnym wzrokiem.

– Nie wiem, czy jesteś człowiekiem, czy demonem, Khemsa – stwierdził w końcu. – Niewielu z nas jest tym, kim się zdaje. Ja, którego Kshatriyasi znają jako Kerim Shah, księżę Iranistanu, jestem nie większym pozorantem niż większość ludzi. Wszyscy są zdrajcami w ten czy inny sposób, a połowa z nich nie wie, komu służy. Ja przynajmniej co do tego nie mam wątpliwości, gdyż służyć królowi Turanu, Yezdigerdowi.

– A ja Czarnym Wróżom z Yimshy – odparł Khemsa – i moi mistrzowie są więksi od twego, bo swą sztuką osiągnęli to, czego Yezdigerd nie był w stanie dokonać setką tysięcy mieczy.

Na zewnątrz jęk udreńczonych tłumów wibrował i wznosił się do gwiazd rozsianych pośród niespokojnej vendhyańskiej nocy, a

konchy ryczały niczym woły pogrążone w boleściach.

W pałacowych ogrodach blask pochodni odbijał się w polerowanych hełmach i zakrzywionych mieczach oraz inkrustowanych złotem kirysach. Wszyscy szlachetnie urodzeni wojownicy Ayodhyi zebrali się w wielkim pałacu lub wokół niego, a przy wszystkich szeroko sklepionych bramach i drzwiach na straży stało po pięćdziesięciu strzelców z łukami w dłoniach. Lecz Śmierć stąpała przez królewski pałac i nikt nie był w stanie zatrzymać jej upiornego kroku.

Na podwyższeniu pod złocistą kopułą wstrząsany strasznymi paroksyzmami król krzyknął znowu. Ponownie dobył się jego słaby i odległy głos i raz jeszcze Devi nachyliła się nad nim, drżąc ze strachu, który był mroczniejszy od grozy śmierci.

– Yasmino! – znów ten odległy, niesamowicie przytłumiony, dochodzący z niezmiernych obszarów krzyk. – Dopomóż mi! Jestem daleko od mego domu z tego świata! Czarownicy wyciągnęli mą duszę poprzez owiewany wiatrem mrok. Starają się zerwać srebrny sznur, który wiąże mnie z moim umiarkowanym ciałem. Gromadzą się wokół mnie; ich ręce mają szpony, a oczy są czerwone jak ognie płonące w ciemności. *Aie*, ocal mnie, siostrze! Dotyk ich dłoni pali mnie jak ogień! Chcą zniszczyć moje ciało i duszę wydać na potępienie! A cóż to przywiedli przed me oczy? *Aie!*

Przerażenie brzmiące w jego beznadziejnym krzyku sprawiło, że Yasmina wrzasnęła mimowolnie i w odruchu cierpienia przywarła do niego całym ciałem. Szarpały nim straszliwe drgawki, z wykrzywionych ust wypłynęła piana, a zaciskające się dłonie pozostawiły ślady na ramionach dziewczyny. Jednakże

szklista pustka zniknęła z jego oczu niczym rozwiany dym paleniska i spojrzał na swą siostrę przytomnie.

– Bracie! – załkała. – Bracie...

– Szybko! – wysapał, a jego słabnący głos brzmiał rozsądnie. – Teraz wiem, co przywiodło mnie na mój grzebalny stos. Odbyłem daleką podróż i zrozumiałem. Zostałem zaklęty przez czarowników z Himelianów. To oni wyciągnęli mą duszę z ciała i zawiedli daleko, do kamiennej izby. Tam usiłowali przerwać srebrny sznur życia i wepchnąć mą duszę w ciało jakiegoś obrzydliwego dziwactwa z mroku, które ich czary przywołały z piekieł. Och! Czuję, jak szarpią mnie teraz! Twój krzyk i uścisk twych dłoni sprowadziły mnie z powrotem, ale to postępuje szybko. Moja dusza przylega do ciała, lecz jej uchwyt słabnie. Szybko... zabij mnie, zanim oni zdołają uwięzić ją na zawsze!

– Nie potrafię! – zawodziła, bijąc się z całych sił w obnażoną pierś.

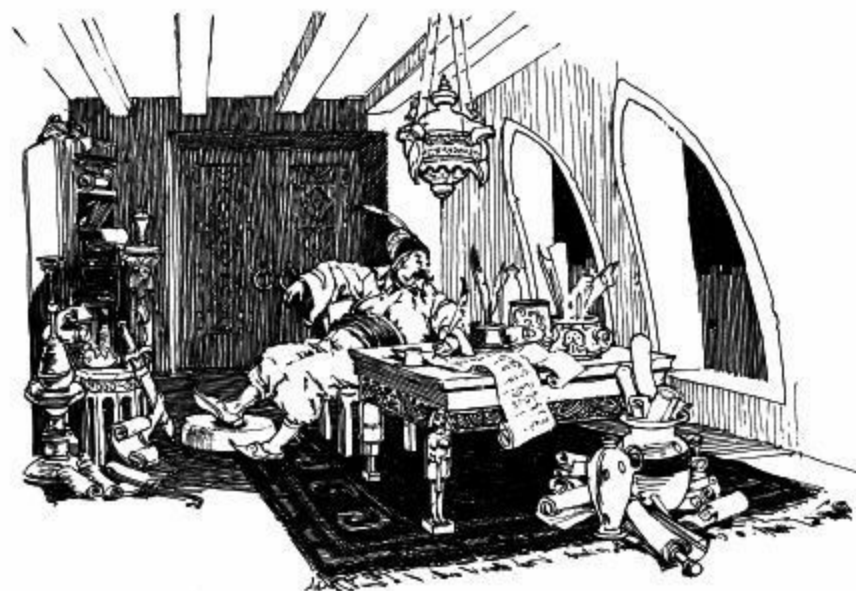
– Szybko. Rozkazuję ci! – W jego słabnym szepcie zabrzmiał dawny, despotyczny ton. – Nigdy mi się nie sprzeciwiłaś. Wysłuchaj więc mego ostatniego rozkazu! Poślij mą duszę wprost na łono Asury! Spiesz się, żeby nie skazać mnie na wieczność w roli obrzydliwej zjawy ciemności. Uderz. Rozkazuję ci! *Uderzaj!*

Szlochając dziko, Yasmina wyrwała zza pasa nabijany klejnotami sztylet i zatopiła go po rękojeść w jego piersi. On zaś zesztyniał, a potem opadł bezwładnie. Martwe usta wykrzywił mu ponury uśmiech. Yasmina rzuciła się na pokrytą sitem podłogę, bijąc o jego żdźbła zaciśniętymi pięściami. Na zewnątrz porykiwały chrapliwie i grzmiały gongi oraz konchy, a kapłani rozcinali swe ciała miedzianymi nożami.



II

PEWIEN BARBARZYŃCA ZE WZGÓRZ



Chunder Shan, gubernator Peshkhauri, odłożył złocone pióro i uważnie przebiegł wzrokiem po tym, co napisał na pergaminie noszącym jego oficjalną pieczęć. Peshkhauri rządził tak długo tylko dlatego, że ważył każde słowo – wypowiedane czy spisane. Niebezpieczeństwo rodzi ostrożność, a jedynie człowiek rozważny żyje długo w tym dzikim kraju, gdzie gorące vendhyańskie równiny spotykają się ze stromymi, poszarpanymi urwiskami Himelianów. Godzina jazdy ku zachodowi lub ku północy i przekraczało się granicę, wkraczając między wzgórza, gdzie ludzie żyli zgodnie z

prawem noża.

Gubernator przebywał w swej komnacie sam, siedząc przy zdobnie rzeźbionym stole z ornamentowanego mahoni. Przez szerokie, otwarte dla ochłody okno mógł spojrzeć na kwadrat błękitu himeliańskiej nocy, usianej wielkimi, białymi gwiazdami. Parapet przy oknie stanowił ciemną linię, a dalsze krenelaże i ambrazury ledwie dawały się dojrzeć w przyćmionym świetle gwiazd. Forteca gubernatora była potężna. Ulokowano ją poza murami miasta, którego strzegła. Lekki wietrzyk poruszający gobelinami na ścianach przynosił z ulic Peshkhauri ulotne dźwięki – sporadyczne urywki płaczliwych pieśni lub monotony jęk sitara.

Gubernator powoli odczytał to, co zapisał, rozwartą dłonią oceniając oczy od brązowej lampy maślanej. Jego usta się poruszały. Nieobecny duchem podczas lektury, posłyszał stukot końskich kopyt pod barbakanem oraz ostre staccato wezwania wartownika. Nie poświęcił temu uwagi, pochłonięty swym listem adresowanym do *wazama* Vendhyi przy królewskim dworze Ayodhyi. Po zwyczajowych pozdrowieniach stwierdzał w nim:

„Pragnę donieść Waszej Ekscelencji, że wiernie wypełniłem polecenia Waszej Ekscelencji. Owych siedmiu górali pozostaje dobrze strzeżonych w więzieniu, a ja raz po raz ślę wieść na wzgórze, żeby ich wódz przybył osobiście targować się o ich uwolnienie. Nie wykonał jednak żadnego ruchu poza przesłaniem wiadomości, iż jeśli tamci nie zostaną uwolnieni, spali Peshkhauri i, niech Wasza Ekscelencja daruje, pokryje swe siodło moją skórą. Jest zdolny podjąć taką próbę, zatem potroiłem liczbę włóczników na straży. Człowiek ten nie jest rdzennym Ghulistańczykiem. Nie potrafię przewidzieć z całkowitą pewnością jego następnego posunięcia. Lecz, jako że jest to

życzenie Devi...”

W jednej chwili zerwał się na nogi ze swego krzesła z kości słoniowej i zwrócił się ku zwieńczonym łukiem drzwiom. Złapał leżący na stole zakrzywiony miecz w ozdobnej pochwie i zatrzymał się w pół kroku.

Oto jakaś kobieta weszła niezapowiedzianie, kobieta, której zwiewne szaty skrywały bogaty strój pod spodem, nie bardziej niż gibkość i piękno wysokiej, smukłej postaci. Na wpół przejrzysty welon opadał poniżej jej piersi, upięty do luźnego nakrycia głowy, obwiązanego dookoła potrójnym złotym splotem i przyozdobionego złotym półksiężycem. Spojrzenie jej ciemnych oczu spoczęło poprzez woal na zdumionym gubernatorze. Wtem władczym gestem odsłoniła swą twarz.

– Devi!

Gubernator przyklęknął przed nią, jakkolwiek jego zaskoczenie i dezorientacja zepsuły w pewien sposób wyniosłość tego poddańczego gestu. Ruchem ręki zachęciła go do powstania, a on pospiesznie podprowadził ją do krzesła z kości słoniowej, cały czas kłaniając się na wysokość pasa. Niemniej jego pierwsze słowa stanowiły wyrzut.

– Wasza Wysokość! To w najwyższej mierze nierozsądne! Na granicy jest niespokojnie! Ustawiczne napaści z gór. Czy przybyłaś, pani, z licznym orszakiem?

– Aż nadto liczna świta podążała za mną do Peshkhauri – odparła. – Tam zakwaterowałam swych ludzi i wyruszyłam dalej do fortu z dwórką Gitarą.

Chunder Shan jęknął ze zgrozy.

– Devi! Nie rozumiesz zagrożenia. O godzinę jazdy stąd wzgórza roją się od barbarzyńców, których profesją jest mord i grabież.

Pomiędzy fortem a miastem porywano już kobiety, a mężczyzn zakłuwano nożem. Peshkhauri nie jest takie jak twoje południowe prowincje...

– Ale jestem tu, bez szwanku – przerwała mu z pewnym zniecierpliwieniem. – Pokazałam swój sygnet strażnikowi przy bramie oraz temu przed twymi drzwiami, a oni wpuścili mnie bez zapowiedzi, nie znając mnie, lecz zakładając, że jestem tajnym kurierem z Ayodhyi. Nie marnujmy teraz czasu. Czy otrzymałeś jakieś wieści od wodza barbarzyńców?

– Żadnych z wyjątkiem gróźb i przekleństw, Devi. Jest czujny i podejrzliwy. Mniema, że to pułapka, i może to nie jego wina. Kshatriyasi nie zawsze dotrzymywali obietnic wobec ludzi ze wzgórz.

– Trzeba przymusić go do zgody! – wtrąciła Yasmina. Knykcie jej zaciśniętych palców aż zbieleły.

– Nie pojmuję. – Gubernator potrząsnął głową. – Kiedy udało mi się schwycić tych siedmiu górali, jak każe obyczaj, zameldowałam o ich pojmaniu *wazamowi* i wtedy, zanim zdołałam ich powiesić, przyszedł rozkaz, by przetrzymać ich i porozumieć się z ich wodzem. Tak też uczyniłam, ale ten, jak już mówiłam, zachowuje się z rezerwą. Owi ludzie należą do plemienia Afghulich, ale on jest przybyszem z zachodu. Wołają na niego Conan. Zagroziłam, że jeżeli nie przyjdzie, powieszę więźniów jutro o świcie.

– Dobrze! – wykrzyknęła Devi. – Dobrze się spisałeś. Powiem ci zatem, dlaczego wydałam takie rozkazy. Mój brat... – Zachwiała się, a głos uwiązł jej w gardle, gubernator zaś pochylił głowę w zwyczajowym geście szacunku dla nieżyjącego monarchy.

– Króla Vendhyi zabiła magia – rzekła w końcu. – Zaprzysięgam swe życie dla zniszczenia jego morderców. Kiedy umierał, dał mi

wskazówkę, za którą podążyłam. Przeczytałam Księgę Skelosa i rozmawiałam z bezimiennymi pustelnikami z jaskiń poniżej Jhelai. Dowiedziałam się, jak i przez kogo został zabity. Jego wrogami okazali się Czarni Wróże z góry Yimsha.

– Asuro! – wyszeptał pobladły Chunder Shan.

Jej wzrok przeszył go na wskroś.

– Boisz się ich? – zapytała.

– A kto się nie boi, Wasza Wysokość? – odparł. – Są czarnymi diabłami, nawiedzającymi niezamieszkane wzgórza za Zhaibarem. Mędracy wszak mówią, że rzadko wtrącają się do żywota śmiertelników.

– Dlaczego zabili mojego brata, nie wiem – odrzekła – ale przysięgam na ołtarzu Asury, że ich zabiję! Potrzebuję więc wsparcia człowieka z zagranicy. Bez niego kshatriyaskie wojska nigdy nie dotrą na Yimshę.

– Tak jest – wymamrotał Chunder Shan. – Także prawdę rzeczesz. Byłaby to walka o każdy skrawek owej drogi. Z włóchatymi góralami, którzy ciskaliby głazami z każdego szczytu i podchodzili nas ze swymi długimi nożami w każdej dolinie. Kiedyś Turańczycy przedarli się przez Himeliany, ale ilu powróciło do Khurusunu? Niewielu z tych, którzy uszli mieczom Kshatriyasów, po tym jak król, twój brat, pokonał ich wojska nad rzeką Jhumda, ujrzało jeszcze kiedykolwiek Secunderam.

– Zatem muszę zapanować nad ludźmi wzdłuż granicy – stwierdziła – ludźmi, którzy znają drogę na górę Yimsha...

– Niemniej tamtejsze plemiona boją się Czarnych Wróżów i omijają tę przeklętą górę szerokim łukiem – przerwał jej gubernator.

– Czy ten wódz, Conan, boi się ich? – zapytała.

– Cóż, jeśli o to chodzi – wymamrotał gubernator – to wątpię, czy istnieje cokolwiek, czego ten diabeł się boi.

– Tak i mnie mówiono. Dlatego też jest on człowiekiem, z którym muszę się ułożyć. On chce uwolnienia swych siedmiu ludzi. Znakomicie. Okupem za nich będą głowy Czarnych Wróżów! – W ostatnich słowach jej głos nabrzmiał nienawiścią, a zaciśnięte ręce przyciągnęła do ciała. Stojąc tak z wysoko uniesioną i dyszącą pierśią, wyglądała jak obraz wcielonej namiętności.

Gubernator uklęknął ponownie, gdyż część jego mądrości stanowiła wiedza, iż kobieta w trakcie takiej burzy uczuć jest dla wszystkich wokół niebezpieczna jak oślepią kobra.

– Stanie się tak, jak sobie życzysz, Wasza Wysokość. – Potem, gdy ukazała już spokojniejsze oblicze, powstał i odważył się uronić słówko przestrogi. – Nie potrafię przewidzieć, jakie działania podejmie ten wódz, Conan. Górale są zawsze nieobliczalni, a mam powody, by wierzyć, że emisariusze Turańczyków podburzają ich, by napadali na nasze granice. Jak Wasza Wysokość wie, Turańczycy usadowili się w Secunderam i innych północnych miastach, chociaż plemiona ze wzgórz pozostają nadal niepodbite. Król Yezdigerd od dawna spogląda ku południu z zachłanną żądzą i może szuka sposobu, by zdradą zyskać to, czego nie dał rady zdobyć siłą swych wojsk. Przyszło mi na myśl, że ów Conan może być równie dobrze jednym z jego szpiegów.

– Zobaczymy – odrzekła. – Jeżeli szanuje swych poddanych, zjawi się o świcie u bram, by pertraktować. Spędzę tę noc w fortecy. Przyjechałam do Peshkhauri w przebraniu, a swą swiętę zamiast w pałacu zakwaterowałam w gospodzie. Oprócz mych ludzi tylko ty jeden wiesz o mej obecności tutaj.

– Odprowadzę cię na kwaterę, Wasza Wysokość – oznajmił gubernator i kiedy wyszli na korytarz, przywołał gestem pełniącego tam wartę włócznika.

Ten podążył za nimi, prezentując broń. Za drzwiami czekała dwórka, skryta za woalem jak jej pani. Całą grupą przemierzili szeroki, kręty korytarz oświetlony dymiącymi pochodniami, aż dotarli do kwater zarezerwowanych dla goszczących tu nobilów, głównie generałów i wicekrólów, gdyż nikt z rodziny królewskiej nigdy dotąd nie zaszczylił jeszcze fortecy swymi odwiedzinami. Chunder Shan miał niejasne odczucie, że komfortowe wielopokojowe lokum jest nie dość odpowiednie dla osobistości tej rangi co Devi, i chociaż dokładała starań, by poczuł się w jej obecności swobodnie, był zadowolony, gdy pomimo przeczeń pozwoliła mu odejść. Zwołał całą służbę w formie, by usługiwała królewskiemu gościowi, i choć nie wyjawiał jej tożsamości, ulokował przed jej drzwiami oddział włóczników, w tym tego, który strzegł jego własnej komnaty. W całym zaaferowaniu zapomniał zastąpić go innym.

Gubernator oddalił się nie tak dawno, kiedy Yasmina przypomniała sobie nagle o czymś jeszcze, co chciała z nim przedyskutować. Rzecz dotyczyła dawnych postępów człowieka o imieniu Kerim Shah, nobila z Iranistanu, który przez krótki czas zamieszkiwał w Peshkhauri, zanim przybył na dwór w Ayodhyi. Niejasne podejrzenia co do tego człowieka wzbudziło jego pojawienie się w Peshkhauri dzisiejszego wieczoru. Zastanawiała się, czy podążał za nią z Ayodhyi. Jako naprawdę niezwykła Devi nie wezwała ponownie gubernatora do siebie, lecz sama wyszła prędko na korytarz i pospieszyła w stronę jego komnaty.

Wszedłszy do niej, Chunder Shan zamknął drzwi i podszedł do

stołu. Następnie wziął list, który pisał, i podarł go na strzępy. Ledwie skończył, kiedy posłyszał, jak coś cicho opada na balustradę przy oknie. Podniósł wzrok, akurat by ujrzeć jakąś postać, która zamajaczyła krótko na tle gwiazd, a potem spadła miękko do pomieszczenia. Światło zajaśniało podłużnym błyskiem na stali w jego ręce.

– Ciii! – przestrzegł. – Nie czyn hałasu, bękarcie, albo pošlę diabłu poplecznika!

Gubernator wstrzymał się od sięgnięcia po miecz na stole. Znajdował się w zasięgu długiego na jard zhaibarskiego noża, który lśnił w garści intruza, i znał niesamowitą prędkość górali.

Napastnik był człowiekiem wysokim, silnym i gibkim zarazem. Ubrany był jak góral, ale rysy jego ciemnej twarzy oraz płomienne niebieskie oczy nie pasowały do jego stroju. Chunder Shan nigdy nie widział nikogo takiego jak on; z pewnością nie był człowiekiem Wschodu, lecz jakimś barbarzyńcą z Zachodu. Jego wygląd był wszak podobnie dziki i groźny jak włochatych górali przemierzających wzgórze Ghulistanu.

– Przychodzisz w nocy jak złodziej – zauważył gubernator, odzyskując nieco opanowanie, jakkolwiek przypomniał sobie, że nie ma strażnika na wezwanie. Góral wszelako nie mógł o tym wiedzieć.

– Wspiąłem się na bastion – warknął intruz. – Wartownik wystawił głowę za blanki, akurat bym stuknął go rękojęścią noża.

– Ty jesteś Conan?

– A któż inny? Wysyłałeś na wzgórze wieść, że chcesz, abym przybył i pertraktował z tobą. Zatem, na Croma, przybyłem! Trzymaj się z dala od tego stołu albo cię wypatroszę.

– Chcę tylko usiąść – odrzekł gubernator, ostrożnie opadając na

krzesło z kości słoniowej, które odsunął od stołu.

Conan poruszał się przed nim niespokojnie, podejrzliwie zerkając na drzwi. Kciukiem próbował ostrza swego długiego na trzy stopy noża. Chodził nie jak Afghuli, a w sprawach subtelnych na Wschodzie pozostawał rozbrajająco szczery.

– Masz siedmiu moich ludzi – stwierdził nagle. – Odmówiłeś przyjęcia okupu, jaki proponowałem. Czego, do diabła, chcesz?

– Porozmawiajmy o warunkach – odrzekł Chunder Shan ostrożnie.

– Warunkach? – W głosie intruza zabrzmiała niebezpiecznie gniewna nuta. – Co masz na myśli? Czyż nie oferowałem ci złota?

Gubernator się roześmiał.

– Złota? W Peshkhauri jest więcej złota, niż widziałeś kiedykolwiek.

– Jesteś kłamcą – odgryzł się Conan. – Widziałem *suk* złotników w Khurusunie.

– Dobrze. Więcej, niż widział którykolwiek z Afghulich – poprawił Chunder Shan. – A to nie więcej niż kropla wszystkich skarbów Vendhyi. Dlaczego mielibyśmy pragnąć złota? Odnieśliśmy większą korzyść, gdybyśmy powiesili tych siedmiu złodziei.

Z ust Conana wyrwało się siarczyste przekleństwo, a ostrze w jego garści zadrzało, gdy mięśnie na jego opalonym ramieniu nabrzmiały niczym górskie łańcuchy.

– Rozszczepię ci czaszkę jak dojrzały melon!

W oczach górala zamigotał niebieski płomień, ale Chunder Shan wzruszył tylko ramionami, chociaż nie spuszczał oka z ostrej stali.



– Łatwo możesz mnie zabić i pewnie później uciec przez mur. Jednak to nie ocali tych siedmiu górali. Niewątpliwie by ich powiesili. A ci ludzie to naczelnicy wśród Afghulich.

– Wiem o tym – prychnął Conan. – Plemię powarkuje wokół mnie jak wilki, ponieważ nie zadbałem o ich uwolnienie. Powiedz mi w prostych słowach, czego chcesz, bo, na Croma, jeżeli nie znajdzie się

inny sposób, poderwę jakąś horde i powiodę ją do samych wrót Peshkhauri!

Patrząc na stojącego przed nim prosto człowieka z nożem w garści i jaśniejącymi oczami, Chunder Shan nie wątpił, że jest do tego zdolny. Gubernator nie wierzył w to, że jakakolwiek górską horda byłaby w stanie zająć fortecę, ale nie chciał, aby spustoszyła okoliczne wsie.

– Jest pewna misja, której musisz się podjąć – rzekł, dobierając słowa z tak wielką ostrożnością, jakby były brzytwami. – To...

Conan odskoczył w tył i w tej samej chwili odwrócił się w stronę drzwi. Wargi mu się rozsunęły, obnażając zęby. Jego barbarzyńskie uszy wychwyciły dźwięk bezgłosny dla Chundera Shana – szybkie stąpienia miękkich pantofli za drzwiami. W następnej chwili drzwi otwarły się gwałtownie i pośpiesznie weszła jakaś smukła, odziana w jedwabie postać. Zatrzasnęła drzwi i zatrzymała się nagle na widok górala.

Gubernator zerwał się na równe nogi, a serce podskoczyło mu w piersi.

– Devi! – krzyknął odruchowo, tracąc na chwilę głowę z przestraszenia.

– *Devi!* – słowo to zabrzmiało w ustach górala niczym echo eksplozji.

Chunder Shan ujrzał błysk rozpoznania oraz zamiar, jaki zapłonął w gwałtownych niebieskich oczach. Krzyknął rozpaczliwie i złapał za miecz, lecz góral poruszał się z porażającą szybkością huraganu. Skoczył, obalił gubernatora na podłogę dzikim ciosem rękojeści noża, zagarnął zdumioną Devi silnym ramieniem i rzucił się do okna. Chunder Shan, usiłując gorączkowo stanąć na nogi, ujrzał Conana przez chwilę balansującego na oknie pośród trzepoczących

jedwabnych spódnic i białych członków jego królewskiego jeńca. Posłyszał też jego wściekle, tryumfalne warknięcie:

– *Teraz* odważ się powiesić moich ludzi!

Potem wskoczył na parapet i zniknął. Do uszu gubernatora doszedł jeszcze szaleńczy wrzask.

– Straż! *Straż!* – wykrzyknął gubernator, wstając z trudem i biegnąc chwiejnie do drzwi. Otworzył je szarpnięciem i wytoczył się na korytarz. Jego okrzyki poniosły się echem po pomieszczeniach, więc nadbiegli żołnierze, z otwartymi ustami przypatrując się gubernatorowi trzymającemu się za rozbitą głowę, z której płynęła krew.

– Zwołać lansjerów! – ryknął. – Dokonano porwania!

Mimo rogorączkowania pozostało mu dość rozsądku, by nie ujawniać całej prawdy. Nagle przystanął, słysząc na zewnątrz pospieszny tętent kopyt, szaleńczy wrzask dziewczyny i dziki skowyt barbarzyńskiego uniesienia.

Z drepczącymi za nim oszołomionymi strażnikami gubernator pognał do schodów. Na dziedzińcu fortu stał zawsze przy osiodłanych rumakach oddział lansjerów, gotów wyruszyć na każde raptowne wezwanie. Chunder Shan posłał ten szwadron pędem za uciekinierem, chociaż w głowie kręciło mu się tak, że musiał trzymać się siodła obu rękami. Nie wyjawiał tożsamości ofiary, stwierdziwszy tylko, że to nobilka nosząca królewski sygnet została uprowadzona przez wodza Afghulich. Porywacz znajdował się już poza zasięgiem wzroku i słuchu, lecz wiedzieli, jaką drogę obierze – tę, która biegnie wprost do wylotu Zhaibaru. Na niebie nie było księżyca; chłopskie chaty jawiły się niewyraźne w świetle gwiazd. Za ich plecami oddalały się ponury bastion fortu i wieże Peshkhauri. Przed nimi

majaczyły czarne ściany Himelianów.



III

KHEMSA KORZYSTA Z MAGII



W zamieszaniu, jakie zapanowało w fortecy, gdy zwołano strażników, nikt nie zauważył, że dziewczyna, która towarzyszyła Devi, prześlizgnęła się pod wielkim łukiem bramy i zniknęła w ciemnościach. Zakasawszy wysoko odzienie, pobiegła wprost do miasta. Nie podążała odsłoniętą drogą, lecz ścięła ją na skróty przez pola i pagórki, unikając opłotków i przeskakując rowy irygacyjne tak

pewnie, jakby to był środek dnia, a nadto równie łatwo jak wyćwiczony biegacz-mężczyzna. Tętent koni gwardzistów ucichł na pagórkowatej drodze, zanim dotarła do murów miasta. Nie poszła do wielkiej bramy, pod której łukiem stali jacyś mężczyźni wsparci na włóczniach, wyciągający szyje w mrok i dyskutujący o niezwykłym ruchu wokół fortecy. Podążyła wokół muru, aż dotarła do miejsca, skąd ponad blankami było widać iglicę wieży. Wtedy przytknęła dłonie do ust i wydała stłumiony, niesamowity okrzyk.

Prawie natychmiast w ambrazurze pojawiła się czyjaś głowa, a przy murze opadła kołysząca się lina. Dziewczyna chwyciła za nią, wsadziła stopę w pętlę na końcu i pomachała ręką. Potem szybko i gładko została podciągnięta w górę kamiennej kurtyny. Chwilę później wdrapała się przez blanki i stanęła na płaskim dachu, który wieńczył dom zbudowany zaraz przy murze. Znajdowała się na nim otwarta kłapa, a przy niej człowiek w szacie z wielbłądziej wełny, który w milczeniu związał linę, nie okazując w żaden sposób śladów wysiłku po wciągnięciu dorosłej kobiety pod czterdziestostopową ścianę.

– Gdzie Kerim Shah? – wysapała, dysząc po długim biegu.

– Śpi w domu poniżej. Masz jakieś wiadomości?

– Conan wykradł Devi z fortecy i uprowadził ją na wzgórze! – wyrzuciła z siebie nowinę w takim pośpiechu, że słowa niemal zlały się w jedną całość.

Khemsa nie okazał żadnych uczuć, tylko potaknął swą przystrojoną turbanem głową.

– Kerim Shah będzie zadowolony, gdy to usłyszy – powiedział.

– Zaczekaj! – Dziewczyna zarzuciła mu swe smukłe ramiona na

szyję. Dyszała ciężko, lecz nie tylko z wysiłku. Jej oczy płonęły w świetle gwiazd jak dwa czarne klejnoty. Uniesiona w górę twarz znalazła się blisko oblicza Khemsey, ale ten, choć pozwolił zamknąć się w objęciach, nie odwzajemnił ich.

– Nie mów Hyrkańczykowi! – wysapała. – Wykorzystajmy tę wiedzę sami! Gubernator pojechał na wzgórza wraz ze swymi ludźmi, ale równie dobrze mógłby ścigać ducha. Nie powiedział nikomu, że to Devi porwano. Oprócz nas nikt w Peshkhauri ani w forcie o tym nie wie.

– Ale co z tego dla nas wynika? – podjął temat mężczyzna. – Moi mistrzowie posłali mnie z Kerimem Shahem, abym pomagał mu w każdy sposób...

– Pomóż sobie! – krzyknęła gniewnie. – Zrzuć swe jarzmo!

– To znaczy... mam wypowiedzieć posłuszeństwo moim mistrzom?
– wykrztusił z trudem, a ona poczuła, jak ciało, które otacza ramionami, sztywnieje.

– Tak jest! – Potrząsnęła nim z wściekłą pasją. – Ty także jesteś magiem! Dlaczego masz być niewolnikiem korzystającym ze swych mocy tylko po to, by wywyższać innych? Zastosuj swą sztukę dla siebie!

– To zakazane! – Khemsa dygotał jak przy malarii. – Nie jestem jednym z Czarnego Kręgu. Tylko na rozkaz moich mistrzów ośmielałem się używać wiedzy, jaką mi przekazali.

– Ale ty *potrafisz* jej użyć! – dowodziła żarliwie. – Zrób to, błagam cię! Conan naturalnie zabrał Devi ze sobą, aby mieć zakładnika w zamian za siedmiu górali w więzieniu gubernatora. Zabij ich, a Chunder Shan nie będzie mógł wykorzystać ich do wykupienia Devi. Potem wyruszmy w góry i odbierzmy ją Afghulim. Ich noże nie oprą

się twoim czarom. Skarby vendhyańskich królów będą naszym okupem, a kiedy będziemy je już mieć, możemy ich okpić i sprzedać ją królowi Turanu. Posiędziemy bogactwo ponad wszelkie, najbardziej szalone marzenie! Nim możemy opłacić wojowników. Zajmiemy Khorbhul, wygnamy Turańczyków ze wzgórz i pošemy nasze wojska ku południu. Zostaniemy królami imperium!

Khemsa aż się zasapał, drżąc w jej objęciach jak osika. Na jego twarzy, szarej w blasku gwiazd, sperliły się wielkie krople potu.

– Kocham cię! – krzyknęła gwałtownie, mocno przywierając do niego i prawie dusząc go w niepohamowanym uścisku. – Uczynię z ciebie króla! Z miłości do ciebie zdradziłam swoją panią; z miłości do mnie zdradź swoich mistrzów! Czemu bać się Czarnych Wróżów? Zakochując się we mnie, już złamałeś jedno z ich praw! Złam pozostałe! Jesteś mocny jak oni!

Nawet człowiek z lodu nie ostałby się pod palącym żarem jej namiętności i furii. Z niezrozumiałym krzykiem przycisnął ją do siebie z całej siły i odchyliwszy do tyłu, zasypał jej oczy, twarz i usta namiętnymi pocałunkami.

– Zrobię tak! – rzekł głosem zduszonym od ciężaru uczuć. Zatoczył się jak pijany. – Sztuka, jakiej mnie nauczono, zapracuje na mnie, nie na moich mistrzów! Staniemy się władcami świata... tego świata...

– Chodź więc! – Wywinąwszy się miękko z jego objęć, schwyciła jego dłoń i powiodła ku kłapie w dachu. – Najpierw musimy się upewnić, że gubernator nie wymieni tych siedmiu Afghulich na Devi.

Dopóki nie zeszli po drabinie i dziewczyna nie zatrzymała się w komnacie poniżej, Khemsa poruszał się jak ogłuszony. Kerim Shah leżał nieruchomo na pościeli. Jego ramię spoczywało na twarzy, jakby miało osłaniać zamknięte oczy przed miękkim światłem

mosiężnej lampy. Dziewczyna pociągnęła Khemse za rękę i dłonią uczyniła szybki gest w poprzek swego gardła. Khemsa uniósł dłoń, lecz wtem wyraz jego twarzy zmienił się i cofnął ją.

– Jadłem z jego stołu – mruknął. – Ponadto on nie może nam przeszkodzić.

Poprowadził dziewczynę przez drzwi wychodzące na kręte schody. Kiedy ich ciche stąpienia umilkły całkowicie, Kerim Shah usiadł na posłaniu. Wytarł pot z czoła. Nie lękał się pchnięcia nożem, ale Khemsa bał się tak, jak człowiek boi się jadowitego gada.

– Ludzie spiskujący na dachach powinni pamiętać, by ściszyć głos – wymamrotał. – Ale jako że Khemsa zwrócił się przeciw swym mistrzom i jako że stanowił mój jedyny kontakt z nimi, już więcej nie mogę liczyć na ich pomoc. Odtąd rozgrywam tę partię po swojemu.

Wstał i podszedł szybko do stołu, wyjął trzymane u pasa pióro oraz pergamin i pospiesznie skreślił kilka jasnych, treściwych wierszy:

„Do Khosru Khana, gubernatora Secunderamu: Cimmeryjczyk Conan uprowadził Devi Yasminę do wioski Afghulich. To okazja, aby dostać ją w nasze ręce, tak jak król od dawna pragnie. Poślij niezwłocznie trzy tysiące jeźdźców. Wraz z lokalnymi przewodnikami spotkam się z nimi w dolinie Gurashahu”. I podpisał list imieniem, które bynajmniej nie brzmiało Kerim Shah.

Potem wyjął ze złotej klatki gołębia pocztowego, do którego nogi przywiązał pergamin zwinięty w małym cylindrze i zabezpieczony złotym drucikiem. Podszedł szybko do okna i podrzucił ptaka prosto w noc. Ten zachwiał się na trzepocących skrzydłach, wyrównał i zniknął niczym ulotny cień. Chwyciwszy za hełm, miecz i płaszcz, Kerim Shah pośpiesznie wyszedł z komnaty i dalej w dół po krętych schodach.

Budynki więzienne w Peshkhauri oddzielone były od reszty miasta wielkim murem, w którym umieszczono tylko jedno, okute żelazem i zwieńczone łukiem drzwi. Nad portalem płonęła jasnoczerwona latarnia, a przy drzwiach stał, czy też kuczał, żołnierz z włócznią i tarczą.

Żołnierz ten, wsparty na włóczni, ziewający od czasu do czasu, zerwał się nagle na równe nogi. Nie sądził, żeby się zdrzemnął, ale oto przed nim stał jakiś człowiek, którego nadejścia nie posłyszał. Człowiek ów nosił szatę z wielbłądziej wełny oraz zielony turban. W migoczącym świetle latarni jego rysy pozostawały zaciemnione, ale para błyszczących oczu jaśniała zaskakująco jaskrawą poświatą.

– Kto idzie? – zapytał żołnierz, unosząc włócznię. – Kim jesteś?

Nieznajomy wydał się niezmierny, choć czubek grotu sięgnął mu piersi. Jego spojrzenie ogarnęło żołnierza z niesamowitą siłą.

– Cóż jesteś zobowiązany czynić? – spytał przybyły dziwnym głosem.

– Strzec bramy! – odparł tamten gardłowo i machinalnie. Stał sztywno jak posąg, jego spojrzenie zaszklilo się z wolna.

– Kłamiesz! Zostałeś zobligowany do bycia mi posłusznym! Spojrzałeś w me oczy i twoja dusza nie należy już więcej do ciebie. Otwórz te drzwi!

Strażnik odwrócił się sztywno, z zastygłą twarzą, odjął od pasa wielki klucz, przekręcił go w potężnym zamku i rozwarł drzwi. Potem stanął na baczność. Jego niewidzące spojrzenie skierowane było w przód.

Z mroku wysunęła się kobieta i złożyła niecierpliwie dłoń na ramieniu hipnotyzera.

– Każ mu przyprowadzić konie, Khemsa – wyszeptała.

– Nie ma potrzeby – odrzekł Rakhshas. Podnosząc nieco głos, przemówił do gwardzisty: – Nie będę cię już więcej potrzebował. Zabij się!

Jak człowiek w transie wojownik wetknął włócznię w fundament muru i umieścił ostry grot na swym ciele, tuż poniżej żeber. Potem wolno, flegmatycznie oparł się na niej całym ciężarem, tak że przeszła jego korpus i wyszła między łopatkami. Ześlizgując się wzdłuż drzewca, zaległ nieruchomo, z włócznią sterczącą nad nim w całej okazałości, niczym jakaś straszliwa łodyga wyrastająca z jego pleców.

Dziewczyna wpatrywała się w niego z niezdrową fascynacją, dopóki Khemsa nie chwycił jej za rękę i nie powiódł przez bramę. Pochodnie oświetlały wąską przestrzeń pomiędzy murem zewnętrznym a niższym, wewnętrznym, w którym liczne portale drzwi umieszczone były w regularnych odstępach. W tym miejscu chodził kolejny wojownik i kiedy brama się otwarła, podszedł doń z wolna, tak pewny swej wiedzy o potędze więzienia, że dopóki Khemsa wraz z dziewczyną nie wyłonili się spod sklepienia, nie podejrzewał niczego. Wówczas było już za późno. Rakhshas nie tracił czasu na hipnozę, choć jego działania miały dla jego ukochanej posmak magii. Strażnik opuścił groźnie włócznię, otworzywszy usta do wszczęcia alarmu, który sprowadziłby włóczników czuwających w wartowni na jednym z końców alei. Khemsa błyskawicznie odbił broń lewą ręką, tak jak człowiek mógłby odbić słomkę, a jego prawa ręka mignęła tylko w przód i w tył, muskając łagodnie, zdało się, że w przelocie, szyję wojownika. I strażnik padł na twarz, nie wydawszy dźwięku, a jego głowa zakołysała się bezwładnie na złamanym karku.

Khemsa nie spojrział nawet na niego, tylko podszedł prosto do

jednych z drzwi i położył otwartą dłoń na masywnym spiżowym zamku. Wejście zadrżało i z rozdzierającym trzaskiem zapadło się do środka. Kiedy podążająca za Khemśą dziewczyna przechodziła przez nie, zobaczyła, że grube drewno tekowe zwisa rozbite w drzazgi, spiżowe rygle zostały wygięte i wyrwane z kieszonek, a wielkie zawiasy są połamane i powykrzywiane. Czterdziestu ludzi machających tysiãcfuntowym taranem nie zdruzgotałoby tej zapory dokładniej. Khemsa był upojony wolnością i wprawkami swej mocy, pławiąc się we własnej sile i prężąc muskuły, jak młody olbrzym niesiony dumą ze swych niezwykłych możliwości, ćwiczący mięśnie z niepotrzebnym zapalem.

Wyłamane drzwi przepuściły ich na mały dziedziniec, oświetlony latarniami. Naprzeciwko znajdowała się szeroka krata z żelaznych prętów. Widać było owłosioną dłoń, ściskającą jeden z owych prętów, a dalej za nimi, w mroku, błyszczały białka oczu.

Przez chwilę Khemsa stał w ciszy, zapatrzony w mrok, z którego te jaśniejące oczy odpowiadały mu spojrzeniem o palącej intensywności. Potem jego ręka powędrowała pod szatę i wyłoniła się ponownie, a na otwartej dłoni pojawiła się migocząca kupka skrzącego się pyłu. Nagle całą przestrzeń rozświetlił zielony płomień. Jego krótki blask ukazał z całą dokładnością postaci siedmiu mężczyzn stojących nieruchomo za kratą – wysokich, włochatych ludzi w poszarpanych góralskich strojach. Żaden nie przemówił, ale ich oczy płonęły strachem przed śmiercią, a owłosione dłonie zacisnęły się na prętach.

Ogień wygasł, ale poświata została; drżąca kula jasnej zieleni, która pulsowała i migotała na kamieniach bruku u stóp Khemsy. Górale wlepili weń szeroko otwarte oczy. Kula zafalowała i wydłużyła się, zmieniając w świetlisty zielonkawy dym wznoszący się spiralnie w

górze. Zawirował on i skręcił się jak wielki cienisty wąż, a potem rozszerzył i nabrzmiął w lśniących kłębach i zwojach. Rozrósł się w obłok przemieszczający się bezgłośnie ponad brukiem – wprost w stronę kraty. Mężczyźni za nią obserwowali go rozszerzonymi oczami; pręty zadrżały pod rozpaczliwym uściskiem ich dłoni. Obrośnięte usta rozwarły się, ale nie dobył się z nich żaden dźwięk. Zielona chmura ogarnęła pręty i zatarła ich widok; niczym mgła przesączyła się przez kratę i skryła górali za nią. Ze spowijających ich kłębów dobiegł zdławiony wdech, jak u człowieka zanurzonego niespodziewanie pod wodę. To było wszystko.

Khemsa dotknął ręki dziewczyny stojącej z otwartymi szeroko ze zdumienia ustami i oczami. Czując to, odwróciła się machinalnie i spojrzała wstecz przez ramię. Mgła już rzedniała; blisko prętów zauważyła parę obutych w sandały stóp, ułożonych palcami w górę. Przelotnie dostrzegła niewyraźne sylwetki siedmiu nieruchomych, leżących twarzą do ziemi ciał.

– A teraz po rumaka szybszego od najszybszego konia wyhodowanego kiedykolwiek w zwykłych stajniach – oznajmił Khemsa. – Będziemy w Afghulistanie przed świtem.

IV

SPOTKANIE NA PRZEŁĘCZY



Yasmina Devi nie potrafiła w pełni przypomnieć sobie szczegółów swego uprowadzenia. Zaskoczenie i jego gwałtowność ją oszołomiły; miała tylko nieskładne wspomnienie wiru zdarzeń – straszny uchwyt potężnego ramienia, płonące oczy porywacza i jego gorący oddech palący jej ciało. Skok przez okno na parapet; szaleńczy bieg wzdłuż blanków i po dachach, kiedy zmroził ją strach przed upadkiem; brawurowy zjazd po linie przywiązanej do zęba murów – zrobił to

niemalże w biegu, ze swą branką przewieszoną bezwładnie przez krzepkie ramię. Wszystko to stanowiło w umyśle Devi trudną do ogarnięcia plątaninę. W żywszych barwach pamiętała, jak wbiegł prędko w mrok pośród drzew, niosąc ją jak dziecko, i skoczył na siodło narowistego bhalkhańskiego ogiera, który parsknął i stanął dęba. A potem uczucie lotu oraz pędzące podkowy krzeszące skry ognia z krzemiennej drogi, podczas gdy koń przemykał po pagórkach.

Kiedy odzyskała jasność umysłu, jej pierwsze odczucie stanowił szalony gniew i wstyd. Była przerażona. Władcy złotych królestw na południe od Himelianów byli uważani za niewiele mniejszych od bogów; a ona była Devi Vendhyi! Strach zbladł wobec królewskiego gniewu. Krzyknęła gwałtownie i zaczęła się szamotać. Ona, Yasmina, wieziona na łąku siodła wodza górali jak zwykła ladacznica z targu! Ten zaś, czując, że się wyrywa, tylko nieco mocniej napiął potężne mięśnie i dziewczyna po raz pierwszy w życiu doświadczyła przymusu narzuconego siłą fizyczną. Jego ramiona otaczały jej smukłe członki niczym żelazo. Spojrzał w dół na nią i uśmiechnął się bardzo szeroko. Jego zęby błysnęły biało w świetle gwiazd. Cugle spoczywały na powiewającej grzywie ogiera, a każdy mięsień i ścięgno wielkiego zwierzęcia pozostawały napięte, kiedy mknął po usianym gładzi szlaku. Conan wszak spoczywał w siodle z łatwością, prawie beztrąsko, jadąc niczym centaur.

– Ty górski psie! – wydyszała Devi, dygocząc wskutek wstydu, gniewu i poczucia bezsilności. – Ważysz się... Ty się *ważysz!* Przyjdzie ci zapłacić za to życiem! Dokąd mnie zabierasz?

– Do wiosek Afghulistanu – odrzekł, rzucając okiem przez ramię. Za nimi, za pagórkami, które przebyli, na murach fortecy kołysały się ognie pochodni. Dojrzał też błysk światła, który oznaczał, iż wielka

brama została otwarta. Wówczas się roześmiał, hucząc gromko, gardłowo, niczym górski wiatr.

– Gubernator posłał za nami jeźdźców – rechotał. – Na Croma, powiedziemy go na wesołą gonitwę! Jak myślisz, Devi, zapłacą siedmioma żywotami za kshatriyaską księżniczkę?

– Wyślą armię, by powiesić ciebie i twój diabelski pomiot – zapewniła go z przekonaniem.

Zaśmiał się donośnie i przesunął ją na wygodniejszą pozycję w swych ramionach. Ona jednak wzięła to za nową zniewagę i wznowiła próżną szamotaninę, dopóki nie dostrzegła, że jej wysiłki tylko go bawią. Ponadto jej powiewający na wietrze lekki jedwabny strój za sprawą szarpaniny znalazł się w skandalicznym nieładzie. Doszła do wniosku, że pełna pogardy uległość przystoi bardziej jej godności, i pogrążyła się w chmurnej ciszy.



Poczuła nawet, że jej gniew blaknie zastąpiony przez pełen podziwu lęk, kiedy wjechali w wylot przełęczy, zniżający się jak czarna paszcza studni pośród jeszcze czarniejszych ścian, które wznosiły się jak olbrzymie forteczne mury chcące zagrozić im drogę. Wyglądało to, jakby ogromny nóż wyciął Zhaibar ze ścian litej skały. Po obu stronach niezwykle strome stoki wznosiły się na wysokość

tysięcy stóp, a gardziel przełęcz była mroczna niczym nienawiść. Nawet Conan nie widział tu dość wyraźnie, lecz znał drogę, również nocą, a wiedząc, iż w świetle gwiazd gnają za nim zbrojni, nie wstrzymywał pędu konia. Wielkie bydlę nie okazywało jeszcze zmęczenia. Śmignęli jak błyskawica wzdłuż drogi biegnącej dnem doliny, wspięli się na stok, przemknęli po niskiej grani, gdzie na nieostrożnych czyhały po obu stronach zdradliwe łupki, i wyjechali na szlak wiodący nawisem ściany po lewej stronie.

W takich ciemnościach nawet Conan nie był w stanie wypatrzeć zasadzki zastawionej przez plemię zhaibarskich górali. Mijali właśnie czarny wylot jednego z wąwozów wychodzących na przełęcz, kiedy w powietrzu świsnął oszczep i z głuchym tąpnięciem dosięgnął celu tuż za nadwierzoną łopatką ogiera. Wielki zwierz oddał ostatnie tchnienie z napawającym drzeniem parsknięciem, potknął się w pół kroku i zarył w biegu w ziemię. Conan dostrzegł jednak lot i cios oszczepu i zadziałał z szybkością sprężynującej stali.

Kiedy koń padał, zeskoczył z niego gładko, trzymając dziewczynę wysoko, by uchronić ją przed uderzeniem o głazy. Wylądował na nogach jak kot, wepchnął brankę w skalną rozpadlinę i wyciągnąwszy nóż, odwrócił się w stronę otaczającego mroku.

Yasmina, skonsternowana nagłością zdarzeń, nie całkiem pewna, co właśnie zaszło, dojrzała niewyraźną postać wyskakującą z ciemności, bose stopy klapiące miękko na skale i postrzępiony strój szeleszczący przy pospiesznym ruchu. Dostrzegła migoczącą stal, posłyszała błyskawiczny cios, zasłonę i przeciwnatarcie, a także chrzęst kości, kiedy kindżał Conana rozszczepił czaszkę tamtego.

Wódz Afghulich odskoczył i przyczał się za skalną osłoną. W mroku nocy przemieszczali się jacyś ludzie, a stentorowy głos ryknął:

– Co jest, psy? Tchórzycie? Dalej, przekleńci, brać ich!

Conan drgnął, zapatrzył się uważnie w mrok i podniósł głos:

– Yar Afzal! To ty?

Rozbrzmiało pełne zdumienia przekleństwo i ten sam głos zawołał nieufnie:

– Conan? To ty, Conanie?

– Tak jest! – zaśmiał się Cimmeryjczyk. – Wystąp naprzód, stary wiarusie. Zaszlachtowałem jednego z twych ludzi.

Wśród skał nastąpiło poruszenie, mignęło jakieś przyćmione światło, a potem pojawił się płomień i podskakując, zmierzał ku niemu. Wraz z jego zbliżaniem w ciemności poczęło rysować się brodate, srogie oblicze. Człowiek podtrzymujący ogień wznosił go wysoko, wysunął w przód i wyciągnął szyję, taksując wzrokiem oświetlone głązy. W drugiej dłoni zaciskał wielki, zakrzywiony talwar. Conan wyszedł do przodu, chowając nóż do pochwy, a tamten ryknął na powitanie:

– Tak jest, to Conan! Wyjdźcie z za skał, psy! To Conan!

W kręgu migoczącego światła stłoczyli się pozostali – dzicy, obszarpani, zarośnięci ludzie, z oczami jak u wilków i długimi ostrzami w garści. Nie dostrzegli Yasminy, gdyż zasłaniało ją potężne ciało Conana. Zerkając jednak ze swego ukrycia, po raz pierwszy tej nocy doświadczyła lodowatego strachu. Ci mężczyźni byli bardziej niczym wilki aniżeli istoty ludzkie.

– Na co polujesz nocą w Zhaibarze, Yarze Afzalu? – zapytał Conan masywnego wodza, który uśmiechnął się szeroko jak brodaty ghul.

– Kto wie, co może się pojawić na przełęczy po zmroku? My, Wazuli, jesteśmy nocnymi łowcami. A jak jest z tobą, Conanie?

– Mam więźnia – odrzekł Cimmeryjczyk i odsunawszy się na bok, odsłonił skuloną ze strachu dziewczynę. Sięgając długim ramieniem

w rozpadlinę, wyciągnął ją drżącą naprzód. Jej władcza postawa zniknęła. Przypatrywała się bojaźliwie otaczającemu ją pierścieniowi zarośniętych twarzy i w duchu dziękowała za silne ramię, które ściskało ją zaborczo. Wysunięto ku niej pochodnię i po kręgu rozszedł się głośny syk gwałtownie nabieranego powietrza.

– Jest moim jeńcem – ostrzegł Conan, rzuciwszy jednoznacznie okiem na stopy człowieka, którego zabił, ledwie widoczne w kręgu światła. – Miałem zabrać ją do Afghulistanu, ale teraz zabiliście mego konia, a Kshatriyasi są tuż za mną.

– Chodź z nami do mej wioski – podsunął Yar Afzal. – Mamy konie ukryte w wąwozie. W ciemności nie będą w stanie pójść naszym śladem. To mówisz, że są tuż za wami?

– Tak blisko, że słyszę już brzęk kopyt na krzemieniu – odparł Conan ponuro.

Natychmiast nastąpiło poruszenie; pochodnię wygaszono, a obszarpane sylwetki rozplynęły się w ciemności niczym zjawy. Conan zagarnął Devi w ramiona, a ona się nie opierała. Skaliste podłoże raniło jej kruche stopy w miękkich pantoflach; ona sama poczuła się bardzo mała i bezbronna w nieokrzesej, pierwotnej czerni pośród tych olbrzymich, okrytych mrokiem poszarpanych grani.

Wyczuwając jej drżenie na wietrze jęczącym w wąskich skalnych przejściach, Conan zerwał postrzępiony płaszcz z ramion jego właściciela i zawinął go wokół niej. Syknął jej także do ucha, nakazując, by nie wydawała żadnych dźwięków. Nie dosłyszała odległego brzęku podkutych kopyt, który ostrzegł wyczulony słuch górali, lecz tak czy owak była zbyt przestraszona, by nie usłuchać.

Nie widziała niczego poza kilkoma słabo świecącymi gwiazdami wysoko w górze, ale po gęstniejącym mroku poznała, kiedy wkroczyli

w wylot wąwozu. Wokół nich pojawiło się jakieś zamieszanie, niespokojne przestępowanie koni. Jeszcze kilka wymamrotanych słów i Conan wsiadł na konia zabitego człowieka, unosząc dziewczynę i sadzając ją przed sobą. Cała grupa wymknęła się z mrocznego wąwozu niczym duchy, choć ze stukotem kopyt. Na szlaku zostawili nieżywego konia i martwego człowieka, odnalezionych niecałe pół godziny później przez jeźdźców z fortecy, którzy rozpoznali w trupie Wazulego i stosownie do tego wyciągnęli własne wnioski.

Yasmina, otulona ciepło w ramionach swego porywacza, wbrew sobie stawała się coraz bardziej senna. Ruch konia, mimo że nierówny, w górę i w dół, posiadał jednakowoż pewien rytm, który w połączeniu ze znużeniem i emocjonalnym wyczerpaniem niejako narzucił jej sen. Zatraciła poczucie czasu i kierunku. Przemieszczali się w cichych, gęstych ciemnościach, w których czasami niewyraźnie dostrzegała olbrzymie ściany wznoszące się niczym czarne fortece lub wielkie, postrzępione granie rozpychające się pomiędzy gwiazdami. Niekiedy wyczuwała brzmiające echem głębie pod nimi bądź czuła wiatr owiewający ją na zawrotnych wysokościach. Stopniowo rozmyły się one w nieodpartej ospałości, w której brzęk kopyt i skrzypienie siodła stały się nic nieznaczącymi dźwiękami we śnie.

Niejasno uświadamiała sobie, iż ruch ustał, a ktoś zсадził ją z konia i przeniósł kilka kroków. Potem położono ją na czymś miękkim i szeleszczącym, a także coś – może poskładany płaszcz – wciśnięto jej pod głowę. Płaszcz, którym była otulona, został dokładnie zawinięty wokół niej. Posłyszała śmiech Yara Afzala.

– Rzadkie trofeum, Conanie. Odpowiednia towarzyszka dla wodza Afgulich.

– Nie dla mnie – zagrzemiał Cimmeryjczyk w odpowiedzi. – Za tę

dziewkę kupię życie mych siedmiu naczelników, niech piorun porwie ich dusze!

To ostatnie, co dosłyszała, zanurzając się w pozbawiony marzeń sen.

Spała, podczas gdy zbrojni przejeżdżali mroczne wzgórza, a los królestw zawisł na włosku. Po ciemnych wąwozach i wąskich przesmykach niósł się tętent galopujących koni, a światło gwiazd migotało na hełmach i zakrzywionych ostrzach, aż ghulowate sylwetki nawiedzające postrzępione granie zapatrzyły się z parowów i zza głazów w ciemność, dziwiąc się, co też tam się dzieje.

Gdy końskie kopyta śmigały wokół, grupa takich postaci siedziała na wychudłych wierzchowcach u ziejącego czernią wylotu wąwozu. Ich przywódca, człowiek dobrze zbudowany, w hełmie i szamerowanym złotogłowiem płaszczu, wznosił ostrzegawczo rękę, dopóki jeźdźcy nie przejechali. Później roześmiał się cicho.

– Musieli zgubić ślad! Albo też stwierdzili, że Conan dotarł już do wiosek Afgulich. Wielu jeźdźców pochłonie odymienie tego ula. O brzasku szwadrony będą wjeżdżać na Zhaibar.

– Jeśli pośród wzgórz będzie walka, będą też łupy – wymamrotał w dialekcie Irakzaich jakiś głos za jego plecami.

– Będą łupy – odrzekł człowiek w hełmie – lecz najpierw naszym zadaniem jest dotrzeć do doliny Gurashah i oczekiwać na jeźdźców, którzy pogalopują ku południu z Secunderamu, nim nastanie dzień.

Ściągnął wodze i wyjechał z przesmyku. Jego ludzie ustawili się za nim – trzydzieści obszarpanych zjaw w blasku gwiazd.



V

CZARNY OGIER



Słońce było już naprawdę wysoko, kiedy Yasmina się zbudziła. Nie poruszała się, tylko gapiła pustym wzrokiem, rozmyślając, gdzie się znajduje. Przebudziła się w pełni świadoma tego, co zaszło. Jej gibkie członki zeszywniały od długiej jazdy, a jędrne ciało zdawało się nadal czuć dotyk muskularnego ramienia, które uniosło ją tak daleko.

Spoczywała na owczej skórze okrywającej barłóg z liści na mocno ubitym klepisku. Pod głową miała złożoną skórę, a sama zawinięta była w obszarpany płaszcz. Przebywała w przestronnej izbie, której ściany zostały zbudowane topornie, lecz solidnie z nieociosanych skał pokrytych mułem suszonym na słońcu. Ciężkie dźwigary podpirały tego samego typu strop. Widniała w nim kłapa, do której wiodła

drabina. W grubych ścianach nie było okien, tylko wąskie otwory strzelnicze. Były też jedne drzwi; porządna spiżowa robota, którą pewnie zagrabiono z jakiejś vendhyańskiej wieży granicznej. W ścianie naprzeciw nich znajdował się szeroki otwór bez drzwi, lecz z kilkoma mocnymi, drewnianymi prętami. Za nimi Yasmina ujrzała wspaniałego czarnego ogiera przeżuwającego przesuszoną trawę. Budynek był fortem, miejscem zamieszkania oraz stajnią w jednym.

Przy drugim końcu pomieszczenia jakaś dziewczyna w serdaku i szerokich spodniach kobiet gór przykucnęła przy małym ogniu, przyrządzając paski mięsa na żelaznym ruszcie spoczywającym na kamiennych blokach. Kilka stóp nad podłogą znajdowała się osmalona szczelina i część dymu uchodziła tamtędy. Reszta rozpływała się niebieskimi smugami po pomieszczeniu.

Dziewczyna z gór rzuciła okiem przez ramię na Yasmine, ukazując wyraziste, atrakcyjne oblicze, a potem kontynuowała pracę. Na zewnątrz zahuczały jakieś głosy. Wkrótce drzwi otwarte zostały kopniakiem i do środka wkroczył Conan. Blask porannego słońca za nim sprawił, że wyglądał na większego niż przedtem, i Yasmina zauważyła kilka szczegółów, które umknęły jej poprzedniej nocy. Jego ubiór był czysty i nieobszarpany. Szeroki pas bakhariocki, u którego w zdobnej pochwie zwisał jego nóż, równie dobrze pasowałby do szat księcia, a pod koszulą błysnęła znakomita turańska kolczuga.

– Twój więzień się zbudził, Conanie – oznajmiła Wazulka, a on odchrząknął, podszedł zdecydowanym krokiem do ogniska i zgarnął paski baraniny do kamiennej miski. Kucająca dziewczyna roześmiała się z niego, rzuciwszy jakiś ostry żart, a on uśmiechnął się, wilczo szczerząc zęby, i zahaczając stopą o pośladek, zachwiał nią i przewrócił na podłogę. Wazulka zdawała się czerpać wiele radości z

tej odrobiny szorstkiej zabawy, lecz Conan nie zwracał już na nią uwagi. Wyjąwszy skądś wielką pajdę chleba oraz miedziany dzban z winem, zaniósł całą porcję Yasminie, która powstała z barłogu i obserwowała go niepewnie.

– To zgrzebne jedzenie dla Devi, dziewczyno, ale u nas najlepsze – mruknął. – Przynajmniej wypełni ci brzuch.

Umieścił tacę na podłodze, a ona nagle uświadomiła sobie swój wilczy głód. Nie wyraziwszy żadnej opinii, usiadła ze skrzyżowanymi nogami na klepisku, postawiła miskę na podolku i zaczęła jeść, korzystając z palców stanowiących jedyne dostępne jej obecnie sztuce. Ostatecznie zdolność przystosowania się stanowi jeden ze sprawdzianów dla prawdziwej arystokracji. Zahaczywszy kciuki za pasem, Conan patrzył na nią z góry. Nigdy nie siadał ze skrzyżowanymi nogami, według wschodniej mody.

– Gdzie jestem? – spytała raptownie.

– W chacie Yara Afzala, wodza khurumskich Wazulich – odrzekł. – Afghulistan leży dobrych parę mil dalej na zachód. Ukryjemy się tu na krótki czas. Kshatriyasi przeczesują góry, szukając cię. Kilka ich drużyn zostało już wyciętych przez górskie plemiona.

– Co zamierzasz uczynić? – spytała ponownie.

– Zatrzymać cię, póki Chunder Shan nie zgodzi się prehandlować moich siedmiu krowokradów – rzucił gardłowym głosem. – Kobiety Wazulich wyciskają atrament z liści *shoki* i za chwilę będziesz mogła napisać list do gubernatora.

Kiedy pomyślała zirytowana, jak jej plany zwróciły się przeciw niej, czyniąc ją jeńcem tego samego człowieka, którego chciała wplątać w sidła swej władzy, wstrząsnęło nią tchnienie królewskiego gniewu. Zrzuciła miskę z resztkami posiłku i preżąc się ze złości, zerwała na

równe nogi,

– Nie napiszę listu! Jeśli nie zabierzesz mnie z powrotem, powieszają twych siedmiu ludzi, a oprócz tego tysiąc następnych!

Wazulska dziewczyna roześmiała się kpiąco. Conan spojrział groźnie, a wówczas otwarły się drzwi i do środka butnie wkroczył Yar Afzal. Wódz Wazulich był tak wysoki jak Cimmeryjczyk i bardziej masywny, ale przy zwartej budowie Conana wyglądał na tłustego i powolnego. Skubnął upstrzoną rudymi plamami brodę i zapatrzył się znacząco na Wazulkę, a dziewczka wstała i bez zwłoki wyszła szybkim krokiem. Potem Yar Afzal odwrócił się do swego gościa:

– Ten przeklęty lud szemrze, Conanie – oznajmił. – Chcą, żebym cię zamordował i wziął dziewczynę dla okupu. Mówią, że każdy może stwierdzić po jej stroju, że to nobilka. Pytają, czemu afghulskie psy mają odnieść z niej korzyść, skoro to oni podejmują ryzyko jej pilnowania.

– Pożycz mi konia – powiedział Cimmeryjczyk. – Zabiorę ją i odjadę.

– Pfff! – prychnął Yar Afzal. – Sądzisz, że nie potrafię sobie poradzić z własnymi ludźmi? Będą tańczyć w samych koszulach, jeśli mi się sprzeciwią! Nie kochają cię, tak jak każdego cudzoziemca, ale niegdyś ocaliłeś mi życie, czego ja nie zapomnę. Ale teraz wyjdźmy, Conanie; powrócił zwiadowca.



Cimmeryczyk poprawił pas i podążył za wodzem na zewnątrz. Drzwi zamknęły się za nimi, a Yasmina poczęła zerkać przez wąską strzelnicę. Ujrzała płaski, pusty obszar przed chatą. Po jego przeciwnej stronie znajdowało się skupisko domostw z gliny i

kamieni. Dostrzegła nagie dzieci bawiące się pośród głazów i szczupłe, wyprostowane kobiety ze wzgórz, zajmujące się swymi pracami.

Wprost przed chatą wodza siedział w kucki krąg zwróconych ku drzwiom włóchatych, obszarpanych mężczyzn. Conan i Yar Afzal stali o kilka kroków od drzwi, a między nimi a pierścieniem wojowników spoczywał ze skrzyżowanymi nogami kolejny mężczyzna. Zwracał się on do wodza w chrapliwej mowie Wazulich, którą Yasmina mogła ledwie zrozumieć, chociaż w ramach królewskiego wykształcenia uczyła się języków Iranistanu oraz pokrewnej mowy Ghulistanu.

– Rozmawiałem z Dagozaiem, który ostatniej nocy widział jeźdźców – oznajmił zwiadowca. – Przyczaił się w pobliżu, kiedy dotarli do miejsca, gdzie napadliśmy na szlachetnego Conana. Tamten podsłuchiwał ich mowę. Był z nimi Chunder Shan. Znaleźli martwego konia i jeden z ich ludzi rozpoznał go jako należącego do Conana. Potem ujrzeli człowieka, którego Conan zabił, i rozpoznali w nim Wazulego. Zdało się im więc, że Conan został zabity, a dziewczynę zabrali Wazuli, zatem porzucili zamiar podążania do Afghulistanu. Nie wiedzieli jednak, z której wioski wywodził się zabity mężczyzna, a my nie pozostawiliśmy śladów, za którymi Kshatriyasi mogliby pójść. Pojechali więc do najbliższej wioski Wazulich, to jest do wioski Jugra, i spalili ją, zabijając wielu mieszkańców. Lecz ludzie Khojura napotkali ich w ciemnościach, zabili kilku i ranili gubernatora. Tak więc ci, co przetrwali, wycofali się z Zhaibaru w mroku przed świtem. Jednak przed wschodem słońca wrócili z posiłkami i przez cały ranek na wzgórzach toczą się większe i mniejsze potyczki. Mówi się, że postawiono w gotowości wielką armię dla oczyszczenia wzgórz

dookoła Zhaibaru. Plemiona już ostrzą noże i układają zasadzki dla każdej przełęczy odtąd aż po dolinę Gurashah. Ponadto na wzgórze powrócił Kerim Shah.

Dookoła kręgu przebiegł pomruk. Na dźwięk imienia człowieka, którego nie darzyła zaufaniem, Yasmina przybliżyła się ku strzelnicy.

– Dokąd poszedł? – spytał Yar Afzal.

– Dagozai nie wiedział. Wraz z nim było trzydziestu Irakzaich z niżej położonych wiosek. Wjechali między wzgórze i zniknęli.

– Ci Irakzai to szakale podążający za lwem dla pozostawianych przezeń okruchów – warknął Yar Afzal. – Zagarniają monety, które Kerim Shah rozrzuca wśród plemion przygranicznych, by kupować ludzi jak konie. Nie lubię go, choć jest może naszym pobratymcem z Iranistanu.

– Nie jest nawet nim – stwierdził Conan. – Znam go od dawna. Jest Hyrkańczykiem, szpiegiem Yezdigerda. Jeśli go złapię, rozwieszę jego skórę na tamaryszku.

– Ale Kshatriyasi! – wszczęli zgiełk mężczyźni siedzący w półkołu. – Mamy siedzieć na tyłku, dopóki nas nie wykurzą? W końcu dowiedzą się, w której wiosce Wazulich przetrzymywana jest dziewczka! Zhaibari nas nie kochają; pomogą Kshatriyasom nas wytropić.

– Niech przybędą – burknął Yar Afzal. – Jesteśmy w stanie utrzymać przesmyki, stając nawet przeciw armii.

Jeden z mężczyzn skoczył na równe nogi i pogroził Conanowi pięścią.

– Mamy podjąć całe ryzyko, podczas gdy on zgarnie nagrodę! – zawył. – Mamy toczyć jego boje za niego?

Jednym krokiem Conan doskoczył do niego i schylił się nieco, by

spojrzeć wprost w zarośniętą twarz. Cimmeryjczyk nie wyciągał kindżału, lecz lewą dłonią trzymał jego pochwę, wystawiając sugestywnie rękojeść do przodu.

– Nie proszę nikogo, by toczył moje boje za mnie – powiedział cicho. – Wyjmij swe ostrze, jeśli się odważysz, ujadający psie!

Wazuli wycofał się, prychnął jak kot.

– Tylko waż się mnie tknąć, a tych pięćdziesięciu ludzi cię rozedrze!
– zaskrzeczał.

– Co!?! – ryknął Yar Afzal. Jego twarz spurpurowiała od gniewu, podkreśnione wąsy zjeżyły się, a brzuch nadał od wściekłości. – Czy ty jesteś wodzem Khurumu? Wazuli dostają rozkazy od Yara Afzala czy od wszawego kundla?

Tamten skulił się przed niezwyciężonym wodzem, który dopadł go szybko, chwycił za gardło i dusił, aż twarz mu poczerniała. Wówczas wódz cisnął mężczyzną z furią o ziemię i stanął nad nim z talwarem w ręku.

– Czy jeszcze ktoś podważa mą władzę? – zaryczał, a jego wojownicy posępnie opuścili oczy, gdy wojowniczym spojrzeniem omiatał półkole. Yar Afzal warknął pogardliwie i schował broń do pochwy gestem, który stanowił najwyższą obrazę. Potem z całą nagromadzoną żądzą mordy potraktował obalonego wicherzyciela kopniakiem, który dobył skowyt z ust ofiary.

– Idź w głąb doliny do strażników na szczytach i zapytaj, czy widzieli cokolwiek – rozkazał wódz, a mężczyzna poszedł, trzęsąc się ze strachu i zgrzytając zębami z wściekłości.

Yar Afzal usadowił się ciężko na kamieniu, powarkując pod nosem. Conan stał obok niego na szeroko rozstawionych nogach, z kciukami za pasem, obserwując zgromadzonych wojowników zwężonymi

oczami. Wpatrywali się w niego ponuro, nie wążąc się stawić czoła furii Yara Afzala, lecz nienawidząc obcego tak, jak tylko górale nienawidzić potrafią.

– Teraz mnie posłuchajcie, wy, synowie bezpańskich psów, bo powiem wam, co szlachetny Conan i ja zaplanowaliśmy, by okpić Kshatriyasów! – Huczący, niski jak u bawołu głos Yara Afzala podążał za upokorzonym wojownikiem, kiedy ten chyłkiem oddalał się od zgromadzenia.

Minął on skupisko chat, gdzie kobiety, które oglądały jego porażkę, wyśmiewały go i obrzucały kąśliwymi uwagami. Następnie pospieszył szlakiem, jaki wił się pośród skalnych występów i skał ku początkowi doliny.

Właśnie wziął pierwszy zakręt, który zasłonił go przed widokiem z wioski, gdy nagle się zatrzymał, gapiąc się głupawo. Nie wierzył, że to możliwe, by obcy zdołał wkroczyć do doliny Khurum, pozostając niewykryty przez sokolookich obserwatorów wzdłuż szczytów, jednakże jakiś człowiek siedział na niskim skalnym występie przy ścieżce – człowiek w szacie z wielbłądziej wełny i w zielonym turbanie.

Usta Wazulego rozwarły się do krzyku, a jego dłoń skoczyła do rękojeści noża. Niemniej w tym samym momencie jego oczy napotkały wzrok obcego i krzyk zamarł mu w gardle, a dłoń zawisła bezwładnie. Stał jak posąg, jego oczy stały się szkliste i puste.

Na parę chwil zamarli tak w bezruchu. Potem człowiek na występie narysował palcem wskazującym w pyle na skale pewien tajemny znak. Wazuli nie dostrzegł, aby tamten umieścił cokolwiek w obrębie symbolu, lecz wkrótce coś tam zajaśniało – okrągła, lśniąca czarna kula, która wyglądała jak wypolerowany jadeit. Człowiek w zielonym

turbanie podniósł ją i rzucił Wazulemu, który złapał ją machinalnie.

– Zanieś ją Yarowi Afzalowi – rzekł obcy, a Wazuli odwrócił się jak marionetka i poszedł ścieżką z powrotem, trzymając czarny jadeit w wyciągniętej ręce. Kiedy mijał chaty, nawet nie odwrócił głowy na ponowne drwiny kobiet. Zdawał się ich nie słyszeć.

Człowiek na występie patrzył w ślad za nim z tajemniczym uśmiechem. Zza krawędzi skały wyłoniła się głowa dziewczyny, która spojrzała na siedzącego z podziwem i odrobiną strachu, którego nie było w niej poprzedniej nocy.

– Dlaczego tak zrobiłeś? – zapytała.

Pieszczotliwie przebiegł ręką po jej ciemnych puklach.

– Wciąż jeszcze jesteś tak oszołomiona lotem na *koniu-z-powietrza*, że wątpisz w moją mądrość? – zaśmiał się. – Póki żyć będzie Yar Afzal, Conan pozostanie bezpieczny wśród wazulskich wojowników. Nawet mnie łatwiej przyjdzie złapać Cimmeryjczyka, gdy będzie uciekał z dziewczyną sam, aniżeli usiłować zabić go i zabrać ją spośród nich. Nie trzeba czarownika, żeby przewidzieć, co zrobią Wazuli i co uczyni Conan, kiedy moja ofiara wręczy kulę Yezuda wodzowi Khurumu.

W tym samym czasie stojący przed chatą Yar Afzal przerwał toczoną tyradę w pół słowa, zaskoczony i zirytowany widokiem człowieka, którego posłał w górę doliny, a który właśnie przepychał się przez tłok.

– Kazałem ci iść do obserwatorów! – ryknął wódz gardłowo. – Nie miałeś dość czasu, żeby już od nich wracać!

Tamten nic nie odpowiedział; stał sztywno jak pień, wpatrując się pusto w twarz wodza. Dłoń dzierżąca jadeitową kulę rozwarła się. Conan, patrzący Yarowi Afzalowi przez ramię, wymamrotał coś i

wyciągnął rękę, by odsunąć ramię wodza, lecz kiedy to czynił, ten, w napadzie gniewu, uderzył stojącego przed nim człowieka i powalił go niczym wołu. Gdy tamten upadał, jadeitowa kula potoczyła się pod nogi Yara Afzala, a wódz, zdający się dostrzegać ów przedmiot po raz pierwszy, schylił się i ją podniósł. Ludzie stojący dookoła i patrzący w osłupieniu na leżącego bez czucia towarzysza, zobaczyli, jak ich wódz pochyla się, ale nie dojrzeli, co podniósł z ziemi.

Yar Afzal wyprostował się, rzucił okiem na jadeit i uczynił ruch, jakby chciał wsunąć go za pas.

– Zanieście tego głupca do jego chaty – warknął. – Wygląda, jakby zażywał lotos. Patrzył na mnie pustym wzrokiem. Ja... *Aie!*

W prawej ręce, zmierzającej w stronę pasa, wyczuł nagle ruch; ruch, gdzie go być nie powinno. Jego głos ucichł, a on przystanął, wpatrując się w pustkę; wewnątrz zaciśniętej dłoni poczuł drżenie *zmiany*, jakiegoś *ruchu*, jakiegoś *życia*. Pomiedzy palcami nie trzymał już gładkiej, lśniącej kuli. Nie odważył się spojrzeć; język przywarł mu do podniebienia i nie był w stanie otworzyć dłoni. Zdziwieni wojownicy dostrzegli, iż oczy Yara Afzala rozszerzają się, a krew odpływa mu z twarzy. Wtem z jego zarośniętych ust buchnął głęboki ryk cierpienia, a on sam przechylił się i padł jak rażony gromem z prawą ręką wyrzuconą przed siebie. Zaległ twarzą do ziemi, a spomiedzy rozwartych palców wypętlął pajak – szkaradny, czarny potwór o włochatych nogach, którego korpus lśnił jak czarny jadeit. Mężczyźni wokół wrzasnęli i cofnęli się pospiesznie, a w tym czasie stwór ów umknął do szczeliny w skale i zniknął.

Wojownicy spięli się nagle, rozglądając dziko, a ponad zgiełk wzniósł się czyjś głos – niosący się z dala rozkazujący głos, który dobiegł nie wiadomo skąd. Potem wszyscy z zebranych tam ludzi – ci,

którzy przeżyli – zaprzeczali, że on krzyczał, ale każdy to usłyszał.

– Yar Afzal nie żyje! Zabić obcokrajowca!

Ten okrzyk zebrał ich rozchwiane myśli w jedność.

Zwątpienie, dezorientacja i strach zniknęły w narastającej pośród zamieszania żądzy krwi. Kiedy górale przyjęli natychmiast podsuniętą im sugestię, niebiosą rozdarł wściekły wrzask. Ruszyli na złamanie karku przez otwartą przestrzeń, poły ich płaszczy trzepotały, oczy płonęły, a noże wzniosły się wysoko.

Działania Conana były równie szybkie jak ich. Kiedy zabrzmiał okrzyk, skoczył do drzwi chaty. Jednak górale mieli do niego bliżej niż on do drzwi, więc z jedną nogą na progu musiał odwrócić się i sparować cios długiego na jard kindżału. Rozpłatał czaszkę jego właściciela, zrobił unik przed kolejnym przelatującym nożem i również jego właścicielowi wypruł flaki. Lewą ręką powalił innego, a następnemu wbił ją w brzuch i odchyliwszy się w tył, naparł na zamknięte drzwi z całą mocą swych ramion. Siekące ostrza odrąbywały wióry z ościeżnicy wokół jego uszu, lecz drzwi rozwarły się pod uderzeniem jego ramion, i potykając się, wycofał się tyłem do pomieszczenia. Brodaty góral, który rzucił się z całą furią za odskakującym Conanem, przekroczył próg i wpadł głową przez drzwi. Cimmeryjczyk pochylił się, chwycił za luźno wiszącą część jego stroju i wciągnął go, oczyszczając przejście. Następnie zatrzasnął drzwi wprost przed nosem nacierających na nie ludzi. Pod wpływem tego uderzenia chrupnęły kości, a w następnej chwili Conan zasunął z hukiem rygle na miejsce i okręcił się w desperackim pośpiechu, by wyjść na spotkanie człowiekowi, który zerwał się z podłogi i rzucił do działania niczym szaleniec.

Yasmina skuliła się w kącie, patrząc z przerażeniem na obu

mężczyzn toczących walkę w pomieszczeniu, niekiedy prawie ją traktujących. Zamkniętą przestrzeń wypełnił błysk i szcęk ich ostrzy, a na zewnątrz tłum hałasował jak sfora wilków, ogłuszająco siekąc spiżowe drzwi kindzałami i ciskając w nie ogromnymi skalnymi odłamkami. Ktoś przytargał pień drzewa i drzwiami zaczęły wstrząsać grzmiące natarcia. Dziewczyna zasłoniła uszy, przypatrując się temu błędnym wzrokiem. Przemoc i furia w środku, zabójcze szaleństwo na zewnątrz. Ogier w zagrodzie rżał i stawał dęba, tłukąc nogami o ściany. Obrócił się i wierzgnął kopytami przez pręty, akurat gdy góral cofający się przed morderczymi zamachami Conana popełnił błąd i wsparł się o nie plecami. Jego kręgosłup trzasnął w trzech miejscach jak spróchniała gałąź, a on sam został rzucony głową naprzód wprost w Cimmeryjczyka, obalając go na plecy, tak że obaj huknęli o ubitą podłogę. Yasmina wykrzyknęła i ruszyła do przodu; jej osłepionym oczom zdało się, iż obaj zginęli. Dotarła do nich, akurat gdy Conan odrzucił trupa na bok i powstał. Złapała go za rękę, dygocząc od stóp do głów.

– Och, ty żyjesz! Myślałam... Myślałam, że jesteś martwy!

Omiótł ją szybko rzuconym z góry spojrzeniem, jej bladą, uniesioną ku niemu twarz i szeroko rozwarte ciemne oczy.

– Czemu drżysz? – zapytał. – Czemu miałabyś dbać o to, czy żyję, czy nie?

Powróciły jej resztki opanowania. Odsunęła się, podejmując raczej żalostną próbę odgrywania Devi.

– Jesteś lepszym towarzystwem od tych wilków wyjących na zewnątrz – odparła, wskazując na drzwi, których kamienna ościeżnica zaczynała się rozpadać.

– Długo się nie utrzymają – mruknął wódz Afghulich, potem się

odwrócił i podszedł szybko do zagrody ogiera.

Yasmina zacisnęła pięści i wstrzymała oddech, patrząc, jak rozrywa potrzaskane pręty i wchodzi do pomieszczenia z oszalałym zwierzęciem. Ogier stanął nad nim dęba, rżąc przeraźliwie. Zamachał wzniesionymi kopytami, jego oczy i zęby błyskały, a uszy położył po sobie, lecz Conan skoczył i w pokazie czystej siły, co wydawało się niemożliwe, chwycił go za grzywę i pociągnął w dół, by stanął na przednich nogach. Rumak parsknął i drżał, stał nieruchomo, podczas gdy człowiek zakładał mu uprząż i zarzucał wyszywane złotogłowie siodło z szerokimi srebrnymi strzemionami.

Obracając zwierzę dokoła zagrody, zawołał szybko Yasminę, a ta prześliznęła się niespokojnie koło zadu ogiera. Conan majstrował przy kamiennej ścianie, mówiąc pospiesznie:

– Tu, w ścianie, są ukryte drzwi, o których nie wiedzą nawet Wazuli. Yar Afzal pokazał mi je niegdyś, gdy był pijany. Otwierają się na wylot parowu za chatą. Ha!

Kiedy szarpnął za pozornie przypadkowy występ w ścianie, cała jej część odsunęła się w tył na natłuszczonych stalowych prowadnicach. Spojrzawszy na zewnątrz, dziewczyna ujrzała wąski przesmyk otwierający się w stromej kamiennej ścianie o kilka stóp za tylną ścianą chaty. Wtem Conan wskoczył na siodło i wciągnął ją przed siebie. Za ich plecami wielkie drzwi jęknęły jak żywa istota i wpadły z hukiem do środka, a skowyt wzniósł się aż pod powałę, kiedy wejście zostało niezwłocznie zalane przez kosmate twarze oraz noże we włochatych dłoniach. I wówczas wielki ogier wystrzelił przez ścianę niczym oszczep z katapulty i z łoskotem popędził do przesmyku, nisko na nogach, z pianą ulatującą wokół kółek wędzidła.



Ten ruch okazał się dla Wazulich zupełnym zaskoczeniem. Okazał się także zaskoczeniem dla tych, którzy skradali się parowem. Stało się to tak prędko – huraganowy cwał wielkiego konia – że człowiek w zielonym turbanie nie zdołał odsunąć się z drogi. Padł pod gorączkowo śmigającymi kopytami, a dziewczyna wrzasnęła. Conan w pędzie ogarnął ją jednym krótkim spojrzeniem – smukłą, ciemną

dziewczyne w jedwabnej piżamie i z wysadzaną klejnotami przepaską na piersiach, przyciskającą się do ściany parowu. Potem czarny koń i jadący na nim popędzili wąwozem niczym morska piana niesiona przez sztorm, a ludzie, którzy wypadli przez ścianę do przesmyku za nimi, napotkali coś, co przemieniło ich krwiożercze wycie w przenikliwy wrzask strachu i śmierci.



VI

GÓRA CZARNYCH WRÓŻÓW



– Dokąd teraz? – Yasmina próbowała siedzieć prosto na kołyszącym się łąku siodła, trzymając się mocno swego porywacza.

Uświadomiła sobie z pewnym wstydem, że muskularne ciało wyczuwane palcami nie budzi jej niechęci, lecz przy tym doskwierało jej niedające o sobie zapomnieć poczucie niegodziwości.

– Do Afghulistanu – odrzekł. – To niebezpieczna droga, ale ten ogier poniesie nas z łatwością, chyba że wpadniemy na jakichś twoich przyjaciół albo mych górskich wrogów. Teraz, kiedy Yar Afzal nie żyje, ci przekłęci Wazuli będą nam deptać po piętach. Jestem

zaskoczony, że dotąd nie widać ich za nami.

– Kim był ów człowiek, którego stratowałeś? – spytała.

– Nie wiem. Nigdy wcześniej go nie widziałem. Nie był Ghulim, to pewne. Co, u diabła, tam robił, to więcej, niż mogę rzec. Była z nim także jakaś dziewczyna.

– Tak. – Jej oczy pociemniały. – Nie potrafię tego pojąć. Ta dziewczyna była moją dwórką. To Gitara. Sądzisz, że przybyła, aby mi pomóc? Że ten człowiek to przyjaciel? Jeśli tak, to Wazuli schwytali ich oboje.

– Cóż – odparł – nic nie możemy zrobić. Jeśli wrócimy, obedną nas ze skóry. Nie pojmuję, jak taka dziewczyna zdołała dostać się tak daleko w góry z jednym tylko człowiekiem, i to z uczonym, bo na takiego wyglądał. Jest w tym coś piekielnie dziwnego. Ten, którego Yar Afzal uderzył i odesłał, poruszał się jak człowiek chodzący we śnie. Widziałem kapłanów z Zamory odprawiających wstrętne rytuały w zakazanych świątyniach i ich ofiary miały takie samo spojrzenie jak tamten. Kapłani spoglądali im w oczy, mamrotali jakieś inkantacje i wówczas ci ludzie stawali się chodzącymi trupami o szklistych oczach, robiąc, co im kazano. A potem ujrzałem, co ten gość miał w dłoni, a co podniósł Yar Afzal. Było to niczym duża czarna kula jadeitu, taka, jaką noszą świątynne nierządnicze Yezuda, kiedy tańczą przed czarnym, kamiennym pająkiem, który jest ich bogiem. Yar Afzal trzymał ją w ręce i nie podnosił niczego innego. Ale kiedy padł martwy, pająk, jak ten bóg u Yezuda, tyle że mniejszy, wybiegł mu spomiędzy palców. I wówczas gdy Wazuli stali tak niezdecydowani, jakiś głos krzyknął do nich, by mnie zabili, i wiem, że nie był to głos żadnego z wojowników ani żadnej kobiety, które obserwowały nas spod chat. Zdało się, że dotarł gdzieś z góry.

Yasmina nie odpowiedziała. Spojrzała na surowe kontury gór wszędzie dookoła i wzdrygnęła się. Jej dusza skurczyła się w obliczu ich posepnego okrucieństwa. Była to ponura, naga ziemia, gdzie mogło zdarzyć się wszystko. Dla każdego człowieka urodzonego w upale i luksusie południowych równin wiekowe tradycje przepęłniały je wstrząsającą grozą.

Słońce stało wysoko, paląc srogim żarem, a jednak wiatr, który dał zmiennymi porywami, zdawał się ogarniać zbocza lodowatym chłodem. Nagle powyżej nich posłyszała dziwny szum, który nie był powiewem wiatru, a ze sposobu, w jaki Conan spojrział w górę, przekonała się, że dla niego też nie był to zwykły dźwięk. Pomyślała, że to pas zimnego błękitnego nieba rozmył się na chwilę w jej oczach, jakby jakiś wszelako niewidzialny obiekt przemknął między nią a nieboskłonem. Nie była jednak pewna. Żadne z nich tego nie skomentowało, lecz Cimmeryjczyk poluzował swój nóż w pochwie.

Podążali nieoznakowanym szlakiem, który zanurzał się w wąwozy tak głębokie, że słońce nigdy nie dotykało ich dna, po czym wspinał na strome zbocza, gdzie luźne łupki groziły osunięciem się spod nóg. I dalej zmierzał ostrymi jak nóż graniami o zasnutych niebieskawą mgiełką, rozbrzmiewających echem głębiach po obu stronach.

Słońce minęło już najwyższy punkt, kiedy wstąpili na wąski szlak, wijący się między skalnymi załomami. Conan ściągnął cugle w bok i podążył ścieżką ku południu, zmierzając niemal prostopadle do poprzedniej drogi.

– Przy końcu tego szlaku jest wioska Galzaich – wyjaśnił. – Ich kobiety chodzą tędy do studni po wodę, a ty potrzebujesz nowego odzienia.

Spojrzawszy w dół na swą zwiewną, zdobną szatę, Yasmina się z

nim zgodziła. Jej pantofle ze złotogłowiu były w strzępach, szaty i jedwabna odzież spodnia tak podarte, że ledwie trzymały się przyzwoicie razem. Ubiór przeznaczony na ulice Peshkhauri nie nadawał się na ostre skały Himelianów.

Dochodząc do zakrętu szlaku, Conan zeskoczył z konia, pomógł zsiąść Yasminie i czekał. Niebawem skinął głową, choć ona nie dosłyszała niczego.

– Nadchodzi jakaś kobieta – oznajmił.

W nagłym przypływie paniki schwyciła go za ramię.

– Ty nie... nie zabijesz jej?

– Zwykle nie zabijam kobiet – mruknął – chociaż niektóre z tych dziewczyn ze wzgórz to prawdziwe wilczyce. Nie – uśmiechnął się szeroko, jak przy bardzo zabawnym żarcie – na Croma, *zapłacę* jej za ubranie! Co o tym myślisz?

Pokazał jej garść złotych monet i schował je z powrotem, poza największą. Potaknęła z wyraźną ulgą. Być może to naturalne, że mężczyźni zabijają i umierają, ale jej ciało przebiegł dreszcz na myśl o tym, iż miałyby oglądać rzeź kobiety.

Po chwili zza zakrętu wyłoniła się kobieta – wysoka, smukła Galzajka, wyprostowana niczym młode drzewko, niosąca wielką, pustą tykwę. Kiedy ich ujrzała, przystanęła, a tykwa wypadła jej z rąk. Poruszyła się, jakby zamyślała zerwać do biegu, lecz wówczas zdała sobie sprawę, że Conan jest zbyt blisko, by ucieczka była możliwa, więc stanęła nieruchomo, patrząc na nich z malującą się na twarzy mieszanią strachu i ciekawości.

Conan pokazał jej złotą monetę.

– Jeśli oddasz tej kobiecie swój strój – rzekł – dam ci ten pieniądz.

Odpowiedź przyszła natychmiast. Dziewczyna uśmiechnęła się

szeroko z zaskoczenia oraz zachwytu i z pogardą, jaką kobiety z gór darzą pruderyjne konwenanse, z miejsca pozbyła się haftowanego serdaka, zsunęła pizamę i wyszła z niej. Potem zsunęła koszulę z szerokimi rękawami i kopniakiem zrzuciła sandały. Zebrawszy wszystkie te rzeczy w jedno zawiniątko, podała je Conanowi, który przekazał je zdziwionej Devi.

– Wejdz za tę skałę i włóż to – polecił, ponownie udowadniając, że nie jest rodzonym góralem. – Złóż szaty w jedno zawiniątko i przynieś mi je, kiedy skończysz.

– Pieniądz! – zajazgotała góralka, wyciągając ochoczo ręce. – Złoto, które mi obiecałeś!

Cimmeryjczyk rzucił jej monetę, którą chwyciła i przygryzła, a potem wepchnęła gdzieś we włosy. Pochyliła się miękko, uniosła tykwę i poszła dalej ścieżką, równie wolna od wstydu jak od ubrania. Conan czekał z pewną niecierpliwością, podczas gdy Devi, po raz pierwszy w swym rozpieszczonym życiu, ubierała się sama. Kiedy wyszła z za skały, zaklął zaskoczony. Widząc niepohamowany zachwyty płonący w jego zapalczywych niebieskich oczach, Yasmina poczuła osobliwy napływ rozmaitych uczuć. Poczowała wstyd, zakłopotanie i jeszcze muśnięcie próżności, jakiej nie doświadczyła nigdy wcześniej, oraz to samo lubieżne ukłucie, jakie odczuwała pod wpływem jego wzroku czy pod wpływem uścisku jego rąk. Położył ciężką dłoń na jej ramieniu i obrócił ją dookoła, oglądając pożądliwie ze wszystkich stron.

– Na Croma! – stwierdził. – W tych powłóczystych, przesłaniających cię szatach byłaś wyniosła, zimna i odległa jak gwiazda! Teraz jesteś prawdziwą kobietą z krwi i kości! Weszłaś za tę skałę jako Devi Vendhyi, a wyszłaś jako góralka, aczkolwiek tysiąc razy piękniejsza

od każdej z dziewczek Zhaibaru! Byłaś jakąś boginią, teraz jesteś człowiekiem!

Dał jej głośnego klapsa w pośladek, a ona, uznawszy to jedynie za kolejny wyraz podziwu, nie poczuła się szczególnie oburzona. W rzeczy samej było tak, jakby zmiana stroju przyniosła zmianę w jej osobowości. Uczucia i doznania, które tłumiała, narosły teraz i opanowały ją, jak gdyby królewskie szaty, jakie zrzuciła, stanowiły materialne pęta i hamulce.

Ponawiając wyrazy podziwu, Conan nie zapomniał wszak o czyhających na nich zewsząd niebezpieczeństwach. Im bardziej oddalali się od rejonu Zhaibaru, tym mniej prawdopodobne było, że spotkają któryś z kshatriyaskich oddziałów. Z drugiej strony przez całą drogę nasłuchiwał jakichkolwiek dźwięków, które powiedziałyby mu, iż depczą im po piętach żądni zemsty Wazuli z Khurumu.

Usadziwszy Devi, sam wskoczył na siodło i ponownie ściągnął wodze ogiera, kierując go ku zachodowi. Zawiniątko ze strojem, jakie mu dała, zrzucił z urwiska, pozwalając mu spaść w tysiącstopową głębinię wąwozu.

– Czemu tak zrobiłeś? – zapytała. – Dlaczego nie dałeś go tej dziewczynie?

– Konni z Peshkhauri przeczesują pogórze – stwierdził. – Będą zastawiać na nich zasadzki i nękać na każdym kroku, a oni w drodze odwetu zniszczą każdą wioskę, którą zajmą. W każdej chwili mogą skierować się ku zachodowi. Jeśliby znaleźli dziewczynę noszącą twój ubiór, torturowaliby ją, aż zaczęłaby mówić i mogła ich sprowadzić na mój trop.

– A co ona robi? – zapytała Yasmina.

– Wróci do swej wioski i opowie ludziom, że jakiś obcy obnażył ją i

zgwałcił – wyjaśnił. – Za jej sprawą wyruszą naszym śladem. Jednak najpierw musiała pójść dalej i nabrać wody; gdyby poważyla się wrócić bez niej, wysmagaliby ją tak, że skóra by odłaziła. To daje przewagę. Nigdy nas nie złapią. Nim zapadnie noc, przekroczymy granicę Afghulich.

– Nigdzie w tych stronach nie ma ścieżek czy śladów ludzkiego bytowania – zauważyła. – Nawet jak na Himeliany, ten rejon zdaje się niezwykle opustoszały. Nie widzieliśmy szlaku od czasu, gdy opuściliśmy ten, na którym spotkaliśmy Galzajkę.

W odpowiedzi wskazał na północny zachód, gdzie w wąskim przesmyku między poszarpanymi turniami ujrzała jakiś szczyt.

– Yimsha – mruknął. – Górale budują swe wioski jak najdalej od tej góry.

Yasmina zeszywniała nagle, przyglądając się bacznie.

– Yimsha! – wyszeptała. – Góra Czarnych Wrózów!

– Tak mówią – odrzekł. – Nigdy dotąd nie zbliżyłem się do niej aż tak bardzo. Odbiłem na północ, by uniknąć kshatriyaskich oddziałów, które mogłyby węszyć po wzgórzach. Zwyczajowy szlak z Khurumu do Afghulistanu leży dalej na południu.

Dziewczyna przypatrywała się odległemu szczytowi z pełną pożądlivości intensywnością. Paznokcie wbiły się jej w różowe dłonie.

– Ile czasu zabrałoby nam dotarcie na Yimshę z tego miejsca?

– Resztę dnia i całą noc – odrzekł i uśmiechnął się szeroko. – Chcesz tam pojechać? Na Croma, z tego, co mówią mieszkańcy wzgórz, nie jest to miejsce dla zwykłych ludzi.

– Dlaczego nie zbiorą się i nie zniszczą tych diabłów, które je zamieszkują? – naciskała.

– Wyplenić czarowników mieczami? Ponadto oni nie mieszają się do spraw ludzi, chyba że ludzie mieszają się do ich. Nigdy nie widziałem żadnego, choć rozmawiałem z ludźmi, którzy przysięgali, że widzieli. Mówili, że przelotnie dostrzegali kogoś w wieży między skałami o wschodzie albo zachodzie słońca: wysokich, milczących mężczyzn w czarnych szatach.

– A ty bałbyś się ich zaatakować?

– Ja? – Ta myśl zdała się dla niego czymś nowym. – Cóż, gdyby nadepnęli mi na odcisk, wówczas stanęłoby na tym, że albo oni, albo ja. Ale nie mam z nimi nic wspólnego. Przybyłem w te góry, by zyskać poparcie ludzi, a nie wojować z czarodziejami.

Yasmina zrazu nie odpowiedziała. Patrzyła na szczyt jak na żywego wroga, czując na nowo, że w piersi ma się jej cały gniew i nienawiść. Jeszcze inne odczucie zaczęło nabierać niewyraźnych kształtów. Spiskowała, by zwrócić przeciw mistrzom z Yimshy tego człowieka, którego ramiona teraz ją unosiły. Może oprócz drogi, jaką wybrała, był inny sposób na osiągnięcie celu. Nie mogła się mylić co do wymowy, jaką niosło spojrzenie tego dzikusa, kiedy na niej spoczęło. Królestwa padały już, gdy smukłe, białe kobiece dłonie pociągnęły za nici przeznaczenia... Nagle zeszywniała, wskazując palcem.

– Zobacz!

Na dalekim szczycie unosił się ledwie widoczny obłok o szczególnym wyglądzie. Był zimnoczerwony, pożyłkowany migoczącym złotem. Obłok ów się poruszał – kręcił i obracając się, kurczył. Zanikał, aż zmienił się w wirujący, błyszczący w słońcu stożek. I nagle odłączył się od ośnieżonego szczytu, wypływając w przestrzeń niczym mieniące się żywymi barwami pióro, i stał się niewidoczny na tle lazurowego błękitu nieba.

– Co to mogło być? – zapytała niespokojnie dziewczyna, kiedy jakiś skalisty grzbiet przesłonił widok odległej góry. Mimo że piękne, zjawisko to wzbudzało niepokój.

– Górale nazywają to Narzutą Yimshy, cokolwiek, u diabła, to oznacza – odparł Conan. – Widziałem pięciuset z nich, gdy uciekali, jakby diabeł deptał im po piętach, i ukrywali się w jaskiniach i skalnych załomach, ponieważ dostrzegli, że ta purpurowa chmura unosi się ze szczytu. Co jest, do diabła?!

Przebyli głęboki jar, wycięty pomiędzy górującymi nad nim ścianami, i wyjechali na szeroką skalną półkę, oflankowaną szeregiem urwistych zboczy po jednej i olbrzymią przepaścią po drugiej stronie. Biegł nią niewyraźny szlak, zakręcający wokół grzbietu i pojawiający się na nowo z przerwami daleko w dole. Wyjechawszy ze szczeliny otwierającej się na półkę, czarny ogier zatrzymał się i parsknął. Conan popędził go niecierpliwie, ale koń nadal parskał i rzucał łbem w górę i w dół, drżąc i prężąc się, jakby przed jakąś niewidoczną zaporą.

Wódz Afghulich zaklął i zeskoczył z wierzchowca, unosząc Yasminę ze sobą. Zaczął iść naprzód z wyciągniętą przed siebie ręką, jak gdyby spodziewał się napotkać niewidzialny opór. Nie znalazł jednak niczego, co by mu przeszkodziło, choć kiedy spróbował powieść tamtędy konia, ten zarżał ostro i szarpnął się wstecz. Wtem Yasmina wykrzyknęła, a Conan odwrócił się i jego ręka wystrzeliła do rękonoży.

Żadne z nich nie widziało, żeby nadchodził, ale stał tam z założonymi rękami – człowiek w szacie z wielbłądziej wełny i zielonym turbanie. Cimmeryjczyk wydał pomruk zaskoczenia, rozpoznając mężczyznę, którego ogier stratował w parowie za wioską Wazulich.

– Kim, u diabła, jesteś? – zapytał.

Tamten nie odpowiedział. Conan zauważył, że jego oczy są rozszerzone, nieruchome i jaśnieją w szczególny sposób. I że te oczy przyciągają niczym magnes.

Czary Khemсы zasadzały się na hipnozie, jak w większości przypadków wschodniej magii. Drogę dla niej wytyczyły niezmierzone wieki oraz pokolenia żyjące i umierające w głębokim przekonaniu o realności i sile hipnozy. Powszechne myślenie i praktyka zbudowały wokół niej przytłaczający, choć trudno uchwytne klimat, wobec którego ktoś przesiąknięty tradycją tej ziemi pozostawał bezsilny.

Conan wszak nie był synem Wschodu. Tamtejsze tradycje nie miały dla niego znaczenia; był wytworem kompletnie obcego klimatu. W Cimmerii mesmeryzm nie stał się nawet mitem. Spuścizna, która przygotowywała tubylca ze Wschodu do uległości wobec hipnotyzera, nie była jego spuścizną.

Miał świadomość tego, co Khemsa próbuje z nim zrobić, lecz wpływ jego tajemnej mocy okazał się dla barbarzyńcy tylko niejasnym odczuciem, szarpaniem i ciągnięciem, z którego był w stanie się otrząsnąć jak ktoś, kto strząsa pajęczą sieć z odzienia.

Świadom wrogiego nastawienia oraz czarnej magii wyrwał z pochwy kindżał i rzucił się naprzód, równie szybki w nogach jak górski lew.

Lecz magia Khemсы korzystała nie tylko z hipnozy. Obserwująca to Yasmina nie widziała, za sprawą jakiego wybiegu bądź iluzji człowiek w zielonym turbanie uniknął straszliwego pchnięcia, które wyprułoby mu flaki. Jednak ostra głownia śmignęła między jego bokiem a wzniesioną ręką i dziewczynie zdało się, że Khemsa ledwie przesunął

otwartą dłońią po byczym karku Conana, a ten padł niczym zarżnięty wół.

Cimmeryjczyk nie był wszak martwy. Łagodząc upadek lewą ręką, ciął w jego trakcie nogi Khemсы. Rakhshas uniknął skoszenia tylko za sprawą bardzo nieczarodziejskiego odskoku w tył. Wówczas Yasmina wykrzyknęła przenikliwie, gdyż spośród skał wyśliznęła się i podeszła do niego kobieta, w której Devi rozpoznała Gitarę. Powitanie zamarło na ustach władczyni, kiedy w pięknej twarzy dziewczyny ujrzała jawną wrogość.

Conan wstawał powoli, wstrząśnięty i oszołomiony okrutną siłą ciosu, który zadany zgodnie ze sztuką zapomnianą przez ludzi przed zatonięciem Atlantydy złamałby kark każdego człowieka o słabszej posturze jak spróchniałą gałąź. Khemsa przypatrywał mu się uważnie i trochę niepewnie. Rakhshas ogarnął w pełni swą siłę, kiedy w parowie za wioską Khurum przyparty do muru stawiał czoło nożom rozszalałych Wazulich. Jednakże wytrzymałość Cimmeryjczyka być może nieco wstrząsnęła jego nowo odkrytą pewnością siebie. Magia rozkwita na sukcesie, a nie porażce.

Mag ruszył naprzód, wznosząc rękę. Wtem zatrzymał się, jakby zastygł nagle z odchyloną głową, szeroko otwartymi oczami i podniesionym ramieniem. Wbrew sobie Cimmeryjczyk podążył wzrokiem za jego spojrzeniem i to samo uczyniły kobiety – jedna skulona przy drżącym ogierze oraz druga obok Khemсы.

W dół po górskich zboczach, niby spiralny zwój błyszczącego pyłu pędzonego przez wiatr, schodził w płasach purpurowy stożkowaty obłok. Ciemne oblicze Khemсы poszarzało; jego ręka zaczęła się trząść i opadła mu do boku. Dziewczyna obok niego, wyczuwając w nim zmianę, popatrzyła nań badawczo.

Purpurowy kształt oddalił się od stoku i zszedł w dół szybkim, szerokim, łukowatym ślizgiem. Opadł na półkę pomiędzy Conanem a Khemszą i Rakhshas cofnął się ze stłumionym krzykiem. Wycofywał się tyłem, odpychał zarazem dziewczynę błędzącymi po omacku, mającymi osłonić ją rękami.

Purpurowy obłok balansował przez chwilę niczym obracający się bąk, wirując na czubku z osłepiającym blaskiem. Wtem, bez ostrzeżenia, rozplynął się, zniknął jak pękająca bańka. I oto na półce stanęło czterech ludzi. Było to zjawisko cudowne, niewiarygodne, niemożliwe, jednakże realne. Nie byli oni duchami ani zjawami, lecz czterema wysokimi mężczyznami o wygolonych głowach, obliczach sępów i czarnych szatach skrywających stopy. Dłonie schowane mieli w szerokich rękawach. Stali w milczeniu i wszyscy zgodnie potakiwali odsłoniętymi głowami. Twarze kierowali ku Khemsi, lecz stojący za nimi Conan czuł, że krew płynąca w jego własnych żyłach zmienia się w lód. Powstawszy, wycofywał się ukradkiem, aż na plecach wyczuł drżącą pierś ogiera, a Devi wsunęła się pod osłonę jego ramienia. Ani jedno słowo nie zostało wypowiedziane. Cisza spowiła wszystko niczym duszący całun.

Wszyscy czterej ludzie w czarnych szatach zapatrzyli się na Khemkę. Ich sępie twarze pozostawały nieruchome, a spojrzenia zadumane, skierowane jakby w głąb siebie. Jednak Khemsa trząsał się jak w febrze. Szeroko rozstawione stopy zaparł mocno o skałę, a łydki napięły mu się, jak gdyby toczył jakiś fizyczny bój. Pot spływał po ciemnym obliczu strumieniami. Jego prawa dłoń zacisnęła się na czymś pod brązową szatą tak rozpaczliwie, że odpływająca krew uczyniła ją siną. Rękę lewą położył na ramieniu Gitary i ścisnął ją w udręce, niczym zaciskający dłoń topielec. Dziewczyna nie drgnęła ani

nie pisnęła, choć jego palce zagłębiły się w jędrne ciało jak szpony.

W swym burzliwym życiu Conan był świadkiem setek walk, ale nigdy takiej jak ta, w której szatańska wola czterech usiłowała przełamać jedną, słabszą, lecz równie diabelską, która im się przeciwstawiła. On wszak tylko słabo wyczuwał potworną specyfikę owych odrażających, zabójczych zmagania. Wsparty plecami o ścianę, przyparty do muru przez swych uprzednich mistrzów, Khemsa toczył bój o życie z całą mroczną siłą, całą straszną wiedzą, jaką oni przekazali mu podczas długich, posępnych lat, które przeżył jako neofita i poddany.

Był mocniejszy, niż kiedykolwiek przypuszczał, a swobodne użycie posiadanych mocy we własnym interesie uwolniło niespodziewane rezerwuary siły. Szaleńczy strach i desperacja napełniły go dodatkową energią. Zatokczył się pod bezlitosnym wpływem tych hipnotycznych oczu, ale się nie cofnął. Rysy jego twarzy wykrzywił zwierzęcy grymas udręki, od której wystąpił nań krwawy pot. Jego ciało wykręcało się jak na stole do rozciągania. To była wojna dusz, budzących przestraszonych umysłów przesiąkniętych wiedzą zakazaną ludziom od miliona lat, intelektów nurzających się w otchłaniach i badających ciemne gwiazdy, gdzie lęgną się cienie.

Yasmina pojmowała to lepiej niż Conan. I niejasno rozumiała, czemu Khemsa był w stanie stawić opór skupionemu działaniu czterech piekielnych sił woli, zdolnych rozsadzić na atomy tę samą skałę, na której stał. Powodem była dziewczyna, której chwycił się z rozpaczliwą siłą. Była niczym kotwica dla jego słaniającej się duszy, w którą waliły fale psychicznych emanacji. Jego słabość stała się teraz jego siłą. Miłość do dziewczyny, choć może oparta na gwałcie i złości, była jednakże więzią łączącą go z resztą ludzkości, dając mu

przewagę siły woli śmiertelników; łańcuch, którego nieludscy wrogowie nie potrafili zerwać. Przynajmniej nie mogli pokonać oporu Khemsy.

Uświadomili to sobie przed nim. Jeden z nich przesunął spojrzenie z Rakhshasa wprost na Gitarę. Tu nie było walki. Dziewczyna skurczyła się i zapadła w sobie niczym liść podczas suszy. Przymuszona nieodpartą siłą wyrwała się z ramion kochanka, zanim zdał sobie sprawę, co się dzieje. Wówczas wydarzyła się rzecz straszna. Zaczęła wycofywać się w stronę przepaści, zwrócona przodem do swych dręczycieli. Jej oczy były rozwarte szeroko i puste jak błyszczące szyby, za którymi wygaszono lampy. Khemsa jęknął i ruszył w jej kierunku chwiejnym krokiem, wpadając w zastawioną nań pułapkę. Podzielony umysł nie zdołał podtrzymać nierównej walki. Został pobity, stał się źdźbłem trawy w ich dłoniach. Dziewczyna dalej szła tyłem, niczym marionetka, a zataczający się jak pijany Khemsa podążał za nią, na próżno wyciągając ramiona, jęcząc i śliniąc się z bólu. Jego stopy poruszały się ciężko jak martwe twory.

Dziewczyna zatrzymała się na samym skraju, stojąc sztywno. Jej pięty wsparły się na krawędzi, a mag opadł na kolana i pełził ze skowytem w jej stronę, machając na oślep rękami, by uratować ją od śmierci. I tuż przed tym, nim jego niezręczne dłonie jej dosięgły, jeden z czarowników się zaśmiał. Był to głos jak spiżowy ton dzwonu w piekle. Dziewczyna zachybotła się nagle i dopełniając szczytu wyrafinowanego okrucieństwa, rozum i zdolność pojmowania na powrót zjawyły się w jej oczach, które zapłonęły przeraźliwym strachem. Wrzasnęła, szaleńczo wyrzucając ręce, by pochwycić wyciągnięte ramiona kochanka, i wówczas, niezdolna już się ocalić, spadła z niesamowitym impetem i żalosnym krzykiem.

Khemsa dowlóknął się do krawędzi i zapatrzył w dół nieprzytomnymi oczyma; jego usta poruszały się, gdy mamrotał coś do siebie. Potem odwrócił się i wpatrywał przez długą chwilę w swych oprawców. W jego szeroko otwartych oczach nie jarzył się płomyk człowieczeństwa. Następnie z krzykiem, który omalże rozsadał skały, podniósł się chwiejnie i ruszył w kierunku czarowników z nożem we wzniesionej dłoni.

Jeden z owych Rakhshasów wystąpił naprzód i tupnął nogą, a kiedy to uczynił, rozległ się grzmiący pomruk, który przeszedł szybko w zgrzytliwy ryk. Tam, gdzie uderzył stopą, w litej skale otwarła się szczelina, która poszerzała się błyskawicznie. Wtedy, z ogłuszającym łoskotem, cały odcinek skalnej półki odpadł. Khemsa ostatni raz mignął im przed oczami z rękoma dziko wyrzuconymi w górę, a potem zniknął pośród grzmiącego ryku lawiny schodzącej w otchłań.

Czwórka magów popatrzyła w zamyśleniu na poszarpaną krawędź skały, która utworzyła nowy brzeg przepaści, a następnie odwróciła się nagle. Conan, zwalony z nóg drżeniem gór, właśnie powstawał i podnosił Yasminę. Zdawał się poruszać równie wolno jak jego myśli. Czuł się przymulony i ogłupiały. Zdawał sobie sprawę, iż znajduje się pod rozpaczliwym przymusem – posadzić Devi na czarnym ogierze i popędzić jak wiatr – ale każda jego myśl i ruch obciążone były niespotykaną ślamazarnością.

I wkrótce czarownicy zwrócili się ku niemu, wznieśli ramiona, a on przepętnionym grozą wzrokiem ujrzał, jak ich sylwetki znikają przyćmione, stając się mgliste i rozmyte, gdy purpurowy dym skłębił się przy ich stopach i wzniósł wokół nich. Zostali przesłonięci nagle przez wirujący obłok i wówczas zdał sobie sprawę, że on także jest spowity oslepiającą purpurową mgiełką. Posłyszał wrzask Yasminy i

gwałtowne rzenie ogiera niczym głos kobiety w połogu. Devi została wydartą spod jego ramienia, a kiedy ciął zamaszyście na oślep, cios straszliwy niby podmuch burzy rzucił go i przyparł do skały. Oszołomiony widział, jak wirujący purpurowy stożkowaty obłok unosi się nad górskim zboczem. Yasmina zniknęła, podobnie jak czterech ludzi w czerni. Skalną półkę dzielił z nim jedynie przerażony ogier.



VII

NA YIMSHE



Jak mgły rozwiewa silny wicher, tak rozwiały się sieci oplatające umysł Conana. Rzuciwszy krótkie przekleństwo, wskoczył w siodło, a ogier pod nim stanął dęba i zarżał. Popatrzył w górę stoku, zawahał się, odwrócił i ruszył szlakiem w kierunku, w jakim zmierzał, gdy go zatrzymały sztuczki Khemisy. Teraz wszakże nie jechał stępą, miarowym krokiem. Potrząsnął zluzowanymi wodzami i ogier

poszedł jak błyskawica, jak gdyby paląc się do tego, by w gwałtownym fizycznym wysiłku wyzbyć się hysterii. Po skalnej półce, wokół grani i dalej wąskim szlakiem ciągnącym się zakrętami między stromiznami pędzili na złamanie karku. Ścieżka wiodła załomami wśród skał, wijąc się bez końca w dół na coraz to niższe warstwy pręgowanych skał, i w końcu daleko w dole Conan dojrzał opadłe gruzowisko – potężną stertę potłuczonych kamieni i głazów u stóp olbrzymiego urwiska.

Dno doliny znajdowało się nadal daleko w dole pod nim, kiedy dotarł na długą i wyniosłą grań wychodzącą ze zbocza niczym naturalna grobla. Pojechał nią, mając po obu stronach opadające niemal pionowo uskoki. Widział przed sobą szlak, którym musiał podążać; daleko z przodu opadał on z grani i na kształt wielkiej podkowy zawracał ku łożysku rzeki po lewej stronie. Przeklął konieczność przebywania tych wszystkich mil, ale była to jedyna droga. Zejście na niższy poziom szlaku w tym miejscu stanowiłoby próbę zmierzenia się z niemożliwym. Tylko ptak zdołałby się dostać do łożyska, zachowując kark w całości.

Przynaglał zatem znużonego ogiera, póki do jego uszu nie dotarł wznoszący się z dołu brzęk podków. Zatrzymawszy się, skierował konia do krawędzi urwiska. Spojrzał w dół na wyschnięte rzeczne łożysko wijące się u stóp grzbietu. Przez wąwóz jechał pstrokaty tłum – pięciuset silnych, brodatych ludzi najeżonych bronią na wpół dzikich koniach. Przechyliwszy się za krawędź urwiska, znajdując się o trzysta stóp wyżej, zawołał do nich raptownie. Słyszając jego krzyk, ściągnęli wodze i pięć setek brodatych twarzy odchyliło się ku górze w jego stronę. Kanion wypełnił buczący zgiełkliwy hałas. Conan nie marnował słów.

– Jechałem do Ghoru! – ryknął. – Nie liczyłem na spotkanie z wami, psy, na szlaku. Podążajcie za mną tak szybko, jak tylko zdołają wasze szkapy! Zmierzam na Yimshę i...

– *Zdrajca!* – Ich skowyt był jak kubeł zimnej wody wylany prosto w twarz.

– *Co?* – Wstrząśnięty, nie mogąc wykrztusić więcej, rzucił im gniewne spojrzenie. Dojrzał wlepione w siebie, płonące dziko spojrzenia, twarze wykrzywione wściekłością i dłonie wywijające groźnie ostrzami.

– *Zdrajca!* – ryknęli pełni gorliwości. – Gdzie jest siedmiu przywódców trzymanyh w niewoli w Peshkhauri?

– *Cóż,* w więzieniu gubernatora, jak sądzę – odrzekł. Odpowiedziało mu żądne krwi wycie setki gardeł, któremu towarzyszyło tak głośne potrząsanie bronią i zgiełk, że nie był w stanie zrozumieć, co mówią. Osadził ich ogłuszającym, bawolim rykiem i mocnym głosem zawołał:

– *Co to za diabelskie gierki? Niech przemówi jeden, żebym mógł zrozumieć, o co wam chodzi!*

Wychudzony stary watażka sam wyznaczył sobie do tego zadania. Na wstępie potrząsnął na Conana swym talwarem i zawołał oskarżycielsko:

– *Nie pozwoliłeś nam napaść na Peshkhauri, by ratować braci!*

– *Nie, głupcy!* – ryknął rozdrażniony Cimmeryjczyk. – *Nawet gdybyście uczynili wyłom w murze, co jest mało prawdopodobne, powieszono by więźniów, nim zdołalibyście do nich dotrzeć!*

– *I pojechałeś sam dobić targu z gubernatorem!* – zawył Afghuli, pieniać się coraz bardziej z wściekłości.

– *No i?*

– Gdzie jest siedmiu przywódców? – zaskowyczał stary watażka, kręcąc talwarem migotliwe młynki ponad głową. – Gdzie oni są? Nie żyją!

– Co?! – Zaskoczony Conan omal nie spadł z konia.

– Tak jest, nie żyją! – zapewniło go pięćset żądnych krwi głosów.

Stary watażka potrząsnął bronią i ponownie przemówił w imieniu pozostałych.

– Nie zostali powieszani! – zaskrzeczał. – Wazuli w celi obok widział, jak umierali! Gubernator posłał czarownika, by zabił ich swą mocą!

– To musi być kłamstwo – stwierdził Conan. – Gubernator by się nie poważył. Zeszłego wieczoru z nim rozmawiałem...

Owa deklaracja okazała się nie najszcześniejsza. Nienawistne i oskarżycielskie zawrođenje rozszczepiło niebiosy.

– Tak jest! Pojechałeś do niego sam! Żeby nas zdradzić! To żadne kłamstwo. Wazuli uciekł drzwiami, które czarownik wyłamał, wchodząc, i przytoczył tę opowieść naszym zwiadowcom, których spotkał w Zhaibarze. Posłano ich, by cię poszukiwali, kiedy nie powróciłeś. Gdy posłyszeli opowieść Wazulego, wrócili w pośpiechu do Ghoru, a my osiodłaliśmy nasze rumaki i przypasaliśmy miecze.

– I co wy, głupcy, zamierzacie uczynić? – spytał Cimmeryjczyk.

– Pomścić naszych braci! – zawyli. – Śmierć Kshatriyasom! Zabić go, bracia, oto zdrajca!

Wokół Conana poczęły grzechotać strzały. Uniósł się w strzemionach, tak by go słyszano ponad tumultem, a potem z rykiem, w którym mieszały się gniew, wyzwanie i niesmak, zawrócił i pogalopował z powrotem w górę szlaku. Za jego plecami podążali Afghuli, rzucając przekleństwa i wyrażając okrzykami swój gniew,

zbyt wściekli nawet, by pamiętać, że jedynym sposobem, by dotrzeć na wysokość, na której znajdował się on, było przemierzenie łożyska rzeki w przeciwnym kierunku, wzięcie szerokiego zakrętu i podążanie krętym szlakiem na grań grzbietu. Kiedy sobie to przypomnieli i zawrócili, odrzucony przez nich wódz dotarł prawie do miejsca, gdzie grań łączyła się ze stokiem.

Przy urwisku Conan nie obrał szlaku, którym zjeżdżał, lecz zboczył na inny – zwyczajną drożynę wzdłuż skalistych uskoków, po których wspinał się, szukając oparcia dla kopyt. Nie zajechał daleko, kiedy ogier parsknął i gwałtownie szarpnął się w tył przed czymś leżącym na szlaku. Conan spojrział z góry na tę karykaturę człowieka – połamany, potrzaskany, skrwawiony ochłap, który coś bełkotał i zgrzytał ułomkami zębów.

Tylko mroczni bogowie władający ponurym przeznaczeniem czarowników wiedzą, jak Khemsa wyciągnął swe zdruzgotane ciało spod straszego kopca opadłych skał i dostał się po stromym zboczu na szlak.

Pchany jakąś niejasną pobudką Cimmeryjczyk zsiadł z konia i popatrzył na upiorną postać, wiedząc, że jest świadkiem zdarzenia cudownego i przeciwnego naturze. Rakhshas podniósł głowę pokrytą zakrzepłą krwią, a jego niezwykle oczy, zaszklone męczarnią i świadomością nadchodzącej śmierci, spoczęły na Conanie z przebłyśkiem świadomości.

– Gdzie oni są? – Był to pełen udręki skrzek, nawet odlegle nieprzypominający ludzkiego głosu.

– Odeszli z powrotem do swego przeklętego zamku na Yimshy – mruknął Conan. – Zabrali ze sobą Devi.

– Pójdę! – wymamrotał tamten. – Podążę za nimi! Zabili Gitarę; ja

zabiję ich... akolitów, Czterech z Czarnego Kręgu i samego Mistrza! Zabiję... zabiję ich wszystkich! – Usiłował ciągnąć swe okaleczone ciało po skale, lecz nawet jego nieujarzmiona wola nie była w stanie już dłużej ożywiać tej skrwawionej miazgi, w której strzaskane kości trzymały się razem tylko dzięki porwanym tkankom i porozrywanych wnętrznościom. – Ruszaj za nimi! – wybełkotał Khemsa, tocząc krwawą ślinę. – Ruszaj!

– Zamierzam tak uczynić – warknął Conan. – Chciałem sprowadzić swoich Afgulich, lecz oni zwrócili się przeciwko mnie. Zmierzam na Yimshę sam. Odzyskam Devi, nawet gdybym musiał rozwalić tę przeklętą górę gołymi rękami. Nie sądziłem, że gubernator odważy się zabić moich naczelników, kiedy mam Devi, ale zdaje się, że to zrobił. Zapłaci mi za to głową. Teraz na nic mi ona jako zakładnik, ale...

– Niech dotknie ich przekleństwo Yizila! – wykrztusił Khemsa. – Idź! Ja umieram. Czekał... weź mój pas. – Zmasakrowaną dłonią próbował gmerać przy swych łachmanach, a Conan, pojmując, do czego zmierzał, pochylił się i ściągnął z jego pokrytych zakrzepłą krwią bioder pas o osobliwym wyglądzie.

– Przez otchłań podążaj złotą żyłą – mamrotał Khemsa. – Włóż mój pas. Dostałem go od pewnego stygijskiego kapłana. Dopomoże ci, chociaż mnie w ostateczności zawiódł. Zbij kryształową kulę z czterema złotymi jabłkami granatu. Wystrzegaj się metamorfoz Mistrza... Ja idę do Gitary... Ona czeka na mnie w piekle... *aie, ya Skelos yar!* – I tak skończył.

Conan spojrzał na pas. Włosie, z którego został upleciony, nie było włosiem końskim. Był przekonany, że został utkany z grubych, czarnych kobiecych warkoczy. W jego gęstych oczkach znajdowały się

malutkie klejnoty, jakich nigdy wcześniej nie widział. Klamra była wykonana dziwacznie, w kształcie złoconego łba węża, spłaszczonego, klinowatego, pokrytego łuskami z osobliwym artyzmem. Silny wstrząs targnął Conanem, gdy wziął go do ręki. Odwrócił się, jakby chcąc go rzucić w przepaść, ale się zawahał i w końcu zapiął go wokół swej talii, pod pasem bakhariockim. Potem wsiadł na konia i ruszył dalej.

Słońce opuściło się już za poszarpane wierchy. Wspinał się szlakiem w gęstym cieniu urwisk rzucanym niby ciemnogrnatowy płaszcz na doliny i granie daleko w dole. Był w pobliżu szczytu, kiedy okrążając sterczący załom poszczerbionej skały, dosłyszał przed sobą brzęk podkutych kopyt. Nie zawrócił. W rzeczy samej ścieżka była na tyle wąska, że ogier nie zdołałby obrócić na niej swego wielkiego cielska. Wokół skalnej sterczyny wjechał na tę część ścieżki, która nieco się rozszerzała. Do uszu wdarł mu się chór groźnych skowytów, ale jego wierzchowiec już przyparł do skały jakiegoś przerażonego konia, a Conan pochwycił ramię jeźdźca w stalowym uścisku, powstrzymując w pół drogi wzniesione ostrze.

– Kerim Shah! – mruknął Cimmeryjczyk, a czerwone błyski zamigotały jaskrawo w jego oczach.

Turańczyk nie podjął walki. Siedzieli na koniach prawie pierś w pierś, a dłoń Conana zamykała w uścisku rękę z mieczem należącą do tamtego. Za Kerimem Shahem jechała rzędem grupa chudych Irakzai na wynędzniałych koniach. Patrzyli gniewnie jak wilki, błędząc dłońmi po łukach i nożach, lecz z powodu wąskiej ścieżki i niebezpiecznej bliskości przepaści okazywali niepewność.

– Gdzie jest Devi? – zażądał wyjaśnień Kerim Shah.

– Co ci do tego, hyrkański szpiegu? – warknął wrogo Conan.

– Wiem, że ty ją masz – odrzekł Kerim Shah. – Byłem w drodze ku północy z kilkoma góralami, gdy zostaliśmy napadnięci w zasadzce na przełęczy Shalizah. Wielu mych ludzi zostało zabitych, a resztę przeganiano po całym pogórzu jak szakale. Kiedy przepędziliśmy naszych prześladowców, skręciliśmy ku zachodowi, w kierunku przełęczy Amir Jehun, i dziś o poranku napotkaliśmy bląkającego się po wzgórzach Wazulego. Całkiem oszalał, lecz zanim umarł, wiele się dowiedziałem z jego nieskładnego bełkotu. Dowiedziałem się, że był jedynym ocalałym z bandy, która w ślad za wodzem Afghulich i pojmaną kshatriyaską kobietą podążyła do parowu za wioską Khurum. Sporo paplał o człowieku w zielonym turbanie, którego stratował koń Afghulego, lecz który, gdy został zaatakowany przez ścigających tamtego Wazulich, poraził ich bezimiennym przekleństwem, ścierając ich, jak uderzenie rozwiewanego wiatrem ognia ściera chmurę szarańczy. Jak ów sam jeden człowiek uciekł, tego nie wiem, ani on nie wiedział, ale wiem z jego gadaniny, że w Khurum przebywał Conan z Ghoru ze swą królewską branką. A kiedy przebrnęliśmy przez wzgórze, zaskoczyliśmy pewną nagą dziewczynę Galzai, niosącą tykwę z wodą. Opowiedziała nam, iż została obnażona i zniewolona przez olbrzymiego obcokrajowca w stroju wodza Afghulich, który, jak oznajmiła, dał jej odzienie towarzyszącej mu vendhyańskiej kobiecie. Powiedziała nam, że pojechałeś ku zachodowi.

Kerim Shah nie uznał za konieczne wyjaśnić, że kiedy wrodzy górale zastąpili mu drogę, zmierzał właśnie na umówione spotkanie z oczekiwanymi oddziałami z Secunderamu. Szlak do doliny Gurashah przez przełęcz Shalizah był dłuższy od tego, jaki biegł przez przełęcz Amir Jehun, ale ten drugi przechodził częściowo przez ziemie

Afghulich, których Kerim Shah pragnął uniknąć, dopóki nie przybędzie z wojskiem. Jednakowoż odcięty od drogi shalizackiej zwrócił się ku tej nieużywanej trasie, póki wieść, iż Conan ze swą branką wciąż jeszcze nie dotarł do Afghulistanu, nie skłoniła go, by skrzył ku południu i ruszył brawurowo naprzód w nadziei dogonienia Cimmeryjczyka na pogórze.

– Zatem lepiej powiedz mi, gdzie jest Devi – zasugerował Kerim Shah. – Mamy liczebną przewagę nad tobą...

– Niech no któryś z twoich psów nałoży strzałę, a zrzucę cię z urwiska – zapewnił go Conan. – Tak czy owak, gdybyś mnie zabił, nic by z tego ci nie przyszło. Moim tropem podąża pięciuset Afghulich i gdyby odkryli, że ich okpiłeś, oskórowaliby cię żywcem. Co więcej, nie mam Devi. Znajduje się w rękach Czarnych Wróżów z Yimshy.

– *Na Tarima!* – przeklął cicho Kerim Shah, po raz pierwszy tracąc panowanie nad sobą. – Khemsa...

– Khemsa nie żyje – mruknął gardłowo Conan. – Jego mistrzowie posłali go do piekła na osuwisku skał. A teraz zejdz mi z drogi. Gdybym miał czas, rad byłbym cię zabić, ale jestem w drodze na Yimshę...

– Pojadę z tobą – oznajmił niespodziewanie Turańczyk.

Conan go wyśmiał.

– Myślisz, że bym ci zaufał, ty hyrkański psie?

– Nie proszę cię o to – odparł Kerim Shah. – Obaj chcemy Devi. Znasz mój powód: król Yezdigerd pragnie włączyć jej królestwo do swego imperium, a ją samą do własnego seraju. A jako że poznałem cię jeszcze za dni, gdy byłeś *hetmanem* u *kozaków* ze stepów, stąd wiem, iż masz chrapkę na wielki łup. Chcesz splądrować Vendhyę i wycisnąć ogromny okup za Yasmineę. Cóż, na ten czas, bez złudzeń co

do siebie nawzajem, połączmy siły i spróbujmy uratować Devi przed Wróżami. Jeśli nam się powiedzie i pozostaniemy przy życiu, możemy walczyć o to, kto ją zachowa.

Conan przez chwilę przyglądał się mu badawczo zmrużonymi oczyma, a potem potaknął i uwolnił rękę Turańczyka.

– Zgoda, a co z twymi ludźmi?

Kerim Shah zwrócił się do milczących Irakzaich i przemówił krótko:

– Wódz i ja zmierzamy na Yimshę, by walczyć z czarownikami. Pojedziecie z nami czy zostanieie tu, żeby dać się oskórować Afghulim, którzy ścigają tego człowieka?

Patrzyli na niego oczami przepelnionymi ponurym fatalizmem. Ich los był przesądzony i wiedzieli o tym – wiedzieli, odkąd świszczące strzały czających się w zasadzce Dagozai odepchnęły ich z przełęczy Shalizah. Ludzie z dolnego Zhaibaru prowadzili zbyt wiele zadawnionych krwawych rodowych sporów z plemionami mieszkającymi pośród szczytów. Stanowili bandę zbyt małą, by bez przewodnictwa przebiegłego Turańczyka utorować sobie drogę z powrotem przez wzgórza do wiosek przy granicy. Już uważali siebie za martwych, zatem udzielili odpowiedzi, jaką mogli dać tylko ludzie martwi:

– Pójdziemy z tobą i zginiemy na Yimshy.

– Zatem, w imię Croma, ruszmy się – mruknął gardłowo Conan, wierząc się z niecierpliwością, kiedy tak zaglądał w granatowe otchłanie gęstniejącego zmierzchu. – Moje wilki są o wiele godzin za mną, ale straciliśmy diabelnie dużo czasu.

Kerim Shah wycofał swego rumaka spomiędzy czarnego ogiera i urwiska, schował broń do pochwy i ostrożnie odwrócił konia. Wkrótce banda zmierzała rzędem ścieżką pod górę, tak szybko, jak

tylko się odważyła. Wjechali na grań prawie o milę od miejsca, gdzie Khemsa zatrzymał Conana i Yasmine. Ścieżka, którą przebyli, była niebezpieczna nawet dla górali, i z tego powodu Conan ominął ją tamtego dnia, gdy porywał Yasmine, choć Kerim Shah, podążając jego śladem, obrał ją, bo przypuszczał, że Cimmeryjczyk uczynił podobnie. Nawet Conan odetchnął z ulgą, kiedy konie wdrapały się na ostatnią krawędź. Poruszali się jak widmowi jeźdźcy przez zaczarowane królestwo cieni. Ciche skrzypienie skór i brzęk stali znaczyły drogę ich przejścia. Potem mroczne górskie stoki znów zaległy nagie i ciche w świetle gwiazd.



VIII

YASMINA ZAZNAJE GŁĘBOKIEGO STRACHU



Yasminie starczyło czasu na jeden wrzask, nim poczuła, że ten purpurowy spiralny zwój spowija ją i z przerażającą mocą odrywa od jej obrońcy. Wrzasnęła raz i nagle zabrakło jej powietrza na kolejny krzyk. Została oślepiona, ogłuszona, oniemiała, a w końcu pozbawiona przytomności przez straszliwy pęd powietrza wokół niej. Miała niejasną świadomość oszałamiającej wysokości oraz paraliżującej prędkości. Pomieszane odczucia naturalnych zmysłów przyprawiały o szaleństwo, a potem o zawroty głowy i niepamięć.

Pozostałości owych odczuć wciąż w niej tkwiły, kiedy odzyskała przytomność, więc wykrzyknęła i zacisnęła dziko dłonie, jakby chcąc utrzymać się w rwącym, bezwolnym locie. Jej palce zacisnęły się na miękkiej tkaninie i przeniknęło ją pełne ulgi poczucie stabilności. Rozejrzała się po otoczeniu.

Spoczywała na podwyższeniu okrytym czarnym aksamitem. Podwyższenie to stało w wielkim, zaciemnionym pomieszczeniu, którego ściany obwieszane były mrocznymi gobelinami z pełzającymi po nich smokami, odtworzonymi z odpychającym realizmem. Płające cienie ledwie rysowały się na wysokim suficie, posępna ciemność czająca się w kątach podsyciała wyobraźnię. Zdawało się, że w ścianach nie ma ani drzwi, ani okien, albo też pozostawały ukryte za cienistymi gobelinami. Skąd dochodziło przyćmione światło, tego Yasmina określić nie umiała. Wielka izba stanowiła królestwo tajemnic, cieni i skrytych w mroku sylwetek, w których, przysięgłaby, nie dostrzegła żadnego ruchu, ale które zasiedlały jej umysł niejasnym, bezkształtnym przestraczem.

Jej spojrzenie utkwilo w pewnym konkretnym kształcie. Na innym, mniejszym podwyższeniu z gagatu, oddalonym o parę stóp, siedział ze skrzyżowanymi nogami jakiś człowiek, przypatrujący się jej w zamyśleniu. Długa, czarna aksamitna szata haftowana złotą nicią opadała swobodnie wokół niego, ukrywając sylwetkę. Założone na piersi ręce pozostawały ukryte w rękawach. Na głowie miał aksamitną czapę. Jego twarz była spokojna, łagodna i niebrzydka; oczy błyszczące, lekko skośne. Gdy tak siedział, przypatrując się jej, nie drgnął mu nawet jeden mięsień, a i gdy odzyskała przytomność, wyraz jego twarzy się nie zmienił.

Yasmina poczuła strach pełznący niczym strużka lodowatej wody wzdłuż kręgosłupa. Uniosła się na łokciach i zapatrzyła lękliwie na nieznanego.

– Kim jesteś? – zapytała, a jej głos zabrzmiał słabo i krucho.

– Jestem Mistrzem Yimshy. – Głos miał dźwięczny, o bogatym brzmieniu, niczym łagodne tony dzwonu świątynnego.

– Czemu mnie tu sprowadziłeś? – spytała.

– To nie ty mnie szukałaś?

– Jeżeli jesteś jednym z Czarnych Wróżów... tak! – odparła buńczucznie, uważając, iż tak czy owak może czytać w jej myślach.

Roześmiał się cicho, a wzdłuż jej kręgosłupa znowu przebiegł dreszcz.

– Zwróciłabyś dzikie dzieci pogórza przeciw Wróżom z Yimshy! – uśmiechnął się. – Wyczytałem to w twych myślach, księżniczko. Twój słaby, ludzki umysł wypełniają małostkowe mrzonki o zemście i nienawiści.

– Zabiliście mojego brata! – Narastająca fala gniewu walczyła w niej ze strachem; dłonie zacisnęły się, a gibkie ciało zeszywniało. – Dlaczego go dręczyliście? Nigdy nie uczynił wam krzywdy. Kapłani mówią, że Wróże są ponad ludzkie sprawy. Dlaczego więc zabiliście króla Vendhyi?

– Jak zwykły śmiertelnik może zrozumieć motyw Wróza? – odparł spokojnie Mistrz. – Moi akolici w świątyniach Turanu, którzy są kapłanami za plecami kapłanów Tarima, namawiali mnie, bym opowiedział się po stronie Yezdigerda. Z pewnych własnych powodów ustąpiłem im. Jakże mam wyjaśnić me tajemne pobudki twemu słabemu rozumkowi? Nie zdołałabyś ich pojąć.

– Pojmuję to, że mój brat umarł! – Jej głosem wstrząsała rozpacz i wściekłość. Podniosła się na kolana i wpatrywała w niego szeroko otwartymi, płonącymi oczyma, w owej chwili tak sprężysta i niebezpieczna jak pantera.

– Tak pragnął Yezdigerd – zgodził się łagodnie Mistrz. – Przez chwilę mym kaprysem jest rozwijanie jego ambicji.

– Czy Yezdigerd jest twoim wasalem? – Yasmina próbowała

utrzymać niezmienny tembr głosu. Wcześniej poczuła, iż pod fałdami aksamitu kolanami przyciska coś twardego i symetrycznego. Delikatnie zmieniła pozycję, wsuwając rękę pod fałdę.

– Czy pies, który zżera odpadki na świątynnym podwórzu, jest wasalem boga? – odparł Mistrz. Zdawał się nie zauważać ruchów, które starała się zamaskować. Skryta przez aksamit dłoń zamknęła się na czymś, co rozpoznała jako złoconą rękojeść sztyletu. Pochyliła głowę, by ukryć błysk tryumfu w oczach.

– Jestem znużony Yezdigerdem – oznajmił Mistrz. – Zwróciłem się ku innym atrakcjom... Ha!

Z wściekłym krzykiem Yasmina skoczyła jak bagienny kot, zadając mordercze pchnięcie. Wtem potknęła się i z poślizgiem padła na podłogę, gdzie się skuliła, wpatrując się w człowieka na podwyższeniu. Ten się nie poruszył; jego tajemniczy uśmiech pozostał niezmienny. Drżąc, uniosła rękę i spojrzała na nią rozszerzonymi oczyma. Między palcami nie było sztyletu; zaciskały się one wokół łodygi złotego lotosu, a zgniecione pąki zwisały na zmiażdżonych szypułkach.

Puściła ją, jak gdyby to była zmija, i rzuciła się, by znaleźć jak najdalej od swojego prześladowcy. Wróciła na podwyższenie, gdyż było to przynajmniej bardziej godne królowej niż czołganie się po posadzce u stóp czarnoksiężnika, i spojrzała na niego lękliwie, spodziewając się działań odwetowych.

Mistrz jednak nie wykonał żadnego ruchu.

– Wszelka materia stanowi jedność dla kogoś, kto dzierży klucz do kosmosu – stwierdził niejasno. – Dla odpowiednio biegłego nic nie jest niezmiennie. Na jego życzenie stał rozkwitał pąkami w nienazwanych ogrodach bądź kwiaty-miecze błyskają w świetle księżyca.

– Jesteś diabłem! – załkała.

– Ależ nie! – Roześmiał się. – Urodziłem się na tej planecie, dawno temu. Niegdyś byłem zwykłym człowiekiem i także podczas niezliczonych eonów doskonalenia biegłości nie zatraciłem wszystkich przymiotów człowieczeństwa. Człowiek zanurzający się w mroczną sztukę jest większy od diabła. Mam ludzkie pochodzenie, ale władam demonami. Widziałas Lordów Czarnego Kręgu. Twoja dusza by się rozpadła, gdybyś posłyszała, z jak odległego królestwa ich wezwałem i od jakiego nieszczęsnego losu strzegę z pomocą mego zaczarowanego kryształu i złotych węży. Tylko ja mogę nimi władać. Mój głupi Khemsa zamyślił uczynić się wielkim... Biedny głupiec, rozsadzający materialne drzwi i przerzucający siebie i swą panią w powietrzu ze wzgórza na wzgórze! Jednakże gdyby nie został zniszczony, jego moc mogłaby wzrosnąć i rywalizować z moją.

Roześmiał się ponownie.

– Biedne, niemądre stworzenie! Knułas, jak posłać włochatego góralskiego wodza na Yimshę! Żartem, który mógłbym sam zaplanować, jeśli przyszedłby mi do głowy, jest fakt, iż wpadłaś w jego ręce. A ja wyczytałem w twych dziecinnych myślach zamiar kuszenia go kobiecymi sztuczkami, by osiągnąć swój cel. Ale przy całej swej głupocie jesteś kobietą piękną, na którą miło patrzeć. Mam ochotę zatrzymać cię jako swą niewolnicę.

Na te słowa córka tysiąca dumnych imperatorów sapnęła ze wstydu i wściekłości.

– Nie odważysz się!

Jego drwiący śmiech ciął ją niczym bicz po nagich ramionach.

– Król nie odważy się rozdeptać robaka na drodze! Głupia dziewczyno, nie zdajesz sobie sprawy, że twa królewska duma nie

znaczy dla mnie więcej niż źdźbło szarpane wiatrem? Jestem tym, który zaznał pocałunków królowych Piekieł! Widziałaś, jak rozprawiłem się z buntownikiem!

Wystraszona i przytłoczona dziewczyna skuliła się na pokrytym aksamitem podwyższeniu. Światło w pomieszczeniu pociemniało i stało się bardziej upiorne. Oblicze Mistrza zasnuł mrok. Jego głos przybrał nowy, władczy ton.

– Nigdy ci się nie poddam! – Jej głos drżał ze strachu, lecz pobrzmiwała w nim także stanowczość.

– Poddasz – odrzekł ze strasznym przekonaniem. – Strach i ból cię pouczą. Będę smagał cię okropnościami i uderką do ostatniej krztyny twojej wytrzymałości, dopóki nie staniesz się jak rozpuszczony wosk, który będę giał i kształtował w swych rękach, jak tylko zapragnę. Zaznasz karność, jakiej nie poznała dotąd żadna kobieta śmiertelna, aż moje najdrobniejsze polecenie stanie się dla ciebie niewzruszoną wolą bogów. A na początek, by poskromić twą dumę, wyruszysz wstecz w zapomniane epoki i zobaczysz wszystkie postaci, w których przebywałaś. *Aie, yil la khosa!*

Przy tych słowach ciemne pomieszczenie zawirowało przed oczyma Yasminy, które przepęłniała groza. Włosy na głowie stanęły dęba, a język przywarł do podniebienia. Gdzieś zabrzmiał głęboki, złowieszczy dźwięk gongu. Smoki na gobelinach zajaśniały jak niebieskie płomienie i nagle zniknęły. Mistrz na podwyższeniu stał się jedynie bezkształtnym cieniem. Przyćmione światło ustąpiło miękkiej i gęstej ciemności,omalże namacalnej, która pulsowała osobliwym promieniowaniem. Dziewczyna nie widziała już Mistrza. Nie widziała niczego. Miała przedziwne poczucie, iż ściany i sufit odsuwają się od niej bardzo daleko.

Wtem gdzieś w mroku rozjarzył się ognik, niczym świetlik, który rytmicznie przygasał i przyspieszał. Rozrósł się on do rozmiarów złotej piłki, a jego światło stało się jeszcze jaśniejsze, płomiennie białe. Nagle wybuchło, rozsiewając w ciemności deszcz białych iskier, które nie rozświetliły mroku. Jednak w ciemności niczym powidok pozostała nikła jasność, która oświetliła smukły cienisty pręt strzelający w górę z ciemnej podłogi. Przed rozszerzonymi oczyma dziewczyny rozwinął się i nabrał kształtu. Kiedy pojawiły się łodygi i szerokie liście, a wielkie, czarne trujące pąki uniosły się nad nią, wtuliła się w aksamit. Powietrze wypełnił delikatny zapach. To sylwetka straszego czarnego lotosu wyrosła, gdy nań patrzyła, tak jak rośnie w nawiedzonych, zapomnianych dżunglach Khitaiu.

Szerokie liście szemrały złym życiem. Pąki chyliły się ku niej jak myślące stworzenia, kiwając się w górę i w dół na giętkich szypułkach na podobieństwo węży. Majaczyły nad nią na tle nieprzeniknionej ciemności, olbrzymie, widoczne w mroku w jakiś szalony sposób. Jej umysł zachwiał się od narkotycznej woni, spróbowała więc spełznąć z podwyższenia. Wtem wpiła się w nie, gdyż odniosła wrażenie, iż przechyla się w niemożliwy skos. Wykrzyknęła z przerażenia i kurczowo zacisnęła dłonie na aksamicie, ale czuła, że coś odrywa je bezlitośnie. Odniosła wrażenie, iż cały zdrowy rozum i poczucie stałości rozpadają się i znikają. Stała się drżącym atomem zmysłów pchanym pośród czarnej, ryczącej, lodowatej pustki przez grzmiący wichur, który zagrażał zdławieniem słabego ognika tłącego się życia, niczym świecy zdmuchniętej przez burzę.

Potem nadszedł czas ślepych odruchów i poruszenia, kiedy atom, jakim była, zmieszał się i scalił z niezliczoną liczbą innych atomów życia rodzącego się w fermentującym grzęzawisku istnienia,

kształtowany przez twórcze siły, dopóki nie objawił się znów jako świadoma jednostka pędząca wzdłuż niekończącej się spirali żywotów.

W oparach przerażenia doświadczyła wszystkich swych poprzednich bytów, poznała i *była* ponownie wszystkimi tymi ciałami, które nosiły jej świadomość przez mijające epoki. Znów kaleczyła stopy na długiej, bardzo długiej i nużącej drodze życia, która wychodziła poza nią w niepamiętną Przeszłość. Z powrotem poza najciemniejszymi początkami Czasu przysiadła, drżąc, w pierwotnych dżunglach, ścigana przez drapieżne bestie o ociekających śliną paszczach. Odziana w skóry, przedzierała się zanurzona po uda przez bagniste ryżowe pola, walcząc ze skrzeczącym wodnym ptactwem o cenne ziarna. Trudziła się z wołami, ciągnąc zaostrzony pręt przez oporną glebę, i w nieskończoność kuciała nad krosnami w chłopskich chatach.

Widziała buchające płomieniami, otoczone murami miasta i uciekała, wrzeszcząc, przed zabójcami. Zataczała się naga i krwawiąca po palących piaskach, była wleczona w niewolniczych dybach i zaznała uścisku gorączkowych, gwałtownych dłoni na swym wijącym się ciele; doświadczyła wstydu i udręki brutalnej żądz. Wrzeszczała pod ukąszeniami bata i jęczała na stole tortur; oszalała z przerażenia, walczyła z dłońmi, które nieubłagane składały jej głowę na skrwawionym pniu.

Poznała udręki narodzin dziecka i gorycz zdradzonej miłości. Cierpiała wszelkie zło i niedole oraz okrucieństwa, jakie mężczyzna wyrządzał kobiecie poprzez eony, i znosiła całą niechęć i złośliwość jednej kobiety dla drugiej. I niczym muśnięcie ognistego bicia była podtrzymywana w niej cały czas świadomość bycia Devi. Poznała

wszystkie kobiety, jakimi kiedykolwiek była, wiedząc jednocześnie, iż jest Yasminą. Przytomność umysłu nie opuszczała jej przy spazmach kolejnych wcieleń. W jednym i tym samym czasie była naga, bezwolną nałożnicą płaszczącą się pod biczem i dumną Devi Vendhyi. Cierpiała nie tylko jako niewolna dziewczyna, lecz także jako Yasmina, dla której dumy ta chłosta była jak znakowanie rozgrzanym do białości żelazem.

Jedno życie wlewało się w drugie w rozpędzonym chaosie, każde obciążone brzemieniem niedoli, wstydu i udręki, dopóki niejasno posłyszała własny przeraźliwy wrzask – jakby jeden przeciągły okrzyk cierpienia, rozbrzmiewający echem poprzez wieki.

Wtedy przebudziła się na okrytym aksamitem podwyższeniu w tajemniczej izbie.

W upiornym, mętym świetle znów ujrzała podwyższenie i siedzącą na nim, skrytą pod szatą postać. Okryta kapturem głowa była pochylona, sterczące ramiona słabo widoczne w chwiejnym półmroku. Nawet wyteżając wzrok, nie była w stanie dojrzeć jasno żadnych szczegółów, ale kaptur w miejscu, gdzie wcześniej znajdowała się aksamitna czapa, rozbudził w niej bezkształtny niepokój. Gdy tak patrzyła, owionął ją bezimienny strach, który sprawił, że język przymarzył do podniebienia – uczucie, iż to nie Mistrz siedzi tak cicho na czarnym podwyższeniu.

Wtem owa sylwetka poruszyła się i podniosła do pionu, górując nad nią. Schyliła się, a długie ramiona w szerokich, czarnych rękawach zgięły się, obejmując dziewczynę. Walczyła z nimi oniemiała ze strachu, zaskoczona ich chudością i twardością. Zakapturzona głowa pochyliła się ku jej odwróconej w inną stronę twarzy. Wrzasnęła, potem wrzasnęła ponownie z głębokiego

przestrachu i odrazy. Kościste ramiona pochwyciły jej jędrne ciało, a spod kaptura wyglądało oblicze śmierci i rozkładu – o rysach jak z przegniłego pergaminu na zapleśniałej czaszce. Znow wrzasnęła, a potem, kiedy kłapiąca, wyszczerzona paszcza pochyliła się do jej ust, straciła przytomność.

IX

ZAMEK CZAROWNIKÓW



Słońce wzniosło się nad białymi szczytami Himelianów. U stóp długiego zbocza zatrzymała się grupa jeźdźców, którzy spojrzeli w górę. Wysoko nad nimi, na stoku, dostojnie wznosiła się kamienna wieża. Za nią, powyżej, błyszczały mury większego stołpu, blisko linii, gdzie zaczynała się śnieżna czapa okrywająca wierzchołek Yimshy. Jako całość miały w sobie coś nierzeczywistego – purpurowe

stoki podchodzące do tego fantastycznego zamku, z daleka wyglądającego jak zabawka, a ponad nim lśniący bielą wierzch rozpychający się pośród zimnego błękitu.

– Tutaj zostawimy konie – mruknął Conan. – To zdradzieckie zbocze będzie bezpieczniejsze dla pieszego. Poza tym są wykończone.

Zeskoczył z czarnego ogiera, który stał na szeroko rozstawionych nogach, z opadłym łbem. Przez całą noc parli twardo, przeżuając resztki jedzenia, jakie mieli w sakwach przy siodłach, i przystając tylko po to, by dać koniom wytchnienie, które było im niezbędne.

– Tę pierwszą wieżę obsadzają akolici Czarnych Wróżów – powiedział Conan. – Albo, jak ludzie mówią: psy stróżujące dla swych panów, pomniejsi czarownicy. Nie będą siedzieć, ssąc kciuki, kiedy będziemy się wspinać po zboczu.

Kerim Shah rzucił okiem na górę, a potem wstecz, na drogę, którą przybyli; byli już wysoko na stoku Yimshy, a pod nimi rozpościerała się rozległa połać niższych wierzchów oraz postrzępionych grani. Pośród tego labiryntu Turańczyk na próżno wypatrywał mgnienia barw, które ujawniłoby jakichś ludzi. Widocznie w nocy Afghuli zgubili ślad swojego wodza.

– Pójdźmy zatem.

Uwiązali znużone konie w kępie tamaryszku i bez dalszych komentarzy skierowali się w górę zbocza. Nie mieli żadnej osłony. Był to nagi skos usłany głazami nie dość wielkimi, by ukryć człowieka. Ukrywały jednak coś innego.

Grupa nie przeszła jeszcze pięćdziesięciu kroków, kiedy zza skały wystrzeliła jakaś warcząca postać. Był to jeden z wychudzonych dzikich psów, które są utrapieniem dla górskich wiosek. Jego oczy płonęły czerwienią, a paszcza ociekała pianą. Prowadził Conan, lecz

zwierzę go nie zaatakowało. Śmignęło obok i skoczyło na Kerima Shaha. Turańczyk uskoczył w bok i wielkie zwierzę wleciało na Irakzaiego za nim. Ten zawył i uniósł ramię, które zostało rozdarte kłami, kiedy tylko pies zepchnął go w dół. W następnej chwili pół tuzina talwarów zaczęło siec bestię. Jednak odrażający stwór nie ustawał w wysiłkach, by pochwycić i rozerwać napastników, dopóki nie został dosłownie rozczłonkowany.

Kerim Shah opatrzył rannemu wojownikowi poharatane ramię, popatrzył nań zmrużonymi oczyma i odwrócił się bez słowa. Na powrót dołączył do Conana i wznowili wspinaczkę w milczeniu.

Wkrótce Kerim Shah oznajmił:

– To dziwne, napotkać wiejskiego psa w tym miejscu.

– Tu nie ma żadnych odpadków – mruknął wódz Afghulich.

Obaj odwrócili głowy, by popatrzeć w tył na rannego wojownika, podążającego za nimi z trudem pośród swych towarzyszy. Pot błyszczał na jego ciemnej twarzy, a rozwarte usta, odsłaniające zęby, wykrzywiał grymas bólu. Potem obaj znów spojrzeli na kamienną wieżę górującą nad nimi.

Nad okolicą zapanował senny spokój. Z wieży nie dochodziły żadne oznaki życia, podobnie jak z piramidalnej konstrukcji za nią. Jednakże mężczyźni trudzący się przy wchodzeniu szli w takim napięciu, jak ludzie przechadzający się nad krawędzią krateru. Kerim Shah zsunął potężny turański łuk, który zabijał na pięćset kroków; Irakzai sięgnęli po własne – lżejsze i mniej zabójcze.

Nie znaleźli się jeszcze na odległość strzału z łuku od wieży, gdy coś bez ostrzeżenia runęło z nieba. Przeleciało tak blisko Conana, że poczuł podmuch furkoczących skrzydeł, ale to jeden z Irakzaich zatoczył się i upadł, a krew trysnęła z jego zmasakrowanej szyi.

Jastrząb o skrzydłach jak wybłyszczona stal zerwał się znów do lotu. Krew ściekała mu z podobnego do bułatu dzioba. Kiedy jednak brzęknęła cięciwa łuku Kerima Shaha, zawirował na tle nieba. Potem spadł jak kamień, lecz nikt nie dostrzegł, gdzie uderzył o ziemię.

Conan schylił się nad ofiarą ataku, lecz ta była już martwa. Nikt nie przemówił; nie było po co wyjaśniać faktu, iż nigdy dotąd nie słyszano, by jastrząb rzucił się na człowieka. W dzikich duszach Irackaich wściekłość zaczęła walczyć z fatalistycznym marazmem. Włochate dłonie nałożyły strzały i wszyscy wpatrzyli się mściwie w wieżę, której głęboka cisza z nich drwiła.

Kolejny atak nadszedł szybko i wprost. Widzieli to wszyscy – biały, kulisty kłęb dymu przewalił się przez skraj szczytu wieży i opadł, to płynąc, to znów tocząc się w dół zbocza. Za nim poszły kolejne. Zdawały się nieszkodliwe, zwykłe mętne kule mglistej piany, ale Conan odsunął się na bok, by uniknąć zetknięcia z pierwszą. Za nim jeden z Irackaich wyciągnął rękę i pchnął mieczem chwiejną masę. Natychmiast ścianą góry wstrząsnął przenikliwy odgłos wybuchu. Pojawił się rozbłysk oślepiającego ognia i nagle kulisty kłęb zniknął, a ze zbyt ciekawskiego wojownika pozostała tylko kupka zwęglonych i szerniających kości. Spieczona dłoń nadal ścisnęła rękojeść z kości słoniowej, ale ostrza nie było – stopiło się zniszczone przez straszliwy żar. Jednakże inni, stojący w odległości zasięgu ręki od ofiary, nie ucierpieli, poza tym, że byli oszołomieni i na wpół oślepieni nagłym błyskiem.

– Stal powoduje zapłon – mruknął Conan. – Uwaga... nadlatują!

Zbocze nad nimi było niemal w całości pokryte pieniącymi się kulami. Kerim Shah naciągnął łuk i posłał strzałę w ich masę, a te, których dotknęła, pękały jak bańki, tryskając płomieniem. Inni poszli

za jego przykładem i przez następnych parę minut na zboczu szalała grmiąca burza z zygzakami bijących błyskawic, sypiącymi deszczem iskier. Kiedy zapora zniknęła, w kołczanach łuczników pozostało tylko trochę strzał.

Ponuro parli naprzód, po ziemi zwęglonej i szerniałej tam, gdzie naga skała z miejsca przemieniła się w lawę pod wpływem wybuchu owych diabolicznych bomb.

Właśnie znaleźli się w zasięgu łatwego strzału z łuku od milczącej wieży i rozproszyli szyk. Z napiętymi nerwami gotowi byli na każdą grozę, która mogła zstąpić na nich z góry.

Na szczycie pojawiła się postać wznosząca dziesięciostopowy róg z brązu. Jego głośne huczenie poniosło się donośnym głosem wśród odpowiadających echem zboczy, jak ryk trąb w dniu Sądu Ostatecznego. I uzyskało przerażającą odpowiedź. Podłoże zatrzęsło się pod stopami najeźdźców, a z podziemnych głębin wzniosło się dudnienie i rumor.

Irakzai wrzasnęli, zataczając się jak pijani na drżącym stoku, a Conan z nożem w dłoni i płonącymi oczami śmiało popędził w górę pochyłości wprost do drzwi widocznych w ścianie wieży. Nad nim wielki róg ryczał i huczał okrutną drwiną. I wówczas Kerim Shah odciągnął cięciwę aż do ucha i zwolnił ją.

Tylko Turańczyk mógł oddać taki strzał. Buczenie rogu ucichło nagle, a ze szczytu doszedł wysoki, słabo słyszalny wrzask. Postać na wieży w zielonych szatach zatoczyła się, chwyciwszy za długie drzewce, które drżało jeszcze w jej piersi, i wypadła poprzez blanki. Wielki róg opadł i zawisł chwiejnie między zębami krenelażu, a inna postać w takiej samej szacie pospieszyła, by go pochwycić, wrzeszcząc piskliwie z przerażenia. Turański łuk brzęknął ponownie i znów

odpowiedziało mu zawrodoenie umierającego. Drugi akolita, spadając, potracił róg łokciem i z łoskotem przepchnął go przez blanki. Ten zaś runął i roztrzaskał się o skały daleko w dole.

Conan przebył zbocze z tak gwałtowną prędkością, że zanim klekoczące echo owego upadku ucichło, siekł już drzwi. Ostrzeżony swym dzikim instynktem, cofnął się, gdy z góry chlusnęła fala roztopionego ołowiu. W następnej jednak chwili znów powrócił, atakując ze zdwojoną furią. Był pobudzony faktem, iż wrogowie uciekli się do ziemskiej broni. Czary akolitów miały swe granice. Ich nekromanckie zaplecze mogło być na wyczerpaniu. W górę stoku spieszył Kerim Shah, a za nim jego górale rozrzućeni w półksiężyc. Wypuszczali w biegu strzały, które roztrzaskiwały się o ścianę lub łukiem przelatowały nad blankami.

Ciężkie tekowe drewno ustąpiło pod naporem Cimmeryjczyka i zająrał ostrożnie do środka, spodziewając się wszystkiego. Spoglądał do okrągłej komnaty, z której w górę wychodziły kręte schody. Po przeciwnej stronie ziały otwarte drzwi, odsłaniające zbocze na zewnątrz... oraz plecy pół tuzina postaci w zielonych szatach w całkowitym odwrocie.

Conan zawaył, zrobił krok do wnętrza wieży i wtem wrodzona ostrożność rzuciła nim w tył, właśnie wtedy, gdy wielki kamienny blok opadł z hukiem na podłogę w miejscu, gdzie przed chwilą jeszcze tkwiły jego stopy. Krzycząc na idących za nim, popędził dookoła wieży.

Akolici ewakuowali pierwszą linię obrony. Kiedy Conan okrążył wieżę, ujrzał ich zielone szaty skrzące się w górze przed nim. Ruszył w pościg, dysząc szczerą żądzą krwi, a za nim jeden po drugim nadciągali Kerim Shah oraz Irakzai – ci drudzy zawodzili jak wilki na

widok wrogiego stada. Ich fatalizm ustąpił tymczasem przed chwilowym tryumfem.

Wieża stała na niższym skraju wąskiego płaskowyzu, którego pochyłość była ledwie zauważalna. Kilkaset jardów dalej ów płaskowyz kończył się raptownie rozpadliną, która z dolnych partii pozostawała niewidoczna. Najwyraźniej w tę rozpadlinę skakali akolici, nie zmniejszając prędkości. Ich prześladowcy widzieli zielone szaty łopoczące i znikające za krawędzią.

Kilka chwil później oni sami stanęli na brzegu potężnej fosy, jaka odcinała ich od zamku Czarnych Wróżów. Był to wąwóz o pionowych ścianach, który rozciągał się w obie strony tak daleko jak okiem sięgnąć, opasując górę, szeroki na jakieś czterysta i głęboki na pięćset jardów. A w nim od brzegu do brzegu skrzyła się i migotała dziwna, przejrzysta mgła.

Patrząc w dół, Conan mruknął gardłowo. Daleko pod sobą dojrzał sylwetki odzianych w zielone szaty akolitów poruszających się po migoczącym dnie wąwozu. Ich zarysy falowały, były niewyraźne, jak u postaci widzianych przez głęboką wodę. Szli pojedynczym rzędem, przemieszczając się w kierunku przeciwległej ściany.

Kerim Shah założył strzałę i posłał ją ze świstem w dół. Lecz kiedy weszła we mgłę, która wypełniała rozpadlinę, zdało się, że traci impet i gubi kierunek, schodząc znacząco z linii strzału.

– Jeśli oni zeszli, to my też możemy! – mruknął pod nosem Conan, podczas gdy Kerim Shah ze zdziwieniem spoglądał za swoją strzałą. – Ostatni raz widziałem ich w tym miejscu...

Patrząc spod zmrużonych powiek, ujrzał coś błyszczącego jak złota nici, biegnąca dnem kanionu daleko w dole. Akolici szli jakby śladem owej nici i oto nagle przypomniały mu się tajemnicze słowa Khemisy:

„Podążaj złotą żyłą!”. Przykucnąwszy na brzegu, odnalazł ją tuż pod swą ręką – cienką żyłę skrzącego się złota, biegnącą od wychodni kruszcu do krawędzi i w dół przez srebrzące się dno. Znalazł też jeszcze coś, co przedtem pozostawało dla niego niewidzialne z powodu osobliwego załamania światła. Złota żyła podążała wąską pochylnią, która schodziła w dół do wąwozu, wyposażona we wnęki na uchwyty dla rąk i nóg.

– To tędy zeszli – burknął do Kerima Shaha. – Nie są na tyle biegli, by unieść się w powietrzu. Pójdziemy ich śladem...

W tej właśnie chwili człowiek ugryziony przez wściekłego psa wykrzyknął strasznie i tocząc pianę oraz zgrzytając zębami, skoczył na Kerima Shaha. Turańczyk, szybki na nogach niczym kot, odskoczył w bok i szalenie poleciał głową w przód przez brzeg kanionu. Pozostali pospieszyli do krawędzi i patrzyli za nim w zadziwieniu. Ten spływał powoli w dół przez różową mgiełkę jak człowiek zanurzający się w głębokiej wodzie. Jego kończyny poruszały się niczym u kogoś, kto próbuje pływać, a twarz pod maską szaleństwa wykrzywiła się konwulsyjnie i spurpurowiała. W końcu jego ciało opadło i zaległo nieruchomo na błyszczącym dnie daleko w dole.

– W tej rozpadlinie czai się śmierć – wymamrotał Kerim Shah, odsuwając się od różowej mgły, która migotała prawie u jego stóp. – Co teraz, Conanie?

– Naprzód! – odrzekł posępnie Cimmeryjczyk. – Ci akolici to ludzie; jeśli mgła ich nie zabiła, nie zabije i mnie.

Poprawił pas, a jego dłonie dotknęły tego, który dał mu Khemsa; zmarszczył brwi, po czym uśmiechnął się zimno. Zupełnie o nim zapomniał, jednak śmierć minęła go trzykrotnie, rażąc inną ofiarę.

Akolici dotarli do przeciwległej ściany i przemieszczali się w górę

jak wielkie zielone muchy. Wszedłszy na pochylnię, zaczął ostrożnie schodzić. Różowy obłok rozlał się wokół jego kostek, postępując w górę, w miarę jak on się opuszczał. Sięgnął mu do kolan, ud, do pasa i po pachy. Czuł go tak, jak wilgotną nocą odczuwa się gęstą, ciężką mgłę. Gdy zakrył mu brodę, zawahał się i nagle zanurkował. Natychmiast zabrakło mu tchu; odcięto go od powietrza i poczuł, jak żebra miażdżą mu wewnątrz. Szaleńczym wysiłkiem dźwignął się, walcząc o życie. Uniósł głowę nad powierzchnią i chłonał powietrze wielkimi haustami.

Kerim Shah pochylił się ku niemu i przemówił, ale Conan ani nie słyszał, ani nie zważał na to. Jego myśli uparcie krążyły przy tym, co powiedział mu umierający Khemsa. Cimmeryjczyk wymacał złotą żyłę i odkrył, że podczas schodzenia odsunął się od niej. W pochylni było rozmieszczonych kilka rzędów uchwytów dla rąk. Stając dokładnie na nici, ponownie zaczął schodzić. Różowa mgła uniosła się wokół i pochłonięła go. Wkrótce jego głowa znalazła się pod powierzchnią, lecz on wciąż łykał czyste powietrze. Nad sobą widział towarzyszy spoglądających w dół na niego. Ich twarze rozmyte były przez mgiełkę, która migotała powyżej. Gestem dłoni pokazał im, by poszli za nim, i schodził prędko, nie czekając na to, czy ktokolwiek zastosuje się do jego polecenia.

Kerim Shah bez żadnych uwag schował miecz do pochwy i podążył za nim, a Irakzai, bardziej ze strachu przed tym, że zostaną sami, niż przed potwornościami, jakie mogły czaić się poniżej, rzucili się jego śladem. Każdy trzymał się złotej nici w sposób, jaki widzieli u Cimmeryjczyka.

Wzdłuż opadającej pochylni zeszli na dno wąwozu i przesuwali się po błyszczącej powierzchni, krocząc po złotej żyłce niczym

linoskoczkowie. Było tak, jakby wędrowali niewidzialnym tunelem, w którym powietrze krążyło swobodnie. Wyczuwali śmierć napierającą na nich z każdej strony, ale ta się ich nie miała.

Żyła wpełzała pod górę na podobną pochylnię przy drugiej ścianie do miejsca, gdzie zniknęli akolici, i nią też poszli z napiętymi nerwami, nie wiedząc, co może ich czekać pośród sterczących skalnych ostróg, jakie szczyrzyły się na skraju przepaści.

Czekali na nich odziani w zielone szaty akolici z nożami w dłoniach. Może dotarli do granicy, do której byli w stanie się wycofać. Może stygijski pas wokół talii Conana mógłby wyjaśnić, dlaczego ich nekromanckie czary sprawdzały się tak słabo i tak szybko się wyczerpały. Może to wiedza, iż porażka stanowi wyrok śmierci, sprawiła, że wyskoczyli spośród skał z płonącymi oczyma i skrzącymi się nożami, uciekając się w desperacji do materialnej broni.

Tam, pomiędzy skalnymi występami na skraju przepaści, nie było wojny opartej na sztuce czarnoksiężskiej, lecz wir ostrzy, w którym kęsała prawdziwa stal i lała się prawdziwa krew, gdzie żylaste ramiona zadawały ciosy rwące drżące ciało, ludzie padali i byli tratowani pod stopami, podczas gdy nad nimi gorzała walka.

Jeden z Irakzaich wykrwawił się wśród skał na śmierć, lecz akolici zostali pokonani – pocięci i porżnięci na kawałki lub strąceni za krawędź rozpadliny, by spłynąć ospale na srebrne dno, które błyszczało tak daleko w dole.

Wówczas zwycięzcy strząsnęli krew i pot ze swych oczu i popatrzyli po sobie. Conan i Kerim Shah wciąż stali na nogach, i jeszcze czterech Irakzaich.

Tkwili wśród skalnych zębów, które znaczyły skraj przepaści, a z tego miejsca ścieżka wiła się w górę łagodnego stoku do szerokich

schodów, składających się z pół tuzina stopni liczących po sto stóp, wyciętych z zielonego, podobnego do nefrytu materiału. Prowadziły one na rozległy pomost pozbawionego dachu krużganku z tego samego polerowanego kamienia, a ponad nim piętro za pięciem wznosił się zamek Czarnych Wróżów. Zdawał się wykuty w skale. Jego architektura była doskonała, lecz pozbawiona dekoracji. Wiele okiennych otworów zostało zakratowanych i zasłoniętych od wewnątrz. Nie było śladów życia – przyjaznych ani wrogich.

Poszli ścieżką pod górę w milczeniu, ostrożnie jak ludzie stąpający po gnieździe węża. Irakzai brnęli tępo, jakby maszerowali ku pewnej zagładzie. Nawet Kerim Shah milczał. Tylko Conan zdawał się nieświadom tego, jakież potworne zaburzenie i wyrwę w powszechnym myśleniu i działaniu stanowił ich najazd; cóż za bezprzykładne pogwałcenie tradycji. On nie był ze Wschodu, a wywodził się z rasy, która walczyła z diabłami i czarownikami bez zwłoki i umiejętności, tak jak wojowała z ludzkimi wrogami.

Wkroczył po błyszczących schodach i przez szeroki zielony krużganek prosto w kierunku wychodzących nań okutych złotem tekowych drzwi. Ledwie raz rzucił okiem na wyższe kondygnacje górującej nad nim wielkiej piramidalnej konstrukcji. Sięgnął ręką do spiżowego występu, który sterczał z drzwi niby klamka – nagle się wstrzymał, szczerząc zęby w okrutnym uśmiechu. Klamka wykonana została na kształt węża, z łbem uniesionym na łukowato wygiętej szyi, i Conan nabrał podejrzania, że ów metalowy łeb pod jego ręką w jakiś przerażający sposób ożyje.

Odrąbał go od drzwi jednym ciosem, a brzęk, jaki spiż wydał na szklistej podłodze, nie umniejszył jego ostrożności. Odrzucił go na bok sztychem noża i ponownie zwrócił się ku drzwiom. Nad wieżami

panowała kompletna cisza. W dole pod nimi stoki góry rozpływały się w szkarłatnej mgle. Z każdej strony słońce połyskiwało na otulonych śniegiem wierchach. Wysoko w górze zawisł sęp, niby czarny punkt na zimnym błękitnie nieba. Oprócz niego ludzie przed oprawnymi w złoto drzwiami stanowili jedyną oznakę życia; maleńkie postaci na krużganku z zielonego nefrytu, zawieszonym na zawrotnej wysokości z tym fantazyjnym gmachem z kamienia, górującym nad nimi.

Smagnął ich śnieg niesiony powiewem ostrego wiatru, rozwiewającego łachmany. Kindżał Conana, który łupał drzazgi z tekowych płyt, budził niepokojące echa. Uderzał raz za razem, tnąc jednakowo wypolerowane drewno i metalowe obejmy. Przez strzaskane resztki zajrzał do środka czujny i podejrzliwy niczym wilk. Zobaczył obszerną komnatę z wygładzonego kamienia o nieprzyozdobionych ścianach i mozaikowej, niewyłożonej niczym posadzce. Jedyne meblowanie tworzyły przysadziste stołki z polerowanego hebanu oraz kamienne podwyższenie. W pomieszczeniu nie było oznak ludzkiej obecności. W ścianie naprzeciwko widniały drugie drzwi.

– Zostaw na zewnątrz człowieka do pilnowania – mruknął Conan. – Wchodzę.

Kerim Shah wyznaczył do tego jakiegoś wojownika i ów człowiek wycofał się z łukiem w ręce ku środkowi krużganka. Conan wkroczył do zamku, a Turańczyk i trzech pozostałych Irakzaich poszli za nim. Ten na zewnątrz splunął, mruknął coś pod nosem i wzdrygnął się, kiedy do jego uszu dobiegł niski, drwiący śmiech.

Uniósł głowę i na kondygnacji ponad sobą ujrzał wysoką, odzianą w czarne szaty postać, która patrząc w dół, potakiwała z lekka głową. Cała jej postawa wyrażała kpinę i złośliwość. Irakzai napiął łuk i wystrzelił szybko jak błyskawica, a strzała śmignęła w górę, by

uderzyć wprost w okrytą czarną szatą pierś. Drwiący uśmiech się nie zmienił. Wróżbita wyszarpnął pocisk i odrzucił go w łucznika, nie tak, jak ciska się bronią, lecz pogardliwym gestem. Irakzai uchylił się, wyrzucając odruchowo rękę w górę. Jego palce zamknęły się na koziołkującym drzewcu.

Wtem krzyknął przenikliwie. W jego dłoni drewniana strzała zaczęła się nagle *wić*. Dotąd sztywna, stała się giętka, rozpuszczając się w uścisku. Spróbował odrzucić ją od siebie, ale było już za późno. W nieosłoniętej ręce trzymał skręcającego się węża, który owinał mu się wokół nadgarstka, a straszny, klinowaty łeb wystrzelił ku umięśnionemu ramieniu. Irakzai wrzasnął ponownie; twarz mu spurpurowiała, a oczy wyszły na wierzch. Wstrząsany okropnymi konwulsjami opadł na kolana, a następnie legł nieruchomo.

Ludzie wewnątrz odwrócili się na pierwszy okrzyk. Conan kilkoma pospiesznymi susami zbliżył się do roztrzaskanego wejścia i nagle stanął w miejscu, zakłopotany. Mężczyźni za nim odnieśli wrażenie, że zмага się z samym powietrzem. Jednak choć nie widział niczego, pod palcami miał gładką, równą, twardą powierzchnię i pojął, iż w progu opuszczono kryształową tafelę. Dostrzegł przez nią Irakzaiego leżącego bez ruchu na szklistym krużganku ze zwyczajną strzałą tkwiącą w ręce. Naturalnie nie widział człowieka na kondygnacji poniżej.

Conan uniósł nóż i ciął, a oglądający to oniemieli, widząc jego cios zatrzymany wyraźnie w pół drogi, z głośnym brzękiem stali, która napotkała niepoddającą się jej materię. Nie marnował więcej sił. Wiedział, że nawet legendarny talwar Amira Khuruma nie zdołałby rozbić tej niewidzialnej bariery.

W kilku słowach wyjaśnił sprawę Kerimowi Shahowi. Turańczyk

wzruszył ramionami.

– Cóż, jeśli zatarasowano nam wyjście, musimy znaleźć inne. Tymczasem nasza droga wiedzie w przód, czyż nie?

Cimmeryjczyk mruknął głucho i zdecydowanym krokiem przeszedł komnatę do drzwi po przeciwnej stronie z poczuciem, iż wstępuje w progi zagłady. Kiedy uniósł nóż, by roztraskać drzwi, te otwarły się cicho, jakby z własnej woli. Wkroczył do wielkiej sali, otoczonej wysokimi szklistymi kolumnami. O sto stóp od drzwi rozpoczynały się szerokie zielononefrytowe stopnie schodów, które zbiegały się ku szczytowi jak bok piramidy. Co znajdowało się za schodami, tego stwierdzić nie potrafił, jednak między nim a ich migoczącym podnóżem stał przedziwny ołtarz z błyszczącego czarnego nefrytu. Ołtarz oplatały cztery wielkie, złote węże, które unosiły klinowate łby, zwracając je w cztery strony świata niby zakłęci strażnicy bajecznego skarbu. Niemniej na ołtarzu stała jedynie kryształowa kula, wypełniona mglistą, przypominającą dym substancją, w której unosiły się cztery złote jabłka granatu.

Widok ten rozbudził w jego umyśle jakieś niewyraźne wspomnienie; potem nie zaprzętał już sobie głowy ołtarzem, gdyż na niższych stopniach schodów pojawiły się cztery postaci w czarnych szatach. Nie widział, jak nadchodzą. Po prostu tam byli – wysocy, chudzi, jednako potakujący sępimi głowami, ze stopami i dłońmi skrytymi przez luźne odzienie.

Jeden uniósł rękę, a rękaw opadł, odsłaniając jego dłoń... i to wcale nie była dłoń. Conan zatrzymał się w pół kroku, przymuszony wbrew swej woli. Napotkał siłę różniącą się nieznacznie od hipnozy Khemsy i nie był w stanie posuwać się naprzód, choć czuł, że zdołałby się wycofać, gdyby zechciał. Jego towarzysze także się zatrzymali i

wydawali się jeszcze bardziej bezradni niż on, niezdolni poruszyć w którąkolwiek stronę.

Wróż, którego ramię pozostawało wzniesione, przywołał gestem jednego z Irakzaich, a ten ruszył w jego kierunku jak człowiek w transie, z nieruchomym i wbitym weń spojrzeniem oraz ostrzem wiszącym w bezwładnej dłoni. Kiedy przeszedł obok Conana, Cimmeryjczyk położył rękę na jego piersi, by go powstrzymać. Był o tyle silniejszy od Irakzaiego, że w zwykłych okolicznościach mógłby gołymi rękami skrócić mu kark. Jednakże teraz umięśnione ramię zostało odepchnięte jak źdźbło trawy, a Irakzai zmierzał w kierunku schodów bezwiednym, urywanym krokiem. Dotarł do stopni i ukląkł sztywno, oddając swe ostrze i pochylając głowę. Wróż wziął miecz, który błysnął, gdy machnął nim w górę i w dół. Głowa Irakzaiego stoczyła się z ramion i z głuchym tąpnięciem uderzyła ciężko o czarną marmurową posadzkę. Z rozciętych arterii trysnął łukiem strumień krwi. Ciało opadło gwałtownie i zaległo z szeroko rozrzuconymi rękami.

Zniekształcona dłoń ponownie uniosła się i skinęła, a następny Irakzai ruszył chwiejnym krokiem ku zagładzie. Upiorna scena rozegrała się raz jeszcze i kolejna bezgłowa postać zaległa obok pierwszej.

Kiedy trzeci góral przeszedł ciężko obok Conana, idąc na śmierć, Cimmeryjczyk, którego żyły na skroniach nabrzmiały od wysiłków dla przełamania trzymającej go niewidzialnej bariery, nagle zdał sobie sprawę ze sprzyjającej siły, niewidocznej, lecz budzącej się do życia wokół niego. Ta świadomość przyszła bez ostrzeżenia, lecz z taką mocą, że nie mógł wątpić w swe przecucie. Jego lewa ręka bezwiednie wsunęła się pod pas bakhariocki i zamknęła na stygijskim.

I kiedy ją zacisnął, poczuł nową siłę i moc przepływającą w jego odrętwiałych członkach; wola życia pulsowała białym, pełnym żaru ogniem, do którego swą intensywność dostroił płonący gniew.

Trzeci Irakzai stał się bezgłowym trupem, a ohydny palec wznosił się ponownie, kiedy Conan poczuł, jak rozrywa się niewidzialna bariera. Gdy skoczył w nagłym wybuchu spętanej dotąd gwałtowności, z ust buchnął mu bezwiedny, wściekły krzyk. Jak tonący, który ściska pływającą kłodę, tak on zacisnął lewą dłoń na pasie czarnoksiężnika, a kindżał w prawej był niczym błysk światła. Ludzie na schodach się nie poruszyli. Patrzyli spokojnie, cynicznie; jeśli zostali zaskoczeni, nie okazali tego. Conan nie pozwalał sobie na rozmyślanie, co może się zdarzyć, kiedy znajdą się w zasięgu jego noża. Krew łomotała mu w skroniach, a purpurowa mgła zasnuła oczy. Rozpalała go żądza mordu – wrazić swój nóż głęboko w ciało i kości i przekręcić ostrze we krwi i wnętrznościach.

Kolejny tuzin kroków doprowadziłby go do schodów, gdzie tkwiły szydzące demony. Nabrał głęboko powietrza, a wraz z rosnącym pędem jego szarży narastała w nim wściekła furia. Właśnie przemykał obok ołtarza ze złotymi węzami, kiedy przez myśl przebiegły mu jak grom z jasnego nieba tak żywe, jakby wypowiedane wprost do ucha, tajemnicze słowa Khemisy: *Zbij kryształową kulę!*

Jego reakcja była omalże bezwiedna. Wykonanie podążyło za owym impulsem tak spontanicznie, iż największy z czarnoksiężników epoki nie miałby czasu, by odczytać jego myśli i zapobiec działaniu. Porzuciwszy szaleńczą szarżę, odwrócił się niczym kot, zamachnął nożem i roztrzaskał kryształ. Natychmiast powietrze zadrżało od fali trwogi – czy ze schodów, z ołtarza albo z samego kryształu, tego nie potrafił powiedzieć. Jego uszy wypełnił syk, kiedy złote węze,

pulsujące odrażającym życiem, zwinęły się i uderzyły na niego. Ale on był rozpedzony do prędkości oszalałego tygrysa. Wir stali przecinał się przez obrzydliwe korpusy, które sunęły w jego stronę, i znów smagnął kryształową kulę, i jeszcze raz. I ta wybuchła z hukiem grzmotu, rozsiewając ogniste okruchy po czarnym marmurze, a złote jabłka granatu, jak gdyby wypuszczone z niewoli, wystrzeliły w górę ku wyniosłemu sufitowi i zniknęły.

Obłąkany wrzask, zwierzęcy i upiorny, rozszedł się echem w wielkiej sali. Na stopniach, skręcając się w konwulsjach, wiły się cztery postaci w czarnych szatach, a z ich posiniałych ust skapywała piana. Wtem z jednym szaleńczym crescendo nieludzkiego zawodzenia zeszywnieli i zalegli nieruchomo, a Conan wiedział, że nie żyją. Zapatrzył się na ołtarz i kryształowe okruchy. Cztery bezgłowe, złociste węże wciąż oplatały ołtarz, ale żadne obce życie nie ożywiało teraz matowego metalu.

Kerim Shah podniósł się z wolna z kolan, na które rzuciła go jakaś niewidzialna siła. Potrząsnął głową, aby pozbyć się dzwonięcia w uszach.

– Słyszałeś ten huk, gdy uderzyłeś? Kiedy kula wybuchła, to jakby tysiąc kryształowych tafli zostało strzaskanych w całym zamku. Czy to dusze czarowników były uwięzione w tych kulach?... Ha!

Kiedy Kerim Shah wyciągnął miecz i coś nim wskazał, Conan się odwrócił.

Na szczycie schodów stała kolejna postać. Jej szata była również czarna, ale wykonana z bogato haftowanego aksamitu, a na głowie miała także aksamitną czapę. Jej twarz była spokojna, łagodna i niebrzydka.

– Kim jesteś, u diabła? – natarł Conan, wpatrując się w niego z

nożem w ręce.

– Jestem Mistrzem Yimshy! – Głos tamtego był jak dźwięk świątynnego dzwonu, pobrzmiwała w nim nuta okrutnej radości.

– Gdzie jest Yasmina? – dopytywał Kerim Shah.

Mistrz ich wyśmiał.

– Na co ci to, trupie? Czyżbyś tak szybko zapomniał o mej sile, której niegdyś ci użyczyłem, że przybyłeś uzbrojony walczyć ze mną, biedny głupcze? Sądzę, że odbiorę ci serce, Kerimie Shahu!

Wysunął dłoń, jakby po to, by coś przyjąć, i Turańczyk wykrzyknął ostro niczym człowiek w śmiertelnej udręce. Zatoczył się jak pijany i wtem jego pierś wybuchła deszczem krwi, syjąc okruchami kości spomiędzy rozdartych mięśni i ciała oraz porozrywanych oczek kolczugi. I przez ten upiorny otwór coś czerwonego, ociekającego krwią wystrzeliło w powietrze, w wyciągniętą dłoń, jak kawał żelaza skacze w stronę magnesu. Turańczyk opadł na podłogę i zaległ nieruchomo, a Mistrz roześmiał się i cisnął coś pod stopy Cimmeryjczyka – wciąż jeszcze bijące ludzkie serce.

Z rykiem i przekleństwem Conan popędził na schody. Z pasa Khemisy poczuł siłę i nieśmiertelną nienawiść, przepływającą przez niego dla zwalczenia straszliwego wpływu mocy, jaką napotkał na stopniach. Powietrze wypełniło się migoczącą stalowo mgiełką, w którą zanurzył się jak pływak w przybój, z opuszczoną głową, lewym ramieniem zgiętym, by zasłonić twarz, i ściśniętym, trzymanym nisko w prawej ręce nożem. Jego na wpół oślepie oczy, spozierając sponad ugiętego łokcia, z trudem wypatrzyły sylwetkę Wróza powyżej, tuż przed nim. Jego kontur falował, jak odbicie faluje w zmaconej wodzie.

Szarpany i rozrywany przez moce będące poza jego pojmowaniem, czuł wszak nie tylko swoją, ale i napływającą z zewnątrz siłę,

unoszącą go nieubłaganie w górę i naprzód, mimo potęgi czarownika i własnej męki.

Wkrótce dotarł na szczyt schodów i tuż przed nim zafalowała w stalowej mgle twarz Mistrza, a jego nieprzeniknione oczy zasnuł dziwny strach. Conan przebrnął przez mgłę niczym przez fale i jego nóż skoczył w górę jak żywe stworzenie. Ostry sztych rozpruł szatę Mistrza, podczas gdy on sam uskoczył w tył z przytłumionym krzykiem. Wtem na oczach Cimmeryjczyka czarownik zniknął – po prostu przepadł jak pękająca mydlana bańka, a coś długiego, poruszającego się falującym ruchem pomknęło w górę jednymi z mniejszych schodów odchodzących w lewo i prawo od podestu.

Conan popędził za nim – w górę schodami po lewej – niepewny tego, co widział – chlastającego stopnie, wspinającego się stwora – lecz był w bojowym szale, w którym utonęły wszelkie mdłości i groza odzywające się w głębi świadomości.

Zagłębił się w szeroki korytarz, którego niepokryte niczym ściany i posadzka wykonane były ze szlifowanego nefrytu, a coś długiego, szybkiego śmignęło tymże korytarzem przed nim w przesłonięte kotarą drzwi. Z komnaty za nimi rozbrzmiał wrzask wywołany panicznym strachem. Dźwięk ten dodał skrzydeł Conanowi, który szaleńczo rzucił się przez zasłonę wprost do komnaty za nią.

Jego oczom ukazała się straszliwa scena. Yasmina, skulona na najdalszym skraju okrytego aksamitem podwyższenia, wrzeszczała z odrazy i przerażenia, z ramieniem uniesionym jakby dla odparcia ataku, podczas gdy przed nią na wygiętej w łuk błyszczącej szyi wznoszącej się ponad ciemno połyskującymi splotami kołysał się ohydny łeb olbrzymiego węża. Conan rzucił nożem ze zdławionym krzykiem.

Potwór natychmiast się okręcił i napał na niego niczym pęd wiatru przeczesujący wysoką trawę. Kindżał kołysał się w jego szyi – sztych wystawał na stopę po jednej, a rękojeść i reszta ostrza na szerokość dłoni po drugiej stronie. Lecz zdało się, że to tylko rozwścieczyło olbrzymiego gada. Wielki łeb górował nad stojącym przed nim człowiekiem i nagle wystrzelił ku niemu z rozwartymi szeroko szczękami, opływającymi jadem. Ale Conan wyszarpnął zza pasa sztylet i dźgnął nim pod górę w opadający łeb. Sztych rozdarł dolną i przeszył górną szczękę, spinając je razem. W następnej chwili wielki korpus zapętlił się wokół Cimmeryjczyka, gdyż wąż, nie mogąc skorzystać z kłów, użył do ataku reszty swego cielska.

Lewe ramię Conan miał unieruchomione pomiędzy miażdżącymi splotami, ale prawe pozostało wolne. Wsparł się mocno na szeroko rozstawionych stopach, by zachować pion, wyciągnął dłoń przed siebie, pochwycił rękojeść kindżału sterczącą z karku węża i wyrwał go wraz z deszczem krwi. Jak gdyby przeczuwając jego zamiar z czymś więcej niż zwierzęcym instynktem, gad zwinął się i naprężył, aby zarzucić sploty wokół jego prawego ramienia. Jednak kindżał wzniósł się i opadł z prędkością światła, przecinając olbrzymi korpus w połowie długości.

Zanim zdążył uderzyć ponownie, giętkie zwoje opadły, a potwór powlókł się po podłodze, bluzgając krwią z koszmarnych ran. Conan skoczył za nim ze wzniesionym nożem, lecz zajadły cios przeciął tylko powietrze, gdyż wąż odpełził, wijąc się, i pchnął tępym nosem pokrytą boazerią ściankę działową z drewna sandałowego. Jeden z paneli odchylił się do środka i długie, broczące krwią cielsko wsunęło się tam i przepadło.

Conan natychmiast natarł na ściankę. Rozrąbał ją kilkoma ciosami i

zajrzał do mrocznej alkowy za nią. Nie było tam żadnych straszliwych zwojów; marmurową posadzkę znaczyła posoka. Krwawe ślady wiodły do obwiedzionych portalem tajemniczych drzwi. Były to ślady bosych ludzkich stóp...

– *Conanie!*

Odwrócił się w stronę komnaty, akurat by pochwycić w ramiona Devi Vendhyi, kiedy ta, pędząc przez izbę, rzuciła się ku niemu i objęła jego kark gorączkowym uściskiem, ogarnięta na wpół histerycznym przerażeniem, a na wpół wdzięcznością i ulgą.



Wszystko, co zaszło, zagotowało jego dziką krew do granic możliwości. Przycisnął ją do siebie w uścisku, który innym razem przyprawiłby ją o bolesne skrzywienie, i przygniół jej wargi swoimi. Dziewczyna się nie opierała; Devi zginęła pod kobietą pierwotną. Zamknęła oczy i spijała jego gwałtowne, gorące, samowolne

pocałunki z całym oddaniem dla namiętnego pragnienia. Dyszała w jego uścisku, gdy przerwał, by zaczerpnąć tchu, i popatrzył na nią, bezwładną w jego potężnych ramionach.

– Wiedziałaś, że przyjdiesz – wymamrotała. – Nie zostawiłbyś mnie w tym diabelskim gnieździe.

Na te słowa przypomniał sobie nagle, jaka jest ich sytuacja. Uniósł głowę i nasłuchiwał bacznie. W zamku na Yimshy panowała cisza, lecz była to cisza przesycona groźbą. W każdym kącie czaiło się niebezpieczeństwo, pożądliwie przypatrywało się zza każdej zasłony.

– Lepiej chodźmy, póki możemy – mruknął. – Te nacięcia starczyłyby, żeby zabić każde zwykłe zwierzę lub *człowieka*, ale czarownik ma tuzin żywotów. Zrań takiego, a on odpełza jak kaleki wąż, by nabrać świeżego jadu z jakiegoś magicznego źródła.

Podniósł dziewczynę i niosąc ją na rękach jak dziecko, wyszedł na połyskujący nefrytowy korytarz i schody, z nerwami wyczulonymi na każdy znak lub dźwięk.

– Spotkałam samego Mistrza Yimshy – wyszeptała, z drżeniem przyciskając się do niego mocniej. – Rzucił na mnie czary, by złamać moją wolę. Najstraszniejszy był rozkładający się trup, który pochwycił mnie w ramiona... Wtedy zemdlałam i leżałam jak nieżywa, nie wiem jak długo. Krótco po odzyskaniu przytomności postyszałam na dole odgłosy walki i krzyki, a potem ten wąż wślizgnął się przez zasłonę... Och! – Otrząsnęła się na wspomnienie owej grozy. – W jakiś sposób wiedziałam, że to nie było złudzenie, lecz prawdziwy wąż, który czyha na moje życie.

– Przynajmniej to nie był zwid – odrzekł Conan tajemniczo. – Wiedział, że został pobity, i zdecydował, że lepiej cię zabić, niż pozwolić, by cię ocalono.

– Co masz na myśli? Jaki on? – zapytała niespokojnie, a potem krzyknęła i skuliła się wsparta o niego, zapomniawszy o swym pytaniu. Widziała zwłoki u stóp schodów. Na ciała Wróżów było nieprzyjemnie patrzeć, gdy tak leżały powykęcane i wykrzywione. Ich dłonie i stopy wystawione zostały na widok, od którego Yasmina zsiniała i ukryła twarz w potężnym ramieniu Conana.



X

YASMINA I CONAN



Conan dość szybko przeszedł salę, przeciął komnatę przy wejściu i niepewnie zbliżył się do drzwi prowadzących na krużganek. Wówczas zauważył, iż podłoga zasypana jest maleńkimi błyszczącymi okruchami. Tafla zagrządzająca przejście rozpadła się na kawałki, a on przypomniał sobie huk, jaki towarzyszył roztrzaskaniu kryształowej kuli. Stwierdził, że w owej chwili pękł każdy kawałek kryształu w zamku, a jakiś niejasny instynkt czy wspomnienie ezoterycznej wiedzy mgliście podpowiadały prawdę o potwornym związku pomiędzy Lordami Czarnego Kręgu a złotymi jabłkami granatu. Poczł, jak zimny dreszcz jeży mu włoski na karku, i pospiesznie oczyścił myśli z tej kwestii.

Kiedy wyszedł na zielony, nefrytowy krużganek, odetchnął głęboko z ulgą. Nadal miał do przejścia rozpadlinę, ale przynajmniej mógł spojrzeć na białe wierchy połyskujące w słońcu oraz rozległe stoki rozplywające się w odległych niebieskich mgłach.

Irakzai leżał tam, gdzie padł – paskudna plama na szklistej, gładkiej powierzchni. Krocząc przed siebie krętą ścieżką, Conan z zaskoczeniem zauważył pozycję słońca. Nie minęło jeszcze zenitu, a odniósł wrażenie, że odkąd zagłębił się w trzewiach zamku Czarnych Wróżów, minęło wiele godzin.

Czuł konieczność pośpiechu, nie zwykłą ślepą panikę, ale podpowiedź instynktu o niebezpieczeństwie narastającym za jego plecami. Yasminie nie powiedział nic, a ona zdawała się zadowolona, moszcząc swą ciemną głowę na jego wypukłej piersi, i rada opinającej ją klamrze jego stalowych ramion. Cimmeryjczyk zatrzymał się na chwilę na brzegu wąwozu, spoglądając krzywo w dół. Wirująca tam mgła nie była już różowawa ani iskrząca. Stała się mętna, ciemna i upiorna, niczym przebłyskujące fale strzępków życia w rannym człowieku. Conanowi nasunęła się niewyraźna myśl, iż czary magów są mocniej związane z ich indywidualnym bytem aniżeli działania zwykłych ludzi ze swymi wykonawcami.

Jednak daleko w dole dno błyszczało niczym zmatowiałe srebro, a złota nić skrzyła się niezaćmiona. Conan przesunął Yasminę na ramię, gdzie zaległa potulnie, i zaczął schodzić. Pospiesznie zstępował po pochylni i pospiesznie przemknął po rozbrzmiewającym echem dnie. Nabrał przekonania, że ścigają się z czasem; że możliwość przeżycia zależy od przekroczenia tego wąwozu grozy, zanim ranny Mistrz zamku odzyska dość siły, by zrzucić na nich jakieś nowe nieszczęścia.

Kiedy wdrapał się na przeciwną pochylnię i wyszedł na brzeg,

odetchnął głęboko z ulgą i postawił Yasminę na ziemi.

– Odtąd idziesz sama – oznajmił. – Przez całą drogę jest z górki.

Ukradkiem rzuciła okiem przez rozpadlinę na połyskującą piramidę. Na tle ośnieżonego zbocza wznosiła się niczym cytadela milczenia i odwiecznego zła.

– Jesteś magiem, skoro pokonałeś Czarnych Wróżów z Yimshy, Conanie z Ghoru? – zapytała, idąc ścieżką, z mocnym ramieniem opasującym ją w talii.

– To pas, który dał mi Khemsa, zanim skołał – odrzekł. – Tak, znalazłem go na szlaku. To osobliwy przedmiot. Pokażę ci, jak znajdę czas. Przeciw niektórym czarom był słaby, lecz przeciw innym okazał się mocny, a dobry nóż jest zawsze potężną inkantacją.

– Ale jeśli pas pomógł ci pokonać Mistrza – rozważała – czemu nie pomógł Khemsie?

Potrząsnął głową.

– Kto wie? Khemsa był niewolnikiem Mistrza i może to osłabiło jego magię. Nade mną nie miał takiej władzy jak nad Khemszą. Jednak nie mogę powiedzieć, iż go pokonałem. Wycofał się, lecz czuję, że nie po raz ostatni go widzieliśmy. Chcę, aby od jego gniazda oddzielało nas tyle mil, ile tylko się da.

Dalszą ulgę przyniosło mu odnalezienie koni przywiązanych pośród tamaryszków, tak jak je zostawił. Uwolnił je prędko i dosiadł czarnego ogiera, posadziwszy dziewczynę przed sobą. Pozostałe konie, odświeżone po odpoczynku, ruszyły za nimi.

– I co teraz? – zapytała? – Do Afghulistanu?

– Nie tak od razu! – Uśmiechnął się złowrogo. – Ktoś, może gubernator, zabił moich siedmiu naczelników. Moi głupi stronnicy myślą, że miałem z tym coś wspólnego, i jeśli nie zdołam ich

przekonać, że jest inaczej, będą polować na mnie jak na rannego szakala.

– Zatem co ze mną? Jeżeli naczelnicy są martwi, jako zakładnik jestem dla ciebie bezużyteczna. Zabijesz mnie, żeby ich pomścić?

Spojrzał na nią oczami płonącymi niepokohamowaną zawziętością i roześmiał się na jej sugestię.

– Jedźmy zatem do granicy – rzekła. – Tam będziesz bezpieczny przed Afghulimi...

– Tak, na vendhyańskim stryczku.

– Jestem królową Vendhyi – przypomniała mu lekko władczym tonem. – Ocaliłeś me życie i przynajmniej po części pomściłeś mego brata. Zostaniesz wynagrodzony.

Nie chciała, żeby zabrzmiało to w ten sposób, a zirytowany Conan zaraz burknął gardłowo:

– Zachowaj tę hojność dla swych mieszczańskich psów, księżniczko! Ty jesteś królową równin, a ja jestem wodzem wzgórz i nawet na krok w stronę granicy cię nie zabiorę!

– Byłbyś bezpieczny... – zaczęła zdezorientowana.

– A ty stałabyś się ponownie Devi – wtrącił. – Nie, dziewczyno. Wolę cię taką, jaka jesteś teraz, kobietą z krwi i kości, jadącą na łęku mego siodła.

– Lecz przecież nie możesz mnie *zatrzymać!* – krzyknęła. – Nie możesz...

– Pożyjesz, zobaczysz! – doradził złowrogo.

– Ale ja zapłacę ci olbrzymi okup...

– Niech diabli wezmą twój okup! – odrzekł szorstko, a jego ramię wokół jej gibkiej talii zacisnęło się mocniej. – Królestwo Vendhyi nie może dać mi nic, czego pożądałbym w połowie tak bardzo, jak pragnę

ciebie. Porwałem cię, ryzykując gardło; jeżeli twoi dworacy chcą cię z powrotem, niech przybędą na Zhaibar i walczą o ciebie.

– Ale nie masz już stronników! – zaprotestowała. – Jesteś ścigany. Jak będziesz w stanie chronić swe życie, a tym bardziej moje?

– Wciąż mam przyjaciół na pogórzach – odrzekł. – Pewien wódz Khurakzaich przetrzyma cię bezpiecznie, gdy ja będę toczył spory z Afghulimi. Jeśli mnie odrzucą, na Croma, pojadę z tobą ku północy, na stepy *kozaków*. Nim wyjechałem ku południu, byłem *hetmanem* wśród Wolnych Towarzyszy. Uczynię cię królową nad rzeką Zaporoską!

– Ale ja nie mogę! – sprzeciwiła się. – Nie wolno ci mnie przetrzymywać...

– Jeśli ten pomysł jest tak odstręczający – stwierdził – to dlaczego tak chętnie mi się poddajesz?

– Nawet królowa jest człowiekiem – odparła, czerwieniąc się. – Jednak ponieważ jestem królową, muszę mieć wzgląd na me królestwo. Nie uprowadzaj mnie do jakiegoś obcego kraju. Wracaj ze mną do Vendhyi!

– A uczyniłabyś mnie swym królem? – spytał ironicznie.

– Cóż, są pewne zwyczaje... – zająknęła się, a on przerwał jej twardym śmiechem.

– Tak, cywilizowane zwyczaje, które nie pozwolą ci zrobić tego, czego pragniesz. Wyjdiesz za mąż za jakiegoś starego, zeschniętego króla z równin, a ja pójdę swą drogą, mając tylko wspomnienie kilku pocałunków skradzionych pośpiesznie z twych ust? Ha!

– Ale ja muszę wrócić do swego królestwa! – powtórzyła bezradnie.

– Czemu? – zapytał ze złością. – By ogrzewać pocierane tyłkiem złote trony i słuchać entuzjastycznego poklasku protekcjonalnie

uśmiechniętych głupców w aksamitnych sukniach? Gdzie w tym korzyść? Posłuchaj: urodziłem się na cimmeryjskich wzgórzach, gdzie wszyscy ludzie są barbarzyńcami. Byłem najemnym żołnierzem, korsarzem, *kozakiem* i robiłem setkę innych rzeczy. Który król przewędrował kraje, stoczył bitwy, kochał kobiety i zdobył takie łupy jak ja? Przybyłem do Ghulistanu, by zebrać horde i ograbić królestwa na południu, między innymi twoje. Zostanie wodzem Afghulich było tylko początkiem. Jeżeli zdołam pojednać się z nimi, w ciągu roku będę miał tuzin idących za mną plemion. Aczkolwiek jeśli nie zdołam, pojedę z powrotem na stepy i wraz z *kozakami* splądruję turańskie pogranicze. A ty pojedziesz ze mną. Do diabła z twoim królestwem; potrafili zadbać o siebie, zanim się urodziłaś.

Leżała w jego ramionach, patrząc nań, i poczuła w duchu ochotę, nieobyczajne, zuchwałe pragnienie, które dorównywało jego pragnieniu, i przez nie właśnie zbudzone do życia. Jednak tysiąc pokoleń monarchii okazało się dla niej niewygodnym ciężarem.

– Nie mogę! Nie mogę! – powtarzała bezsilnie.

– Nie masz wyboru – stwierdził. – Zrobisz... Co, u diabła?!

Yimshę zostawili o kilka mil za sobą i obecnie jechali wzdłuż wysokiej grani oddzielającej dwie głębokie doliny. Właśnie wspięli się na stromy grzbiet, skąd mogli spojrzeć w dolinę po prawej stronie. A tam toczyła się bitwa na całego. Silny wicher dął w przeciwną stronę, unosząc odgłosy z dala od ich uszu, lecz mimo to z dołu wznosił się szczęk stali i grzmot kopyt.

Widzieli błysk słońca na grotach lanc i szłomach. Trzy tysiące opancerzonych konnych pędziło przed sobą bandę obdartych jeźdźców w turbanach, którzy uciekali, powarkując i kłusując jak umykające wilki.

– Turańczycy! – wymamrotał Conan. – Szwadrony Secunderamu. Co oni tu robią, u diabła?

– Kim są ludzie, których ścigają? – spytała Yasmina. – I dlaczego są tacy nieustępliwi w swym odwrocie? Nie mogą się oprzeć takiej przewadze.

– Pięciuset mych szalonych Afghulich – warknął Conan, spoglądając gniewnie w dolinę. – Znaleźli się w pułapce i wiedzą o tym.

Dolina przy tym krańcu faktycznie stanowiła ślepy zaułek. Zwężała się w otoczony wysokimi ścianami wąwóz, przechodzący w okrągłą nieckę, otoczoną w całości wyniosłymi, niezdobytymi stokami.

Jeźdźcy w turbanach spychani byli do tegoż wąwozu, ponieważ nie mieli innej drogi, i przemieszczali się tam opornie, w deszczu strzał i w wirze mieczy. Jeźdźcy w hełmach nękali ich, ale nie napierali zbyt pochopnie. Znali desperacką furję górskich plemion i wiedzieli także, iż mają zdobycz w pułapce, z której nie ma wyjścia. Rozpoznali w góralach Afghulich i chcieli ich osaczyć oraz zmusić do poddania. Dla celów, jakie im przyświecały, potrzebowali zakładników.

Ich emir był człowiekiem stanowczym i przedsiębiorczym. Kiedy dotarł do doliny Gurashah i nie znalazł tam ani oczekujących go przewodników, ani emisariusza, ruszył dalej ufny w swą znajomość tej krainy. Przez całą drogę z Secunderamu toczono walki i teraz w wielu wioskach położonych pośród szczytów górale lizali rany. Emir wiedział, że istnieje poważna możliwość, iż ani on, ani żaden z ubranych w hełmy włóczników nigdy nie przekroczy ponownie bram Secunderamu, gdyż wszystkie plemiona za nimi będą wrzeć. Był jednak zdecydowany wypełnić rozkazy, a więc za wszelką cenę odebrać Devi Afghulim i sprowadzić ją jako niewolnicę do

Secunderamu lub też, w razie niemożności, odciąć jej głowę, nim sam zginie.

Tego wszystkiego oczywiście obserwatorzy na grani nie byli świadomi. Conan wszak wiercił się nerwowo.

– Czemu, do diabła, dali się zamknąć w pułapce? – rzucił pytanie w próżnię. – Wiem, co robią w tej okolicy: polują na mnie, psy! Przeczesując każdą dolinę, sami zapędzili się w kozi róg, nim to pojęli. Przekłęci głupcy! Obwarują się w wąwozie, ale długo tak nie wytrzymają. Gdy Turańczycy zepchną ich do niecki, wyrzną tak, jak będą chcieli.

Harmider dochodzący z dołu przybrał na sile i intensywności. W ścisłości wąskiego przesmyku walczący rozpaczliwie Afghuli utrzymywali się na pozycjach, odpierając opancerzonych jeźdźców, którzy nie byli w stanie rzucić się na nich z pełną mocą.

Patrzący posepnie spode łba Conan poruszył się, muskając dłonią rękojeść swej broni, i w końcu przemówił głucho:

– Devi, muszę zejść do nich. Znajdę ci jakieś miejsce na kryjówkę, póki nie wrócę po ciebie. Mówiłaś o swoim królestwie... cóż, nie będę udawał, iż widzę w tych włochatych diabłach swe dzieci, ale mimo że są tacy, jacy są, to moi poddani. Wódz nie powinien nigdy opuszczać swych stronników, nawet jeśli oni wcześniej go opuścili. Myślą, że mieli rację, odrzucając mnie... A niech to piekło... nie będę wyrzutkiem! Nadal jestem wodzem Afghulich i udowodnię to! Mogę pieszo zejść na dół do wąwozu.

– Ale co ze mną? – spytała pełna wątpliwości. – Uprowadziłeś mnie siłą od mojego ludu, a teraz zostawisz na wzgórzach samą na śmierć, podczas gdy ty zejdziesz na dół, poświęcając siebie na próżno?

Żyły nabrzmiały mu od wewnętrznej bitwy uczuć.

– Racja – wymamrotał bezradnie. – Crom wie, co mogę teraz uczynić.

Nieznacznie obróciła głowę, a na jej pięknym obliczu zaświtał osobliwy wyraz.

– Posłuchaj! – krzyknęła. – Posłuchaj!

Do ich uszu doszła nikła fanfara odległych trąbek. Zapatrzyli się w głęboką dolinę po lewej i po przeciwnej stronie ujrzeni przeblysk stali. Jaśniejące w słońcu długie rzędy lanc i polerowanych hełmów przemieszczały się po jej dnie.

– To jeźdźcy z Vendhyi! – krzyknęła radośnie. – Nawet z tej odległości nie mogę ich pomylić z czymkolwiek.

– Są ich tysiące! – wymamrotał Conan. – Już od dawna kshatriyańskie wojska nie zapuszczały się tak daleko na pogórze.

– Poszukują mnie! – zawołała. – Daj mi swego konia! Pojadę do moich wojowników! Ta grań po lewej stronie nie jest aż tak urwista i zdołam dotrzeć na dno. Ty idź do swoich ludzi i spraw, by utrzymali się trochę dłużej. Ja poprowadzę moją konnicę w tę dolinę od wyżej położonego krańca i uderzę na Turańczyków! Zgnieciemy ich w kleszczach. Szybko, Conanie! Czy poświęcisz swych ludzi dla własnych pragnień?

W jego oczach płonęła ognista żądza stepów i zimowych puszczy, lecz potrząsnął głową i zeskoczył z konia, oddawszy wodze w jej ręce.

– Wygrałaś! – mruknął. – Pędź jak diabli!

Skierowała się ku zboczowi po lewej stronie, a on pobiegł prędko wzdłuż grani, aż dotarł do długiej, poszarpanej szczeliny, jaką stanowił przesmyk, w którym gorzała walka. Złaził po pobrużdżonej ścianie jak małpolud, wczepiając się w występy i szpary, i w końcu opadł na nogi w samym sercu walki szalejącej u wylotu wąwozu.

Ostrza świszczwały i szczękały wokół niego, konie stawały dęba i wierzgały, pióropusze hełmów niknęły i wylaniały się spomiędzy turbanów, które zbroczone były krwią.

Ledwie wylądował, zawył jak wilk, złapał za zdobne złotem wodze i uchyliwszy się przed przelatującym bułatem, pchnął kindżalem w górę, przesywając jeźdźca. W kolejnej chwili był już w siodle, wykrzykując zajadle rozkazy Afghulim. Na moment zapatrzyli się w niego ogłupiali, a potem, kiedy ujrzeli spustoszenie, jakie jego stal sieje wśród wrogów, ponownie rzucili się do działania, przyjmując go z powrotem bez uwag. W owym piekle młójących ostrzy nie było czasu na zadawanie pytań albo udzielanie odpowiedzi.

Jeźdźcy w szłomach i wykańczanych złotem kolczugach roili się dookoła wylotu wąwozu, dźgając i siekąc, a wąski przesmyk upchany był i zakorkowany końmi i ludźmi, wojownikami ścierającymi się piersią w pierś, uderzającymi skróconymi ostrzami, tnącymi zabójczo tam, gdzie choć na chwilę pojawiło się miejsce do machnięcia mieczem. Kiedy ktoś padał, już się nie podnosił spod tratujących go, stąpających bezładnie kopyt. Tu się liczyły ciężar ciała i czysta siła, a wódz Afghulich pracował za dziesięciu. W takich chwilach zwyczajowe nawyki mocno wpływają na ludzi i wojownicy przywykli widzieć Conana w awangardzie, mimo swej nieufności względem niego doznali wielkiej otuchy.

Jednak liczebna przewaga też miała znaczenie. Napór ludzi z tyłu spychał konnicę Turanu coraz bardziej w głąb wąwozu, nie zważając na migoczące talwary. Krok po kroku górale byli spychani, pozostawiając dno przesmyku usłane trupami, po których stąpali jeźdźcy. Siekąc i zadając razy jak opętany, Conan znalazł jeszcze czas na przejmujące dreszczem wątpliwości: czy Yasmina dotrzyma

słowa? Musiała tylko dołączyć do swych wojowników i zawrócić ku południu, by wydać jego samego i jego bandę na zatracenie.

Ale w końcu, po czasie, który zdawał się wiekami desperackiej walki, w dalszej części doliny ponad szczyk stali i zawrodzenia rzezi wzbił się nowy dźwięk. I wówczas z rykiem trąb, który wstrząsnął ścianami, i narastającym grzmotem kopyt pięć tysięcy vendhyańskiej jazdy uderzyło na wojsko Secunderamu.

To uderzenie rozbiło turańskie szwadrony na kawałki, strzaskało je, rozdarło i rozerwało, rozsiewając ich fragmenty po całej dolinie. W jednej chwili napierająca fala odpłynęła z wąwozu; powstał chaotyczny, splątany wir walki – jeźdźców obracających się i uderzających pojedynczo lub grupami. I wówczas emir padł z kshatriyaską lancą w piersi, a jeźdźcy w szłomach zwrócili konie w głąb doliny. Bodąc szaleńczo ostrogami, usiłowali wyrąbać sobie drogę poprzez rojowisko, które napało na nich od tyłu. Kiedy walka się rozproszyła, zwycięzcy podzielili się w pogoni, i po całym dniu doliny, a także po stokach blisko wylotu wąwozu oraz po grani rozlały się rzędy uciekinierów i ścigających. Afghuli, ci zdolni do jazdy, wypadli z wąwozu i przyłączyli się do prześladowania wrogów, przyjmując niespodziewany sojusz bez uwag, tak bezspornie, jak przyjęli powrót odrzuconego wodza.

Słońce zniżało się ku odległym szczytom, kiedy Conan w stroju porzniętym na strzępy i cuchnącej zaschłą krwią kolczudze, z nożem oklejonym ociekającą posoką po rękojeść, przeszedł po trupach do miejsca, gdzie pośród nobilów na szczycie grani, blisko wyniosłej przepaści, siedziała na koniu Yasmina Devi.

– Dotrzymałaś słowa, Devi! – ryknął. – Choć, na Croma, tam, w wąwozie miałem parę złych chwil... *Uważaj!*

Niebywałych rozmiarów sęp spadł z nieba z hukiem skrzydeł, który powalił ludzi z koni na ziemię.

Zakrzywiony niczym bułat dziób celował w delikatną szyję Devi, ale Conan był szybszy – krótki bieg, tygrysi skok, dzikie pchnięcie zbroczonym nożem i krzyczący ludzkim głosem sęp przechylił się na bok i zwałił w dół urwiska ku skałom i rzece o tysiąc stóp niżej. Kiedy tak spadał, młóćąc czarnymi skrzydłami powietrze, przybrał nową postać – nie ptaka, lecz odzianego w czarną szatę ludzkiego ciała o szeroko rozpostartych ramionach w obszernych rękawach.

Conan zwrócił się ku Yasminie. W ręce miał nadal swój poczerwieniały nóż, a jego niebieskie oczy gorzały. Z ran na jego potężnie umięśnionych ramionach i udach sączyła się krew.

– Znów jesteś Devi – rzekł, uśmiechając się dziko na widok zwiewnej szaty ze złotą sprzączką, którą wdziała na odzienie góralki, i nie okazując wcale lęku przed imponującym uzbrojeniem kawalerii wokół niego. – Muszę podziękować ci za życie około trzech i pół setki moich łotrów, którzy przynajmniej przekonali się, że ich nie zdradziłem. Sprawiałaś, że pasja podbojów znów jest w moich rękach.

– Wciąż jestem ci winna okup – rzekła, a omiatające go spojrzeniem oczy zajaśniały. – Zapłacę ci dziesięć tysięcy sztuk złota...

Wykonał gwałtowny, niecierpliwy gest, otrząsnął krew z noża i wepchnął go na powrót do pochwy, wycierając dłonie w pancerz.

– Odbiorę mój okup na swój własny sposób, w swoim czasie – oznajmił. – Odbiorę go w twoim pałacu w Ayodhyi i przybędę z pięćdziesięcioma tysiącami ludzi, by zobaczyć, czy zapłata będzie uczciwa.

Zaśmiała się, zbierając w dłoni wodze.

– A ja się spotkam z tobą na brzegach Jhumdy ze stu tysiącami!

W jego oczach błysnął niepohamowany zachwyt i podziw. Odstąpił od Yasminy i uniósł dłoń w geście udzielnego władcy, wskazując, że droga przed nią wolna.

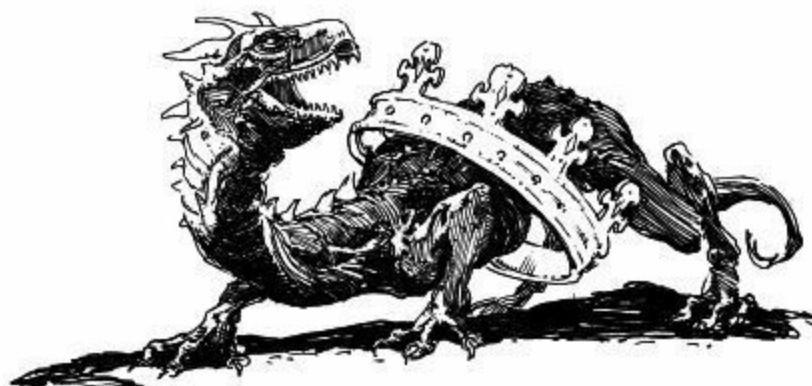


Godzina Smoka

Godzina Smoka

I

PRZEBUDŹ SIĘ, O ŚPIĄCY!



*Kołysze się sztandar lwa i w zamieszkanym przez grozę mrok upada;
Szkarłatny Smok łopocze skrzydłami, niesiony wichrem zagłady.
Stosami lśniący jeźdźcy legli, gdzie w boju kopie ich złamane,
A w głębi nawiedzonych gór bóstwa się budzą – czarne, zapomniane.
Martwe dłonie błędzą w ciemności, gwiazdy bledną w strachu mocy,
Bo to Godzina Smoka jest, tryumf Trwogi i Nocy.*

Długie świece zamigotały, rozsiewając rozedrgane czarne cienie

po ścianach, a aksamitne zasłony zafalowały. Jednakże w komnacie nie powiał wiatr. Wokół hebanowego stołu, na którym spoczywał zielony sarkofag, połyskując jak rzeźbiony nefryt, stało czterech ludzi. We wzniesionych prawicach płonęły przedziwnym zielonym światłem osobliwe czarne świece. Na zewnątrz była noc, a zbłąkany wiatr zawodził wśród czarnych drzew.

Cisza w komnacie była pełna napięcia i falujących cieni, podczas gdy cztery pary oczu płonące zaangażowaniem utkwione zostały w długą zieloną skrzynię, po której tajemne hieroglify wiły się, jakby życia i poruszeń udzielało im niestałe światło. Człowiek u stóp sarkofagu pochylił się nad nim i przesuwał swą świecę, jakby pisał coś piórem, kreśląc mistyczny symbol w powietrzu. Potem umieścił świecę w przeznaczonym na nią czarno-złotym świeczniku u stóp skrzyni i mamrocząc jakąś niezrozumiałą dla swych towarzyszy formułę, wsunął szeroką białą rękę pod swą lamowaną futrem szatę. Kiedy wyciągnął ją ponownie, wyglądało, jakby w zaokrąglonej dłoni trzymał kulę żywego ognia.

Pozostała trójka nabrała głośno tchu, a ciemny, potężny mężczyzna, który stał w głowach sarkofagu, wyszeptał:

– Serce Ahrimana!

Tamten szybko uniósł rękę, by uciszyć głosy. Gdzieś jakiś pies zawył żałośnie, a za zatrzaśniętymi i zaryglowanymi drzwiami rozległ się szelest ukradkowych kroków. Nikt wszak nie spuszczał oka ze skrzyni z mumią, nad którą ten w lamowanej gronostajami szacie poruszał właśnie wielkim, płomiennym klejnotem, mrużąc inkantację, która była już stara w czasach

zatonięcia Atlantydy. Blask kamienia oślepił ich oczy, więc nie mogli być pewni tego, co widzą, lecz rzeźbiona pokrywa sarkofagu odskoczyła z trzaskającym hukiem, jakby pod przemożnym naciskiem przyłożonym od środka, a czterej ludzie, pochyliwszy się z ciekawością do przodu, ujrzeli spoczywającą tam postać – skuloną, zeschniętą, pomarszczoną sylwetkę, której wysuszone brązowe członki wyglądały spomiędzy butwiejących bandaży niczym obumarłe drewno.

– Sprowadzić tego stwora z *powrotem*? – wymamrotał z krótkim ironicznym śmiechem mały, ciemny człowieczek, który stał po prawej stronie. – Gotów rozpaść się przy byle dotknięciu. Jesteśmy głupcami...

– Ciii! – Syk zwalistego mężczyzny trzymającego klejnot zabrzmiał nagłaco. Na jego szerokim białym czole wystąpił pot, a oczy się rozszerzyły. Schylił się i, bez dotykania stwora dłonią, położył na piersi mumii płonący klejnot. Potem cofnął się i przyglądał z zawziętą uwagą, a jego usta poruszały się w bezgłośnej inkantacji.

Było to tak, jakby kula żywego ognia migotała i płonęła na martwej, zeschniętej piersi. A przez zaciśnięte zęby obserwatorów wdarł się syczący wdech. Gdy tak patrzyli, widoczna stała się straszna przemiana. Zeschnięta postać w sarkofagu pęczniała, rosła, wydłużała się. Rozerwane bandażę pękły, rozpadły się w brązowy pył. Pomarszczone członki nabrzmiały, wyprostowały się. Ich ciemny odcień zaczął niknąć.

– Na Mitrę! – wyszeptał wysoki człowiek o blond włosach po lewej. – *Nie* był Stygijszym. Przynajmniej to jest prawdą.

Ponownie drżący palec upomniał się o ciszę. Ogar na zewnątrz

już nie był. Skamlał jak w złym śnie, a potem także ten dźwięk zamarł w ciszy, w której płowowłosa postłyszał wyraźnie jęk ciężkich drewnianych drzwi, jak gdyby coś z drugiej strony parło na nie z wielką siłą. Zrobił półobrót z dłonią na mieczu, lecz człowiek w gronostajowej szacie wysyczał natarczywe ostrzeżenie:

– Zostań! Nie przerywaj łańcucha! I w życiu nie idź do drzwi!

Płowowłosa wzruszył ramionami i odwrócił się z powrotem, i wtem, zapatrzywszy się, nagle przystanął. W nefrytowym sarkofagu leżał żywy człowiek: wysoki, krzepki mężczyzna, nagi, o białej skórze i ciemnych włosach oraz brodzie. Spoczywał nieruchomo z szeroko otwartymi oczami, pustymi i niepojętymi jak u nowo narodzonego oseska. Na jego piersi wielki klejnot wciąż tlił się i migotał.

Człowiek w gronostajach zatoczył się, jakby uszło zeń skrajne napięcie.

– Na Ishtar! – wysapał. – To jest Xaltotun!... *I on żyje!* Valeriusie! Tarascusie! Amalricu! Widzicie? Widzicie? Wątpiliście we mnie... ale ja nie zawiodłem! Dzisiejszej nocy byliśmy blisko otwartych wrót piekła i równie blisko nas zgromadziły się istoty z mroku... tak jest, podążały za *nim* do samych drzwi... wszak przywróciliśmy do życia wielkiego maga.

– I, nie wątpię, skazaliśmy nasze dusze na trwający wiecznie czyściec – wymamrotał mały, ciemny człowieczek, Tarascus.

Płowowłosa Valerius zaśmiał się chrapliwie.

– Jakież czyściec może być gorszy od samego życia? I tak wszyscy jesteśmy przeklęci od swych narodzin. Poza tym, któż nie sprzedałby swej żałosnej duszy za tron?

– W jego spojrzeniu nie ma rozumności, Orastesie – rzekł zwałisty.

– Długo był martwy – powiedział Orastes. – Jest jak dopiero co zbudzony. Jego umysł jest próżny po długim śnie... Nie, on był *martwy*, a nie spał. Przywiedliśmy jego duszę z powrotem przez pustkę oraz otchłanie nocy i niepamięci. Przemówię do niego. – Schylił się do stóp sarkofagu i utkwivszy spojrzenie w wielkich ciemnych oczach człowieka w środku, rzekł z wolna: – Xaltotunie, przebudź się!

Usta tamtego poruszyły się bezwiednie.

– Xaltotunie! – powtórzył pełnym wahania szeptem. – *Tyś* jest Xaltotun! – zawołał Orastes niczym hipnotyzer próbujący swymi sugestiami trafić w sedno. – Tyś jest Xaltotun z Pythonu w Acheronie.

W ciemnych oczach zamigotał przyćmiony płomyk.

– Byłem Xaltotunem – wyszeptał. – Jestem martwy.

– Ty *jesteś* Xaltotunem! – krzyknął Orastes. – Nie jesteś martwy! Ty żyjesz!

– Jestem Xaltotunem – rozległ się niesamowity szept – ale jestem martwy. W swym domu w Khemi w Stygii, gdzie zmarłem.

– A kapłani, którzy cię otruli, zmumifikowali twe ciało za pomocą swej mrocznej sztuki, zachowując wszelkie twe organy nienaruszone! – wykrzyknął Orastes. – Lecz teraz żyjesz ponownie! To Serce Ahrimana przywróciło ci życie, ściągnąwszy na powrót twego ducha z przestrzeni i wieczności.

– Serce Ahrimana! – Płomyk pamięci zapłonął mocniej. – Ukradli mi je barbarzyńcy!

– Pamięta – wymamrotał Orastes. – Unieście go z tej skrzyni.

Pozostali posłuchali z wahaniem, jak gdyby niechętni do dotykania człowieka, którego odtworzyli, i raczej nie doznali większego spokoju myśli, kiedy pod palcami wyczuli jędrne, muskularne ciało pulsujące krwią i życiem. Jednak przenieśli go na stół, a Orastes odział go w przedziwną ciemną aksamitną szatę obsypaną złotymi gwiazdami oraz półksiężycami, a skronie obwiązał opaską ze złotogłowiu, krępując czarne, pofalowane pukle, które opadały mu na ramiona. Tamten zaś pozwalał im robić, co zechcą, nie mówiąc nic nawet wówczas, gdy posadzili go na podobnym do tronu rzeźbionym krześle z wysokim hebanowym oparciem, o szerokich srebrnych podłokietnikach oraz nogach niczym złote szpony. Siedział tam nieruchomo, a w jego ciemnych oczach powoli narastała rozumność, co czyniło je głębokimi, dziwnymi i jaśniejącymi. Było to tak, jak gdyby zatopione dawno czarodziejskie ogniki wypływały powoli z najczarniejszych pokładów mroku.

Orastes obrzucił ukradkowym spojrzeniem swych towarzyszy, którzy stali wpatrzeni w niesamowitego gościa z chorobliwą fascynacją. Ich stalowe nerwy przetrzymały ciężką próbę, która ludzi słabszych mogłaby przyprawić o szaleństwo. Wiedział, że nie z mięczakami konspiruje, lecz z ludźmi, których odwaga jest równie głęboka jak nieprawe ambicje i podatność na zło. Zwrócił uwagę na postać na krześle z czarnego hebanu. A ta w końcu przemówiła.

– Pamiętam – rzekła mocnym, dźwięcznym głosem, używając języka nemedyjskiego z dziwnym, archaicznym akcentem. – Jam jest Xaltotun, który był najwyższym kapłanem Seta w Pythonie,

który znajdował się w Acheronie. Serce Ahrimana... Śniłem, że odnalazłem je ponownie... Gdzież ono jest?

Orastes umieścił mu je w dłoni, a kiedy spojrzał w głąb straszliwego klejnotu płonącego w uścisku tamtego, głęboko nabrał powietrza.

– Skradziono mi je dawno temu – stwierdził Xaltotun. – To jest krwawe serce mroku, zdolne ocalić lub zgubić. Przybyło z dali i z dawnych czasów. Kiedy je miałem, nikt nie mógł mi się oprzeć. Wszak skradziono mi je i Acheron upadł, a ja zbiegłem na wygnanie do mrocznej Stygii. Wiele pamiętam, lecz wiele zapomniałem. Byłem w odległej krainie poza mglistymi pustkami i otchłaniami oraz zaciemnionymi bezkresami. Jaki to rok?

Odpowiedział mu Orastes:

– Schyłek Roku Lwa, trzy tysiące lat od upadku Acheronu.

– Trzy tysiące lat! – wymamrotał Xaltotun. – Tak długo? Kim jesteście?

– Ja jestem Orastes, niegdyś kapłan Mitry. Ten to Amalric, baron Toru w Nemedii, ten drugi to Tarascus, młodszy brat króla Nemedii, a tamten wysoki to Valerius, prawowity spadkobierca tronu Aquilonii.

– Czemu daliście mi życie? – spytał Xaltotun. – Czego ode mnie żądacie?

Był już w pełni ożywiony i rozbudzony, przenikliwe oczy odzwierciedlały pracę niezmałconego umysłu. W jego zachowaniu nie było wahania czy niepewności. Przeszedł wprost do sedna, jak ktoś, kto wie, że nikt nie daje czegoś za nic. Orastes odpłacił mu taką samą szczerością.

– Dziś wieczór otwarliśmy drzwi piekła, by wyzwolić twą

duszę i zwrócić ją ciału, ponieważ potrzebujemy twojego wsparcia. Chcemy osadzić Tarascusa na tronie Nemedii i zdobyć dla Valeriusa koronę Aquilonii. Ty swą nekromancją możesz nas wspomóc.

Umysł Xaltotuna był przebiegły, pełen niespodziewanych zawiłości.

– Ty sam musisz tkwić głęboko w sztuce, Orastesie, aby móc przywrócić mi życie. Jakże to jest, iż kapłan Mitry wie o Sercu Ahrimana i zna inkantacje Skelosa?

– Nie jestem już kapłanem Mitry – odparł Orastes. – Zostałem usunięty z mej funkcji z powodu zgłębiania czarnej magii. Gdyby nie Amalric, mógłbym zostać spalony jako mag. To jednak dało mi swobodę w kontynuowaniu studiów. Podróżowałem po Zamorze, Vendhyi, Stygii oraz nawiedzonych dżunglach Khitaiu. Czytałem okute żelazem księgi Skelosa, rozmawiałem z niewidocznymi istotami z głębokich studni i pozbawionymi oblicza postaciami w czarnych, cuchnących dżunglach. Pewną wyrywkową wiedzę o twym sarkofagu uzyskałem w nawiedzanych przez demony kryptach pod czarną, otoczoną olbrzymim czarnym murem świątynią Seta w głębi Stygii i nauczyłem się sztuki, która mogłaby przywrócić życie twemu zeschniętemu ciału. Z butwiejących manuskryptów dowiedziałem się o Sercu Ahrimana. Potem przez rok szukałem miejsca jego ukrycia i w końcu je odnalazłem.

– Na co zatem trud, by przywrócić mnie do życia? – spytał Xaltotun, utkwivszy w kapłanie przeszywające spojrzenie. – Czemu nie zaangażowałeś Serca do zwiększenia własnej potęgi?

– Bo żaden człowiek dziś nie zna tajemnic Serca – odrzekł

Orastes. – Sztuka, dzięki której wyzwolić może wszystkie swe moce, nie przetrwała nawet w legendach. Wiedziałem, że może przywracać życie; głębszych jego sekretów pozostają nieświadom. Użyłem go tylko, żeby cię ożywić. O wykorzystanie twojej wiedzy się zwracamy. Jeśli chodzi o Serce, ty jeden znasz jego straszne tajemnice.

Xaltotun potrząsnął głową, wpatrując się z głęboką zadumą w płonące głębie.

– Moja nekromantyczna wiedza jest większa od zsumowanej wiedzy wszystkich innych ludzi – oznajmił. – Jednak nie znam pełnej mocy tego klejnotu. Nie przywoływałem jej w dawnych czasach, strzegłem tylko, by nie użyto jej przeciw mnie. W końcu został skradziony i w dłoniach przybranego w pióra szamana barbarzyńców pokonał całą mą potężną magię. Potem znikł, a ja zostałem otruty przez zazdrosnych kapłanów ze Stygii, zanim zdołałem dowiedzieć się, gdzie został ukryty.

– Ukryty został w pieczarze pod świątynią Mitry w Tarantii – powiedział Orastes. – Dowiedziałem się tego pokrętnymi sposobami, po tym już, jak odnalazłem twe szczątki w podziemnej świątyni Seta w Stygii. Zamoriańscy złodzieje, chronieni częściowo zaklęciami, jakich nauczyłem się ze źródeł, o których lepiej nie wspominać, wykradli skrzynię z twą mumią ze szponów tych, co strzegli jej w mroku, i z karawaną wielbłądów, na galerze oraz wozie ciągniętym przez woły przybyła ona w końcu do tego miasta. Ci sami złodzieje – a raczej ci z nich, którzy nadal żyli po owych straszliwych poszukiwaniach – ukradli Serce Ahrimana z nawiedzanej pieczary pod świątynią Mitry i wszelkie umiejętności ludzi oraz zaklęcia czarnoksiężników prawie

zawiodły. Jeden z nich przeżył dość długo, by dotrzeć do mnie i złożyć klejnot w moje ręce, zanim umarł, śliniąc się i bełkocząc o czymś, co widział w przeklętej krypcie. Złodzieje z Zamory są ludźmi jak najbardziej godnymi zaufania. Nawet na mój surowy rozkaz czy najgorętsze życzenie nikt oprócz nich nie zdołałby wykraść Serca z miejsca, gdzie spoczywało od upadku Acheronu trzy tysiące lat temu w strzeżonym przez demony mroku.

Xaltotun uniósł swą lwią głowę i zapatrzył się daleko w przestrzeń, jak gdyby zgłębiając utracone wieki.

– Trzy tysiące lat! – mamrotał. – Na Seta! Opowiedz, co zdarzyło się w tym świecie.

– Barbarzyńcy, którzy obalili Acheron, ustanowili nowe królestwa – oznajmił Orastes. – Tam, gdzie rozciągało się imperium, powstały nowe dominia, zwane Aquilonią, Nemedią i Argos od plemion, które je założyły. Starsze królestwa, Ophiru, Corinthii i zachodniego Koth, jakie podlegały wcześniej królom Acheronu, wraz z upadkiem imperium odzyskały niepodległość.

– A co z ludem Acheronu? – dopytywał Xaltotun. – Kiedy umykałem do Stygii, Python leżał w gruzach, a wszystkie wielkie miasta Acheronu o purpurowych wieżach opływały krwią i tratowane były sandałami barbarzyńców.

– Pośród wzgórz małe grupki wciąż chwala się pochodzeniem z Acheronu – odrzekł Orastes. – Co do reszty, to fala mych barbarzyńskich przodków przewaliła się po nich i starła do cna. Oni bowiem, moi przodkowie, wiele wycierpieli od królów Acheronu.

Straszny i złowrogi uśmiech wykrzywił usta pythonianina.

– Tak jest! Wielu barbarzyńców, mężczyzn i kobiet, umarło,

wrzeszcząc na ołtarzu pod tą ręką. Widziałem ich głowy usypane tak, że tworzyły piramidę na placu głównym Pythonu, kiedy królowie powracali z zachodu z łupami oraz nagimi więźniami.

– Tak jest. I kiedy nadszedł dzień rozrachunku, nie oszczędzano mieczy. Tak więc Acheron przestał istnieć, a Python o purpurowych wieżach stał się wspomnieniem zapomnianych dni. Ale na ruinach imperium powstały i urosły w siłę młodsze królestwa. A teraz my sprowadziliśmy cię z powrotem, byś pomógł nam władać owymi królestwami, które, o ile mniej niezwykle i cudowne od Acheronu, są dość bogate i potężne, by warto o nie powalczyć. Popatrz! – Orastes rozwinął przed przybyszem mapę skreśloną sprytnie na welinie.

Xaltotun przyjrzał się jej, a potem zmieszany pokręcił głową.

– Zmieniły się nawet kształty lądów. Wyglądają niczym rzecz znajoma widziana we śnie, dziwacznie zniekształcona.

– Jednakowoż – rzekł Orastes, wodząc palcem – tu znajduje się Belverus, stolica Nemedii, w której jesteście obecnie. Tu biegną granice ziem Nemedii. Ku południu i południowemu wschodowi leżą Ophir oraz Corinthia, ku wschodowi Brythunia, ku zachodowi Aquilonia.

– To mapa świata, którego nie znam – stwierdził cicho Xaltotun, lecz Orastes nie przeoczył upiornego ognia nienawiści, jaki zamigotał w jego ciemnych oczach.

– To mapa, którą pomożesz nam zmienić – oznajmił Orastes. – Naszym pragnieniem na początek jest umieścić Tarascusa na tronie Nemedii. Chcemy osiągnąć to bez walki i w taki sposób, przy którym na Tarascusie nie spocznie żadne podejrzenie. Nie chcemy, aby kraj został rozdarty wojną domową, lecz by

zachował całą swą siłę na podbój Aquilonii. Jeśli król Nimes wraz z synami zmarł w sposób naturalny, podczas zarazy na przykład, Tarascus zasiadłby na tronie jako następny z kolei dziedzic, pokojowo i bez sprzeciwów.

Xaltotun skinął głową, nie odpowiedziawszy, a Orastes ciągnął:
– Drugie zadanie będzie trudniejsze. Nie zdołamy umieścić Valeriusa na tronie aquilońskim bez wojny, a to królestwo jest wrogiem groźnym. Jego lud jest rasą twardą i wojowniczą, zahartowaną w nieustannych wojnach z Piktami, Zingarańczykami i Cimmeryjczykami. Od pięciuset lat z pewnymi przerwami Aquilonia i Nemedi toczą wojnę, a przewaga zawsze leżała ostatecznie po stronie Aquilończyków. Ich obecny król to najznakomitszy wojownik pośród zachodnich narodów. Jest cudzoziemcem, awanturnikiem, który przemocą zagarnął koronę w trakcie domowego konfliktu, własnoręcznie dusząc króla Nemedidesa na samiu tronie. Jego imię to Conan i żaden człowiek, stanąwszy z nim do boju, nie może mu się równać. Valerius jest teraz prawowitym dziedzicem tronu. Został zmuszony do opuszczenia kraju przez swego królewskiego krewnego Nemedidesa i przez lata przebywał z dala od ojczywej krainy, lecz wywodzi się z krwi starej dynastii. A wielu baronów potajemnie z radością przyjmie obalenie Conana, który jest nikim: nie ma w nim ani królewskiej, ani nawet arystokratycznej krwi. Jednak zwykły lud jest wobec niego lojalny, a także nobile bardziej odległych prowincji. Niemniej gdyby jego siły zostały rozbite w bitwie, która musi mieć miejsce z początku, a sam Conan zabity, sądzę, że umieszczenie Valeriusa na tronie nie byłoby trudne. W rzeczy samej, wraz z zabiciem

Conana przestałby istnieć jedyny ośrodek rządów. Nie jest on członkiem żadnej dynastii, lecz tylko samotnym awanturnikiem.

– Chciałbym ujrzeć owego króla – rzekł zamyślony Xaltotun, spojrzawszy w kierunku srebrnego zwierciadła stanowiącego jeden z paneli ściany. Lustro nie rzucało odbicia, ale wyraz twarzy Xaltotuna ujawniał, iż rozumie on jego zastosowanie. Orastes potaknął zaś z dumą, jaką dobry rzemieślnik czerpie z wyrazów uznania mistrza swej sztuki dla własnych osiągnięć.

– Spróbuję ci go pokazać – powiedział i siadając przed lustrem, zapatrzył się hipnotycznie w jego głębię, gdzie wkrótce począł przybierać kształty jakiś mroczny cień.

Było to niesamowite, lecz ci, którzy się przyglądali, wiedzieli, że to ni mniej, ni więcej tylko odbicie myśli Orastesu ucieleśnionych w tym lustrze tak samo, jak myśli czarnoksiężnika ucieleśniają się w magicznym kryształ. Mglisty obraz zafalował, a potem nabrał zdumiewającej ostrości – wysoki człowiek o potężnych ramionach i szerokiej piersi, o masywnie zawężonym karku oraz mocno umięśnionych członkach. Odziany był w jedwab i aksamit z królewskimi lwami Aquilonii wyszywanymi złotem na bogatej jace i koroną Aquilonii błyszczącą na jego prosto przyciętej czarnej grzywie; jednakże wielki miecz u boku zdawał się przyrodzony mu bardziej niż królewskie insygnia. Jego czoło było niskie i szerokie, oczy stanowiły wulkaniczny błękit, który jarzył się niby jakiś wewnętrzny ogień. Ciemna, poznaczona bliznami iomalże złowroga twarz należała do wojownika, aksamitny zaś strój nie był w stanie ukryć wyrazistych kształtów członków o groźnym wyglądzie.

– Ten człowiek nie jest Hyboryjczykiem! – wykrzyknął

Xaltotun.

– Nie, jest Cimmeryjczykiem pochodzącym z tych dzikich górskich plemion, które zamieszkują szare wzgórza północy.

– Walczyłem z jego dawnymi przodkami – szepnął Xaltotun. – Nawet królowie Acheronu nie zdołali ich podbić.

– Nadal pozostają postrachem dla narodów południa – rzekł Orastes. – On jest prawdziwie synem tej dzikiej rasy i jak sam dowiodł, póki co niepokonanym.

Xaltotun nie odparł nic; siedział, wpatrując się w źródło żywego ognia, jaki migotał w jego dłoni. Na zewnątrz ponownie zawył ogar, długo i przejmująco.



II

WIEJE CZARNY WIATR



Rok Smoka zrodził się pośród wojny, zarazy i niepokoju. Dżuma krwotoczna kroczyła poprzez ulice Belverusu, rażąc i powalając kupca w jego kramie, kmiecia w rozpadającej się chałupie, rycerza przy biesiadnym stole. Wobec niej sztuka medyków pozostawała bezsilna. Mówiono, że zesłano ją z piekła jako karę za grzechy dumy i pożądania. Była szybka i śmiertelna jak uderzenie żmii. Ciało ofiary stawało się fioletowe, a potem czarne i po kilku minutach osuwała się ona na ziemię, konając. Odór własnego rozkładu pojawiał się w jej nozdrzach, jeszcze zanim śmierć

wyszarpnęła duszę z gnijącego ciała. Upalny, ryczący wiatr wiał bezustannie z południa, plony usychały na polach, a bydło padało i zdychało na wypasach.

Ludzie wzywali imienia Mitry i szemrali przeciw królowi, gdyż wskroś królestwa rozeszła się jakoś szeptana wieść, iż monarcha był potajemnie uzależniony od obmierzłych praktyk i obrzydliwego wyuzdania. I wówczas do pałacu, szczerząc zęby, wkroczyła śmierć, a wokół jej stóp wirowały potworne opary zarazy. W trakcie jednej nocy zmarł król z trzema swymi synami, a bębny, które grzmiały żałobą po nich, tonęły w posępnym i złowieszczym brzęku dzwonków u wozów, które z wolna przemieszczały się po ulicach, zbierając gnijące trupy.

Tamtej nocy, tuż przed świtem, upalny wiatr, jaki wiał od tygodni, przestał szeleścić złowróźnie jedwabnymi zasłonami w oknach. Od północy narósł wichur, który zaryczał pomiędzy wieżami, i rozległ się apokaliptyczny grzmot, pojawiły się rozchodzące wszędzie dookoła oślepiające błyskawice i lunął deszcz. Lecz świt błysnął czystością – zielony i przejrzysty; spalona ziemia pokryła się trawą, spragnione plony na nowo skoczyły w górę, a zaraza odeszła – jej miazmaty wywiał z kraju do czysta potężny wiatr.

Mówiono, że bogowie są zadowoleni, ponieważ zginął zły król i jego potomstwo, a kiedy młodszy brat władcy, Tarascus, został koronowany w wielkiej sali intronizacyjnej, ludność dawała upust radości, aż kołysały się wieże, wychwalając króla, do którego uśmiechnęli się bogowie.

Taka fala entuzjazmu i uciechy, jaka porwała cały kraj, często stanowi sygnał do wojny i podbojów. Nikt zatem nie był

zaskoczony, gdy oznajmiono, iż król Tarascus ogłosił rozejm zawarty przez zmarłego monarchę z zachodnimi sąsiadami za niebyły i właśnie gromadzi wojska, by najechać Aquilonię. Jego uzasadnienie było szczere, a głośno obwieszczony motyw przydawały działaniom czegoś na kształt blichtru krucjaty. Całym sercem popierał sprawę Valeriusa, „prawego dziedzica tronu”; przybywał, jak oświadczył, nie jako wróg Aquilonii, lecz jako przyjaciel, by wyzwolić lud spod tyranii uzurpatora i cudzoziemca.

Jeśli w pewnych miejscach pojawiały się cyniczne uśmiechy oraz szepty dotyczące dobrego przyjaciela króla, Amalrica, którego ogromne osobiste bogactwo zdawało się napływać do raczej próżnego królewskiego skarbcza, to w ogólnej fali ferworu i gorliwości wobec popularności Tarascusa nie zwracano na nie uwagi. Jeśli jakieś przenikliwe jednostki podejrzewały, że to Amalric jest rzeczywistym, zakulisowym władcą Nemedii, zważały na to, aby nie wyrażać takich herezji głośno. I tak sprawa wojny posuwała się z zapałem naprzód.

Król i jego sprzymierzeńcy wyruszyli ku zachodowi na czele pięćdziesięciu tysięcy ludzi – rycerzy w błyszczących pancerzach, z proporcami płynącymi ponad hełmami, pikinierów w stalowych hełmach i brygantynach oraz kuszników w skórzanych kaftanach. Przekroczyli rubież kraju, zajęli przygraniczny zamek i spalili trzy górskie wioski, a potem w dolinie Valkii, dziesięć mil na zachód od linii granicznej, spotkali się z wojskami Conana, króla Aquilonii – czterdziestu pięcioma tysiącami rycerzy, łuczników i zbrojnych, kwiatem aquilońskiej potęgi i bitności. Nie przybyli jeszcze tylko rycerze z Poitain pod Prosperem, gdyż musieli dojechać z daleka – z południowo-zachodniego zakątka królestwa. Tarascus uderzył bez

ostrzeżenia. Inwazja nastąpiła niezwłocznie po jej obwieszczeniu, bez formalnego wypowiedzenia wojny.

Oba wojska stanęły naprzeciw siebie wzdłuż szerokiej, płytkiej doliny o poszarpanych, urwistych stokach i płytkiego strumienia wijącego się jej środkiem poprzez natłok szuwarów i wierzb. Obozowe ciury obydwu wojsk zeszyły do owego strumienia po wodę i wykrzykując obelgi, ciskały przez niego w siebie nawzajem kamieniami. Ostatnie przebłyski słońca zajaśniały na złocistym sztandarze Nemedii ze szkarłatnym smokiem, rozwiniętym przez podmuch wiatru ponad zdobnym namiotem króla Tarascusa na wzniesieniu blisko wschodniego urwiska. Na namioty armii Aquilonii oraz na chorągiew ze złotym lwem powiewającą nad zdobnym namiotem króla Conana niczym ogromny fioletowy kir padł cień urwiska zachodniego.

Całą noc wzdłuż doliny płonęły ogniska, a wiatr niósł zew trąbek, szczęk broni oraz ostre wezwania wartowników krążących konno po obu brzegach obrośniętego wierzbą strumienia.

Było to w ciemności przed świtem, kiedy król Conan poruszył się na swym posłaniu, które nie było niczym więcej niż stosem jedwabi i futer rzuconych na podwyższenie, i się przebudził. Poderwał się, krzycząc przenikliwie i chwytając za miecz. Pallantides, jego dowódca, wpadłszy do środka na jego krzyk, ujrzał swego króla siedzącego prosto z dłonią na rękojeści miecza i ociekającą potem dziwnie bladą twarzą.

- Wasza wysokość! – wykrzyknął Pallantides. – Czy coś nie tak?
- Co z obozem? – spytał Conan. – Straże na posterunkach?
- Pięciuset konnych patroluje strumień, wasza wysokość – odrzekł wódz. – Nemedycyzy nie zdecydowali się ruszyć przeciw

nam w nocy. Czekają na świt, podobnie jak my.

– Na Croma – mruknął Conan. – Zbudziłem się z odczuciem, iż pośród nocy pełźnie ku mnie zagłada.

Zapatrzył się na wielką złotą lampę rzucającą miękką łunę na aksamitne kotary i dywany wielkiego namiotu. Byli sami; żaden niewolnik czy paż nie spał na zalanej materią podłodze, lecz oczy Conana błyszczały tak, jak zwykły były błyszczeć w obliczu wielkiego niebezpieczeństwa, a miecz drżał w jego ręce. Pallantides obserwował go niespokojnie. Conan zdawał się nasłuchiwać.

– Posłuchaj! – syknął król. – Słyszałeś to? Ukradkowy krok!

– Siedmiu rycerzy strzeże twego namiotu, wasza wysokość – rzekł Pallantides. – Nikt nie mógłby zbliżyć się doń niezauważony.

– Nie na zewnątrz – warknął Conan. – On zdawał się rozbrzmiewać *w środku* namiotu.

Pallantides rzucił wokół szybkie, wystraszone spojrzenie. Ałtasowe kotary zlewały się z mrokiem w narożnikach, lecz gdyby w namiocie znajdował się ktoś oprócz nich, wódz byłby go dostrzegł. Ponownie pokręcił głową.

– Nikogo tu nie ma, panie. Śpisz pośród swych wojsk.

– Widziałem śmierć rażącą pośród tysięcy – wymamrotał Conan.

– Coś, co przechadza się na niewidzialnych stopach i nie daje się dostrzec...

– Być może śniłeś, wasza wysokość – odparł poniekąd zaniepokojony Pallantides.

– Skoro tak – burknął Conan – był to jakiś diabelsko dziwny sen. Kroczyłem ponownie po wszystkich tych długich, męczących szlakach, jakie przemierzyłem na drodze do korony.

Popadł w milczenie, a Pallantides przypatrywał mu się, nic nie

mówiąc. Zarówno dla wodza, jak i dla większości swych cywilizowanych poddanych król stanowił zagadkę. Pallantides wiedział, że w swym dzikim, obfitującym w wydarzenia życiu Conan kroczył wcześniej dziwnymi szlakami i wiele się wydarzyło, zanim zwrot Losu umieścił go na tronie Aquilonii.

– Znów widziałem pole bitwy, na którym się urodziłem – powiedział Conan z ponurą miną, wspierając głowę na masywnej pięści. – Widziałem siebie w przepasce biodrowej ze skóry pantery rzucającego włócznią w górskie bestie. Ponownie byłem najemnym wojownikiem, hetmanem *kozaków*, którzy zamieszkują nad rzeką Zaporoską, korsarzem łupiącym wybrzeża Kush, piratem z Wysp Barachańskich, wodzem himeliańskich górali. Byłem każdym z nich i o każdym z nich śniłem; wszystkie te postaci, które były *mną*, przeszły niczym niekończąca się procesja, a ich stopy wybijały w pyłe dźwięczny, żałobny rytm. Lecz we wszystkich tych snach krążyły osobliwe, zamaskowane sylwetki oraz upiorne cienie, a odległy głos drwił ze mnie. I kiedy wszystko miało się ku końcowi, zobaczyłem, zdaje się, siebie leżącego na tym podwyższeniu w namiocie, a nade mną nachylała się jakaś spowita w długą szatę i kaptur postać. Leżałem niezdolny się poruszyć, a wówczas kaptur opadł i wyszczerzyła się do mnie butwiejąca czaszka. Wtedy się zbudziłem.

– To zły sen, wasza wysokość – stwierdził Pallantides, tłumiąc dreszcz. – Nic więcej.

Conan pokręcił głową, bardziej w zwątpieniu niż dla zaprzeczenia. Wywodził się z rasy barbarzyńskiej i przesady oraz odziedziczone instynkty czyhały tuż pod powierzchnią jego świadomości.

– Śniłem wiele złych snów – stwierdził – a większość z nich była bez znaczenia. Ale, na Croma, ten nie był jak większość snów! Chciałbym, żebyśmy już stoczyli i wygrali tę bitwę, gdyż odkąd tylko król Nimed umarł od dżumy, mieszkam straszliwe przecucia. Czemu ustąpiła, kiedy on umarł?

– Ludzie mówią, że grzeszył...

– Ludzie są głupcami, jak zawsze – burknął Conan. – Gdyby zaraza poraziła wszystkich, którzy grzeszyli, wówczas, na Croma, żywych nie byłoby co liczyć! Dlaczego bogowie, o których kapłani mówią mi, iż są sprawiedliwi, mieliby zabijać pięciuset pasterzy, kupców i nobilew, nim zabili króla, jeśli cała ta dżuma celowała w niego? Czyż bogowie uderzali na ślepo, jak robiący mieczem we mgle? Na Mitrę, gdybym ja wymierzał ciosy tak celnie, Aquilonia miałaby nowego króla już dawno temu. Nie! Owa dżuma nie była zwykłą zarazą. Czai się ona w stygijskich grobowcach i przywoływana do istnienia bywa tylko przez czarowników. Byłem wojownikiem w armii księcia Almurica, która najechała Stygię, i z jej trzydziestu tysięcy piętnaście zginęło od stygijskich strzał, a reszta od dżumy, która zwała się na nas niczym wiatr z południa. Byłem jedynym człowiekiem, który przeżył.

– Wszak w Nemedii zmarło tylko pięciuset – zaproponował Pallantides.

– Ktokolwiek przywołał ją do istnienia, wiedział, jak bez problemu ją powstrzymać – rzekł Conan. – Wiem zatem, iż było w tym coś zamierzonego i diabolicznego. Ktoś ją przyzwał, ktoś odegnał, kiedy praca została wykonana, kiedy Tarascus był już bezpieczny na tronie i kiedy okrzyknięto go wyzwolicielem ludu od gniewu bogów. Na Croma, wyczuwam tkwiący za tym wszystkim

czarny, chytry umysł. Co z przybyszem, który, jak mówią, udziela rad Tarascusowi?

– Nosi welon – odrzekł Pallantides. – Mówią, że jest cudzoziemcem, przybyszem ze Stygii.

– Przybysz ze Stygii! – powtórzył Conan, marszcząc brwi. – Bardziej przybysz z piekieł!... Ha, a to co?

– Trąby Nemedyczyków! – wykrzyknął Pallantides. – I w tle słyszę, jak nasze odpowiadają im natychmiast! Świt się budzi i dowódcy rozmieszczają wojska do ataku! Niech Mitra będzie z nimi, gdyż wielu nie ujrzy już, jak słońce chowa się za wierchami.

– Przyślij moich giermków! – wykrzyknął Conan, powstając z zapalem i zrzucając swój aksamitny strój nocny; w oczekiwaniu na działanie zapomniął, zdało się, o swych uprzedzeniach. – Idź do dowódców i zobacz, czy wszystko jest w pogotowiu. Podejdę do ciebie, kiedy tylko włożę pancerz.

Wiele zwyczajów Conana pozostawało niewytłumaczalnych dla ludów cywilizowanych, którymi władał, a jednym z nich było upieranie się przy tym, by spać w komnacie albo namiocie samemu. Pallantides pospiesznie opuścił zdobny namiot, pobrzękując pancerzem, który włożył o północy po kilku godzinach snu. Szybkim spojrzeniem omiół obóz, który poczynał się wypełniać różną działalnością, brzękiem zbroi i ludźmi przemieszczającymi się niepewnie w przyćmionym świetle między długimi rzędami namiotów. Po zachodniej stronie nieba gwiazdy wciąż migotały blado, lecz wzdłuż wschodniego horyzontu rozciągały się już różowe pasma barwione słoneczną koroną, a na ich tle jedwabne fałdy smoczego sztandaru Nemedii powiewały, falując.

Pallantides odwrócił się w stronę stojącego blisko mniejszego namiotu, gdzie spali królewscy giermkowie. Gramolili się oni już na zewnątrz, zbudzeni przez trąby. I kiedy Pallantides miał zawołać na nich, żeby się pospieszyli, odebrał mu mowę i zmroził go pełen zawziętości okrzyk i dźwięk silnego ciosu w namiocie króla, po którym nastąpił wstrząsający huk padającego ciała. Rozległ się tam podły śmiech, od którego krew dowódcy zlodowaciała.

Powtórzywszy ów krzyk, Pallantides obrócił się i popędził z powrotem do zdobnego namiotu. Ponownie zakrzyknął, kiedy ujrzał mocarną postać Conana rozciągniętą na dywanie. Wielki oburęczny miecz króla leżał przy jego dłoni, a strzaskany maszt namiotu zdawał się ukazywać, gdzie zadał cios. Pallantides obnażył swą broń i omiótł namiot gniewnym spojrzeniem, ale nic nie rzuciło mu się w oczy. Z wyjątkiem króla i jego samego namiot był pusty, tak jak wówczas, kiedy go opuszczał.

– Wasza wysokość! – Pallantides rzucił się na kolana obok powalonego olbrzyma.

Oczy Conana były otwarte; patrząc na niego, płonęły pełnią inteligencji i rozeznania. Jego usta wykrzywił grymas, lecz nie wyszedł z nich żaden dźwięk. Zdawał się niezdolny do ruchu.

Na zewnątrz zabrzmiały głosy. Pallantides powstał prędko i przystąpił do wejścia. Stali tam królewscy giermkowie i jeden z rycerzy, którzy strzegli namiotu.

– Posłyszeliśmy w środku jakiś hałas – rzekł, usprawiedliwiając się, rycerz. – Czy z królem wszystko dobrze?

Pallantides przyjrzał mu się badawczo.

– Tej nocy nikt nie wchodził albo nie opuszczał namiotu?

– Nikt, wyjąwszy ciebie, panie – odrzekł rycerz, a Pallantides nie

wątpił w jego szczerłość.

– Król potknął się i upuścił miecz – stwierdził nobil krótko. –
Wracaj na swój posterunek.

Kiedy rycerz zawrócił, wódz ukradkiem skinął na pięciu królewskich giermków, a kiedy ci podążyli za nim do środka, dokładnie zaciągnął połę u wejścia. Zbledli na widok króla rozciągniętego na dywanie, lecz szybki ruch ręki Pallantidesa powstrzymał ich krzyki.

Wódz znów się nachylił nad królem, a Conan ponownie uczynił wysiłek, by przemówić. Żyłki na skroniach i struny głosowe w gardle nabrzmiały od tych starań, uniósł głowę nad ziemię. W końcu dobył się głos, mamroczący i na wpół zrozumiały:

– *Stwórz... stwórz w kącie!*

Pallantides uniósł głowę i lekko rozejrzył się dokoła. W świetle lampy ujrzał blade twarze giermków i aksamitny mrok, jaki czał się wzdłuż ścian namiotu. To było wszystko.

– Tu nic nie ma, wasza wysokość – rzekł.

– To było tam, w kącie – wymamrotał król, rzucając przy próbach powstania swą okoloną lwią grzywą głową z boku na bok. – Jakiś człowiek... przynajmniej wyglądał jak człowiek... owinięty w łańchmany niby bandaże mumii, w naciągniętym butwiejącym płaszczu i kapturze. Kiedy przyczał się tam, w mroku, wszystkim, co mogłem dojrzeć, były jego oczy. Pomyślałem, że to tylko jakiś cień, aż je dostrzegłem. Były niczym czarne klejnoty. Natarłem na niego i zamachnąłem się mieczem, ale chybiłem całkowicie – Crom wie jak – i zamiast tego rozłupałem maszt. On zaś, kiedy straciłem równowagę, chwycił mnie za nadgarstek, a jego palce paliły jak rozżarzone żelazo. Cała siła uszła ze mnie, a podłoga uniosła się i

uderzyła mnie jak maczuga. Potem on przepadł, a ja padłem i – a niech go! – nie mogę się ruszyć! Jestem sparaliżowany!

Pallantides uniósł rękę olbrzyma i ciało mu ścierpło. Na królewskim przegubie widniały sine odciski długich, smukłych palców. Cóż za dłoń była w stanie chwycić tak mocno, żeby zostawić swój odcisk na tak grubym nadgarstku? Wspomniał ów podły śmiech, jaki posłyszał, kiedy pędził do namiotu, i zimny pot wystąpił mu na skórze. To nie Conan był tym, który się śmiał.

– To jakaś diabelska sprawka! – wyszeptał drżący giermek. – Mówi się, iż dla Tarascusa wojują dzieci mroku!

– Bądź cicho! – nakazał surowo Pallantides.

Na zewnątrz świt przyćmił gwiazdy. Od strony wierchów pojawił się lekki wiaterek i przyniósł fanfarę tysiąca trąbek. Na ten dźwięk przez mocarną postać króla przebiegł konwulsyjny dreszcz. Żyły na jego skroniach zawęzły się ponownie, kiedy usiłował zerwać niewidzialne, przygniatające go pęta.

– Nałóżcie mi moją zbroję i przywiążcie do siodła – wyszeptał. – Jeszcze poprowadzę tę szarżę!

Pallantides potrząsnął głową, a któryś giermek pociągnął go za koszulę.

– Panie mój, będziemy zgubieni, jeśli wojsko dowie się, że król został rażony niemocą! Tylko on mógłby poprowadzić nas dziś do zwycięstwa.

– Pomóżcie mi unieść go na posłanie – rzekł wódz.

Posłuchali polecenia i złożyli bezsilnego olbrzyma na futra, okrywając go jedwabnym płaszczem. Pallantides odwrócił się do pięciu giermków i nim przemówił, długo badał ich poblądłe twarze.

– Jeśli chodzi o to, co dzieje się w tym namiocie, nasze usta muszą

pozostać zapieczętowane na zawsze – oznajmił w końcu. – Od tego zależy królestwo Aquilonii. Jeden z was pójdzie i sprowadzi mi oficera Valannusa, który jest dowódcą pellijskich włóczników.

Wskazany giermek uklonił się i wyszedł pospiesznie z namiotu, a Pallantides stał, przypatrując się rażonemu królowi, podczas gdy na zewnątrz w jaśniejącym świetle jazgotały trąbki, grzmiały bębny i narastał harmider tłumu. Wkrótce giermek powrócił z oficerem, którego wymienił Pallantides – wysokim mężczyzną o potężnej i mocarnej posturze, zbudowanym bardzo podobnie do króla. Tak jak i on, miał gęste czarne włosy, ale jego oczy były szare. Nie przypominał Conana także z twarzy.

– Król został rażony niezbadaną chorobą – stwierdził krótko Pallantides. – Przypadł ci wielki zaszczyt. Masz dziś włożyć jego zbroję i ruszyć na czele wojsk. Nikt nie może się dowiedzieć, że to nie król siedzi na koniu.

– To zaszczyt, za który każdy mężczyzna chętnie oddałby swe życie – wyjąkał setnik przytłoczony propozycją. – Mitra mi świadkiem, że nie zawiodę tak wielkiego zaufania.

I kiedy powalony król spoglądał płonącymi oczami, w których odbijały się gorzki gniew i poniżenie pożerające mu serce, giermkowie rozebrali Valannusa z kolczej koszuli, burgonety i osłon na nogi, a odziali w zbroję Conana z czarnych pancernych płyt oraz wyposażoną w wizurę saladę z ciemnym pióropuszem kołyszącym się nad wieńczącym ją wiwernem. Na to wszystko nałożyli jedwabną tunikę z wyszytym złotem królewskim lwem na piersi i opięli go szerokim pasem ze złotą klamrą, który podtrzymywał szeroki miecz z nabitą klejnotami rękojeścią tkwiący w pochwie ze złotogłowiu. Podczas gdy pracowali, trąby na

zewnątrz czyniły zgiełk, szczekała broń, a za rzeką narastał dobywający się z głębi gardeł ryk, kiedy szwadron za szwadronem przesuwał się na pozycję.

W pełni opancerzony Valannus opadł na jedno kolano i schylił pióropusz przed postacią, która leżała na podwyższeniu.

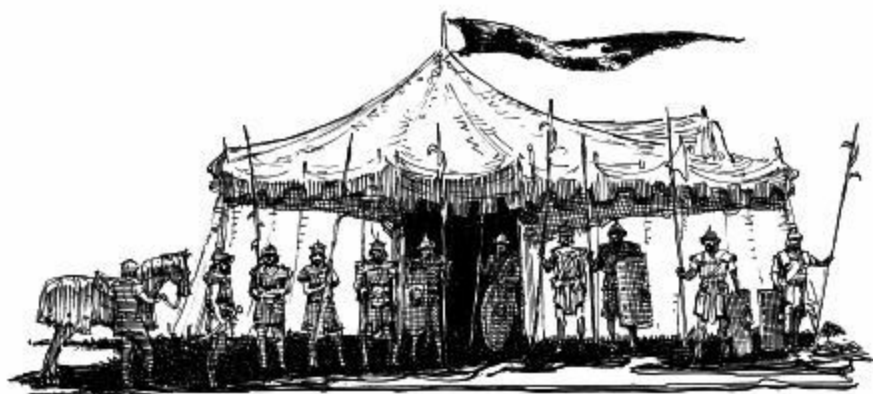
– Panie mój i królu, Mitra mi świadkiem, że nie zhańbię ryszunka, który dziś noszę!

– Przynieś mi głowę Tarascusa, a uczynię cię baronem!

Pod presją cierpienia z Conana opadły przejawy cywilizacji. Jego oczy płonęły, a zęby zacisnęły się z wściekłości i żądzы krwi tak barbarzyńskiej jak u każdego górala z cimmeryjskich wzgórz.

III

URWISKA SIĘ CHWIEJĄ



Wojska aquilońskie stały na pozycjach – długie, zwarte szeregi pikinierów i konnych w błyszczącej stali – kiedy z królewskiego namiotu wyłoniła się olbrzymia postać w czarnej zbroi. Gdy wskoczyła na siodło czarnego ogiera przytrzymywanego przez czterech giermków, z wojska dobył się ryk, który targnął górami. Potrząsnęli swymi ostrzami i gromko wyrazili swe uznanie dla walecznego króla – rycerze w zdobionych złotem pancerzach, pikinierzy w długich kolczugach i basinetach, łucznicy w swych skórzanych kaftanach z długimi łukami w lewej dłoni.

Armia po drugiej stronie doliny przemieszczała się, kłusując w dół długiego, łagodnego stoku ku rzece. Jej stal błyszczała poprzez mgły poranka snujące się wokół kopyt ich koni.

Wojsko aquilońskie z wolna ruszyło jej na spotkanie. Miarowy

stęp opancerzonych koni wprawił ziemię w drżenie. Chorągwie rozwinęły swe długie jedwabne zwoje na porannym wietrze, kopie zakołysały się jak las stojących pionowo drzew, opadły i pochyliły się, a ich proporce załopotały dookoła.

Królewskiego namiotu strzegło dziesięciu zbrojnych, ponurych, małomównych weteranów zdolnych trzymać język na wodzy. Wewnątrz tkwił jeden giermek wyglądający przez szczelinę przy wejściu. Poza garstką wtajemniczonych nikt więcej w całym ogromnym wojsku nie wiedział, że to nie Conan dosiada wielkiego ogiera na czele armii.

Wojska aquilońskie sformowały zwyczajowy szyk, z najpotężniejszą siłą pośrodku, utworzoną w całości z ciężkozbrojnych rycerzy. Skrzydła utworzyły małe ugrupowania jazdy, w większości zbrojnych na koniach, wspierane przez pikinierów oraz łuczników. Ci ostatni byli Bossoniakami z marchii zachodnich, mocno zbudowanymi mężczyznami o średnim wzroście w skórzanych kaftanach i stalowych osłonach na głowach.

Armia nemedijska nadciągała w podobnym szyku i oba wojska przemieszczały się w stronę rzeki – skrzydła poprzedzały centra. Pośrodku sił aquilońskich nad zakutą w stal postacią na czarnym ogierze powiewał z łopotem wielki sztandar z lwem.

A na posłaniu w królewskim namiocie Conan jęczał w udreće ducha i bluzgał dziwnymi pogańskimi przekleństwami.

– Wojska przybliżają się do siebie – oznajmił giermek obserwujący to u wejścia. – Posłysz salwy trąbek! Ha! Wschodzące słońce krzesze płomienie z hełmów i grotów kopii, aż oślepiają. Okrywa rzekę szkarłatem... Tak jest, zanim skończy się ten dzień, naprawdę spłynie ona szkarłatem! Nieprzyjaciół dotarł do rzeki.

Teraz pomiędzy wojskami przelatują strzały, niczym chmury żądał, które skrywają słońce. Ha! Dobry strzał, łuczniku! Bossoniacy są w tym lepsi! Wsłuchaj się w ich krzyk!

Do uszu króla dotarł słabo wybijający się ponad zgiełk trąbek i brzęk stali głęboki, wściekły okrzyk Bossoniaków naciągających i zwalniających cięciwy z doskonałą zgodnością.

– Ich łucznicy próbują zatrzymać naszych na pozycjach, podczas gdy ich rycerze wjeżdżają do rzeki – rzekł giermek. – Brzegi nie są strome, schodzą łagodnym stokiem do wody. Rycerze idą naprzód, przedzierają się przez wierzby. Na Mitrę, jardowe strzały znajdują każdą szczelinę w ich rynsztunku! Ludzie i konie padają, szamocą się i miotają w wodzie. Ta nie jest głęboka ani o bystrym nurcie, lecz ludzie w niej toną, ściągani pod powierzchnię przez pancerze i tratowani przez rozgorączkowane konie. Teraz naprzód posuwają się rycerze Aquilonii. Wjeżdżają do rzeki i wiążą się w walce z rycerstwem Nemedii. Woda opływa tułowia ich koni, a szcęk mieczy o miecze jest ogłuszający.

– *Na Croma!* – buchnęło w udręce z ust Conana. Życie z wolna napływało mu z powrotem do żył, ale nadal nie mógł unieść z posłania swej potężnej postaci.

– Flanki się zwierają – oznajmił giermek. – Pikinierzy i fehmistrze walczą wręcz w strumieniu, a zza ich pleców łucznicy regularnie ślą strzały. Na Mitrę, nemedyjscy kusznicy z arbalestami w wielkiej liczbie wycięci, a Bossoniacy ślą strzały wysokim łukiem, by opadały pośród tylnych szeregów. Środek ich wojsk nie postąpił nawet o cal, a skrzydła ponownie zostały wypchnięte ze strumienia.

– Na Croma, Ymira i Mitrę! – wściekał się Conan. – Na bogów i diabłów, żebym tylko mógł sięgnąć walki, nawet jeśli przyszłoby

zginąć od pierwszego ciosu!

Na zewnątrz bój szalał i huczał przez cały upalny dzień. Dolina trzęsła się od szarży i kontrnatarć, od świstu strzał oraz trzasku rozdzieranych tarcz i rozpryskujących się w drzazgi kopii. Niemniej wojska Aquilonii trzymały się mocno. Raz zostały odepchnięte od brzegu, lecz kontrująca szarża z czarną chorągwią powiewającą nad czarnym ogierem pozwoliła odzyskać utracony teren. I tak, niby stalowy mur obronny, utrzymywali prawy brzeg strugi, aż w końcu giermek przekazał Conanowi wieść, iż Nemedycyzy rozpoczęli odwrót znad rzeki.

– Ich flanki pogrążone w chaosie! – krzyczał. – Rycerze cofają się pod ciężarem walk. Ale co to? Twa chorągiew w ruchu... Środek wojsk wpada w strugę! Na Mitrę, Valannus prowadzi wojsko przez rzekę!

– Głupiec! – jęknął Conan. – To może być podstęp. Powinien trzymać się na pozycjach. O świcie będzie tu Prospero z poitainiańskimi poborowymi.

– Rycerze wpadają w grad strzał! – krzyknął giermek. – Ani się nie zachwiali! Pędzą dalej... Przeprawili się! Szarżują w górę stoku! Pallantides pchnął flanki przez rzekę dla ich wsparcia. To wszystko, co mógł zrobić. Sztandar z lwem opada i chwieje się ponad starciem. Rycerze z Nemedii bronią się zaciekle. Rozbici! Wycofują się! Ich lewe skrzydło ucieka co sił, a nasi pikinierzy wycinają ich w biegu. Widzę Valannusa, pędzącego i tnącego, rąbie jak szalony. Poniosła go żądza walki. Ludzie nie zważają już na Pallantidesa. Podążają za Valannusem, uważając go za Conana, gdyż jedzie z zamkniętą przyłbicą. Ale spójrz! W jego szaleństwie jest metoda! Szerokim łukiem obchodzi front nemedyjski z pięcioma tysiącami

rycerzy, najlepszymi w armii. Główne oddziały Nemedycyków w nieładzie... I spójrz! Ich flankę chroniona jest przez urwisko, lecz pewien przesmyk pozostał niestrzeżony! Jest jak wielka szczelina w ścianie, która wychodzi znów za nemedyjskimi liniami. Na Mitrę, Valannus widzi i chwytając okazję! Zepchnął ich skrzydło przed sobą i prowadzi swych rycerzy ku temu przesmykowi. Obchodzą szeroko główną bitwę, wycinają drogę przez włóczników, szarżują w przesmyk!

– Zasadzka! – zawołał Conan, usiłując się przemóc, by usiąść prosto.

– *Nie!* – krzyknął giermek tryumfalnie. – Całe wojsko nemedyjskie obnażone! Zapomnieli o przesmyku! Nie spodziewali się, że zostaną zepchnięci tak daleko. Och, głupi, głupi Tarascus, że uczynił tak grubo błąd! Ach, widzę kopie i ich proporce wylewające się z drugiego wylotu przełęczy za liniami nemedyjskimi. Uderzą na owe szeregi od tyłu i zgniotą je. *Mitro, a to co?*

Zatoczył się, kiedy ściany namiotu zakołysały się jak pijane. Z oddali, ponad huk walki, wzniósł się niewymownie złowieszczy, głęboki, basowy ryk.

– Urwiska się chwieją! – zapiszczał giermek. – Ach, bogowie, co to? Spieniona rzeka występuje z koryta, a wierchy kruszeją! Ziemia się trzęsie, a konie i jeźdźcy w pancerzach padają! Urwiska! Urwiska się zapadają!

Wraz z jego słowami dobiegły ich zgrzytliwy łoskot i grzmiący huk, a ziemia zadygotała. Ponad bitewnym hałasem rozbrzmiały wrzaski szaleńczego przerażenia.

– Urwiska się rozpadły! – krzyknął posiniały giermek. – Runęły w przesmyk i zgniotły w nim każdą żywą istotę! Pośród pyłu i

spadających kamieni widziałem przez chwilę powiewający sztandar z lwem, a potem zniknął! Ha, Nemedycyzy wznoszą okrzyki tryumfu! Mogą tryumfować w pełni, gdyż zwalone urwiska starły pięć tysięcy naszych najdzielniejszych rycerzy... Posłuchaj!

Do uszu Conana dotarł szeroki potok dźwięków, coraz bardziej gorączkowych:

– *Król nie żyje! Król nie żyje! Uciekajcie! Uciekajcie! Król nie żyje!*

– Kłamcy! – wydyszał Conan. – Psy! Kanalie! Tchórze! Och, na Croma, gdybym tylko mógł wstać... choćby poczołgać się do rzeki z mieczem w zębach! I jak, chłopcze, uciekają?

– Tak jest! – zaszlochał giermek. – Gnają ku rzece. Są rozbici, spychani przed siebie jak grzywacz przez sztorm. Widzę Pallantidesa, jak usiłuje zatamować ten strumień... Padł i tratują go konie! Rzucają się do rzeki, rycerze, łucznicy, pikinierzy, wszyscy pomieszani i złączeni w jeden szaleńczy potok zniszczenia. Nemedycyzy depczą im po piętach, wycinając niczym zboże.

– Ale podejmą jakiś opór na tym brzegu rzeki! – krzyknął król. Z wysiłkiem, od którego skronie spływały mu potem, dźwignął się na łokciach.

– Nie! – zawołał giermek. – Nie są w stanie! Są rozbici! Rozgromieni! Och, bogowie, że też musiałem dożyć takiego dnia! – Wtem przypomniał sobie o obowiązkach i zawołał do zbrojnych, którzy stali, beznamiętnie obserwując ucieczkę swych towarzyszy. – Dajcie konia, prędko, i pomóżcie mi dźwignąć nań króla. Nie będziemy kusić losu, pozostając tutaj!

Jednak nim zdążyli wykonać jego polecenie, dopadł ich pierwszy poryw burzy. Rycerze, włócznicy i łucznicy umykali między namiotami, potykając się o liny i tobołki, a z nimi płynęli

nemedyjscy jeźdźcy, którzy siekli na prawo i lewo każdą obcą im postać. Przecinano odciąż, w stu miejscach pojawił się ogień i zaczęło się już plądrowanie. Posępni strażnicy przy namiocie Conana zginęli tam, gdzie trwali, tnąc i dżgając, a po ich zmasakrowanych zwłokach zatętniły kopyta koni zwycięzców.

Giermek wszak szczelnie zaciągnął połę namiotu i w szalonym bezładzie rzezi nikt nie zdawał sobie sprawy, że zdobny namiot ma jakiegoś lokatora. Tak więc ucieczka i pogoń przemknęły obok i ze swym rykiem pognały dalej doliną, a wyglądający obecnie giermek ujrzał grupkę ludzi zbliżających się do królewskiego namiotu w jasnym celu.



– Oto nadchodzi król Nemedii z czterema towarzyszami oraz giermkim – oświadczył. – Przyjmie twą kapitulację, mój dobry panie...

– Poddaj diable serce! – wycedził przez zaciśnięte zęby król.

Zmusił się do tego, aby usiąść prosto. Z bólem zsunął nogi z podwyższenia i stanął chwiejnie, słaniając się niczym pijany. Giermek podbiegł, żeby mu pomóc, ale Conan go odepchnął.

– Daj mi ten łuk! – wycedził przez zęby, wskazując na długi łuk oraz kołczan, które wisiały na maszcie namiotu.

– Ale wasza wysokość! – krzyknął wielce poruszony giermek. – Bitwa przegrana! Byłoby oznaką dostojęstwa ulec z godnością stosowną krwi królewskiej!

– Nie ma we mnie krwi królewskiej – rzekł Conan chrapliwym głosem. – Jestem barbarzyńcą i synem kowala.

Porwawszy łuk i strzałę, ruszył na chwiejnych nogach w stronę wejścia do namiotu. Tak straszliwy był jego wygląd – nagi poza krótkimi skórzanymi spodniami i koszulą bez rękawów, która odsłaniała jego wielką, owłosioną pierś; z ogromnymi członkami i niebieskimi oczami płonącymi pod zmierzwioną czarną grzywą – że giermek się skulił, bardziej bojąc się własnego króla niż całego nemedyjskiego wojska.

Słaniając się na szeroko rozstawionych nogach, Conan chwiejnie zerwał połę wejścia i wytoczył się pod ocieniający je baldachim. Król Nemedii i jego towarzysze zsiadli już z wierzchowców i przystanęli nagle, wpatrując się ze zdziwieniem w stojące przed nimi widziadło.

– Oto jestem, wy szakale! – ryknął Cimmeryjczyk. – Jam jest król! Śmierć wam, psubraty! – Nagle napiął strzałę po grot i wypuścił ją, a ta ugrzęzła w piersi rycerza, który stał obok Tarascusa. Conan cisnął łukiem w króla Nemedii. – Niech przekłeta będzie moja drżąca dłoń! Zbliżcie się i weźcie mnie, jeśli się odważycie! – Zatoczywszy się w tył na niepewnych nogach, opadł plecami na któryś z masztów namiotu i wsparty na nim, wyprostowany, uniósł oburącz swój wielki miecz.

– Na Mitrę, to *jest* król – zaklął Tarascus. Obrzucił otoczenie

szybkim spojrzeniem i zaśmiał się. – Tamten był jakimś szakalem w zbroi króla. Na niego, psy, i weźcie jego głowę!

Trzech żołnierzy – zbrojnych noszących znak straży królewskiej – ruszyło na króla i jeden z nich obalił giermka ciosem maczugi. Pozostałym dwóm poszło gorzej. Kiedy pierwszy natarł, wznosząc miecz, Conan przywitał go ciosem na odlew, który rozciął oczka kolczugi niczym tkaninę i gładko odciął rękę i bark Nemedyczyka od korpusu. Jego zwłoki, padając w tył, wpadły pod nogi towarzysza. Tamten potknął się i zanim zdołał odzyskać równowagę, wielki miecz przeniknął go na wskroś.

Conan wyszarpnął stal, sapiąc z utrudzenia, i chwiejnie się cofnął, by wesprzeć się na maszcie namiotu. Jego wielkie członki dygotały, pierś unosiła się z trudem, a pot zalewał twarz i kark. Ale jego oczy płonęły pełną uniesienia dzikością, kiedy wydyszał:

– Czemu stoisz tak daleko ode mnie, psie z Belverusu? Tam nie mogę cię dosięgnąć. Zbliź się i zgiń!

Tarascus się zawahał, rzucił okiem na pozostałego przy życiu zbrojnego i na swego giermka, chudego, ponurego człowieka w czarnej kolczudze, i zrobił krok naprzód. Dalece ustępował wielkością i siłą olbrzymiemu Cimmeryjczykowi, był jednak w pełnym pancerzu i słynął jako fehmistrz wśród wszystkich narodów zachodu. Giermek pochwycił go za ramię.

– Nie, wasza wysokość, nie marnuj swego życia na próżno. Przywołam łuczników, żeby ustrzelili tego barbarzyńcę, jak strzela się do lwów.

Nikt z nich nie zauważył, że gdy trwała walka, zbliżył się pewien rydwan, który teraz stanął przed nimi. Lecz Conan go widział, patrząc nad ich ramionami, i poczuł dziwny chłód pełznący mu po

grzbiecie. Coś mgliście nienaturalnego było już w wyglądzie czarnych koni, które ciągnęły pojazd, ale to jego pasażer przykuł uwagę króla.

Był człowiekiem wysokim, nadzwyczajnie zbudowanym, odzianym w długą, pozbawioną ozdób jedwabną szatę. Nosił shemickie nakrycie głowy, a jego dolna zakładka skrywała oblicze z wyjątkiem ciemnych, magnetycznych oczu. Dłonie ściskające wodze powstrzymały wierzgające konie na zadach; były białe, lecz silne. Conan wpatrywał się gniewnie w przybysza, wszystkie jego pierwotne instynkty ożyły. Wyczuł aurę groźby i mocy emanującą z zawoalowanej postaci, groźby tak wyraźnej jak falowanie wysokich traw, które znaczy ścieżkę węża przy bezwietrznej pogodzie.

– Bądź pozdrowiony, Xaltotunie! – wykrzyknął Tarascus. – Oto jest król Aquilonii! Nie zginął pod osuwiskiem, jak myśleliśmy.

– Wiem – rzekł tamten, nie kłopotując się tym, by powiedzieć, skąd się dowiedział. – Jakie są tve obecne zamiary?

– Przywołam łuczników, by go zabili – odparł Nemedyczyk. – Tak długo, jak żyje, będzie dla nas niebezpieczny.

– Ale nawet pies bywa użyteczny – powiedział Xaltotun. – Weźcie go żywcem.

Conan roześmiał się chrapliwie.

– Zbliź się i spróbuj! – rzekł wyzywająco. – Gdyby nie moje zdradzieckie nogi, sciosałbym cię z tego rydwanu, jak drwał ciosa drzewo. Ale nigdy nie weźmiecie mnie żywcem, przeklęci!

– Boję się, że on mówi prawdę – stwierdził Tarascus. – Ten człowiek jest barbarzyńcą o bezprzytomnej zajadłości rannego tygrysa. Daj mi wezwać łuczników.

– Obserwuj mnie i ucz się mądrości – zalecił Xaltotun.

Jego dłoń zanurzyła się pod szatę i pojawiła z czymś błyszczącym – jakąś lśniącą kulą. Rzucił nią nagle w Conana. Cimmeryjczyk pogardliwie strącił ją na bok swym mieczem; w momencie zetknięcia nastąpił gwałtowny wybuch, błysk białego, oślepiającego ognia i Conan padł na ziemię bez zmysłów.

– Nie żyje? – Ton Tarascusa znamionował bardziej stwierdzenie niż pytanie.

– Nie. Jest tylko nieprzytomny. Odzyska zmysły za kilka godzin. Każ swym ludziom związać mu ręce i nogi i przenieść go do mego rydwanu.

Tarascus uczynił to ruchem dłoni, więc dźwignęli nieprzytomnego króla do rydwanu, postępując pod swym brzemieniem. Xaltotun zarzucił na niego aksamitny płaszcz, zakrywając całkiem jego postać przed każdym, kto mógłby zajrzeć do środka. Zebrał wodze w dłoniach.

– Kieruję się do Belverusu – rzekł. – Powiedz Amalricowi, iż dołączę do niego, jeśli będzie mnie potrzebować. Ale skoro Conan nie stoi już na drodze, a jego armia została rozbita, kopia i miecz powinny wystarczyć na resztę podboju. Prospero nie może wystawić w polu więcej niż dziesięć tysięcy ludzi i niewątpliwie wycofa się do Tarantii, kiedy posłyszysz wieści o bitwie. Nic nie mów o naszym pojmaniu Amalricowi ani Valeriusowi, ani nikomu więcej. Niech sądzą, że Conan zginął pod zwałonymi urwiskami. – Przez długą chwilę patrzył na zbrojnych, aż gwardzista drgnął niespokojnie, zdenerwowany tą obserwacją. – Co to jest tam, wokół twych bioder? – spytał Xaltotun.

– No, mój pas, skoro chcesz wiedzieć, panie! – wyjąkał zdumiony wojownik.

– Kłamiesz! – Śmiech Xaltotuna był bezlitosny jak ostrze miecza. – To jadowity wąż! Jakże głupi jesteś, że nosisz gada wokół swych bioder!

Człowiek ów spojrział w dół rozszerzonymi oczami. Ku swemu całkowitemu przerażeniu ujrzał, jak klamra jego pasa unosi się ku niemu. To *była* głowa węża! Widział złe oczy i ociekające zęby jadowe, posłyszał syk i poczuł na swym ciele odrażający dotyk stwora. Wrzasnął okropnie i uderzywszy węża gołą ręką, poczuł, jak jego zęby wpijają się w dłoń, i nagle zeszywniał i upadł ciężko. Tarascus popatrzył na niego z beznamiętnym wyrazem twarzy. Widział tylko skórzany pas i klamrę, której ostro zakończony języczek wbił się w dłoń gwardzisty. Xaltotun zwrócił swe hipnotyczne spojrzenie na giermka Tarascusa, a ten zszarzał i zaczął się trząść, ale król wkroczył między nich.

– Nie, jemu możemy ufać.

– Dopilnuj, by nasza niezwykła zdobycz pozostała tajemnicą. Gdy będę potrzebny, niech Altano, sługa Orastesy, wezwie mnie tak, jak go nauczyłem. Będę w twym pałacu w Belverusie.

Tarascus wznosił dłoń w pozdrowieniu, ale wyraz jego twarzy, kiedy patrzył w ślad za odjeżdżającym magnetyzerem, nie był widokiem przyjemnym.

– Dlaczegoż oszczędził Cimmeryjczyka? – wyszeptał przerażony giermek.

– Sam się nad tym zastanawiam – burknął Tarascus.

Za turkoczącym rydwanem głuchy ryk bitwy i pościgu zanikał w oddali; zachodzące słońce okoliło urwiska szkarłatnym płomieniem, a rydwan wjechał w rozległy błękitny mrok nadpływający od wschodu.



IV

„Z JAKIEGO PIEKŁA WYPEŁZŁEŚ?”



Z długiej jazdy w rydwanie Xaltotuna Conan nie dowiedział się niczego. Leżał niczym martwy, podczas gdy spiżowe koła brzęczały na kamieniach górskich szlaków, szeleściły pośród głębokich traw urodzajnych dolin i w końcu, zjechawszy z poszarpanych wzgórz, zadudniły rytmicznie na szerokiej białej drodze, która wiła się poprzez żyzne łąki i pastwiska do murów Belverusu.

Tuż przed świtem odczuł słabe muśnięcie powracającego życia. Posłyszał mamrotanie i jęk ciężkich zawiasów. Przez szparę powstałą w płaszczu, jaki go przykrywał, ujrzał słabo widoczne w bladym świetle pochodni wielkie czarne sklepienie bramy i brodate

twarze zbrojnych; pochodnie krzeszały ogień na grotach ich włóczni i na hełmach.

– Jak poszła bitwa, mój dobry panie? – przemówił jakiś entuzjastyczny głos w języku nemedyjskim.

– Naprawdę dobrze – zabrzmiała lakoniczna odpowiedź. – Król Aquilonii legł zabity, a jego wojsko zostało rozbite.

Nastąpiła paplanina podekscytowanych głosów, zagłuszonych w następnej chwili przez koła rydwana toczące się po kamiennych płytach. Skry sypały się spod wirujących obręczy, kiedy Xaltotun smagał swe rumaki w drodze przez bramę. Conan wszak posłyszał, jak jeden z gwardzistów mamrocze: „Z zagranicy do Belverusu pomiędzy zachodem słońca a świtem! I konie ledwie zgrzane! Na Mitrę, one...”. Potem cisza pochłonięła owe głosy i słychać było tylko stukot podków oraz turkot kół na zacienionej ulicy.

Umysł Cimmeryjczyka rejestrował wszystko, co usłyszał, ale nie była to żadna odpowiedź. Był niczym bezmyślna marionetka, która słyszy i widzi, lecz niczego nie rozumie. Widoki i dźwięki przepływały wokół niego bez znaczenia. Ponownie zapadł w głęboki letarg i był tylko na wpół świadom, kiedy rydwan zatrzymał się na ciemnym, otoczonym wysokim murem dziedzińcu, a on został wyniesiony z pojazdu przez wiele rąk i wniesiony po krętych kamiennych schodach, potem zaś długim, przyćmionym korytarzem. Szepty, ukradkowe kroki, przypadkowe dźwięki napływały i szeleściły wokół niego, nieistotne i odległe.

Jednakże jego całkowite przebudzenie było raptowne i w pełni świadome. Posiadał pełną wiedzę o bitwie w górach i o jej następstwach, miał też pewne pojęcie, gdzie się znalazł.

Leżał na aksamitnym pościeliu, odziany tak jak dzień wcześniej,

lecz z członkami obciążonymi łańcuchami, jakich nawet on nie potrafił zerwać. Komnata, w której spoczywał, urządzona została z ponurą świetnością, ściany pokrywały czarne aksamitne gobeliny, a podłogę wielkie purpurowe dywany. Nie było śladu drzwi ani okien, a jedna osobliwie rzeźbiona złota lampa, zwisająca z pokrytego powtarzalnymi wzorami sufitu, rzucała dookoła rozproszone światło.

W tymże świetle postać siedząca przed nim na srebrnym, podobnym do tronu krześle, z całą ułudą jej zarysu pogłębianą przez zwiewną jedwabną szatę, zdawała się nierzeczywista i fantastyczna. Jednak jej oblicze było wyraziste – nienaturalne w tak niepewnym świetle. Było to prawie tak, jak gdyby niesamowity nimb tańczył wokół głowy owego człowieka, czyniąc z brodatej twarzy wyrazisty relief, tak że była ona jedynym wyraźnym i jednoznacznie rzeczywistym elementem w tej tajemnej, upiornej komnacie.

Była to twarz wspaniała, o mocno rzeźbionych rysach klasycznej urody. Coś naprawdę zatrważającego tkwiło w wyzierającym z niej niemym spokoju, zapowiedź czegoś więcej niż ludzkiej wiedzy, dogłębnego przekonania sięgającego poza ludzką pewność siebie. W głębi świadomości Conana drgnęło także niepokojące poczucie, iż jest ona mu znajoma. Nigdy wcześniej nie widział twarzy tego człowieka, to wiedział dobrze; jednakże rysy te przypominały mu coś lub kogoś. Było to jak spotkanie w cielesnej postaci z jakimś wizerunkiem ze snu, który nawiedza cię w nocnych koszmarach.

– Kto ty jesteś? – spytał wojowniczo król, usiłując się prosto pomimo łańcuchów.

– Nazywają mnie Xaltotunem. – Odpowiedź udzielona została

mocnym, pięknie brzmiącym głosem.

– Co to za miejsce? – zapytał z kolei Cimmeryjczyk.

– Komnata w pałacu króla Tarascusa w Belverusie.

Conan nie był zaskoczony. Belverus, stolica, był w tym czasie największym miastem nemedyjskim tak blisko granicy.

– A gdzie jest Tarascus?

– Z armią.

– Dobra – warknął Conan – skoro zamierzasz mnie zamordować, czemu tego nie zrobisz, by mieć to już za sobą?

– Nie uratowałem cię przed królewskimi łucznikami, żeby zamordować w Belverusie – odrzekł Xaltotun.

– Co, u diabła, żeś mi zrobił? – dopytywał Conan.

– Poraziłem twoją świadomość – odparł Xaltotun. – Jak, tego nie zrozumiesz. Zwij to czarną magią, jeśli chcesz.

Conan już wcześniej doszedł do tego wniosku i właśnie roztrząsał w myślach coś jeszcze.

– Sądzę, że rozumiem, dlaczego oszczędziłeś me życie – zadudnił.

– Amalric chce mnie zatrzymać, by szachować Valeriusa, gdyby stało się to, co niemożliwe, i został królem Aquilonii. Dobrze wiadomo, że za posunięciami zmierzającymi do osadzenia Valeriusa na moim tronie tkwi baron Toru. A o ile znam Amalrica, nie zechce on, żeby Valerius stał się czymś więcej niż pionkiem, takim jak obecnie jest Tarascus.

– Amalric nie wie nic o twoim pojmaniu – rzekł Xaltotun. – Ani Valerius. Obaj sądzą, że zginąłeś nad Valkią.

Oczy Conana zwęziły się, kiedy w milczeniu zapatrzył się na tamtego.

– Wyczuwałem w tym wszystkim jakiś umysł – wymamrotał. –

Ale myślałem, że to Amalric. Czy Amalric, Tarascus i Valerius są niczym więcej jak tylko lalkami tańczącymi na twym postronku? Kim ty jesteś?

– A cóż to ma za znaczenie? Gdybym ci powiedział, i tak byś nie uwierzył. A co, gdybym rzekł, że mógłbym cię z powrotem umieścić na tronie Aquilonii?

Wpatrzona weń oczy Conana zapłonęły jak u wilka.

– Jaka jest twoja cena?

– Posłuszeństwo wobec mnie.

– Idź do diabła ze swoją propozycją! – Conan wyszczerzył się. – Nie jestem jakimś pionkiem. Zdobyłem swą koronę za pomocą miecza. Poza tym to ponad twe siły móc do woli kupować i sprzedawać tron Aquilonii. Królestwo jeszcze nie zostało podbite. Jedna bitwa nie przesądza o wojnie.

– Wojujesz przeciw czemuś więcej niż miecze – rzekł Xaltotun. – Czy to miecz śmiertelnika obalił cię w twym namiocie przed walką? Nie, to było dziecko mroku, podrzutek z zewnętrznych obszarów, którego palce rozpalone były zastygłym chłodem czarnych otchłani, jaki zmroził krew w twoich żyłach i włókna twych mięśni. Chłodem tak zimnym palił twe ciało niczym rozpalonym do białości żelazem! Czy to przypadek powiódł człowieka, który nosił twoją zbroję, aby poprowadził swych rycerzy w przesmyk?... Przypadek, który sprawił, że urwiska zwały się na nich?

Czujący na grzbiecie chłód Conan patrzył nań gniewnie, nic nie mówiąc. Jego barbarzyńska mitologia obfitowała w czarowników i czarnoksiężników i byle głupiec potrafił orzec, że ten tutaj nie jest zwykłym człowiekiem. Cimmeryjczyk wyczuł w nim coś niewytłumaczalnego, co go wyróżniało – obcą aurę Czasu i

Przestrzeni, wrażenie niezmiernie i złowróźbnej przedwieczności. Jednak jego uparty duch odmawiał ustąpienia.

– Upadek urwisk był przypadkiem – bąknął zadziornie. – Szarża w przesmyk była czymś, co zrobiłby każdy.

– Niezupełnie. Ty byś nie poprowadził tam szarży. Podejrzewałbyś pułapkę. Przede wszystkim nigdy byś nie przekroczył rzeki, póki nie byłbyś pewien, że rejterada Nemedyczyków jest prawdziwa. Nawet w obłądnie bitwy hipnotyczne podszepty nie opanowałyby twego umysłu, abyś oszalał i popędził ślepo w wyłożoną dla ciebie pułapkę, jak uczynił to ów mało ważny człowiek, który wystąpił w twoim przebraniu.

– Zatem jeśli to wszystko zostało zaplanowane – burknął Conan sceptycznie – cała ta jakowaś intryga, żeby złapać w pułapkę moje wojska, dlaczego to „dziecko ciemności” nie zabiło mnie w namiocie?

– Ponieważ pragnąłem wziąć cię żywcem. Nie trzeba było czarów, aby przewidzieć, że Pallantides wypuści kogoś innego w twojej zbroi. Chciałem cię żywego i nieokaleczonego. Może będziesz pasować do mojego układu spraw. Jest w tobie życiowa siła większa niż umiejętności i przebiegłość moich sprzymierzeńców. Źle mieć cię za wroga, ale mógłbyś być dobrym wasalem.

Na te słowa Cimmeryjczyk splunął wściekle, a Xaltotun, ignorując jego gniew, wziął z pobliskiego stołu kryształową kulę i umieścił ją sobie przed oczami. Nie wsparł jej w żaden sposób ani nie umieścił na czymś, lecz ona wisiała nieruchomo w powietrzu tak pewnie, jakby spoczywała na stalowym cokole. Conan prychnął pogardliwie na tę odrobinę nekromancji, jednakowoż był pod

wrażeniem.

– Chciałbyś wiedzieć, co się dzieje w Aquilonii? – spytał czarnoksiężnik.

Conan nie odpowiedział, lecz nagłe spięcie w jego postawie zdradziło ciekawość.

Xaltotun wpatrzył się w chmurne głębie i przemówił:

– Obecnie mamy zmierzch kolejnego dnia po bitwie nad Valkią. Ostatniej nocy główny trzon armii obozował jeszcze nad rzeką, podczas gdy szwadrony rycerzy nękały uciekających Aquilończyków. O świcie wojsko zwinęło obóz i ruszyło przez góry ku zachodowi. Prospero z dziesięcioma tysiącami Poitainian znajdował się mile od pola bitwy, kiedy o brzasku napotkał umykających niedobitków. Parł przez całą noc w nadziei, iż dotrze na miejsce, zanim dojdzie do bitwy. Niezdolny ogarnąć resztek rozbitego wojska, wycofał się w kierunku Tarantii. Forsowną jazdą, wymieniając zmęczone konie na rumaki przechwytywane w okolicy, zbliża się do Tarantii. Widzę jego znużonych rycerzy o pancerzach szarych od kurzu, z obwisłymi proporcami, jak popędzają swe utrudzone konie przez równinę. Widzę także ulice Tarantii. W mieście panuje zamęt. W jakiś sposób do ludzi dotarła wieść o klęsce i śmierci króla Conana. Motłoch oszalał ze strachu, wykrzykując, że król nie żyje i nie ma nikogo, by poprowadzić ich przeciwko Nemedyczykom. Wielki mrok nadciąga nad Aquilonię ze wschodu, a niebo jest czarne od sępów.

Conan zaklął dojmująco.

– Cóż to, jak nie tylko słowa? Najbardziej obdarty żebrak z ulicy i tyle mógłby przepowiedzieć. Jeśli powiesz, że widziałeś to wszystko w tej szklanej kuli, to jesteś kłamcą na równi z kanalią,

przy czym to ostatnie nie ulega wątpliwości! Prospero utrzyma Tarantię, a baronowie będą ściągać do niego. Pod mą nieobecność hrabia Trocero z Poitain zawiaduje królestwem i przepędzi te wyjące nemedyjskie psy z powrotem do budy. Czym jest pięćdziesiąt tysięcy Nemedyczyków? Aquilonia ich wchłonie. Nigdy więcej nie ujrzą już Belverusu. To nie Aquilonię pokonano nad Valkią, tylko Conana.

– Los Aquilonii jest przesądzony – rzekł niewzruszony Xaltotun.
– Kopia, topór i pochodnia ją zdobędą albo, jeśli one zawiodą, pomaszerują przeciw niej potęgi z mroku wieków. Jak padły urwiska nad Valkią, tak padną warowne miasta i góry, jeśli pojawi się takapotrzeba, i rzeki wyleją się z rykiem ze swych koryt, by zatopić całe prowincje. Lepiej, gdyby stal i cięciwa przeważyły, bez dalszej pomocy ze strony *sztuk*, gdyż stałe korzystanie z potężnych zaklęć czasem wprawia w ruch siły, które mogłyby wstrząsnąć posadami wszechświata.

– Z jakiego piekła wypetłeś, mroczny psie? – mruknął Conan, przypatrując się Xaltotunowi. Cimmeryjczyk wzdrygnął się mimowolnie; wyczuwał coś nieprawdopodobnie pradawnego, nieprawdopodobnie złego.

Xaltotun uniósł głowę, jak gdyby przysłuchując się szeptom biegnącym przez próżnię. Zdało się, że zapomniał o więźniu. Nagle niecierpliwie potrząsnął głową i beznamiętnie spojrzał na Conana.

– Co? No, gdybym ci powiedział, tobyś nie uwierzył. Ale znużony jestem już rozmową z tobą. Mniej męczy zniszczenie warownego miasta aniżeli ujmowanie myśli w słowa, które może pojąć bezmózgi barbarzyńca.

– Gdyby me ręce były wolne – rzekł Conan – szybko zrobiłbym z

ciebie bezmózgiego trupa.

– W to nie wątpię, o ile byłbym dość głupi, aby dać ci możliwość – powiedział Xaltotun, klaszcząc w dłonie.

Jego maniery się zmieniły: w głosie pojawiła się niecierpliwość, a w zachowaniu pewna nerwowość, choć Conan nie uważał, żeby taka postawa miała jakikolwiek związek z nim samym.

– Zważ na to, co ci powiedziałem, barbarzyńco – rzekł Xaltotun. – Będziesz miał mnóstwo wolnego czasu. Jeszcze nie zdecydowałem, co winienem z tobą zrobić. To zależy od okoliczności dotychczas niezrodzonych. Lecz jeśli postanowię wykorzystać cię w mej grze, wbij to sobie do głowy: lepiej jest poddać się bez oporu, aniżeli znosić mój gniew.

Conan obrzucił go przekleństwami, akurat gdy zasłony ukrytych drzwi rozsunęły się i wkroczyło czterech olbrzymich negroidów. Wszyscy odziani byli tylko w osłaniający przyrodzenie kawałek jedwabiu podtrzymywany pasem, u którego zwisał wielki klucz.

Xaltotun machnął niecierpliwie ręką w stronę króla i odwrócił się, jakby wyrzucając tę sprawę całkowicie ze swego umysłu. Jego dłonie drgały dziwacznie. Z rzeźbionej, zielonej nefrytowej skrzynki wyjął garść migoczącego czarnego pyłu i umieścił go w piecyku, który stał pod ręką na złotym trójnogu. Kryształowa kula, o której – zdawało się – zapomniał, spadła nagle na podłogę, jak gdyby odsunięto jej niewidzialne oparcie.

Potem czarni unieśli Conana – był tak obciążony łańcuchami, że nie mógł chodzić – i zabrali go z komnaty. Rzut okiem wstecz, zanim okute złotem tekowe drzwi się zamknęły, ukazał mu Xaltotuna rozciągniętego na swym podobnym do tronu krześle z rękami splecionymi na piersi, podczas gdy wążutka smużka dymu

sączyła się z piecyka. Włosy na głowie Cimmeryjczyka się zjeżyły. W Stygii, owym pradawnym i złym królestwie leżącym daleko na południu, widział już wcześniej taki czarny pył. Był to pyłek kwiatowy czarnego lotosu, który sprowadza podobny śmierci sen i potworne majaki. I wiedział, że tylko straszliwi czarownicy Czarnego Pierścienia, który stanowi najgłębszą otchłań zła, dobrowolnie poszukują szkarłatnych koszmarów czarnego lotosu, by odnawiać swe nekromanckie moce.

Czarny Pierścień stanowił dla większości ludzi świata zachodniego bajkę i kłamstwo, ale Conan poznał jego upiorną rzeczywistość i jego posępnych wyznawców, którzy praktykowali swą obmierzłą magię pośród czarnych podziemi Stygii i pod mrocznymi sklepieniami przeklętej Sabatei.

Ponownie rzucił okiem na tajemne, okute złotem drzwi, wzdragając się przed tym, co ukrywały.

Czy jest to dzień, czy noc, król orzec nie potrafił. Pałac Tarascusa wydawał się cienistym, zaciemnionym miejscem, które unikało naturalnego oświetlenia. Unosił się nad nim duch ciemności i cienia, a wcieleniem owego ducha – Conan to czuł – był ten przybysz, Xaltotun. Negroidzi nieśli króla krętym korytarzem oświetlonym tak nieznacznie, że poruszali się nim niczym czarne duchy przenoszące umarłego. A potem w dół kamiennymi schodami, które zakręcały bez końca. Pochodnia w ręce jednego z nich rzucała wielkie, zniekształcone cienie płynące po ścianach; było to jakby zstępowanie do piekieł zwłok dźwiganych przez mroczne demony.

W końcu osiągnęli podstawę schodów i wówczas przemierzili długi, prosty korytarz. Po jednej stronie mieli gładką ścianę podziurawioną sporadycznie sklepieniami przejściami, ze schodami

wiodącymi za nimi w górę, a po drugiej stronie kolejna ściana ukazywała w regularnych odstępach, co kilka stóp, ciężkie zakratowane drzwi.

Zatrzymawszy się przed takimi drzwiami, jeden z czarnych dobył klucza, jaki zwisał u jego pasa, i przekręcił go w zamku. Potem, otwórzawszy pchnięciem kratę, weszli z jeńcem. Znaleźli się w małym lochu o solidnych kamiennych ścianach, podłodze i suficie, a w przeciwległej ścianie tkwiły kolejne zakratowane drzwi. Co znajdowało się za tamtymi drzwiami, Conan nie potrafił orzec, ale nie sądził, by to był następny korytarz. Migotliwe światło pochodni prześwitujące przez pręty sugerowało mroczną, przestronną i niosącą się echem głębię.

W jednym z kątów lochu, blisko drzwi, przez które weszli, z wielkiego stalowego pierścienia osadzonego w kamieniu zwisał pęk zardzewiałych łańcuchów. W owych łańcuchach tkwił szkielet. Conan przyjrzał mu się z pewną ciekawością, zauważywszy stan ogołoconych kości, z których większość była potrzaskana i połamana. Czaszka, która odpadła od kręgosłupa, została zmiażdżona jakby jakimś wściekłym ciosem o niebywałej sile.

Jeden z czarnych, nie ten, który otworzył drzwi, beznamiętnie usunął łańcuchy z pierścienia, używając do masywnego zamka swojego klucza, i odciągnął stertę pordzewiałych łańcuchów i strzaskanych kości na bok. Potem przypięli do pierścienia łańcuchy Conana, a trzeci czarny przekręcił *swój* klucz w zamku dalszych drzwi, mruknąwszy po tym, jak się upewnił, że zostały właściwie domknięte.

Wówczas popatrzyli wymownie na Conana – hebanowe olbrzymy o zwężonych oczach. Pochodnia dobywała błyski z ich

lśniące skóry.

Ten, który trzymał klucz do bliższych drzwi, poczuł się powołany do tego, by gardłowym głosem stwierdzić:

– To jest teraz twój pałac, biały psi królu! Nikt oprócz naszego pana i nas tego nie wie. Cały pałac śpi. My dochowujemy tajemnicy. Będziesz tu żył i umrzesz... może. Jak on! – Pogardliwie kopnął strzaskaną czaszkę, tocząc ją ze stukotem po kamiennej podłodze.

Conan nie uznał za godne siebie odpowiedzieć na szyderstwo, i czarny, podrażniony być może milczeniem więźnia, wymamrotał przekleństwo, pochylił się i splunął prosto w twarz króla. Był to dla czarnego ruch niefortunny. Cimmeryjczyk siedział na podłodze z łańcuchami wokół bioder; kostki i nadgarstki przypięte miał do pierścienia w ścianie. Nie mógł ani powstać, ani odsunąć się na więcej niż jard od muru. Jednak w okowach, które pętały jego nadgarstki, istniał znaczny luz i zanim jajowata głowa zdołała wycofać się, król wybrał ów luz i jego mocarna dłoń trzasnęła czarnego. Ten padł jak zarżnięty wół, a jego towarzysze zapatrzyli się na niego, gdy tak leżał z rozbitą czaszką i krwią sączącą się z nosa oraz uszu.

Nie spróbowali wszak odwetu ani nie przyjęli naglącego zaproszenia Conana, by wejść w zasięg skrwawionego łańcucha w jego dłoni. Wkrótce, pomrukując w swej małpiej mowie, podnieśli pozbawionego zmysłów czarnego i wytaszczyli go jak worek pszenicy, z nogami i rękoma zwisającymi swobodnie. Użyli jego klucza do zamknięcia drzwi za sobą, ale nie zdjęli go ze złotego łańcucha, jakim był przypięty do pasa. Zabrali pochodnię i w miarę jak przemieszczali się korytarzem, ciemność wnikała weń za ich plecami niczym żywy stwór. Miękki tupot ich kroków ucichł wraz z

migotaniem pochodni, a mrok i cisza zapanowały niczym niewzruszane.



V

KOSZMAR PODZIEMI



Conan leżał nieruchomo, znosząc ciężar łańcuchów i rozpacz swego położenia ze stoicyzmem dziczy, która go wychowała. Nie poruszał się, ponieważ brzęk oków, kiedy przemieszczał swe ciało, rozbrzmiewał w ciemności i ciszy zaskakująco głośno, a jego instynkt, zrodzony z tysięcy wyrosłych w dzikich ostępach przodków, mówił mu, by wobec bezradności nie ujawniał swego położenia. Nie był to wynik logicznego rozumowania; nie leżał cicho, ponieważ zakładał, iż ciemności skrywają jakieś czające się

niebezpieczeństwa, które mogłyby odkryć go w jego bezradności. Xaltotun zapewnił go wcześniej, że nie stanie mu się żadna szkoda, i Conan wierzył, iż chronienie go leży w interesie tego człowieka, przynajmniej na razie. Objawiały się tu wszelako instynkty dziczy, które sprawiały, iż w dzieciństwie zalegał ukryty, nieruchomy, a dzikie zwierzęta przemykały, polując, obok jego schronienia.

Nawet jego bystre oczy nie były w stanie przeniknąć głębokiej ciemności. Jednakże po jakiejś chwili, po pewnym czasie, którego nie miał jak oszacować, widoczna stała się słaba poświata, swego rodzaju padający ukośnie szary promień, dzięki któremu Conan mógł zobaczyć niejasno kraty drzwi w pobliżu, a nawet dostrzec szkielet przy drugiej kratownicy. Intrygowało go to, dopóki w końcu nie pojął wytłumaczenia. Znajdował się głęboko pod powierzchnią ziemi, w podziemiach pod pałacem, jednakże z jakiegoś powodu skądś w górze wybito szyb. Na zewnątrz księżyc wznosił się do pozycji, w której jego przyćmione światło wpadało skośnie szybem na dół. Zaczął rozważać, czy w ten sposób mógłby określić przemijanie dni i nocy. Być może słońce również zaświeci w dół przez szyb, choć z drugiej strony w ciągu dnia mógł być on zamykany. Być może stanowił subtelną technikę tortur pozwalającą więźniowi na ledwie przelotne wejrzenie na światła dnia i księżyca.

Jego spojrzenie spoczęło na połamanych kościach połyskujących niewyraźnie w drugim kącie. Nie obciążał sobie umysłu jałowymi rozważaniami odnośnie do tego, kim ten nieszczęśnik był i z jakiego powodu spotkała go zagłada, ale zastanawiał się nad stanem potrzaskanego szkieletu. Nie połamano go na stole do rozciągania. Potem, kiedy tak patrzył, uwidocznił się kolejny nieprzyjemny szczegół. Kości piszczelowe były rozszczepione wzdłuż, co miało

tylko jedno wytłumaczenie: zostały przełamane w ten sposób, aby dostać się do szpiku. Ale jakie stworzenie poza człowiekiem łamie kości dla ich szpiku? Być może te szczątki stanowiły niemy dowód strasznej ludożerczej uczty jakiegoś nieszczęśnika doprowadzonego głodem do szaleństwa? Conan zastanawiał się, czy jego kości też zostaną odnalezione pewnego dnia w przyszłości zwisające na zardzewiałych łańcuchach. Zwalczył bezrozumną panikę schwytanego w pułapkę wilka.

Cimmeryjczyk nie przeklinał, nie wrzeszczał, nie łkał, nie szalał, jak mógłby czynić człowiek cywilizowany. Niemniej ból i niepokój w jego piersi były gwałtowne. Wielkie członki dygotały od napływu emocji. Gdzieś daleko ku zachodowi wojsko nemedyjskie wycinało i wypalało sobie drogę w sercu jego królestwa. Małe wojsko Poitainian nie było w stanie mu się przeciwstawić. Prospero może by umiał utrzymać Tarantię tygodniami czy miesiącami, ale ostatecznie, jeżeli nie zostanie złuzowany, będzie musiał skapitulować wobec przeważającej liczby wrogów. Z pewnością baronowie zgromadzą się wokół niego przeciw najeźdźcom. Ale w tym czasie on, Conan, musi leżeć bezradny w pociemniałej celi, podczas gdy inni przewodzą jego włóczniom i walczą za jego królestwo. Król zgrzytnął swymi mocarnymi zębami w przypiływie nagłej wściekłości.

Potem zeszywniał, gdy za dalszymi drzwiami posłyszał ukradkowe kroki. Wyteżając wzrok, dostrzegł za kratownicą pochyloną niewyraźną postać. Rozległ się zgrzyt metalu o metal i posłyszał szcęk zatrasku, jak gdyby w zamku obrócono jakiś klucz. Później postać wysunęła się cicho z zasięgu pola jego widzenia. Jakiś strażnik, jak przypuszczał, sprawdzał zamek. Po

chwili postyszał ten dźwięk powtórnie, słabszy, gdzieś dalej, a po nim delikatne otwieranie drzwi i potem szybkie pomykanie miękko obutych nóg, cichnące w oddali. Wówczas ponownie zapadła cisza.

Conan nasłuchiwał przez pewien czas, który zdawał się długi, ale mógł taki nie być, gdyż księżyc nadal jaśniał w dole przez ukryty szyb, lecz nie postyszał żadnego nowego dźwięku. W końcu zmienił pozycję i jego łańcuchy szczęknęły. Wówczas postyszał kolejne lżejsze stąpięcia – miękkie kroki zza bliższych drzwi, tych, przez które dostał się do celi. Chwilę później w szarym świetle odcięła się niewyraźnie jakaś smukła sylwetka.

– Królu Conanie! – Cichy, śpiewny głos zabrzmiał nagłoco. – Och, mój panie, jesteś tam?

– A gdzie indziej? – odrzekł powściągliwie, kręcąc głową, żeby przyrzeć się temu widziadłu.

Była nim jakaś dziewczyna, która stała, ściskając kraty smukłymi palcami. Mroczna poświata z tyłu zarysowała jej gibką postać poprzez wstęgę jedwabiu owiniętą wokół jej bioder i odbijała się matowo na wysadzanych klejnotami płytkach osłaniających piersi. Jej oczy błyszczały w mroku, jasne członki połyskiwały łagodnie niczym alabaster. Jej włosy stanowiły burzę ciemnej piany o połyskliwym blasku, mimo iż przyćmione światło ledwie ich dotykało.

– Klucze do twych kajdan i do dalszych drzwi! – wyszeptała, a szczupła dłoń przeniknęła przez kraty i upuściła z brzękiem na kamienną posadzkę obok niego trzy przedmioty.

– Co to za gra? – zapytał. – Przemawiasz w języku nemedijskim, a ja nie mam przyjaciół w Nemedii. Co za diabelstwo gotuje teraz twój pan? Przysłał cię tutaj, byś ze mnie drwiła?

– To nie drwiny! – Dziewczyna drżała gwałtownie. Jej bransolety i płytki na piersiach szczękały o kraty, które ścisnęła. – Przysięgam na Mitrę! Ukradłam te klucze czarnym dozorcem. Są oni nadzorcami podziemi i każdy nosi klucz, który otworzy tylko jeden zestaw zamków. Upiłam ich. Ten, któremu rozbiłeś głowę, został odniesiony do medyka i jego klucza dostać nie mogłam. Ale pozostałe ukradłam. Och, proszę, nie zwlekaj niepotrzebnie! Za tymi lochami leżą podziemia, które są drzwiami do piekła.

Będący pod pewnym wrażeniem Conan niepewnie wypróbował klucze, oczekując niepowodzenia i wybuchu kpiącego śmiechu. Jednak do działania pobudził go fakt, iż jeden naprawdę uwolnił go od oków, pasując nie tylko do zamka, który przytrzymał je przy pierścieniu, ale również do zamków na jego członkach. Szybki krok przeniósł go do kratownicy i jego dłoń zamknęła się na pręcie, a smukły nadgarstek został doń przyduszony. Jego uwięziona właścicielka dzielnie podniosła głowę ku jego zawziętemu spojrzeniu.

– Kim jesteś, dziewczyno? – zapytał. – Dlaczego to robisz?

– Jestem po prostu Zenobia – wymamrotała, pochwycona w bezdechu, jakby w strachu – po prostu dziewczyna z królewskiego seraju.

– Jeśli to nie jakaś przeklęta sztuczka – mruknął Conan – nie potrafię pojąć, czemu przynosisz mi te klucze.

Skłoniła swą ciemną głowę, a potem uniosła ją i popatrzyła prosto w jego podejrzliwe oczy. Na długich, ciemnych rzęsach zaiskrzyły się łączy niczym klejnoty.

– Jestem tylko dziewczyną z królewskiego seraju – stwierdziła z pewną dumną pokorą. – On nigdy na mnie nie spojrzał i

prawdopodobnie nigdy tego nie uczyni. Jestem mniejsza od każdego z psów, jakie ogryzają kości w sali biesiadnej. Ale nie jestem malowaną zabawką. Jestem z ciała i krwi. Oddycham, nienawidzę, boję się, raduję i kocham. I kocham ciebie, królu Conanie, odkąd tylko ujrzałam cię jadącego na czele swych rycerzy ulicami Belverusu, kiedy odwiedzałeś króla Nimedę, lata temu. Moje serce szarpało się na uwięzi, by wyskoczyć z piersi i paść w pył ulicy pod kopyta twego konia.

Kiedy przemawiała, na jej oblicze napłynął rumieniec, ale w ciemnych oczach nie było wahania. Conan nie od razu odpowiedział; był dziki, porywczy i niepohamowany, jednakże każdego, poza najbardziej okrutnymi z ludzi, musi dotknąć pewna bojaźń czy zdumienie wobec odsłonięcia nagiej duszy kobiety.

Potem pochyliła głowę i przycisnęła swe czerwone usta do dłoni, które uwięziły jej szczupłe nadgarstki. Wtem odrzuciła głowę, jakby nagle przypomniawszy sobie o ich położeniu, i w jej ciemnych oczach rozbłysło przerażenie.

– Pospiesz się! – wyszeptała nagle. – Już po północy. Musisz uchronić.

– Ale nie oskórują cię żywcem za kradzież tych kluczy?

– Nigdy się nie dowiedzą. Jeśli ci czarni będą pamiętać rano, kto im dał wino, nie odważą się przyznać, że kiedy byli pijani, skradziono im klucze. Ten klucz, którego nie mogłam pozyskać, jest jedynym, jaki otwiera te drzwi. Swą drogę do wolności musisz odbyć przez podziemia. Co za straszne zagrożenia czają się za tamtymi drzwiami, tego nie umiem nawet zgadnąć. Jednak większe niebezpieczeństwo czyha na ciebie, jeśli pozostaniesz w celi. Król Tarascus powrócił...

– Co? Tarascus?

– Tak jest! Powrócił w wielkim sekrecie i nie tak dawno temu zstąpił do podziemi, a potem znów wyszedł, blady i drżący, niczym człowiek, który porwał się na wielkie ryzyko. Posłyszałam, jak szeptał do swego giermka Arideusa, że wbrew Xaltotunowi, powinieneś umrzeć.

– Co z Xaltotunem? – wymamrotał Conan.

Poczuł, jak się wzdrygnęła.

– Nie mów o nim! – wyszeptała. – Demony często przyzywa dźwięk ich imienia. Niewolnicy mówią, że legł w swej komnacie za zaryglowanymi drzwiami, śniąc sny z czarnego lotosu. Przypuszczam, że nawet Tarascus boi się go potajemnie, inaczej zabiłby cię otwarcie. Ale dzisiejszej nocy był w podziemiach i co tu robił, tylko Mitra wie.

– Zastanawiam się, czy to Tarascus gmerał przy drzwiach mojej celi jakąś chwilę temu – mruknął Conan.

– Oto sztylet! – szepnęła, przeciskając coś między prętami. Jego ochocze palce zamknęły się na znajomym w dotyku przedmiocie. – Idź szybko przez tamte drzwi, skręć w lewo i podążaj wzdłuż cel, póki nie dojdiesz do kamiennych schodów. I na twe życie, nie zgub rzędu cel! Wejdź po schodach i otwórz drzwi u szczytu. Jeden z kluczy będzie do nich pasować. Jeśli taka będzie wola Mitry, będę cię tam oczekiwać. – Potem umknęła, cicho stąpając nogami w lekkich pantoflach.

Conan wzruszył ramionami i zwrócił się w stronę odleglejszej kraty. Mogła to być jakaś diaboliczna pułapka zaplanowana przez Tarascusa, ale skok na złamanie karku w zastawione sidła był mniej obmierzły temperamentowi Conana niż potulne siedzenie w

oczekiwaniu na zagładę. Zlustrował broń, którą dała mu dziewczyna, i uśmiechnął się groźnie. Czymkolwiek jeszcze być ona mogła, tym sztyletem udowodniła, że jest osobą o zmyśle praktycznym. Nie był to cienki sztylecik, wybrany z powodu nabijanej klejnotami rękojeści czy złotego jelca, nadający się tylko do afektowanego morderstwa w buduarze damy. Był to prosty puginał, broń wojownika o szerokim ostrzu i piętnastu calach długości, zwężający się do ostro zakończzonego sztychu.

Odchrząknął z zadowoleniem. Rękojeść w dłoni dodała mu otuchy i pewności siebie. Jakiegokolwiek sieci spisków porozpinano wokół niego, na jakiegokolwiek sztuczki i zdrady go narażono, ten nóż był prawdziwy. Wielkie mięśnie jego prawej ręki nabrzmiały w oczekiwaniu na mordercze ciosy.

Grzebiąc się z kluczami, spróbował dalszych drzwi. Nie były zamknięte. Zarazem pamiętał, jak czarny je zamykał. Zatem ta przemykająca ukradkiem schylona postać nie była dozorcą sprawdzającym, czy rygle tkwią na miejscu. Zamiast tego ten ktoś otworzył drzwi. I owe niezamknięte drzwi stanowiły jakąś złowróżbną zapowiedź. Ale Conan się nie wahał. Pchnięciem otworzył kratownicę i wyszedł z lochu w zewnętrzną ciemność.

Tak jak sądził, drzwi nie wychodziły na następny korytarz. Wyłożona kamiennymi płytami podłoga rozciągała się hen daleko pod jego stopami, a rząd cel uciekał na prawo i lewo za nim, jednak innych granic miejsca, w które wkroczył, dojrzeć nie potrafił. Nie widział ani stropu, ani innych ścian. Światło księżyca sączyło się w ten bezmiar tylko przez kratownice cel i niemal ginęło w mroku. Wzrok mniej wyostrzony niż jego z trudem dostrzegłby przygaszone, szare plamy poświaty rozlane przed drzwiami każdej

celi.

Skręciwszy w lewo, ruszył szybko, bezgłośnie wzdłuż rzędu lochów, a jego bose stopy nie czyniły najmniejszego hałasu na kamiennych płytach. Mijając kolejne lochy, krótko rzucał okiem do każdego z nich. Wszystkie były puste, ale zamknięte. W paru uchwycił przebłyski nagich białych kości. Te podziemia były reliktem bardziej ponurych czasów, zbudowanym dawno temu, kiedy Belverus był bardziej twierdzą niż miastem. Ale wyraźnie ich całkiem niedawne zastosowanie było znacznie szersze, niż sądził świat.

Wkrótce dostrzegł przed sobą niewyraźny kontur ostro wznoszących się schodów i pojął, że muszą to być owe schody, których szukał. Wtem odwrócił się nagle i przyczał w głębokim mroku u ich stóp.

Gdzieś za nim coś się poruszało – coś o wielkim cielsku, skradające się, co stąpało na nogach, które nie były nogami ludzkimi. Patrzył wzdłuż szeregu cel, gdzie przed każdą znajdował się kwadrat przygaszonego szarego światła stanowiący niewiele więcej niż plamę mniej gęstej ciemności. Ale ujrzał coś, co poruszało się wzdłuż owych kwadratów. Co to było, tego orzec nie umiał, lecz było ciężkie i ogromne i jeszcze do tego poruszało się z lekkością i szybkością większą od ludzkiej. Widział to przez mgnienie oka, kiedy przemykało przez kwadraty szarości, a potem tracił z oczu, gdy wtapiało się w połąć cienia między nimi. Było niesamowite, przemieszczając się niepostrzeżenie, pojawiając się i znikając niczym jakaś plama przed oczami.

Słyszał klekotanie krat, kiedy to coś próbowało kolejno wszystkich drzwi. Obecnie dotarło do celi, z której niedawno

wyszedł, i drzwi otwarły się po szarpnięciu. Ujrzał wielkie cielsko postaci oświetlonej słabo i na krótko w szarym progu, a potem stwór ów zniknął w lochu. Na twarzy i dłoniach Conana wystąpił pot. Teraz wiedział, dlaczego Tarascus podszedł cichcem do jego drzwi, a później umknął tak prędko. Król odblokował jego drzwi i gdzieś w tych piekielnych podziemiach otworzył celę albo klatkę, w której przetrzymywano jakąś ponurą potworność.

Stwór wyłonił się z celi i ponownie podążył wzdłuż korytarza z niekształtnym łbem przy ziemi. Nie poświęcał już więcej uwagi drzwiom zamkniętym. Podjął trop. Cimmeryjczyk widział go teraz wyraźniej; szare światło rozjaśniło olbrzymie antropomorficzne ciało, ale większe w swej masie i długości niż u jakiegokolwiek człowieka. Szedł na dwóch nogach, choć pochylony w przód, no i był szarawy i kudłaty, jego gęsta sierść została gdzieniegdzie upstrzona srebrem. Łeb stanowił straszliwą karykaturę ludzkiej głowy, a długie łapy zwisały prawie do ziemi.

W końcu Conan wszystko pojął – zrozumiał przesłanie tych pomiażdżonych oraz połamanych kości w lochach i rozpoznał koszmar podziemi. Był to szary małpolud, jeden z owych straszliwych ludożerców z puszczy, które kołyszą się na wietrze na górzystych południowych wybrzeżach morza Vilayet. Na wpół mityczne i pod każdym względem potworne, małpoludy te stanowiły postrach z hyboryjskich legend, a w rzeczywistości były ogrami świata przyrody, kanibalami i mordercami z okrytych mrokiem lasów.

Pojął, że małpolud wyczuł jego obecność, gdyż teraz zbliżał się prędko, tocząc swój beczkowaty korpus na krótkich, mocarnych, pałakowatych nogach. Rzucił szybkie spojrzenie w górę długich

schodów, lecz wiedział, że stwór go dopadnie, nim zdoła się wspiąć do odległych drzwi. Postanowił stanąć z nim twarzą w twarz.

Wkroczył w najbliższy kwadrat księżycowego światła, tak by zyskać wszelkie korzyści, jakie mógł zdobyć za sprawą oświetlenia, gdyż zwierz – co wiedział – w mroku widział lepiej od niego. Bydlę dostrzegło go natychmiast; wielkie żółte kły błysnęły w ciemności, ale nie rozległ się żaden dźwięk. Stworzenia nocy i ciszy, szare małpoludy znad Vilayet były nieme. Jednak na jego niewyraźnie widocznym odrażającym obliczu, które stanowiło zwierzęcą karykaturę ludzkiej twarzy, ukazał się wyraz upiornego tryumfu.

Conan stał w gotowości, bez drżenia przypatrując się nadciągającemu potworowi. Wiedział, że jego życie zależy od jednego pchnięcia, na następne nie będzie okazji; ani nie będzie czasu na to, by uderzyć i odskoczyć. Pierwszy cios musi zabić, i to zabić natychmiast, jeśli chce myśleć o przetrwaniu tego straszego zwarcia. Omiótł spojrzeniem krótki, gruby kark, owłosiony, wydatny brzuch i mocarne piersi wezbrane w olbrzymich sklepieniach niczym bliźniacze tarcze. To musi być serce; lepiej zaryzykować, że ostrze ześlizgnie się po wielkich żebrach, niż uderzać tam, gdzie cios nie będzie natychmiast śmiertelny. W pełni świadomy dzielących ich różnic Conan dostosował szybkość oka i ręki oraz moc swych mięśni do brutalnej potęgi i okrucieństwa ludożercy. Musi zewrzeć się z nim z bliska, zadać śmiertelny cios, a potem zaufać krzepie swej budowy, iż przetrwa chwilę poniewierania, jaka z pewnością stanie się jego udziałem.

Kiedy małpolud skoczył, pochylając się ku niemu i rozwierając szeroko straszliwe ramiona, zanurkował między nimi i uderzył z całą swą desperacką siłą. Poczuł, jak ostrze zanurza się po rękojęść

we włochatej piersi, i natychmiast, puściwszy je, odchylił głowę i zwarł całe ciało w jedną zbitą masę zawężlonych mięśni, a kiedy to uczynił, chwycił zamykające się ramiona i wbił zawzięcie kolano w brzuch potwora, spinając się przeciwko miażdżącym objęciom.

Przez jeden przyprawiający o zawrót głowy moment poczuł, jakby rozczłonkowywano go w uścisku trzęsienia ziemi; wtem nagle był wolny, rozciągnięty na podłodze, a potwór wydawał właśnie ostatnie tchnienie życia pod nim. Jego czerwone ślepie wywróciły się, ukazując białka, a rękojeść puginału dygotała mu w piersi. Desperackie dźgnięcie trafiło do celu.

Conan dyszał jak po długiej batalii, drżąc w każdym z członków. Niektóre stawy czuł, jakby zostały wywichnięte, a z zadrapań na skórze, tam gdzie rozdarły ją szpony potwora, spływała krew; jego mięśnie i ścięgna były dziko ponaciągane i powykręcane. Gdyby bestia pożyła odrobinę dłużej, rozczłonkowałaby go z pewnością. Ale potężna siła Cimmeryjczyka dała odpór, przetrzymała tę krótką chwilę konwulsji zdychającego małpoluda, który człowieka mniejszej postury rozerwałby na strzępy.



VI

PCHNIĘCIE NOŻEM



Conan schylił się i wyrwał nóż z piersi potwora. Potem poszedł szybko schodami w górę. Jakie inne postaci strachu zawierała ciemność, tego zgadnąć nie umiał, lecz nie pragnął więcej spotkań z żadną z nich. Taki druzgocący sposób walki wymagał zbyt wiele wysiłku nawet od olbrzymiego Cimmeryjczyka. Światło księżyca na podłodze gasło, otaczała go ciemność i coś niby panika ścigało go schodami pod górę. Odetchnął głębokim westchnieniem ulgi, kiedy osiągnął ich szczyt i poczuł, że trzeci klucz obraca się w zamku.

Uchylił lekko drzwi i wyciągnął szyję, by przez nie zerknąć, po części oczekując ataku jakiegoś ludzkiego lub zwierzęcego wroga.

Spoglądał w nagi kamienny korytarz rozjaśniany przyćmionym światłem, a przed drzwiami stała smukła, gibka postać.

– Wasza wysokość! – Był to ściszony, pełen wigoru krzyk, na wpół ulgi, a na wpół strachu. Dziewczyna skoczyła do jego boku, lecz wtem zawahała się, jak gdyby zawstydzona. – Krwawisz – stwierdziła. – Zostałeś zraniony!

Odegnął wszelkie związane z tym sugestie niecierpliwym ruchem dłoni.

– Zadraśnięcia, jakie nie skrzywdziłyby niemowlaka. Chociaż twój rozeń się przydał. Gdyby nie on, małpa Tarascusa rozłupywałaby właśnie moje piszczele dla szpiku. Ale co teraz?

– Chodź za mną – szepnęła. – Wyprowadzę cię poza mury miasta. Mam tam ukrytego konia.

Odwróciła się, by powieść go korytarzem, ale on złożył ciężką dłoń na jej nagim ramieniu.

– Idź obok mnie – pouczył ją cicho, obejmując jej smukłą talię swym masywnym ramieniem. – Jak dotąd postępujesz ze mną uczciwie i skłonny jestem ci wierzyć, ale żyję tak długo tylko dlatego, że nie zaufałem nikomu zbyt mocno, mężczyźnie ani kobiecie. Zatem jeśli teraz postąpisz ze mną niegodziwie, nie dożyjesz chwili uciechy z tego żartu.

Nie drgnęła ani nie cofnęła się na widok zaczerwienionego puginału i pod dotykiem jego twardych mięśni wokół jej gibkiego ciała.

– Zarżnij mnie bez litości, jeśli postąpię z tobą niegodziwie – rzekła. – Już samo odczucie twego otaczającego mnie ramienia,

nawet pod groźbą, jest jak spełnienie marzeń.

Sklepiony korytarz kończył się u drzwi, które otwarła. Za nimi zalegał kolejny czarny olbrzym w turbanie i jedwabnej przepasce biodrowej z zakrzywioną bronią spoczywającą na kamiennej posadzce blisko jego dłoni. Nie poruszał się.

– Zaprawiłam jego wino – szepnęła, skręcając ostro, by ominąć rozwaloną postać. – Jest ostatnim i tkwiącym najdalej na zewnątrz strażnikiem podziemi. Nikt nigdy wcześniej z nich nie uciekł i nikt nigdy nie pragnął ich zgłębić, więc tylko ci czarni ich strzegą. Tylko oni pośród wszystkich sług wiedzą, że to król Conan był tym, którego Xaltotun sprowadził jako więźnia w swoim rydwanie. Przyglądałam się, nie mogąc zasnąć, przez wyżej położone okno, które wychodzi na dziedziniec, podczas gdy inne dziewczyny spały, gdyż wiedziałam, że na zachodzie toczono bitwę, czy też stoczono ją już wcześniej, i bałam się o ciebie... Ujrzałam czarnych, jak wnoszą cię po schodach, i rozpoznałam cię w świetle pochodni. Dziś wieczór wśliznęłam się do tego skrzydła pałacu, akurat by zobaczyć, jak niosą cię do podziemi. Nie odważyłam się przyjść tu przed zapadnięciem nocy. Otumaniony do nieprzytomności musiałeś leżeć przez cały dzień w komnacie Xaltotuna. Och, bądźmy czujni! Dziwne sprawy toczą się w pałacu dzisiejszej nocy. Niewolnicy mówili, że Xaltotun zasnął, jak robi to często, otumaniony przez lotos ze Stygii, ale w pałacu jest Tarascus. Wszedł potajemnie przez poternę, otulony w płaszcz, który był zakurzony jak od długiej podróży, z towarzyszeniem tylko swojego giermka, chudego, milczącego Arideusa. Nie potrafię tego pojąć, ale się boję.

Wyszli u stóp wąskich, spiralnych schodów i wspiawszy się po

nich, przeszli przez wąski ścienny panel, który ona odsunęła na bok. Kiedy go minęli, zasunęła go z powrotem na miejsce, a ten stał się zwyczajną częścią zdobnej ściany. Znaleźli się w przestronniejszym korytarzu wyłożonym dywanami i gobelinami, na które wiszące lampy rzucały złotawą poświatę.

Conan wsłuchiwał się uważnie, ale w całym pałacu nie posłyszał żadnego dźwięku. Nie wiedział, w jakiej części budynku się znajduje ani gdzie leży komnata Xaltotuna. Dziewczyna drżała, ciągnąc go przez korytarz, by zatrzymać się przy alkwie zamaskowanej aksamitnym gobelinem. Odsunąwszy go na bok, ponagliła króla, by wkroczył do wnęki, i szepnęła:

– Zaczekaj tutaj! Za tamtymi drzwiami na końcu korytarza możemy napotkać niewolników bądź eunuchów o każdej porze dnia i nocy. Pójdę i sprawdzę, czy droga wolna, zanim nią podążymy.

Natychmiast zbudziła się jego czujna podejrzliwość.

– Czy nie prowadzisz mnie w pułapkę?

Z jej ciemnych oczu wytrysnęły łzy. Opadła na kolana i złapała go za umięśnioną rękę.

– Och, królu mój, nie okazuj mi teraz nieufności! – Jej głos drżał rozpaczliwym ponagleniem. – Jeśli zwątpisz i się zawahasz, jesteśmy zgubieni! Dlaczego miałabym wyprowadzić cię z podziemi, by zdradzić teraz?

– W porządku – mruknął. – Zaufam ci, choć, na Croma, niełatwo odłożyć na bok nawyki całego życia. Jednakże teraz bym cię nie skrzywdził, nawet gdybyś sprowadziła na mnie wszystkich wojowników w Nemedii. Gdyby nie ty, przeklęty małpolud Tarascusa dopadłby mnie w łańcuchach i bezbronno. Czyń, co

chcesz, dziewczyno.

Ucałowawszy jego dłonie, poderwała się sprężyście i pobiegła korytarzem, by zniknąć za ciężkimi podwójnymi drzwiami.

Spoglądał w ślad za nią, zastanawiając się, czy nie był głupcem, że jej zaufał; potem wzruszył swymi potężnymi ramionami i ściągnął razem aksamitne zasłony, maskując swe schronienie. Nie było to dziwne, iż żarliwa młoda piękność ryzykuje życie, by mu pomóc; takie rzeczy zdarzały się mu dość często. Wiele kobiet spoglądało nań życzliwie w dniach jego włóczęgi i w czasie królowania.

Jednakowoż, czekając w alkowie, nie pozostawał w bezruchu. Podążywszy za instynktem, spenetrował wnękę, szukając innego wyjścia, i wkrótce jedno znalazł – zamaskowany gobelinem wylot wąskiego przejścia, które biegło do zdobnie rzeźbionych drzwi ledwie widocznych w przyćmionym świetle sączącym się z korytarza. I kiedy tak weń spoglądał, gdzieś za tymi rzeźbionymi drzwiami posłyszał odgłos otwierania i zamykania kolejnych drzwi, a potem ściszone mamrotanie. Znajome brzmienie jednego z nich sprawiło, że przez jego ciemne oblicze przemknął złowróżbny grymas. Bez wahania prześlizgnął się przejściem i przysiadł obok drzwi niczym polująca pantera. Nie były zamknięte i manipulując nimi delikatnie, zdołał je uchylić z brawurowym lekceważeniem możliwych następstw, które tylko on zdołałby wytłumaczyć lub przed nimi się obronić.

Drzwi po drugiej stronie zasłonięte były gobelinem, lecz przez wąziutkie rozcięcie w aksamicie zajrzał do komnaty oświetlonej świecą na hebanowym stole. W komnacie tej przebywało dwóch ludzi. Jednym był poznaczony bliznami, wyglądający złowieszczo

oprych w skórzanych obcisłych spodniach oraz postrzępionym płaszczu, drugim zaś Tarascus, król Nemedii.

Tarascus wydawał się nieswój. Był nieco blady, poruszał się stale i rozglądał dookoła, jak gdyby spodziewając się i bojąc posłyszeć jakieś odgłosy kroków.

– Jedź prędko, natychmiast – rzekł. – *On* tkwi głęboko w narkotycznym śnie, ale nie wiem, kiedy się przebudzi.

– Dziwnie jest słuchać słów strachu wychodzących z ust Tarascusa – zadudnił tamten głębokim, chrapliwym głosem.

Król się skrzywił.

– Zwyczajnych ludzi się nie boję, jak dobrze wiesz. Ale kiedy ujrzałem opadające urwiska nad Valkią, pojąłem, że diabeł, którego wskresiliśmy, nie jest szarlatanem. Boję się jego mocy, ponieważ nie znam ich pełnych rozmiarów. Ale wiem, że są one jakoś związane z tym przeklętym przedmiotem, który mu wykradłem. To on przywrócił go do życia, zatem musi stanowić źródło jego magii. Ukrył go dobrze, ale wypełniający me potajemne rozkazy niewolnik szpiegował go i widział, jak umieszcza go w złotym kufrze, widział też, gdzie kufer ów chowa. Jednak mimo to nie odważyłbym się go ukraść, gdyby sam Xaltotun nie był zanurzony w lotosowym śnie. Wierzę, iż to jest sekret jego magii. Za jego pomocą Orastes przywrócił go do życia. Za jego pomocą on uczyni z nas wszystkich niewolników, jeśli nie będziemy czujni. Weź go zatem i ciśnij w morze, jak ci poleciłem. I bądź pewien, że jesteś tak daleko od lądu, że ani przypływ, ani sztorm nie zdoła wyrzucić go na plażę. Dobrze cię za to opłacono.

– Takież uczyniono – burknął oprych. – A ja jestem winien ci więcej niż złoto, królu. Mam u ciebie dług wdzięczności. Nawet

złodzieje umieją być wdzięczni.

– Jakikolwiek dług możesz odczuwać wobec mnie – rzekł Tarascus – będzie spłacony, gdy rzucisz tę rzecz w morze.

– Pojadę do Zingary i wypłynę z Kordawy – przyrzekł tamten. – Nie odważę się pokazać swego oblicza w Argos z powodu sprawy pewnego morderstwa czy...

– Nie dbam o to, byle tamto zostało załatwione. Oto on. Koń czeka na ciebie na podwórzu. Idź i jedź prędko!

Jeden przekazał drugiemu coś, co płonęło jak żywy ogień. Conan mógł tylko przelotnie rzucić na to okiem. Później oprych naciągnął na oczy kapelusz z opadającym rondem, podciągnął płaszcz wokół ramion i pospiesznie wyszedł z komnaty. A kiedy drzwi się za nim zamknęły, Conan ruszył z niszczycielską furią uwolnionej z oków żądz krwi. Hamował się tak długo, jak umiał. Widok wroga tuż obok niego przyprawił jego dziką krew o wrzenie i wymiół wszelką ostrożność i opanowanie.



Tarascus odwracał się właśnie ku innym drzwiom, gdy Conan, szarpnąwszy gobelin na bok, skoczył do pomieszczenia niczym ogarnięta żądzą krwi pantera. Tarascus się odwrócił, ale jeszcze nim zdołał rozpoznać napastnika, pugnał Cimmeryjczyka wpił się w jego ciało.

Jednak cios nie był śmiertelny, co Conan pojął w chwili uderzenia. Jego stopa ugrzęzła w fałdzie zasłony, która

przytrzymała ją podczas skoku. Sztych zagłębił się w barku Tarascusa, przeorał żebra w dół i król Nemedii wrzasnął.

Impet ciosu i znajdującego się w wypadzie ciała Conana rzuciły go w tył na stół, a ten runął i świeca zgasła. Za sprawą gwałtownego pędu Cimmeryjczyka padli na podłogę, a dolna część gobelinu skrępowała swymi fałdami ich ruchy. Conan dźgał w ciemności na oślep, Tarascus wrzeszczał w szaleńczym, panicznym przerażeniu. Jak gdyby strach użyczył mu nadludzkiej energii, wyrwał się, uwolnił i błędził w mroku, wrzeszcząc przeraźliwie:

– Na pomoc! Straż! Arideusie! Orastesie! *Orastesie!*

Conan się podniósł, kopniakami wydostając się z płaczących się gobelinów i kawałków połamanego stołu, klnąc z goryczą żądnego krwi rozczarowania. Był skonsternowany i nieświadom rozkładu pomieszczeń pałacu. Zawodzenia Tarascusa wciąż rozbrzmiewały echem w oddali, a w odpowiedzi buchnął dziki wrzask. Nemedjczyk uciekł mu w ciemnościach i Conan nie wiedział, którą drogę obrał. Pochopny, niosący zemstę atak Cimmeryjczyka chybił i pozostało mu teraz tylko ocalić własną skórę, o ile będzie w stanie.

Siarczyście przeklinając, Conan pobiegł przejściem z powrotem do alkowy – i wyjrzał na rozświetlony korytarz, akurat gdy wbiegła nań Zenobia; jej ciemne oczy rozszerzone były przerażeniem.

– Och, co się stało?! – krzyknęła. – Pałac postawiony na nogi! Przysięgam, ja cię nie zdradziłam...

– Nie, to ja potrzęsnałem tym gniazdem szerszeni – burknął. – Próbowałem spłacić pewien rachunek. Którędy najkrótszą drogą na zewnątrz?

Chwyciła go za nadgarstek i pomknęła bystro korytarzem. Ale zanim dotarli do wielkich drzwi na drugim końcu, rozbrzmiały za

nimi stłumione krzyki, a wrota zaczęły trząść się od szturmu z drugiej strony. Zenobia załamała ręce i zapiszczała.

– Jesteśmy odcięci! Zaryglowałam te drzwi, kiedy wracałam. Ale oni wyłamią je za chwilę. Przez nie wiedzie droga do bramy poterny.

Conan się odwrócił. W dalszej części korytarza, nadal poza zasięgiem wzroku, posłyszał narastający zgiełk, co podpowiedziało mu, że wrogowie są zarówno za, jak i przed nim.

– Prędko! Tymi drzwiami! – krzyknęła rozpaczliwie dziewczyna, przecinając korytarz i rozwierając gwałtownie odrzwia jakiejś komnaty.

Conan poszedł w jej ślady i za plecami zarzucił złoty zaczep. Znaleźli się w bogato urządzonej, ale teraz pustej komnacie i dziewczyna pociągnęła go do zakratowanego złotem okna, przez które ujrzał drzewa i krzaki.

– Jesteś silny – wydyszała. – Jeśli zdołasz wyrwać kraty, możesz jeszcze uciec. Ogród jest pełen strażników, ale zarośla gęste, więc dasz radę ich uniknąć. Mur południowy jest także zewnętrznym murem miasta. Kiedy go przebrniesz, będziesz miał szansę pierchnąć. W gęstwinie przy drodze, która biegnie ku zachodowi, ukryty jest dla ciebie koń, o kilkaset kroków na południe od bijącego źródła Thrallosa. Wiesz, gdzie to jest?

– Tak! Ale co z tobą? Pomyślałem, że cię zabiorę ze sobą.

Napływ radości rozjaśnił jej piękną twarz.

– Tak więc przepełnia się czara mojego szczęścia! Ale nie będę zawadą w twojej ucieczce. Obciążony mną mógłbyś nie podołać. Nie, nie bój się o mnie. Nigdy nie będę podejrzewać, że ci pomogłam z własnej woli. Idź! To, co przed chwilą powiedziałeś,

wypełni radością me życie na długie lata.

Pochwycił ją w swe stalowe ramiona, zmiażdżył w uścisku jej smukłą, tętniącą życiem postać i zaczął zapalczywie całować oczy, policzki, szyję i usta, dopóki nie zaległa, dysząc, w jego objęciach; nawet jego miłosne pieszczoty były gwałtowne – porywcze i nieodparte jak sztormowy wicher.

– Pójdę już – wymamrotał. – Ale, na Croma, pewnego dnia przybędę po ciebie!

Odwróciwszy się, złapał mocno za złote pręty i wyrwał je z posad jednym potężnym szarpnięciem. Przerzucił nogę przez parapet i począł schodzić szybko, opierając się na zdobieniach muru. Już w pędzie zetknął się z ziemią i rozpląnął niczym cień w labiryncie olbrzymich krzewów róż i rozłożystych drzew. Jedno spojrzenie, jakie rzucił przez ramię, ukazało mu Zenobię wychylającą się przez okienny parapet z ramionami wyciągniętymi ku niemu w niemym pożegnaniu i geście świadomego wyrzeczenia.

Przez ogród przebiegali strażnicy, wszyscy kierując się ku pałacowi, gdzie zgiełk stawał się z chwili na chwilę coraz głośniejszy – wysocy mężczyźni w połyskujących kirysach i zdobionych grzebieniami hełmach z polerowanego spiżu. Światło gwiazd dobywało błyski z ich lśniących pancerzy, wśród drzew zdradzając każdy ich ruch. Ale odgłos nadejścia ubiegał ich jeszcze bardziej. Dla Conana, wychowanego w dziczy, ta gonitwa przez zarośla była niczym paniczny, ślepy pęd bydła. Niektórzy przebiegali o parę stóp od miejsca, gdzie leżał płasko w gęstej kępie krzaków, i nie podejrzewali nawet jego obecności. Mając za cel pałac, pozostawali niepomni wszystkiego innego wokół. Kiedy przeszli, krzycząc, podniósł się i pomknął przez ogród, nie robiąc

więcej hałasu, niż uczyniłaby pantera.

Dotarł więc szybko pod mur południowy i wstąpił na stopnie, które wiodły na parapet. Mur sporządzono tak, aby powstrzymać ludzi z zewnątrz, a nie od środka. W zasięgu wzroku nie było żadnego wartownika patrolującego blanki. Kucnąwszy przy ambrazurze, Cimmeryjczyk rzucił okiem wstecz, na wielki pałac wznoszący się ponad cyprysami. Światło jaśniało w każdym oknie i był w stanie dostrzec postaci przewalające się w tę i w tę jak kukielki na niewidzialnych sznurkach. Wyszczrzył się zimno, potrząsnął pięścią w geście pożegnania oraz groźby i skoczył za zewnętrzną krawędź parapetu.

Niskie drzewo o kilka jardów poniżej parapetu przyjęło ciężar Conana, kiedy ten opadł bezgłośnie pomiędzy jego gałęzie. Chwilę później pędził przez mrok owym rozkołysanym krokiem ludzi gór, który rażno pochłania długie mile.

Mury Belverusu otaczały ogrody i wille służące rozrywce mieszkańców. Senni niewolnicy, śpiący przy swych strażniczych pikach, nie dostrzegli czmychającej prędko, ukradkiem postaci, która wspinała się na mury, przecinała aleje uczynione z łukowatych gałęzi drzew i przemykała w sposób bezgłośny przez sady i winnice. Psy stróżujące zbudziły się, wyczuwając na wpół nosem, a na wpół instynktem przepływający cień, i wznosiły nań swój gardłowy, huczący jazgot, ale tamtego już nie było.

W komnacie Tarascus wił się i przeklinał w zbryzganym krwią pościeli pod zręcznymi, szybkimi palcami Orastesy. Pałac zatłoczony był drżącymi pacholkami o oczach rozwartych szeroko strachem, ale komnata, gdzie leżał król, pozostała pusta, z wyjątkiem jego samego i kapłana renegata.

– Jesteś pewien, że on nadal śpi? – zapytał ponownie Tarascus, krzywiąc się na ukąszenie soku z ziół, których Orastes użył przy bandażowaniu długiego, poszarpanego rozcięcia ziejącego na jego ramieniu i żebrach. – Ishtar, Mitro i Secie! To pali niczym roztopiona smoła z piekieł!

– Której, gdyby nie twe szczęście, doświadczałbyś właśnie teraz – skomentował Orastes. – Ktokolwiek władał tym nożem, uderzał, by zabić. Tak, powiedziałem ci, że Xaltotun nadal śpi. Coś tak drażliwy na tym punkcie? Co on ma z tym wspólnego?

– Nic nie wiesz o tym, co zaszło w pałacu dzisiejszej nocy? – Tarascus wpatrywał się w oblicze kapłana z płomiennym natężeniem.

– Nic. Jak wiesz, od kilku miesięcy zatrudniony byłem przy tłumaczeniu rękopisów dla Xaltotuna, przepisywaniu zastrzeżonych ksiąg spisanych w młodszych językach pismem, które potrafi przeczytać. Był wielce biegły we wszystkich językach i pismach swej doby, ale nie nauczył się jeszcze wszystkich nowszych i aby zaoszczędzić czas, wziął mnie do tłumaczenia tych dzieł dla siebie, by móc dowiedzieć się, czy jakąkolwiek nową wiedzę odkryto od jego czasów. Nie wiedziałem, że powrócił wczorajszej nocy, dopóki nie posłał po mnie i nie opowiedział o bitwie. Potem wróciłem do swych badań i nie wiedziałem, że i ty powróciłeś, dopóki zgiełk w pałacu nie wywiódł mnie z celi.

– Zatem nie wiesz, że przywiózł do tego pałacu pojmanego króla Aquilonii?

Orastes pokręcił głową bez specjalnego zaskoczenia.

– Xaltotun mówił mi tylko, że Conan już nam się nie przeciwstawi. Założyłem, że poległ, ale nie pytałem o szczegóły.

– Xaltotun ocalił mu życie, gdy miałem go zabić – warknął Tarascus. – Natychmiast przejrzałem jego zamiary. Chciał trzymać pojmanego Conana, aby używać go jako kija na nas: na Amalrica, na Valeriusa i na mnie. Dopóki Conan żyje, stanowi zagrożenie, dla Aquilonii to czynnik jednoczący, który można wykorzystać, by wymusić na nas przyjęcie kierunku, w jakim byśmy w innym razie nie podążyli. Nie dowierzam temu nieumarłemu Pythonianinowi. Ostatnio zacząłem się go bać. Podążyłem w ślad za nim parę godzin po jego odjeździe ku wschodowi. Chciałem się dowiedzieć, co zamierza zrobić z Conanem. Odkryłem, że uwięził go w podziemiach. Zamierzałem dopilnować, by wbrew Xaltotunowi, barbarzyńca zginął. I dokonałem tego...

Od drzwi dobiegło ostrożne pukanie.

– To Arideus – mruknął Tarascus. – Wpuść go.

Ponury giermek wszedł, jego oczy płonęły tłumionym zdenerwowaniem.

– Co tam, Arideusie? – wykrzyknął Tarascus. – Znaleźliście człowieka, który mnie zaatakował?

– Nie widziałeś go, mój panie? – spytał Arideus jak ktoś, kto upewnia się co do faktu, o którym już wie, że miał miejsce. – Nie rozpoznałeś go?

– Nie. To stało się tak prędko i świeca zgasła... Wszystko, o czym zdołałem pomyśleć, to, że jest to jakiś diabeł spuszczone na mnie przez magię Xaltotuna...

– Pythonianin śpi w swym zabarykadowanym i zaryglowanym pomieszczeniu. Ale ja byłem w lochach. – Podekscytowany Arideus podciągnął swe chude barki.

– Dobra, mów, człowieku! – wykrzyknął Tarascus niecierpliwie. –

Co tam znalazłeś?

– Pusty loch – szepnął giermek. – Trupa wielkiego małpoluda!

– Co?! – Tarascus aż usiadł i krew trysnęła z jego otwartej rany.

– Tak jest! Ludożerca nie żyje... pchnięty nożem w serce... a Conan zniknął!

Twarz Tarascusa była szara, kiedy bezwiednie pozwalał Orastesowi przewrócić się znów na plecy i kiedy kapłan ponawiał pracę nad jego zmasakrowanym ciałem.

– Conan! – powtórzył. – Nie jakiś zmiażdżony trup... uciekł! Mitro! To nie człowiek, ale sam diabeł! Sądziłem, że za tą raną stoi Xaltotun. Teraz pojmuje. Diabły i bogowie! To Conan był tym, który mnie dźgnął! Arideusie!

– Tak jest, wasza wysokość!

– Przeszukajcie wszystkie zakamarki pałacu. Może przemykać ciemnymi korytarzami niczym głodny tygrys. Niech żadna wnęka nie uniknie waszego badania i strzeżcie się. To nie na cywilizowanego człowieka polujecie, lecz na owładniętego żądzą krwi barbarzyńcę, którego siła i zjadłość są takie jak u dzikiego zwierza. Przeczesać tereny pałacu i miasto. Sformować kordon wokół murów. Jeśli odkryjesz, że uciekł z miasta, co mógł spokojnie uczynić, weź oddział konnych i podążaj jego śladem. Kiedy przekroczysz mury, będzie to jak polowanie na wilka pośród wzgórz. Pospiesz się jednak, a może jeszcze go pochwycisz.

– To kwestia, która wymaga czegoś więcej niż ludzki rozum – stwierdził Orastes. – Może powinniśmy zasięgnąć rady Xaltotuna?

– Nie! – wykrzyknął Tarascus gwałtownie. – Niech jezdni ścigają Conana i go zabiją. Xaltotun nie może żywić do nas urazy, skoro zabijemy więźnia, aby zapobiec jego ucieczce.

– Cóż – rzekł Orastes – nie jestem Achemończykiem, ale jestem biegły w niejednej ze sztuk i w sterowaniu pewnymi duchami, które oblekły się materialną powłoką. Być może potrafię pomóc wam w tej kwestii.

Bijące źródło Thrallosa znajdowało się pośród kolistego skupiska dębów obok drogi, o milę od murów miasta. Jego melodyjny szmer dotarł do uszu Conana przez ciszę gwiazdowego blasku. Napił się obficie z jego lodowatego strumienia, a potem pospieszył ku południu, w kierunku niewielkich, zwartych zarośli, jakie tam dostrzegł. Okrążając je, ujrzał wielkiego białego konia spętanego wśród krzaków. Wydawszy donośne, głębokie westchnienie, doskoczył do niego jednym długim krokiem... Wtem jakiś drwiący śmiech sprawił, że się odwrócił, patrząc złym okiem.

Z mroku w światło gwiazd wysunęła się błyszcząca matowo postać odziana w kolczugę. Nie był to połyskujący i zdobny pióropuszem pałacowy gwardzista. Był to wysoki mężczyzna w morionie i szarej kolczudze – jeden z Awanturników, klasy wojowników specyficznej dla Nemedii; ludzi, którzy nie osiągnęli bogactwa i stanu rycerskiego albo ze stanu tego odpadli, zaprawionych w boju weteranów oddających swe życie wojaczce i przygodzie. Ustanowili własną klasę, czasami dowodząc oddziałami, ale samemu nie odpowiadając przed nikim innym, jak tylko królem. Conan wiedział, że nie mógł zostać wykryty przez groźniejszego nieprzyjaciela.

Szybki rzut oka w mrok upewnił go, że człowiek ów jest sam, i z lekka napiął swą wielką pierś, mocniej wraził palce stóp w darń, a jego mięśnie zwały się naprężone.

– Jechałem ku Belverusowi w sprawach Amalrica – oznajmił

Awanturnik, postępując czujnie. Światło gwiazd krzesало długie błyski na wielkim dwuręcznym mieczu, jaki unosił obnażony w swej dłoni. – Jakiś koń zarżał na mnie z tych zarośli. Zbadałem to i uznałem za dziwne, że rumak został przywiązany tutaj. Zaczekałem... i oto schwytałem rzadką zdobycz!

Awanturnicy żyli ze swych mieczy.

– Znam cię – wymamrotał Nemedyczyk. – Ty jesteś Conan, król Aquilonii. Myślałem, że widziałem, jak umierasz w dolinie Valkii, ale...

Conan skoczył, jak skacze bliski śmierci tygrys. I choć Awanturnik był wojownikiem doświadczonym, nie zdawał sobie sprawy z szalonej szybkości, która czaiła się w barbarzyńskich ścięgnach. Został zaskoczony, że swym ciężkim mieczem na wpół uniesionym. Zanim zdołał uderzyć czy sparować cios, puginał króla zanurzył się w jego gardle, ponad obojczykiem, wchodząc skosem ku dołowi w jego serce. Ze zdławionym bulgotem zatoczył się i umarł, a Conan bezlitośnie wyrwał ostrze, kiedy jego ofiara upadła. Biały koń parsknął gwałtownie i szarpnął się niespokojnie na widok i woń krwi na murawie.

Patrząc gniewnie na pozbawionego życia wroga, z ociekającym krwią puginałem w ręce i potem błyszczącym na szerokiej piersi, Conan zastygł niczym statua, bacznie nasłuchując. W lesie dookoła nie rozbrzmiewał żaden dźwięk, z wyjątkiem sennego szczebiotu przebudzonych ptaków. Ale w mieście o milę dalej posłyszał piskliwy jazgot trąby.

Pospiesznie nachylił się nad poległym. Trwające parę chwil przeszukanie upewniło go, że jakiegokolwiek posłanie ów człowiek przewoził, w zamiarze miało być przekazane ustnie. Nie ustawał

wszelako w swej pracy. Niewiele godzin pozostało do świtu. Kilka minut później biały koń galopował po jasnej drodze ku zachodowi, a jeździec miał na sobie szarą kolczugę nemedyjskiego Awanturnika.



VII

ROZDZIERANIE WELONU



Conan wiedział, że jedyna szansa na ucieczkę spoczywa w szybkości. Nie brał nawet pod uwagę ukrywania się gdzieś blisko Belverusu, aż pościg go minie. Był pewien, że niesamowity sojusznik Tarascusa będzie w stanie go stamtąd wydobyć. Ponadto nie był kimś nadającym się do przyczajenia i ukrywania; otwarta walka czy otwarty pościg lepiej pasowały do jego usposobienia. Wiedział, że z początku zyskał na czasie. Chciał wciągnąć ich w wyczerpujący wyścig ku granicy.

Zenobia zdecydowała dobrze, dobierając białego konia. Jego prędkość, twardość i wytrzymałość były oczywiste. Dziewczyna znała się na broni, koniach oraz, co Conan przyjął z pewnym

zadowoleniem, na mężczyznach. Jechał ku zachodowi równym tempem, połykając mile.

Ziemia, przez którą przejeżdżał, leżała uśpiona – obok chroniących się w zagajnikach wiosek i willi o białych ścianach pośród rozległych pól i sadów, które rosły coraz rzadziej, w miarę jak przemieszczał się ku zachodowi. Wraz ze zmniejszającymi się wioskami ziemia stawała się bardziej surowa, a warownie spoglądające krzywo z pagórków opowiadały o wiekach pogranicznych wojen. Nikt wszak z tych zamków nie zjeżdżał, by rzucić mu wyzwanie czy go zatrzymać. Panowie owych warowni podążali obecnie za sztandarem Amalrica; proporce, które zwyczajowo powiewały nad tymi wieżami, powiewały teraz nad równinami Aquilonii.

Kiedy ostatnia skulona wioska została już za nim, Conan opuścił drogę, która zaczynała skręcać ku północnemu zachodowi, w kierunku odległych przełęczy. Trzymać się drogi znaczyło mijać graniczne wieże, nadal obsadzone uzbrojonymi ludźmi, którzy nie pozwolą mu przejść, nie wypytawszy go. Wiedział, że podobnie jak w czasach spokojnych, po tej stronie nie natrafi na patrole objeżdżające marchie pogranicza, ale pozostawały owe wieże, a o świcie pojawią się prawdopodobnie kawalkady żołnierzy powracających z rannymi na wozach ciągniętych przez woły.

Niniejsza droga z Belverusu była jedyną, która przecinała granicę na odcinku pięćdziesięciu mil z północy na południe. Podążała za szeregiem przełęczy wśród pogórza, a po obu jej stronach rozciągały się szerokie połacie dzikich, z rzadka zamieszkanych gór. Utrzymywał właściwy zachodni kierunek, zamierzając przekroczyć granicę głęboko pośród głuszy pogórza, jakie

roztaczało się na południe od przełęczy. Była to trasa krótsza, bardziej żmudna, ale bezpieczniejsza dla ściganego uciekiniera. Pojedynczy człowiek na koniu był w stanie przemierzyć krainę, która dla armii okazałaby się nie do przejścia.

O brzasku jednak nie dotarł jeszcze do wzgórz; stanowiły długi, niski warowny mur rozciągnięty wzdłuż horyzontu przed nim. Tutaj nie było już ani gospodarstw, ani wiosek, ani też willi o białych ścianach mających pośród kęp drzew. Wiatr świtu poruszał wysoką, sztywną trawą i wokół nie było nic poza nawarstwionymi muldami brązowej ziemi pokrytymi zeschniętą murawą oraz mizernymi murami jakiejś fortecy na niskim wzgórku w oddali. Zbyt wielu aquilońskich łupieżców przekraczało góry w nie tak odległych dniach, aby tę krainę zasiedlono tak gęsto, jak było to dalej na wschodzie.

Świt napływał jak preriowy pożar po łąkach, a wysoko w górze zabrzmiał niesamowity krzyk, kiedy rozsypany klucz dzikich gęsi przelatywał bystro ku południu. W trawiastej niecce Conan zatrzymał się i rozsiodłał wierzchowca. Przed świtem popędzał go bezlitośnie całymi godzinami.

Podczas gdy ten pogryzał łamliwą trawę i rozłożył się na ziemi, Cimmeryjczyk zaległ na szczycie niskiego pagórka i zapatrzył się ku wschodowi. Daleko ku północy widział drogę, którą opuścił, wijącą się niby biała wstęga po odległym wzniesieniu. Po owej lśniącej wstędze nie przemieszczały się żadne czarne punkciki. Wokół zamku w dali także nie było żadnych oznak, które by wskazywały, iż jego gospodarze zauważyli samotnego podróżnego.

Godzinę później kraina nadal rozciągała się pusta. Jedyne ślad życia stanowił rozbłysk stali na odległych blankach oraz kruk na

niebie, krążący w tę i z powrotem, nurkujący i wznoszący się jak gdyby w poszukiwaniu czegoś. Conan osiodłał konia i pojechał ku zachodowi wolniejszym krokiem.

Kiedy wspinał się na szczyt wieńczący dalszą część zbocza, nad jego głową buchnął ochryply wrzask i podniósłszy wzrok, ujrzał łopoczącego nad sobą skrzydłami kruka, kraczącego bezustannie. Kiedy Cimmeryjczyk ruszył dalej, ptak podążył za nim, utrzymując pozycję i czyniąc swymi zgrzytliwymi wrzaskami poranek okropnym, nie zważając również na wszelkie próby przepędzania.

Sytuacja ta utrzymywała się przez wiele godzin, doprowadzając Conana na skraj irytacji, aż poczuł, że oddałby połowę swego królestwa, by móc ukręcić ten czarny łeb.

– Na diabły piekieł! – ryknął w daremnym gniewie, grożąc rozgorączkowanemu ptakowi opancerzoną pięścią. – Dlaczego nękaś mnie swym skrzekiem? Przepadnij, ty czarny pomocie piekielnych czeluści, i weź się do dziobania pszenicy na polach gospodarzy!

Wstępował na pierwsze zbocze pogórza i zdało mu się, że daleko za plecami posłyszał echo ptasiego jazgotu. Odwróciwszy się w siodle, wkrótce wypatrzył inny czarny punkt zawieszony pośród błękitu. Za nim ponownie wyłapał przebłysk wieczornego słońca na stali. To mogło znaczyć tylko jedno: uzbrojonych ludzi. I nie jechali oni ubitym szlakiem, który zniknął mu z oczu za widnokretem. Podążali jego śladem.

Twarz mu spochmurniała i kiedy spojrział na kruka krążącego wysoko nad nim, przebiegł go lekki dreszcz.

– Zatem to coś więcej niż kaprys bezrozumnego zwierza? – wymamrotał. – Ci jeźdźcy nie mogą cię widzieć, pomocie piekieł,

ale ten drugi ptak potrafi cię dostrzec, a oni widzą jego. Ty lecisz w ślad za mną, on za tobą, a oni podążają za nim. Czy jesteś tylko zręcznie wytresowanym pierzastym stworzeniem, czy jakimś diabłem w postaci ptaka? Czy to Xaltotun naprowadził cię na mój ślad? Czy ty jesteś Xaltotunem?

Odpowiedział mu tylko wrzaskliwy skrzek, skrzek pobrzmiwający nieprzyjemną drwiną.

Conan nie marnował już więcej tchu na swego mrocznego zdrajcę. Posępnie podjął zmudną przeprawę przez pogórze. Nie ośmielił się popędzać konia zbyt mocno: odpoczynku, na jaki mu pozwalał, nie było dosyć, żeby ten zdołał odzyskać siły. Znajdował się wciąż daleko przed swymi prześladowcami, ale ci będą systematycznie skracać dystans. Było niemal pewne, że ich konie są świeższe od jego, gdyż niewątpliwie zmienili je w zamku, jaki mijali wcześniej.

Jazda stawała się coraz cięższa, okolica bardziej wyboista, strome trawiaste stoki pięły się ku gęsto zadrzewionym górskim zboczom. Wiedział, że tutaj mógłby się wymknąć polującym na niego, gdyby nie ten piekielny ptak, który wrzeszczał bezustannie nad jego głową. Nie mógł widzieć ich dłużej w tej pokręconej krainie, ale był pewny, że nadal za nim podążają prowadzeni prostą drogą przez swych pierzastych sojuszników. Ów czarny kształt stał się niczym demoniczny inkub tropiący go przez bezmiar piekieł. Kamienie, którymi ciskał, przeklinając, przechodziły z dala i opadały, nie czyniąc żadnej szkody, choć w młodości strącał sokoły, trafiając je w skrzydła.

Koń męczył się szybko. Conan zdał sobie sprawę z ponurego fatalizmu swego położenia. Wyczuwał za tym wszystkim

nieprzejednaną siłę sprawczą losu. Nie mógł uciec. Był już więźniem tak samo jak wcześniej, w podziemiach Belverusu. Nie był wszak synem Orientu, by biernie ulegać temu, co zdawało się nieuniknione. Jeśli nie zdoła uciec, przynajmniej zabierze kilku wrogów ze sobą do wieczności. Skręcił w gęstwinę modrzewi okrywającą stok, szukając miejsca, w którym przyparty do muru stawi czoło przeciwnikom.

Wtem rozbrzmiał przed nim dziwny, przeszywający wrzask, ludzki jednak, o niesamowitej barwie. Moment później Cimmeryjczyk przebił się przez zasłonę z gałęzi i ujrzał źródło nieziemskiego krzyku. W małej, leżącej poniżej przesiece czterech żołnierzy w nemedyjskich kolczugach zawiązywało właśnie pętlę na szyi wychudzonej staruszki w stroju chłopki. Obwiązana sznurkiem kupka chrustu na ziemi niedaleko wskazywała, czym się zajmowała, gdy zaskoczyli ją ci maruderzy.

Kiedy tak patrzył w milczeniu i widział oprychów ciągnących ją w kierunku drzewa, którego nisko rosnące, rozłożyste gałęzie przeznaczone były w sposób oczywisty do odegrania roli szubienicy, Conan poczuł wściekłość nabrzmiewającą z wolna w sercu. Przekroczył granicę godzinę temu. Obecnie stał na własnej ziemi, obserwując morderstwo jednego ze swoich poddanych. Staruszka walczyła o życie z zaskakującą siłą i energią i kiedy tak się przyglądał, uniosła głowę i ponownie wydała ten dziwny, niesamowity, daleko niosący się zew, który posłyszał przedtem. Odbił się on echem w drwinie kruka łopoczącego skrzydłami ponad drzewami. Żołnierze roześmiali się grubiańsko, a jeden uderzył ją w usta.

Cimmeryjczyk zsunął się ze swego znużonego rumaka, rozpędził

po powierzchni skał i wylądował na trawie z brzękiem kolczugi. Na ten dźwięk czterej żołnierze odwrócili się i wyciągnęli broń, gapiąc się z otwartymi ustami na opancerzonego olbrzymia, który stał przed nimi z mieczem w dłoni.

Conan roześmiał się nieprzyjemnie. Jego oczy były zimne i twarde niczym kamień.

– Psy! – rzekł bez gniewu i bez litości. – Czyżby nemedyskie szakale same ustanowiły się katami i wieszały moich poddanych do woli? Najpierw musicie odebrać głowę ich królowi. Oto staję ku waszej szlachetnej przyjemności!

Żołnierze wpatrywali się w niego niepewnie, kiedy kroczył w ich kierunku.

– Kim jest ten szaleniec? – warknął brodaty oprych. – Nosi pancerz nemedyski, ale mówi z akcentem aquilońskim.

– Nie ma różnicy – stwierdził inny. – Załatwmy go, a potem powieśmy tę starą czarownicę.

To mówiąc, wznosił miecz i ruszył na Conana. Zanim jednak zdołał uderzyć, wielkie ostrze króla śmignęło w dół, rozszczepiając hełm i czaszkę. Mężczyzna upadł przed nim, ale pozostali byli twardymi łotrami. Wywiesili języki niczym wilki i opadli samotną postać w szarej kolczudze, a chrzest i zgrzyt stali pochłonał krzyki krążącego kruka.

Conan nie krzyczał. Jego oczy żarzyły się błękitnym ogniem, a usta uśmiechały się zimno; siekł na lewo i prawo swym oburęcznym mieczem. Przy swych rozmiarach był szybki na nogach jak kot i pozostawał w nieustannym ruchu, stanowiąc lotny cel, tak że pchnięcia i cięcia częściej przecinały powietrze, niż trafiały. Jednakowoż, kiedy on uderzał, znajdował się w doskonałej

równowadze, a jego ciosy opadały z niszczącą mocą. Trzech wrogów poległo, umierając we własnej krwi, a czwarty, broczący z pół tuzina ran, wycofywał się, potykając, na złamanie karku. Gorączkowo odbijał ciosy, kiedy to ostroga Conana zahaczyła o tunikę jednego z powalonych.

Król się potknął i zanim zdołał złapać równowagę, wiedziony desperackim szaleństwem Nemedyczyk natarł na niego tak wściekle, że Cimmeryjczyk zatoczył się i rozciągnął jak długi na zwłokach. Nemedyczyk zarechotał tryumfalnie i skoczył naprzód. Kiedy rozstawił szeroko nogi dla zadania ciosu, wznosząc swój wielki miecz oburącz nad prawym ramieniem, nagle nad leżącym na plecach królem prosto w pierś żołnierza wystrzeliło niczym grom coś ogromnego i kudłatego, a okrzyk tryumfu tamtego przemienił się w przenikliwy skrzek konania.

Poderwawszy się do pionu, Conan ujrzał tamtego, jak leży martwy z rozszarpanym gardłem, i wielkiego szarego wilka stojącego nad nim z pochylonym łbem, węszącego krew, która utworzyła w trawie kałużę.

Gdy staruszka przemówiła, król się odwrócił. Stała przed nim prosto, wysoka, a jej rysy – wyraziste, orle – oraz przenikliwe czarne oczy wbrew wystrzępionemu strojowi nie należały do chłopki. Zawezwała wilka, a on potruczał do jej boku niczym wielki pies i zaczął się ocierać olbrzymim grzbietem o jej kolano, wpatrując się w Cimmeryjczyka wielkimi, jaśniejącymi zielonymi ślepiami. Ona zaś bezwiednie złożyła dłoń na jego potężnym karku i tak oto stali oboje, przyglądając się uważnie królowi Aquilonii. Utkwione weń spojrzenie burzyło jego pewność siebie, choć nie było w nim wrogości.

– Ludzie mówią, że król Conan zginął pod ziemią i kamieniami, kiedy urwiska koło Valkii się rozpadły – rzekła głębokim, mocnym, dźwięcznym głosem.

– Takoż mówią – burknął. Nie był w nastroju do sporów i pomyślał o tych pancernych jeźdźcach, którzy parli naprzód coraz bliżsi z każdą chwilą. Kruk ponad nim zakrakał przeraźliwie i Cimmeryjczyk bezwiednie rzucił w górę okiem, zgrzytając zębami w paroksyzmie rozedrganej irytacji.

Powyżej, na skalnym występie, biały koń stał ze spuszczoną głową. Staruszka popatrzyła na niego, a potem na kruka i wzniosła niesamowicie dziwny okrzyk, tak jak czyniła to uprzednio. Jak gdyby rozpoznając zew, oniemiały nagle kruk zawrócił i pognał ku wschodowi. Zanim jednak zniknął z oczu, padł na niego cień potężnych skrzydeł. Z płataniny drzew wzbił się orzeł i unosząc się nad krukiem, zanurkował i przygwoździł czarnego posłańca do ziemi. Zgrzytliwy zdradziecki głos został uciszony na zawsze.

– Na Croma! – wymamrotał Conan zapatrzony w starą kobietę. – Ty także jesteś magiem?

– Jestem Zelata – rzekła. – Lud z dolin zowie mnie wiedźmą. Czy to dziecię nocy prowadziło uzbrojonych ludzi twoim śladem?

– Tak jest. – Nie zdawała się uważać tej odpowiedzi za dziwaczną. – Nie mogą być daleko.

– Weź swego konia i chodź za mną, królu Conanie – zarządziła krótko.

Bez komentarza wspiął się na skały i okrężną ścieżką sprowadził konia w przecinkę. Po drodze dostrzegł orła, który pojawił się ponownie, opadając leniwie z nieba, i przysiadł na chwilę na ramieniu Zelaty, rozpościerając nieco wielkie skrzydła, aby nie

przygnieść jej swoim ciężarem.

Wskazywała drogę, idąc przodem bez słowa, wielki szary wilk truchtał u jej boku, orzeł szybował ponad głową. Wiodła go przez ciemne zarośla i po krętych skalnych występach zawieszonych nad głębokimi wąwozami, aż w końcu ścieżką wzdłuż skraju przepaści do dziwnego kamiennego domostwa – na wpół chaty, na wpół grotę ukrytej pomiędzy jarami i postrzępionymi skałami. Orzeł poleciał na wierzchołek owego urwiska i zasiadł tam niczym nieruchomy wartownik.

Nadal milcząc, Zelata odprowadziła konia do niedalekiej jaskini zaopatrzonej w wysokie sterty liści i trawy, z maleńkim źródłem buzującym w pograżonym w półmroku zagłębieniu.

W chacie posadziła króla na topornej, okrytej niewyprawioną skórą ławie, a sama usadowiła się na niskim stolcu przed malutkim kominkiem, rozpalając ognisko z polan tamaryszku i przygotowując skromny posiłek. Wielki wilk drzemał obok niej skierowany pyskiem do ognia, ogromny łeb złożył na przednich łapach i strzygł uszami przez sen.

– Nie boisz się zasiadać w chacie wiedźmy? – spytała, przerywając w końcu milczenie.

Niecierpliwe wzruszenie ramion pod szarą kolczugą stanowiło jedyną odpowiedź jej gościa. Włożyła mu w dłonie drewnianą miskę wypełnioną po brzegi suszonymi owocami, serem i chlebem jęczmiennym oraz wielki dzban idącego do głowy górskiego piwa warzonego z jęczmienia wyrosłego w wysoko położonych dolinach.

– Stwierdziłam, że pełna zadumy cisza górskich dolinek jest dla mnie miłsza od paplaniny miejskich ulic – powiedziała. – Dzieci dziczy są serdeczniejsze od dzieci ludzi. – Jej dłoń przesunęła się

krótco po zarośniętym karku śpiącego wilka. – Moje dzieci były dziś z dala ode mnie, bo inaczej nie potrzebowałabym twego miecza, mój królu. Przybyły na mój zew.

– O co miały do ciebie żal te nemedyjskie psy? – zapytał Conan.

– Maruderzy z armii najeźdźców panoszą się po całym kraju, od granicy po Tarantię – odrzekła. – Głupi wieśniacy z dolin powiedzieli, że mam ukryte zasoby złota, żeby odwrócić ich uwagę od swoich wsi. Ci więc domagali się ode mnie skarbu, a moje odpowiedzi ich rozzłościły. Ale tutaj ani maruderzy, ani ludzie, którzy cię ścigają, ani też żadne kruki cię nie odnajdą.

Pokręcił głową, jedząc łąpczywie.

– Zmierzam ku Tarantii.

– Wpychasz głowę w smoczą paszczę. Najlepiej poszukaj schronienia za granicą. Serce zniknęło z twojego królestwa.

– Co masz na myśli? – zapytał. – Wcześniej już przegrywano bitwy, ale wygrywano wojny. Jedna porażka nie stanowi o zgubie królestwa.

– I pojedziesz do Tarantii?

– Tak jest. Prospero utrzyma ją przeciwko Amalricowi.

– Jesteś pewien?

– Na piekielne diabły, kobieto! – wykrzyknął z wściekłym gniewem. – Czego jeszcze?

Potrząsnęła głową.

– Wyczuwam, że tu jest inaczej. Zobaczmy. Niełatwo rozerwać ten welon, a jednak rozedrę go trochę i ukażę ci twoją stolicę.

Conan nie widział, co cisnęła w ogień, ale wilk zaskamlał przez sen, a w chacie pojawił się i wezbrał zielony dym. I kiedy mu się przyglądał, ściany i strop chaty zdały się rozszerzać, stawać

odleglesze i znikać, zlewając się z nieskończonym bezmiarem. Dym przewalał się wokół niego, przesłaniając wszystko. A w nim kolejne kształty poruszały się, rozmywały, aż wyłoniły się z zaskakującą wyrazistością.

Wpatrywał się w znajome wieże i ulice Tarantii, gdzie gawiedź kipiała i wrzeszczała, a w tym samym czasie był w stanie ujrzeć sztandary Nemedii przemieszczające się nieubłaganie ku zachodowi przez dym i ogień ze złupionej ziemi. Na wielkim placu Tarantii rozgorączkowany tłum kłębił się i jęczał zrzędliwie, wrzeszcząc, że król nie żyje, że baronowie szykują się do podziału ziem między sobą, że władza króla, nawet Valeriusa, jest lepsza od anarchii. Prospero, błyszczący w swym pancerzu, jechał pomiędzy ludźmi, próbując ich uspokoić, proponując, by zaufali hrabiemu Trocerowi, przynaglając do obsadzenia murów i pomocy własnym rycerzom w obronie miasta. Zwrócili się przeciw niemu, wrzeszcząc przeraźliwie ze strachu i bezmyślnej wściekłości, wyjąc, że jest rzeźnikiem Trocera, wrogiem niosącym większe zło od samego Amalrica. W jego rycerzy miotano odpadkami i kamieniami.

Nieznaczone rozmycie obrazu, co mogło wskazywać na upływ czasu, i wtem Conan ujrzał Prospera z jego rycerzami wyjeżdżających rzędami poza bramy i spinających konie w drodze ku południu. Za ich plecami miasto ogarniał rozgardiasz.

– Głupcy! – burknął Conan przez zęby. – Głupcy! Dlaczego nie zaufali Prosperowi? Zelato, jeśli za pomocą jakichś sztuczek bawisz się ze mną...

– To rzeczy minione – rzekła niezmiészana, choć posępna. – To był wieczór owego dnia, kiedy Prospero wyjechał z Tarantii, mając wojska Amalrica prawie w zasięgu wzroku. Z murów ludzie

widzieli płomienie ich grabieży. Tak to odczytałam w dymie. O zachodzie słońca Nemedycjycy wjechali do Tarantii, nie napotkawszy oporu. Spójrz! Nawet teraz, w sali królewskiej w Tarantii...

Raptem Conan zaglądał do wielkiej sali koronacyjnej. Valerius stał na królewskim podeście odziany w gronostajowe szaty, Amalric zaś, wciąż w swym zakurzonym, splamionym krwią pancerzu, umieszczał na jego płowych puklach bogaty, połyskujący krąg – koronę Aquilonii! Lud począł wiwatować, długie rzędy zakutych w stal wojowników nemedyjskich patrzyły ponuro przed siebie, a nobile, pozostający od dawna w niełasce na dworze Conana, puszyli się i obnosili z herbem Valeriusa na rękawach.

– Na Croma! – buchnęło bluzgiem z ust Conana, kiedy poderwał się na nogi; jego pięści zacisnęły się w młoty, żyły na skroniach zawęzły, a rysy twarzy wykrzywiły. – Nemedyczyk wkłada koronę Aquilonii renegatowi... w królewskiej sali Tarantii!

Jakby rozwiany jego gwałtownością, dym zaczął rzednąć i Conan dostrzegł wpatrzone w niego czarne oczy Zelaty przeblyskujące poprzez opary.

– Widziałeś... mieszkańcy twej stolicy wyzbyli się wolności, którą ty zdobyłeś dla nich potem i krwią. Sprzedali się handlarzom niewolników i rzeźnikom. Pokazali, że nie ufają swemu przeznaczeniu. Czy możesz liczyć na nich przy odzyskiwaniu królestwa?

– Sądzili, że jestem martwy – mruknął, odzyskawszy nieco panowanie nad sobą. – Nie mam syna. Ludźmi nie da się rządzić za pomocą wspomnienia. Co z tego, że Nemedycjycy prawdopodobnie zajęli Tarantię? Nadal pozostają prowincje,

baronowie i lud zamieszkujący kraj. Valerius zdobył próżną chwałę.

– Jesteś uparty, jak wypada wojownikowi. Nie potrafię ukazać ci przyszłości, nie potrafię ukazać ci całej przeszłości. Nie, *ja* nie ukazuję ci niczego. Ja ledwie sprawiam, że dostrzegasz okna uchylone w welonie przez moce nieodgadnione. Chciałbyś zajrzeć w przeszłość, by poszukać klucza do teraźniejszości?

– Tak jest! – Usiadł raptownie.

Ponownie zielony dym uniósł się i wezbrał. Ponownie roztoczyły się przed nim obrazy, tym razem obce, pozornie nieistotne. Ujrzał wielkie, niebosiężne czarne mury, cokoły na wpół ukryte w mroku, podtrzymujące figury odrażających, w połowie zwierzęcych bogów. Ludzie poruszali się w ciemnościach, ciemnoskórzy, żyłaści mężczyźni odziani w czerwone jedwabne przepaski biodrowe. Olbrzymim czarnym korytarzem nieśli zielony nefrytowy sarkofag. Ale zanim był w stanie orzec, co widzi, sceneria się zmieniła. Ujrzał jaskinię, przyćmioną, cienistą, wypełnioną dziwną, nieuchwytną grozą. Na ołtarzu z czarnego kamienia stało osobliwe złote naczynie ukształtowane niby muszla małży. Do owej jaskini weszło paru tych samych ciemnoskórych, żylastych mężczyzn, którzy nieśli wcześniej sarkofag mumii. Złapali za złote naczynie, a potem zawirowały wokół nich cienie i co się stało, tego rzecz nie potrafił. Dostrzegł wszak w wirze ciemności pewien błysk, niczym kulę żywego ognia. Wówczas dym stał się tylko dymem, wznoszącym się coraz słabiej, niknącą smugą z ogniska tamaryszkowych polan.

– Ale na co miałoby to wskazywać? – dopytywał oszołomiony. – To, co widziałem w Tarantii, potrafię pojąć. Ale co znaczył ten krótki obraz zamoriańskich złodziei skradających się przez podziemną świątynię Seta w Stygii? A ta jaskinia... W czasie żadnej

z mych wędrówek nigdy nie widziałem ani nie słyszałem o takim miejscu. Jeśli możesz ukazać mi tak wiele... te chaotyczne strzępy wizji, które nic nie znaczą... dlaczego nie potrafisz ukazać mi wszystkiego, co ma się zdarzyć?

Zelata rozgarnęła ogień, nie odpowiedziawszy.

– Tymi sprawami rządzą niezmiennie prawa – rzekła w końcu. – Nie umiem sprawić, byś to pojął. Ja sama nie w pełni to rozumiem, choć szukałam mądrości w ciszy wysoko położonych ostępów przez więcej lat, niż mogę sobie przypomnieć. Nie umiem cię wybawić, choćbym chciała, gdybym mogła. W ostateczności człowiek musi sam wypracować sobie własne wybawienie. Jednak a nuż mądrość najdzie mnie podczas snu i rankiem może będę w stanie dać ci klucz do zagadki.

– Jakiej zagadki? – dopytywał.

– Owej tajemnicy, która tkwi przed tobą, z powodu której straciłeś królestwo – odrzekła. A potem rozpostarła owczą skórę na podłodze przed paleniskiem. – Śpij – powiedziała krótko.

Rozciągnął się na niej bez słowa i zapadł w niespokojny, lecz głęboki sen, w którym bezgłośnie przemieszczały się zjawy i pełzały potworne bezkształtne cienie. W pewnej chwili ujrzał zarysowane na tle purpury pozbawionego słońca widnokregu potężne mury i wieże jakiegoś wielkiego miasta, które nie wznosiło się nigdzie na ziemi, jaką poznał swym świadomym umysłem. Gigantyczne pylony i purpurowe minarety pięły się ku gwiazdom, a nad nimi, falując niczym wielki miraż, zawisło brodate oblicze owego człowieka, Xaltotuna.

Conan zbudził się o chłodnym, bladym brzasku, by ujrzeć Zelatę przykucniętą obok maleńkiego ognia. Nocą nie przebudził się ani

razu, a odgłosy wielkiego wilka wychodzącego czy wchodzącego powinny poderwać go na nogi. Jednakowoż wilk tam był, obok paleniska, z kudłatą sierścią mokrą od rosy i czegoś więcej niż rosy. Pośród gęstego włosia połyskiwała wilgocią krew, a na łopacie widniało jakieś rozcięcie.

Zelata skinęła głową bez oglądania się za siebie, jak gdyby czytając w myślach swego królewskiego gościa.

– Polował przed świtem i krwawe było to polowanie. Sądzę, że ów człowiek, który polował na króla, nie będzie polować już więcej ani na człowieka, ani na zwierza.

Powstając, aby wziąć jedzenie, które zaofiarowała mu Zelata, Conan przyjrzał się wielkiej bestii z niezwykłą fascynacją.

– Kiedy z powrotem znajdę się na tronie, nie zapomnę – rzekł krótko. – Okazałaś mi przyjaźń... Na Croma, nie przypominam sobie, kiedy położyłem się i spałem na łasce mężczyzny czy kobiety, jak uczyniłem to tej nocy. Ale co z zagadką, jaką miałaś mi odczytać dzisiejszego ranka?

Nastąpiła długa cisza, w której głośno pobrzmiwały trzaski tamaryszku w palenisku.

– Odszukaj serce swojego królestwa – odezwała się w końcu. – W nim spoczywa twoja porażka i twoja moc. Walczysz z czymś więcej niż człowiek śmiertelny. Nie osiądziesz ponownie na tronie, jeśli nie odzujesz serca swojego królestwa.

– Masz na myśli Tarantię? – zapytał.

Potrząsnęła głową.

– Jestem tylko wyrocznią, przez której usta przemawiają bogowie. Moje usta są przez nich opieczętowane, abym nie powiedziała zbyt wiele. Musisz odnaleźć serce swojego królestwa.

Więcej rzec nie mogę. Me usta otwierają i zawierają bogowie.

Świt był nadal blady na szczytach, kiedy Conan wyruszył ku zachodowi. Rzut oka przez ramię ukazał mu Zelatę stojącą w drzwiach swej chaty, jak zwykle nieodgadnioną, z wielkim wilkiem obok.

Wysoko w górze rozciągało się szare sklepienie nieba, a wyjący wiatr wionął chłodem zapowiadającym zimę. Brązowe liście opadały, łopocząc, z nagich gałęzi i osiadały sporadycznie na jego opancerzonych ramionach.

Cały dzień parł przez pogórze, unikając szlaków i wiosek. Gdy miało się ku nadejściu nocy, zaczął zjeżdżać ze wzgórz poziom za poziomem i ujrzał rozpostarte pod sobą rozległe równiny Aquilonii.

Wioski i gospodarstwa leżały w pobliżu stóp pogórza po zachodniej stronie gór, gdyż przez pół wieku większości napadów przez granicę dokonali Aquilończycy. Ale teraz tylko pogorzeliska i popioły wskazywały, gdzie wcześniej stały chaty i wille.

W gęstniejącym mroku Conan jechał z wolna przed siebie. Obawa wykrycia, którego lękał się tak ze strony przyjaciół, jak i wrogów, była niewielka. W swym parciu na zachód Nemedycyzy wciąż pamiętali o dawnych urazach, a Valerius nie podjął żadnej próby, by powstrzymać sprzymierzeńców. Nie liczył na to, że zdobędzie uwielbienie prostego ludu. Rozległe pokłósie spustoszenia przecinało kraj od stóp pogórza ku zachodowi. Conan kłął, gdy przejeżdżał przez poczerniałe połacie, które wcześniej były żyznymi polami, i widział szczyty sterczących na tle nieba wypalonych do cna domów. Przemieszczał się po pustej, opuszczonej ziemi niczym duch z zapomnianej, dawno minionej przeszłości.

Prędkość, z jaką armia przecinała kraj, wskazywała, jak lichy opór napotkała. Gdyby to Conan prowadził swych Aquilończyków, wojska najeźdźców byłyby zmuszone okupić własną krwią każdą piędź zdobytej ziemi. Jego duszę przeniknęła gorzka świadomość: nie był przedstawicielem jakiejś dynastii. Był zaledwie samotnym awanturnikiem. Nawet kropla dynastycznej krwi, którą przechwalał się Valerius, wywierała na umysły ludzi większy wpływ niż wspomnienie Conana, wolności i potęgi, jaką darował królestwu.

Na zejściu z pogórza nie podążali za nim żadni prześladowcy. Wyglądał wałęsających się albo powracających oddziałów nemedyjskich, ale nie napotkał żadnego. Przyczajeni tchórze pozostawili mu otwartą drogę, z jego zbroi wnosząc, iż jest jednym ze zdobywców. Gaje i rzeki były dalece obfitsze po zachodniej stronie gór i miejsc do ukrycia nie brakło.

Poruszał się po splądrowanej ziemi, zatrzymując tylko, by dać odpocząć koniowi i zjeść skromną strawę z tego, co dała mu Zelata, dopóki o świcie, gdy leżał skryty na brzegu rzeki, gdzie rosły gęsto wierzby i dęby, nie ujrzał z dala, poprzez pofałdowaną równinę upstrzoną plamkami urodzajnych gajów, błękitnych i złotych wież Tarantii.

Nie był już na ziemi opustoszałej, lecz tętniącej różnym życiem. Od tejże chwili posuwał się naprzód powoli i ostrożnie, przez gęste lasy i z rzadka bądź wcale nieuczęszczanymi bocznymi drogami. Był już zmierzch, gdy dotarł do plantacji Serviusa Galannusa.



VIII

GASNĄCE GŁOWNIE



Okolice Tarantii uniknęły straszego spustoszenia, jakie dotknęło większość prowincji wschodnich. Dowodami na przemarsz armii zdobywców były połamane ogrodzenia, splądrowane pola i złupione spichlerze, lecz stal i pochodnia nie zostały tu puszczone samopas.

Jedna była tylko ponura plama w tym krajobrazie – zwęglona połać popiołów i poczerniałych kamieni, gdzie, jak Conan wiedział, stała niegdyś wspaniała willa jednego z najbardziej niezachwianych jego zwolenników.

Król nie ośmielił się zbliżyć otwarcie do gospodarstwa Galannusa, które leżało tylko o parę mil od miasta. O zmierzchu

przejechał rozległy lesisty teren, aż ujrzał między drzewami chatkę dozorca. Zsiadłszy i spętawszy konia, zbliżył się do grubych, łukowatych drzwi z zamiarem posłania dozorca po Serviusa. Nie wiedział, jakim to wrogom majątek może służyć za schronienie. Nie widział żadnych oddziałów, ale mogły być zakwaterowane w całej okolicy. Jednak kiedy podszedł bliżej, ujrzał, jak drzwi się otwierają, a z nich kroczy zwarta postać w jedwabnych pludrach i bogato haftowanym dublecie, spiesząc ścieżką wijącą się wśród drzew.

– Serwiusie!

Na ten ściszony zew gospodarz plantacji odwrócił się z okrzykiem zaskoczenia. Jego ręka skoczyła do krótkiego noża myśliwskiego na biodrze, a on sam odsunął się od wysokiej stalowoszarej postaci stojącej przed nim w półmroku.

– Kto ty jesteś? – spytał. – Jak brzmi twoje... Mitro! – Z sykiem nabrał tchu, a jego rumiana twarz pobladła. – Zgiń, przepadnij! – wykrzyknął. – Czemu wróciłeś z szarych krain śmierci, by mnie trwożyć? Kiedy żyłeś, byłem zawsze twym wiernym stronnikiem...

– Takież oczekuję, że nadal będziesz – rzekł Conan. – Przestań się trząść, człowieku. Jestem z krwi i kości.

Spocony od niepewności Serwius zbliżył się i spojrzał w twarz odzianego w kolczugę olbrzyma, a potem, przekonany do realności tego, co widzi, opadł na kolano i uniżenie ściągnął swą czapę z piórem.

– Wasza wysokość! Doprawdy, to cud przechodzący wszelką wiarę! W minionych dniach wielki dzwon w cytadeli wybił już twój żałobny pean. Mówiono, że zginąłeś nad Valkią, zmiażdżony pod milionami ton ziemi i skruszonego granitu.

– To kto inny był w mej zbroi – burknął Conan. – Pomówimy o

tym później. Jeśli znajdzie się na twym stole taka rzecz jak udziec wołowy...

– Wybacz mi, mój panie! – krzyknął Servius, zrywając się na równe nogi. – Kurz podróży szarzeje na tej kolczudze, a ja trzymam cię tu stojącego bez odpoczynku i wieczerzy! Mitro! Teraz widzę dość dobrze, żeś jest żywy, ale przysięgam, kiedy się obróciłem i ujrzałem cię całego stojącego w szarościach i półmroku zmierzchu, wiązadła mych kolan przemieniły się w wodę. To niedobra rzecz spotkać o zmroku w lesistej okolicy człowieka, którego uznałeś za martwego.

– Polec dozorcy doglądnąć mego rumaka, który spętany jest za tamtym dębem – nakazał Conan, a Servius potaknął, wiodąc króla ścieżką. Patrycjusz ów, otrząsnąwszy się z nadprzyrodzonego strachu, zrobił się nadzwyczaj nerwowy.

– Poślę jakiegoś sługę z majątku – rzekł. – Dozorca jest w swej chatce... ale w tych dniach nie ważę się ufać nawet sługom. Lepiej, że tylko ja wiem o twojej obecności.

Zbliżywszy się do wielkiego domu, który jaśniał niewyraźnie poprzez drzewa, skręcił w bok, na mało wykorzystywaną dróżkę, jaka przebiegała pomiędzy gęsto nasadzonymi dębami, których splątane gałęzie tworzyły wysoko w górze sklepienie odcinające przyćmione światło gęstniejącego zmierzchu. Servius spieszył przez mrok bez słowa, w jego zachowaniu było coś podobnego do paniki i wkrótce powiodł Conana przez małe boczne drzwi do wąskiego, rozjaśnionego przyćmionym światłem korytarza. Przemierzyli go w pośpiechu i milczeniu i Servius wprowadził króla do przestronnej komnaty o wysokim, wspartym na dębowych belkach stropie i bogato wykładanych ścianach. W obszernym kominku płonęły

szczapy, gdyż powietrze przenikał ostry chłód, a na szerokim mahoniowym stole na kamiennej tacy tkwił wielki, parujący pieróg z mięsem. Servius zamknął masywne drzwi i pogasił świece, które stały na stole w srebrnym świeczniku, pozostawiając jako oświetlenie komnaty tylko ogień w palenisku.

– Wybacz, wasza wysokość – rzekł przepraszająco. – To niebezpieczne czasy, szpiedzy czają się wszędzie. Byłoby lepiej, żeby nikt nie zdołał zajrzeć przez okna i rozpoznać ciebie. Pieróg ten jednakowoż wyszedł właśnie z pieca, zamierzałem bowiem wieczerzać po powrocie z rozmowy z dozorcą. Jeśli, wasza wysokość, łaskawie uznasz za godne...

– Światła jest dostatek – mruknął Conan, sadowiąc się bez zbędnych ceregieli i wyciągając puginał.

Wgryzł się chciwie w soczystą potrawę, splukując kęsy wielkimi haustami wina z owoców wyrosłych w winnicy Serviusa. Zdawał się niepomny wszelkiego zagrożenia, lecz Servius poruszał się niespokojnie na siedzisku przy ogniu, nerwowo bawiąc się ciężkim złotym łańcuchem zawieszonym na szyi. Spoglądał bezustannie w stronę opatrzonych małymi romboidalnymi fasetkami okien, które błyszczały matowo w blasku ognia, i nadstawiał ucha w kierunku drzwi, jak gdyby spodziewając się posłyszeć w zewnętrznym korytarzu ciche stąpienia ukradkowych kroków.

Skończywszy posiłek, Conan powstał i rozsiadł się na drugim siedzisku przed ogniem.

– Długo nie będę wystawiać cię na niebezpieczeństwo swą obecnością – oznajmił raptownie. – Świt odnajdzie mnie daleko od twojej plantacji.

– Panie mój... – Servius uniósł ręce w gorącym sprzeciwie, lecz

Conan gestem dłoni odsunął jego protesty.

– Znam twoją lojalność i odwagę. Obie są bez zarzutu. Ale jeśli Valerius zagarnął mój tron, udzielanie mi schronienia oznaczać będzie twą śmierć, gdyby to wykryto.

– Nie mam dość siły, by przeciwstawić mu się otwarcie – przyznał Servius. – Pięćdziesięciu zbrojnych, których mógłbym poprowadzić do boju, byłoby ledwie garścią źdźbeł trawy. Widziałeś ruiny plantacji Emiliusa Scavonusa?

Conan przytaknął, marszcząc posępnie brwi.

– Był, jak wiesz, najmocniejszym patrycjuszem w tej prowincji. Odmówił złożenia hołdu Valeriusowi. Nemedycjzycy spalili go w ruinach jego własnej willi. Po tym reszta z nas pojęła daremność oporu, zwłaszcza że lud Tarantii odmówił walki. Podporządkowaliśmy się i Valerius nas oszczędził, choć narzucił podatek, który zrujnuje wielu. Cóż wszak mogliśmy uczynić? Mniemaliśmy, że nie żyjesz. Wielu baronów zginęło, inni zostali uwięzieni. Rozbita armia poszła w rozsypkę. Nie masz dziedzica, co podjąłby koronę. Nie było nikogo, kto poprowadziłby nas...

– Nie było hrabiego Trocera z Poitain? – spytał Conan ostro.

Servius bezradnie rozłożył ręce.

– To prawda, że jego naczelny wódz, Prospero, ruszył w pole z małą armią. Wycofując się przed Amalrikiem, nakłaniał ludzi, by gromadzili się pod jego sztandarem. Ale wraz ze śmiercią waszej wysokości ludzie przypomnieli sobie dawne wojny i walki między mieszkańcami oraz to, jak Trocero i jego Poitainianie przejechali niegdyś przez te prowincje, przez które obecnie przejeżdża Amalric, z ogniem i mieczem. Baronowie okazali swą zawiść wobec Trocera. Jacyś ludzie – być może szpiedzy Valeriusa – wołali, że hrabia

Poitain zamierza zagarnąć koronę dla siebie. Ponownie zapłonęła nienawiść dawnych podziałów. Gdybyśmy mieli choć jednego mężczyznę o dynastycznej krwi w żyłach, ukoronowalibyśmy go i ruszyli za nim przeciwko Nemedycykom. Ale nie mieliśmy nikogo. Baronowie, którzy podążali za tobą lojalnie, nie pójdą za nikiem ze swego grona. Każdy uznaje się za równego swym sąsiadom, każdy boi się ambicji pozostałych. Ty byłeś sznurem, który trzymał snop razem. Kiedy sznur przecięto, snop się rozsypał. Gdybyś miał syna, baronowie przerzuciliby swą lojalność na niego. Ale nie ma punktu, na którym mogliby skupić swój patriotyzm. Kupcy i pospólstwo, lękając się anarchii i powrotu czasów feudalnych, gdy każdy z baronów sam był sobie prawem, wykrzykiwali, że byle król lepszy jest niż żaden, nawet Valerius, który przynajmniej wywodzi się z krwi dawnej dynastii. Nie było takiego, który by mu się przeciwstawił, gdy nadszedł na czele swych zakutych w stal wojsk, ze szkarłatnym smokiem Nemedii powiewającym nad nim, i zakołatał kopią o wrota Tarantii. Nie, ludzie szybko otwarli bramy i ukłękli przed nim w pyle. Odmówili Prosperowi pomocy w utrzymaniu miasta. Rzekli, iż wolą być rządzeni raczej przez Valeriusa niż przez Trocera. Mówili, zgodnie z prawdą zresztą, że baronowie nie przyłączą się do Trocera, ale wielu zaakceptuje Valeriusa. Stwierdzili, że przez ustępstwa wobec Valeriusa unikną zniszczeń wojny domowej i wściekłości Nemedycyków. Prospero odjechał ku południu z dziesięcioma tysiącami rycerzy i kilka godzin później do miasta wjechała konnica Nemedycyków. Nie ścigali go. Pozostali, by dopilnować koronacji Valeriusa w Tarantii.

– Zatem dym starej wiedźmy ukazał prawdę – wymamrotał

Conan, czując na grzbiecie dziwny chłód. – Amalric koronował Valeriusa?

– Tak jest, w sali koronacyjnej, z krwią rzezi ledwie zakrzepłą na swych rękach.

– A lud zakwitł pod jego życzliwym panowaniem? – spytał Conan z gniewną ironią.

– Żyje on niczym cudzoziemski ksiązę pośrodku podbitej ziemi – odrzekł gorzko Servius. – Jego dwór wypełniają Nemedycjcy, oddziały pałacowe są tej samej krwi, a znaczny, złożony z nich garnizon obsadził cytadelę. Tak jest, w końcu nadeszła godzina Smoka. Nemedycjcy przechadzają się po ulicach napuszeni niczym panowie. Kobiety codziennie są zniewalane, a kupcy grabieni. Valerius zarówno nie może, jak i nie chce podjąć próby ich powstrzymania. Nie, on jest nemedyjską kukiełką, ich pionkiem. Ludzie rozsądni wiedzieli, że będzie kimś takim, a lud zaczyna to odkrywać.

– Amalric wyruszył z silną armią, by ujarzmić najdalsze prowincje, gdzie niektórzy baronowie mu się przeciwstawili. Ale nie ma między nimi jedności. Wzajemna zawiść jest silniejsza od ich strachu przed Amalrikiem. Zmiażdży ich jednego po drugim. Wiele zamków i miast, pojąwszy to, posłało mu akt kapitulacji. Te, które stawiały opór, skończyły marnie. Nemedycjcy sycą swą dawną nienawiść. A ich szeregi pęcznieją od Aquilończyków, których strach, złoto czy wymogi okupantów przymuszają do wstąpienia w szeregi ich armii. To naturalny skutek.

Conan przytaknął posepnie, wpatrując się w czerwone refleksy blasku ognia na bogato rzeźbionych dębowych panelach ścian.

– Aquilonia ma króla zamiast anarchii, której się bała – stwierdził

w końcu Servius. – Valerius nie chroni własnych poddanych przed swymi sojusznikami. Setki tych, którzy nie mogli złożyć narzuconego na nich wykupu, zostały sprzedane kothiańskim handlarzom niewolników.

Głowa Conana podskoczyła nagle, a w jego niebieskich oczach zapłonął zabójczy ogień. Zaklął siarczyście, a mocarne dłonie zwały mu się w stalowe młoty.

– Tak jest. Biali ludzie sprzedają białych mężczyzn i białe kobiety, jak to było za dni feudalnych. W pałacach Shemu i Turanu wieść będą dalej żywot niewolników. Valerius jest królem, ale jedność, której ludzie wyglądali, mimo iż pod mieczem, nie jest pełna. Gunderland na północy i Poitain na południu pozostają jeszcze niepodbite i są też niepodporządkowane prowincje na zachodzie, gdzie baronowie z pogranicza mają wsparcie bossoniackich łuczniczków. Jednakże te skrajne prowincje nie są dla Valeriusa prawdziwym zagrożeniem. Muszą trwać w postawie obronnej i będą mieć szczęście, jeśli zdołają zachować niepodległość. Tu zaś górą jest Valerius i jego cudzoziemscy rycerze.

– Niech więc się tym nacieszy, póki może – oznajmił Conan złowieszczo. – Jego czas będzie krótki. Lud powstanie, gdy się dowie, że zostałem przy życiu. Na powrót zajmiemy Tarantię, nim Amalric wróci ze swą armią. Potem wygarniemy te psy z królestwa.

Servius trwał w milczeniu. W ciszy głośno rozbrzmiewały trzaski ognia.

– Dobra! – wykrzyknął Conan niecierpliwie. – Czemu tak siedzisz ze zwieszoną głową, wpatrując się w palenisko? Wątpisz w to, co powiedziałem?

Servius unikał spojrzenia króla.

– Uczynisz, co tylko może uczynić śmiertelnik, wasza wysokość – odrzekł. – Szliśmy w bój na tym samym koniu i wiem, że żadna istota śmiertelna nie zdoła oprzeć się twemu mieczowi.

– Cóż więc?

Servius owinął się dokładniej lamowaną futrem tuniką i zadrżał mimo ognia.

– Ludzie mówią, że twój upadek spowodowała magia – rzekł po chwili.

– No i co?

– Co śmiertelnik może wywalczyć przeciw magii? Kim jest ten zamaskowany człowiek, który pośrodku nocy obcuje z Valerusem oraz jego sojusznikami i, jak mówią, pojawia się i znika tak tajemniczo? Ludzie szepczą, że jest on wielkim magiem, który umarł tysiące lat temu, ale powrócił z szarych krain śmierci, by zrzucić z tronu króla Aquilonii i przywrócić dynastię, której Valerius jest dziedzicem.

– Co z tego?! – wykrzyknął Conan gniewnie. – Uciekłem z zamieszkanych przez diabły podziemi Belverusu i przed jakimś diabelstwem w górach. Jeśli lud powstanie...

Servius pokręcił głową.

– Najbardziej niezachwiani zwolennicy w prowincjach wschodnich oraz centralnych nie żyją, umknęli albo zostali uwięzieni. Gunderland leży daleko na północy, Poitain daleko na południu. Bossoniaci odeszli do swych marchii daleko na zachodzie. Tygodnie zajmie zebranie i ugrupowanie tych sił, a zanim uda się tego dokonać, każdy z wezwanych oddziałów zostanie pojedynczo zaatakowany i zniszczony przez Amalricę.

– Ale powstanie w prowincjach centralnych przechyli szalę na

naszą korzyść! – wykrzyknął Conan. – Możemy przechwycić Tarantię i utrzymać ją przeciwko Amalricowi, aż dostaną się tu Gundermani i Poitainianie.

Servius się zawahał, a jego głos zniżył do szeptu.

– Ludzie mówią, że umarłeś przeklęty. Mówią, że ten zamaskowany nieznajomy rzucił na ciebie czar, by cię zabić i rozbić twoją armię. Wielki dzwon wybił już twój żałobny pean. Ludzie wierzą, że jesteś martwy. A centralne prowincje nie powstaną, nawet jeśli się dowiedzą, że przeżyłeś. Nie ośmielą się. Magia pokonała cię nad Valkią. Magia przyniosła tę wieść do Tarantii, bo już tej samej nocy ludzie krzyczeli o tym na ulicach. Nemedyjski kapłan uwolnił ponownie czarną magię w Tarantii, by zabić tych, którzy pozostawali wierni twemu wspomnieniu. Widziałem to sam. Uzbrojeni ludzie padali jak muchy i umierali na ulicach w sposób, którego nikt nie potrafił pojąć. A ten chudy kapłan roześmiał się i stwierdził: „Ja jestem tylko Altaro, jestem zaledwie akolitą Orastesy, który jest niczym więcej jak akolitą tego, który nosi welon. Nie moja jest owa moc, ta moc tylko działa przeze mnie”.

– Dobra – rzekł Conan ostro. – Czy nie lepiej umrzeć z honorem, niż żyć w pohańbieniu? Czy śmierć gorsza jest od ucisku, niewoli i całkowitego wyniszczenia?

– Rozum usypia, kiedy w grę wchodzi strach przed czarami – odparł Servius. – Lęk prowincji centralnych jest zbyt wielki, by pozwolił im zbuntować się w twoim imieniu. Prowincje skrajne będą walczyć za ciebie, ale ta sama magia, która poraziła twoją armię nad Valkią, porazi cię znowu. Nemedyjscy utrzymują najrozleglejsze, najbogatsze i najgęściej zaludnione części Aquilonii i nie można ich pokonać siłami, jakie byłyby w stanie stawić się

nadał na twój rozkaz. Niepotrzebnie poświęcałbyś swych lojalnych poddanych. Mówię to ze smutkiem, ale taka jest prawda: królu Conanie, jesteś królem bez królestwa.

Conan zapatrzył się w ogień, nie odpowiedziawszy. Tłąca się szczapa pękła z trzaskiem, wybuchając deszczem iskier. Tak mógłby wyglądać rozpad jego królestwa.

Za zasłoną materialnej ułudy Cimmeryjczyk znów poczuł obecność jakiejś ponurej rzeczywistości. Ponownie odczuwał nieprzejednaną siłę sprawczą bezlitosnego losu. Uczucie szaleńczej paniki szarpnęło jego duszą – wrażenie bycia w potrzasku i gwałtownej wściekłości, która paliła się do niszczenia i zabijania.

– Gdzie są urzędnicy dworu? – spytał w końcu.

– Pallantides był poważnie ranny nad Valkią, został wykupiony przez rodzinę i osiadł w swym zamku w Attalusie. Będzie mieć szczęście, jeśli kiedykolwiek dosiędzie konia. Kanclerz Publius umknął z królestwa w przebraniu, nikt nie wie dokąd. Rada została rozwiązana. Niektórych uwięziono, innych wygnano. Wielu twoich wiernych poddanych wydano na śmierć. Dzisiejszej nocy na przykład księżniczka Albiona umrze pod toporem kata.

Conan wpatrywał się w Serviusa coraz intensywniej, z gniewem przyćmiewającym jego niebieskie oczy, tak że patrycjusz wzdrygnął się i cofnął.

– Czemu?

– Ponieważ nie chciała zostać nałożnicą Valeriusa. Jej ziemie skonfiskowano, sługi sprzedano w niewolę, a o północy w Żelaznej Wieży spadnie jej głowa. Przyjmij radę, królu mój – dla mnie zawsze będziesz królem – i uciekaj, nim zostaniesz wykryty. W tych dniach nikt nie jest bezpieczny. Szpiedzy i konfidenci wkradają się

pośród nas, donosząc o najdrobniejszym uczynku czy słowie niezadowolenia jako o zdradzie i buncie. Jeśli dasz się poznać swoim poddanym, skończy się to tylko twym pojmaniem i śmiercią. Moje konie i wszyscy ludzie, którym mogę zaufać, są do twojej dyspozycji. Przed świtem możemy być hen od Tarantii, daleko w drodze ku granicy. Skoro nie mogę pomóc ci odzyskać królestwa, mogę przynajmniej pójść za tobą na wygnanie.

Conan pokręcił głową. Servius patrzył na niego niespokojnie, kiedy ten siedział, wpatrując się w ogień, z głową wspartą na mocarnej pięści. Blask ognia przebłyskiwał czerwienią na jego stalowej kolczudze i w złowrogich oczach. Płonęły one w świetle ogniska niczym ślepią wilka. Servius ponownie uświadomił sobie, tak jak w przeszłości, a teraz mocniej niż kiedykolwiek, coś obcego tkwiącego w królu. Wielka sylwetka pod siecią kolczugi była zbyt twarda i zbyt gibka jak na człowieka cywilizowanego, te płomienne oczy rozpałał pierwotny ogień dziczy. Teraz ów obecny w królu ślad barbarzyństwa stał się wyraźniejszy, jakby w krytycznej sytuacji zewnętrzne znamiona cywilizacji zostały zdarte. Conan powracał do swej czystej postaci. Nie działał jak człowiek cywilizowany w tych samych warunkach ani jego myśli nie biegły tymi samymi torami. Był nieprzewidywalny. Tylko krok dzielił króla Aquilonii od odzianego w skóry zabójcy z cimmeryjskich wzgórz.

- Pojadę do Poitain, jeśli tak być może – oznajmił w końcu Conan.
- Ale pojadę sam. I mam jedną jeszcze, ostatnią powinność do spełnienia jako król Aquilonii.
- Co masz na myśli, wasza wysokość? – zapytał Servius, tknięty przecuciem.

– Dziś w nocy jadę do Tarantii po Albionę – odrzekł król. – Zdaje się, że zawiodłem wszystkich innych mych wiernych poddanych... Jeśli odejmą jej głowę, mogą wziąć także moją.

– To szaleństwo! – krzyknął Servius, powstawszy chwiejnie i schwyciwszy się za gardło, jak gdyby już poczuł zaciskającą się wokół niego pętlę.

– W wieży są tajemnice, które znają nieliczni – powiedział król. – W każdym razie okazałbym się psem, gdybym zostawił Albionę na śmierć z powodu jej lojalności wobec mnie. Mogę być królem bez królestwa, ale nie jestem człowiekiem bez czci.

– To zgubi nas wszystkich! – wyszeptał Servius.

– Nie zgubi nikogo prócz mnie. Dość ryzykowałeś. Tej nocy jadę sam. Oto wszystko, co chcę, abyś zrobił: zorganizuj mi przepaskę na oko, laskę w dłoń i strój taki, jaki noszą podróżni.

IX

„TO KRÓL ALBO JEGO DUCH!”



Wielu ludzi przekraczało wielkie, sklepienie bramy Tarantii pomiędzy zachodem słońca a północą – opóźnieni podróżni, kupcy z daleka z ciężko obciążonymi mułami, wolni robotnicy z okolicznych gospodarstw i winnic. Teraz, kiedy Valerius objął władzę absolutną w prowincjach centralnych, nie trzymano się twardej kontroli tych, którzy przepływali równomiernym strumieniem przez szerokie wrota. Dyscyplina uległa rozluźnieniu. Nemedyjscy żołnierze, którzy stali na straży, byli na wpół pijani i zanadto zajęci rozglądaniem się za urodziwymi wiejskimi dziewczętami czy bogatymi kupcami, których można zastraszyć, by zauważali robotników albo zakurzonych podróżnych, a nawet

pewnego wysokiego wędrowca, którego zniszczony płaszcz nie był w stanie ukryć wyrazistych zarysów potężnej sylwetki.

Człowieka tego znamionowała wyprostowana i agresywna postawa, która była dlań zbyt naturalna, by sam zdawał sobie z niej sprawę, a tym bardziej umiał skryć pod przebraniem. Szeroka przepaska okrywała jedno oko, a skórzany czepiec, naciągnięty nisko na czoło, ocieniał rysy twarzy. Z długą i grubą laską w brązowej, umięśnionej dłoni wkroczył on bez pośpiechu poprzez łuk bramy, gdzie płonęły i migotały pochodnie, ignorowany przez podchmielonych gwardzistów, by wyłonić się na szerokich ulicach Tarantii.

Po tych dobrze oświetlonych arteriach przechadzały się jak zwykle tłumy zajęte własnymi sprawami, sklepy i stragany były otwarte, wystawiając swoje towary na pokaz. W tym schemacie jedna scena stanowiła stały wątek. W tłumie przechadzali się chełpliwi nemedyjscy żołnierze, pojedynczo lub w kupie, rozpychając się z wystudiowaną arogancją. Kobiety umykały im z drogi, a mężczyźni odstępowali na bok z pociemniałym obliczem i zaciśniętymi pięściami. Aquilończycy byli rasą dumną, a ci byli ich odwiecznymi wrogami.

Kostki dłoni wysokiego podróżnego zarysowały się ostrzej w uścisku na lasce, ale, podobnie jak inni, odsunął się na bok, aby pozwolić ludziom w zbrojach pójść swoją drogą. Wśród pstrokatego i różnorodnego tłumu w swym bezbarwnym, zakurzonym stroju nie przyciągał uwagi. W pewnej jednak chwili, kiedy mijał stragan handlarza bronią i światło wylewające się przez szerokie drzwi padło wprost na niego, stwierdził, że czuje na sobie natarczywe spojrzenie, i obróciwszy się szybko, ujrzał człowieka w

brązowej obcisłej kamizeli wolnego robotnika wbijającego weń wzrok. Człowiek ów odwrócił się z przesadnym pośpiechem i zniknął w przesuwającym się tłumie. Conan jednak skręcił w wąską boczną uliczkę i przyspieszył kroku. To mogła być zwykła ciekawość, lecz nie chciał podejmować ryzyka.

Ponura Żelazna Wieża stała oddzielnie od cytadeli, pośród labiryntu wąskich uliczek i stłoczonych domów, gdzie liche konstrukcje, stosowne do miejsc, z których bardziej wymagający się wycofali, wtargnęły do części miasta zazwyczaj im obcej. Wieża była w rzeczywistości zamkiem, prastarym, ogromnym gmachem z ciężkich kamieni i czarnej stali, który służył jako cytadela w poprzednim, surowszym stuleciu.

Niedaleko od niej, zagubiona w plątaninie częściowo opuszczonych domów i magazynów, tkwiła pradawna wieża strażnicza, tak stara i zapomniana, że od stu lat nie pojawiała się na planach miasta. Jej pierwotne przeznaczenie uległo zapomnieniu i nikt z tych, którzy w ogóle ją dostrzegali, nie zauważał, iż pozornie starożytny zamek, jaki uchował ją przed zawłasczeniem na sypialnie przez żebraków i złodziei, jest w rzeczywistości stosunkowo nowy, nadzwyczaj potężny i przebiegle zamaskowany, tak by wyglądał na zardzewiały antyk. Niecałe pół tuzina ludzi w królestwie poznało tajemnicę owej wieży.

W masywnym, zaśnieżonym zamku nie było otworu na klucz. Jednak wprawne palce Conana, przesunąwszy się po nim delikatnie, przycisnęły tu i tam wybrzuszenia niewidoczne dla przypadkowego oka. Drzwi otwarły się cicho do wewnątrz, a on wszedł w nieprzeniknioną ciemność, zatraskując je za sobą. Światło ukazałoby pusty, goły, cylindryczny komin wnętrza z

potężnych kamieni.

Szukając w kącie po omacku, lecz z pewnością i obeznaniem, odnalazł występy, które chciał namacać w jednej z kamiennych płyt, jakie tworzyły podłogę. Szybko ją uniósł i bez wahania opuścił się w otwór. Stopami wyczuł kamienne stopnie prowadzące w dół, do – jak wiedział – wąskiego tunelu, jaki biegł prosto w stronę fundamentów Żelaznej Wieży o trzy ulice dalej.

Dzwon w cytadeli, który bił tylko o północnej godzinie albo przy śmierci króla, huknął raptownie. W oświetlonej przyćmionym światłem komnacie w Żelaznej Wieży otwarły się drzwi i zjawiła się w nich jakaś postać, która wniknęła w korytarz. Wnętrze wieży było tak samo odstręczające jak jej wygląd zewnętrzny. Masywne ściany były nierówne, pozbawione ozdób. Płyty posadzki pobrużdżone zostały głęboko przez pokolenia kroczących niepewnie stóp, a sklepienie stropu w rozproszonym świetle pochodni osadzonych w niszach było mroczne i posępne.

Człowiek, który stąpał ciężkim krokiem w ponurym korytarzu, z wyglądu pasował do otoczenia. Był wysokim, potężnie zbudowanym mężczyzną odzianym w ściśle dopasowane czarne jedwabie. Na głowie miał czarny kaptur z dwiema dziurami na oczy, który opadał mu na ramiona. U ramion zwisał mu luźno czarny płaszcz, a na jednym z barków niósł ciężki topór o takim kształcie, jakiego nie ma ani zwykle narzędzie, ani broń.

Kiedy tak kroczył korytarzem, z przeciwka nadeszła jakaś kulejąca postać, schylony opryskliwy starzec, przygięty pod ciężarem swej piki i latarni, które taszczył w jednym ręku.

– Nie jesteś równie punktualny jak twój poprzednik, mistrzu kacie – sarknął. – Północ już wybiła i zamaskowani ludzie poszli do

celi wielmożnej pani. Oczekują cię.

– Dźwięki dzwonu wciąż rozbrzmiewają echem pośród wież – rzekł kat. – O ile nie jestem tak szybki, by zrywać się i biec na skinienie Aquilończyków, jak ten pies, który dzierżył urząd przede mną, ramię moje znajdą nie mniej zdecydowanym. Idź do swych obowiązków, starcze, a moje pozostaw mnie. Sądzę, na Mitrę, że moje stanowią rzemiosło słodsze, gdyż ty się wałęsasz zimnymi korytarzami i zerkasz na pordzewiałe drzwi lochów, podczas gdy ja zetnę dzisiejszej nocy najśliczniejszą głowę w Tarantii.

Dozorca pokuśtykał dalej korytarzem, wciąż gderając, a kat podążył spokojnie swoją drogą. Kilka kroków przeniosło go za zakręt korytarza i bezwiednie zauważył, iż jedne z drzwi po lewej stronie są uchylone. Gdyby pomyślał, toby pojął, że drzwi owe musiały zostać otwarte po przejściu strażnika; ale myślenie nie było jego rzemiosłem. Mijał już te drzwi, gdy zdał sobie sprawę, że coś jest nie tak, a potem było za późno.

Ostrzegły go miękkie, tygrysie stąpanie i szelest płaszcza, zanim wszak zdołał się odwrócić, ciężkie ramię zza pleców zawinęło się wokół jego gardła, dławiąc krzyk, nim dotarł do ust. Przez krótką chwilę, jaką mu dano, w nagłym przypływie paniki zdał sobie sprawę z siły napastnika, wobec której jego własna twarda muskulatura była bezradna. Nie widząc go, wyczuł naszykowany sztylet.

– Nemedyski pies! – wymamrotał mu do ucha głos nabrzmiały pasją. – Odciąłeś już swą ostatnią aquilońską głowę!

I była to ostatnia rzecz, jaką w ogóle posłyszał.

W zawilgoconym lochu, rozświetlanym tylko przygasającą pochodnią, trzech mężczyzn stało dookoła młodej kobiety, która

klęczała na zasłanej sitowiem kamiennej posadzce. Odziana była jedynie w skąpą koszulkę; złociste włosy opadały połyskującymi falami na jej białe ramiona, a nadgarstki miała związane z tyłu. Nawet w drżącym świetle pochodni, mimo zapuszczenia i bladości wywołanej strachem, jej uroda była uderzająca. Klęczała, nie odzywając się, zapatrzona wielkimi oczami w swych dręczycieli. Mężczyźni byli dokładnie zamaskowani i owinięci płaszczami. Czyn taki jak ten wymagał masek nawet w kraju podbitym. Niemniej ona znała ich wszystkich; ale to, co wiedziała, nie skrzywdzi już nikogo po dzisiejszej nocy.

– Nasz litościwy suweren daje ci jeszcze jedną szansę, hrabino – rzekł najwyższy z trójki, który przemawiał po aquilońsku bez obcego akcentu. – Poleca mi oznajmić, że jeśli ugniesz swego dumnego, buntowniczego ducha, nadal będzie miał ramiona otwarte dla ciebie. Jeśli nie... – Wskazał ponury pieniek pośrodku celi. Był on splamiony na czarno i widać było na nim wiele głębokich wrębów, jakby jakaś ostra krawędź przecinała pewną łatwo poddającą się materię i zatapiała się w drewnie.

Albiona wzdrygnęła się i pobladła, odskakując w tył. Każde włókno jej energicznego młodego ciała drżało od przemożnej chęci życia. Valerius też jest młody i przystojny. Wiele kobiet kocha się w nim, powiedziała sobie, walcząc o życie z samą sobą. Nie potrafiła jednak wypowiedzieć słów, które wykupiłyby jej delikatne młode ciało od pieńka i ociekającego topora. Nie umiała tego wyjaśnić racjonalnie. Wiedziała tylko, że kiedy pomyśli o objęciu ramion Valeriusa, skóra cierpnie jej z odrazy większej niż strach przed śmiercią. Przymuszona impulsem bardziej nieodpartym niż instynkt przetrwania bezsilnie pokręciła głową.

– Zatem nie ma już nic więcej do powiedzenia! – wykrzyknął niecierpliwie jeden z pozostałych i przemówił z nemedyjskim akcentem: – Gdzie ten kat?

Jakby przyzwane tymi słowami, drzwi lochu otwarły się cicho i zarysowała się w nich wielka sylwetka, niczym czarny cień z zaświatów.

Na widok tej ponurej postaci Albiona wydała ściszony mimowolny krzyk, a pozostali spoglądali przez chwilę w milczeniu na ową niemą, zakapturzoną sylwetkę, być może samemu zmagając się z zabobonnym lękiem. Przez wycięte otwory oczy kata płonęły niebieskim ogniem, a kiedy spoczywały po kolei na każdym z nich, czuli dziwny chłód pełznący im po grzbiecie.

Wówczas wysoki Aquilończyk chwycił brutalnie dziewczynę i pociągnął ją w stronę pieńka. Ta wrzasnęła, nie umiejąc się powstrzymać, i rozgorączkowana przerażeniem, podjęła z nim beznadziejną walkę, lecz on bezwzględnie przymusił ją, by uklękała, i przygiął płową głowę do skrwawionego pniaka.

– Czemu zwlekasz, kacie? – wykrzyknął ze złością. – Wykonaj swą pracę!

Odpowiedział mu krótki, donośny wybuch śmiechu, który był niewymownie złowrogi. Wszyscy w lochu zamarli na swych miejscach, wpatrując się w zakapturzoną sylwetkę – dwie spowite w płaszcze postaci, zamaskowany człowiek nachylony nad dziewczyną i ona sama na kolanach, wykręcająca przytrzymywaną głowę, aby spojrzeć w górę.

– Co znaczy ta niedorzeczna wesołość, psie? – niespokojnie dopytywał Aquilończyk.

Człowiek w czarnym stroju zerwał z głowy kaptur i rzucił go na

ziemię. Wsparł się plecami o zamknięte drzwi i uniósł katowski topór.

– Poznajecie mnie, psy? – zahuczał. – Poznajecie?

Ciszę pozbawioną nawet dźwięku oddechów rozdarł wrzask.

– To król! – krzyknęła przenikliwie Albiona, wyrrywając się z uścisku poluzowanego przez jej dręczyciela. – O Mitro, *król!*

Trzej mężczyźni stanęli niczym posągi, a potem Aquilończyk drgnął i przemówił jak człowiek, który wątpi we własne zmysły.

– Conan! – zawołał. – To *król* albo jego duch! Co to za diabelska sprawka?

– Diabelska sprawka, co diabłom przystoi! – zadrwił Conan. Jego usta się śmiały, lecz w oczach gorzało piekło. – Chodźcie, do roboty, szanowni panowie. Wy macie swoje miecze, a ja ten tasak. Więcej, sądzę, iż to narzędzie rzeźnika pasuje do najbliższej mej pracy, moi prześwietni lordowie!

– Na niego! – warknął Aquilończyk, wyciągając miecz. – To jest Conan, więc musimy go zabić albo dać się zabić!

I jak ludzie wybudzeni z transu Nemedyczycy dobyli swych ostrzy i natarli na króla.

Katowski topór nie do takiej roboty został sporządzony, lecz król władał tą ciężką, nieporęczną bronią równie lekko jak toporkiem, a jego szybkość na nogach, jak i nieustanne zmiany pozycji skazywały na porażkę dążenie, by związać go walką z całą trójką od razu.

Broń pierwszego złapał na brodę topora i w zabójczym kontrataku zadał mu druzgocący cios w pierś, zanim tamten zdołał odstać i go sparować. Drugi z Nemedycyków, tnąc dziko, ze świstem, ale niecelnie, utracił mózg, nim zdołał odzyskać

równowagę, a chwilę później Aquilończyk został zepchnięty w kąt, rozpaczliwie odpierając miazdzące ciosy, jakie sypały się na niego i pozbawiały nawet możliwości wrzaśnięcia o pomoc.

Nagle długa lewica Conana wystrzeliła i zdarła maskę z głowy tamtego, odsłaniając pobladłe oblicze.

– Psie! – Król zgrzytnął zębami. – Tak myślałem, że cię znam. Zdrajco! Przeklęty wiarołomco! Nawet ta prosta stal jest zbyt szlachetna dla twej wstrętnej głowy. Nie, umrzyj, jak umierają złodzieje!

Topór opadł niszczącym łukiem, Aquilończyk zaś wrzasnął i padł na kolana, ściskając kikut prawej ręki, który bluzgał krwią. Została odrąbana przy łokciu, a topór, niepowstrzymany w locie, wciął mu się głęboko w bok, tak że wnętrzności wyszły na wierzch.

– Leż tak i wykrwaw się na śmierć – burknął Conan, odrzucając topór z obrzydzeniem. – Chodź, hrabino!

Schyliwszy się, przeciął sznury, jakie krępowały jej nadgarstki, i uniósłszy ją, jakby była dzieckiem, zdecydowanym krokiem wyszedł z lochu. Ona zaś szlochała histerycznie, obejmując węzły mięśni na jego karku ramieniem zarzuconym w szaleńczym uścisku.

– Wszystko dobrze – mruknął. – Jeszcze się z tego nie wywinęliśmy. Jeśli uda nam się dotrzeć do lochu, gdzie tajemne drzwi otwierają się na schody, które wiodą do tunelu... Niech to diabli! Posłyszeli ten hałas, nawet przez te ściany!

W głębi korytarza szczęknęła broń, a pod sklepieniem odbiły się echem tupot nóg i nawoływania ludzi. Pospiesznie nadeszła, kulejąc, jakaś pochyłona postać ze wzniesioną wysoko latarnią, a jej blask oświetlił w pełni Conana i dziewczynę. Cimmeryjczyk skoczył

z przekleństwem w tę stronę, ale stary dozorca, porzuciwszy latarnię i pikę, umknął pospiesznie w głąb korytarza, skrzecząc o pomoc na cały jazgotliwy głos. Z oddali odpowiedziały mu wołania.

Conan odwrócił się prędko i pobiegł w drugą stronę. Był odcięty od lochu z sekretnym przejściem i ukrytymi drzwiami, przez które wszedł do wieży i którymi miał nadzieję ją opuścić, ale dobrze znał ten ponury budynek. Więziono go tutaj, zanim został królem.

Wykonał skręt w boczne przejście i szybko wyłonił się w kolejnym, szerszym korytarzu, który był obecnie opustoszały, a który biegł równoległe do tego, jakim przyszedł wcześniej. Podążył nim tylko kilka jardów, kiedy znów zmienił kierunek, wchodząc w następne boczne przejście. Ono zawiodło go z powrotem na korytarz, który przed chwilą opuścił, ale w miejscu kluczowym. Parę stóp dalej w głębi korytarza znajdowały się ciężkie ryglowane drzwi, a przed nimi stał brodaty Nemedyczyk w kirysie i hełmie, zwrócony plecami do Conana, jako że zaglądał w dalszą część korytarza, w stronę narastającego zgiełku i bezładnie podskakujących latarni.

Cimmeryczyk się nie wahał. Spuściwszy dziewczynę na ziemię, podbiegł do strażnika szybko i cicho z mieczem w dłoni. Tamten odwrócił się akurat wówczas, gdy król go dosięgał, zawył z zaskoczenia i strachu i uniósł swą pikę; zanim jednak zdołał uczynić użytek z nieporęcznej broni, Conan opuścił swój miecz na jego hełm z siłą, jaka powaliłaby wołu. Hełm i czerep ustąpiły równocześnie i strażnik zwałił się na podłogę.

W jednej chwili Conan odciągnął masywny rygiel, który blokował drzwi – zbyt ciężki, aby mógł go obsługiwać jeden zwykły

człowiek – i zawołał przynaglająco na Albionę, ta zaś podbiegła chwiejnie do niego. Poderwawszy ją bezceremonialnie jedną ręką, poniósł przez drzwi w panujące na zewnątrz ciemności.

Wyszli na wąską aleję, czarną jak smoła, mającą po jednej stronie bok wieży, a po drugiej pionowy kamienny tył jakichś budynków. Cimmeryjczyk, spieszący przez mrok tak prędko, jak tylko podolał, obmacał tę drugą ścianę w poszukiwaniu drzwi bądź okien, lecz żadnych nie znalazł.

Za nimi szczęknięty przy otwarciu wielkie drzwi i wylali się z nich ludzie z pochodniami odbijającymi się na napierśnikach i obnażonych mieczach. Rozglądali się ze złością dokoła, rycząc gardłowo, niezdolni przeniknąć ciemności, które ich pochodnie pozwalały rozświetlić tylko na kilka stóp w każdą stronę, a potem na chybił trafił popędzili w głąb alei, zmierzając w kierunku przeciwnym do obranego przez Conana i Albionę.

– Dość szybko dowiedzą się o swojej pomyłce – wymamrotał król, wydłużając krok. – Jeśli wreszcie znajdziemy jakąś szparę w tym piekielnym murze... A niech to! Straż uliczna!

Przed nim, tam gdzie aleja otwierała się na wąską ulicę, ukazała się słaba poświata, a na jej tle dostrzegł majaczące niewyraźnie, połyskujące stałą postaci. Była to naprawdę straż uliczna, badająca hałas, jaki posłyszała, pobrzmiwający echem w alei.

– Kto tam idzie? – zawołali tamci, a Conan zgrzytnął zębami na nienawistny nemedyski akcent.

– Trzymaj się za mną – rozkazał dziewczynie. – Musimy wyrznąć sobie drogę, zanim strażnicy więzienni powrócą i przygwożdżą nas między nimi.

Chwyciwszy mocno za miecz, pognał prosto na nadciągające

postaci. Przewaga zaskoczenia była po jego stronie. On ich widział – zarysy na tle odległej poświaty – a oni nie mogli widzieć jego, nadciągającego ku nim z czarnych głębin alei. Dopadł ich, zanim zdali sobie z tego sprawę, rażąc ciężkimi ciosami z niemą furią rannego lwa.

Jego jedyną szansą było przebicie się, nim wrogowie zdołają pozbierać myśli. Było ich jednak z dziesięciu, w pełnych zbrojach, zaprawionych w boju weteranów wojen granicznych, u których instynkt bitewny mógł zastąpić rozstrojony pomysłupek. Trzech padło, zanim zdali sobie sprawę, że to tylko jeden człowiek ich atakuje, ale nawet wówczas ich reakcja była natychmiastowa. Kląskor stali brzmiał ogłuszająco i skry się sypały, kiedy miecz Conana spadał z mocą na basiny i kolcze koszule. Widział lepiej niż oni, a w przyćmionym świetle jego szybko przemieszczająca się sylwetka stanowiła niejasny cel. Miecze młóciły powietrze albo odbijały się od jego ostrza, a kiedy on uderzał, następowało to z wściekłością i pewnością huraganu.

Ale za nim dały się już słyszeć wołania strażników więziennych powracających biegiem aleją, a przed nim nadal opancerzone postaci tarasowały mu drogę murem najeżonym stalą. Za moment strażnicy spadną mu na kark; zdesperowany podwoił liczbę ciosów, waląc jak kowal o kowadło, i wówczas nagle zdał sobie sprawę, że nastąpił jakiś zwrot. Praktycznie znikąd za plecami strażników wyłoniło się ze dwadzieścia czarnych postaci i rozległy się odgłosy ciosów zadawanych, by zabić. Stał błyskała w ciemnościach, a ludzie krzyczeli, rażeni śmiertelnie od tyłu. W jednej chwili aleję zaścieliły wijące się sylwetki. Jakaś mroczna, ubrana w płaszcz postać skoczyła ku Conanowi, który dźwignął swój miecz,

dostrzegając w jej prawej ręce połysk stali. Druga jednak wyciągnęła się ku niemu pusta, a głos syknął nagłaco:

– Tędy, wasza wysokość! Prędko!

Zmełszy pełne zaskoczenia przekleństwo, Conan poderwał Albionę jedną potężną ręką i podążył śladem zyczliwego nieznajomego. Mając za plecami zbliżających się trzydziestu więziennych strażników, nie był skłonny się wahać.

Otoczony tajemniczymi postaciami pospieszył aleją, unosząc hrabinę, jakby była dzieckiem. Nie potrafił powiedzieć nic o swych wybawcach, z wyjątkiem tego, że nosili ciemne płaszcze i kaptury. Wątpliwość i podejrzenia przeszły mu przez głowę, ale to oni powalili jego wrogów, a on nie widział innej drogi, jak tylko pójść za nimi.

Jak gdyby wyczuwając te wątpliwości, przywódca dotknął lekko jego ręki i rzekł:

– Nie obawiaj się, królu, jesteśmy twoimi wiernymi poddanymi.

Głos nie był znajomy, lecz akcent pochodził z aquilońskich prowincji centralnych.

Za nimi strażnicy zawyli, potykając się o jatkę w błocie, a dostrzegłszy niewyraźną ciemną grupę poruszającą się między nimi a światłem odległej ulicy, rzucili się dalej aleją, pałając żądzą zemsty. Niemniej zakapturzeni skręcili raptownie w kierunku ślepej ściany. Ślepej pozornie, gdyż Cimmeryjczyk ujrzał rozwarte w niej drzwi. Rzucił niewyraźnym przekleństwem. W minionych czasach przechadzał się tą aleją za dnia i nigdy nie zauważył tutaj drzwi. Weszli wszak przez nie, a te zamknęły się za nimi z kliknięciem zamka. Nie był to dźwięk podnoszący na duchu, ale przewodnicy go popędzali, poruszając się z precyzją wynikającą ze znajomości

terenu. Prowadzili go, trzymając dłońmi za łokcie. Było to niczym przemierzanie tunelu i Conan poczuł, że smukłe członki Albiony drżą w jego ramionach. Wtem ukazał się przed nimi słabo widoczny otwór, mniej mroczny łuk w całkowitym mroku, i wyszli przez niego rzędem.

Potem był oszałamiający szereg słabo oświetlonych podwórzy, cienistych alei i krętych korytarzy – wszystkie przemierzone w zupełnej ciszy – dopóki w końcu nie zjawili się w rozległej, rozświetlonej komnacie, której położenia Conan nie był w stanie nawet odgadnąć, gdyż ich pokrętny szlak zmylił nawet jego pierwotne poczucie kierunku.

X

MONETA Z ACHERONU



Nie wszyscy przewodnicy weszli do komnaty. Kiedy drzwi się zamknęły, Conan ujrzał tylko jednego człowieka stojącego przed sobą – smukłą postać zamaskowaną czarnym płaszczem i kapturem. Człowiek ów odrzucił go, odsłaniając błądy owal twarzy o spokojnych, delikatnie rzeźbionych rysach.

Król postawił Albionę na nogach, ale ta nadal doń przywierała, rozglądając się lękliwie wokół siebie. Komnata należała do dużych, zalana miękką złotą poświatą spiżowych lamp miała marmurowe ściany częściowo przesłonięte czarnymi, aksamitnymi kotarami i

grube, puszyste dywany na mozaikowej posadzce.

Conan instynktownie położył dłoń na rękojeści broni. Na ręce miał krew; krew zakrzepła również na szyjce pochwy, gdyż wsunął tam ostrze nieoczyszczone.

– Gdzie jesteśmy? – zapytał.

Nieznajomy odpowiedział uniżonym, głębokim pokłonem, w którym podejrzliwy król nie umiał wykryć żadnego śladu ironii.

– W świątyni Asury, wasza wysokość.

Albiona krzyknęła gasnącym głosem i jeszcze mocniej przywarła do Conana, wpatrując się bojaźliwie w czarne sklepienie drzwi, jak gdyby oczekiwała wejścia jakiejś straszliwej postaci rodem z ciemności.

– Nie bój się, o pani – rzekł ich przewodnik. – Nie ma tu nic, co może wyrządzić wam krzywdę, na przekór ordynarnym zabobonom. Skoro twój monarcha był dostatecznie przekonany o nieszkodliwości naszej religii, by chronić nas przed prześladowaniami ignorantów, także na pewno jedna z jego poddanych nie powinna żywić żadnych obaw.

– Kim jesteś? – dopytywał Conan.

– Jestem Hadrathus, kapłan Asury. Jeden z moich uczniów rozpoznał cię, gdy wkroczyłeś do miasta, i przyniósł mi tę wieść.

Conan burknął bluźnierczo.

– Nie bój się, że inni odkryli twą tożsamość – zapewnił go Hadrathus. – Twoje przebranie mogło zwieść każdego, lecz nie ucznia Asury, którego kult ma zgłębiać to, co tkwi pod powierzchnią złudzeń. Śledzono cię do wieży strażniczej i paru moich ludzi weszło do tunelu, żeby ci pomóc, gdybyś wracał tą drogą. Inni, ja pośród nich, otoczyli wieżę. A teraz, królu Conanie,

do ciebie przynależy dowodzenie. Tu, w świątyni Asury, nadal jesteś królem.

– Po co mielibyście ryzykować dla mnie życie? – spytał król.

– Byłeś naszym przyjacielem, kiedy zasiadałeś na tronie – odrzekł Hadrathus. – Bronieś, gdy kapłani Mitry usiłowali przepędzić nas z tej ziemi.

Cimmeryjczyk rozejrzał się z zaciekawieniem. Nigdy dotąd nie odwiedził świątyni Asury, nie był nawet pewien, czy taki przybytek jest w Tarantii. Kapłani tej religii mieli zwyczaj ukrywania swych budowli w sposób zadziwiający. Kult Mitry zdominował narody hyboryjskie przytłaczającą większością wyznawców, ale wiara w Asurę trwała uparcie, mimo oficjalnego zakazu i powszechnej wrogości. Conanowi opowiadano mroczne historie o ukrytych świątyniach, w jakich dym kadzideł unosił się bezustannie z czarnych ołtarzy, gdzie porwanych ludzi składano w ofierze przed zwojami wielkiego węża, którego budzący strach łeb kołysał się w upiornym mroku.

Prześladowania skłoniły uczniów Asury do ukrywania swych świątyń z umiejętną przebiegłością i okrywania rytuałów zasłoną mętności. Owa tajemniczość z kolei wywoływała jeszcze potworniejsze podejrzenia i opowieści o złu.

Ale w Conanie tkwiła szeroka tolerancja barbarzyńcy, więc odmówił prześladowania uczniów Asury i nie dał ludowi pozwolenia na to, jako że nie było przeciw nim dowodów ponad przedstawiane plotki i oskarżenia, których nie sposób udowodnić. „Jeżeli są czarnymi magami – twierdził – dlaczego znoszą to, że ich nękanie? Jeśli zaś nie są, nie ma w nich zła. Na diabły Croma! Dajcie ludziom czcić takich bogów, jakich chcą!”

Po pełnym szacunku zaproszeniu Hadrathusa rozsiadł się na krześle z kości słoniowej i gestem wskazał Albionie następne, lecz ona wolała usiąść na złotym stolcu u jego stóp, przylgnięta ściśle do jego uda, jakby w kontakcie z nim szukając bezpieczeństwa. Jak u większości ortodoksyjnych wyznawców Mitry, uczniowie i sekta Asury intuicyjnie budzili w niej grozę wpajaną przez okres niemowlęctwa i dzieciństwa w zwyrodniałych opowieściach o ofiarach z ludzi i antropomorficznych bogach snujących się po mrocznych świątyniach.

Hadrathus stanął przed nimi, skłoniwszy odkrytą głowę.

– Co jest twym pragnieniem, wasza wysokość?

– Najpierw jedzenie – mruknął, a kapłan uderzył w złoty gong srebrną pałeczką.

Zaledwie przebrzmiały niosące się echem miękkie dźwięki, a z zasłoniętych drzwi wyszły cztery zakapturzone postaci niosące wielką czworonożną tacę parujących potraw i kryształowych naczyń. Ustawiły ją przed Conanem, ukłoniwszy się nisko, a król wytarł ręce w adamaszek i cmoknął ustami z nieskrywanym upodobaniem.

– Strzeż się, wasza wysokość! – szepnęła Albiona. – Ci ludzie jedzą ludzkie mięso!

– Postawię moje królestwo za to, iż nie jest to nic więcej ponad uczciwą pieczeń wołową – odpowiedział Cimmeryjczyk. – Chodź, bierz się do tego, dziewczę! Musisz być głodna po więziennym pożywieniu.

Otrzymawszy taką radę i mając naoczny przykład tego, którego słowo stanowiło dla niej najwyższe prawo, hrabina zastosowała się doń i jadła łączywie, choć wytwornie, podczas gdy jej pan i

władca pożerał kawały mięsa i żłopał wino z takim zapałem, jakby nie jadł nic wcześniej tej nocy.

– Wy, kapłani, jesteście bystrzy, Hadrathusie – rzekł z ustami pełnymi mięsa i wielkim udźcem wołowym w dłoni. – Chętnie przyjmę twe usługi w mej kampanii na rzecz odzyskania królestwa.

Hadrathus pokręcił powoli głową, a Conan walnął kością w stół w porywie przemożnej, niecierpliwiej złości.

– Na diabły Croma! Co dolega mężczyznom z Aquilonii? Najpierw Servius... Teraz ty! Potraficie tylko kręcić swymi zidiociałymi głowami, kiedy mówię o wypędzeniu tych psów?

Hadrathus westchnął i odparł pomału:

– Panie mój, źle to mówić i wolałbym powiedzieć coś przeciwnego. Niemniej wolność Aquilonii się kończy. Więcej, skończyć się może wolność całego świata! W historii kolejne epoki następują po sobie, a teraz wkraczamy w epokę grozy i niewoli, jak to było dawno temu.

– Co masz na myśli? – zapytał król niespokojnie.

Hadrathus opadł na krzesło, oparł łokcie na udach i zapatrzył się w podłogę.

– To nie sami buntowniczy lordowie Aquilonii i armie Nemedii układają się przeciw tobie – odparł. – To czary... straszliwa czarna magia ze srogiego zarania świata. Straszna postać powstała z półmroku Przeszłości i nikt nie może się jej oprzeć.

– Co masz na myśli? – powtórzył Conan.

– Mówię o Xaltotunie z Acheronu, który umarł trzy tysiące lat temu, jednakowoż dziś stąpa po ziemi.

Cimmeryjczyk popadł w milczenie, podczas gdy w jego umyśle pojawiła się pewna podobizna – obraz brodatej twarzy o

beznamiętnie nie ludzkiej urodzie. Ponownie nawiedziło go niepokojące poczucie, iż jest ona znajoma. Acheron – brzmienie tego słowa rodziło w jego umyśle drgania wspomnień i skojarzeń.

– Acheron – powtórzył. – Xaltotun z Acheronu... Człowieku, czyś ty oszalał? Acheron jest mitem nie pamiętam już od ilu wieków. Często się zastanawiałem, czy w ogóle kiedykolwiek istniał.

– Stanowił mroczną rzeczywistość – powiedział Hadrathus – imperium czarnych magów przesiąkniętych złem obecnie dawno zapomnianym. Zostało ostatecznie obalone przez plemiona hyboryjskie z zachodu. Czarownicy z Acheronu praktykowali odrażającą nekromancję, taumaturgię najgorszego rodzaju i przerażającą magię, przyuczeni przez diabły. A ze wszystkich czarnoksiężników tego przekłętą królestwa żaden nie był tak wielki jak Xaltotun z Pythonu.

– Jak zatem został w ogóle obalony? – spytał Conan sceptycznie.

– Za pomocą pewnych środków źródło kosmicznej mocy, którego strzegł zazdrośnie, zostało skradzione i zwrócone przeciw niemu. Źródło to powróciło do niego i stał się niepokonany.

Albiona, otulając się ściślej czarnym płaszczem kata, spoglądała to na kapłana, to na króla, nie rozumiejąc ich rozmowy. Conan ze złością pokręcił głową.

– Żarty sobie ze mnie stroisz – warknął. – Jeśli Xaltotun był martwy od trzech tysięcy lat, jak może być nim ów człowiek? To jakiś łotr, który przybrał imię staruszka.

Hadrathus pochylił się ku stolikowi z kości słoniowej i otworzył małą złotą szkatułkę, która tam stała. Wziął z niej coś, co połyskiwało matowo w łagodnym świetle – obszerną złotą monetę ze starożytnej mennicy.

– Widziałeś Xaltotuna odsłoniętego? Tak więc spójrz na to. To moneta, którą wybito w pradawnym Acheronie przed jego upadkiem. Tak przeniknięte czarami było to mroczne imperium, że nawet ta moneta ma swoje zastosowanie w uprawianiu magii.

Conan wziął ją do ręki i spojrzał na nią groźnie. Nie było mowy o pomyłce co do jej długowieczności. W latach grabieży miał do czynienia z wieloma monetami i posiadał na ich temat solidną wiedzę praktyczną. Krawędzie były starte, a inskrypcjeomalże zamazane. Ale oblicze wybite po jednej stronie pozostawało widoczne jasno i wyraźnie. Cimmeryjczyk z sykiem nabrał tchu przez zaciśnięte zęby. W komnacie nie było zimno, lecz on poczuł, jak włosy jeżą się mu na głowie, a skórę ściąga lodowaty skurcz. Oblicze należało do brodatego mężczyzny, było nieprzeniknione, o beznamiętnie nieludzkiej urodzie.

– Na Croma! To on! – wymamrotał Conan. Zrozumiał teraz wrażenie, iż brodaty mężczyzna jest znajomy, jakie zrodziło się w nim od pierwszego wejrzenia. Widział już kiedyś monetę taką jak ta, dawno temu, w odległym kraju. Wstrząsnąwszy ramionami, warknął: – Podobieństwo jest tylko przypadkiem... albo, o ile jest dość bystry, żeby przyjąć imię zapomnianego czarownika, jest dość bystry, by się do niego upodobnić.

Ale przemawiał bez przekonania. Widok monety wstrząsnął posadami jego wszechświata. Czuł, że wszystko, co realne i trwałe, wali się w otchłań złudzeń i czarów. Czarownik mieścił się w głowie, ale to było diabelstwo ponad zdrowy rozsądek.

– Nie możemy wątpić, że to naprawdę Xaltotun z Pythonu – powiedział Hadrathus. – On był tym, który strząsnął urwiska nad Valkią czarami, jakie zniewoliły pierwotne żywioły ziemi... On był

tym, który przed świtem posłał stworzenie ciemności do twego namiotu.

Conan spojrział nań krzywo.

– Skąd o tym wiesz?

– Uczniowie Asury mają tajemne kanały zdobywania wiedzy. Nie w tym rzecz. Ale czy zdajesz sobie sprawę z daremności poświęcania swych poddanych w beznadziejnej próbie odzyskania korony?

Conan wsparł głowę na pięści i zapatrzył się posepnie w nicość. Albiona obserwowała go z niepokojem, jej umysł błędził po omacku zagubiony w labiryntach problemów, jakie przed nim stały.

– Czyż nie ma na świecie czarownika, który uprawiałby magię zdolną zwalczyć magię Xaltotuna? – zapytał w końcu.

Hadrathus pokręcił głową.

– Gdyby taki był, my, od Asury, byśmy o nim wiedzieli. Mówi się, że nasza religia jest pozostałością pradawnego stygijskiego kultu węża. To kłamstwo. Przodkowie nasi przybyli z Vendhyi za morzem Vilayet i błękitnymi górami himeliańskimi. Jesteśmy synami Wschodu, a nie Południa, i znamy wszystkich czarowników Wschodu, którzy są więksi od czarowników Zachodu. I każdy z nich byłby źdźbłem na wietrze wobec czarnej siły Xaltotuna.

– Ale raz go zwyciężono – Conan trwał przy swoim.

– Tak jest. Kosmiczne źródło zostało zwrócone przeciw niemu. Lecz teraz to źródło jest znów w jego rękach, a on będzie pilnować, aby nie zostało skradzione ponownie.

– A co to za przekłete źródło? – dopytywał zirytowany Conan.

– Zwane jest Sercem Ahrimana. Gdy obalono dominację Acheronu, jakiś barbarzyński kapłan, który je ukradł i zwrócił

przeciw Xaltotunowi, ukrył je w nawiedzanej pieczarze i zbudował nad nią małą świątynię. Odtąd świątynię tę przebudowywano po trzykroć, za każdym razem czyniąc ją większą i misterniejszą niż przedtem, zawsze jednak na miejscu pierwotnego sanktuarium, choć zapomniano przyczyn tego kroku. Pamięć o ukrytym symbolu wyblakła w umysłach zwykłych ludzi i przechowywana była w księgach kapłańskich oraz woluminach okultystycznych. Skąd on przybył, tego nikt nie wie. Niektórzy mówią, że to prawdziwe serce boga, inni, że gwiazda, jaka spadła z nieba dawno temu. Dopóki nie zostało skradzione, nikt nie zajmował sobie nim myśli przez trzy tysiące lat. Kiedy magia mitryjskich kapłanów zawiodła przeciw magii Altara, akolity Xaltotuna, ci pierwsi przypomnieli sobie starożytną legendę o Sercu i najwyższy kapłan oraz pewien akolita zeszli do ciemnej, przerażającej krypty pod świątynią, do której żaden kapłan nie zstępował przez trzy tysiące lat. W prastarych woluminach z żelaznymi okuciami, które mówiły o Sercu i jego tajemnym znaczeniu, opowiadano także o stworzeniu z ciemności pozostawionym przez starożytnego kapłana na jego straży. Głęboko w dole, w kwadratowej komorze, której łukowaty próg wiódł w niezmierną ciemność, arcykapłan z akolitą odnaleźli czarny kamienny ołtarz, który jaśniał przyćmioną, niewytłumaczalną poświatą. Na tymże ołtarzu spoczywało dziwne naczynie w kształcie muszli o dwóch skrzydłach, które przywarło do kamienia niczym wąsonogi. Ale było otwarte i ziało pustką. Serce Ahrimana zniknęło. Gdy patrzyli tak ze zgrozą, opiekun krypty, stworzenie ciemności, spadł na nich i zmasakrował najwyższego kapłana tak, iż wkrótce zmarł. Wszelako akolita odparł tę istotę – bezrozumnego i bezdusznego podrzutka z czeluści sprowadzonego dawno temu, by

strzegł Serca – i uciekł na górę wąskimi czarnymi schodami, unosząc konającego kapłana, który, zanim umarł, wykrztusił przesłanie dla swoich uczniów. Polecił im podporządkować się potędze, jakiej nie są w stanie przewyciężyć, i rozkazał dochować tajemnicy. Ale wieść rozeszła się szeptem pośród kapłanów i my, od Asury, dowiedzieliśmy się o tym.

– I Xaltotun czerpie swą moc z owego symbolu? – spytał nastawiony nadal sceptycznie Conan.

– Nie. Jego moc wypływa z czarnych otchłani. Jednak Serce Ahrimana przybyło z jakiegoś odległego wszechświata płonącego jasnością i kiedy znajdzie się w rękach kogoś biegłego, moce ciemności nie zdołają mu się oprzeć. Jest niczym miecz, jaki mógłby go porazić, a nie miecz, którym on mógłby razić. Ono przywraca życie i zdolne jest życie zniszczyć. Xaltotun ukradł je nie po to, aby użyć go przeciw swoim wrogom, ale żeby powstrzymać ich od wykorzystania go przeciwko niemu.

– Misa w kształcie muszli ze złota na czarnym ołtarzu w głębokiej pieczarze – mamrotał Conan, marszcząc brwi przy próbie uchwycenia tego ulotnego obrazu. – To przypomina mi coś, co słyszałem albo widziałem. Ale jakie, w imię Croma, jest to przesławne Serce?

– Ma postać wielkiego klejnotu, jakby rubinu, lecz tętni oślepiającym ogniem, jakim żaden rubin nie zapłonie. Jaśnieje jak żywy płomień...

Conan poderwał się nagle i grzmotnął z hukiem prawą pięścią o lewą dłoń.

– Na Croma! – ryknął. – Jakimże głupcem byłem! Serce Ahrimana! Serce mego królestwa! Odszukaj serce swego królestwa,

mówiła Zelata. Na Ymira, to ten klejnot widziałem w zielonym dymie. Klejnot, który Tarascus ukradł Xaltotunowi, podczas gdy ten zaległ we śnie od czarnego lotosu!

Hadrathus także zerwał się na nogi, jego spokój opadł zeń jak odzienie.

– Co ty mówisz? Xaltotunowi skradziono Serce?

– Tak jest! – huknął Conan. – Tarascus wystraszył się Xaltotuna i chciał osłabić jego moc, która, jak sądził, tkwi w Sercu. Może pomyślał, że czarownik zginie, jeśli Serce przepadnie. Na Croma... Achch! – Z wściekłym grymasem rozczarowania i obrzydzenia opuścił zaciśniętą pięść do boku. – Zapomniałem. Tarascus dał je złodziejowi, aby wrzucił je do morza. Do tego czasu tamten musiał znaleźć się niemal w Kordavie. Zanim zdołam ruszyć jego śladem, wejdzie na statek i pośle Serce na dno oceanu.

– Morze go nie zatrzyma! – wykrzyknął Hadrathus, drżąc podekscytowany. – Xaltotun sam cisnąłby je do oceanu dawno temu, gdyby nie wiedział, że pierwszy sztorm wyniesie je na brzeg. Ale na jakiej to nieznannej plaży mogłoby ono wylądować?

– Dobra. – Cimmeryjczyk odzyskał nieco energicznej pewności siebie. – Nie ma gwarancji, że złodziej je wyrzuci. O ile znam złodziei – a powinienem, gdyż we wczesnej młodości byłem złodziejem w Zamorze – nie wyrzuci go. Sprzeda jakiemuś bogatemu kupcowi. Na Croma! – Ze wzrastającą ekscytacją zaczął sadzić długimi susami w tę i z powrotem. – Warto go poszukać. Zelata poleciła mi odnaleźć serce mego królestwa. Wszystko inne, co mi objawiła, okazało się prawdą. Może być tak, że moc do pokonania Xaltotuna czai się w tym szkarłatnym świecidełku?

– Tak jest! Idę o głowę! – krzyknął Hadrathus, którego twarz

rozjaśnił zapał, oczy mu zapłonęły, a dłonie się zacisnęły. – Mając je w rękach, możemy porwać się na moce Xaltotuna! Przysięgam! Jeżeli zdołamy je odzyskać, mamy taką samą szansę odzyskać twoją koronę i wypędzić najeźdźców z naszych progów. To nie mieczy Nemedii Aquilonia się boi, lecz czarnych sztuk Xaltotuna.

Conan popatrzył na niego przez chwilę. Był pod wrażeniem zapału kapłana.

– To niczym wyprawa w jakiś koszmar – stwierdził w końcu. – Jednakże w tych słowach pobrzmiewa echo myśli Zelaty, a wszystko inne, co mówiła, było prawdą. Poszukam tego klejnotu.

– W nim spoczywa los Aquilonii – oznajmił Hadrathus z przekonaniem. – Poślę z tobą ludzi...

– Nie! – wykrzyknął niecierpliwie król, nie chcąc, aby kapłani zawadzali mu w wyprawie, obojętnie jak biegli w sztukach ezoterycznych. – To jest zadanie dla wojownika. Jadę sam. Najpierw do Poitain, gdzie zostawię Albionę u Trocera. Potem do Kordawy i na morze, jeśli to będzie konieczne. Może być tak, że nawet jeśli tamten złodziej zamierza wypełnić rozkaz Tarascusa, będzie miał pewne trudności ze znalezieniem statku wypływającego o tej porze roku.

– Jeśli odnajdziesz Serce – krzyknął Hadrathus – przygotuję ci drogę do zwycięstwa. Zanim powrócisz do Aquilonii, tajemnymi kanałami rozpowszechnię wieść, że żyjesz i że wracasz z magią silniejszą od Xaltotunowej. Na twój powrót będę miał ludzi gotowych wzniecić powstanie. I oni *naprawdę* powstaną, o ile zdobędą zapewnienie, że zyskają ochronę przed czarnymi sztukami Xaltotuna. I pomogę ci w twej podróży. – Powstał i uderzył w gong. – Tajemny tunel wiedzie spod tej świątyni do miejsca poza murami

miasta. Wyruszysz do Poitain na łodzi pielgrzyma. Nikt nie odważy ci się naprzykrzać.

– Jak chcesz. – Mającego w głowie wyraźnie określony cel Cimmeryjczyka trawiła niecierpliwość i rozpierała energia. – Niech tylko stanie się to szybko.

Tymczasem w mieście wydarzenia nabierały tempa. Zasapany goniec wpadł do pałacu, gdzie Valerius zabawiał się z tancerkami, i rzuciwszy się na kolana, wydyszał rwaną opowieść o krwawej ucieczce z więzienia i zniknięciu ślicznej branki. Przyniósł także wiadomość, iż hrabia Thespius, któremu skazanie Albiony na egzekucję wcześniej powierzono, kona właśnie i błaga, by móc zamienić słowo z Valeriusem, nim wyzionie ducha.

Owinąwszy się pospiesznie płaszczem, Valerius ruszył w towarzystwie posłańca rozmaitymi krętymi drogami i wszedł do komnaty, gdzie leżał Thespius. Nie było wątpliwości, że hrabia umiera. Z każdym ciężkim, powodującym dreszcze oddechem z jego ust wypływały bąbelki krwawej piany. Kikut ramienia przewiązano, by zatrzymać upływ krwi, ale głęboka rana w boku była śmiertelna.

Będąc sam w komnacie z konającym, Valerius przeklął cicho.

– Na Mitrę, uważałem, iż żył tylko jeden człowiek, który mógł zadać taki cios.

– Valeriusie! – wysapał umierający. – On żyje! Conan żyje!

– Co ty mówisz?! – wykrzyknął tamten.

– Przysięgam na Mitrę! – wybulgotał Thespius, dławiąc się krwią, jaka trysnęła mu do ust. – To on uprowadził Albionę! On nie jest martwy... To nie zjawa przybyła z piekieł, by nas prześladować. Jest z krwi i kości, straszliwszy niż kiedykolwiek. Aleja za więżą

pełna jest trupów. Strzeż się, Valeriusie... on powrócił... by zarzącić nas wszystkich...

Silny dreszcz wstrząsnął umazaną krwią postacią i hrabia Thespius opadł bezwładnie.

Valerius spojrział potępieńczo na trupa, rozejrzał się szybko po pustej komnacie i podszedłszy szybko do drzwi, otworzył je nagłym pchnięciem. Posłaniec oraz grupa nemedyjskich strażników stali o kilka kroków, w głębi korytarza. Valerius wymamrotał coś, co mogło stanowić oznakę zadowolenia.

– Wszystkie bramy są zamknięte? – zapytał.

– Tak, wasza wysokość.

– Potroić straż przy każdej. Nie pozwólcie nikomu wejść ani opuścić miasta bez najściślejszej kontroli. Poślijcie ludzi do przeczesania ulic i przeszukania domów. Bardzo cenny więzień uciekł z pomocą aquilońskiego buntownika. Czy ktokolwiek z was rozpoznał tego człowieka?

– Nie, wasza wysokość. Stary dozorca widział go przez mgnienie oka, ale potrafi powiedzieć tylko, że był olbrzymem odzianym w czarny strój tego kata, którego nagie ciało znaleźliśmy w pustej celi.

– To człek niebezpieczny – oznajmił Valerius. – Nie podejmujcie się z nim mierzyć. Wszyscy znacie hrabinę Albionę. Szukajcie jej, a jeśli znajdziecie, natychmiast zabijcie ją i jej towarzysza. Nie próbujcie brać ich żywcem.

Powróciwszy do pałacowej komnaty, Valerius przywołał przed swe oblicze czterech ludzi o dziwnym, obcym wyglądzie. Byli wysocy, chudzi, o żółtej skórze i nieruchomych twarzach. Ich powierzchowność była podobna – odziani jednakowo w długie czarne szaty, pod którymi widać było tylko ich obute w sandały

stopy. Rysy twarzy pozostawały ocienione kapturami. Stali przed Valeriuszem z założonymi rękami i dłońmi ukrytymi w szerokich rękawach. Król patrzył na nich bez uciechy. W dalekim swym podróżowaniu natknął się na wiele dziwnych ras.

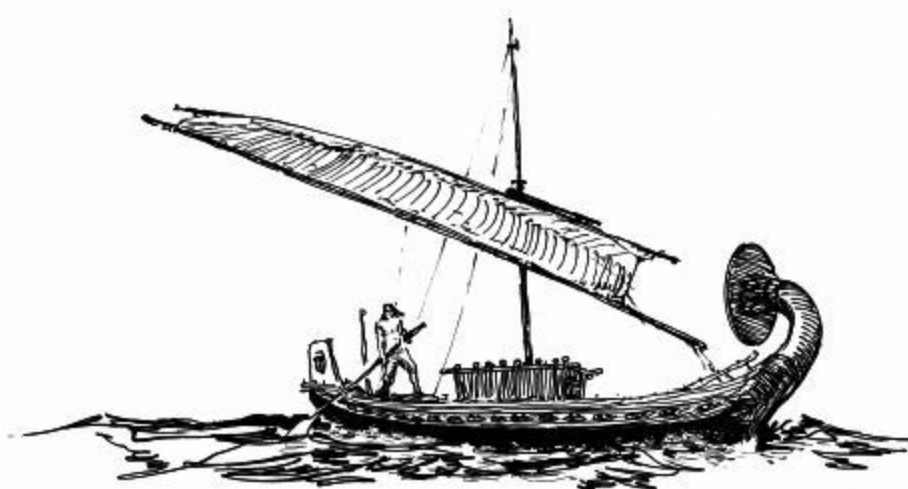
– Kiedy was odnalazłem, umierających z głodu w khitajskich dżunglach – rzekł raptem – uchodźców ze swego królestwa, przysięgliście mi służyć. Dotąd służyliście mi dość dobrze, na swój wstrętny sposób. Jeszcze jednej posługi się domagam, a potem zwolnię was z przyrzeczenia. Conan Cimmeryjczyk, król Aquilonii, nadal żyje, pomimo magii Xaltotuna... albo może właśnie przez nią. Tego nie wiem. Mroczny umysł tego wskrzeszonego diabła jest zbyt pokrętny i wyrafinowany, by człowiek śmiertelny zdołał go zgłębić. Lecz dopóki żyje Conan, ja nie jestem bezpieczny. Lud przyjął mnie jako mniejsze z dwojga złego, kiedy uznał, że on nie żyje. Niech tylko pojawi się znowu, a rewolucja zachwieje tronem pod moimi stopami, nim zdołam zaprowadzić porządek. Być może moi sojusznicy zamierzają postawić go na moim miejscu, jeśli uznają, że wykonałem już swoje. Nie wiem. Wiem jednak, że ta planeta jest za mała dla dwóch królów Aquilonii. Odszukajcie Cimmeryjczyka. Skorzystajcie ze swoich niesamowitych talentów, aby go wytropić, gdziekolwiek się ukrywa albo dokądkolwiek zmierza. W Tarantii ma wielu przyjaciół. Miał pomoc przy uprowadzeniu Albiony. Trzeba było więcej niż jednego człowieka, nawet takiego jak Conan, by zgotować taką rzeź w alei pod wieżą. Ale już dość. Weźcie swe laski i ruszajcie jego śladem. Dokąd was zaprowadzi, tego nie wiem. Ale znajdźcie go! A kiedy go znajdziecie, zabijcie!

Czterej Khitajczycy pokłonili się razem, nadal nie przemówiwszy, odwrócili się i krocząc bezgłośnie, wyszli z komnaty.



XI

MIECZE POŁUDNIA



Brzask, który wzniósł się ponad odległymi wzgórzami, połyskiwał na żaglach małego stateczku płynącego w dół rzeki, która zakreślała na przestrzeni mili od murów Tarantii i zataczała pętlę ku południowiczym wielki lśniący wąż. Łódź owa różniła się od zwykłych statków kursujących po szerokiej Khorotas – rybackich i kupieckich barek załadowanych obficie towarami. Ta była długa i smukła, o wysokim, zagiętym dziobie i czarna niczym heban, z białymi czaszkami wymalowanymi wzdłuż okrzężnicy. Na śródokręciu wznosiła się mała nadbudówka o dokładnie zasłoniętych oknach. Inne statki z dala omijały złowroźnie malowaną łódź, gdyż była to w sposób oczywisty jedna z tych „pielgrzymich łodzi”, jakie wiozły

martwego ucznia Asury w jego ostatnią tajemniczą pielgrzymkę ku południu, gdzie, daleko za górami Poitain, rzeka wpływa ostatecznie do błękitnego oceanu. W tej nadbudówce spoczywało niewątpliwie ciało zmarłego czciciela. Widok owych przygnębiających statków był wszystkim znany i nawet najbardziej fanatyczni wyznawcy Mitry nie odważyliby się ich tknąć czy przeszkodzić w smutnej podróży.

Gdzie leży miejsce ostatecznego przeznaczenia, tego ludzie nie wiedzieli. Niektórzy mówili o Stygii, drudzy o jakiejś bezimiennej wyspie leżącej za horyzontem, inni twierdzili, że miejsce, dokąd w końcu trafiają zmarli, to olśniewająca i tajemnicza kraina Vendhyi. Nikt wszelako nie wiedział na pewno. Wiedzieli tylko, że kiedy uczeń Asury umiera, zwłoki podążają ku południu z nurtem wielkiej rzeki w czarnej łodzi, której wioślarzem jest olbrzymi niewolnik, i że ani łodzi, ani zwłok, ani też niewolnika nie spotyka się już nigdy więcej. Chyba że mroczne opowieści istotnie głosiły prawdę i zawsze ten sam niewolnik spławiał łódź ku południu.

Człowiek, który napędzał tę konkretną łódź, był tak ogromny i brązowy jak inni, choć bliższe przyjrzenie mogłoby ujawnić fakt, iż jego ciemna karnacja jest wynikiem umiejętnego nałożenia barwników. Odziany był w skórzaną przepaskę biodrową i sandały, a wiosłami i długim wiosłem sterowym posługiwał się z nadzwyczajną umiejętnością i siłą. Jednak nikt nie zbliżał się do posępnej łodzi, gdyż dobrze wiadano, że uczniowie Asury są przeklęci, a owe pielgrzymie łodzie obciążone czarną magią. Zatem ludzie kierowali swe łodzie w inną stronę i mamrotali inkantacje, kiedy mroczny statek przepływał obok, i nigdy by im się nie przyśniło, że w ten sposób pomagają w ucieczce swemu królowi

oraz hrabinie Albionie.

Była to dziwna podróż, na owym czarnym, smukłym stateczku, z prądem wielkiej rzeki przez blisko dwieście mil do miejsca, gdzie Khorotas odchyłała się ku południu, okrążając góry poitainiańskie. Nieustannie zmieniający się krajobraz przesuwał się niczym we śnie. W trakcie dnia Albiona zalegała cierpliwie w małej nadbudówce, równie spokojnie jak zwłoki, które udawała. Jedynie późną nocą, po tym jak rzekę opuszczały służące rozrywce łodzie z ich pięknymi pasażerami rozpartymi na jedwabnych poduszkach w świetle pochodni trzymanyh przez niewolników, i przed świtem sprowadzającym pospieszne łodzie rybackie dziewczyna ważyła się wyjść na zewnątrz. Chwytała wówczas za długie wiosło sterowe, sprytnie przywiązane na swym miejscu linami, aby jej pomóc, podczas gdy Conan łapał kilka godzin snu. Ale król potrzebował mało odpoczynku. Nieubłagane gnał go ogień dążenia, a jego mocarna budowa sprawiała, iż był w stanie znieść trudy rejsu, który stanowił dlań wyczerpujący sprawdzian. Bez przerw i postojów zmierzali ku południu.

Tak więc mknęli w dół rzeki nocami, kiedy płynący nurt odbijał miliony gwiazd, i dniami pełnymi złocistego słonecznego światła, wraz z posuwaniem się ku południu zostawiając zimę za sobą. Nocami mijali miasta, nad którymi pulsowały i tętniły łuny niezliczonych światel, nadrzeczne wille nobilów i urodzajne gaje. I tak w końcu wyrosły ponad nimi błękitne góry Poitain, coraz wyższe i wyższe, niczym mury fortecy bogów, a wielka rzeka, skręcając ostro z dala od tych zwieńczonych strzelistymi iglicami urwisk, ruszała, grzmiąc, wśród rozrzuconych równomiernie wzgórz oraz przez wiele bystrych i spienionych katarakt.

Conan przebiegł wzrokiem po linii brzegowej i wreszcie odchylił długie wiosło sterowe, i skierował się ku wybrzeżu w miejscu, gdzie wąski przesmyk wcinał się w wodę, a jodły rosły osobliwie symetrycznym pierścieniem wokół szarej, przedziwnie ukształtowanej skały.

– Jak te łodzie pokonują wodospady, których ryk słyszymy przed sobą, to więcej, niż umiem pojąć – burknął. – Hadrathus mówił, że to robią... to jednak miejsce, gdzie my się zatrzymamy. Powiedział, że jakiś człowiek będzie czekać na nas z końmi, lecz nie widzę nikogo. Jak wieść o naszym przybyciu mogłaby nas poprzedzić, tego też w żaden sposób nie wiem.

Wbiwszy się w nabrzeże, przywiązał dziób łodzi do łukowatego korzenia na niskim brzegu, a potem, skoczywszy do wody, zmył ze skóry brązową farbę i ociekający wyszedł w swym naturalnym kolorze. Z nadbudówki wydobył strój złożony z aquilońskiej kolczugi, którą Hadrathus zdobył dla niego, oraz swój miecz. Podczas gdy je przywdziewał, Albiona wkładała ubiór stosowny do podróży górskiej. Kiedy Conan był już w pełni uzbrojony i odwrócił się, by spojrzeć w kierunku brzegu, drgnął, a jego ręka powędrowała do miecza. Na brzegu bowiem, pod drzewami, stała odziana w czarny płaszcz postać trzymająca wodze białego wierzchowca i gniadego konia bojowego.

– Kim jesteś? – zapytał król.

Tamten pokłonił się nisko.

– Uczniem Asury. Nadeszło polecenie. Byłem mu posłuszny.

– Jakże „nadeszło”? – dopytywał Conan, ale tamten tylko ukłonił się ponownie.

– Przybyłem, aby przeprowadzić was przez góry do pierwszej

warowni poitainiańskiej.

– Nie potrzebuję przewodnika – rzekł Cimmeryjczyk. – Znam te wzgórza dobrze. Dziękuję ci za konie, ale hrabina i ja przyciągniemy mniej uwagi sami, niż gdyby towarzyszył nam akolita Asury.

Tamten pokłonił się głęboko, oddał lejce w ręce Conana i wkroczył do łodzi. Odbiwszy, popłynął wraz z szybkim prądem w stronę odległego ryku niewidocznych przełomów. Potrząsając głową ze zdumienia, Conan posadził hrabinę w siodle wierzchowca, a potem wsiadł na konia bojowego, ściągnął wodze i ruszył w kierunku szczytów, które zębatym zwieńczeniem wgryzały się w niebo.

Pagórkowaty teren u stóp wyniosłych gór stanowił teraz pogranicze i panował na nim zamęt, w którego ramach baronowie przywrócili praktyki feudalne, a zgraje banitów włóczyły się do woli. Poitain nie ogłosiło formalnej secesji od Aquilonii, ale było obecnie pod każdym względem królestwem samostanowiącym, władanym przez hrabiego – tytuł przekazywany dziedzicznie – Trocera. Pofałdowana południowa kraina podlegała nominalnie Valeriusowi, lecz nie podejmował on prób forsowania przełęczy strzeżonych przez warownie, gdzie wyzywająco powiewały sztandary Poitain ze szkarłatnym lampartem.

Cichym wieczorem król i jego śliczna towarzyszka wjechali na długi błękitny wzgórek. Kiedy wspięli się wyżej, pagórkowata kraina rozpostarła się daleko przed nimi jak obszerny purpurowy płaszcz poprządkany przebłyskami rzek i jezior, żółtym lśnieniem rozległych pól i białym blaskiem dalekich wież. Przed sobą, daleko w dole, dostrzegli pierwszą z poitainiańskich twierdz – silną fortecę

panującą nad wąską przełęczą, ze szkarłatnym sztandarem płynącym po jasnym błękitnie nieba.

Zanim do niej dotarli, spomiędzy drzew wyjechała grupa rycerzy w polerowanych zbrojach, a jej przywódca surowo nakazał podróżnym się zatrzymać. Byli oni ludźmi wysokimi, o ciemnych oczach i kruczych puklach, jak to na południu.

– Zatrzymaj się, panie, przedstaw swą sprawę i powiedz, dlaczego jedziesz w stronę Poitain.

– Czyżby w Poitain trwała rewolta – zapytał Conan, obserwując uważnie tamtego – że człek w aquilońskiej zbroi zatrzymywany jest i wypytywany jak cudzoziemiec?

– Wielu łotrów wyjeżdża z Aquilonii w tych dniach – odparł tamten zimno. – Co do rewolty, jeśli masz na myśli nieuznanie uzurpatora, to w Poitain ona trwa. Wolimy bardziej służyć pamięci człowieka martwego niż berłu żywego psa.

Conan zsunął swój hełm i strząsnąwszy do tyłu grzywę czarnych włosów, popatrzył wprost w oczy mówiącego. Poitainianin drgnął gwałtownie i nagle poszarzał.

– Święci z nieba! – wykrztusił. – To jest król... *żywy!*

Pozostali spojrzeli osłupiali i wtem z ich gardeł buchnął ryk zdumienia i radości. Otoczyli ściśle Conana, podnosząc okrzyki wojenne i wymachując mieczami z najwyższym poruszeniem. Wyrazy uznania ze strony poitainiańskich wojowników są czymś, co mogłoby przerazić człowieka bojaźliwego.

– Och, ależ Trocero uroni łzę radości, widząc cię, panie! – krzyczał jeden.

– Tak jest. I Prospero! – wołał następny. – Wódz był jak spowity w płaszcz melancholii. Dzień i noc przeklina sam siebie, że nie

dotarł nad Valkię na czas, żeby umrzeć u boku króla.

– Teraz odzyskamy monarchię! – zawodził inny, kręcąc wokół głowy młyńce swym wielkim mieczem. – Bądź pozdrowiony, Conanie, *królu Poitain!*

Klangor świetlistej stali wokół niego i grzmot ich poklasku spłoszyły ptaki, które wzleciały wielobarwną chmurą z otaczających ich drzew. Gorąca południowa krew zawrzała i nie pragnęli niczego ponad to, by odzyskany suweren poprowadził ich w bój i na grabież.

– Jakie są twe rozkazy, panie? – krzyczeli. – Niech jeden z nas pojedzie przodem i zanieś wieść o twoim przybyciu do Poitain! Sztandary wzniosą się na każdej wieży, róże zaścielą drogę pod kopytami twego konia, a wszystkie piękności i kawalerowie południa oddadzą ci cześć należną...

Conan pokręcił głową.

– Kto mógłby zwątpić w waszą lojalność? Ale wiatry znad tych gór wieją do krajów moich wrogów, a chciałbym raczej, by nie wiedzieli oni, że przeżyłem... jeszcze. Zabierzcie mnie do Trocera i utrzymajcie moją tożsamość w tajemnicy.

I tak oto droga, którą rycerze chcieli uczynić tryumfalnym pochodem, miała raczej charakter potajemnego przemykania. Podróżowali w pośpiechu, nie rozmawiając z nikim poza sobą, wyłączywszy poszeptywania z dowódcami sprawującymi służbę na wszystkich przełęczach, a Conan jechał pośród nich ze spuszczoną zasłoną.

Poza banitami i garnizonami żołnierzy, jacy strzegli przełęczy, góry były niezamieszkałe. Wielbiący przyjemności Poitainianie nie czuli potrzeby ani chęci, by wyrywać srogie i twarde życie z ich

surowej piersi. Na południe od tych pasm zasobne i piękne równiny Poitain ciągnęły się po rzekę Alimane, ale za nią leżały już ziemie Zingary.

Nawet teraz, kiedy zima za górami kruszyła z chrzęstem zmarznięte liście, na równinach kołysała się soczysta, wysoka trawa, gdzie pasły się konie i bydło, z których słyęło Poitain. Palmowce oraz gaje pomarańczowe śmiały się w słońcu, a wspaniałe purpurowe, złote i szkarłatne wieże zamków i miast odbijały złociste światło. Był to kraj ciepła i obfitości, pięknych kobiet i zajadłych wojowników. Nie tylko srogie kraje rodziły srogich mężczyzn. Poitain otoczone było przez zawistnych sąsiadów, a jego synowie uczyli się męstwa w trakcie bezustannych wojen. Na północy kraj był strzeżony przez góry, ale na południu tylko Alimane oddzielała równiny Poitain od równin Zingary i nie raz, lecz tysiące razy rzeka ta spłynęła krwią. Na wschodzie leżało Argos, a za nim Ophir, królestwa dumne i nienasycone. Rycerze z Poitain utrzymywali swe ziemie za sprawą ciężaru i ostrzy swych mieczy i mało zaznawali spokoju oraz bezczynności.

I tak wkrótce Cimmeryjczyk przybył do zamku hrabiego Trocera...

Conan usiadł na umieszczonej pod ścianą jedwabnej leżance w bogatej komnacie, której przejrzyste zasłony wybrzuszał łagodny, ciepły wietrzyk. Trocero kroczył po posadzce niczym pantera – gibki, czupurny człowiek o talii kobiety i ramionach wojownika, z którym upływające lata obchodziły się łagodnie.

– Pozwól nam ogłosić się królem Poitain! – nalegał hrabia. – Niech te północne świny noszą jarzmo, do którego nadstawiły swoje karki. Południe jest nadal twoje. Zamieszkaż tu i rządź nami

wśród kwiatów i palm.

Ale Conan pokręcił głową.

– Nie ma na świecie krainy znakomitszej od Poitain. Ale ono nie ostoi się samo, zuchwałe tak jak jego synowie.

– *Ostawało* się samo przez całe pokolenia – odciął się Trocero z typową dla swego rodu popędliwą, przeczuloną dumą. – Nie zawsze byliśmy częścią Aquilonii.

– Wiem. Ale okoliczności są teraz inne niż wtedy, gdy wszystkie królestwa porozbijane były na pryncypaty, które wojowały ze sobą. Dni księstw i wolnych miast są już przeszłością. Nadciągają dni imperiów. Władcy śnią o imperiach i tylko w jedności tkwi siła.

– Zatem pozwól nam zjednoczyć Zingarę z Poitain – podjął temat hrabia. – Pół tuzina książąt walczy tam ze sobą, a kraj rozdarty jest na części wojną domową. Podbijemy go, prowincję po prowincji, i dołączymy do twego dominium. Potem z pomocą Zingarańczyków podbijemy Argos i Ophir. Zbudujemy imperium...

Conan znów potrząsnął głową.

– Niech inni śnią o imperiach. Ja chcę zatrzymać tylko to, co moje. Nie pragnę rządzić imperium spojonym w całość krwią i ogniem. Jedną rzeczą jest przejąć tron z pomocą poddanych i władać nimi za ich przyzwoleniem, inną zaś ujarzmić obce państwo i zawiadywać nim za pomocą strachu. Nie chcę być następnym Valerusem. Nie, Trocero, będę władać całą Aquilonią i niczym więcej albo nie będę władać wcale.

– Zatem poprowadź nas przez góry, a zmiemy Nemedyczyków.

Zapalczywe oczy Cimmeryjczyka zajaśniały uznaniem.

– Nie, Trocero. Byłaby to daremna ofiara. Powiedziałem ci, co

muszę zrobić, żeby odzyskać swoje królestwo. Muszę odnaleźć Serce Ahrimana.

– Ale to jakieś szaleństwo! – zaprotestował Trocero. – Niejasne mamrotanie jakiegoś heretyckiego kapłana, bełkot pomyłonej wiedźminki.

– Nie było cię w moim namiocie przed Valkią – rzekł Conan surowo, mimowolnie spoglądając na prawy nadgarstek, na którym wciąż widniały słabe niebieskie ślady. – Nie widziałeś urwisk walących się z grzmotem, by zmiażdżyć kwiat mej armii. Nie, Trocero, nabrałem przekonania. Xaltotun nie jest człowiekiem śmiertelnym i tylko z Sercem Ahrimana mogę stanąć przeciw niemu. Jadę zatem do Kordavy, sam.

– Ale to niebezpieczne – buntował się Trocero.

– Życie jest niebezpieczne – zahuczał król. – Nie wyruszę jako król Aquilonii, ani nawet jako rycerz z Poitain, ale jako włóczący się najemnik, tak jak jeździłem po Zingarze za dawnych dni. Och, wrogów mam dość na południe od Alimane, na lądach i na wodach południa. Wielu, którzy nie poznają mnie jako króla Aquilonii, będzie mnie pamiętało jako Conana z piratów barachańskich albo Amrę od czarnych korsarzy. Ale mam także przyjaciół i ludzi, którzy mi pomogą z własnych powodów. – Jego usta wykrzywił nikły uśmiech wywołany wspomnieniami.

Ręce Trocera opadły bezradnie. Spojrzał on na Albionę, która siedziała na pobliskiej leżance.

– Rozumiem twoje wątpliwości, panie – odezwała się. – Niemniej ja także widziałam tę monetę w świątyni Asury i, zobacz sam, Hadrathus rzekł, iż jest ona datowana na pięćset lat *przed* upadkiem Acheronu. Skoro zatem Xaltotun jest człowiekiem ukazany na

monecie, jak też zarzeka się jego wysokość, to znaczy, że nie był on zwykłym czarownikiem, nawet w tamtym życiu, gdyż lata jego żywota liczone są w wiekach, nie tak, jak zlicza się życie innych ludzi.

Zanim Trocero zdołał odpowiedzieć, rozległo się pełne szacunku pukanie do drzwi i jakiś głos zawołał:

– Panie, schwytaliśmy człowieka kręcącego się po kryjomu wokół zamku, który mówi, iż pragnie mówić z twym gościem. Oczekuję twoich rozkazów.

– Jakiś szpieg z Aquilonii! – syknął Trocero, łapiąc za sztylet, ale Conan podniósł głos i zawołał:

– Otwórzcie drzwi i dajcie mi go ujrzeć.

Drzwi otwarto i ukazał się w nich jakiś człowiek trzymany mocno z obu stron przez srogo wyglądających zbrojnych. Był smukłym mężczyzną odzianym w czarną szatę z kapturem.

– Jesteś uczniem Asury? – spytał Cimmeryjczyk.

Tamten potaknął i tędy zbrojni, wyglądający na wstrząśniętych, zerknęli niezdecydowanie na Trocera.

– Z południa nadeszły wieści – powiedział ów człowiek. – Za Alimane nie możemy ci pomóc, gdyż nasza sekta nie sięga dalej ku południu, ale idzie ku wschodowi wraz z Khorotas. Tego wszak się dowiedziałem: ów złodziej, który wziął Serce Ahrimana od Tarascusa, nigdy nie dotarł do Kordawy. W górach Poitain został zabity przez rabusiów. Klejnot wpadł w ręce ich wodza, który, nie znając jego prawdziwej natury i ścigany po rozbiciu bandy przez poitainiańskich rycerzy, sprzedał go kothiańskiemu kupcowi Zorathusowi.

– Ha! – Pobudzony Conan zerwał się na nogi. – I co z tym

Zorathusem?

– Cztery dni temu z małą bandą uzbrojonych sług przekroczył Alimane, kierując się do Argos.

– Głupi jest, że przemierza Zingarę w takich czasach – rzekł Trocero.

– Tak jest, czasy za rzeką są niespokojne. Jednak Zorathus to człowiek śmiały i na swój sposób nierozważny. Spieszy mu się wielce, by dotrzeć do Messantii, gdzie ma nadzieję znaleźć kupca na klejnot. Być może liczy, iż ostatecznie sprzeda go w Stygii. Może domyśla się jego prawdziwej natury. W każdym razie, zamiast podążać długą drogą, która wije się wzdłuż granic Poitain, aż w końcu wchodzi do Argos, z dala od Messantii, ruszył wprost przez wschodnią Zingarę, obierając szlak krótszy i wiodący bezpośrednio do celu.

Conan trzasnął w stół zaciśniętą pięścią, tak że wielki blat zadygotał.

– Zatem, na Croma, w końcu los dał mi szczęśliwą kartę! Konia, Trocero, i zbroję Wolnego Towarzysza! Zorathus ma znaczną przewagę, ale nie na tyle dla mnie znaczną, bym go nie dogonił, nawet jeśli przyjdzie mi podążać jego śladem na kraniec świata!



XII

KIEŁ SMOKA



O świcie Conan przebył bród na Alimane i ruszył szerokim szlakiem karawan, który biegł ku południowemu wschodowi, a za nim, na drugim brzegu, na czele obleczonego w stal rycerzy, w milczeniu siedział na swym koniu Trocero ze szkarłatnym lampartem Poitain powiewającym mu nad głową długimi fałdami na porannym wietrzyku. Siedzieli tak w ciszy owi ciemnowłosi ludzie w błyszczącej stali, dopóki postać ich króla nie zniknęła w błękicie oddali, który rozjaśniał się wraz z nadchodzącym wschodem słońca.

Conan jechał na czarnym ogierze, darze Trocera. Nie nosił już pancerzy z Aquilonii. Jego zbroja czyniła z niego jednego z weteranów Wolnych Towarzystw, którzy wywodzili się ze

wszystkich ras. Nakrycie głowy stanowił niewyszukany morion, powgniatany i obity. Skóra i złożona z drobnych oczek siatka jego kolczej koszuli były zużyte i wyświecone, jak gdyby w wielu kampaniach, a szkarłatny płaszcz spływający niedbale z jego opancerzonych ramion był postrzępiony i poplamiony. Wyglądał odpowiednio jak na najemnego wojownika, który poznał wszelkie koleje losu, grabież i bogactwo jednego dnia, pustą sakiewkę i mocno zaciśnięty pas dnia następnego.

Nie tylko wyglądał, ale czuł się stosownie do sytuacji; przebudzone wspomnienia, ponowny napływ dzikich, szalonych, wspaniałych dawnych dni, zanim jego stopy stanęły na ścieżce ku władzy, kiedy jeszcze był włóczącym się najemnikiem, rozbijającym się awanturnikiem, pijącym na potęgę łowcą przygód, bez myślenia o kolejnym dniu i bez innych pragnień, wyjąwszy musujące piwo, czerwone usta oraz ostry miecz do wymachiwania na wszystkich polach bitew świata.

Nieświadomie powrócił do starych zwyczajów: w jego obejściu, w sposobie, w jaki siedział na koniu, widoczna stała się nowa buta; na wpół zapomniane przekleństwa spływały mu naturalnie na usta, a kiedy tak jechał, nucił dawne piosenki, które wcześniej ryczał chórem ze swymi brawurowymi towarzyszami w wielu tawernach, na wielu pylistych drogach bądź skrwawionych polach.

Niespokojna była ziemia, przez którą jechał. Kompanii kawalerii, jakie zazwyczaj patrolowały rzekę, czujnych wobec napaści z Poitain, nie było nigdzie widać. Konflikt wewnętrzny sprawił, że granice pozostały niestrzeżone. Długa biała droga rozciągała się opustoszała od horyzontu po horyzont. Obecnie nie poruszały się nią żadne karawany obładowanych wielbłądów ani turkoczące

wozy, ani ryczące stada, tylko sporadyczne grupy konnych w skórze i stali, mężczyzn o orlich rysach i twardym spojrzeniu, którzy trzymali się razem i jechali czujnie. Omiatali Conana badawczym wzrokiem, ale podążali dalej, gdyż zbroja samotnego jeźdźca obiecywała nie łupy, ale jedynie mocne, ciężkie ciosy.

Porzucone wsie leżały w popiołach, pola i pastwiska rozciągały się ugorem. Tylko najzuchwalsi jeździli po tych drogach w owych dniach, a ludność miejscowa została już wcześniej zdziesiątkowana w wojnach domowych oraz przez napaści z za rzeki. W czasach bardziej pokojowych szlak ten zatłoczony był kupcami jeżdzącymi z Poitain do Messantii w Argos lub z powrotem. Teraz jednak uznali oni, iż mądrzej podążać drogą, która wiodła na wschód przez Poitain, a potem zakręcała na południe przez Argos. Była ona dłuższa, lecz bezpieczniejsza. Tylko człowiek o nadzwyczajnej brawurze zaryzykowałby swe życie i towary, podróżując szlakiem przez Zingarę.

Nocą południowy widnokrąg obrębiały płomienie, a za dnia w górę wznosiły się rozproszone po nim kolumny dymu; w miastach i na równinach bardziej na południe ludzie umierali, trony zwalano, a zamki stawały w płomieniach. Conan poczuł w sobie dawną żyłkę zawodowego wojownika, aby zawrócić konia i pogrążyć się w walce, łupieniu i plądrowaniu, jak za dawnych dni. Po co mu trudzić się odzyskiwaniem władzy nad ludem, który już go zapomniał?... Po co ścigać błędne ognie, gonić za utraconą na zawsze koroną? Czemu nie miałby poszukać zapomnienia, zatracić się w czerwonych pływach wojen i rabunków, jakie niegdyś pochłaniały go tak często? Czy naprawdę nie potrafił stworzyć sobie nowego królestwa? Świat wkraczał w epokę żelaza, epokę

wojen oraz imperialistycznych ambicji; jakiś silny człowiek mógł doprawdy powstać nad upadłymi narodami jako najwyższy zdobywca. Dlaczego nie miałby być nim on sam? Tak szeptał mu do ucha znajomy diabeł, a upiory jego samowolnej i krwawej przeszłości dopadły go tłumnie. Nie zboczył jednak z obranej drogi; jechał dalej, brnąc w poszukiwaniach, które w miarę posuwania się naprzód stawały się coraz mniej jasne, aż niekiedy zdawało się, że ściga mrzonkę, jaka nigdy nie istniała.

Popędzał czarnego ogiera tak mocno, jak tylko mógł, ale długa biała droga przed nim była opustoszała od horyzontu po horyzont. Zorathus miał dużą przewagę czasu, lecz Conan jechał równym tempem naprzód, wiedząc, że podróżuje szybciej, niż może podróżować obładowany kupiec. I tak przybył do zamku hrabiego Valbroso, posadowionego niczym sępie gniazdo na nagim wzgórzu górującym nad szlakiem.

Valbroso zjeżdżał zeń ze swymi zbrojnymi – szczupły, ciemny człowiek o błyszczących oczach i drapieźnie dziobatym nosie. Miał na sobie zbroję płytową, a za sobą trzydziestu włóczników, jastrzębi z pogranicznych wojen o czarnych wąsach, równie pazernych i bezwzględnych jak on sam. Ostatnio myto od karawan było liche i Valbroso przeklinał wojny domowe, które odarły drogi z obfitego ruchu, mimo że błogosławił je za wolną rękę, z jaką pozwalały mu poczynać sobie z sąsiadami.

Nie liczył na wiele od pojedynczego jeźdźca, którego dostrzegł ze swej wieży, ale jego żarna mełły wszelkie ziarno. Wprawnym okiem otaksował zużytą kolczugę oraz ciemną, poznaczoną bliznami twarz Conana i jego wnioski były takie same jak jeźdźców, którzy mijali Cimmeryjczyka po drodze – pusta sakiewka i ohotne ostrze.

– Kim jesteś, kanalio? – zapytał.

– Najemnikiem jadącym do Argos – odrzekł Cimmeryjczyk. – Jakież znaczenie mają imiona?

– Jedziesz w kierunku złym dla Wolnego Towarzysza – prychnął Valbroso. – Na południu walki jest dość, a także łupów. Przyłącz się do mnie. Nie będziesz chodził głodny. Droga pozbawiona jest opasłych kupców do obłupienia, ale zamierzam zabrać mych łotrów i powędrować ku południu, żeby sprzedać nasze miecze którejkolwiek stronie, która wyda się najmocniejsza.

Conan nie odpowiedział od razu, wiedząc, iż gdyby stanowczo odmówił, zostałby natychmiast zaatakowany przez zbrojnych Valbroso. Zanim zdołał się zdecydować, Zingarańczyk przemówił ponownie:

– Wy, łotry z Wolnych Towarzystw, zawsze znacie sztuczki, jak skłonić ludzi do mówienia. Mam pewnego więźnia... ostatniego kupca, jakiego schwytałem, i, na Mitrę, jedyne, jakiego widziałem od tygodnia... i jest, kanalia, uparty. Ma żelazną szkatułkę, której tajemnica nas korci, a ja okazałem się niezdolny do przekonania go, by ją otworzył. Na Ishtar, myślałem, że znam wszelkie sposoby perswazji, jakie istnieją, ale może ty, jako weteran z Wolnych Towarzystw, znasz jakieś, których nie znam ja. W każdym razie jedź ze mną i zobacz, co możesz zrobić.

Słowa Valbroso błyskawicznie rozstrzygnęły wątpliwości Conana. Brzmiało to w znacznej mierze tak, jakby mówił o Zorathusie. Cimmeryjczyk nie znał owego kupca, ale każdy, kto był dość uparty, aby spróbować przemierzyć Zingarę w czasach takich jak te, byłby prawdopodobnie dość uparty, żeby opierać się torturom.

Conan zajął miejsce u boku Valbroso i wjechał wijącą się drogą na szczyt wzgórza, gdzie stał ponury zamek. Jako zbrojny powinien jechać za hrabią, lecz siła przyzwyczajenia uczyniła go nieostrożnym, a Valbroso nie zwrócił na to uwagi. Lata życia na pograniczu nauczyły hrabiego, że granica to nie dwór królewski. Był świadom niezależności najemników, za których mieczami wielu już królów wydeptało sobie drogę na tron.

Była tam sucha fosa, w paru miejscach na wpół wypełniona gruzem i śmieciami. Zastukotali na moście zwodzonym i przejechali pod sklepieniem bramy. Za ich plecami z posępnym brzękiem opadła krata. Wjechali na odsłonięty dziedziniec zarośnięty zmierzwioną trawą, ze studnią pośrodku. Szopy dla zbrojnych porozrzucane były po przymurzu, a przez drzwi wyglądały kobiety, zaniedbane albo wypacykowane z pozbawioną smaku elegancją. Pod arkadami wojownicy w pordzewiałych zbrojach rzucali kośćmi po kamiennej podłodze. Było tu bardziej jak w warowni bandytów niż na zamku nobila.

Valbroso zsiadł z konia i skinął na Conana, by podążył za nim. Przeszli przez drzwi i długim, sklepionym łukowo korytarzem, gdzie spotkali pokrytego bliznami człowieka w zbroi, o twardym wyglądzie, który schodził po kamiennych schodach – w sposób oczywisty dowódcę straży.

– I jak, Beloso? – odezwał się Valbroso. – Przemówił?

– Jest uparty – mruknął Beloso, obrzucając Cimmeryjczyka spojrzeniem pełnym podejrzliwości.

Hrabia wybuchnął przekleństwem i gniewnie wkroczył na wiodące w górę kręte schody, z Conanem i dowódcą idącymi za nim. Kiedy wspięli się na górę, słyszalne stały się jęki człowieka w

agonii. Izba tortur Valbroso zamiast w lochach poniżej dziedzińca znajdowała się wysoko ponad nim. W owej komorze, gdzie chuda, włochata ludzka bestia w skórzanych spodniach, przykucnąwszy, ogryzała żarłocznie wołowy udziec, stały maszyny tortur – stoły do rozciągania, żelazne buty, haki i wszelkie przyrządy, jakie ludzki umysł obmyślił do rozrywania ciała, łamania kości, wyrywania i zrywania żył oraz ścięgien.

Na stole rozciągnięto nagiego mężczyznę i jedno spojrzenie powiedziało Conanowi, że umiera. Nienaturalne wydłużenie jego członków oraz tułowia świadczyło o powyrywanych stawach i zerwaniu innych, niewidocznych organów. Był człowiekiem ciemnym, o inteligentnej, drapieżnej twarzy i bystrych ciemnych oczach. Stały się one teraz szkliste i przekrwione od bólu, a na twarzy lśnił pot zrodzony udręką. Z odciągniętych warg wyzierały poczerniałe dziąsła.

– To jest ta skrzynka. – Valbroso kopnął zajadle małą, lecz ciężką żelazną szkatułkę, która stała niedaleko na podłodze. Była misternie rzeźbiona w maleńkie czaszki i niesamowicie posplatane, wijące się smoki, lecz Conan nie dostrzegł żadnego zamka ani zasuwki, jakie mogłyby posłużyć do otwarcia wieka. Widniejące na niej ślady od ognia i topora, młota i dłuta były ledwie ryskami. – To jest skrzynka skarbów tego psa – rzekł hrabia ze złością. – Wszyscy ludzie południa wiedzą o Zorathusie i jego żelaznej szkatułce. Tylko Mitra wie, co jest wewnątrz. Ale on nie wyjawia jej tajemnicy.

Zorathus! Zatem to prawda – człowiek, którego poszukiwał, leżał przed nim. Serce Conana kołatało, niemal go dławiając, kiedy pochylał się nad powykręcaną postacią, choć nie okazał żadnych śladów trawiącej go boleśnie żądz.

– Rozluźnij te liny, kanalio! – nakazał srogo katu, a Valbroso i jego dowódca zapatrzyli się na niego. Niesiony chwilą Conan, zapomniawszy się, użył władczego tonu, a brutal w skórze instynktownie usłuchał rozkazu wydanego ostrym niby nóż głosem. Luzował stopniowo, gdyż inaczej zwolnienie lin stanowiłoby dla wyrwanych stawów udrękę równie wielką jak dalsze rozciąganie.

Porwawszy stojące w pobliżu naczynie z winem, Conan przysunął jego krawędź do ust nieszczęśnika. Zorathus przełykał spazmatycznie, a trunek oblewał unoszącą się z trudem pierś.

W nabiegłych krwią oczach pojawił się przebłysk świadomości, a umazane pianą usta się rozwarły. Z nich to dobył się udręczony jęk w mowie kothiańskiej:

– A więc to już śmierć? Czy ta długa męka dobiegła końca? Oto bowiem jest król Conan, co zginął nad Valkią, a ja jestem pośród martwych.

– Nie jesteś martwy – stwierdził Conan. – Ale umierasz. Nie będziesz już dalej torturowany. Dopilnuję tego. Ale więcej dopomóc ci nie mogę. Jednak zanim umrzesz, powiedz mi, jak otworzyć twoją żelazną skrzynkę!

– Moja żelazna skrzynka – wybełkotał półświadom Zorathus rwanymi słowami. – Szkatułkę tę wykuto w przeklętym ogniu pośród ognistych gór Khroshy z metalu, jakiego nie przebije żaden przecinak. Ile to skarbów przeniosła wzdłuż i wszerz świata! Ale żaden nie był taki jak ten, który teraz skrywa.

– Powiedz, jak ją otworzyć – ponaglał Conan. – Tobie już się nie przyda, a mnie może pomóc.

– Tak jest, ty jesteś Conan – wymamrotał Kothianin. – Widziałem

cię, jak siedziałeś na swym tronie w wielkiej sali audiencyjnej Tarantii w koronie na głowie i z berłem w ręce. Ale ty nie żyjesz, zginąłeś nad Valkią. I stąd wiem, że mój koniec jest na wyciągnięcie ręki.

– Co mówi ten pies? – dopytywał niecierpliwie Valbroso, nierozumiejący kothiańskiego. – Powie nam, jak otworzyć tę skrzynkę?

I jakby ten głos rozniecił iskrę życia w powykręcanej piersi, Zorathus przewrócił swymi przekrwionymi oczami w stronę mówiącego.

– Tylko Valbroso powiem – wydyszał w zingarańskim. – Śmierć wisi nade mną. Schyl się blisko mnie, Valbroso!

I hrabia tak uczynił; ciemną twarz rozświetlała mu bezdenna chciwość. Za nim jego ponury dowódca Beloso przysunął się bliżej.

– Naciśnij siedem czaszek na krawędzi, jedną po drugiej – wykrztusił Zorathus. – Potem przyciśnij łeb smoka, który wiję się po pokrywie. A wówczas kulę w pazurach smoka. To zwolni tajemny zatrzask.

– Prędko, skrzynkę! – krzyknął Valbroso, nadto przeklinając.

Conan podniósł ją i postawił na podwyższeniu, a Valbroso odsunął go ramieniem na bok.

– Daj mnie ją otworzyć! – krzyknął Beloso, ruszając naprzód.

Valbroso zatrzymał go przekleństwem, zachłanność płonęła mu w oczach.

– Nie otworzy jej nikt poza mną! – krzyknął.

Conan, którego dłoń instynktownie przesunęła się ku rękojeści miecza, zerknął na Zorathusa. Jego oczy były szkliste i nabiegłe krwią, ale ich spojrzenie utkwione w Valbroście z płomiennym

nateżeniem; czy to cień złowieszczego uśmiechu wykrzywił usta konającego? Kupiec nie wyjawiał tajemnicy, zanim pojął, że umiera. Cimmeryjczyk odwrócił się, by obserwować Valbroso podobnie jak konający.

Siedem czaszek na krawędzi wieka wyrzeźbiono pośród splątanych gałęzi dziwnych drzew. Inkrustowany smok wił się poprzez szczyt pokrywy między kunsztownymi arabeskami. Valbroso dusił czaszki, macając je w pośpiechu, a kiedy przycisnął kciuk do rzeźbionej głowy smoka, zaklął i poderwał dłoń, potrząsając nią z irytacją.

– Jakaś ostra końcówka rzeźbienia – warknął. – Nakłułem sobie palec.

Potem przycisnął złotą kulę zaciśniętą w smoczych pazurach i wieko raptownie odskoczyło do góry. Oczy wszystkich oślepił złocisty płomień. Ich oszołomionym umysłem zdało się, że rzeźbiona skrzynka pełna jest jaśniejącego ognia, który przelewa się przez jej krawędzie i skapuje w przestrzeń dookoła w drżących płomykach. Beloso zakrzyknął, a Valbroso nabrał z sykiem tchu. Conan stał bez słowa usidlony przez ów blask.

– Mitro, co za klejnot! – Ręka Valbroso zanurkowała w szkatułce, by wysunąć się z wielką, pulsującą szkarłatną kulą, która wypełniła pomieszczenie łagodną poświatą. W jej świetle Valbroso wyglądał jak trup. A umierający człowiek w poluzowanych sznurach na katowskim stole roześmiał się nagle dziko.

– Głupcze! – wrzasnął. – Klejnot jest twój! Wraz z nim dałem ci śmierć! Zadrapanie na twym kciuku... Przypatrz się smoczemu łbu, Valbroso!

Wszyscy odwrócili się, by spojrzeć. Coś maleńkiego i lśniącego

matowo wystawało z rozwartej rzeźbionej paszczy.

– Smoczy kiel! – Zaskrzeczał Zorathus. – Unurzany w jadzie czarnego skorpiona stygijskiego! Głupcze, głupiś, żeś otwierał skrzynkę Zorathusa gołymi rękami! Śmierć! Już jesteś martwy!

I z krwawą pianą na ustach umarł.

Valbroso zatoczył się, wykrzykując:

– Ach, Mitro, płonę! Płynny ogień toczy me żyły! Stawy rozrywa mi na kawałki! Śmierć! Śmierć! – I skręciwszy się, padł z hukiem na podłogę. Nastąpiła chwila okropnych konwulsji, podczas których jego członki powykręcały się w odrażających i nienaturalnych pozycjach, a potem w takiej pozie zamarł z zaszklonymi oczami, patrzącymi niewidzącym wzrokiem w górę, i wargami odciągniętymi z poczerniałych dziąseł.

– Martwy! – mruknął Conan, schylając się, by podnieść klejnot z miejsca, dokąd wytoczył się z zeszywniałej ręki Valbroso. Leżał na podłodze niczym drżąca kałuża blasku zachodzącego słońca.

– Martwy! – mruknął Beloso z obłędem w oczach. A potem ruszył.

Mając oczy zaślepione, a rozum oszołomiony blaskiem wielkiego kamienia, Cimmeryjczyk dał się zaskoczyć. Nie zdawał sobie sprawy z zamiarów Belosa, dopóki coś nie trzasnęło ze straszliwą mocą w hełm. Od tego ciosu światłość klejnotu zbryzgał jeszcze czerwienią płomień, a on padł na kolana.

Posłyszał pęd stóp i niemal bawoli, gardłowy ryk agonii. Był ogłuszony, ale nie całkiem pozbawiony zmysłów, i pojął, że Beloso porwał żelazną skrzynkę, którą trzasnął go w głowę, kiedy się schylił. Czaszkę ocalił mu tylko basinet. Powstał chwiejnie, wyciągając miecz i próbując strząsnąć z oczu przyćmiewającą

wzrok mgłą. Izba falowała pod jego oszołomionym spojrzeniem. Drzwi były wszak otwarte, a odgłosy spiesznych kroków zanikały na kręconych schodach. Na podłodze brutalny kat właśnie oddawał ducha rozplątany głęboko tuż pod pierśią. I Serce Ahrimana zniknęło.

Conan wytoczył się z komory z mieczem w dłoni i krwią spływającą po twarzy spod burgonety. Niczym pijany zbiegł po schodach, słysząc na dziedzińcu poniżej brzęk stali, wołania, a później gorączkowy stukot kopyt. Wypadłszy na przymurze, ujrzał zbrojnych, którzy kręcili się bezładnie dookoła, podczas gdy kobiety piszczwały. Brama boczna stała otworem, a żołnierz przy niej leżał w poprzek na swej pice z rozłupaną głową. Konie, wciąż osiodłane i w uprzęży, z czarnym ogierem Conana pośród, hasały, rżąc, wokół dziedzińca.

– On oszalał! – zaskowyczała kobieta, załamując ręce i biegając bezmyślnie dookoła. – Wyskoczył z zamku niczym wściekły pies, rąbiąc na prawo i lewo! Beloso oszalał! Gdzie pan Valbroso?!

– W którą stronę pojechał? – ryknął Conan.

Wszyscy się odwrócili i spojrzeli na splamioną krwią twarz i obnażony miecz przybysza.

– Bocznym wyjściem! – wrzasnęła przeraźliwie kobieta, wskazując ku wschodowi, a kto inny krzyknął gardłowo:

– Co to za łotr?!

– Beloso zabił Valbroso! – zawył Conan, skacząc i chwytając grzywę swego ogiera, kiedy zbrojni ruszyli niepewnie na niego. Na tę wieść buchnęli dzikim wrzaskiem, lecz ich reakcja była dokładnie taka, jak przewidywał. Zamiast zamykać bramę, aby uczynić go więźniem, albo ruszyć w pościg za zabójcą, żeby pomścić swego

pana, za sprawą jego słów doznali jeszcze głębszego zamętu. Wilki związane razem tylko przez strach przed Valbrosem, nie czuli się obowiązani do lojalności wobec zamku ani siebie nawzajem.

Na dziedzińcu szczęknęły miecze, a kobiety wrzasnęły. I pośrodku tego wszystkiego nikt nie zauważył Conana, który wystrzelił przez boczną bramę i pognał jak błyskawica w dół wzgórza. Przed nim rozciągała się szeroka równina, a za wzgórzem szlak karawan się rozwidłał: jedno odgałęzienie biegło na południe, drugie na wschód. I to na drodze wschodniej ujrzał kolejnego jeźdźcę, pochylonego nisko i pracującego mocno ostrogami. Równina zakołysała się przed oczyma Conana, słoneczne światło stało się gęstą czerwoną mgłą, a on zachwiał się w siodle, łapiąc ręką powiewającą grzywę. Krew lała się strumieniem po jego pancerzu, lecz nieubłaganie ponaglał swego ogiera.

Za jego plecami z zamku na wzgórzu, gdzie ciało hrabiego leżało zapomniane obok jego więźnia, nie zwracając niczyjej uwagi, zaczął się wyłaniać dym. Słońce zachodziło; na tle jaskrawoczerwonego nieba pędziły dwie czarne sylwetki.

Ogier nie był wypoczęty, ale nie był taki również koń, którym jechał Beloso. Niemniej wielkie zwierzę zareagowało z mocą, odwołując się do najgłębszych zasobów swojej żywotności. Dociekaniem, dlaczego Zingarańczyk ucieka przed jednym ścigającym, Conan nie obciążał swego potłuczonego mózgu. Być może Belosa poganiała bezrozumna panika zrodzona z szaleństwa, jakie majaczyło w błyszczącym klejnocie. Słońce zniknęło; biała droga stała się niewyraźnym przebłyskiem pośród zmierzchu niknącego w purpurowym mroku daleko przed nim.



Ogier sapał, mozoląc się ciężko. We wzbierającym zmroku okolica się zmieniała. Odsłonięte równiny ustąpiły miejsca kępom dębów i olszy. W oddali wznosiły się niskie wzgórza. Zaczęły migotać gwiazdy. Ogier dyszał, jego krok stał się chwiejny, nierówny. Ale z przodu pojawił się gęsty las, który rozciągał się do wzgórz na horyzoncie, i przed tym lasem Conan dostrzegł niewyraźną postać uciekiniera. Ponaglił jeszcze zboląłego ogiera,

gdyż widział, że jard za jardem dogania swoją ofiarę. Ponad łomot kopyt z mroku wzniósł się dziwny krzyk, ale ani ścigający, ani ścigany nie zwrócili nań uwagi.

Kiedy wpadli pod gałęzie przewieszane nad drogą, byli niemal bok w bok. Na ustach Conana zrodził się dziki krzyk, a jego miecz poszedł w górę. Błady owal twarzy odwrócony był w jego stronę, w na wpół widzialnej dłoni błysnęła broń i Beloso odwzajemnił okrzyk... Wtem zmęczony ogier, zmyliwszy w ciemnościach krok, pochylił się z rzeniem i padł na łeb na szyję, wysadzając z siodła oszołomionego jeźdźca. Pulsująca bólem głowa Conana trzasnęła o kamień i gwiazdy rozmyły się w gęstwinie nocy.

Jak długo leżał bez zmysłów, tego Conan nie wiedział. Pierwszym odczuciem powracającej świadomości było to, iż jest ciągnięty za rękę po nierównej i kamienistej ziemi oraz przez gęste poszycie. Potem rzucono go niedbale i być może ten wstrząs przywrócił mu przytomność.

Jego hełm zniknął, głowa bolała okrutnie, czuł fale mdłości, a wśród czarnych pukli jego włosów znalazł się gruby skrzep krwi. Jednak za sprawą witalności dzikiego stworzenia życie i przytomność napływały doń na powrót, aż stał się świadom otoczenia.

Przez drzewa prześwitywał wielki czerwony księżyc, dzięki czemu pojął, że jest już daleko po północy. Leżał nieprzytomny wiele godzin, dość długo, by przyjść do siebie po straszliwym ciosie, jaki zadał mu Beloso, jak również po upadku, który pozbawił go zmysłów. Umysł miał teraz bardziej przejrzysty aniżeli podczas szaleńczej jazdy za zbiegiem.

Kiedy otoczenie poczęło wpisywać się w jego percepcję,

otrząsnąwszy się ze zdumienia, zauważył, iż nie leży obok białej drogi. Nie było jej nigdzie w zasięgu wzroku. Spoczywał na poroślej trawą ziemi, w małej przecince otoczonej ścianą z pni drzew i splątanych gałęzi. Przemieściwszy się, rozejrzał się dookoła. I wtem drgnął gwałtownie – coś przysiadło obok niego...

Z początku Conan zwątpił w swą przytomność, pomyślał, że to wytwór majaczenia. Na pewno nie mogło to być nic rzeczywistego, ów dziwny, nieruchomy, szary stwór siedzący w kucki i przypatrujący się mu bez przerwy rozwartymi bezdusznymi oczami.

Conan leżał z utkwionym weń wzrokiem, po części oczekując, że zniknie niczym postać ze snu, i wtem po grzbiecie spelzł mu chłód przywołanej pamięci. Napłynęły z powrotem na wpół zapomniane wspomnienia szeptanych straszliwych opowieści o postaciach, jakie nawiedzały te niezamieszkane puszcze u wzgórz, które wyznaczają granicę zingarańsko-argosseańską [sic!]. Zwano je *ghulami*, pożeraczami ludzkiego mięsa, pomiotem ciemności, dziećmi przekłętęgo związku zaginionej i zapomnianej rasy z demonami podziemi. Szeptano, iż gdzieś w tych pierwotnych lasach tkwią ruiny pradawnego, przekłętęgo miasta, a pomiędzy jego grobowcami skradają się szare antropomorficzne cienie... Conan wzdrygnął się potężnie.

Leżał, wpatrując się w nieforemny łeb, jaki wznosił się nad nim niewyraźnie, i ostrożnie wyciągnął rękę w kierunku miecza u pasa. Z przeraźliwym krzykiem, na który człowiek odpowiedział bezwiednie, potwór skoczył mu do gardła.

Conan wyrzucił w górę prawe ramię i podobne do psich szczęki zamknęły się na nim, wgniatając nity kolczugi w twarde ciało.

Nieporadne, ale jakby ludzkie łapy spróbowały zacisnąć mu się na szyi, ale Cimmeryczyk uchylił się przed nimi, wykonując unik i przetaczając całym ciałem, a w tym samym czasie wyciągając lewą ręką swój sztylet.

Przetaczali się po trawie w nieskończoność, zadając ciężkie ciosy i rozrywając. Mięśnie zawężłone pod szarą, jakby trupa skórą były sprężyste i twarde niczym stalowe druty, przerastając siłą człowieka. Jednak mięśnie i ścięgna Conana były także ze stali, a jego kolczuga chroniła przed kłapiącymi kłami oraz rwącymi pazurami dość długo, by jego sztylet sięgnął celu – raz, drugi i jeszcze raz. Straszliwa żywotność owej na wpół ludzkiej potworności zdawała się niewyczerpana, a skóra króla cierpła pod dotykiem jej gładkiego, lepkiego ciała. Cały swój wstręt i dzikie obrzydzenie wkładał w dźgnięcia ostrza i nagle, kiedy sztych odnalazł straszliwe serce, potwór poderwał się pod nim konwulsyjnie i zaległ nieruchomo.

Cimmeryczyk wstał, wstrząsany torsjami. Stał niepewnie pośrodku przecinki z mieczem w jednej i sztyletem w drugiej ręce. Nie stracił swego instynktownego poczucia kierunku, o ile chodziło o wyznaczenie stron świata, jednak nie wiedział, gdzie znajduje się droga. Nie sposób było dowiedzieć się, w którą stronę zaciągnął go ghul. Wodził złym okiem po cichym, czarnym, nakrapianym światłem księżycy lesie i czuł, jak zimna wilgoć występuje mu na ciele. Był bez konia, zagubiony w tym nawiedzonym borze, a ów nieustannie gapiący się zdeformowany stwór u jego stóp stanowił niemy dowód grozy, jaka się czaiła w puszczy. Stał, wstrzymując oddechomalże do granic bólu, nadstawiając ucha na jakiś trzask gałązki albo szelest trawy.

Kiedy dobiegł go jakiś odgłos, drgnął gwałtownie. Nagle nocne powietrze przecięło rzenie przerażonego konia. Jego ogier! W tym lesie były pantery... albo... Ghule pożerały zwierzęta równie chętnie jak ludzi.

Rzucił się dziko przez gęste zarośla w kierunku dźwięku, gwizdząc ostro podczas biegu; strach utonął we wściekłości bojowego szafu. Gdyby jego koń został zabity, przepadłaby ostatnia szansa podążenia za Belosem i odzyskania klejnotu. Ogier ponownie zarżał ze strachem i złością, gdzieś bliżej. Rozległ się odgłos wierzgających kopyt i coś, co zostało mocno trafione, ustąpiło.

Conan wypadł na szeroką białą drogę bez ostrzeżenia i ujrzał ogiera, który z położonymi po sobie uszami, błyskając złowrogo ślepiami i zębami, pochylał się albo stawał dęba. Wierzgał kopytami w czyhający cień, który to przysiadł, to podskakiwał wokół niego... I wówczas dookoła Conana poruszyły się inne cienie – szare, skradające się cienie, które osaczyły go ze wszystkich stron. Ohydna woń arkosoliów rozeszła się w nocnym powietrzu.

Król z przekleństwem zaczął rąbać na prawo i lewo swym szerokim mieczem, dźgać i rozpruwać sztyletem. Ociekające kły błyskały w świetle księżyca, wstrętne łapy go chwyciły, ale wysiekł sobie drogę do ogiera, pochwyił wodze i wskoczył na siodło. Jego miecz wznosił się i opadał mroźnym łukiem pod księżycem, rozsiewając deszcz krwi, gdy rozszczepiał niekształtne łby i przecinał nieporadne ciała. Ogier stawał dęba, gryząc i kopiąc. Przebili się niczym błyskawica i popędzili dalej drogą. Przez krótką chwilę posuwali się otoczeni z obu stron odrażającymi cieniami. Potem zostały one z tyłu, a Cimmeryjczyk, wjechawszy na

zalesiony szczyt, ujrzał rozległą połąć nagich stoków ciągnących się przed nim w górę i hen w dal.



XIII

„DUCH Z PRZESZŁOŚCI”



Niedługo po wschodzie słońca Conan przekroczył granicę argosseąską. Po Belosie nie widział ani śladu. Albo dowódca uciekł na dobre, podczas gdy król leżał pozbawiony zmysłów, albo też padł ofiarą ponurych ludożerców z zingarańskiej puszczy. Niemniej Cimmeryjczyk nie dostrzegł żadnych oznak wskazujących na tę drugą możliwość. Sam fakt, że przeleżał nienapastowany tak długo, zdawał się wskazywać, iż owe potwory zaabsorbowane były bezskutecznym pościgiem za dowódcą. A jeśli ten żył, Conan był przekonany, iż jedzie tą drogą gdzieś przed nim. Gdyby nie planował dotrzeć do Argos, przede wszystkim nie obrałby drogi ku wschodowi.

Ubrani w hełmy strażnicy na granicy nie wypytywali Cimmeryjczyka. Pojedynczo wędrujący najemnik nie potrzebował

ani zezwolenia, ani glejtu, zwłaszcza gdy jego pozbawiona ozdób zbroja wskazywała, że nie jest na służbie żadnego pana. Jechał poprzez niskie, trawiaste wzgórza, gdzie szemrały strumyki, a dębowe zagajniki znaczyły murawę plamami światła i mroku; podążał długą drogą, która wznosiła się i opadała daleko przed nim pośród dolin i wzniesień w błękitnej dali. Starą był, bardzo starą drogą ten szlak z Poitain do morza.

W Argos panował pokój. Obładowane wiejskie wozy ciągnięte przez woły turkotały na drodze, a ludzie o nagich, brązowych i silnych ramionach trudzili się w sadach i na polach, jakie kraśniały już od przydrożnych drzew. Starcy na siedziskach przed gospodami pod rozłożystymi gałęziami dębów pozdrawiali wędrowca nawoływaniem.

U ludzi, którzy pracowali na polach, u gadatliwych starców w gospodach, gdzie gasił swe pragnienie wielkimi skórzanymi kubłami spienionego piwa, u odzianych w jedwab kupców o bystrym spojrzeniu, jakich spotykał w drodze, poszukiwał Conan wieści o Belosie.

Historie były sprzeczne, ale dowiedział się z nich tyle, że chudy, żyłasty Zingarańczyk o niebezpiecznych czarnych oczach i wąsach w typie ludów zachodnich znajdował się gdzieś na drodze przed nim, najwyraźniej usilnie zmierzając ku Messantii. To był logiczny cel; każdy port morski Argos, w silnym przeciwieństwie do prowincji śródlądowych, był kosmopolityczny, a Messantia była najbardziej wielojęzycznym ze wszystkich. Do jej zatoki wpływały statki wszystkich morskich narodów, gromadzili się też tam uchodźcy i zbiegowie z wielu krajów. Prawo nie było rygorystyczne, gdyż Messantia prosperowała dzięki morskiemu

handlowi i jej obywatele uznali, że korzystniej jest niejako zaniewidzieć przy interesach z marynarzami. Nie tylko legalne towary wpływały bowiem do Messantii; swoją rolę odgrywali też przemytnicy i bukanierzy. Wszystko to Conan znał dobrze, bo czy w dawnych dniach, kiedy był barachańskim piratem, nie wchodził nocą do portu Messantii, by rozładować dziwne ładunki? Większość piratów z Wysp Barachańskich – małych wysepek na południowy zachód od wybrzeży Zingary – stanowili argosseańscy żeglarze i tak długo, jak ograniczali oni swe zainteresowanie do flot innych narodów, władze Argos nie były zanadto srogie w swojej wykładni prawa morskiego.

Wszelako niegdysiejsze zajęcia Conana nie ograniczały się do tych z Barachańczykami. Pływał także z zingarańskimi bukanierami, a nawet z owymi dzikimi czarnymi korsarzami, jacy nadpływali z dalekiego południa, by nękać północne wybrzeża, a to stawiało go poza dopuszczalnymi normami jakiegokolwiek prawa. Gdyby został rozpoznany w którymkolwiek z portów Argos, kosztowałoby go to głowę. Bez wahania jednak jechał do Messantii, zatrzymując się dniem bądź nocą tylko po to, aby dać odpocząć ogierowi i samemu złapać nieco zmrużenia oczu.

Wjechał do miasta nienagabywany, mieszając się z tłumami, jakie nieustannie wlewały się i wylewały z jego wielkiego centrum targowego. Messantii nie otaczały żadne mury. Tego wielkiego południowego miasta handlowego strzegły morze i morskie okręty.

Nastał wieczór, kiedy Conan wjechał z wolna na ulice schodzące ku nabrzeżom. Na ich krańcach ujrzał keje, maszty oraz żagle statków. Po raz pierwszy od lat poczuł morską wodę, posłyszał monotonne skrzypienie olinowania i trzeszczenie drzewc

takielunku powodowane bryzą, która nagaśniała białe grzywacze poza główkami portu. Jego sercem ponownie szarpnął przemożny pociąg do dalekich wędrówek.

Ale on nie zjechał na keje. Ściągnął wodze w bok i wjechał stromym przejściem z szerokich, wydeptanych kamiennych schodów na obszerną ulicę, gdzie zdobne białe rezydencje wyglądały ku nabrzeżu i portowi poniżej. Tu zamieszkiwali ludzie, którzy wzbogacili się na trudnej do pozyskania obfitości morza – kilku starych kapitanów, którzy znaleźli skarby gdzieś w oddali, wielu kupców i handlowców, którzy nigdy nie stąpali po gołym deku ani nie zaznali ryku burzy czy morskiej walki.

Conan skierował swego konia ku pewnej okutej złotem bramie i wjechał na podwórze, gdzie szemrała fontanna, a gołębie łopotały skrzydłami, przelatując z marmurowego szczytu murów na marmurowe płyty posadzki. Naprzeciw wyszedł mu usłużnie dociekliwy pacholek w jedwabnej jace o ząbkowanym wykończeniu i w pludrach. Kupcy z Messantii mieli do czynienia z wieloma osobliwymi i twardymi postaciami, lecz większość z nich pachniała morzem. Dziwne było, że prosty najemny żołnierz tak swobodnie wjeżdża na podwórze powszechnie szanowanego handlarza.



– Czy mieszka tu kupiec Publio? – Było to bardziej stwierdzenie niż pytanie i coś w tonie jego głosu sprawiło, iż pacholek, ściągający swój ozdobiony piórami chaperon, ukłonił się i odparł:

– Tak jest, w rzeczy samej, panie dowódco.

Conan zsiadł z konia, a pacholek wezwał sługę, który przybiegł, by odebrać lejce ogiera.

– Czy twój pan jest w środku? – Conan ściągnął swe pancerne rękawice i, oklepując się, strzepał kurz drogi z płaszcza i kolczugi.

– Tak jest, panie dowódco. Kogo mam zapowiedzieć?

– Sam się zapowiem – burknął Conan. – Znam drogę wystarczająco dobrze. Ty zostań tutaj.

I tak, usłuchawszy owego stanowczego polecenia, pacholek stał nieruchomo, patrząc w ślad za Cimmeryjczykiem, gdy ten wspinał się po krótkim podejściu z marmurowych stopni, i zastanawiając się nad tym, jakie powiązania jego pan mógł mieć z tym olbrzymim wojownikiem, który miał wygląd północnego barbarzyńcy.

Pracujący w domu wstrzymywali swe zadania i gapili się z rozwartymi ustami, kiedy Conan, przemierzywszy szeroki, chłodny balkon wychodzący na podwórze, wkroczył na obszerny korytarz omiatany morską bryzą. W jego połowie postłyszał skrzypienie pióra i skręcił do przestronnego pomieszczenia, którego wiele szerokich otworów okiennych wychodziło na port.

Publio siedział przy rzeźbionym biurku z drewna tekowego, pisząc złotym piórem na drogim pergaminie. Był mężczyzną niskim, o masywnej głowie i czujnych ciemnych oczach. Jego jedwabną szatę wykonano z najznakomitszej mory lamowanej złotogłowie, a z tłustej białej szyi zwisał ciężki złoty łańcuch.

Kiedy Conan wszedł, kupiec podniósł wzrok, machając ręką z rozdrażnieniem. Zastygł w połowie tego gestu. Otworzył usta i zapatrzył się jakby w ducha z przeszłości. W wielkich oczach zamigotały mu niedowierzanie i strach.

– No co – rzekł Conan – nie masz dla mnie ani słowa powitania, Publio?

Publio zwilżył usta.

– Conan! – wyszeptał z niedowierzaniem. – Mitro! Conan! *Amra!*

– Któż by inny? – Cimmeryjczyk rozpiął płaszcz i rzucił go razem z rękawicami na biurko. – I jak, człowieku? – wykrzyknął rozdrażniony. – Nie możesz zaproponować mi przynajmniej pucharu wina? Gardło skleił mi kurz gościńca.

– Tak jest, wino! – powtórzył Publio machinalnie. Bezwiednie sięgnął do gongu, wtem szybko cofnął rękę jak od gorącego węgla i się wzdrygnął.

Podczas gdy Conan obserwował go z iskrą posępnego rozbawienia w oczach, kupiec wstał i pospiesznie zamknął drzwi, wyciągnąwszy szyję w jedną i drugą stronę korytarza, żeby się przekonać, czy żaden niewolnik nie kręci się w okolicy. Potem wrócił, wziął złoty dzbanek z winem z pobliskiego stołu i już miał napełnić nim smukły puchar, kiedy Cimmeryjczyk odebrał mu naczynie ze zniecierpliwieniem i unosząc je oburącz, zaczął pić z zapalem wielkimi łykami.

– Tak jest, to Conan, z całą pewnością – wymamrotał Publio. – Człowieku, czyś ty oszalał?

– Na Croma, Publio – rzekł Conan, opuszczając dzbanek, lecz nie tracąc go z rąk – mieszkasz w innych kwaterach niż za dawnych czasów. Potrzeba argosseńskiego kupca, by wycisnąć bogactwo z małego nadbrzeżnego sklepiku, który cuchnął zgniłą rybą i tanim winem.

– Dawne dni przeminęły – wymamrotał Publio, zaciągając szatę wokół siebie z lekkim mimowolnym dreszczem. – Porzuciłem przeszłość jak znoszony płaszcz.

– Dobra – odciął mu się Conan – *mnie* nie możesz porzucić jak stary płaszcz. Niewiele od ciebie chcę, ale tego chcę naprawdę. A ty

nie możesz mi odmówić. Za dawnych dni zbyt wiele mieliśmy wspólnego. Czyż jestem takim głupcem, co pozostaje nieświadom, iż ta ładna rezydencja została zbudowana na moim pocie i krwi? Ile ładunków z moich galer przeszło przez twój sklep?

– W tym czy innym czasie wszyscy kupcy z Messantii mieli do czynienia z morskimi rozbójnikami – wybełkotał zdenerwowany Publio.

– Ale nie z czarnymi korsarzami – powiedział surowo Conan.

– Na litość Mitry, bądźże cicho! – wyrzucił z siebie Publio; na czole wystąpił mu pot. Jego palce szarpały obszytą złotem krawędź szaty.

– Dobra, chciałem tylko przywołać to w twojej pamięci – prychnął Cimmeryjczyk. – Nie bądź taki bojaźliwy. Wiele ryzyka podejmowałeś w przeszłości, kiedy walczyłeś o życie i o bogactwo w tym wszawym sklepiku na dole, przy kei, i szedłeś ręką w rękę z każdym bukanierem, przemytnikiem i piratem odtąd aż po Wyspy Barachańskie. Dobrobyt musiał cię zmiękczyć.

– Jestem szanowany... – zaczął Publio.

– To znaczy bogaty jak diabli – parsknął Conan. – Czemu? Czemu stałeś się zamożny o tyle szybciej od swoich konkurentów? Czy dlatego, że robiłeś wielkie interesy na kości słoniowej i strusich piórach, miedzi, skórach, perłach, kutych złotych ozdobach oraz innych rzeczach z wybrzeży Kush? A gdzie dostawałeś je tak tanio, podczas gdy pozostali płacili za nie Stygijczykom ich równowagę w srebrze? Powiem ci, na wypadek gdybyś zapomniał: kupowałeś je ode mnie, i to za cenę znacznie niższą od rzeczywistej wartości, a ja zabierałem je plemionom Czarnego Wybrzeża i ze statków Stygijczyków... Ja i czarni korsarze.

– W imię Mitry, zamilcz! – zaczął błagać Publio. – Nie zapomniałem. Ale co tutaj robisz? Jestem jedynym człowiekiem w Argos, który wie, że król Aquilonii był niegdyś, za dawnych dni, Conanem bukanierem. Jednak na południe przyszły wieści o upadku Aquilonii i śmierci króla.

– Moi wrogowie zabijali mnie w pogłoskach ze sto razy – burknął Conan. – Jednakowoż oto siedzę tu i żłopię wino z Kyros. – Słowa te wprowadził w czyn, a opuściwszy dzbanek, który był obecnie niemal pusty, rzekł: – Chcę od ciebie tylko jednej małej rzeczy, Publio. Wiem, że zdajesz sobie sprawę ze wszystkiego, co się dzieje w Messantii. Chcę wiedzieć, czy pewien Zingarańczyk o imieniu Beloso, albo mogący zwać siebie jakkolwiek inaczej, znajduje się w mieście. Jest on wysoki, szczupły, ciemny jak wszyscy z jego rasy i prawdopodobne, że będzie usiłował sprzedać bardzo rzadki klejnot.

Publio pokręcił głową.

– Nie słyszałem o takim człowieku. Ale tysiące przybywają i wyjeżdżają z Messantii. Jeśli tu jest, moi agenci go znajdą.

– Dobrze. Poślij ich, aby go szukali. A tymczasem każ zatroszczyć się o mego konia i podać mi tu, w tym pomieszczeniu, jakieś jedzenie.

Publio przystał na to ochoczo, a Conan opróżnił dzbanek z winem, rzucił go niedbale w kąt i podszedł do najbliższego otworu okiennego, mimowolnie wypełniając pierś głębokim wdechem słonego powietrza. Spoglądał w dół, na kręte uliczki nabrzeża. Omiótł statki w porcie pełnym upodobania spojrzeniem, potem podniósł głowę i zapatrzył się ponad zatokę, w błękitną mgiełkę oddali, gdzie ocean spotyka się z niebem. A jego pamięć pognała

poza ten widok, ku złocistym morzom południa, pod palące słońce, gdzie nie ma prawa, a życie biegnie ognisćie. Jakaś snująca się woń korzennej przyprawy bądź palmy zbudziła jasno odrysowane obrazy niezwykłych wybrzeży, gdzie rosły mangrowce i grzmiały bębny okrętów zwartych w boju i pokładów spływających krwią dymu i ognia, i krzyków rzezi... Zatoniony w swych myślach ledwie zauważył, kiedy Publio wymknął się z komnaty.

Zakasując szatę, kupiec spieszył korytarzami, aż dotarł do pewnej izby, gdzie wysoki, chudy człowiek z blizną na skroni pisał ciągle po pergaminie. W człowieku tym było coś, co sprawiało, że wykonywane przezeń prace papierkowe zdawały się nie na miejscu. Publio rzekł sucho:

– Conan wrócił!

– Conan? – Chudy mężczyzna poderwał się i pióro wypadło mu z dłoni. – Ten korsarz?

– Tak jest!

Chudy poszarzał.

– Czy on oszalał? Jeśli go tu odkryją, jesteśmy zrujnowani! Powieszają człowieka, który ukrywa bądź handluje z korsarzem, równie szybko, jak obwieszają samego korsarza! A co, gdyby gubernator dowiedział się o naszych przeszłych z nim powiązaniach?

– Nie dowie się – odrzekł Publio ponuro. – Poślij swych ludzi na targowiska i do nor na nabrzeżu i dowiedz się, czy niejaki Beloso, Zingarańczyk, jest w Messantii. Conan powiedział, że ma jakiś szlachetny kamień, którego prawdopodobnie spróbuje się pozbyć. Jeśli ktokolwiek, to handlarze klejnotami powinni coś o nim

wiedzieć. I jeszcze jedno zadanie dla ciebie: zbierz z tuzin zdecydowanych na wszystko nikczemników, którym można zaufać, iż zlikwidują kogoś, a potem będą trzymać język za zębami. Rozumiesz mnie?

– Rozumiem. – Tamten potaknął z wolna ponuro.

– Nie po to kradłem, oszukiwałem, kłamałem i wywalczyłem sobie wyjście z rynsztoka, by teraz dać to zniweczyć duchowi z przeszłości – wymamrotał Publio, a złowieszczy mrok jego oblicza w tej chwili zaskoczyłby bogatych nobilów i damy, które kupowały jedwabie i perły w jego licznych straganach. Niemniej, kiedy wkrótce wrócił do Conana, niosąc tacę mięs i owoców, swemu nieproszonemu gościowi demonstrował twarz spokojną.

Conan stał nadal przy otworze okiennym, przypatrując się purpurowym, karmazynowym, cynobrowym i szkarłatnym żaglom galeonów, karak, galer oraz dromonów w porcie.

– O ile dobrze widzę, jest tam stygijska galera – stwierdził, wskazując na długi, niski, smukły czarny statek stojący z dala od innych, zakotwiczony od strony płaskiej, szerokiej i piaszczystej plaży, która obiegała łukiem odległy cypel. – A zatem pokój panuje między Stygią a Argos?

– Tego samego rodzaju, jaki istniał niegdyś – odrzekł Publio, stawiając tacę na stole z westchnieniem ulgi, gdyż była ciężko obciążona; znał swego gościa z dawnych dni. – Stygijskie porty są tymczasowo otwarte dla naszych statków, tak jak nasze dla ich. Lecz lepiej, by żaden z mych statków nie spotykał tych przeklętych galer poza zasięgiem wzroku z lądu! Ta wślizgnęła się do zatoki wczorajszej nocy. Czego chcą jej panowie, tego nie wiem. Jak dotąd, ani nie kupowali, ani nie sprzedawali. Nie darzę zaufaniem tych

ciemnoskórych diabłów. To w owym mrocznym kraju narodziła się niegdyś zdrada.

– Sprawiałem, że skowycieli – stwierdził Conan niedbale, odwracając się od okna. – Na mojej galerze obsadzonej przez czarnych korsarzy podkradałem się nocą pod same bastiony obmywanych przez morze zamków otoczonego czarnym murem Khemi i paliłem kotwiczące tam galeony. A mówiąc już o zdradzie, mój ty gospodarzu, mniemam, iż skosztujesz tychże wiktuałów i łykniesz tego wina na tyle, aby mi pokazać, że masz serce po właściwej stronie.

Publio spełnił jego życzenie tak ochoczo, że uspił podejrzenia Conana i ten bez dalszego wahania zasiadł i pożarł tyle, że starczyłoby dla trzech.

A podczas gdy on jadł, po targowiskach i wzdłuż kei kursowali ludzie poszukujący Zingarańczyka, który miał na sprzedaż klejnot i który usiłował znaleźć statek, jaki zabierze go do zagranicznych portów. A wysoki, chudy człowiek z blizną na skroni siedział z łokciami złożonymi na splamionym winem stole w obskórnej piwnicy z mosiężną latarnią wiszącą nad nim u poczerniałej od dymu belki i prowadził rozmowę z dziesięcioma zdecydowanymi na wszystko łotrami, których złowieszcze oblicza i postrzępione odzienie zaświadczały o ich profesji.

A kiedy zamigotały pierwsze gwiazdy, rozświetliły dziwną grupę spinającą ostrogami swe wierzchowce na białej drodze, która prowadziła do Messantii z zachodu. Było to czterech ludzi – wysokich, chudych, odzianych w czarne szaty z kapturami – którzy nie odzywali się ani słowem. Bezlitośnie popędzali swe rumaki, a te same były wychudzone jak ich jeźdźcy, spienione i zmęczone, jakby

od długiej podróży i dalekiej tułaczki.



XIV

CZARNA RĘKA SETA



Conan zbudził się z głębokiego snu równie szybko i nagle jak kot. I jak kot zerwał się na nogi z wyciągniętym mieczem, zanim człowiek, który go dotknął, zdołał się wycofać.

– Jakie wieści, Publio? – zapytał, rozpoznając swego gospodarza. Złota lampa ledwie się tliła, rzucając łagodną poświatę na grube gobeliny i bogate narzuty posłania, na którym wypoczywał Cimmeryjczyk.

Dochodząc do siebie po wstrząsie, jaki wywołało nagłe działanie jego przebudzonego gościa, Publio odparł:

– Zingarańczyk został zlokalizowany. Przybył wczoraj o świcie. Zaledwie kilka godzin temu usiłował sprzedać ogromny, osobliwy klejnot pewnemu shemickiemu kupcowi, ale ów Shemita absolutnie nie chciał mieć z nim nic wspólnego. Mówią, że na jego widok

pobladł pod swą czarną brodą i zamknawszy kram, uciekł jak przed rzeczą przekłątą.

– To musi być Beloso – mruknął Conan, czując puls tętniący mu w skroniach od niecierpliwej chęci działania. – Gdzie jest teraz?

– Śpi w domu Servia.

– Znam tę spelunę z dawien dawna – burknął Conan. – Lepiej się pospieszę, zanim jakiś złodziej z nabrzeża podetnie mu gardło dla kamienia. – Podniósł swój płaszcz i zarzucił go na ramiona, a potem włożył hełm, który zorganizował mu Publio. – Niech mój rumak będzie pod siodłem i w gotowości na podwórzu – oznajmił. – Mogę wracać w pośpiechu. Nie zapomnę, co zrobiłeś tej nocy, Publio.

Kilka chwil później Publio, stojąc u małych drzwi prowadzących poza dom, obserwował, jak wysoka sylwetka króla niknie w głębi cienistej ulicy.

– Żegnaj, korsarzu – mruknął kupiec. – Musi to być klejnot godny uwagi, że szuka go człowiek, który właśnie stracił królestwo. Było trzeba powiedzieć tym kanaliom, żeby dali mu go przejąć, zanim wykonają swą robotę. Ale wtedy coś mogłoby pójść niezgodnie z planem. Niech Argos zapomni o Amrze i niech moje konszachty z nim przepadną w pyłe przeszłości. W alei za domem Servia... oto, gdzie Conan przestanie być dla mnie niebezpieczny.

Dom Servia, parszywa, ciesząca się złą sławą nora, mieścił się blisko nabrzeży, zwrócony frontem w stronę wody. Była to niezgrabna budowla z kamienia i mocnych belek wręgowych, a wzdłuż jej ściany przebiegała długa, wąska alejka. Conan przemieszczał się nią i kiedy zbliżył się do domu, doznał niepokojącego uczucia, że jest śledzony. Wpatrywał się intensywnie w cienie obskurnych budynków, ale nie dojrzał niczego, choć raz

wyłapał nikły odgłos pocierania materiału bądź wyprawionej skóry o ciało. Ale nie było to nic niezwykłego. Złodzieje i żebracy grasowali po tych alejkach przez całą noc, lecz mało prawdopodobne było, że go zaatakują, rzuciwszy choć jedno spojrzenie na jego posturę i zbroję.

Nagle jednak w ścianie przed nim otwarły się któreś drzwi i Conan wślizgnął się w cień jakiegoś portalu. Z tychże otwartych drzwi wyłoniła się pewna postać i poszła aleją – nie ukradkiem, lecz z naturalną bezdźwięcznością typową dla dzikiego zwierza. W aleję wsączało się dość gwiazdnego blasku, by kiedy mijała wejście, przy którym zaczął się Cimmeryjczyk, zarysować jej niewyraźny profil. Ów obcy był Stygijczykiem. Tej twarzy o orlich rysach, ogolonej głowy ani też płaszcza na szerokich ramionach nie sposób było pomylić z niczym, nawet w przyćmionym świetle gwiazd. Szedł przed siebie w głąb alei, w stronę plaży, i Conan w pewnej chwili pomyślał, że musi nieść latarnię spowitą w odzienie, gdyż w chwili, gdy tamten zniknął, pochwycił przebłysk łagodnie lśniącego światła.

Kiedy wszak Cimmeryjczyk zauważył, iż drzwi, przez które tamten obcy wyszedł, są nadal otwarte, zapomniał o nim. Zamierzał wkroczyć wejściem głównym i zmusić Servia do pokazania pomieszczenia, gdzie śpi Zingarańczyk. Ale skoro mógł dostać się do domu, nie przyciągając niczyjej uwagi, tym lepiej.

Kilka długich kroków przeniosło go pod drzwi, a kiedy jego dłoń opadła na zamek, stłumił mimowolny pomruk. Jego wprawne palce, wyćwiczone dawno temu pośród złodziei z Zamory, powiedziały mu, iż zamek został wyłamany, najwyraźniej przy użyciu jakiejś ogromnej siły z zewnątrz, która powykręcała i powykrzywiała ciężkie stalowe rygle, wrywając z framugi same

kieszonki. Jak gwałtem można było wyrządzić takie szkody bez budzenia wszystkich w okolicy, tego Conan wyobrazić sobie nie potrafił, lecz był pewny, iż dokonano tego owej nocy. Zamek wyłamany w domu Servia, w sąsiedztwie złodziei i warchołów, gdyby to odkryto, nie pozostałby nienaprawiony.

Conan wszedł po cichu z puginałem w ręce, zastanawiając się, jak ma odnaleźć komnatę Zingarańczyka. Błądząc po omacku w całkowitej ciemności, przystanął nagle. Wyczuł w tym pomieszczeniu śmierć, tak jak wyczuwa ją dzika bestia – nie grożące mu niebezpieczeństwo, lecz jakąś martwą istotę, coś świeżo zabitego. W mroku uderzył i natychmiast cofnął stopę od czegoś ciężkiego i miękkiego. Ogarnięty raptownym przeczuciem, szukał na ślepo wzdłuż ściany, aż znalazł półkę, na której stała mosiężna lampa i leżały krzemień, stalowe krzesiwo oraz paliwo. Kilka sekund później pojawił się migoczący, niepewny blask, a Cimmeryjczyk rozejrzał się uważnie dookoła zmrużonymi oczami.

Prycza zbudowana na szorstkim kamiennym murze, goły stół i ława tworzyły całe umeblowanie tej obskurnej izby. Wewnętrzne drzwi pozostały zamknięte i zaryglowane. A na ubitym klepisku leżał Beloso. Spoczywał na plecach, z głową odciągniętą w tył pomiędzy łopatki, tak że zdawał się wpatrywać szeroko rozwartymi, szklistymi oczami w okopcone belki spowitego pajęczynami stropu. Ściągnięte usta odsłaniały zęby wyszczerzone w zastygłym grymasie agonii. Niedaleko leżał jego miecz, wciąż w pochwie. Koszulę miał rozerwaną, a na brązowej, umięśnionej piersi odcisk czarnej ręki z wyraźnie widocznym kciukiem i czterema palcami.

Conan patrzył w milczeniu, czując, jak jeżą mu się włoski na

karku.

– Na Croma! – mruknął. – Czarna ręka Seta!

Widział już ten znak za dawnych czasów – śmiertelne znamię czarnych kapłanów Seta, ponurej sekty, jaka władała w mrocznej Stygii. I nagle przypomniał sobie ten niezwykły przeblysk, jaki ujrzał bijący od tajemniczego Stygijczyka, który wyszedł z tej izby.

– Serce, na Croma! – wymamrotał. – Niósł je pod płaszczem. Ukradł. Rozsadził te drzwi magią i zabił Belosa. Był kapłanem Seta.

Szybkie przeszukanie potwierdziło przynajmniej część jego podejrzeń. Klejnotu nie było przy ciele Zingarańczyka. W Conanie zrodził się niepokój, iż nie stało się to przypadkiem czy w sposób niezaplanowany. Nabrał przekonania, że tajemnicza stygijska galera przybiła do portu Messantii z określoną misją. Skąd kapłan Seta mógł wiedzieć, że Serce przybyło na południe? Jednakże myśl ta nie była bardziej fantastyczna od nekromancji, jaka mogła zabić uzbrojonego człowieka przez dotyk otwartej, pustej dłoni.

Odgłosy skradania się na zewnątrz, za drzwiami, sprawiły, że okręcił się niczym wielki kot. Jednym ruchem wygasił lampę i wyciągnął miecz. Uszy mówiły mu, że na zewnątrz, w mroku, są ludzie i zbliżają się do progu. Kiedy jego oczy przywykły do niespodziewanych ciemności, zdołał wypatrzeć niewyraźne postaci otaczające wejście pierścieniem. Nie potrafił odgadnąć ich tożsamości, ale jak zawsze to on przejął inicjatywę, skacząc nagle przez drzwi, bez oczekiwania na atak.

Jego niespodziewany ruch zaskoczył skradających się. Wyczuł i posłyszał ludzi zbliżających się ze wszystkich stron, niewyraźnie dostrzegł przed sobą w świetle gwiazd zamaskowaną sylwetkę. Wtem jego miecz zachrząścił, sięgając celu, a on umykał aleją,

zanim wolniej myślący i działający napastnicy zdołali go powstrzymać.

Kiedy biegł, posłyszał gdzieś przed sobą niktące skrzypienie dulek i zapomniał o ludziach za swymi plecami. Jakaś łódź wychodziła na wody zatoki! Zaciskając zęby, zwiększył prędkość, lecz zanim dotarł do plaży, posłyszał szuranie i trzeszczenie lin oraz zgrzyt wielkiego wiosła sterowego w jego oprawie.

Gruba warstwa chmur nadpływająca znad morza przesłoniła gwiazdy. Conan wbiegł na plażę w gęstym mroku, wyteżając wzrok poprzez czerń niespokojnych wód. Coś tam się ruszało – długi, niski, czarny kształt, który niktął w ciemności. Do jego uszu doszedł rytmiczny klask długich wiosel. Zgrzytnął zębami w bezsilnej furii. To była stygijska galera i właśnie wychodziła pędem w morze, unosząc ze sobą klejnot, który oznaczał dla niego tron Aquilonii.

Z dzikim przekleństwem postawił krok w stronę fal pluszczących o piasek, chwytając za kolczugę z zamiarem zderzenia jej i popłynięcia za znikającym statkiem. Wtem chrzęst obcasów na piasku sprawił, że się odwrócił. Zapomniał o swych prześladowcach.

Ciemne postaci zbliżały się ku niemu. Pierwsza padła pod młóącym mieczem Cimmeryjczyka, lecz pozostali się nie zawahali. Ostrza śpiewały wokół niego, mijając się z celem lub zgrzytając na jego pancerzu. Krew i wnętrzności rozlały mu się po ręce i ktoś wrzasnął, gdy szarpnął broń morderczo pod górę. Szemrzący głos zachęcał do ataku i ów głos brzmiał mgliście znajomo. Conan przeorał się przez napływające ku niemu, siekące postaci w kierunku owego głosu. Słabe światło jaśniejące chwilowo przez płynące chmury ukazało mu wysokiego, chudego mężczyznę z

wielką siną blizną na skroni. Miecz Conana przeszedł przez jego czaszkę jak przez dojrzały melon.

Wtem jakiś topór, wędrujący na oślep w ciemności, trzasnął o basinet króla, napełniając jego oczy iskrami ognia. Conan odchylił się i rzucił do przodu. Poczuł, jak jego miecz wchodzi głęboko, i posłyszał przenikliwy okrzyk agonii. Wtedy to potknął się o jakieś zwłoki, a czyjś buzdygan zerwał mu z głowy wgnieciony hełm; w następnej chwili na jego niechronioną głowę spadła pałka.

Król Aquilonii opadł bezwładnie na mokry piasek. W mroku nad nim dyszały wilcze postaci.

– Odrąbmy mu głowę – mruknęła jedna.

– Niech leży – burknęła inna. – Pomóż mi przewiązać rany, nim wykrwawię się na śmierć. Przyplływ zmyje go do zatoki. Patrz, leży na skraju wody. Czerep ma rozszczepiony. Żaden człowiek nie byłby w stanie przeżyć po takich ciosach.

– Pomóż mi go rozebrać – przynaglała kolejna. – Jego zbroja przyniesie kilka sztuk srebra. I pospieszcie się. Tiberio nie żyje, a ja słyszę jakichś marynarzy śpiewających i zataczających się wzdłuż plaży. Znikamy.

W ciemności dokonano pospiesznych czynów, a potem zabrzmiał odgłos prędko oddalających się kroków. Podchmielony śpiew ludzi morza stawał się coraz głośniejszy.

W swej komnacie Publio, przechadzający się nerwowo w tę i z powrotem przed oknem, które wychodziło na zaciemnioną zatokę, obrócił się nagle, czując nerwowe mrowienie. Zgodnie z posiadaną przezeń wiedzą drzwi zostały zaryglowane od środka, ale teraz stały otworem, a do komnaty weszło rzędem czterech ludzi. Na ich widok skóra mu ścierpła. Wiele dziwnych istot Publio widział już

na przestrzeni swego życia, ale nikogo podobnego do tych. Byli wysocy i chudzi, w czarnych szatach, a ich oblicza stanowiły w cieniu nakrycia głowy niewyraźne żółte owale. Nie mógł powiedzieć wiele o rysach ich twarzy i był niedorzecznie zadowolony, że tego nie potrafi. Każdy niósł w ręce długą, dziwnie cętkowaną laskę.

– Kim jesteście? – spytał, a jego głos zabrzmiał słabo i głucho. – Czego tu sobie życzycie?

– Gdzie jest Conan, ten, który był królem Aquilonii? – zapytał najwyższy z czwórki beznamiętnie jednostajnym głosem, który przyprowadził Publia o dreszcz.

– Nie wiem, co masz na myśli – wyjąkał kupiec, którego zwyczajowym opanowaniem wstrząsnął niesamowity wygląd gości. – Nie znam takiego człowieka.

– Był tutaj – odparował inny bez zmiany tonu czy wysokości głosu. – Jego koń stoi na dziedzińcu. Powiedz nam, gdzie on jest, zanim cię zranimy.

– Gebalu! – zawołał Publio gorączkowo, cofając się pod ścianę, a gdy tam dotarł, skulił się ze strachu. – *Gebalu!*

Czterech Khitajczyków obserwowało go bez emocji i zmian wyrazu twarzy.

– Jeśli wezwiesz swego niewolnika, on umrze – ostrzegł jeden z tamtych, co pogłębiło przerażenie Publia bardziej niż cokolwiek innego.

– Gebalu! – wrzasnął. – Gdzie jesteś, przeklęty? Złodzieje mordują twego pana!

Z korytarza dobiegły odgłosy szybkich kroków i do komnaty wpadł Gebal – potężnie umięśniony Shemita średniego wzrostu.

Kędzierzawą, błękitnoczarną brodę miał zjeżoną, a w dłoni trzymał krótki miecz o kształcie liścia.

Zapatrzył się na czterech intruzów z ogłupiałym zdumieniem, niezdolny pojąć ich obecności; niejasno pamiętał, że w niewyjaśniony sposób usnął na schodach, których strzegł, a po których oni musieli wejść. Nigdy przedtem nie zasnął na służbie. Lecz jego pan wrzeszczał przeraźliwie z nutą hysterii w głosie, więc Shemita ruszył na nieznanomych niczym byk; jego grubo umięśnione ramię cofnęło się do wypruwającego flaki pchnięcia. Cios ten nie został jednak nigdy zadany.

Ramię w czarnym rękawie wystrzeżiło, wyciągając długą laskę. Jej kraniec ledwie dotknął mocarnej piersi Shemity i został natychmiast cofnięty. Uderzenie to strasznie przypominało wyrzut i wycofanie się węzowej głowy.

Gebał zatrzymał się nagle w swym szaleńczym skoku, jak gdyby napotkał jakąś twardą przeszkodę. Jego bycza głowa opadła w przód, na piersi, miecz wysunął się z dłoni, a potem cały Shemita *splynął* powoli na podłogę. Było to tak, jakby wszystkie kości jego szkieletu raptem zwiotczały. Publiowi zrobiło się niedobrze.

– Nie wołaj ponownie – poradził najwyższy z Khitajczyków. – Twoi słudzy śpią głęboko, ale jeśli ich pobudzisz, umrą, a ty wraz z nimi. Gdzie jest Conan?

– Poszedł do domu Servia, blisko nabrzeża, żeby odnaleźć Zingarańczyka Belosa – wysapał Publio; opuściło go wszelkie pragnienie stawiania oporu. Kupcowi nie brakło odwagi, ale ci niesamowici przybysze przemienili jego krew w wodę. Wzdrygnął się gwałtownie na niespodziewany odgłos pospiesznych kroków na schodach na zewnątrz, brzmiały głośno w złowieszczej ciszy.

– Twój sługa? – spytał Khitajczyk.

Publio pokręcił głową oniemiały, język przywarł mu do podniebienia. Nie był w stanie przemówić.

Jeden z Khitajczyków pochwycił z posłania jedwabną kapę i zarzucił ją na zwłoki. Potem wszyscy rozplłynęli się za gobelinem, przedtem jednak, nim najwyższy wśród nich zniknął, mruknął:

– Porozmawiaj z człowiekiem, który nadchodzi, i odeślij go szybko. Jeśli nas zdradzisz, ani on, ani ty nie pożyjecie dość długo, by dosięgnąć drzwi. Nie wykonuj żadnych znaków, by pokazać mu, że nie jesteś sam. – I uniósłszy wymownie swą laskę, żółty człowiek zniknął za kotarą.

Publio zadrżał i zdławił odruch wymiotny. Mogła to być psota światła, ale zdało mu się, że od czasu do czasu te laski poruszały się lekko wiedzione własną wolą, jakby same w sobie posiadały złą, niewysłowioną żywotność.

Wziął się w garść z wielkim wysiłkiem i obdartemu oprychowi, który wpadł do komnaty, ukazał twarz opanowaną.

– Zrobiliśmy tak, jak chciałeś, mój panie – wykrzyknął ów człowiek. – Barbarzyńca leży martwy na piasku, przy samej linii wody.

W gobelinie za sobą Publio wyczuł jakiś ruch i przestraszył niemal go rozsądził. Oprych, nie zważając na nic, perorował dalej:

– Twój sekretarz, Tiberio, nie żyje. Barbarzyńca zarżnął jego i czterech moich towarzyszy. Przenieśliśmy ich ciała w miejsce, gdzie znajdują je ludzie. Przy barbarzyńcy nie było nic wartościowego, poza kilkoma srebrnymi monetami. Czy są jakieś dalsze rozkazy?

– Żadnych! – wykrztusił pobladły na twarzy Publio. – Idź już!

Nikczemnik skłonił się i wyszedł pospiesznie z niejasnym

odczuciem, iż Publio jest zarówno człowiekiem o słabym żołądku, jak i niewiele mówiącym. Czterej Khitajczycy wyszli zza gobelinu.

– O kim mówił tamten człek? – dopytywał wyższy.

– O pewnym obcym wędrowcu, który mi ubliżył – wykrztusił Publio.

– Kłamiesz – stwierdził Khitajczyk spokojnie. – Mówił o królu Aquilonii. Wyczytałem to w twojej twarzy. Usiądź na łożu pod ścianą i nie ruszaj się ani nic nie mów. Zostanę z tobą, podczas gdy moi trzej towarzysze pójdą poszukać ciała.

Siedział zatem Publio i trzął się z przerażenia przed milczącą, nieprzeniknioną postacią, która go pilnowała, dopóki trzech Khitajczyków nie weszło z powrotem rzędem do komnaty z wieścią, iż ciało Cimmeryjczyka nie spoczywa na piaskach. Publio nie wiedział, czy cieszyć się, czy smucić.

– Znaleźliśmy miejsce, gdzie stoczono walkę – oznajmili. – Na piasku była krew. Ale król zniknął.

Czwarty Khitajczyk wykreślił swą laską na dywanie tajemnicze symbole, które zabłysnęły w świetle lampy.

– Niczegoście nie wyczytali z tych piasków? – zapytał.

– Nie – odpowiedzieli. – Król żyje i wyruszył ku południu na statku.

Wysoki Khitajczyk podniósł głowę i zapatrzył się na Publia tak, że ów oblał się potem.

– Czego życzyacie sobie ode mnie? – wydukał.

– Statku – odparł Khitajczyk. – Statku obsadzonego załogą dobrą na długą podróż.

– Na jak długą podróż? – wydusił z siebie Publio, nie myśląc nawet o odmowie.

– Na krańce świata, być może – odpowiedział Khitajczyk – albo po gorejące oceany piekła, jakie leżą poza wschodem słońca.



XV

POWRÓT KORSARZA



Pierwszym odczuciem wracającej świadomości Conana było to, iż znajduje się w ruchu; pod nim brakło stabilności, lecz pojawiło się nieustanne wznoszenie się i opadanie. Potem usłyszał wiatr buczący pośród lin i drzewc takielunku i pojął, że znajduje się na pokładzie jakiegoś statku, nawet zanim rozjaśnił się jego rozmyty wzrok. Posłyszał szmer głosów, a potem zalała go fala, rozbudzając ostrym wstrząsem. Dźwignął się z siarczystym przekleństwem, stanął na szeroko rozstawionych nogach i popatrzył gniewnie wokół siebie, mając w uszach wybuch gromkiego, okrutnego rechotu, a w nozdrzach fetor niemytych ciał.

Stał na pokładzie ponad kasztelem rufowym długiej galery, która

mknęła z pełnym wiatrem, jaki wiał ostro z północy, przemieniając pasiaste żagle w naprężone płaty. Słońce właśnie wschodziło w oślepiającym blasku ze złota, błękitu i zieleni. Po lewej linia brzegu stanowiła niewyraźny purpurowy cień. Po prawej rozciągał się otwarty ocean. To wszystko omiółł Cimmeryjczyk jednym spojrzeniem, które objęło również sam statek.

Był on długi i wąski – typowa jednostka handlowa z południowych wybrzeży, o wysokich rufie i dziobie, z kabinami na obu szczytach. Conan spojrział w dół, na otwarte śródkręcie, skąd tchnęło owym wstrętnym, przyprawiającym o mdłości odorem. Znał go z dawnych czasów. Była to woń ciał wiosłarzy przykutych łańcuchami do swych ław. Wszyscy oni byli negroidami, po czterdziestu z każdej strony; wszyscy spętani zapiętymi wokół pasa łańcuchami, których drugi koniec przykuto do ciężkich pierścieni osadzonych głęboko w masywnej szynie, jaka biegła pomiędzy ławkami od dziobu po rufę. Życie niewolnika na argosseańskiej galerze było niezgłębionym piekłem. Większość z nich, obecnie opartych beczynn timer na wiosłach i wpatrujących się w przybysza z tępą ciekawością, stanowili Kushici, poza mniej więcej trzydziestoma czarnymi z odległych wysp południowych, ojczyzn korsarzy. Conan rozpoznał ich po regularniejszych rysach twarzy i włosach oraz potężniejszej, bardziej proporcjonalnej budowie. I pośród nich dostrzegł ludzi, którzy podążali za nim w dawnych czasach.

To wszystko wszak ujrzał i zaobserwował w jednym szybkim, wszechogarniającym spojrzeniu, kiedy wstawał, nim skierował swą uwagę na postaci dookoła siebie. Zachwiałszy się przez moment na szeroko rozstawionych nogach, zacisnął pięści w zapamiętałej

złości i popatrzył z wściekłością na zgromadzone wokół sylwetki. Marynarz, który oblał go wodą, stał, szczerząc zęby, i wciąż trzymał puste wiadro, a Conan, klnąc go jadowicie, instynktownie sięgnął ku rękojeści. Wówczas stwierdził, że jest bezbronny i nagi, z wyjątkiem krótkich skórzanych spodni.

– Co to za wszawa balia? – ryknął. – Jak dostałem się na jej pokład?

Marynarze – co do jednego krępi, brodaci Argosseańczycy – zaśmiali się drwiąco, a jeden, którego bogatszy strój i aura przywództwa wskazywały jako kapitana, założył ręce i stwierdził władczo:

– Znaleźliśmy cię leżącego na piaskach. Ktoś trzasnął cię w łepetynę i zabrał twe rzeczy. Potrzebując dodatkowego człowieka, zabraliśmy cię na pokład.

– Co to za statek? – dopytywał Conan.

– To *Śmiałek* z portu Messantii z ładunkiem zwierciadeł, szkarłatnych płaszczy z jedwabiu, tarcz, złożonych hełmów oraz mieczy na wymianę z Shemitami za miedź i złoty kruszec. Ja jestem Demetrio, kapitan tej jednostki i odtąd twój dowódca.

– Ostatecznie zatem podążam w kierunku, w którym chciałem zmierzać – wymamrotał Conan, nie zważając na tę ostatnią uwagę.

Mknęli ku południowemu wschodowi, idąc za długim łukiem argosseańskiego wybrzeża. Takie statki handlowe nigdy nie ryzykowały oddalania się od linii brzegu. Gdzieś przed nim, co wiedział, spieszyła na południe powolna, mroczna stygijska galera.

– Zauważyliście jakąś stygijską galere?... – zaczął Cimmeryjczyk, lecz broda potężnego kapitana o brutalnej twarzy się zjeżyła. W najmniejszym stopniu nie interesowały go pytania, jakie jego

więzień mógłby chcieć zadawać, i uznał, że najwyższy czas ukrócić niezależność próżniaka do właściwych granic.

– Naprzód, do roboty! – ryknął. – Dość czasu zmarnowałem na ciebie! Uczyniłem ci zaszczyt, sprowadzając na górny pokład, żeby cię ocucić, i dosyć odpowiedziałem na twe diabelne pytania. Wynoś się stąd! Na pokładzie tej galery na wszystko musisz sobie zapracować sam...

– Kupię twój statek... – zaczął Conan, zanim przypomniał sobie, iż jest wędrowcem bez grosza.

Słowa te powitała wrzawa rozrehotanej wesołości, a kapitan poczerwieniał, uznając, iż wyczuwa kpinę.

– Ty buntownicza świnię! – wrzasnął gardłowo, robiąc groźny krok naprzód, podczas gdy jego dłoń zamknęła się na nożu u pasa.

– Naprzód, do roboty, zanim cię wybatożę! Trzymaj grzecznie język za zębami albo, na Mitrę, przykuję cię wśród czarnych, żebyś ciągnął za wiosło!

Wulkaniczny temperament Conana, niedający na siebie czekać nawet w sprzyjających okolicznościach, eksplodował nagłym wybuchem. Przez lata, nawet nim został królem, żaden człowiek, który chciał przeżyć, nie przemawiał tak do niego.

– Nie podnoś na mnie głosu, ty usmolony psie! – ryknął głosem tak gromkim jak morski wiatr, a marynarze zagapili się na niego oniemiali, z rozwartymi ustami. – Wyciągnij tę zabawkę, a nakarmię tobą ryby!

– Za kogo ty się masz? – wykrzyknął kapitan.

– Pokażę ci! – ryknął rozwścieczony Cimmeryjczyk. Obrócił się i ruszył ku nadburciu, gdzie na wspornikach wisiała broń.

Kapitan wyciągnął nóż i ruszył na niego z gardłowym

okrzykiem, lecz zanim zdołał uderzyć, Conan chwycił go za przegub i szarpnął tak, że całkiem wyrwał mu ramię ze stawu. Kapitan ryknął jak zdychający wół, a potem, pchnięty pogardliwie przez swego oprawcę, potoczył się bezwładnie po pokładzie. Conan zerwał z nadburcia ciężki topór i niczym kot obrócił się do starcia z pędzącymi żeglarzami. Nadbiegali, wydając odgłosy niczym psy myśliwskie, ale w porównaniu z podobnym panterze Cimmeryjczykiem poruszali się niezgrabnie i niezręcznie. Zanim zdołali dosięgnąć go swymi nożami, skoczył między nich, rażąc na prawo i lewo szybciej, niż oko mogło nadążyć, a krew i mózg bryznęły, kiedy dwa trupy uderzyły o pokład.

Noże wściekle przecinały powietrze, gdy Conan przebił się przez stojącą mu na drodze dyszącą hałastą i skoczył na wąski pomost, jaki rozciągał się od rufy po forkasztel, tuż poza zasięgiem niewolników poniżej. Za jego plecami garstka marynarzy z górnego tylnego pokładu, skonsternowana spustoszeniem wśród kolegów, niezbornie brała się do podążania jego śladem, a reszta załogi – ogółem jakaś trzydziestka – popędziła owym mostem w jego stronę z bronią w ręku.

Cimmeryjczyk odskoczył i gotów do walki stanął na pomoście, nad uniesionymi w górę czarnymi twarzami, ze wzniesionym toporem i czarną grzywą rozwianą na wietrze.

– Kim ja jestem? – zawył. – Spójrzcie, psy! Patrzcie, Ajonga, Yasunga, Laranga! *Kim ja jestem?*

A ze śródpokładu podniósł się krzyk, który nabrzmiewał, aż stał się potężnym rykiem.

– Amra! To jest Amra! Lew powrócił!

Żeglarze, którzy pochwycili i zrozumieli brzemię tego budzącego

grozę wołania, pobledli i cofnęli się, wpatrzeni z nagłym strachem w dziką postać na mostku. Czy to naprawdę był ten żądny krwi ogr z mórz południowych, który tak tajemniczo zniknął lata temu, ale który nadal żył w krwistych legendach? Czarni toczyli obecnie pianę z szaleństwa i chcąc wyrwać się ze swych łańcuchów, potrząsali nimi, a także wrzeszczeli przeraźliwie imię Amry niczym inwokację. Kushici, którzy nigdy wcześniej nie widzieli Conana, podjęli to zawodzenie. Niewolnicy w zagrodach pod kabiną rufową zaczęli łomotać w ściany, wrzeszcząc jak potępieni.

Demetrio, przemieszczając się po pokładzie na kolanach i jednej ręce, posiniały od męki, jakiej dostarczało mu wyrwane ramię, wrzeszczał:

– Naprzód i zabić go, psy, zanim niewolnicy wyrwą się na wolność!

Doprowadzeni do ostateczności tymi słowami – najstraszniejszymi dla wszystkich galerników – marynarze zaatakowali pomost z obydwu krańców. Jednak Conan jak lew zeskoczył z niego i opadł miękko na przejście pomiędzy ławkami.

– Śmierć panom! – zagrzmiął, a jego topór wzniósł się i opadł druzgocąco wprost na łańcuch oków, przecinając go niby drewnianą szczapę. Wrzeszczący niewolnik uwolnił się błyskawicznie, przełamując swe wiosło na maczugę. Ludzie biegali gorączkowo po pomoście nad nimi i na pokładzie *Śmiałka* wybuchło piekło i dom wariatów. Topór Conana wznosił się i opadał bez przerwy, a z każdym uderzeniem uwalniał któregoś z toczących pianę, wrzeszczących czarnych olbrzymów, oszalałych z nienawiści, wściekłości, wolności i żądy zemsty.

Żeglarze, którzy zeskakiwali na śródokręcie, by zmierzyć się lub

ciąć nagiego białego olbrzyma, rąbiącego okowy jak opętany, obaleni byli rękoma niewolników jeszcze nieoswobodzonych, podczas gdy inni, z rozwalonymi łańcuchami opasującymi i zatrzaśniętymi wokół członków, wyłaniali się z dołu jak oślepy czarny potok, wrzeszcząc niczym demony, smagając połamanymi wiosłami i kawałkami żelaza, rwąc i drąc pazurami i zębami. W środku tego starcia niewolnicy w zagrodach rozwalili ściany i nadciągali falą na pokłady, a Conan, uwolniwszy pięćdziesięciu czarnych od ich ławek, poniechał rąbania żelaza i wskoczył na pomost, żeby dołączyć własny wyszczerbiony topór do maczug swych bojowników.

Wówczas nastąpiła masakra. Argosseańczycy byli silni, twardzi, nieustraszeni jak cała ich rasa, zahartowani w brutalnej szkole morza. Nie byli jednak w stanie oprzeć się oszalałemu olbrzymowi prowadzonym przez tygrysięgo barbarzyńcę. Razy, z niewagi i piekielne cierpienia pomścił jeden krwawy powiew furii, która szalała niczym tajfun od jednego krańca statku po drugi. A kiedy on sam się rozwiął, tylko jeden biały człowiek na pokładzie *Śmiałka* pozostał żywy i był nim zbryzgany krwią olbrzym, wokół którego wznoszący pieśni czarni tłoczyli się, by paść na twarz na skrwawiony pokład i bić czołem o deski w ekstazie uwielbienia dla bohatera.

– Amra! Amra! – zawodzili w amoku czarni, ci, którzy pozostali, by zawodzić. – Lew powrócił! Teraz Stygijczycy zawyją jak psy nocą i czarne psy z Kush zawyją! Teraz wioski staną w płomieniach, a statki pójdą na dno! *Aie*, nastanie lament kobiet i grzmot włóczy!

– Skończcie ten jazgot, psy! – ryknął Conan głosem, który zagłuszył trzepotanie żagla na wietrze. – Dziesięciu z was schodzi

na dół i uwalnia wiosłarzy, którzy są jeszcze przykuci. Reszta obsadza wiosło sterowe, łapie za wiosła i fały. Na diabły Croma, nie widzicie, że zdryfowaliśmy podczas walki na wody przybrzeżne? Chcecie wpaść na mieliznę i znów dać się schwytać Argosseańczykom? Rzućcie te truchła za burzę. Bierzcie się do roboty, łotry, bo zrobię wam przepaski z waszej skóry!

Z okrzykami, śmiechem i pełnym entuzjazmu śpiewem skoczyli wypełniać jego rozkazy. Zwłoki, białe i czarne, ciskano za burzę, gdzie trójkątne płetwy już przecinały wodę.

Conan stał na tylnym pokładzie, przypatrując się spod zmarszczonych brwi czarnym, którzy wpatrywali się w niego wyczekująco. Swe mocne ramiona złożył na piersi, czarne włosy, które urosły podczas wędrówek, powiewały na wietrze. Nigdy po mostku statku nie stąpała postać dziksza i bardziej barbarzyńska, a w owym srogim korsarzu niewielu dworzan z Aquilonii rozpoznałoby swego króla.

– Na pokładzie towarowym jest jedzenie! – ryknął. – Mnóstwo broni dla was, gdyż statek ten wiozł ostrza i zbroje do Shemitów, którzy zamieszkują wybrzeże. Jest nas dość, by poprowadzić statek i, tak jest, by walczyć! Wiosłowaliście w łańcuchach dla argosseańskich psów. Czy jako ludzie wolni powiosłujecie dla Amry?

– *Tak jest!* – ryknęli. – Jesteśmy twymi dziećmi! Prowadź nas, gdzie zechcesz!

– Zatem weźcie się i oczyśćcie śródpokład – zarządził. – Wolni ludzie nie pracują w takim syfie. Trzech z was idzie ze mną wyrwać jedzenie z kabin na rufie. Na Croma, sprawię, że wasze żebra znikną, zanim ten rejs sięgnie kresu!

Odpowiedziało mu ponownie wycie, a pełni aprobaty i na wpół zagłodzeni czarni pomknęli wypełniać polecenia. Żagiel się wybrzuszył, kiedy wiatr powiał nad falami z nową siłą, a białe grzywacze zatańczyły w rytm jego podmuchu. Conan wraził stopy mocno w kołyszący się pokład, odetchnął głęboko i rozpostarł mocarne ramiona. Królem Aquilonii może już nie był, lecz królem błękitnego oceanu pozostawał nadal.



XVI

KHEMI O CZARNYCH CHMURACH



Śmiałek pędził na południe niczym żywa istota, za jego wiosła pociągały teraz wolne i chętne ręce. Jednostkę z pokojowego statku kupieckiego przekształcono w galerę wojenną w takim stopniu, w jakim przekształcenie to było możliwe. Ludzie siadali obecnie na ławkach z mieczami u boku i w połączonych hełmach na kędzierzawych głowach. Wzdłuż nadburcia wisiały tarcze, a wiązki włóczni, łuków i strzał zdobiły maszt. Nawet żywioły zdawały się teraz działać na korzyść Conana; szeroki purpurowy żagiel wypełniała mocna bryza, która utrzymywała się dzień w dzień, wymagając niewielkiego wsparcia wiosel.

Lecz choć Conan trzymał człowieka na topie masztu dzień i noc, nie dojrzeli długiej, niskiej, czarnej galery umykającej przed nimi ku

południu. Dzień w dzień przewalające się puste błękitne wody stanowiły dla nich jedyny pejzaż przełamany tylko przez statki rybackie, które zmykały przed nimi jak spłoszone ptaki na widok tarcz wiszących wzdłuż nadburcia. Sezon handlowy dla tego roku był praktycznie zamknięty i nie dostrzegli żadnych innych statków.

Kiedy oko dojrzało jakiś żagiel, był on na północy, nie na południu. Daleko na horyzoncie za nimi pojawiła się szybka galera z rozpostartym w całości purpurowym żaglem. Czarni nakłaniali Conana, by zawrócić i ją splądrować, ale on pokręcił głową. Gdzieś na południe od niego smukła czarna galera pędziła w stronę portów Stygii. Tego wieczoru, nim zapadł zmrok, ostatnie spojrzenie ukazało mu tę szybką galerę na horyzoncie, a o świcie wciąż trzymała się im na ogonie, z dala, maleńka z tej odległości. Conan zastanawiał się, czy podążyć za nim, choć nie potrafił wymyślić żadnego logicznego wyjaśnienia takich przypuszczeń. Nie zwracał jednak na to wiele uwagi. Każdy dzień, który przynosił go dalej na południe, przepełniał króla gwałtowną niecierpliwością. Nie dręczyły go żadne wątpliwości. Jak wierzył we wschód i zachód słońca, tak i w to, że kapłan Seta ukradł Serce Ahrimana. A dokąd kapłan Seta mógłby je wieźć, jak nie do Stygii? Czarni wyczuwali jego zapach i mozolili się tak, jak nigdy by się nie trudzili pod biczem, choć pozostawali nieświadomi jego celu. W przyszłości upatrywali krwawych osiągnięć z grabieży i łupów i byli zadowoleni. Ludzie z wysp południowych nie znali innego rzemiosła, a należący do załogi Kushici, z nieczułością charakterystyczną dla tej rasy, mając w perspektywie łupienie własnego ludu, przyłączyli się doń całym sercem. Więzy krwi znaczyły niewiele; zwycięski naczelnik i osobista korzyść –

wszystko.

Wkrótce charakter linii brzegowej się zmienił. Nie płynęli obok stromych klifów z błękitnymi wzgórzami roztaczającymi się za nimi. Teraz brzeg stanowił krawędź rozległych równinnych łąk, które ledwie co wznosiły się ponad linię wody i ciągnęły bez końca w mglistą dal. Było tu niewiele przystani i jeszcze mniej portów, ale zielone równiny usiane były miastami Shemitów; zielone morze opływało skraj zielonych równin, a zigguraty miast jaśniały bielą w słońcu, niektóre małe z tej odległości.

Po pastwiskach przemieszczały się stada bydła oraz krępi, barczyści jeźdźcy o błękitnoczarnych brodach, w cylindrycznych hełmach, z łukami w rękach. Był to brzeg ziem Shemu, gdzie nie istniało żadne prawo, wyjąwszy to, które narzucały same miasta-państwa. Jak Conan wiedział, dalej ku wschodowi łąki ustępowały miejsca pustyni, gdzie nie było miast, a plemiona nomadów wędrowały bez żadnych przeszkód.

Gdy tak zmierzali wciąż na południe, obok niezmiennej panoramy trawiastych ziem upstrzonych miastami, w końcu sceneria zaczęła się zmieniać. Pojawiły się kępy tamaryndowców, a gaje palmowe stały się gęstsze. Linia brzegu była bardziej urozmaicona równymi palisadami z zielonych, rozłożystych liści i drzew, a za nimi wznosiły się nagie, piaszczyste wzgórza. Do morza wlewały się strugi, a ich podmokłe brzegi zarastała bujna roślinność o wielkiej różnorodności.

I tak w końcu minęli ujście szerokiej rzeki, która mieszała swe prądy z oceanem, i ujrzeni wyrastające na południowym horyzoncie wielkie czarne mury oraz wieże Khemi.

Rzeką tą był Styx, prawdziwa granica Stygii. Khemi było

największym portem Stygii i w owym czasie jej najważniejszym miastem. Król mieszkał w bardziej prądawnym Luxurze, lecz w Khemi władało kapłaństwo; choć mówiono, iż główny ośrodek ich mrocznej religii leży daleko w głębi lądu, w tajemniczym, opustoszałym mieście blisko brzegu Styxu. Rzeka owa, wytryskująca z jakiegoś bezimiennego źródła daleko na nierozpoznanych ziemiach na południe od Stygii, biegła ku północy przez tysiąc mil, zanim skręcała i płynęła ku zachodowi przez kilka setek mil, by ostatecznie wlać swe wody do oceanu.

Nienoszący żadnych świateł *Śmiałek* przemknął nocą obok portu i zanim okrył go świt, zakotwiczył w małej zatoce o kilka mil na południe od miasta. Miejsce to otaczały mokradła, zielona płatanina namorzynów, palm i lian rojąca się od krokodyli i węży. Odkrycie ich tutaj było wysoce nieprawdopodobne. Conan znał to miejsce z dawnych czasów; ukrywał się tam już wcześniej, za korsarskich dni.

Kiedy cicho prześlizgiwali się obok miasta, którego wielkie czarne bastiony wznosiły się na wysuniętych w morze zębach lądu, jakie zamykały port, pochodnie przebłyskiwały i płonęły jasno, a do ich uszu dochodził przytłumiony grzmot bębnow. Miejsce to nie było tak zatłoczone statkami jak porty Argos. Stygijczycy nie opierali swej potęgi i chwały na statkach i flotach. Jednostki handlowe oraz galery wojenne, owszem, mieli, ale było ich nieproporcjonalnie mniej niż sił na lądzie. Wiele ich statków kursowało częściej w górę i w dół wielkiej rzeki aniżeli wzdłuż morskich wybrzeży.

Stygijczycy byli prądawną rasą, mrocznym, nieprzeniknionym ludem, potężnym i bezlitosnym. Dawno temu ich władza rozciągała się daleko na północ od Styxu, poza łąki Shemu, aż na żyzne

wyżyny zamieszkane teraz przez ludy Koth, Ophiru oraz Argos. Dzielili granicę ze starożytnym Acheronem. Lecz Acheron upadł i barbarzyńscy przodkowie Hyboryjczyków w wilczych skórach i rogatych hełmach napłynęli ku południu, wypierając starożytnych władców tych ziem. Stygijczycy tego nie zapomnieli.

Przez cały dzień *Śmiałek* stał na kotwicy w maleńkiej zatoce otoczonej zielonym gałęziami i splątanymi pnączami, przez które przelatywały barwnie upierzone ptaki o chrapliwych głosach i pośród których prześlizgiwały się bezgłośnie gady o jasnych łuskach. Gdy miało się ku zachodowi, wypłynęła z niej mała łódka i poczęła posuwać się wzdłuż wybrzeża, poszukując i odnajdując to, czego Cimmeryjczyk pragnął – stygijskiego rybaka w jego płytkiej łodzi o tępym dziobie.

Przewieziono go na pokład *Śmiałka* – wysokiego, ciemnego mężczyznę o długich członkach, spopielalego ze strachu przed porywaczami, którzy byli ogami tego wybrzeża. Był nagi z wyjątkiem jedwabnych, luźnych spodni, gdyż jak u Hyrkańczyków, tak pospólstwo, jak i niewolnicy w Stygii nosili jedwabie, a w jego łodzi znajdował się szeroki płaszcz, taki jak te, które rybacy zarzucają na ramiona, chroniąc się przed chłodem nocy.

Ten upadł na kolana przed Conanem, spodziewając się mąk i śmierci.

– Stań na nogi, człowieku, i przestań się trząść – powiedział niecierpliwie Cimmeryjczyk, któremu trudno było pojąć tak służalcze przerażenie. – Nie zostaniesz skrzywdzony. Powiedz mi tylko jedno: czy jakaś galera, czarna, szybka galera powracająca z Argos, zawinęła do Khemi w ciągu kilku ostatnich dni?

– Tak jest, panie mój – odpowiedział rybak. – Ledwie wczoraj o

świcie kapłan Thutothmes powrócił z wyprawy daleko na północ. Mówią, że był w Messantii.

– Co przywiózł z Messantii?

– Tegoż, panie mój, nie wiem.

– Dlaczego popłynął do Messantii? – dopytywał Conan.

– Nie wiem, panie mój. Jestem jedynie prostym człowiekiem. Kim jestem, aby znać zamysły kapłanów Seta? Mogę mówić tylko o tym, co widziałem, co posłyszałem wśród szeptów na nabrzeżu. Mówią, że na południe przybyły wieści o wielkiej wadze, choć o czym, tego nikt nie wie. A dobrze wiadomo, iż pan Thutothmes odbijał na swej czarnej galerze w wielkim pośpiechu. Teraz powrócił, lecz co robił w Argos i jaki ładunek przywiózł z powrotem, nikt nie wie, nawet marynarze, którzy prowadzili jego statek. Mówią, że przeciwstawił się Thoth-Amonowi, który jest mistrzem wszystkich kapłanów Seta i mieszka w Luxurze, i że Thutothmes poszukuje ukrytej mocy, aby obalić Największego. Ale kim jestem, by o tym mówić? Kiedy kapłani wojują ze sobą, zwykły człowiek może lec tylko twarzą ku ziemi i mieć nadzieję, że nikt go nie rozdepcze.

Na tak służalczą filozofię Conan warknął z niecierpliwym rozdrażnieniem i zwrócił się do swoich ludzi:

– Pójdę sam do Khemi, aby odszukać tego złodzieja Thutothmesa. Trzymajcie tego człowieka jako więźnia, ale uważajcie, by nie wyrządzić mu krzywdy. Na diabły Croma, skończcie to zawodzenie! Uważacie, że możemy wpłynąć do portu i wziąć miasto szturmem? Muszę pójść sam.

Uciszywszy zgiełk protestów, zdjął swój strój i przywdział jedwabne spodnie i sandały więźnia oraz opaskę na włosy owego człowieka, wżgardziwszy jednakże krótkim rybackim nożem.

Zwykłym ludziom w Stygii nie wolno było nosić broni, a płaszcz nie był dość obszerny, aby ukryć długie ostrze Cimmeryjczyka. Conan przypiął wszak na biodrze nóż ghanatański – szerokie, mocne, lekko zakrzywione ostrze ze znakomitej stali, wyostrzone jak brzytwa i dość długie, by rozczłonkować człowieka – broń używaną przez gwałtownych ludzi pustyni, jacy mieszkali na południe od Stygijczyków.

Potem, zostawiwszy rybaka pod strażą korsarzy, wszedł do jego łódki.

– Czekać na mnie do świtu – oznajmił. – Gdybym wówczas nie przybył, nie przybędę nigdy, więc spieszcie ku południu do swych domów.

Kiedy przeszedł przez nadburcie, wznieśli żałosny lament nad jego odejściem, aż nie ukazał im na powrót swej głowy i nie skłął ich, by byli cicho. Wtedy opadł do łódki, chwycił za wiosła i wystrzelił maleńką łupiną po falach szybciej, niż kiedykolwiek wcześniej czynił to jej właściciel.



XVII

„ZABIŁ ŚWIĘTEGO SYNA SETA!”



Port Khemi położony był pomiędzy dwoma wielkimi, wystającymi cyplami, które wybiegały w ocean. Conan okrążył cypel południowy, gdzie wielkie czarne zamki wznosiły się niczym uczynione ludzką ręką wzgórza, i wszedł do portu dokładnie o zmierzchu, kiedy nadal dość było światła, żeby obserwatorzy rozpoznali rybacką łódkę oraz płaszc, lecz nie tyle, aby pozwolić im dostrzec zdradzieckie szczegóły. Niezaczepiany przez nikogo pokonał drogę pośród wielkich czarnych galer wojennych, stojących niemo, bez świateł na kotwicy, i podpłynął do szerokich kamiennych schodów, jakie wychodziły z wody. Tam przywiązał swoją łódkę do stalowego pierścienia osadzonego w kamieniu, podobnie jak przycumowano liczne podobne jednostki. Nie było nic dziwnego w rybaku pozostawiającym tam swą łódkę. Nikt poza

rybakami nie znalazłby dla niej zastosowania, a ci nie okradali siebie nawzajem.

Nikt nie obrzucił go więcej niż zdawkowym spojrzeniem, kiedy wspinał się po długich stopniach, unikając pochodni płonących w pewnych odstępach nad pluszczącą czarną wodą. Zdawał się nikim więcej, jak tylko zwykłym rybakiem powracającym z pustymi rękami po bezowocnym dniu przemierzania wybrzeża. Gdyby ktoś przyjrzał mu się dokładniej, mogłoby się mu wydać, iż jego krok jest nadto sprężysty i stanowczy, a postawa jakoś zbyt prosta i pewna siebie jak na łowiącego ryby plebejusza. Szedł jednak prędko, trzymając się w cieniu, a stygijskie pospólstwo nie było skłonne do zgłębiania takich spraw bardziej od pospólstwa mniej egzotycznych ras.

Budową nie różnił się od stygijskiej kasty wojowników, którzy byli rasą wysoką i muskularną. Ogorzały od słońca, był prawie tak ciemny jak wielu z nich. Jego czarne włosy, przycięte prosto, opięte miedzianą taśmą, to podobieństwo jeszcze zwiększały. Cechą, jaka odróżniała go od nich, była delikatna różnica w sposobie chodzenia oraz jego obce rysy i niebieskie oczy.

Ale płaszcz stanowił dobre przebranie, a on trzymał się mroku, jak tylko to było możliwe, odwracając głowę, kiedy jakiś tubylec mijał go zbyt blisko.

Była to wszak gra wysoce ryzykowna i wiedział, że nie uda mu się długo tym podstępem posługiwać. Khemi nie było jak porty morskie Hyboryjczyków, gdzie rojno jest od przedstawicieli wszelakich ras. Tu jedynymi obcymi byli negroidzi albo shemiccy niewolnicy, a on nie przypominał ich nawet w takim stopniu, w jakim przypominał samych Stygijczyków. Przybysze nie byli mile

widziani w miastach Stygii; tolerowano ich tylko, kiedy przybyli jako ambasadorowie bądź koncesjonowani handlowcy. Ale nawet tym ostatnim nie pozwalano schodzić na ląd po zmroku. A obecnie żaden hyboryjski statek nie stał w porcie. Przez miasto przebiegał dziwny niepokój, jakieś ożywienie pradawnych ambicji, szeptów, których nikt nie potrafił sprecyzować, z wyjątkiem samych szepczących. To coś, co Conan bardziej odczuwał, niż wiedział; jego wyostrzone prymitywne instynkty badały niespokojne otoczenie.

Gdyby go odkryto, jego los byłby upiorny. Zabili go już za to, że jest cudzoziemcem; jeśli rozpoznałoby w nim Amrę, wodza korsarzy, który omiatał ich wybrzeża ogniem i mieczem... Mimowolny dreszcz szarpnął szerokimi ramionami Cimmeryjczyka. Ludzkich wrogów się nie bał ani śmierci od stali czy ognia. Ale to był czarny kraj magii i bezimiennej grozy. Stary Wąż Set, jak mówili ludzie, wygnany dawno temu spośród narodów hyboryjskich, wciąż jeszcze czał się w mroku tajemnych świątyń, gdzie w spowitych ciemnością sanktuariach popełniano czyny okropne i skryte.

Zszedł już z ulic przybrzeżnych i ich szerokich stopni wiodących do wody i właśnie wkraczał na długie, mroczne ulice głównej części miasta. Nie było tu obrazów, jakie proponowały wszystkie miasta hyboryjskie – żadnych świecących lamp i pochodni, z barwnie odzianymi ludźmi śmiejącymi się i przechadzającymi chodnikami, czy z szeroko otwartymi sklepami i straganami wystawiającymi swoje towary na pokaz.

Tutaj stragany zamykano o zmierzchu. Jedyne światłem na ulicach były płonące, dymiące pochodnie rozmieszczone w wielkich odstępach. Stosunkowo niewielu ludzi chadzało ulicami; szli

pospiesznie, bez słowa, a ich liczba spadała wraz z coraz późniejszą godziną. Conan uznał ten obraz za smutny i nierealny; milczenie ludzi, ich ukradkowy pośpiech, wielkie ściany z czarnego kamienia, które wznosiły się po obu stronach ulic. W architekturze stygijskiej tkwiła jakaś surowa ocieężałość, przytłaczająca i przygnębiająca.

Niewielka liczba świateł widoczna była wyłącznie w górnych partiach budynków. Conan wiedział, że większość ludu zaległa na płaskich dachach pod gwiazdami, pośród palm stworzonych sztucznie ogrodów. Skądś dochodził pomruk dziwacznej muzyki. Spiżowy rydwan zaturkotał sporadycznie po kamiennych płytach i na krótko przed oczami mignął jakiś wysoki nobil o orlej twarzy, otulony jedwabnym płaszczem i w złotej opasce z uniesioną głową węża podtrzymującej czarną grzywę włosów, albo hebanowy nagi woźnica stojący szeroko na nogach, których mięśnie zawęzły się, stawiając opór narowistości nieobliczalnych stygijskich koni.

Jednakże lud, jaki przemierzał ulice pieszo, stanowiło pospólstwo, niewolnicy, handlarze, ladacznicze i robotnicy, ale także ich, w miarę jak posuwał się naprzód, było coraz mniej. Zmierzał w kierunku świątyni Seta, gdzie, jak wiedział, miał szansę odnaleźć kapłana, którego poszukiwał. Mniemał, iż pozna Thutothmesa, gdy go zobaczy, choć mignął mu on tylko raz w półmroku messantiańskiej alei. Co do tego, że owym człowiekiem, którego wówczas tam widział, jest kapłan, miał pewność. Tylko okultyści postawieni wysoko w gmatwaninie odrażającego Czarnego Pierścienia posiadli moc czarnej ręki, która zadawała śmierć przez dotyk, i tylko taki człowiek odważyłby się przeciwstawić Thoth-Amonowi, którego świat zachodni znał jedynie jako budzącą paniczny strach postać rodem z mitów.

Ulica się rozszerzała i Conan uświadomił sobie, że dostał się do części miasta przeznaczonej pod świątynie. Wielkie konstrukcje wznosiły swe czarne cielska na tle zamglonych gwiazd, posepne, niewymownie groźne w blasku niewielu pochodni. I nagle gdzieś przed sobą, po drugiej stronie ulicy, posłyszał cichy krzyk kobiety – nagiej kurtyzany noszącej wysoko upiętą fryzurę z piórami charakterystyczną dla jej klasy społecznej. Cofała się, kuląc, pod ścianę wpatrzona w coś, czego jeszcze nie mógł dostrzec. Na jej okrzyk tych niewielu ludzi obecnych na ulicy zatrzymało się nagle, jakby zastygli. I w tej samej chwili Conan pojął sens złowieszczego szurania przed sobą. Wtem zza mrocznego rogu budynku, do którego się zbliżał, wyskoczył odrażający łeb w kształcie klina, a za nim zwój za zwojem napłynął falujący, połyskujący ciemno korpus.

Conan odskoczył, wspomniawszy opowieści, jakie niegdyś słyszał – węże były poświęcone Setowi, bogu Stygii, który, jak mówiono, sam był wężem. Potwory takie jak ten trzymano w świątyniach Seta, a kiedy zgłodniały, pozwalano im wypełzać na ulice i brać sobie zdobycz, której zapragnęły. Ich upiorne uczty uważano za ofiary dla łuskowatego boga.

Stygijczycy w zasięgu wzroku Conana, mężczyźni i kobiety, padli na kolana i biernie oczekiwali na swój los. Ten, którego wielki wąż wybierze, owinięty zostanie łuskowatymi zwojami, zgnieciony na krwawą miazgę i połknięty, jak węzowate połykają mysz. Pozostali przeżyją. Taka była wola bogów.

Nie była to jednak wola Conana. Pyton przesunął się w jego stronę i uwagę węża przyciągnął prawdopodobnie fakt, iż był jedynym człowiekiem w polu widzenia wciąż stojącym prosto. Schwyciwszy mocno wielki nóż pod płaszczem, Cimmeryjczyk

liczył, że ośliżę bydlę go minie. Ale zatrzymało się przed nim i uniosło przerażający łeb w migocącym świetle pochodni; jego rozwidlony język wysuwał się i znikał, zimne oczy połyskiwały starożytnym okrucieństwem wężowego ludu. Wygiął kark w łuk, lecz zanim zdołał wystrzelić, Conan błyskawicznym ruchem wysunął spod płaszcza nóż i uderzył jak błyskawica. Szerokie ostrze rozszczepiło klinowaty łeb i weszło głęboko w gruby kark.

Conan wyszarpnął nóż i odskoczył, gdy wielkie cielsko zawęzłało się, pętiło i smagało straszliwie w przedśmiertnych spazmach. Przez chwilę stał, przyglądając się z niezdrową fascynacją, a jedynym odgłosem były głuche uderzenia i smagnięcia wężowego ogona o kamienie.

Wtem z ust zszokowanych wyznawców buchnął straszny krzyk:
– Błuznierca! Zabił świętego syna Seta! Zabić go! Zabić! Zabić!

Wokół śmignęły kamienie, a opętani szaleństwem Stygijczycy ruszyli na niego, wrzeszcząc przeraźliwie, podczas gdy zewsząd z domów wyłaniali się inni i dołączali do owego krzyku. Cimmeryjczyk odwrócił się z przekleństwem i wypalił w czarny wlot jakiejś alei. Biegając bardziej na wyczucie, niż kierując się wzrokiem, słyszał za sobą tupot bosych stóp na kamiennych płytach, a ściany odbijały echem mściwe zawołania jego prześladowców. Nagle lewą ręką natrafił na przerwę, więc skręcił ostro w kolejną, węższą alejkę. Po obu stronach wyrastały pionowe czarne kamienne ściany. Wysoko ponad głową dostrzegł cienkie pasmo gwiazd. Te olbrzymie mury, co wiedział, stanowiły ściany świątyń. Za sobą dosłyszał, iż sfora przemknęła obok czarnego wlotu alejki. Ich wołania stały się odleglejsze, aż zanikły. Przegapili mniejszą alejkę i pobiegli prosto w ciemności. On także musiał

zmierzać prosto przed siebie, choć myśl o natknięciu się w mroku na kolejnych „synów” Seta napawała go dreszczem grozy.

Wtem gdzieś z przodu wyłapał poruszającą się poświatę, taką jak od pełznącego świetlika. Zatrzymał się, rozplaszczywszy na ścianie, i ścisnął nóż. Wiedział, co to jest: zbliżający się człowiek z pochodnią. Była ona już tak blisko, że mógł dostrzec trzymającą ją ciemną dłoń i niewyraźny owal ciemnej twarzy. Jeszcze parę kroków i ów człowiek z pewnością go ujrzy. Przysiadł niczym przyczajony tygrys... Pochodnia się zatrzymała. Poświata wydobyła na krótko z mroku jakieś drzwi, podczas gdy niosący ją przy nich gmerał. Potem drzwi się otwarły i wysoka postać zniknęła w środku, a ciemność ponownie wypełniła alejkę. Ta przemykająca postać miała w sobie jakąś złowrogą sugestię i skrytość; być może był to kapłan powracający po załatwieniu jakiejś mrocznej sprawy.

Conan jednak ruszył po omacku w stronę drzwi. Jeśli jeden człowiek nadszedł alejką z pochodnią, inni też mogli nadejść o każdym czasie. Wycofać się tą samą drogą, którą przybył, znaczyło wybiec wprost na tłum, przed którym uciekał. W każdej chwili ludzie mogli powrócić, odnaleźć węższą alejkę i ruszyć nią z wyciem. Czuł się osaczony przez te pionowe, nieosiągalne ściany, pragnąc ucieczki, nawet jeśli ucieczka oznaczała wtargnięcie do jakiegoś nieznanego budynku.

Ciężkie spiżowe drzwi nie były zaryglowane. Otwarły się pod jego palcami i zajrzał przez szparę. Zaglądał do wielkiej kwadratowej izby z masywnego czarnego kamienia. W ściennej niszy tliła się pochodnia. Izba była pusta. Prześliznął się przez powlekane żywicą drzwi i zamknął je za sobą.

Jego obute w sandały stopy nie wydawały żadnego dźwięku, kiedy przecinał czarną marmurową posadzkę. Jakies tekowe drzwi były uchylone i wśliznąwszy się w nie z nożem w dłoni, wszedł do wielkiego, cienistego, skrytego w półmroku pomieszczenia, w którym istnienie wyniosłego sufitu sugerowały tylko wysoko w górze ciemności, ku którym wspinały się czarne ściany. Z każdej strony tej wielkiej, cichej sali wchodziły do niej czarne portale przejść. Rozświetlały ją osobliwe spizowe lampy dające niesamowite, przyćmione światło. Po drugiej stronie tej wielkiej sali czarne schody bez poręczy pięły się ku górze, by zginąć w mroku, a nad jego głową z wszystkich stron, niczym czarne kamienne półki, biegły niewyraźnie widoczne galerie.

Conana przeszedł dreszcz. Znajdował się w świątyni jakiegoś stygijskiego boga, jeśli nie samego Seta, to kogoś tylko niewiele mniej ponurego. I temu sanktuarium nie brakło mieszkańca. Pośrodku wielkiej nawy stał czarny kamienny ołtarz, masywny, posepny, bez rzeźbień czy zdobień, a na nim spoczywały zwoje jednego z wielkich świętych węży, którego opalizujące łuski migotały w świetle lamp. Nie poruszał się, a Conan wspomniał opowieści, iż kapłani utrzymują te stworzenia okresowo pod wpływem narkotyku. Cimmeryjczyk postawił niepewny krok, odrywając się od drzwi, gdy wtem, drgnąwszy, cofnął się raptownie nie do pomieszczenia, z którego właśnie wyszedł, lecz do okrytej aksamitną zasłoną niszy. Gdzieś w pobliżu posłyszał miękkie kroki.

Z jednego z czarnych portali wyłoniła się wysoka, mocarna postać w sandałach i jedwabnej przepasce biodrowej, z szerokim płaszczem spływającym z ramion. Lecz twarz oraz głowa

pozostawały ukryte pod potworną maską o na wpół zwierzęcych, na wpół ludzkich rysach, na której szczycie powiewał pióropusz ze strusich piór.

W pewnych ceremoniach kapłani stygijscy występowali w maskach. Cimmeryjczyk miał nadzieję, że człowiek ten go nie odkryje, lecz jakiś instynkt ostrzegł Stygijczyka. Skręcił nagle z obranej drogi, którą najwyraźniej stanowiły schody, i począł kroczyć wprost ku niszy. Kiedy szarpnął w bok aksamitną kotarę, z mroku wyskoczyła ręka, zgmiotła krzyk w jego gardle i wciągnęła go gwałtownie do alkowy, gdzie nadział się na nóż.

Następny ruch Conana był oczywistością podsuniętą przez logikę. Uniósł szczerzącą się maskę i nasunął ją na własną głowę. Płaszcz rybaka narzucił na ciało kapłana, które schował za kotarą, a płaszcz kapłański na swoje obszerne ramiona. Los podarował mu przebranie. Całe Khemi może równie dobrze poszukiwać teraz bluźniercy, który ośmielił się bronić przed świętym wężem, ale komu przyśni się szukać go pod maską kapłana?

Odważnie wyszedł z alkowy i na chybił trafił skierował się ku jednemu ze sklepionych przejść, lecz nie uczynił jeszcze tuzina kroków, kiedy obrócił się ponownie ze wszystkimi zmysłami wyczulonymi na niebezpieczeństwo.

Po schodach schodziła rzędem grupa postaci przystrojonych dokładnie tak jak on. Zawahał się, przyłapany na otwartej przestrzeni, i stał nieruchomo, pokładając ufność w swym przebraniu, choć zimny pot zebrał mu się na czole i we wnętrzach dłoni. Nie padło ani jedno słowo. Niczym zjawy zstąpili oni do wielkiej nawy i przeszli obok niego w kierunku czarnego portalu. Prowadzący niósł hebanową laskę, na której wspierała się

szczyrząca zęby biała czaszka, i Conan pojął, że jest to jedna z owych rytualnych procesji, tak niewytłumaczalnych dla cudzoziemca, które jednak odgrywały trwałą i często złowróżbną rolę w religii stygijskiej. Ostatnia postać zwróciła nieznacznie głowę w stronę nieruchomego Cimmeryjczyka, jak gdyby spodziewając się, że podąży za nimi. Nieuczynienie tego, czego od niego w sposób oczywisty oczekiwano, wzbudziłoby natychmiast podejrzenia. Conan zajął miejsce w szeregu za ostatnim i dopasował swój krok do ich miarowego tempa.

Przemierzali długi, ciemny, sklepiony korytarz, w którym, co Conan zauważył z niepokojem, czaszka na lasce zajaśniała fosforyzująco. Poczul napływ bezrozumnej, dzikiej, zwierzęcej paniki, która przynaglała go do wyrwania noża i chlastania na prawo i lewo owych niesamowitych postaci, aby umknąć szaleńczo z tej posępnej, mrocznej świątyni. Powstrzymał się jednak, zwalczył niejasne potworne przeczucia, jakie narosły w głębi jego umysłu i zaludniły mrok pełnymi grozy, cienistymi postaciami, i po chwili ledwie zdusił westchnienie ulgi, kiedy minęli uchylne w obie strony drzwi, które były trzykrotnie większe od człowieka, i wyszli na światło gwiazd.

Conan dumiał, czy nie poważyć się na to, aby zniknąć w jakiejś ciemnej alei, ale zawahał się, niepewny, i dalej kroczył z pozostałymi w milczeniu długą, ciemną ulicą, podczas gdy inni ludzie, kiedy ich spotykali, odwracali głowy i uciekali. Procesja trzymała się z dala od ścian; skręt i szybkie czmychnięcie w którąś z alejek, jakie mijali, zbyt rzuciłoby się w oczy. Kiedy tak szykował się i przeklinał w myślach, przybyli do nisko sklepionej bramy w południowym murze i przeszli przez nią rzędem. Przed

nimi i wokół nich stały skupiska niskich lepierek o płaskich dachach oraz palmowe gaje, nierzeczywiste w blasku gwiazd. Teraz albo nigdy, pomyślał Conan. Nadszedł czas, by uwolnić się od milczących towarzyszy.

Jednak w chwili, gdy brama została za ich plecami, owi towarzysze przestali być milczący. Podekscytowani zaczęli mamrotać między sobą. Porzucili miarowy, rytualny krok, a laska z czaszką została bezceremonialnie wetknięta pod pachę prowadzącego. Cała grupa złamała szyk i pospieszyła naprzód. A Conan spieszył z nimi. W cichym pomruku głosów wyłapał bowiem pewne słowo, które pobudziło go do działania. Słowo to brzmiało: „*Thutothmes!*”.



XVIII

„JESTEM KOBIETĄ, KTÓRA NIGDY NIE UMARŁA”



Conan przypatrywał się swoim zamaskowanym towarzyszom, płonąc z ciekawości. Jeden z nich był Thutothmesem albo też celem grupy było spotkanie z człowiekiem, którego poszukiwał. I pojął, co owym celem było, gdy za palmami ujrzał przelotnie czarną trójkątną sylwetę mającą na tle mrocznego nieba.

Minęli pasmo chat i gajów i jeśli ktokolwiek ich widział, zadbał o to, by nie ukazywać siebie samego. Chaty pozostawały ciemne. Za nimi czarne wieże Khemi wznosiły się posępnie między gwiazdami, które odbijały się w wodach portu; przed nimi w niewyraźnej ciemności rozciągała się pustynia; gdzieś począł ujadać szakal. Szybko śmigające sandały milczących neofitów nie czyniły na piasku żadnego hałasu. Mogli być duchami posuwającymi się w

stronę owej ogromnej piramidy, jaka wyrosła z mroku pustyni. Ponad uśpioną okolicą nie rozbrzmiewał żaden inny dźwięk.

Serce Conana zabiło szybciej, kiedy spojrzał na ponury czarny klin, jaki odcinał się na tle gwiazd, a jego niecierpliwość, by znaleźć się blisko Thutothmesa, bez względu na konflikt, jaki to spotkanie mogło oznaczać, pozostawała niezmiennie strachem przed nieznanym. Żaden człowiek nie był w stanie zbliżyć się bez obaw do tych posępnych budowli z czarnego kamienia. Sama ich nazwa stanowiła pośród narodów północnych symbol odstręczającej okropności. Mówiono, iż były już na tej ziemi, kiedy ciemnoskóry lud przybył do krainy wielkiej rzeki, jakkolwiek niepomiernie dawno to nastąpiło.

Kiedy zbliżyli się do piramidy, spostrzegł u jej podstawy przyćmioną lunę, jaka wkrótce okazała się przejściem, z którego obu stron przysiadły kamienne lwy o głowach kobiet, zagadkowe, nieprzeniknione, senne koszmary uwidocznione w najdrobniejszych szczegółach w kamieniu. Prowadzący grupę zmierzał wprost ku drzwiom, w których głębokiej studni Conan ujrzał jakąś tajemniczą postać.

Prowadzący zatrzymał się na chwilę obok tej niewyraźnej postaci, a potem zniknął w ciemnym wnętrzu, a inni, jeden po drugim, podążali w jego ślady. Kiedy każdy z zamaskowanych kapłanów mijał posępny portal, był na krótko zatrzymywany przez zagadkowego strażnika i następowała pomiędzy nimi jakaś wymiana słów albo gestów, których Conan nie był w stanie wyłapać. Pojmując to, zaczął celowo zostawać w tyle i pochyliwszy się, udawał, że grzebie przy wiązaniu swojego sandała. Dopiero gdy ostatnia z zamaskowanych postaci zniknęła, wyprostował się i

zbliżył do portalu.

Wspomniawszy posłyszane niegdyś historie, z niepokojem rozważał, czy strażnik świątyni okaże się człowiekiem. Odegnął však swe wątpliwości. Przygaszona spiżowa latarnia jaśniała akurat w samych drzwiach, oświetlając długi, wąski korytarz, jaki uciekał w mrok, i owiniętego szerokim czarnym płaszczem człowieka stojącego w milczeniu u jego wylotu. W zasięgu wzroku nie było nikogo więcej. Widocznie zamaskowani kapłani zniknęli w głębi budowli.

Ponad płaszczem zaciągniętym na dolną część twarzy przyglądały się Conanowi wnikliwie przeszywające oczy Stygijczyka. Lewą ręką uczynił on osobliwy gest. Podejmując ryzyko, Cimmeryjczyk spróbował go naśladować. Najwyraźniej jednak oczekiwany był gest inny; spod płaszcza ukazała się błyszcząca stalą prawa ręka Stygijczyka i mordercze pchnięcie przebiłoby serce zwykłego człowieka.

Jednak miał on do czynienia z kimś, kogo mięśnie i ścięgna posiadały moc bagiennego kota. Kiedy tylko sztylet błysnął w przyćmionym świetle, Conan złapał smagły nadgarstek i trzasnął zaciśniętą prawą pięścią w szczękę Stygijczyka. Głowa tamtego odskoczyła na kamienną ścianę z głuchym chrupnięciem, które powiedziało wszystko o pękniętym czerepie.

Stojąc nad nim przez chwilę, Cimmeryjczyk nasłuchiwał uważnie. Latarnia płonęła słabym ogniem, rzucając wokół drzwi niewyraźne cienie. Nic nie poruszyło się w ciemności poza światłem, choć zdało mu się, że gdzieś głęboko pod sobą wychwyił nikłe, przytłumione brzmienie gongu. Pochylił się i wciągnął ciało za wielkie spiżowe drzwi, które otwarte były szeroko do wewnątrz,

a potem poszedł ostrożnie, lecz prędko w głąb korytarza ku przeznaczeniu, którego nawet nie próbował odgadnąć.

Nie zaszedł daleko, kiedy przystanął zdumiony. Korytarz rozwidłał się w dwa odgałęzienia, a on nie miał najmniejszego pojęcia, które obrali zamaskowani kapłani. Na chybił trafił wybrał lewe. Podłoga chyliła się lekko ku dołowi i wydeptana była na gładko, jak przez wiele stóp. Tu i tam przygaszona latarnia rzucała słaby upiorny półcień. Conan zastanawiał się z niepokojem, w jakim celu i w jakiej zapomnianej epoce te olbrzymie budowle wzniesiono. Był to starożytny, pradawny kraj. Żaden człowiek nie wiedział, od ilu wieków czarne świątynie Stygii spoglądają wyzywająco w stronę gwiazd.

Wąskie czarne portale otwierały się sporadycznie na prawo i na lewo, ale on trzymał się korytarza głównego, jakkolwiek narastało w nim przekonanie, iż obrał złe odgałęzienie. Nawet mimo przewagi, jaką mieli nad nim, powinien do tego czasu dogonić kapłanów. Stawał się coraz bardziej nerwowy. Cisza była omalże namacalna, a mimo wszystko miał uczucie, że nie jest sam. Więcej niż raz, mijając zaciemniony portal, zdawał się wyczuwać utkwione w nim spojrzenie niewidocznych oczu. Wreszcie się zatrzymał, na wpół zdecydowany zawrócić do miejsca, gdzie korytarz rozgałęział się po raz pierwszy. Nagle odwrócił się ze wzniesionym nożem, czując mrowienie w każdym z nerwów.

U wylotu pomniejszego tunelu stała jakaś dziewczyna, przypatrując mu się nieruchomym wzrokiem. Jej skóra o barwie kości słoniowej wskazywała, iż jest Stygijką z jakiejś starożytnej rodziny nobilów, i podobnie jak wszystkie tego typu kobiety, była wysoka, gibka, o zmysłowej figurze. Jej włosy stanowiły burzę

czarnej piany, pośród której lśnił skrzący się rubin. Oprócz aksamitnych sandałów oraz szerokiego, nabijanego klejnotami pasa na smukłej talii była całkiem naga.

– Co tu robisz? – zapytała.

Odpowiedź zdradziłaby jego obce pochodzenie. Pozostał w bezruchu: groźna, posępna postać w szkaradnej masce z powiewającym nad głową pióropuszem. Jego czujne oczy przeszukały ciemności za jej plecami, nie znajdując niczego. Wszak w zasięgu jej okrzyku mogły tkwić całe hordy wojowników. Podeszła w jego stronę, najwyraźniej bez obaw, choć podejrzliwie.

– Nie jesteś kapłanem – stwierdziła. – Jesteś wojownikiem. To jasne nawet w tej masce. Pomiędzy kapłanem a tobą istnieje taka rozbieżność, jak między mężczyzną a kobietą. Na Seta! – wykrzyknęła, zatrzymując się nagle z płonącymi, rozszerzonymi oczami. – Nie sądzę, abyś był nawet Stygijczykiem!

Ruchem zbyt szybkim, żeby oko mogło za nim nadążyć, jego dłoń zamknęła się na jej kształtnej szyi lekko niczym w piesszczocie.

– Cicho sza! – mruknął.

Jej gładkie, bielutkie ciało było zimne niczym marmur, a nadto w taksujących go uważnie szerokich, ciemnych, cudnych oczach nie było strachu.

– Nie bój się – rzekła spokojnie. – Nie zdradzę cię. Ale czyś jest szalony, nieznamy cudzoziemcze, że przybywasz do zakazanej świątyni Seta?

– Szukam kapłana Thutothmesa – odparł. – Czy jest w tej świątyni?

– Czemu go poszukujesz? – odbiła pytanie.

– Ma coś mojego, co zostało skradzione.

– Zaprowadzę cię do niego – zadeklarowała tak nagle, że z miejsca wzbudziła jego podejrzenia.

– Nie igraj ze mną, dziewczyno – warknął.



– Nie igram z tobą. Nie mam wiele miłości dla Thutothmesa.

Zawahał się, a potem podjął decyzję; ostatecznie był w jej mocy

tak samo jak ona w jego.

– Idź obok mnie – rozkazał, przenosząc uchwyt z jej gardła na nadgarstek. – Ale idź ostrożnie. Jeśli uczynisz jakiś podejrzany ruch...

Poprowadziła go pochyłym korytarzem, coraz bardziej w dół, gdzie nie było już latarni i musiał wyszukiwać drogę po omacku, mniej świadom kobiety u swego boku poprzez wzrok, a bardziej przez odczucia – fizyczne i zmysłowe. Raz, kiedy do niej przemówił, odwróciła głowę w jego stronę, a on zląkł się, widząc, że oczy jaśnieją jej w ciemności niby złoty płomień. Jego umysł nawiedzały niejasne wątpliwości i mgliste, potworne podejrzenia, ale podążał za nią przez pogmatwany labirynt czarnych korytarzy, który zmylił nawet jego pierwotne wyczucie kierunku. W myślach przeklinał siebie jako głupca, który pozwala wieść się w siedlisko czarnej tajemnicy, lecz obecnie było już za późno, aby zawrócić. Ponownie wyczuł życie i ruch w mroku przed sobą; instynkt mówił mu o niebezpieczeństwie i głodzie płonącym w czerni. Jeżeli uszy go nie zwiodły, pochwycił nikły odgłos ślizgania, który zgasł i oddalił się na rozkaz wymruczany przez dziewczynę.

Wprowadziła go ona w końcu do komory oświetlonej dziwnym siedmioramiennym kandelabrem, na którym niesamowicie paliły się czarne świece. Pojął, że znaleźli się głęboko pod ziemią. Komora była kwadratowa, o ścianach i stropie z polerowanego czarnego marmuru, umeblowana na modłę pradawnych Stygijczyków; znajdowała się tu sofa z hebanu okryta czarnym aksamitem, a na czarnym kamiennym katafalku spoczywał rzeźbiony sarkofag.

Conan przystanął, trwając w oczekiwaniu i przypatrując się rozmaitym czarnym portalom, jakie wchodziły do komory.

Dziewczyna nie wykonała jednak żadnego ruchu, by pójść dalej. Rozciągnąwszy się na sofie z kocią miękkością, splotła palce pod swą kształtną głową i popatrzyła uważnie na Cimmeryjczyka spod długich, przymkniętych rzęs.

– Więc? – spytał niecierpliwie. – Co teraz robisz? Gdzie Thutothmes?

– Nie ma pośpiechu – odrzekła leniwie. – Cóż to jest godzina... czy dzień, rok lub wiek? Zdejmij maskę. Daj mi ujrzeć swe oblicze.

Conan zsunął obszerny hełm z pomrukiem rozdrażnienia, a dziewczyna, kiedy obejrzała jego ciemną, poznaczoną bliznami twarz oraz płonące oczy, skinęła głową, jakby z aprobatą.

– Jest w tobie siła... wielka siła. Mógłbyś zadusić wołu.

Poruszył się niespokojnie. Jego podejrzliwość wzrosła. Z dłonią na rękojeści zerkał w mroczne portale.

– Jeśli sprowadziłaś mnie w pułapkę – rzekł – nie pożyczysz na tyle, by nacieszyć się dziełem swych rąk. Zamierzasz zejść z tej sofy i zrobić, jak obiecałaś, czy będę musiał...

Jego głos ucichł. Wpatrywał się w sarkofag, na którym oblicze zajmującej go osoby zostało wyrzeźbione w kości słoniowej z zaskakującą żywotnością zapomnianej sztuki. W tej wyrzeźbionej masce było coś znajomego i z pewnego rodzaju wstrząsem zdał sobie sprawę, co to jest: istniało zdumiewające podobieństwo pomiędzy nią a twarzą dziewczyny leżącej swobodnie na hebanowej sofie. Mogła stanowić model, z którego zdjęto tę maskę, ale wiedział, iż portret ów ma przynajmniej kilka wieków. Na powleczonej żywicą pokrywie nabazgrano jakieś archaiczne hieroglify i sięgnąwszy w głąb pamięci po pozostałości nauczania odebranego tu i tam jako skutek uboczny pełnego przygód życia,

przeliterował je i odczytał głośno:

– Akivasha!

– Słyszałeś o księżniczce Akivashy? – spytała dziewczyna na sofie.

– Któż nie słyszał? – mruknął.

Imię tej pradawnej, złej, pięknej księżniczki wciąż żyło ponad światem w piosence i w legendzie, choć już dziesięć tysięcy lat się przetoczyło, odkąd córka Tuthamona upajała się na szkarłatnych ucztach wśród czarnych sal starożytnego Luxuru.

– Jej jedynym grzechem było to, że kochała życie i wszystko, co nadaje życiu sens – powiedziała Stygijka. – By zdobyć życie, nęciła śmierć. Nie mogła znieść myśli, iż będzie się starzeć, usychać, nędznieć i umierać w końcu jako prukwa. Kokietowała Ciemność niczym kochanka, a jego dar stanowiło życie: życie, które nie będąc takim, jakie znają śmiertelnicy, nie może się nigdy zestarzeć i zwiędnąć. Weszła w mrok, by okpić upływający wiek oraz śmierć...

Conan spojrział na nią gniewnie oczami, które stały się nagle płonącymi szczelinami. Obrócił się i zerwał wieko z sarkofagu. Ten był pusty. Za jego plecami dziewczyna się roześmiała i ten dźwięk zmroził mu krew w żyłach. Odwrócił się z powrotem ku niej, a włoski na karku mu się zjeżyły.

– *Ty* jesteś Akivasha! – Zgrzytnął zębami.

Ona zaś się zaśmiała, strząsnęła w tył swe połyskujące pukle i zmysłowo rozpostarła ramiona.

– Jestem Akivasha! Jestem kobietą, która nigdy nie umarła, która nigdy się nie starzeje! Która, jak mówią głupcy, została uniesiona z ziemi przez bogów, by być królową na zawsze na jakichś niebieskich połoninach! Nie, to w mroku śmiertelnicy odnajdują

nieśmiertelność. Umarłam dziesięć tysięcy lat temu, żeby żyć na zawsze! Daj mi swe usta, siłaczu!

Powstawszy miękko, podeszła do niego, uniosła się na czubkach palców i zarzuciła ramiona wokół jego masywnego karku. Spojrzał gniewnie na jej zwrócone w górę piękne oblicze i uświadomił sobie swe straszliwe zauroczenie oraz lodowaty strach.

– Kochaj mnie! – wyszeptała, odrzucając głowę w tył, z zamkniętymi oczyma i rozchylonymi ustami. – Daj mi swej krwi, by odnowić mą młodość i utrwalić nieskończone życie. Ciebie także uczynię nieśmiertelnym! Nauczę cię mądrości wszystkich wieków, wszelkich tajemnic, jakie wytrwały poprzez eony w ciemności pod tymi mrocznymi świątyniami. Uczynię cię królem widmowej hordy, jaka hula pośród grobowców przedwiecznych, kiedy noc przesłania pustynię, a nietoperze śmigają na tle księżyca. Jestem znużona kapłanami, magami i pojmanymi dziewczynami przeciąganymi z wrzaskiem przez portale śmierci. Pragnę mężczyzny. Kochaj mnie, barbarzyńco!

Przycisnęła ciemną głowę do jego potężnej piersi, a on poczuł nagły, ostry ból u dołu gardła. Z przekleństwem oderwał ją od siebie i rzucił na posłanie.

– Przekłeta wampirzyca! – Z maleńkiej ranki na szyi ściekała mu krew.

Uniosła się na posłaniu niczym gotów uderzyć wąż, a w jej wielkich oczach płonęły wszystkie złociste ognie piekieł. Ściągnięte wargi odsłoniły białe, ostro zakończone zęby.

– Głupcze! – zaskrzeczała. – Sądzisz, że mi uciekniesz? Będziesz żyć i umrzesz w ciemności! Sprowadziłam cię głęboko pod świątynię. Sam nigdy nie odkryjesz, dokąd pójść. Nie zdołasz

wyrznąć sobie drogi przez tych, którzy strzegą tuneli. Gdyby nie moja osłona, synowie Seta mieliby cię w swych brzuchach dawno temu. Głupcze, jeszcze się napiję twojej krwi!

– Trzymaj się ode mnie z dala albo porznię cię na kawałki – warknął, a jego ciało zdrewniało z obrzydzenia. – Możesz być nieśmiertelna, ale stał cię rozczłonkuje.

Kiedy wycofywał się w stronę łuku, przez który wcześniej tu wszedł, światło nagle zniknęło. Wszystkie świece wygasły w jednej chwili, choć nie wiedział jak, gdyż Akivasha ich nie tknęła. Śmiech wampirzycy rozbrzmiał wszak drwiąco za jego plecami, jadowicie słodki niby smyczki piekieł, i Conan spocił się, błędząc po omacku w bliskim paniki poszukiwaniu przejścia. Jego dłonie napotkały otwór, w który dał nura. Czy było to przejście, jakim wcześniej wszedł, tego nie wiedział ani nie bardzo o to dbał. Jego jedyną myślą było wydostać się z tej nawiedzanej komory, która przez tyle wieków stanowiła dom pięknego, odrażającego, nieumarłego demona.

Jego wędrówka tymi czarnymi, krętymi tunelami była przyprawiającym o poty koszmarem. Za sobą i wokół siebie słyszał słabe odgłosy ślizgania się i przesuwania, a raz było to echo owego słodkiego, piekielnego śmiechu, który zasłyszał w komnacie Akivashy. Chlasnął zajadle poprzez dźwięk i ruch, jaki posłyszał albo miał wrażenie, że słyszy w pobliskiej ciemności, i w pewnej chwili jego miecz przeciął jakąś ustępującą pod naciskiem rzadką materię, którą mogły stanowić pajęczyny. Miał irytujące poczucie, że ktoś z nim igra, że jest wabiony coraz głębiej w ostateczny mrok, nim będzie wystawiony na demoniczne szpony i kły.

A przez jego strach przebiegała przyprawiająca o mdłości odraza

do dokonanego odkrycia. Legenda o Akivashy była strasznie stara, a pośród zaprawionych złem opowieści o niej przewijał się wątek urody oraz idealizmu, a także wiecznej młodości. Dla jakże wielu marzycieli, poetów i kochanków nie była ona wyłącznie złą księżniczką ze stygijskiej legendy, lecz symbolem nieśmiertelnej młodości i piękna błyszczącym na zawsze w jakimś odległym państwie bogów. A tu była ohydna rzeczywistość. To plugawe wynaturzenie stanowiło prawdę o tym trwającym wiecznie życiu. W jego fizyczną odrazę wdarło się poczucie zdruzgotanego marzenia o boskiej chwale człowieka, jej połyskujące złoto okazało się szlamem i kosmicznym brudem. Owionęła go fala poczucia daremności, niejasny strach przed fałszem wszelkich ludzkich marzeń i bogów.

I wiedział obecnie, że słuch nie płała mu figli. Był ścigany, a prześladowcy się zbliżali. W ciemności rozbrzmiewały szurania i suwanie, jakich nigdy nie wydałyby ludzkie stopy; nie, ani łapy żadnego ze zwykłych zwierząt. Być może świat podziemny posiadał własną faunę. Ta znajdowała się tuż za nim. Odwrócił się, by stawić jej czoło, choć nie mógł dostrzec niczego, i powoli zaczął wycofywać się tyłem. Wtem dźwięki umilkły, zanim jeszcze odwrócił głowę i ujrzał gdzieś w głębi długiego korytarza świetlistą łunę.

XIX

W SALI UMARŁYCH



Conan przemieszczał się ostrożnie w kierunku światła, jakie dostrzegł, z wyciągniętą głową i nadstawionym uchem. Choć nie rozległy się żadne inne odgłosy pościgu, *czuł*, iż ciemność jest brzemiennea świadomym życiem.

Łuna nie pozostawała nieruchoma – przesuwała się, podskakując groteskowo po drodze. Wówczas ujrzał jej źródło. Tunel, który przemierzał, przecinał w pewnej odległości przed nim inny, szerszy korytarz. I wzdłuż tamtego drugiego tunelu szła rzędem dziwaczna procesja – czterech wysokich, chudych mężczyzn w czarnych szatach z kapturem podpierających się laskami. Niczym zjawy mignęli w jego ograniczonym polu widzenia i zniknęli, pozostawivszy jako świadectwo swej obecności tylko słabnącą poświatę. Ich wygląd był niesamowity w sposób trudny do

opisania. Nie byli Stygijczykami ani nie przypominali kogokolwiek z tych, których Conan widział dotychczas. Wątpił nawet, czy są ludźmi. Byli niczym czarne duchy przemierzające upiornym krokiem nawiedzone tunele.

Jednak jego sytuacja nie mogła się stać bardziej rozpaczliwa od obecnej. Zanim odległe oświetlenie zniknęło, a nieludzkie stopy za jego plecami znów zaczęły się posuwać jego śladem, Conan biegł już korytarzem. Dał nura w ten drugi tunel i ujrzał daleko w jego głębi, małą z tej odległości, niesamowitą procesję poruszającą się w kręgu poświaty. Zaczął skradać się bezgłośnie za nią. Wtem, wzdrygnąwszy się, odskoczył i oparł się plecami o ścianę, kiedy ujrzał, jak tamci zatrzymują się i skupiwszy razem, naradzają nad jakąś sprawą. Zawrócili, jak gdyby po to, by znów przemierzyć swoją trasę, a Conan wśliznął się w najbliższe sklepione przejście. Błądząc na oślep w mroku, do którego przywykł na tyle, że potrafił już wszystko poza przeszyciem go wzrokiem, odkrył, iż tunel ten nie biegnie prosto, lecz zakolami. Usunął się za pierwszy zakręt, więc światło obcych nie powinno paść na niego, gdy będą przechodzić.

Kiedy jednak tam stał, zdał sobie sprawę, iż skądś zza jego pleców dochodzi ciche buczenie w rodzaju dźwięku podobnego do pomruku ludzkich głosów. Przemieściwszy się dalej korytarzem w tamtym kierunku, utwierdził się w swym przypuszczeniu. Porzucił pierwotny zamiar podążania za upiornymi podróżnikami do ich celu, jakikolwiek mógłby on być, i ruszył w kierunku głosów.

Wkrótce dostrzegł przed sobą przeblysk światła i skręciwszy w korytarz, z którego ono padało, ujrzał na jego drugim końcu portal wypełniony przyćmioną poświatą. Po lewej stronie odchodziły pod

górze wąskie kamienne schody, a instynktowna ostrożność podpowiedziała mu, by skręcił i wstąpił na nie. Głosy, które posłyszał, dochodziły zza rozświetlonego portalu.

Dźwięki pod nim słabły, w miarę jak się wspinał, i wkrótce, minawszy niskie sklepienie drzwi, wyszedł na rozległą otwartą przestrzeń rozświetlaną niesamowitym blaskiem.

Stał na ocienionej galerii, z której spoglądał na szeroką, oświetloną przyciemnionym światłem salę o kolosalnych rozmiarach. Była to sala umarłych, którą poza milczącymi kapłanami Stygii niewielu widziało. Wzdłuż ścian wznosiły się piętro za pięciem rzeźbione, malowane sarkofagi. Każdy stał we własnej niszy z ciemnego kamienia, a owe piętra pięły się coraz wyżej i wyżej, by zniknąć w mroku u góry. Tysiące rzeźbionych masek wpatrywało się beznamiętnie w grupę pośrodku sali, wyglądającą błaho i mało znacząco przy owych niezmiernych szeregach zmarłych.



W grupie tej było dziesięciu kapłanów i choć usunęli maski, Conan poznał tych, którym towarzyszył w drodze do piramidy. Stali przed wysokim człowiekiem o orlich rysach obok czarnego ołtarza, na którym zalegała jakaś mumia w butwiejących bandażach. Ołtarz ten zdawał się tkwić w samym sercu żywego ognia, jaki pulsował i migotał, rozsiewając dookoła po czarnym

kamieniu drobiny drążącego złocistego płomienia. Ta oślepiająca jasność biła z wielkiego czerwonego klejnotu, który spoczywał na ołtarzu, a w jego odblasku twarze kapłanów wyglądały na spopieliałe, podobne do trupich. Kiedy tak patrzył, Conan poczuł się przytłoczony tymi wszystkimi przebytymi nużącymi milami oraz męczącymi nocami i dniami długich poszukiwań i zadrżał od szaleńczego pragnienia, by rzucić się między tych milczących kapłanów, oczyścić sobie drogę potężnymi ciosami nagiej stali i pochwycić czerwony kamień zeszywniałą od pasji dłonią. Utrzymał się wszelako na wodzy żelaznej dyscypliny i przykucnął w cieniu kamiennej balustrady. Jedno spojrzenie ukazało mu schody prowadzące z galerii na dół sali, przytulone do ściany i na wpół ukryte w ciemnościach. Zajrzał w półmrok tego ogromnego miejsca, poszukując innych kapłanów czy wyznawców, lecz dostrzegł jedynie grupę wokół ołtarza.

W tej wielkiej pustce głos mężczyzny obok ołtarza rozbrzmiewał głucho i niesamowicie:

– ...I tak wieść ta przybyła na południe. Szeptał ją nocny wiatr, kruki krakały o niej w locie, a posępne nietoperze opowiadały ją sowom i węzom, jakie czają się w leciwych ruinach. Dowiedziały się wilkołaki i wampiry oraz grasujące nocą demony o hebanowych ciałach. Śpiąca Noc Świata poruszyła się i potrząsnęła swą ciężką grzywą, i rozpoczęło się dudnienie bębnow w głębokiej ciemności, a echa odległych nieziemskich krzyków przeraziły ludzi, jacy chadzali o zmierzchu. Serce Ahrimana przybyło bowiem ponownie na świat, aby wypełnić swe tajemne przeznaczenie. Nie pytajcie mnie, jak ja, Thutothmes z Khemi oraz Nocy, posłyszałem tę wieść przed Thoth-Amonem, który zowie sam siebie księciem wszystkich

czarowników. Istnieją tajemnice nie dla uszu nawet takich jak wasze, a Thoth-Amon nie jest jedynym panem Czarnego Pierścienia. Pojąłem i ruszyłem na spotkanie Serca, które przybyło ku południu. Było niczym magnes, który przyciągał mnie nieomylnie. Podążało od śmierci do śmierci, płynąc z nurtem ludzkiej krwi. Krew je żywi, krew je przyciąga. Jego moc jest największa, kiedy krew jest na rękach, które je ściskają, kiedy wydarte jest przez rzeź właścicielowi. Gdziekolwiek jaśnieje, leje się krew i chwieją królestwa, a w siły natury wprowadza zamęt. I oto stoję tu, władca Serca, a wezwałem was, byście przybyli potajemnie, was, którzy jesteście mi wierni, abyście mieli udział w czarnym królestwie, jakie nastanie. Dzisiejszej nocy będziecie świadkami zrywania oków Thoth-Amona, które nas niewolą, oraz narodzin imperium. Kimże jestem nawet ja, Thutothmes, by wiedzieć, jakie moce czają się i śpią w tych szkarłatnych głębinach? Zawierają tajemnice zapomniane od trzech tysięcy lat. Ale ja się nauczę. Oni mi opowiedzą! – I machnął ręką w kierunku niemych sylwetek, jakie otaczały salę. – Popatrzcie, jak śpią, spoglądając przez swe rzeźbione maski! Królowie, królowe, wodzowie, kapłani i czarownicy, dynastie i nobilem Stygii z dziesięciu tysięcy lat! Dotyk Serca przebudzi ich z długiego snu. Długo, bardzo długo Serce biło i pulsowało w pradawnej Stygii. Tu był jego dom przez całe wieki, zanim zawędrowało do Acheronu. Pradawni znali wszystkie jego moce i oni opowiedzą mi o nich, kiedy jego magią przywrócę ich do życia, aby ciężko dla mnie pracowali. Wyrwę ich ze snu, rozbudzę, opanuję ich zapomnianą mądrość, wiedzę zamkniętą w tych zaschniętych czerepach. Dzięki przekazom umarłych zniewolimy żywych! Tak jest, królowie, wodzowie i

czarownicy z czasów dawnych będą naszymi pomocnikami i niewolnikami. Któż stawi nam czoło? Popatrzcie! Ten wysuszony, skurczony przedmiot na ołtarzu był niegdyś Thothmekrim, najwyższym Seta, i zmarł on trzy tysiące lat temu. Był biegłym z Czarnego Pierścienia. Poznał Serce. Opowie nam o jego mocach.

Wzniósłszy wielki klejnot, mówca złożył go na zaschniętej piersi mumii, a kiedy rozpoczął inkantację, uniósł dłoń. Lecz inkantacja ta nie została ukończona. Zastygł ze wzniesioną ręką i rozdziawionymi ustami, zapatrzony poprzez akolitów, a ci się odwrócili, aby spojrzeć w stronę, w którą spoglądał.

Przez czarny łuk drzwi do wielkiej sali weszły rzędem cztery chude postaci w czarnych szatach. W cieniu kapturów ich twarze stanowiły niewyraźne żółte owale.

– Kim jesteście? – wykrzyknął Thutothmes głosem ociekającym groźbą jak syk kobry. – Czyście oszaleli, żeby nachodzić święte sanktuarium Seta?

Najwyższy z przybyłych przemówił, a jego głos był bezbarwny jak khitajski dzwon świątynny.

– Podążamy za Conanem z Aquilonii.

– Tu go nie ma – odpowiedział Thutothmes, strząsając płaszcz z prawego ramienia osobliwym, groźnym gestem niczym pantera obnażająca pazury.

– Kłamiesz. Jest w tej świątyni. Tropiliśmy go przez labirynt korytarzy od zwłok za spiżowymi drzwiami portalu wejściowego. Szliśmy jego krętym śladem, aż trafiliśmy na to tajne zebranie. Teraz odchodzimy, by podjąć trop na nowo. Ale najpierw dajcie nam Serce Ahrimana.

– Udziałem szaleńców jest śmierć – wymamrotał Thutothmes,

przemieszczając się bliżej mówiącego. Jego kapłani przysuwali się kocim krokiem, otaczając nieznanym, ale ci nie okazywali przejęcia.

– Kto jest w stanie patrzeć na nie bez pożądania? – rzekł Khitajczyk. – W Khitaju słyszeliśmy o nim. Da nam moc panowania nad ludźmi, którzy nas wygnali. Świetność i cuda drzemią w jego szkarłatnych głębiach. Oddajcie je, nim was zabijemy.

Rozległ się zawzięty krzyk, kiedy jeden z kapłanów skoczył, migocząc stalą. Zanim zdołał uderzyć, łuskowata laska wyskoczyła i liznęła jego pierś, a on padł jak zabity. Po chwili mumie przypatrywały się krwawej i przerażającej scenie. Zakrzywione noże błyskały i czerwieniły się, węzowe laski skakały w przód i cofały się, a ilekroć dotknęły jakiegoś człowieka, ten wrzeszczał i umierał.

Przy pierwszym ciosie Conan skoczył na nogi i pognał schodami w dół. Oglądał tylko urywki tej krótkiej, upiornej walki – widział ludzi chwiejących się, zwartych w bitwie, spływających krwią; widział jednego z Khitajczyków porzniętego na kawałki, a jeszcze nadal stojącego na nogach i zadającego śmierć, kiedy Thutothmes uderzył go w pierś pustą otwartą dłonią i tamten padł martwy, choć nagiej stali wcześniej nie starczyło, aby okiełznać jego niesamowitą żywotność.

Gdy skaczący po stopniach Conan opuszczał schody, walka została niemal zakończona. Trzech Khitajczyków poległo, zarżniętych, pociętych na strzępy i wypatroszonych, ale spośród Stygijczyków tylko Thutothmes pozostał na nogach.

Ruszył na ostatniego Khitajczyka z pustą dłonią wzniesioną niczym broń, a owa dłoń była czarna jak u negroida. Nim wszak

zdołał uderzyć, laska w ręce wysokiego Khitajczyka wyskoczyła, zdało się, wydłużając się w trakcie pchnięcia, jakie zadał żółty. Jej końcówka dotknęła torsu Thutothmesa, a ten się zatoczył. Laska skoczyła jeszcze raz i jeszcze, i Thutothmes obrócił się wokół własnej osi i upadł martwy, a jego rysy rozmyły się pod napływem czerni, jaka sprawiła, że cały nabrał tego samego koloru co jego zaczarowana dłoń. Khitajczyk odwrócił się w stronę klejnotu, który płonął na piersi mumii, ale Conan znalazł się tam przed nim.

W pełnym napięcia bezruchu stanęli twarzą w twarz pośród tej janki obserwowani przez spoglądające na nich rzeźbione mumie.

– Ach, królu Aquilonii, daleko mi przyszło podążać twym śladem – rzekł Khitajczyk uspokajająco. – Długą rzeką i ponad górami, poprzez Poitain i Zingarę, przez wzgórza Argos i ku wybrzeżu. Niełatwo było podjąć nam twój trop z Tarantii, gdyż kapłani Asury są przebiegli. Straciliśmy go w Zingarze, ale znaleźliśmy twój hełm w lesie pod wzgórzami pogranicza, gdzie walczyłeś z ghulami z puszczy. Prawie że zgubiliśmy ślad znów dziś w nocy, pośród tych labiryntów.

Conana naszała refleksja, iż miał szczęście, że powracał z komory wampirzycy drogą inną niż ta, którą go tam wprowadzono. Inaczej byłby wpadł wprost na te żółte demony, zamiast ujrzeć z daleka, jak wężą jego ślad niczym ludzkie psy gończe za pomocą daru, jaki posiadli, czymkolwiek on był.

Khitajczyk lekko pokręcił głową, jakby odczytując jego myśli.

– To bez znaczenia. Tu trop się kończy.

– Czemu mnie ścigaliście? – zapytał Conan, gotów do ruchu w każdym kierunku z prędkością przyspiesznika.

– To był dług do spłacenia – odrzekł Khitajczyk. – Tobie, który

masz umrzeć, tej wiedzy nie odmówię. Jesteśmy wasalami króla Aquilonii, Valeriusa. Długo mu służyliśmy, ale ze służby tej teraz jesteśmy zwolnieni: moi bracia przez śmierć, a ja przez wypełnienie zobowiązania. Powrócę do Aquilonii z dwoma sercami: dla siebie z Sercem Ahrimana, dla Valeriusa z sercem Conana. Pocałunek laski, która została wycięta z żywego Drzewa Śmierci...

Kostur wyskoczył niczym łeb zmii, ale cięcie nożem Conana było szybsze. Laska upadła w dwóch wijących się połówkach, a potem nastąpiło kolejne mignięcie ostrej stali niby promienia błyskawicy i głowa Khitajczyka potoczyła się po podłodze.

Cimmeryjczyk obrócił się i wyciągnął rękę w stronę klejnotu... Wtem, wzdrygnąwszy się, odskoczył w tył, włos mu się zjeżył, a lód ściał jego krew.

Na ołtarzu nie zalegał już bowiem zasuszony brązowy twór. Klejnot migotał na w pełni ukształtowanej, sklepionej piersi nagiego żywego mężczyzny, który spoczywał wśród butwiejących bandaży. Żywego? Conan nie potrafił rozstrzygnąć. Oczy tamtego były jak ciemne, nieprzejrzyste szkło, pod którym prześwitywały nieludzkie, posępne ognie.

Człowiek ów wstał powoli, biorąc klejnot w rękę. Górował obok ołtarza, smagły, nagi, o twarzy niczym rzeźbiony portret. Milcząc, wyciągnął w kierunku Conana dłoń z klejnotem pulsującym w niej jak żywe serce. Ten wziął go, doznając wstrząsającego uczucia, iż otrzymuje dar od trupa. W jakiś sposób zdał sobie sprawę, że nie dokonano właściwych inkantacji, czarów nie dopełniono, życie nie zostało zwłokom przywrócone w pełni.

– Kim jesteś? – dopytywał Conan.

Odpowiedź nadeszła z bezbarwną jednostajnością, niczym

kapanie wody ze stalaktytów w podziemnych pieczarach.

– Byłem Thothmekrim. Jestem martwy.

– Wyprowadź mnie z tej przeklętej świątyni, jeśli potrafisz – zażyczył sobie Conan, a skóra mu ścierpła.

Miarowym, machinalnym krokiem trup ruszył w kierunku czarnego przejścia. Conan podążył jego śladem. Rzut oka wstecz ukazał mu jeszcze raz ogromną, cienistą salę z piętrami sarkofagów, martwymi rozrzuconymi dookoła ołtarza i głową Khitajczyka, którą odciął, wpatrującą się niewidzącymi oczyma we wszechogarniający mrok.

Poświata klejnotu rozjaśniała czarne tunele niby czarodziejska lampa ociekająca złotym ogniem. Raz Conan wychwycił w ciemnościach mignięcie bielutkiego ciała, mniemając, iż widział wampira, którym była Akivasha, cofającego się przed łuną klejnotu. Wraz z nią inne, mniej ludzkie kształty umknęły i odpełzły w mrok.

Trup kroczył naprzód, nie patrząc ani w lewo, ani w prawo, a jego krok był równie niezmienny jak ciężkie tupanie nadciągającego nieszczęścia. Zimny pot zlał obficie ciało Conana. Dopadły go przenikające chłodem wątpliwości. Skąd może wiedzieć, że ta przerażająca postać dobytą z przeszłości prowadzi go ku wolności? Ale wiedział też, że pozostawiony samemu sobie nie zdoła nigdy połapać się w tym zakętym labiryncie korytarzy i tuneli. Szedł za swym strasznym przewodnikiem przez ciemność, jaka rozlewała się przed i za nimi, wypełniona przyczajonymi postaciami z horroru i obłędu, które wycofywały się przed oślepiającym blaskiem Serca.

Wtem pojawiły się przed nim spiżowe odrzwia i Cimmeryjczyk poczuł nocny wiatr wiejący z pustyni oraz ujrzał gwiazdy i

oświetloną ich blaskiem pustynię, na której rozlewał się wielki czarny cień piramidy. Thothmekri wskazał milcząco na pustynię, a potem odwrócił się i począł kroczyć bezdźwięcznie z powrotem w mrok. Conan popatrzył w ślad za ową cichą postacią, która zniknęła w ciemnościach w bezgłośnym, niepoohamowanym marszu jak ktoś, kto przemieszcza się ku wiadomemu i nieuchronnemu przeznaczeniu albo powraca do wiecznego snu.

Wyskoczył z wejścia, przeklinając, i umknął na pustynię, jakby ścigany przez demony. Nie patrzył wstecz w kierunku piramidy czy w stronę czarnych wież Khemi majaczących niewyraźnie za piaskami. Skierował się ku południu, w kierunku wybrzeża, i biegł, jak biegnie człowiek wiedziony nieokiełznaną paniką. Gwałtowny wysiłek otrząsnął jego umysł z czarnych pajęczyn, czysty pustynny wiatr wywiał koszmara z jego duszy, a odraza zmieniła się w napływające dziko poczucie tryumfu, zanim jeszcze pustynia ustąpiła miejsca plątaninie bagiennej roślinności, za którą ujrzał przed sobą czarną wodę oraz *Śmiałka* na kotwicy.

Pogrzyżył się w poszycie, zanurzony po biodra w mokradłach. Zanurkował prędko w głęboką wodę, nie zważając na rekiny czy krokodyle, i popłynął do galery. Ociekający i rozradowany wgramolił się na pokład po łańcuchu kotwicznym, zanim dostrzegła go wachta.

– Zbudźcie się, psy! – ryknął, odbijając na bok włócznie, którą zaskoczony oko dźgnął go w pierś. – Kotwica w górę! Wszyscy na pokład! Dajcie rybakowi hełm pełen złota i odstawcie go na brzeg! Niedługo nadejdzie świt, a przed wschodem słońca musimy mknąć ku najbliższemu portowi Zingary!

Wokół głowy wywijał wielkim klejnotem, który rozsiewał bryzgi

światła znaczące pokład złocistym ogniem.



XXI

Z PROCHU POWSTANIE ACHERON



Zima odeszła z Aquilonii. Liście wyskoczyły na gałęziach drzew, a świeża trawa jaśniała pod dotykiem ciepłych podmuchów wiatru z południa. Wiele pól jednak leżało próżnych i opustoszałych, wiele stosów zwęglonych popiołów znaczyło miejsca, gdzie przedtem stały dumne wille czy cieszące się dobrobytem miasta. Wilki grasowały otwarcie wzdłuż zarosłych trawą głównych dróg, a bandy wychudzonych, niepodległych żadnej władzy ludzi przemykały po lasach. Tylko w Tarantii świętowano; były bogactwo i pompatyczność.

Valerius rządził jak ktoś dotknięty szaleństwem. Nawet wielu z

baronów, którzy przedtem mile widzieli jego powrót, w końcu podniosło krzyk przeciw niemu. Jego poborcy podatkowi miażdżyli tak samo bogatych i biednych; bogactwa łupionego królestwa napływały do Tarantii, która stała się mniej stolicą państwa, a bardziej garnizonem zdobywców na podbitej ziemi. Kupcy obrastali w majątek, ale był to dobrobyt niepewny, gdyż nikt nie wiedział, kiedy może zostać oskarżony o zdradę na podstawie zmyślonych zarzutów, jego własność skonfiskowana, a on sam wtrącony do więzienia lub przywiedziony pod katowski pieniek.

Valerius nie podejmował żadnych prób zjednania sobie poddanych. Utrwalał swe panowanie z pomocą nemedyjskiego żołdactwa i zdecydowanych na wszystko najemników. Wiedział, że jest marionetką Amalrica. Wiedział, że rządzi tylko za przyzwoleniem Nemedyczyka. Wiedział, że nie może mieć nadziei na zjednoczenie Aquilonii pod swoją władzę i na zrzucenie jarzma swych panów, gdyż najdalsze prowincje będą stawiać mu opór do ostatniej kropli krwi. A ponadto Nemedyczycy zrzuciliby go z tronu, gdyby podjął jakąkolwiek próbę scalenia królestwa. Ujarzmił go własny występki. Gorycz skruszonej dumy trawiła jego duszę, a on sam oddał się pod panowanie rozpusty, jak ktoś, kto żyje z dnia na dzień, nie myśląc i nie dbając o jutro.

Jednakże w jego szaleństwie istniało jakieś wyrafinowanie, tak głębokie, że nawet Amalric się go nie domyślał. Być może burzliwe, pełne chaosu lata wałęsania się na wygnaniu wyhodowały w nim gorycz ponad zwyczajne pojmowanie. Być może jego nienawiść wobec obecnej sytuacji zwiększała tę gorycz do rozmiarów pewnego rodzaju szaleństwa. W każdym razie żył z jednym pragnieniem: doprowadzić do ruiny wszystkich, którzy się z nim

zadali.

Wiedział, że jego panowanie skończy się z chwilą, kiedy osiągnie cele Amalrica; wiedział także, iż póki będzie uciskać ojczyste królestwo, Nemedyczyk ścierpi jego rządu, gdyż Amalric chciał zgnieść Aquilonię, zmuszając ją do całkowitej uległości i niszcząc wszelkie przejawy niezawisłości, a potem, na koniec, zagarnąć ją dla siebie, dzięki swym ogromnym bogactwom odbudować wedle własnego uznania i użyć jej ludzi oraz zasobów naturalnych do wydarcia korony Nemedii Tarascusowi. Zwieńczeniem ambicji Amalrica był bowiem tron imperatora, i Valerius o tym wiedział. Nie wiedział, czy Tarascus to podejrzewa, wiedział natomiast, że król Nemedii aprobejuje obrany przezeń okrutny kurs. Tarascus nienawidził Aquilonii nienawiścią zrodzoną przez dawne wojny. Pragnął on tylko zniszczenia zachodniego sąsiada.

A Valerius zamierzał zniszczyć ten kraj tak doszczętnie, że nawet majątek Amalrica nie zdoła go odbudować. Sam nienawidził barona równie mocno jak Aquilończyków i liczył tylko, że pożyje na tyle długo, aby ujrzeć dzień, kiedy Aquilonia legnie w zupełnej ruinie, a Tarascus i Amalric zewrą się w beznadziejnej wojnie domowej, która zniszczy całkowicie Nemedię.

Żywił przekonanie, iż podbój nadal opornych prowincji Gunderlandu i Poitain oraz marchii bossoniackich będzie oznaczać jego koniec w roli króla. Osiągnie wówczas cele Amalrica i będzie go można usunąć. Zwlekał zatem ze zdobywaniem tychże prowincji, ograniczając swe działania do bezskutecznych napaści i wypadów oraz przedstawiając w odpowiedzi na przynaglenia Amalrica do działania wszelkiego rodzaju będące do przyjęcia zastrzeżenia i opóźnienia.

Jego życie stało się ciągiem uczt i dzikiej rozpusty. Wypełnił pałac najśliczniejszymi dziewczętami królestwa, z ich wolą lub bez niej. Błuźnił bogom i rozwalał się spity na posadzce sali biesiadnej, mając na sobie złotą koronę i plamiąc królewskie purpurowe szaty winem, jakie rozlewał. W porywach żądzы krwi przyozdabiał szubienice na rynku festonami dyndających zwłok, poił topory swych katów i posyłał przez kraj nemedyjskich konnych, by plądrowali i palili. Doprowadzony do szaleństwa kraj był nieustannie na skraju wściekle tłumionej, gorączkowej rewolty. Valerius łupił, gwałcił, grabił i niszczył, aż nawet Amalric zaprotestował, ostrzegając go, iż zrujnuje królestwo doszczętnie, nie wiedząc jednak, że ten czyni tak z pełną determinacją.

Ale kiedy zarówno w Aquilonii, jak i w Nemedii rozmawiano o szaleństwie króla, w samej Nemedii rozprawiano wiele o Xaltotunie, zamaskowanym. Niewielu wszelako widziało go na ulicach Belverusu. Ludzie mówili, że spędza wiele czasu na wzgórzach i osobliwych tajnych naradach z nadal trwającymi niedobitkami jakiejś starej rasy, ciemnymi, milczącymi ludźmi, którzy rościli sobie prawo do pochodzenia z pewnego pradawnego królestwa. Szeptano o bębnach bijących wysoko na sennych wzgórzach, o ogniach jaśniejących w ciemności i o dziwnych pieśniach niesionych z wiatrem, o zaśpiewach i rytuałach zapomnianych wieki temu, wyjąwszy nieposiadające żadnego znaczenia formuły mamrotane przy paleniskach w górskich wioskach, których mieszkańcy różnili się w szczególny sposób od ludu z dolin.

Powodów owych narad nie znał nikt, chyba że Orastes, który często towarzyszył Pythonianinowi, a którego oblicze odbijało

narastające wciąż wyczerpanie.

Ale w pełni wiosny obiegł upadające królestwo nagły szept, który zbudził kraj ochoczy do życia. Przyszedł niczym mruczący wiatr wiejący z południa, budząc ludzi pogrążonych w rozpaczliwej apatii. Jednak jaką drogą nadszedł, nikt naprawdę rzec nie potrafił. Niektórzy mówili o dziwnej, posępnej staruszce, która zesła z gór z włosami rozwianymi na wietrze i z wielkim szarym wilkiem podążającym jej śladem niczym pies. Inni szeptali o kapłanach Asury, którzy przekradali się ukradkiem niby zjawy z Gunderlandu do marchii Poitain oraz do leśnych wiosek Bossoniaków.

Jakkolwiek wieści docierały, rewolta objęła pogranicze niczym płomień. Szturmowano i wyrzynano najdalej wysunięte nemedyjskie garnizony, oddziały zaopatrzeniowe wycinano do nogi. Zachód powstał zbrojnie i czuło się w tym odmienny klimat – bardziej gwałtownej stanowczości i natchnienia gniewu niż histerycznej rozpacz, jaka napędzała poprzednie bunty. Tu był nie tylko prosty lud; baronowie wzmacniali swe zamki i ciskali aktami nieposłuszeństwa w gubernatorów prowincji. Wzdłuż skrajów marchii widywano przemieszczające się bandy Bossoniaków – krępych, stanowczych mężczyzn w brygandynach i stalowych hełmach z długimi łukami w dłoniach. Pośród bezwładu stagnacji oraz ruin królestwo zatętniło nagle życiem, rozedrganym i groźnym. Tak więc Amalric posłał w pośpiechu po Tarascusa, który przybył wraz z armią.

W pałacu królewskim w Tarantii dwaj monarchowie oraz Amalric omawiali powstanie. Nie posłali po Xaltotuna, pogrążonego w swych tajemnych studiach na wzgórzach nemedyjskich. Od owego krwawego dnia w dolinie Valkii nie

żądali od niego wsparcia magią, a on usunął się w cień, obcując z nimi bardzo niewiele, pozornie obojętny na ich intrygi.

Nie posłali też po Orastesa, lecz ten się zjawił i był biały niczym piana gnana przez sztorm. Stał w sklepionej złotem komnacie, gdzie królowie odprawiali swą tajną naradę. Ze zdumieniem dostrzegli jego niewidzące spojrzenie, strach, jakiego obecności w umyśle Orastesa nigdy by się nie domyślali.

– Jesteś zmęczony, Orastesie – stwierdził Amalric. – Zasiądź na tej leżance, a ja każę niewolnikowi przynieść ci wina. Musiałeś jechać co tchu...

Orastes odegnał zaproszenie machnięciem ręki.

– Zajechałem trzy konie na drodze z Belverusu. Nie mogę napić się wina, nie mogę spocząć, dopóki nie powiem wam, co powiedzieć muszę.

Chodził z miejsca na miejsce, jakby jakiś wewnętrzny ogień nie pozwalał mu stanąć nieruchomo, aż zatrzymał się przed swymi zadziwionymi towarzyszami.

– Kiedy skorzystaliśmy z Serca Ahrimana, by przywrócić człowieka umarłego do życia – rzekł raptem Orastes – nie zważaliśmy na konsekwencje grzebania w czarnych pyłach przeszłości. Wina to moja i mój grzech. Myśleliśmy tylko o naszych ambicjach, zapominając, jakie ambicje może żywić sam ów człowiek. I wypuściliśmy na świat demona, koszmar niepojęty dla przedstawicieli zwykłego rodzaju ludzkiego. Zanurzyłem się głęboko i badałem zło, ale istnieje granica, której nie przekroczę ani ja, ani żaden człowiek z mojej rasy i z moich czasów. Moi przodkowie byli prawymi ludźmi, bez żadnej demonicznej skazy. Tylko ja byłem tym, który zanurzył się w otchłani, ale mogę

grzeszyć jedynie do granic wyznaczonych przez mą osobowość. Za Xaltotunem zaś stoi tysiąc wieków czarnej magii i diaboliczności, pradawna tradycja niegodziwości. On przerasta nasze pojęcie nie tylko dlatego, że sam jest czarownikiem, ale również dlatego, że jest synem rasy czarowników. Widziałem rzeczy, jakie rozsadały mą duszę. W sercu śniących wzgórz obserwowałem, jak Xaltotun obcuje z duszami potępionych i jak przywołuje starożytne demony zapomnianego Acheronu. Widziałem przeklętych potomków tego przeklętego imperium czczących go i pozdrawiających jako swego arcykapłana. Widziałem, co knuje... I mówię wam, że to nic, tylko odbudowa pradawnego, czarnego, straszliwego królestwa Acheronu!

– Co masz na myśli? – dopytywał Amalric. – Acheron jest prochem. Nie starczy tych, co przetrwali, aby stworzyć imperium. Nawet Xaltotun nie jest w stanie nadać na powrót form prochowi trzech tysięcy lat.

– Mało wiecie o jego czarnych mocach – rzekł Orastes posepnie. – Widziałem, jak same wzgórza przybierają obcy i starożytny wygląd na mocy czaru jego inkantacji. Na mgnienie oka dostrzegłem, niczym cienie rzeczy realnych, niewyraźne kształty i zarysy dolin, lasów, gór i jezior, które nie są takie jak dziś, lecz takie, jakie były za tamtych skrytych w półmroku dni... wyczułem nawet bardziej, niż dojrzałem, purpurowe wieże zapomnianego Pythonu migoczące jak figury z mgły o zmierzchu. A podczas ostatniego tajnego zebrania, przy którym mu towarzyszyłem, naszło mnie w końcu zrozumienie jego czarów, podczas gdy bębny biły, a podobni do dzikich zwierząt wyznawcy wyli z głowami złożonymi w prochu. Mówię wam, że swą magią chce przywrócić Acheron przez czary

olbrzymiej ofiary krwi, takiej, jakiej świat nigdy nie oglądał. Chce go zniewolić, a potopem krwi *zmyć współczesność i przywrócić przeszłość!*

– Jesteś szalony! – wykrzyknął Tarascus.

– Szalony? – Orastes zwrócił na niego zdziżące spojrzenie. – Czy jakikolwiek człowiek może ujrzeć to, co ja ujrzałem, i pozostać przy zdrowych zmysłach? Jednakowoż mówię prawdę. On knuje powrót Acheronu z jego wieżami, czarownikami, królami i okropnościami, jakim był on dawno temu. Potomkowie Acheronu posłużą mu za fundament, na którym będzie budować, ale to krew i ciała ludzi świata dzisiejszego staną się zaprawą i kamieniami do odbudowy. Nie potrafię powiedzieć wam jak. Mój umysł traci równowagę, kiedy próbuję to zrozumieć. *Ale ja widziałem!* Acheron będzie ponownie Acheronem i nawet wzgórza, lasy i rzeki powrócą do pradawnego wyglądu. Czemu nie? Jeśli ja, z moim małym zapasem wiedzy, mogłem przywrócić do życia człowieka martwego od trzech tysięcy lat, dlaczego największy czarownik świata nie miałby przywrócić do życia królestwa martwego już trzy tysiące lat? Z prochu powstanie Acheron na jego polecenie.

– Jak możemy udaremnić te plany? – zapytał poruszony Tarascus.

– Nie ma innego poza jednym sposobem – odparł Orastes. – Musimy ukraść Serce Ahrimana!

– Ale ja... – zaczął bezwiednie Tarascus, lecz szybko zamknął usta.

Nikt nie zwrócił na niego uwagi, a Orastes kontynuował:

– To moc, którą można wykorzystać przeciw niemu. Mając je w ręku, mógłbym rzucić mu wyzwanie. Ale jakże mamy je ukraść?

Skrył je w jakimś utajonym miejscu, skąd nawet zamoriański złodziej nie zdołałby go zwędzić. Nie umiem dowiedzieć się, gdzie jest ukryte. Gdyby tylko znów zasnął snem czarnego lotosu... Ale ostatni raz, kiedy tak spał, zdarzył się po bitwie nad Valkią, gdy był zmęczony wielką magią, jakiej używał, i...

Drzwi były zamknięte i zaryglowane, lecz otworzyły się bezgłośnie i stanął przed nimi Xaltotun; był spokojny, wyciszony, skubał swą patriarchalną brodę, ale w jego oczach migotał jaśniejący blask piekła.

– Nauczyłem cię zbyt wiele – rzekł łagodnie, wytykając Orastesa palcem niczym wskaźnikiem zagłady. I zanim ktokolwiek się poruszył, rzucił garść pyłu na podłogę, blisko nóg kapłana, który stał jak człowiek przemieniony w marmur. Pył ten zapłonął, zakopcił i błękitna wstęga dymu uniosła się, kołysząc, wokół Orastesa niby smukła spirala. A kiedy wzniosła się powyżej jego ramion, zawinęła się wokół szyi z błyskawiczną nagłością jak uderzenie węża. Zdławiony wrzask Orastes stał się bulgotem. Jego ręce poszybowały do gardła, oczy wyszły na wierzch, podobnie język. Dym wokół jego szyi był niczym błękitna lina. Wtem zbladł i zniknął, a Orastes opadł na podłogę martwy.

Xaltotun klasnął w dłonie i weszło dwóch ludzi, mężczyzn często widywanych w jego towarzystwie – niskich, odstręczająco ciemnych, o czerwonych, skośnych oczach i zakończonych ostro szcurzych zębach. Nie mówili nic. Unieśli zwłoki i zabrali je ze sobą.

Kończąc sprawę machnięciem ręki, Xaltotun usadowił się przy stole z kości słoniowej, przy którym siedzieli bladzi królowie.

– Czemu się potajemnie naradzacie? – zapytał.

– Aquilończycy na zachodzie powstali – odpowiedział mu Amalric, dochodząc do siebie po wstrząsie, jakim była dla niego śmierć Orastesy. – Ci głupcy wierzą, że Conan żyje i nadchodzi na czele armii poitainiańskiej, aby odzyskać swe królestwo. Gdyby pojawił się ponownie natychmiast po Valkii albo gdyby wcześniej krążyła pogłoska, że żyje, prowincje centralne nie powstałyby pod nim, bo się boją twoich mocy. Ale pod bezprawiem Valeriusa stali się tak zdesperowani, że są gotowi podążyć za kimkolwiek, kto zjednoczy ich przeciw nam, i przedłożyć szybką śmierć nad tortury i ustawiczną nędzę. Oczywiście w kraju opowieść o tym, że Conan tak naprawdę nie został zabity nad Valkią, trwała uporczywie, ale dopiero niedawno uwierzyły w nią masy. Pallantides wrócił wszak z wygnania w Ophirze, przysięgając, że tego dnia król leżał chory w swym namiocie i że jego zbroję miał ktoś inny, a giermek, który dopiero co doszedł do siebie po ciosie maczugą otrzymanym nad Valkią, potwierdza tę opowieść... Albo blaguje. Wzdłuż i wszerz kraju wędruje jakaś starucha z oswojonym wilkiem, głosząc, iż król Conan jeszcze nie umarł i powróci pewnego dnia, by odzyskać koronę. A ostatnio przekłęci kapłani Asury wyśpiewują tę samą piosnkę. Utrzymują, iż za pomocą jakichś tajemnych środków przybyła do nich wieść, że Cimmeryjczyk powraca, by odzyskać swe dominium. Nie potrafię pochwycić nikogo z nich. To oczywiście sztuczka Trocera. Moi szpiedzy opowiadają mi, że istnieje bezdyskusyjny dowód, iż Poitainianie gromadzą się, aby najechać Aquilonię. Sądzę, że Trocero przywiedzie jakiegoś symulanta, którego ogłosi królem Conanem.

Tarascus się zaśmiał, ale w jego śmiechu nie było przekonania. Ukradkowym ruchem wymacał pod tuniką bliznę i wspomniał

kruki kraczące na szlaku uciekiniera. Wspomniał ciało swego giermka Arideusa, sprowadzone z gór pogranicza, straszliwie zmasakrowane przez, jak mówili przerażeni żołnierze, ogromnego szarego wilka. Ale wspomniał także czerwony klejnot wykradzony ze złotej szkatułki, podczas gdy czarownik spał, i nie rzekł nic.

A Valerius przypomniał sobie umierającego nobila, który wydyszał opowieść pełną strachu, i czterech Khitajczyków, którzy zniknęli w labiryntach południa i nigdy nie powrócili. Ale poskromił swój język, gdyż nienawiść i podejrzenia wobec sojuszników zżerały go jak robak i niczego nie pragnął tak bardzo, jak ujrzeć szczętych zarówno rebeliantów, jak i Nemedyczyków, zwartych w zabójczym uścisku.

Lecz Amalric wykrzyknął:

– Absurdem jest roić sobie, iż Conan żyje!

W odpowiedzi Xaltotun cisnął na stół zwój pergaminu.

Amalric pochwycił go i spojrział. Z jego ust buchnął wściekły, nieartykułowany krzyk. Oto czytał:

Do Xaltotuna, wielkiego fakira Nemedii. Psie z Acheronu, powracam do swego królestwa i mam zamiar powiesić twoją skórę na kij.

CONAN

– Fałszerstwo! – wykrzyknął Amalric.

Xaltotun pokręcił głową.

– Autentyczne. Porównałem je z podpisami na dokumentach królewskich w aktach biblioteki dworu. Nikt nie umiałby naśladować tych bezczelnych gryzmołów.

– Zatem, jeśli Conan żyje – wymamrotał Amalric – to powstanie nie będzie takie jak inne, gdyż on jest jedynym żyjącym

człowiekiem, który może zjednoczyć Aquilończyków. Jednakże – zastrzegł – to niepodobne do Conana. Dlaczego swymi przechwałkami miałby budzić naszą czujność? Można by pomyśleć, że uderzy bez ostrzeżenia, zgodnie ze sposobem barbarzyńców.

– Już zostaliśmy ostrzeżeni – zauważył Xaltotun. – Nasi szpiedzy opowiadali o przygotowaniach do wojny w Poitain. Nie zdołałby przekroczyć gór bez naszej wiedzy, więc posyła mi wyzwanie w sposób powszechnie przyjęty.

– Czemu tobie? – dopytywał Valerius. – Czemu nie mnie lub Tarascusowi?

Xaltotun zwrócił na króla swe nieprzeniknione spojrzenie.

– Conan jest mądrzejszy od was – rzekł w końcu. – On już wie to, czego wy, królowie, jeszcze nie pojęliście: że ani Tarascus, ani Valerius, ani też Amalric, tylko Xaltotun jest prawdziwym władcą narodów zachodnich.

Nic nie odparli; siedzieli, gapiąc się na niego, przeniknięci paralizującą świadomością stwierdzonej przezeń prawdy.

– Nie ma dla mnie drogi prócz imperialnego gościa – oznajmił Xaltotun. – Ale najpierw musimy zgnieść Conana. Nie wiem, jak uciekł mi z Belverusu, gdyż wiedzy o tym, co zaszło, podczas gdy spoczywałem we śnie czarnego lotosu, mi odmówiono. Jednak znalazł się na południu, gromadząc armię. To jego ostatni rozpaczliwy cios, możliwy tylko za sprawą desperacji ludu, który cierpiał pod Valeriusem. Niech powstaną; trzymam ich wszystkich w garści. Poczekamy, aż ruszy przeciw nam, i wtedy zmiażdżymy go raz na zawsze. Potem zmiażdżymy Poitain, Gunderland i tych głupich Bossoniaków. Po nich Ophir, Argos, Zingareę, Koth... Wszystkie narody świata scalimy w jedno ogromne imperium. Wy

będziecie władać jako moi satrapowie, a jako moi dowódcy więksi będziecie od dzisiejszych królów. Jestem niezwyciężony, gdyż Serce Ahrimana spoczywa ukryte tam, gdzie żaden człowiek nigdy nie zdoła znów posłużyć się nim przeciw mnie.

Tarascus odwrócił wzrok, aby Xaltotun nie odczytał jego myśli. Pojął, że czarownik, odkąd złożył Serce w złotej szkatułce z wyrzeźbionymi węzłami, które zdawały się spać, nie zaglądał do niej. Dziwne wydało się, iż Xaltotun nie wie, że Serce zostało skradzione; niezwykley klejnot istniał poza pierścieniem jego mrocznej wiedzy; jego niesamowite uzdolnienia nie przestrzegły go, iż szkatułka jest pusta. Tarascus mniemał, że Pythonianin zapoznał się z rewelacjami Orastesesa w niepełnym wymiarze, gdyż nie wspominał o odbudowie Acheronu, lecz tylko o budowaniu nowego, ziemskiego imperium. Tarascus przypuszczał, że Xaltotun nie jest jeszcze zupełnie pewien swej mocy; o ile oni potrzebowali jego wsparcia przy realizacji własnych ambicji, o tyle on potrzebował ich. Magia była zależna, przynajmniej do pewnego stopnia, od ciosów miecza i pchnięć kopii. Król odczytał sens ukradkowego spojrzenia Amalrica: niech czarownik użyje swych sztuk, aby pomóc im pokonać najgroźniejszego wroga. Potem czasu będzie dosyć, aby zwrócić się przeciwko niemu. Może jeszcze znajdzie się jakiś sposób, by okpić tę mroczną potęgę, którą wskrzesili.



XXII

BĘBNY WIESZCZĄCE NIEBEZPIECZEŃSTWO



Potwierdzenie wybuchu wojny przyszło wraz z armią Poitain, kiedy dziesięć tysięcy mocarzy przemaszerowało, połyskując stałą, przez południowe przełęcz z powiewającymi sztandarami. A na ich czele, przysięgali szpiedzy, jechała olbrzymia postać w czarnym pancerzu, z królewskim lwem Aquilonii na piersi wyszytym złotem na bogatej jedwabnej tunice. Conan żył! Król żył! Nie było już wątpliwości w ludzkich umysłach, czy to przyjaciół, czy wrogów.

Wraz z wiadomością o inwazji z południa nadeszła również wieść przywieziona przez zajeżdżających konie kurierów, że wojsko Gundermanów przemieszcza się ku południu, wzmocnione przez baronów z północnego zachodu oraz północnych Bossoniaków. Tarascus maszerował z trzydziestu jeden tysiącami ludzi do Galparanu nad rzeką Shirki, którą Gundermani musieli

przekroczyć, żeby uderzyć na miasta utrzymywane wciąż przez Nemedyczyków. Shirki była bystrą, burzliwą rzeką prującą ku południowemu zachodowi przez skaliste gardziele i kaniony i niewiele było miejsc, gdzie armia mogła przepłynąć się o tej porze roku, kiedy prąd z topniejących śniegów wypełniał koryto niemal po brzegi. Cały kraj na wschód od Shirki pozostawał w rękach Nemedyczyków i logiczne było przypuszczenie, że Gundermani podejmą przeprawę bądź pod Galparanem, bądź pod Tanasulem, który leżał na południe od Galparanu. Codziennie spodziewano się posiłków z Nemedii, aż nadeszła wieść, że król Ophiru urządza demonstracje wrogości na południowej granicy Nemedii i poświęcenie jakiegokolwiek kolejnego oddziału naraziłoby ją na ryzyko inwazji z południa.

Amalric i Valerius opuścili Tarantię z dwudziestoma pięcioma tysiącami ludzi, pozostawiając garnizon tak duży, jak tylko się odważyli, aby zniechęcał do rewolt w miastach podczas ich nieobecności. Chcieli spotkać się z Conanem i zmiażdżyć go, zanim zdołają przyłączyć się do niego zbuntowane siły królestwa.

Król i jego Poitainianie przebyli góry, ale nie doszło do żadnych starć zbrojnych, żadnych ataków na miasta czy fortece. Conan pojawił się i zniknął. Widocznie skręcił ku zachodowi, w stronę dzikiej, słabo zamieszkaney górzystej krainy, i wszedł do marchii bossoniackich, zbierając po drodze rekruta. Amalric i Valerius ze swym wojskiem – Nemedyczykami, aquilońskimi renegatami oraz okrutnymi najemnikami – przemierzali się po kraju ogarnięci bezsilnym gniewem, szukając wroga, który się nie pojawiał.

Zdobycie doniesień na temat ruchów Conana, które nie byłyby mętne i ogólnikowe, Amalric uznał za niemożliwe. Oddziały

zwiadowców wyruszały i nie powracały, a napotkać szpiega ukrzyżowanego na dębie nie było rzeczą niezwykłą. Tereny wiejskie zawrzały i uderzały tak, jak uderzają chłopci i wiejski lud – dziko, morderczo i potajemnie. Wszystko, co Amalric wiedział z pewnością, to, że znaczne siły Gundermanów i północnych Bossoniaków znajdują się gdzieś na północ od niego, za rzeką Shirki, i że Conan z mniejszymi siłami Poitainian i Bossoniaków południowych przebywa gdzieś ku południowemu zachodowi od niego.

Zaczął narastać w nim strach o to, że jeśli wraz z Valeriuszem wyruszą dalej w głąb tej dzikiej krainy, Cimmeryjczyk wymknie im się całkowicie, pomaszeruje dookoła nich i wtargnie do prowincji centralnych za ich plecami. Amalric wycofał się z doliny Shirki i rozbił obóz na równinie o dzień jazdy od Tanasulu. Tam też czekał. Tarascus utrzymywał pozycję pod Galparanem, gdyż bał się, że manewry Conana zmierzają do wyciągnięcia go ku południu i w ten sposób wpuszczenia Gundermanów do królestwa przejściem północnym.

W rydwanie ciągniętym przez niesamowite konie, które nigdy się nie męczyły, do obozu Amalrica przybył Xaltotun i wszedł do namiotu, gdzie baron naradzał się z Valeriuszem nad mapą rozpostartą na przenośnym stole z kości słoniowej.

Mapę tę Xaltotun zmiął i odrzucił na bok.

– Czego wasi zwiadowcy nie mogą się dowiedzieć dla was – oznajmił – moi szpiegowie powiedzieli mi, choć te informacje są dziwnie mgliste i niepełne, jak gdyby działały przeciw mnie jakieś niewidzialne siły. Conan posuwa się właśnie wzdłuż rzeki Shirki z dziesięcioma tysiącami Poitainian, trzema tysiącami południowych

Bossoniaków oraz baronami z zachodu i południa z ich pocztami w liczbie do pięciu tysięcy. Armia trzydziestu tysięcy Gundermanów i Bossoniaków północnych zmierza forsownym marszem ku południu, aby dołączyć do niego. Ustanowili łączność za pomocą tajemnych sposobów komunikacji używanych przez przeklętych kapłanów Asury, którzy zdają się mi przeciwni i którymi, gdy bitwa się skończy, nakarmię węże... Przysięgam na Seta! Obie armie kierują się ku przeprawie pod Tanasulem, ale nie sądzę, by Gundermani przekraczali rzekę. Mniemam, iż zamiast tego Conan ją przekroczy, aby połączyć się z nimi.

– Dlaczego Conan miałby przeprowadzać się przez rzekę? – chciał wiedzieć Amalric.

– Ponieważ opóźnianie bitwy jest dla niego korzystne. Im dłużej będzie czekał, tym mocniejszy się stanie, a nasze położenie tym bardziej niepewne. Wzgórza po drugiej stronie rzeki roją się od ludu żarliwie wiernego jego sprawie: ludzi złamanych, uchodźców, zbiegłych przed okrucieństwem Valeriusa. Z całego królestwa ludzie spieszą, by przyłączyć się do jego armii, pojedynczo i grupami. Codziennie oddziały naszych wojsk wpadają w zasadzki i wyrzynane są przez wiejski lud. W prowincjach centralnych narasta rewolta i wkrótce wybuchnie otwarta rebelia. Garnizony, jakie tam pozostawiliśmy, są niewystarczające, a w obecnym czasie nie możemy liczyć na posiłki z Nemedii. W tej awanturze na granicy ophirskiej dostrzegam rękę Pallantidesa. Ma krewnych w Ophirze. Jeśli szybko nie pochwycimy i nie zgnieciemy Conana, prowincje za naszymi plecami staną w ogniu rewolty. Będziemy musieli wycofać się do Tarantii, aby bronić tego, co zajęliśmy. Może będziemy musieli wywalczyć sobie przejście przez kraj ogarnięty rebelią, ze

wszystkimi siłami Cimmeryjczyka depczącymi nam po piętach, a potem wytrzymać oblężenie samego miasta z nieprzyjaciółmi za murami, jak również w murach. Nie, nie możemy czekać. Musimy zmiażdżyć Conana, zanim jego armia stanie się zbyt wielka, zanim powstaną prowincje centralne. Zobaczycie, jak owa rebelia się załame wobec jego głowy powieszanej nad bramą Tarantii.

– Czemu nie rzucisz czaru na jego armię, aby wszystkich ich wybić? – na wpół kpiąc, zapytał Valerius.

Xaltotun zapatrzył się na Aquilończyka, jak gdyby wczytywał się w pełen rozmiar zjadliwego szaleństwa, które czało się w tych chimerycznych oczach.

– Nie martw się – rzekł w końcu. – Moje sztuki ostatecznie zgniotą Conana niczym jaszczurkę pod obcasem. Lecz piki i miecze pomagają nawet przy czarach.

– Jeśli przekroczy rzekę i zajmie pozycje na wzgórzach goraliańskich, może być trudno go wyprzeć – odezwał się Amalric.

– Ale jeśli złapiemy go w dolinie po tej stronie rzeki, możemy go zetrzeć. Jak daleko od Tanasulu jest Conan?

– W tempie, w jakim maszeruje, powinien dotrzeć do przeprawy jutrzejszej nocy. Ma twardych ludzi i pogania ich mocno. Powinien przybyć tam przynajmniej dzień przed Gundermanami.

– Dobrze! – Amalric trzasnął w stół zaciśniętą pięścią. – Mogę dotrzeć do Tanasulu wcześniej niż on. Poślę jeźdźca do Tarascusa, polecając mu, by podążył za mną do Tanasulu. W chwili kiedy przybędzie, odetnę Conana od przeprawy i go zniszczę. Potem nasze połączone siły mogą przekroczyć rzekę i zająć się Gundermanami.

Xaltotun niecierpliwie pokręcił głową.

– Plan całkiem dobry, gdybyś nie miał do czynienia z Cimmeryjczykiem. Ale dwadzieścia pięć tysięcy ludzi nie wystarczy, żeby zniszczyć jego osiemnaście tysięcy, nim nadciągną Gundermani. Będą walczyć z desperacją rannych panter. A przypuścmy, że Gundermani nadejdą, gdy wojska będą związane bitwą... Zostaniesz schwytyany w dwa ognie i zniszczony, zanim przybędzie Tarascus. Dotrze do Tanasulu zbyt późno, by ci pomóc.

– Cóż zatem robić? – spytał Amalric.

– Ruszaj przeciw Conanowi z całą swą siłą – odrzekł człowiek z Acheronu. – Poślij jeźdźca, polecając Tarascusowi dołączyć do nas tutaj. Zaczekamy na jego przybycie. Potem pomaszerujemy razem do Tanasulu.

– A podczas gdy będziemy czekać – zaprotestował Amalric – Conan przekroczy rzekę i połączy się z Gundermanami.

– Conan nie przekroczy rzeki – rzekł Xaltotun.

Amalric raptownie uniósł głowę i zapatrzył się w tajemnicze ciemne oczy.

– Co masz na myśli?

– Przypuścmy, że daleko na północy, u źródeł Shirki, spadną ulewne deszcze. Przypuścmy, że spływająca rzeka wzbierze tak, iż uczyni przeprawę pod Tanasulem niemożliwą. Czy wówczas nie będziemy mogli wyprawić całych naszych sił w dogodnym nam czasie, dopaść Cimmeryjczyka po tej stronie rzeki i zmiażdżyć go, a potem, gdy fala opadnie, co, jak sądzę, stanie się dnia następnego, przeprowić się przez rzekę i rozbić Gundermanów? W ten oto sposób zdołamy wykorzystać całą naszą siłę przeciw każdemu z tych dwóch mniejszych ugrupowań po kolei.

Valerius się roześmiał, jak zawsze, gdy miał w perspektywie

zniszczenie przyjaciela bądź wroga, i nagłym ruchem przeciągnął nerwowo dłonią po swych niesfornych płowych puklach. Amalric zapatrzył się na człowieka z Acheronu z mieszaniną strachu i uwielbienia.

– Jeśli pochwycimy Conana w dolinie Shirki z pasmami wzgórz po jego prawej i wezbraną rzeką po lewej stronie, wszystkimi naszymi siłami zdołamy go unicestwić – przyznał. – Czy sądzisz... Czy jesteś pewien... Czy uważasz, że takie deszcze spadną?

– Idę do swego namiotu – odpowiedział Xaltotun, powstając. – Nekromancji nie uprawia się, machając różdżką. Poślij jeźdźca do Tarascusa. I niech nikt się nie zbliża do mego namiotu.

Ten ostatni rozkaz nie był konieczny. Żaden człowiek w wojsku nie dałby się przekupić, by zbliżyć się do tajemniczego zdobnego namiotu z czarnego jedwabiu, którego poły wejściowe były zawsze zaciągnięte szczelnie. Nikt poza Xaltotunem nigdy do niego nie wchodził, jednakże często słyszano dobywające się z wnętrza głosy; jego ściany napinały się czasem bez wiatru i dochodziła z niego niesamowita muzyka. Niekiedy, głęboką nocą, jego jedwabne ściany rozświetlane były na czerwono płomieniami migoczącymi w środku, zarysowując wchodzące i wychodzące zdeformowane sylwetki.

Leżąc owej nocy w swym namiocie, Amalric posłyszał z namiotu Xaltotuna równomierne dudnienie bębna. Pośród ciemności huczał stałym rytmem, a czasami Nemedyczyk mógłby przysiąc, że z pulsem bębna miesza się jakiś głęboki, rechoczący głos. I wzdragał się, gdyż wiedział, że nie jest to głos Xaltotuna. Bęben szeleścił i mruczał dalej niczym głęboki słyszany z daleka grzmot i przed świtem, wyjrzawszy z namiotu, Amalric dostrzegł daleko na

północnym horyzoncie czerwony poblask błyskawic. We wszystkich pozostałych obszarach nieba wielkie gwiazdy świeciły jasno, ale odległe błyskawice migotały bezustannie niczym szkarłatny odblask ogniska na maleńkim, obracającym się ostrzu.

O zachodzie słońca następnego dnia nadciągnął Tarascus ze swym wojskiem, a zakurzeni i zmęczeni forsownym marszem piesi docierali rozproszeni o całe godziny za jazdą. Rozłożyli się obozem na równinie niedaleko obozowiska Amalrica i o świcie połączona armia ruszyła ku zachodowi.

Przed nimi kluczyła chmara zwiadowców i Amalric czekał niecierpliwie, aż powrócą i doniosą o Poitainianach schwytanych w pułapkę przez rozszalałą powódź. Ale kiedy zwiadowcy spotkali się z kolumną, przynieśli wieść, iż Conan przekroczył rzekę!

– Co?! – wykrzyknął Amalric. – Czy przepawił się przed powodzią?

– Nie było powodzi – odrzekli skonsternowani zwiadowcy. – Wczoraj późną nocą nadciągnął do Tanasulu i przerzucił swą armię na drugą stronę.

– Nie było powodzi? – wykrzyknął Xaltotun, wedle wiedzy Amalrica osłupiały po raz pierwszy. – Niemożliwe! Ubiegłej i jeszcze poprzedniej nocy nad górnym biegiem Shirki były potężne deszcze!

– Tak może być, wasza wielmożność – odpowiedział mu zwiadowca. – Prawdą jest, że woda była zamulona, a lud Tanasulu stwierdził, iż wczoraj rzeka wezbrała może o stopę, ale to nie wystarczyło, by przeszkodzić w przepawie Cimmeryjczyka.

Magia Xaltotuna zawiodła! Ta myśl łomotała w umyśle Amalrica. Jego przerażenie wobec tego dziwnego człowieka z przeszłości

narastało systematycznie od owej nocy w Belverusie, kiedy ujrzał, jak brązowa, zaschnięta mumia nabrzmiwa i przeradza się w żywego człowieka. A śmierć Orastesa przemieniła czającą się grozę w wymierny strach. W swym sercu nosił straszliwe przekonanie, iż ten człowiek – albo diabeł – jest niezwyciężony. Jednakże teraz miał niezaprzeczalny dowód jego porażki.

Wszelako nawet najwięksi nekromanci mogą od czasu do czasu zawieść, pomyślał baron. W każdym razie nie odważy się sprzeciwić człowiekowi z Acheronu... Jeszcze. Orastes nie żył, skręcając się w jakimś nieznanym piekle, o którym tylko Mitra wie, Amalric zaś wiedział, że jego miecz z trudem wzięłby górę tam, gdzie przegrała czarna mądrość kapłana renegata. Jakąkolwiek ohydę Pythonianin knuł, mieściła się ona w nieprzewidywalnej przyszłości. Conan i jego wojsko stanowili bieżące zagrożenie, przeciw któremu czary Xaltotuna mogą równie dobrze okazać się potrzebne, nim cała rozgrywka dobiegnie końca.

Przybyli do Tanasulu, małego ufortyfikowanego miasteczka, w miejscu gdzie próg skalny w korycie tworzył naturalny most przez rzekę przejezdny zawsze z wyjątkiem okresów największych wylewów. Zwiadowcy zdobyli wieści, iż Conan zajął pozycje na wzgórzach goraliańskich, które poczynały się wznosić kilka mil za rzeką. I że tuż przed zachodem słońca do jego obozu dotarli Gundermani.

Amalric patrzył na Xaltotuna, nieodgadnionego i obcego w świetle jaśniejących pochodni. Zapadła noc.

– Co teraz? Twoja magia zawiodła. Conan staje przeciw nam z armią omal równie silną jak nasza i ma przewagę pozycji. Mamy wybór z dwojga złego: obozować tutaj i czekać na jego atak albo

wycofać się w kierunku Tarantii i oczekiwać posiłków.

– Jeśli zaczekamy, będziemy zgubieni – rzekł Xaltotun. – Przeprowadźcie się przez rzekę i rozbijcie obóz na równinie. Zaatakujemy o świcie.

– Ale jego pozycja jest za mocna! – wykrzyknął Amalric.

– Głupcze! – Poryw pasji przełamał pozory spokoju czarownika. – Zapomniałeś o Valkii? Ponieważ jakieś niejasne czynniki naturalne zapobiegły powodzi, uważasz mnie za bezradnego? Moim zamiarem było, aby to wasze włócznie wytepiły naszych wrogów, ale nie bój się, to moje sztuki zgniotą ich wojsko. Conan jest w pułapce. Nie ujrzy kolejnego zachodu słońca. Przekroczcie rzekę!

Przeprowadzili się przy migotliwym świetle pochodni. Kopyta koni brzęczały na skalnym moście, pluskały przez płycizny. Odbłyśki pochodni na tarczach i napierśnikach odbijały się czerwienią w czarnej wodzie. Skalisty most, po którym kroczyli, był szeroki, ale nawet mimo to było po północy, kiedy wojsko stanęło obozem na równinie za nim. Nad głowami można było dojrzeć w oddali mrugające czerwienią ogniska. Conan został przyparty do muru na wzgórzach goraliańskich, które już wcześniej nieraz służyły za ostatni szaniec aquilońskich królów.

Amalric opuścił swój zdobny namiot i niespokojnie kroczył przez obóz. W namiocie Xaltotuna migotała niesamowita poświata, a ciszę przecinał od czasu do czasu demoniczny krzyk i rozbrzmiewał niski, złowróżbny pomruk bębna, który raczej szumił, niż dudnił.

Amalric, którego instynkty wyostrzyła noc i okoliczności, poczuł, że Xaltotunowi opiera się coś więcej niż siła materialna. Dopadło go zwątpienie w moc czarownika. Spojrzał przelotnie na ogniska w górze i jego twarz przybrała wygląd ponury. On i jego armia

znaleźli się w głębi wrogiego kraju. Tam, pośród tych wzgórz, czaiły się tysiące wilczych postaci, których serca i dusze wyzuto z wszelkich uczuć i nadziei, z wyjątkiem zapalczywej nienawiści do najeźdźców i szaleńczej żądzy zemsty. Porażka oznaczała unicestwienie, odwrót przez kraj rojący się od wrogów opętanych żądzą krwi. A o poranku musi rzucić swe wojsko przeciw najgroźniejszemu wojownikowi wśród narodów zachodu i jego zdesperowanej hordzie. Jeśli Xaltotun zawiedzie ich teraz...

Z mroku wymaszerowało z pół tuzina zbrojnych. Blask ognia połyskiwał na ich napierśnikach oraz grzebieniach hełmów. Pomiedzy sobą na wpół prowadzili, na wpół ciągnęli wychudłą postać w postrzępionych łachmanach.

Oddawszy honory, przemówili:

– Panie mój, ten człek przybył do naszych czujek i powiedział, że pragnie zamienić słowo z królem Valeriussem. To Aquilończyk.

Wyglądał raczej jak wilk – wilk poraniony przez potrzask. Na jego nadgarstkach i kostkach widać było dawne okaleczenia, jakie zostawiają tylko pęta. Twarz szpeciło mu wielkie piętno, znak od rozpalonego żelaza. Jego oczy błyszczały przez mierzwę skudlonych włosów, gdy na wpół kucnął przed baronem.

– Kim jesteś, wszawy psie? – zapytał Nemedyczyk.

– Wołaj na mnie Tiberias – odpowiedział mu tamten, a jego zęby szczęknęły w bezwolnym paroksyzmie. – Przybyłem, aby wam powiedzieć, jak złapać Conana w potrzask.

– Zdrajca, eee? – huknął baron.

– Mówią, że macie złoto – rzekł tamten niepewnie, drżąc pod łachmanami. – Dajcie mi trochę! Dajcie mi złoto, a ja wam pokażę, jak pokonać króla! – Szeroko rozwarte oczy mu się zaszklify, a

wyciągnięte, zwrócone dłońmi ku górze ręce rozpostarte były niczym dygoczące szpony.

Amalric wzruszył ramionami z niesmakiem. Ale żaden sposób nie był zbyt podły na jego użytek.

– Jeśli mówisz prawdę, będziesz mieć więcej złota, niż zdołasz unieść – oświadczył. – Jeśli okażesz się kłamcą i szpiegiem, każę cię ukrzyżować głową w dół. Prowadźcie go za mną.

W namiocie Valeriusa baron wskazał na człowieka, który przycupnął przed nimi, owijając się ściślej swymi łańchmanami.

– Mówi, że zna sposób, by pomóc nam o poranku. Będziemy potrzebować pomocy, jeśli plan Xaltotuna nie sprawdzi się lepiej niż dotychczas. Mów, psie.

Ciało tamtego skręcało się w dziwnych konwulsjach. Słowa padały pospiesznie, z przerwami.

– Conan obozuje u początku Doliny Lwów. Ma ona kształt wachlarza o stromych zboczach po obu stronach. Jeżeli zaatakujecie go jutro, będziecie musieli pomaszerować wprost w górę doliny. Nie możecie wspiąć się na wzgórze po żadnej ze stron. Ale jeśli król Valerius raczy przyjąć me usługi, poprowadzę go przez wzgórze i pokażę, jak może spaść na króla Conana od tyłu. Lecz jeśli w ogóle ma się tak stać, musimy ruszać szybko. To wiele godzin jazdy, gdyż trzeba przebyć całe mile na zachód, potem na północ, wreszcie skrócić ku wschodowi i tak wejść do Doliny Lwów od tyłu, jak nadeszli Gundermani.

Amalric się zawahał, podszczypując brodę. W tych bezładnych czasach nie było rzeczą rzadką znaleźć ludzi skłonnych zaprzedać duszę za kilka sztuk złota.

– Jeśli powiedzisz mnie na manowce, zginiesz – rzekł Valerius. –

Jesteś tego świadomy, prawda?

Tamten zadrżał, ale nie odwrócił swych wielkich oczu.

– Zabij mnie, jeśli cię zdradzę!

– Conan nie ośmieli się rozdzielić własnych sił – zadumał się Amalric. – Będzie potrzebował wszystkich swych ludzi do odparcia naszego ataku. Nie może poświęcić nikogo do stawiania zasadzek po wzgórzach. Poza tym ten typ wie, że los jego skóry zależy od tego, czy poprowadzi nas tak, jak przyrzekł. Czy pies taki jak on poświęciłby sam siebie? Bzdura! Nie, Valeriusie, ufam, że ten człowiek jest uczciwy.

– Albo to złodziej przerastający większość, gdyż chce sprzedać własnego wyzwoliciela. – Valerius zaśmiał się. – Znakomicie. Podążę za tym psem. Ilu ludzi możesz mi odstąpić?

– Pięć tysięcy powinno wystarczyć – odparł Amalric. – Zaskakujący atak na ich tyły wniesie niemały zamęt, a to wystarczy. Będę oczekiwać twego ataku około południa.

– Będziesz wiedział, kiedy uderzę – odpowiedział mu Valerius.

Wróciwszy do swego zdobnego namiotu, Amalric zauważył z zadowoleniem, że Xaltotun przebywa nadal u siebie, co osądził po mrozących krew w żyłach krzykach, jakie, dobiegając od czasu do czasu, wstrząsały nocnym powietrzem. Kiedy wkrótce posłyszał w ciemności na zewnątrz brzęk stali i podzwanianie uprząży, uśmiechnął się posepnie. Valerius niemal wykonał swoje zadanie. Baron wiedział, że Conan jest niczym ranny lew, co szarpie i rozdziera nawet w agonii. Kiedy Valerius uderzy od tyłu, zanim Cimmeryjczyk sam ulegnie, jego desperackie razy mogą całkowicie zetrzeć tamtego. Tym lepiej. O jednego rywala mniej. Amalric poczułby się znacznie lepiej, mogąc obyć się bez Valeriusa, kiedy

ten utoruje drogę nemedyjskiemu zwycięstwu.

Pięć tysięcy konnych, jacy towarzyszyli Valeriusowi, stanowili w większej części zaprawieni w boju aquilońscy renegaci. Pod nieruchomym światłem gwiazd wyruszyli oni ze śpiącego obozu, podążając ku zachodowi w kierunku wytyczonym przez wielkie czarne masywy, jakie wznosiły się przed nimi na tle gwiazd. Valerius jechał na czele, a obok niego Tiberias; skórzany rzemień na jego nadgarstku trzymał mocno jeden ze zbrojnych, który jechał po drugiej stronie. Pozostali trzymali się blisko z wyciągniętymi mieczami.

– Zagraj z nami fałszywie, a zginiesz natychmiast – podkreślił Valerius. – Nie poznałem każdej owczej ścieżki na tych wzgórzach, ale wiem dość o ogólnym ukształtowaniu kraju, żeby znać kierunki, jakie musimy obierać, aby wejść do Doliny Lwów od tyłu. Pilnuj się, żeby nie wywieść nas na manowce.

Tamten pochylił głowę, a jego zęby zaszczękały, kiedy gładko zapewniał dręczyciela o swej lojalności, wpatrując się idiotycznie w sztandar ze złotym węzłem dawnej dynastii, który powiewał nad nim.

Obchodząc najdalej wysunięte zbocza wzgórz, jakie zamykały Dolinę Lwów, przemieszczali się szerokim łukiem na zachód. Po godzinnej jeździe skręcili na północ, przeprawiając się przez dzikie, poszarpane wzgórza i podążając niewyraźnym śladem zawiłych ścieżek. Wschód słońca zastał ich parę mil na północny zachód od pozycji Conana i tu ich przewodnik zawrócił ku wschodowi, i poprowadził ich przez zawiłe labirynty urwisk. Valerius skinął głową, oceniając ich pozycję według rozmaitych wierchów strzelających w niebo nad innymi. W ogólnym kształcie

utrzymywał orientację i wiedział, że nadal zdążają w dobrym kierunku.

Ale teraz bez ostrzeżenia z północy nadciągnęła wzburzona szara, wełnista masa, zasnuwając stoki i rozprzestrzeniając się po dolinach. Przesłoniła słońce. Świat stał się nieprzeniknioną szarą pustką, w której widoczność ograniczona została do paru jardów. Dalsza wędrówka przekształciła się w pełen potknięć i błędzenia po omacku zamęt. Valerius klął. Nie potrafił już dojrzeć wierchów, jakie służyły mu za drogowskazy. Musiał polegać całkowicie na zdradzieckim przewodniku. Złoty wąż obwił przy bezwietrznej pogodzie.

Wkrótce i Tiberias wyglądał na zmieszanego; przystanął, rozglądając się niepewnie dookoła.

– Zgubiłeś się, psie? – dopytywał surowo Valerius.

– Posłuchaj!

Gdzieś przed nimi zrodziły się słabe wibracje, rytmiczne dudnienie bębna.

– Bęben Conana! – wykrzyknął przewodnik.

– Jeśli jesteśmy dość blisko, aby słyszeć bęben – rzekł Valerius – czemu nie słyszymy krzyków i szczęku broni? Musieli już przystąpić do bitwy.

– Górskie gardziele oraz wiatry wyprawiają dziwne sztuczki – odpowiedział mu Tiberias, szczękając zębami od gorączki, która jest częsta u wielu ludzi, jacy spędzili sporo czasu w wilgotnych podziemnych lochach. – Posłuchajcie!

Do ich uszu ledwo co dobiegła ściszone, przytłumiona wrzawa.

– Walczą już w dolinie! – krzyknął Tiberias. – Ten bęben bije na górze. Pospieszmy się!

Pojechał wprost w kierunku dźwięku odległego bębna, jak ktoś, kto w końcu wie, gdzie się znalazł. Valerius podążył jego śladem, przeklinając mgłę. Wówczas przyszło mu do głowy, iż obłok zamaskuje ich przejście. Conan nie zdoła dostrzec, jak nadchodzi. Spadnie Cimmeryjczykowi na kark, zanim południowe słońce rozproszy mgłę.

Obecnie nie potrafił powiedzieć, co znajduje się po obu stronach, czy urwiska, czy zarośla, czy też wąwozy. Bęben tętnił bezustannie, coraz głośniejszy w miarę ich zbliżania, lecz z bitwy nie dosłyszeli nic więcej. Valerius nie miał pojęcia, w którą stronę świata się kierują. Drgnął, kiedy dostrzegł szare skalne ściany majaczące pośród unoszących się po obu stronach mglistych pasm, i zdał sobie sprawę, że przejeżdżają przez wąski przesmyk. Przewodnik nie okazywał jednak śladów zdenerwowania i Valerius wydał głośne westchnienie ulgi, kiedy ściany rozbiegły się i stały niewidoczne we mgle. Przebyli przesmyk. Gdyby zaplanowano zasadzkę, przygotowano by ją na tej przełęczy.

Ale obecnie Tiberias zatrzymał się znów. Bęben dudnił głośniejsze, a Valerius nie potrafił określić, z której strony dobiega ten dźwięk. Teraz zdawało się, że z przodu, a teraz z tyłu, wreszcie z jednego lub z drugiego boku. Niecierpliwie rozejrzał się wokół, siedząc na swym bojowym koniu z kosmykami mgły wijącymi się wokół niego i wilgocią lśniąca na pancerzu. Za jego plecami rozciągnięte szeregi zakuty w stal jeźdźców niknęły coraz dalej i dalej we mgle niczym zjawy.

– Czemu się ociągasz, psie? – zapytał.

Tamten zdawał się słuchać upiornego bębna. Powoli wyprostował się w siodle i odwrócił głowę, by znaleźć się twarzą w

twarz z Valeriusiem, a uśmiech na jego ustach był strasznym widokiem.

– Mgła rzednie, Valeriusie – stwierdził ożywionym głosem, wskazując coś kościstym palcem. – Popatrz!

Bęben umilkł. Mgła zanikała. Najpierw w polu widzenia ponad szarymi obłokami pojawiły się szczyty urwisk, wyniosłych i widmowych. Obłoki spływały coraz to niżej, kurcząc się i niknąc. Valerius poderwał się w strzemionach z okrzykiem, który powtórzyli konni za jego plecami. Ze wszystkich stron górowały nad nimi urwiska. Nie byli w szerokiej, otwartej dolinie, jak się spodziewali. Znajdowali się w ślepym kotle otoczonym stromymi urwiskami wysokimi na setki stóp. Jedyne wejście czy wyjście stanowił wąski przesmyk, którym tu wcześniej wjechali.

– Psie! – Valerius uderzył Tiberiasa prosto w usta zaciśniętą opancerzoną pięścią. – Co to za diabelska sztuczka?

Tiberias splunął krwią i zatrząsł się od przerażającego śmiechu.

– Sztuczka, która uwolni świat od bestii! Popatrz, psie!

Valerius wykrzyknął ponownie, bardziej z wściekłości niż ze strachu.

Przesmyk został zablokowany przez dziką i straszliwą bandę ludzi, którzy stali, milcząc, nieruchomo niczym figury – obdarci, o skudlonych włosach, z włóczniami w rękach. Były ich setki. A wysoko na skałach pojawiły się inne twarze – tysiące twarzy – dzikie, wychudzone, zawzięte, napiętnowane ogniem, stałą i głodem.

– Podstęp Conanowych! – wściekł się Valerius.

– Conan nic o tym nie wie – zaśmiał się Tiberias. – To spiszek ludzi złamanych, ludzi, których zrujnowałeś i przemieniłeś w dzikie

zwierzęta. Amalric miał rację. Conan nie podzielił swej armii. Jesteśmy gromadą, jaka podążała za nim, wilkami, które skradały się po tych wzgórzach, ludźmi bezdomnymi, ludźmi bez nadziei. To był nasz plan, a kapłani Asury pomogli nam przy mgle. Spójrz na nich, Valeriusie! Każdy nosi ślad twojej ręki na ciele lub na sercu! Popatrz! Nie znasz mnie, prawda? A co z tym znakiem, który twój kat mi wypalił? Niegdyś mnie znałeś. Niegdyś byłem panem Amiliusu, człowiekiem, którego synów zamordowałeś, którego córkę twoi najemnicy zniewolili i zasiekli. Powiedziałeś, że nie poświęcę siebie, by pochwycić cię w potrzask? Wszechmogący bogowie, gdybym miał tysiąc żywotów, oddałbym je wszystkie, żeby kupić twą zagładę! I kupiłem ją! Popatrz na ludzi, których życie zламаłeś, trupie, który niegdyś odgrywał króla! Nadeszła ich godzina! Ten kocioł będzie twym grobem. Spróbuj się wspiąć na urwiska: są strome, wysokie. Spróbuj wywalczyć sobie drogę przez przesmyk: włócznie zastawią twą ścieżkę, głązy z góry cię zmiażdżą! Psie! Będę czekał na ciebie w piekle!

Odrzuciwszy głowę do tyłu, roześmiał się, aż zadrżały skały. Valerius wychylił się z siodła i ciął go swoim wielkim mieczem, rozplątując klatkę piersiową i ramię. Tiberias osunął się na ziemię, wciąż śmiejąc się upiornie przez bulgot tryskającej krwi.

Bębny odezwały się ponownie, otaczając skalną nieckę tubalnym grzmotem; z góry sypnęły się miazdzące głązy; ponad wrzaski konających wzbili się świst przesłaniających wszystko chmur strzał.



XXIII

DROGA DO ACHERONU



Świt jaśniał właśnie na wschodzie, kiedy Amalric podciągnął swe wojska ku wylotowi Doliny Lwów. Dolinę tę otaczały z obu stron niskie, krągłe, lecz strome wzgórza, a jej dno wznosiło się serią nieregularnych naturalnych teras. Na najwyższej z owych teras zajęła pozycje oczekująca na atak armia Conana. Wojsko, które dołączyło do niego, maszerując z Gunderlandu, nie składało się wyłącznie z włóczników. Wraz z nimi przybyło siedem tysięcy bossoniackich łuczników i cztery tysiące baronów z pocztami z północy i zachodu, zasilając szeregi kawalerii.

Pikinierzy zostali sformowani w szyku zwartego klina u wąskiego początku doliny. Było ich dziewiętnaście tysięcy, w większości Gundermanów, choć jakieś cztery tysiące stanowili

Aquilończycy z innych prowincji. Zostali oni obstawieni na obu skrzydłach pięcioma tysiącami bossoniackich łuczników. Za szeregami pikinierów w bezruchu siedzieli na swych rumakach rycerze z uniesionymi kopiami – dziesięć tysięcy rycerzy z Poitain, dziewięć tysięcy Aquilończyków oraz baronowie ze swymi pocztami.

Była to pozycja silna. Nie dawało się jej oskrzydlić, gdyż oznaczałoby to wspinaczkę na strome, zalesione wzgórza, na przekór strzałom i mieczom Bossoniaków. Obóz Conana leżał bezpośrednio za nią, w wąskiej dolinie o stromych ścianach, która faktycznie stanowiła przedłużenie Doliny Lwów wzniesione na wyższy poziom. Król nie bał się niespodzianek z tyłu, ponieważ góry za nim pełne były uchodźców i ludzi o złamanym życiu, których lojalność wobec niego nie pozostawiała wątpliwości.

Ale jak trudno było tę pozycję naruszyć, równie trudno było z niej uciec. Dla obrońców była to zarówno forteca, jak i pułapka, ostatni szaniec rozpaczony dla ludzi, którzy nie oczekiwali, że przetrwają, chyba że zostaną zwycięzcami. Jedyna możliwa droga odwrotu wiodła przez wąską dolinę na tyłach.

Xaltotun wspiął się na wzgórze po lewej stronie doliny, w pobliżu jej szerokiego ujścia. Wzgórze to wznosiło się wyżej od innych i znane było jako Ołtarz Króla z przyczyn dawno zapomnianych. Tylko Xaltotun wiedział, a jego pamięć sięgała trzy tysiące lat wstecz.

Nie był sam. Byli z nim jego dwaj zaufani – milczący, włochaci, poruszający się ukradkiem, ciemni – i dźwigali oni młodą Aquilonkę ze związanymi stopami i dłońmi. Złożyli ją na pradawnym kamieniu, który był dziwnie podobny do ołtarza, a

który wieńczył szczyt wzgórza. Od wielu wieków stał tutaj, zniszczony przez pierwotne siły przyrody, aż wielu zwątpiło, iż był on czymś więcej niż tylko ciekawie ukształtowaną naturalną skałą. Ale czym był i dlaczego tam stał, Pythonianin pamiętał z dawnych czasów. Odeszli zaufani o zgiętych plecach niczym milczące gnomy i Xaltotun z ciemną brodą powiewającą na wietrze został sam obok kamiennego ołtarza, spoglądając na dolinę.

Miał jasny widok w jedną stronę aż po krętą Shirki, a w drugą stronę na wzgórza za początkiem doliny. Widział błyszczący klin stali sformowany na skraju teras, burgonety łuczników połyskujące wśród skał i krzaków, milczących rycerzy nieruchomych na swych rumakach, z proporcami powiewającymi nad hełmami i podniesionymi kopiami tworzącymi sterczącą, kolczastą gęstwinię.

Patrząc w drugą stronę, widział długie, zwarte linie Nemedyczyków wchodzące w szyku jaśniejącej stali w wylot doliny. Za nimi kolorowe, zdobne namioty lordów oraz rycerzy i bezbarwne namioty zwykłych żołnierzy rozciągające się prawie do rzeki.

Niczym strumień roztopionej stali napływało do doliny nemedyjskie wojsko, a nad nim łopotał wielki szkarłatny smok. Najpierw maszerowali kusznicy w równych szeregach z na wpół uniesionymi arbalestami, nałożonymi bełtami i palcami na spustach. Po nich szli pikinierzy, a za nimi prawdziwa siła armii – konni rycerze. Ich sztandary były rozwinięte na wietrze, kopie uniesione, podążali na swych wielkich rumakach, jak gdyby jechali na biesiadę.

A wyżej na zboczach mniejsze wojsko aquilońskie trwało w ponurym milczeniu.

Nemedyjskich rycerzy było trzydzieści tysięcy i, jak u większości narodów hyboryjskich, to kawaleria była głównym zbrojnym ramieniem armii. Z pieszych korzystano tylko po to, by oczyścić drogę dla szarzy pancernych rycerzy. Pieszych było dwadzieścia jeden tysięcy – pikinierów i łuczników.

Kusznicy zaczęli strzelać w marszu. Nie łamiąc szyku, miotali bełty o ostrosłupowych grotach z poszumem i brzdękiem. Ale ich bełty spadały za blisko lub grzechotały o mur zachodzących na siebie tarcz Gundermanów, nie czyniąc żadnej szkody. I zanim strzelcy arbalestów zdążyli podejść na zabójczy dystans, słane wysokim łukiem strzały Bossoniaków zasiały spustoszenie w ich szeregach.

Chwilę potem, po daremnej próbie podjęcia wymiany ostrzału, nemedyjscy kusznicy zaczęli wycofywać się bezładnie. Pancerze mieli lekkie, a ich broń nie mogła równać się z bossoniackimi długimi łukami. Zachodni łuczniczy osłonięci byli przez krzaki i skały. Co więcej, nemedyjskim piechurom cokolwiek brakowało do poziomu morale konnicy, skoro wiedzieli, że będą użyci tylko do oczyszczenia drogi dla rycerzy.

Kusznicy się wycofali, a w zwolnione przez nich miejsca w liniach wkroczyli pikinierzy. Ci przeważnie byli najemnikami i władcy nie mieli skrupułów przy ich poświęcaniu. Zamierzano zamaskować nimi postęp rycerzy, dopóki ci nie znajdą się w zasięgu rażenia. Zatem, podczas gdy kusznicy z arbalestami regularnie ślali swe bełty na długi dystans z obu skrzydeł, pikinierzy maszerowali wystawieni na pastwę salw z góry, a za nimi nadciągali rycerze.

Kiedy pikinierzy poczęli chwiać się pod wściekłym gradem

śmierci świszczącym wśród nich znad stoków, zadęto w trąbki, a ich kompanie rozstały się na prawo i lewo i pomiędzy nimi zagrział tętent rycerzy pancernych.

Pędzili wprost w chmurę kłującej śmierci. Jardowe strzały znajdowały każdą szczelinę w ich zbrojach i ladrach rumaków. Konie, wspinające się z trudem po trawiastych terasach, stawały dęba i padały na grzbiec, znosząc swych jeźdźców ze sobą. Zakute w stal postaci usłały zbocza. Szarża zachwiała się i odstąpiła.

Z powrotem w dolinie Amalric przeformował swe szyki. Tarascus walczył z wyciągniętym mieczem pod szkarłatnym smokiem, ale to baron Toru był tym, który dowodził tego dnia. Amalric zaklął, kiedy ujrział gęsty las kopii widoczny powyżej, za osłonami głów Gundermanów. Liczył na to, iż jego wycofanie pociągnie tamtych rycerzy do szarży za nim w dół stokami, gdzie przetrzebią ich z obu skrzydeł jego kusznicy, a konni zaleją swą liczbą. Ale tamci ani drgnęli. Obozowe ciury przyniosły bukłaki z wodą z rzeki. Rycerze zsunęli hełmy i oblewali spocone głowy. Ranni na stokach na próżno wrzeszczeli o wodę. W górnej części doliny obrońców zaopatrywały źródła. Nie cierpieli pragnienia tego długiego, upalnego wiosennego dnia.

Na Ołtarzu Króla, obok starożytnego, rzeźbionego kamienia, Xaltotun obserwował, jak stalowa fala odpływa i napływa. Naprzód szli rycerze z falującymi pióropuszcami i opuszczonymi kopiami. Przedarli się przez świszczącą chmurę strzał, by rozbić się niczym grmiąca fala o ścianę najeżoną włóczniami i tarczami. Topory wznosiły się i opadały ponad hełmami ozdobionymi piórami, włócznie dźgały pod górę, obalając konie i jeźdźców. Duma Gundermanów była nie mniej sroga od tej rycerskiej. Nie byli

mięsem z włóczyniami, zdany na poświęcenie dla chwały ludzi znaczniejszych. Byli najświetniejszą piechotą na świecie, o tradycji, która czyniła ich morale niewzruszonym. Królowie Aquilonii dawno temu poznali wartość niezłomnej piechoty. Trzymali niewzruszony szyk. Nad ich lśnącymi szeregami powiewał wielki sztandar z lwem, a na szczycie klina olbrzymia postać w czarnym pancerzu ryczała i rżnęła niczym huragan ociekającym krwią toporem, który rozszczepiał tak samo stal i kości.

Nemedyjczycy walczyli godnie, tak jak wymagała ich tradycja najwyższego męstwa. Ale nie potrafili przełamać żelaznego klina, a z zalesionych pagórków po obu stronach strzały bezlitośnie dziesiątkowały ich zwarte szeregi. Ich własni kusznicy pozostawali bezużyteczni, pikinierzy niezdolni byli wspiąć się na tę wysokość, aby związać walką Bossoniaków. Powoli, opornie, posępnie wycofywali się owi ponurzy rycerze, licząc puste siodła. Gundermani nad nimi nie wydali okrzyku tryumfu. Zwarli swe szyki, zamykając luki poczynione przez powalonych. Pot lał się im do oczu spod stalowych hełmów. Mocno chwycili swe włócznie i czekali; ich zapalczywe serca pęczniały od dumy, że król walczy pieszo razem z nimi. Za ich plecami aquilońscy rycerze ani drgnęli. Siedzieli na swych rumakach groźnie nieruchomi.

Jakiś rycerz, spinając ostrogami spienionego konia, wjechał na wzgórze zwane Ołtarzem Króla i gniewnie spojrział na Xaltotuna oczami pełnymi wzburzenia.

– Amalric polecił mi oznajmić, iż nadszedł czas, aby użyć twej magii, czarowniku – powiedział. – Giniemy tam w dolinie jak muchy. Nie możemy przełamać ich szyków.

Xaltotun zdawał się powiększać, rosnąć, stawać się straszliwszy,

bardziej przerażający.

– Wróć do Amalrica – rzekł. – Powiedz, by przeformował swe szyki do szarży, ale niech czeka na mój znak. Zanim sygnał ten zostanie wydany, ujrzy on widok, jaki zapamięta aż po łożę śmierci!

Rycerz oddał mu honory, jakby wbrew własnej woli, i pognął w dół wzgórza na złamanie karku.

Xaltotun stanął obok ciemnego kamienia-ołtarza i popatrzył na dolinę – na martwych i rannych na terasach, na ponurą, zboczoną krwią grupę na szczycie zbocza, na pokryte kurzem zakute w stal szeregi zmieniające szyk w dolinie poniżej. Podniósł przelotnie wzrok ku niebu i opuścił go ku smukłej postaci bielejącej na ciemnym kamieniu. I wznosząc sztylet opatrzony archaicznymi hieroglifami, zaintonował sięgającą niepamiętnych czasów inwokację:

– Secie, boże ciemności, łuskowaty panie mroku, przez krew dziewicy i siedmiokrotny znak wołam do twych synów pod czarną ziemią! Dzieci z głębi pod czerwoną ziemią, poniżej ziemi czarnej, przebudźcie się i potrząśnijcie swymi strasznymi grzywami! Niech wzgórza się rozkołyszają, a kamienie runą na mych wrogów! Niech niebo pociemnieje nad nimi, ziemia zachwieje się pod ich stopami! Niech wiatr z głębi czarnej ziemi owionie ich stopy, sprawi, że poczernieją i uschną...

Wstrzymał się nagle ze wzniesionym sztyletem. W pełnej napięcia ciszy rozbrzmiał niesiony wiatrem ryk wojsk poniżej.

Po drugiej stronie ołtarza stanął człowiek w czarnej szacie z kapturem, który rzucał cień na blade, delikatne rysy oraz ciemne oczy, spokojne i zadumane.

– Psie Asury! – wyszeptał Xaltotun, a jego głos był niczym syk

rozzłoszczonego węża. – Czyś ty oszalał, że szukasz zagłady? Ha! Baalu! Chironie!

– Krzyknij ponownie, psie z Acheronu – rzekł tamten i się roześmiał. – Przywołuj ich głośno. Nie posłyszają, chyba że twe wołanie rozlegnie się w piekle.

Z gęstwiny na skraju grani wyszła posepna staruszka w chłopskim stroju. Włosy spływały jej na ramiona, a w ślad za nią podążał wielki szary wilk.

– Wiedźma, kapłan i wilk – wymamrotał posepnie Xaltotun i się zaśmiał. – Głupcy, żeby przeciwstawiać swe szarlatańskie kuglarstwo moim sztukom! Zmiotę was ze swej drogi jednym machnięciem ręki!

– Twoje sztuki to źdźbło trawy na wietrze, psie z Pythonu – odpowiedział asurianin. – Zastanawiałeś się, dlaczego spływająca Shirki nie wezbrała i nie uwięziła Conana na drugim brzegu? Kiedy ujrzałem nocą błyskawice, odgadłem twój plan i moja magia rozproszyła chmury, jakie przywołałeś, nim zdołały wylać swe potoki. Nie wiedziałeś nawet, że twoje czarowanie deszczu zawiodło.

– Kłamiesz! – krzyknął Xaltotun, ale pewność w jego głosie została zachwiana. – Odczułem uderzenie potężnych czarów skierowanych przeciwko mnie... Ale żaden człowiek na świecie nie potrafi odczynić deszczowego uroku raz już uczynionego, chyba że posiadał samo sedno magii.

– Ale powódź, jaką knułeś, nie stała się faktem – rzekł kapłan. – Popatrz na swoich sojuszników w dolinie, Pythonianinie! Poprowadziłeś ich na rzeź! Wpadli w szczęki potrzasku, a ty nie możesz im pomóc. Spójrz!

Wskazał palcem. Z wąskiego wąwozu w górnej części doliny, za Poitainianami, przybył pędzący jeździec, wymachując wokół głowy czymś, co połyskiwało w słońcu. Brawurowo pognał w dół stoku, między rzędami Gundermanów, którzy wzniesli płynący z głębi gardeł ryk, a trzask ich włóczni o tarcze poniósł się po wzgórzach niczym grom. Na terasie między wojskami pokryty pianą koń stanął dęba i osiadł, a jego dziki jeździec zawodził i potrząsał przedmiotem w swych dłoniach jak chory na umyśle. Był to oderwany strzęp szkarłatnego sztandaru, a słońce krzeszło oślepiające błyski ze złotych łusek wijącego się na nim węża.

– Valerius nie żyje! – krzyknął donośnie Hadrathus. – Mgła i bęben zwabiły go ku zagładzie! Ja zwołałem tę mgłę, psie z Pythonu, i ja ją rozproszyłem! Ja, za pomocą mojej magii, która większa jest od twojej!

– Co to za sprawa?! – ryknął Xaltotun. Z płonącymi oczyma i wykrzywionym spazmatycznie obliczem stanowił przerażający widok. – Valerius był głupcem. Nie potrzebuję go. Potrafię zmiażdżyć Conana bez ludzkiej pomocy!

– Dlaczego więc zwlekałeś? – zadrwił Hadrathus. – Dlaczego pozwoliłeś, by tylu twych sojuszników padło przeszytych strzałami i przebitych włóczniami?

– Ponieważ krew pomaga wielkim czarom! – zagrzemiał Xaltotun głosem, który wprawił skały w drżenie. Jego straszną głowę owionął jaskrawy nimb. – Ponieważ żaden czarownik nie marnuje lekkomyślnie swej siły. Ponieważ bardziej chciałem zachować swe moce na wielkie dni, jakie mają nastać, aniżeli angażować je w jakąś górską rozróbę. Ale teraz, na Seta, uwolnię je w całej krasie! Przyglądaj się, psie Asury, malowany kapłanie wyliniałego boga, i

ujrzyj widok, który rozsadzi twój rozum po wsze czasy!

Hadrathus odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się, a w jego śmiechu ożyło piekło.

– Spójrz, czarny diable z Pythonu!

Jego dłoń wysunęła się spod szaty, trzymając coś, co jaśniało i płonęło w słońcu, przemieniając światło w pulsującą złotą poświatę, w której ciało Xaltotuna wyglądało niczym zwłoki.

Acherończyk wrzasnął niby pchnięty nożem.

– Serce! Serce Ahrimana!

– Tak jest! Ta jedna moc jest większa od twojej!

Xaltotun jakby się skurczył, postarzał. Nagle jego brodę usiała biel, pukle włosów upstrzyła szarość.

– Serce! – wybełkotał. – Ukradłeś je! Psie! Złodzieju!

– Nie ja! Było na długiej wyprawie daleko ku południu. Lecz teraz znajduje się w moich rękach i twoje czarne sztuki mu się nie oprą. Jak cię wskrzesiło, tak ciśnie z powrotem w ciemność, z której cię dobyło. Wyruszysz mroczną drogą do Acheronu, która jest drogą milczenia i nocy. Ciemne imperium, nieodrodzone, pozostanie legendą i czarnym wspomnieniem. Conan zapanuje ponownie. A Serce Ahrimana odejdzie na powrót do pieczary pod świątynią Mitry, by płonąć jako znak potęgi Aquilonii przez tysiąc lat!

Xaltotun wrzasnął nieludzko i ze wzniesionym sztyletem pognał dookoła ołtarza; skądś jednak – z nieba być może albo z klejnotu, który jaśniał w dłoni Hadrathusa – wystrzelił strumieniem promień oślepiającego niebieskiego światła. Błysnął wprost na pierś Xaltotuna, a ów wstrząs poniosło po wzgórzach. Czarownik z Acheronu padł, jak gdyby rażony gromem, i zanim dotknął ziemi,

przemienił się straszliwie. Obok ołtarza-kamienia zaległy nie zwłoki właśnie zabitego, ale pomarszczona mumia, brązowa, wyschnięta; nierozpoznawalny zewłok rozciągnięty pośród butwiejących zawojów.

Stara Zelata popatrzyła nań ponuro.

– Nie był człowiekiem żywym – stwierdziła. – Serce użyczyło mu fałszywego obrazu życia, którym oszukał nawet siebie samego. Ja nigdy nie widziałam w nim nikogo innego niż mumia.

Hadrathus schylił się, by odwiązać z ołtarza omdlewającą dziewczynę, kiedy spośród drzew wyłoniła się niezwykła zjawa – rydwan Xaltotuna ciągnięty przez nieziemskie konie. Bezgłośnie przystąpiły do ołtarza i zatrzymały się tak, iż koło pojazdu niemal dotykało brązowej, zaschniętej istoty na trawie. Hadrathus podniósł ciało czarownika i umieścił je w rydwanie. I bez wahania niesamowite rumaki zawróciły i oddaliły się w dół wzgórza ku południu. A Hadrathus, Zelata oraz wilk przyglądali się, jak jechał – długą drogą do Acheronu, który mieści się poza ludzkim pojmowaniem.

Na dole, w dolinie, Amalric zeszywniał w siodle, kiedy ujrzał dzikiego jeźdźca, co wykonywał na stoku piaffy i trawersy, wymachując splamionym krwią sztandarem z węzem. Wtem jakiś instynktowny odruch porwał mu głowę w drugą stronę, w kierunku wzgórza znanego jako Ołtarz Króla. I usta mu się rozwarły. Widział to każdy w dolinie – biegnącą łukiem wiązkę porażającego światła, jaka wzniosła się wysoko ponad szczytem wzgórza, siejącą dookoła złoty ogień. Wysoko ponad głowami wojsk wybuchła ona oślepiającą jasnością, przy której słońce zbladło na chwilę.

– To nie jest znak Xaltotuna! – ryknął baron.

– Nie! – zawołał Tarascus. – To sygnał dla Aquilończyków!
Spójrz!

Ponad nimi nieruchome szeregi w końcu drgnęły, a przez dolinę przetoczył się gromem ryk z głębi gardeł.

– Xaltotun nas zawiódł! – pinił się wściekle Amalric. – Valerius nas zawiódł! Zostaliśmy sprowadzeni w pułapkę! Przekleństwo Mitry na Xaltotuna, który nas tu przywiódł! Ogłosić odwrót!

– *Za późno!* – zawył Tarascus – Spójrz!

Gęsty las kopii w górze, na stoku opadł, wyrównał do poziomemu. Szeregi Gundermanów zwinęły się na prawo i lewo niczym rozsuwana kurtyna. I z grzmotem, niby rodzący się ryk huraganu, rycerze Aquilonii zwalili się w dół zbocza.

Impet tej szarży był przemożny. Bełty wystrzeliwane przez pozbawionych morale kuszników odbijały się od tarcz, od powginanych hełmów nacierających. Pęd kładł ich pióropusze i proporce, kopie mieli opuszczone; przepłynęli przez rozchwiane linie pikinierów i z rykiem pomknęli dalej po stoku niczym fala.

Amalric wyrzeszczał rozkaz do podjęcia szarży i Nemedycjycy u stóp zbocza z desperacką odwagą spięli swe konie ostrogami. Wciąż przeważali liczebnie nad atakującymi.

Ale byli znużonymi ludźmi na umęczonych koniach i szarżowali pod górę. Nacierający rycerze zaś nie zadali tego dnia nawet jednego ciosu. Ich konie były świeże. Zjeżdżali z góry niczym piorun. I niby piorun porazili miotające się szeregi Nemedycyków – uderzyli na nich, rozbili na kawałki i popędzili niedobitków na łeb na szyję w dół stoków.

Po nich pieszo nadeszli Gundermani ogarnięci żądzą krwi oraz

Bossoniacy zbiegający rojnie ze wzgórz, strzelający w biegu do każdego wroga, który nadal się poruszał.

Falę bitwy zmyło w dół stoków, oszołomieni Nemedycyjscy niesieni byli na jej szczycie. Ich strzelcy rzucili swe arbalesty i umykali. Ci pikinierzy, co przetrwali nieposkromioną szarżę rycerzy, zostali wycięci przez bezlitosnych Gundermanów.

W dzikim zamięcie bitwa przesunęła się przez ujście doliny na równinę za nią. Na całej równinie rojło się od wojowników – uciekających i ścigających, rozbitych na indywidualne starcia i skupiska, rażących się i siekących rycerzy na stojących dęba i obracających się koniach. Ale Nemedycyjscy zostali zgnieceni, rozbici; niezdolni byli przeformować się na nowo bądź stawić opór. Umykali setkami, spinając konie, ku rzece. Wielu dotarło do niej, przebyło ją pędem i pojechało ku wschodowi. Tereny wiejskie za nimi zawrzały; lud polował na nich jak wilki. Niewielu w ogóle udało się dotrzeć do Tarantii.

Ostateczny przełom nie nastąpił jednak aż do upadku Amalrica. Baron, próbując na próżno zgromadzić wokół siebie ludzi, wjechał wprost na grupę rycerzy, jacy podążali za olbrzymem w czarnym pancerzu, który na tunice nosił królewskiego lwa; sztandar ze złotym lwem powiewał nad jego głową, obok niego zaś szkarłatny lampart Poitain. Pewien wysoki wojownik w błyszczącej zbroi zniżył swą kopię i zaszarżował naprzeciw lorda Toru. Zwarli się z grzmiącym hukiem. Kopia Nemedyczyka, uderzywszy w hełm wroga, rozerwała sworznie i nity hełmu i zdarła szyszak, odsłaniając oblicze Pallantidesa. Ale grot kopii Aquilończyka przebił się przez tarczę i napierśnik i przeszył serce barona.

Kiedy Amalric wyleciał z siodła, łamiąc z trzaskiem kopię, na

którą go nadziano, podniosła się wrzawa i Nemedycyzy ustąpili nagle jak zapora rozerwana pod wpływem nadciągającej fali. Pędzili ku rzece ogarnięci ślełą paniką, która owionęła równinę niczym trąba powietrzna. Godzina Smoka przeminęła.

Tarascus nie uciekał. Amalric nie żył, chorąży zginął, a królewski sztandar Nemedii wdeptany został w krew i pył. Większość rycerzy uciekała, a Aquilończycy ich dopadali. Tarascus wiedział, że ten rozdział historii został zamknięty, lecz z garstką wiernych zwolenników szalał pośród bitewnego zamętu, świadom tylko jednego pragnienia: spotkać Conana Cimmeryjczyka. I w końcu go spotkał.

Szyki zostały rozbite całkowicie, ściśle zwarte grupy, rozplątane na części, umykały osobno. Grzebień Trocera połyskiwał w jednej części równiny, a te Pallantidesa i Prospera w innych. Conan był sam. Przybocznicy Tarascusa polegli jeden po drugim. Dwaj królowie spotkali się jak mężczyzna z mężczyzną.

W czasie gdy podjeżdżali do siebie, koń Tarascusa parsknął i zwałił się pod nim. Kiedy król Nemedii wygrzebywał się z uprzęży i powstawał, Conan zeskoczył z własnego rumaka i pobiegł ku niemu. Stał błysnęła w słońcu oślepiająco, zgrzytnęła głośno i posypały się błękitne skry; wtem rozległ się brzęk zbroi, bo Tarascus pod ogłuszającym ciosem szerokiego miecza Conana rozciągnął się na ziemi jak długi.

Cimmeryjczyk postawił opancerzoną stopę na piersi nieprzyjaciela i wzniósł miecz. Nie miał hełmu; odrzucił grzywę, a jego niebieskie oczy zapłonęły dawnym ogniem.

– Poddajesz się?

– A udzielisz mi łaski? – spytał Nemedyczyk.

– Tak jest. Lepszej, niż ty udzieliłeś mi. Życie dla ciebie i wszystkich twych ludzi, którzy rzucą broń. Choć powinienem rozszczepić ci czerep za to, że byłeś diabelnym złodziejem – dodał Cimmeryjczyk.

Tarascus wykręcił szyję i omiótł równinę gniewnym spojrzeniem. Niedobitki nemedyjskiego wojska przemykały po kamiennym moście z rojnymi, zwycięskimi Aquilończykami depczącymi im po piętach, uderzającymi mocno z furią przesyconą żądzą zemsty. Bossoniacy i Gundermani zarobili się w obozie swych wrogów, rwąc namioty na strzepy w poszukiwaniu łupów, wyłapując więźniów, rozpruwając pakunki i przewracając wozy.

Tarascus zaklął płomiennie, a potem wzruszył ramionami, na ile zdołał w tych okolicznościach.

– Znakomicie. Nie mam wyboru. Jakie są twoje żądania?

– Zrzeknij się na moją rzecz wszystkich swych obecnych posiadłości w Aquilonii. Rozkaż swoim garnizonom wymaszerować z zamków i miast, jakie zajmują, bez broni i zabieraj swe diabelskie armie z Aquilonii tak szybko, jak to możliwe. Dodatkowo zwrócisz wszystkich Aquilończyków sprzedanych jako niewolników i wypłacisz zadośćuczynienie, jakie wyznaczone będzie później, kiedy szkody, które wyrządziła twoja okupacja kraju, zostaną oszacowane właściwie. Pozostaniesz zakładnikiem, dopóki te warunki nie zostaną wypełnione.

– Znakomicie – skapitulował Tarascus. – Bez oporu poddam wszystkie zamki i miasta zajmowane teraz przez moje garnizony i wszystkie pozostałe rzeczy zostaną wykonane. Jaki okup za moją osobę?

Conan się zaśmiał i zabrał stopę z zakutej w stal piersi swego

wroga, schwycił go za ramię i dźwignął na nogi. Zaczął mówić, lecz wtem się odwrócił, by zobaczyć nadchodzącego ku niemu Hadrathusa. Ostrożnie wybierający drogę pomiędzy szeregami martwych ludzi i koni kapłan był równie spokojny i opanowany jak zawsze.

Ręką splamioną krwią Conan startł ze swej twarzy rozmazany potem kurz. Walczył przez cały dzień, najpierw pieszo wraz z pikinierami, potem w siodle, prowadząc szarżę. Jego tunika przepadła. Zbroję miał zbryzganą krwią i sponiewieraną od ciosów mieczy, toporów i maczug. Groźny olbrzym na tle krwi i rzezi, niczym jakiś posępny pogański bohater rodem z mitologii.

– Dobra robota, Hadrathusie! – oznajmił z werwą. – Na Croma, jakże się ucieszyłem na twój znak! Moi rycerze niemal oszaleli z niecierpliwości i żółć ich zalewała, bo tak rwali się do bitki. Wiele dłużej bym ich nie utrzymał. Co z czarownikiem?

– Wyruszył mroczną drogą do Acheronu – odpowiedział Hadrathus. – A ja... Ja kieruję się ku Tarantii. Moja praca tutaj została wykonana, a mam jeszcze jedno zadanie w świątyni Mitry. Cała nasza praca została wykonana tutaj. Na tym polu ocaliliśmy Aquilonię... i więcej niż Aquilonię. Twój przejazd do stolicy będzie tryumfalnym pochodem przez królestwo oszalałe z radości. Cała Aquilonia będzie świętować powrót swego króla. I tak, aż spotkamy się ponownie w wielkiej sali królewskiej... Żegnaj!

Conan stał w milczeniu i obserwował idącego kapłana. Spieszyli ku niemu rycerze z wszelkich stron pola. Ujrzał Pallantidesa, Trocera, Prospera, Serviusa Galannusa w zbrojach zbryzganym szkarłatem. Łoskot bitwy ustępował wrzawie tryumfu i poklasku. Wszystkie oczy, rozgrzane walką i błyszczące uniesieniem, zwróciły

się w stronę wielkiej czarnej postaci króla; opancerzone dłonie wymachiwały splamionymi czerwienią mieczami. I wzniósł się pomieszany potok dźwięku, głęboki i grzmiący jak morski przybój:

– *Bądź pozdrowiony, Conan, królu Aquilonii!*

Tarascus przemówił:

– Nie wymieniłeś jeszcze mojego okupu.

Conan się roześmiał i z głośnym stukiem umieścił miecz w pochwie. Przeciągnął swe potężne ramiona i przebiegł zakrwawionymi palcami przez swe gęste czarne pukle, jakby wyczuwając tam odzyskaną koronę.

– W twoim seraju jest pewna dziewczyna imieniem Zenobia.

– No tak, jest takowa.

– Znakomicie. – Król się uśmiechnął jak przy nadzwyczaj przyjemnym wspomnieniu. – Ona będzie twoim okupem, i nic poza tym. Przyjadę po nią do Belverusu, jak obiecałem. W Nemedii była niewolnicą, lecz ja uczynię ją królową Aquilonii!



Wiedźma się narodzi

Wiedźma się narodzi

I

KRWIŚCIE CZERWONY PÓŁKSIEŻYC



Taramis, królowa Khauranu, przebudziła się z pełnego rojeń snu w ciszy, która zdawała się bardziej bezruchem spowitych mrokiem katakumb niż zwykłym spokojem uśpionego pałacu. Leżała, wpatrując się w mrok, i zastanawiała, dlaczego świece w złotych kandelabrach zgasły. Zakratowany złotem okienny otwór

znaczyły plamki gwiazd, które nie rozświetlały jednak wnętrza komnaty. Lecz kiedy tak leżała, uświadomiła sobie istnienie promieniującego punktu jaśniejącego w ciemności przed nią. Przyglądała mu się zdziwiona. On zaś powiększył się, a wraz ze wzrostem bardziej rozjaśnił – rozszerzający się dysk niesamowitego światła unoszący się na tle ciemnych aksamitnych zasłon na przeciwległej ścianie. Taramis wstrzymała oddech i zrywając się, usiadła. W kręgu światła ukazał się mroczny kształt – *ludzka głowa*.

W przypiływie nagłej paniki królowa otworzyła usta, by krzyknąć na swe dwórki, lecz nagle się wstrzymała. Poświata stała się jaśniejsza, a oświetlona głowa nabierała coraz żywszych barw. Była to głowa kobiety, niewielka, delikatnie ukształtowana, pełna nadzwyczajnego dostojeństwa, z wysoko upiętą gęstwiną lśniących czarnych włosów. Kiedy się jej przypatrywała, twarz stała się wyraźna i to właśnie widok owej twarzy zdławił krzyk w gardle Taramis. Było to jej oblicze! Jakby spoglądała w zwierciadło, które delikatnie odmienia jej odbicie, przydając mu drapieżnego błysku w oku oraz mściwie wydętych ust.

– Och, Ishtar! – wykrztusiła Taramis. – Jestem w mocy uroku!

Ku jej przerażeniu widziadło przemówiło, a jego głos był niczym zatruty miód.

– Uroku? Nie, słodka siostrze! To nie czary.

– Siostrze? – wydukała oszołomiona dziewczyna. – Ja nie mam siostry.

– Nigdy nie miałaś siostry? – dobiegł do niej słodki, jadownicie drwiący głos. – Nigdy nie miałaś bliźniaczej siostry, której ciało było równie podatne na pieszczoty czy ból jak twoje?

– Cóż, miałam kiedyś siostrę – odrzekła Taramis, wciąż przekonana, iż tkwi w uścisku sennego koszmaru – ale ona umarła.

Piękną twarzą w kręgu wstrząsnął grymas wściekłości. Jej wyraz stał się tak diaboliczny, że wycofująca się z lękiem Taramis nieomal spodziewała się, iż ujrzy węzowe pukle wijące się z sykiem wokół bielutkiego czoła.

– Kłamiesz! – Oskarżenie rozchylnych drapieźnie ust było niczym splunięciem. – Ona nie umarła! Głupia! Och, dosyć tej maskarady! Spójrz... i niech ci oczy pękają!

Światło przemknęło wzdłuż kotary jak płonący wąż, a świece w złotych posadach błysnęły znów ogniem w jakiś niewiarygodny sposób. Taramis skuliła się w aksamitnym posłaniu, jej smukłe nogi ugięły się pod nią, zapatrzoną w podobną do pantery sylwetkę, która pozowała drwiąco na jej oczach. Było tak, jakby spoglądała na drugą Taramis, o identycznych z nią samą członkach i rysach, jednakże ożywianą obcą i złą osobowością. Twarz owej porzuconej za młodu nieznanym odzwierciedlała przeciwieństwo wszystkich cech wypisanych na obliczu królowej. Żądza i zagadka iskrzyły się w jej oczach, okrucieństwo czaiło się w wydeciu pełnych ust. Każdy ruch smukłego ciała był subtelnie znaczący. Jej fryzura naśladowała tę, jaką nosiła królowa, na stopach miała poślaczane sandały, jakie Taramis wkładała w swym buduarze. Tunika bez rękawów, o głębokim dekolcie, ściągnięta w talii przepaską ze złotogłowiu, stanowiła kopię nocnego stroju królowej.

– Kim jesteś? – wykrztusiła Taramis, a lodowaty dreszcz, którego nie potrafiła wyjaśnić, spełził jej po grzbiecie. – Wyjaśnij

swą obecność, zanim wezwę me dwórki, by przywołały straż!

– Wrzeszcz, aż popękają belki stropu – obcesowo rzekła przybyła. – Twoje wywłoki nie zbudzą się do świtu, choćby pałac stanął w płomieniach. Twoi gwardziści nie posłyszają twego kwiku. Zostali odesłani z tego skrzydła pałacu.

– Co?! – wykrzyknęła Taramis, sztywniejac wobec takiej obrazu jej majestatu. – Kto ośmielił się wydać moim gwardzistom taki rozkaz?

– Ja, słodka siostró – rzuciła pogardliwie tamta dziewczyna. – Chwilę przedtem, zanim weszłam. Myśleli, że to ich ukochana, uwielbiana królowa. Ha! Jak pięknie odegrałam tę rolę! Z jakąż stanowczą godnością, zmiękczoną kobiecą słodyczą, przemawiałam do tych niezgrabnych głupców, którzy klęczeli w swych zbrojach i zdobnych piórami hełmach.

Taramis poczuła, jakby zaciągano wokół niej duszącą sieć odrętwienia.

– Kim jesteś? – krzyknęła rozpaczliwie. – Cóż to za szaleństwo? Po co tu przyszedłeś?

– Kim jestem? – W łagodnej odpowiedzi brzmiała zjadliwość syku kobry.

Dziewczyna podeszła do skraju posłania, zajadle złapała dłońmi białe ramiona królowej i nachyliła się, by zajrzeć wprost w szokowane oczy Taramis. I pod czarem owego hipnotycznego spojrzenia królowa zapomniała oburzyć się na bezprzykładną zniewagę krewkich dłoni złożonych na królewskim ciele.

– Głupia! – zgrzytnęła tamta zaciśniętymi zębami. – Jak możesz pytać? Jak możesz się zastanawiać? Jestem Salome!

– Salome! – Taramis wydyszała to słowo, a włosy na głowie

stały jej dęba, kiedy uświadomiła sobie niewiarygodną, paraliżującą prawdę tego oświadczenia. – Myślałam, że zmarłam w pierwszej godzinie po urodzeniu – stwierdziła słabym głosem.

– Wielu tak myślało – rzekła kobieta, która nazwała siebie Salome. – Wywieźli mnie na pustynię, na śmierć, niech będą przeklęci! Mnie, kwilące i płaczące niemowlę, którego życie było wciąż tak słabe, jak ledwie migoczący płomyk świecy. A wiesz, dlaczego wydali mnie na śmierć?

– Słyszałam... słyszałam tę opowieść... – zająknęła się Taramis.

Salome wybuchnęła niepohamowanym śmiechem i klapnęła dłonią o swą pierś. Głęboko wcięta tunika obnażyła górną część jej jędrnych piersi, a pomiędzy nimi zajaśniało przedziwne znamię – półksiężyc, czerwony jak krew.

– Znamię wiemy! – krzyknęła, wzdragając się, Taramis.

– Tak jest! – Śmiech Salome był jak wyostrzony nienawiścią sztylet. – Przekleństwo królów Khauranu! Tak jest, wszyscy snują tę opowieść na targowiskach, potrząsając brodami i przewracając oczyma. Pobożni głupcy! Opowiadają, jak pierwsza królowa naszego rodu zadała się z demonem z mroku i zrodziła mu córkę, która do dziś żyje w odrażających legendach. I od tego czasu w dynastii askhauriańskiej w każdym stuleciu rodzi się dziewczynka ze szkarłatną połówką księżyca między piersiami, która przesądza o jej losie. „Co stulecie wiemy się narodzi” – tak głosi starożytne przekleństwo. I tak też się działo. Niektóre były mordowane zaraz po narodzeniu, tak jak się starano zamordować mnie. Inne stąpały po ziemi jako wiemy, dumne córki Khauranu z piekielnym półksiężycem płonącym na ich bielutkim gorsie. Każdą zwano Salome. Ja także jestem Salome.

To zawsze była Salome, wiedźma. I zawsze będzie Salome, wiedźma. Nawet gdyby góry lodu zeszły z rykiem z biegunów i starły w ruiny cywilizacje, a nowy świat powstał z prochu i popiołów, i ruin, nawet wówczas będą Salome, stąpające po ziemi, by więzić ludzkie serca swymi czarami, by tańczyć przed królami świata i oglądać głowy mędrców spadające wedle ich życzenia.

– Ale... ale ty... – jąkała się Taramis.

– Ja? – Skrzące się oczy płonęły niczym mroczne, zagadkowe ognie. – Mnie wynieśli na pustynię, daleko od miasta, i położyli nagą na gorącym piachu pod palącym słońcem. A potem odjechali, pozostawiając szakalom, sępom i pustynnym wilkom. Jednak życie we mnie okazało się mocniejsze niż w zwyczajnych ludziach, gdyż jest ono częścią sił, jakie kipią w czarnych otchłaniach poza poznaniem śmiertelników. Godziny mijały, a słońce raziło jak stopione ognie piekieł, lecz ja nie umarłam... tak jest, coś z owej udręki pamiętam, słabo i odległe, jak pamięta się niejasny, bezkształtny sen. Potem były wielbłądy i żółtoskórzy ludzie, którzy nosili jedwabne szaty i mówili dziwacznym językiem. Zbłądziwszy od szlaku karawan, przejeżdżali obok, a ich przewodnik dostrzegł mnie i rozpoznał szkarłatny półksiężyc na mym gorsie. Zabrał mnie i dał mi życie. Był magiem z odległego Khitaju, powracającym do ojczystego królestwa po wyprawie do Stygii. Zabrał mnie do Paikangu o purpurowych wieżach, z jego minaretami wznoszącymi się pośród spowitej pnąciami dżungli bambusów, i tam dorosłam, stałam się kobietą, pobierając nauki. Jego wiek pozwolił mu już wcześniej nasiąknąć głęboko mroczną mądrością, a lata nie osłabiły mocy władania

złem. Wielu rzeczy mnie nauczył... – Przerwała, uśmiechając się zagadkowo. W jej ciemnych oczach przeblyskiwała nikczemna tajemnica. Nagle potrząsnęła głową. – W końcu wypędził mnie, mówiąc, iż mimo jego nauk jestem niczym więcej niż zwykłą wiedźmą, niezdatną, by władać potężną magią, której by mnie uczył. Uczyniłby mnie królową świata i za moim pośrednictwem władał narodami, powiedział, lecz ja okazałam się tylko wszeteczną mroku. Ale co z tego? Nie wytrzymałabym odosobnienia w złotej wieży i spędzania długich godzin na wpatrywaniu się w kryształową kulę, mamrotaniu inkantacji zapisanych krwią dziewic na skórze węży czy dogłębnym studiowaniu zbutwiałych ksiąg w zapomnianych językach. Orzekł, iż jestem duchem przyziemnym, niemającym pojęcia o głębszych otchłaniach kosmicznej magii. Cóż, ten świat posiada wszystko, czego pragnę: i przepych, i blichtr, przystojnych mężczyzn i delikatne kobiety na kochanków i niewolnice. On powiedział mi, kim jestem, o przekleństwie mego dziedzictwa. Powróciłam, by wziąć to, do czego mam takie samo prawo jak ty.

– Co masz na myśli? – Taramis skoczyła na równe nogi i stanęła naprzeciw siostry, wybita jej słowami z odrętwienia i przerażenia. – Roisz sobie, iż usypiając kilka mych dwórek i zwodząc paru gwardzistów, dowiodłaś słuszności swych pretensji do tronu Khauranu? Nie zapominaj, że to *ja* jestem królową! Jako mej siostrze przyznam ci zaszczytne miejsce, ale...

Salome roześmiała się nienawistnie.

– Jak wspaniałomyślnie z twojej strony, droga, słodka siostro! Lecz zanim zaczniesz przyznawać mi miejsce, może powiesz, czyi to żołnierze obozują na równinie za murami miasta?

– To shemiccy najemnicy Constantiusa, kothiańskiego *wojewody* Wolnych Towarzystw.

– A co oni robią w Khauranie? – niewinnie mruzczała Salome.

Taramis poczuła się subtelnie wydrwiona, lecz odpowiedziała z poczuciem godności, którą ledwie wyczuwała:

– Constantius poprosił o zezwolenie na przejście granic Khauranu w drodze do Turanu. On sam jest zakładnikiem poręczającym ich godne zachowanie tak długo, jak długo pozostają na moich ziemiach.

– A sam Constantius – ciągnęła Salome – czy nie poprosił cię dziś o rękę?

Taramis obrzuciła ją chmurnym, pełnym podejrzliwości spojrzeniem.

– Skąd o tym wiesz?

Jedyną odpowiedź stanowiło bezczelne wzruszenie nagimi, smukłymi ramionami.

– Odmówiłaś, droga siostrze?

– Oczywiście, że odmówiłam! – wykrzyknęła Taramis ze złością. – Czy ty, sama będąc askhauriańską księżniczką krwi, sądzisz, że królowa Khauranu mogła potraktować taką propozycję inaczej jak tylko z pogardą? Poślubić awanturnika o skrwawionych rękach, człowieka wygnanego z własnego królestwa z powodu popełnionych zbrodni, przywódcę zrzeszonych grabieżców i wynajętych morderców? Nie powinnam była nigdy pozwolić mu sprowadzić do Khauranu tych jego czarnobrodych bandziorów. Lecz w rzeczy samej jest on więźniem w południowej wieży, gdzie pilnują go moi żołnierze. Jutro nakażę mu, by wydał swym oddziałom polecenie

opuszczenia królestwa. On sam pozostanie więźniem, dopóki nie przekroczą granicy. Tymczasem moi żołnierze obsadzają mury miasta i ostrzegłam go, że odpowie za wszelkie haniebne czyny popełnione przez jego najemników na mieszkańcach wsi czy pasterzach.

– Pozostaje zamknięty w południowej wieży? – zapytała Salome.

– To właśnie powiedziałam. Dlaczego pytasz?

Zamiast odpowiedzieć, Salome klasnęła w dłonie i podnosząc głos, z rechem okrutnej wesołości zawołała:

– Królowa udziela ci audiencji, Sokole!

Drzwi zdobne w złote arabeski rozwarły się i do komnaty wkroczyła wysoka postać, na której widok Taramis wydała okrzyk zdumienia i gniewu.

– Constantius! Jak śmiesz wchodzić do mojej komnaty?!

– Jak widzisz, wasza wysokość! – Z drwiącą pokorą pochylił swą ciemną głowę o drapieźnych rysach.

Constantius, którego ludzie zwali Sokołem, był wysoki, o szerokich ramionach i wąskiej talii, prężny i silny jak giętka stal. Był przystojny w jakiś orli, bezwzględny sposób. Jego twarz spalona była słońcem na ciemny kolor, a włosy, które wyrastały nad wysokim, wąskim czołem, miał kruczoczarne. Jego ciemne oczy były przenikliwe i czujne, a cienki czarny wąsik nie łagodził srogości wąskich ust. Buty miał zrobione z kordawańskiej skóry, a nogawice i dublet, nadszarpnięte przez trudy obozowego życia i plamy rdzy od pancerza, z gładkiego, ciemnego jedwabiu.

Podkręcając węża, pozwolił sobie przesunąć spojrzeniem po wzdragającej się królowej w górę i w dół z bezczelnością, od

której aż się skrzywiła.

– Na Ishtar, Taramis! – rzekł jedwabistym głosem. – Stwierdzam, że jesteś bardziej ponętna w nocnej tunice niż w swych królewskich szatach. Zaprawdę, szczęśliwa to noc!

W ciemnych oczach królowej zrodził się strach. Nie była głupia. Wiedziała, że Constantius nigdy by się nie poważył na taką zniewagę, gdyby nie był pewny swego.

– Jesteś szalony – oznajmiła. – O ile w tej komnacie znajduję się w twojej mocy, o tyle nie masz żadnej władzy nad moimi poddanymi, którzy rozerwą cię na kawałki, kiedy mnie dotkniesz. Jeśli chcesz żyć, wyjdź natychmiast.

Dwójka przybyszy roześmiała się drwiąco, a Salome niecierpliwie machnęła ręką.

– Dość tej farsy. Przejdźmy do następnego aktu komedii. Posłuchaj, droga siostrze, to ja przysłałam tu Constantiusa. Kiedy zdecydowałam się objąć tron Khauranu, rozejrzałam się za człowiekiem, który by mi dopomógł, i wybrałam Sokoła, ze względu na jego całkowity brak wszelkich cech zwanych dobrymi.

– Czuję się przytłoczony, księżniczko – mruknął Constantius ironicznie z głębokim ukłonem.

– Posłałam go do Khauranu i podczas gdy jego ludzie rozbili się obozem na równinie, a on znalazł się w pałacu, weszłam do miasta przez tę małą bramkę w murze zachodnim. Strzegący jej głupcy myśleli, że to ty wracasz po jakiejś nocnej przygodzie.

– Ty wywłoko! – Policzki Taramis zapłonęły, a oburzenie wzięło górę nad królewską powściągliwością. Ceniła sobie swą cnotliwą reputację.

Salome uśmiechnęła się nieznacznie.

– Byli stosownie zaskoczeni i wstrząśnięci, ale wpuścili mnie bez pytania. Do pałacu weszłam w ten sam sposób, a zaskoczonym strażnikom wydałam rozkaz, który sprawił, że odmaszerowali, tak samo jak ludzie pilnujący Constantiusa w wieży południowej. Potem przyszedłam tutaj, zadbawszy po drodze o dwórki.

Dłonie Taramis zacisnęły się, a ona sama pobladła, kiedy wyczuła czającą się za tym wszystkim ponurą postać potwornego spisku.

– No i co dalej? – zapytała drżącym głosem.

– Posłuchaj! – Salome skłoniła głowę. Przez otwór okienny napłynął słaby szcęk zbroi maszerujących ludzi; chrapliwe głosy wykrzykiwały w obcym języku, a z tymi nawoływaniami mieszały się wrzaski alarmowe.

– Lud zbudził się i napełnił strachem – stwierdził ironicznie Constantius. – Lepiej będzie, jak go uspokoisz, Salome.

– Nazywaj mnie Taramis – rzekła Salome. – Musimy się do tego przyzwyczaić.

– Co żeście zrobili? – krzyknęła Taramis. – Co żeście zrobili?

– Poszłam do bram i nakazałam żołnierzom ich otwarcie – odparła Salome. – Byli niezmiernie zdumieni, lecz posłuchali rozkazu. To wojska Sokoła słyszysz wkraczające do miasta.

– Ty diablico! – krzyknęła Taramis. – Zdradziłaś mój lud w moim przebraniu! Sprawiałaś, że wezmą mnie za sprzedawczyka! Och, pójdę ja do nich...

Z okrutnym śmiechem Salome złapała ją za nadgarstki i szarpnęła w tył. Wspaniała gibkość królowej okazała się bezsilna

wobec mściwej siły, która zahartowała smukłe członki Salome.

– Wiesz, Constantiusie, jak dostać się z pałacu do lochów? – rzekła wiedźma. – Dobra. Weź tę krewką dziewczynę i zamknij w najsolidniejszej celi. Dozorcy więzienni zatopieni są w głębokim narkotycznym śnie. Zadbałam o to osobiście. Poślij człowieka, żeby poderżnął im gardła, zanim się przebudzą. Nikt nigdy nie może się dowiedzieć, co zdarzyło się dzisiejszej nocy. Od tejże chwili ja jestem Taramis, a Taramis będzie bezimiennym więźniem w nieznanym nikomu lochu.

Constantius uśmiechnął się, błyskając pod cienkim wąsem białymi zębami.

– Bardzo dobrze, ale nie odmówisz mi najpierw odrobiny... och... rozrywki?

– Żadną miarą! Poskrom tę bezużyteczną arogantkę, jak chcesz.
– Śmiejąc się nikczemnie, Salome cisnęła siostrę w ramiona Kothianina i odwróciwszy się, minęła drzwi prowadzące na korytarz.

Śliczne oczy Taramis poszerzyły się z przerażenia, a gibka sylwetka zeszywniała, wyężdżając wszystkie siły przeciwko objęciom Constantiusa. W obliczu zagrożenia swej kobiecości zapomniała o ludziach maszerujących ulicami, zapomniała o zniewadze jej królewskiego majestatu. Kiedy stanęła wobec całkowitego cynizmu płonących, drwiących oczu Constantiusa i poczuła, jak jego twarde ramiona miażdżą jej wijące się ciało, zapomniała o wszelkich odczuciach poza panicznym strachem i wstydem.

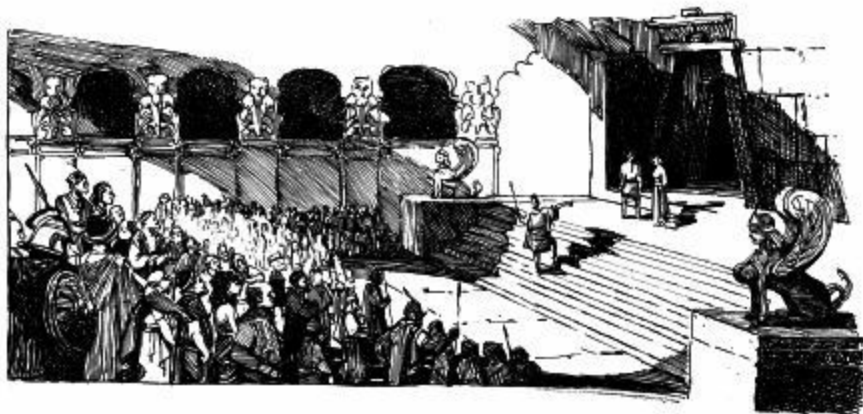
Spiesząca korytarzem na zewnątrz Salome uśmiechnęła się złośliwie, kiedy, wstrząsając murami pałacu, zadźwięczał krzyk

rozpaczy i przesywającego bólu.



II

DRZEWO ŚMIERCI



Nogawice i koszula młodego żołnierza usmarowane były zaschniętą krwią, mokre od potu i szare od pyłu. Krew sączyła się z głębokiego rozcięcia na udzie oraz z nacięć na piersiach i ramieniu. Na posiniątej twarzy błyszczał pot, a palce zwierały się na kapie leżanki, na której spoczywał.

– Ona musiała oszaleć! – powtarzał wciąż jak ktoś ogłuszony potwornym i niewiarygodnym wydarzeniem. – To jak senny koszmar! Taramis, którą kocha cały Khauran, wydaje swój lud temu diabłu z Koth! Och, Ishtar, czemu nie zginąłem?! Lepiej umrzeć, niż żyć, by patrzeć, jak nasza królowa przemienia się w zdrajczynię i ladacznicę.

– Leż spokojnie, Valeriusie – błagała dziewczyna, która przemywała i bandażowała jego rany drżącymi dłońmi. – Och,

proszę, leż spokojnie, najdroższy! Sprawisz, że twe rany się pogłębią. Nie odważyłam się wezwać medyka.

– Nie – wymamrotał ranny młodzieniec. – Błękitnobrode diabły Constantiusa będą poszukiwać rannych Khauranich na kwaterach. Powieszają każdego, kto posiada rany wskazujące, że walczył przeciw nim. Och, Taramis, jak mogłaś zdradzić lud, który cię wielbił? – Wił się w gwałtownej męce, szlochając z gniewu i wstydu, a przerażona dziewczyna pochwyciła go w ramiona, przyciskając ze wszystkich sił jego miotającą się głowę do piersi i błagając, aby się uspokoił. – Lepsza śmierć niż sromotny wstyd, który stał się dziś udziałem Khauranu – jęknął. – Widziałaś to, Ivgo?

– Nie, Valeriusie. – Jej delikatne, zręczne dłonie pracowały znowu, łagodnie oczyszczając i domykając rozstępujące się krawędzie otwartych ran. – Przebudził mnie hałas bitew na ulicach... Wyrzałam przez okno i zobaczyłam Shemitów wyrzynających lud... Wkrótce potem posłyszałam ciebie, jak wołasz mnie słabym głosem u drzwi w zaułku.

– Osiągnąłem granice moich sił – wymamrotał. – Upadłem w zaułku i nie potrafiłem się podnieść. Wiedziałem, że jeśli będę tak leżał, niebawem mnie znajdą... Zabiłem trzy z tych błękitnobrodych bestii, na Ishtar! Na bogów, nigdy nie będą butnie przemierzać khaurańskich ulic! Właśnie teraz demony rozrywają im serca w piekle!

Drżąca dziewczyna zaczęła nucić mu po cichu coś uspokajającego, niczym rannemu dziecku, i zamknęła jego z trudem łapiące powietrze usta swymi chłodnymi, słodkimi wargami. Jednak ogień szalejący w jego duszy nie pozwolił mu leżeć cicho.

– Nie było mnie na murze, gdy wkroczyli Shemici – wyrzucił z

siebie. – Spałem w koszarach z innymi, którzy nie byli na służbie. Było to tuż przed świtem, kiedy wszedł nasz dowódca, a twarz okoloną hełmem miał pobladłą. „Shemici są w mieście! – oznajmił. – Królowa przysłała do południowej bramy i wydała rozkazy, iż winni zostać wpuszczeni. Nakazała ludziom zejść z murów, gdzie przebywali na straży, odkąd Constantius wkroczył do królestwa. Nie rozumiem tego i nikt inny też nie rozumie, lecz słyszałem, jak wydawała rozkaz, a my posłuchaliśmy, tak jak czynimy to zawsze. Nakazano nam zgromadzić się na placu przed pałacem. Formujcie kolumny przed koszarami i marsz. Swoją broń i pancerze zostawcie tutaj. Ishtar wie, co to znaczy, ale to polecenie królowej”. Cóż, kiedy przybyliśmy na plac, spieszeni Shemici stali już w gotowości naprzeciw pałacu – dziesięć tysięcy błękitnobrodych diabłów, w pełni uzbrojonych, a głowy ludu wystawały ze wszystkich okien i drzwi dookoła. Ulice prowadzące na plac zatłoczone były skołowanymi ludźmi. Taramis stała na schodach pałacu sama, wyłączwszy Constantiusa, gładzącego węża jak wielki chudy kot, który właśnie pożarł wróbla. A pięćdziesięciu Shemitów z łukami w dłoniach stało szeregiem tuż pod nimi. Tam winna znajdować się królewska straż, lecz ta stała w gotowości u stóp pałacowych schodów równie zdziwiona jak my, choć przybyła w pełni uzbrojona, mimo rozkazu królowej. Taramis przemówiła wówczas do nas i powiedziała, że rozpatrzyła na nowo propozycję złożoną jej przez Constantiusa – czemu, skoro jeszcze wczoraj wobec całego dworu cisnęła mu ją w twarz!? – i że zdecydowała się uczynić go królewskim małżonkiem. Nie wyjaśniła, dlaczego tak zdradziecko przywiodła Shemitów do miasta. Stwierdziła wszak, że ponieważ Constantius sprawuje kontrolę nad oddziałami zawodowych

wojowników, armia Khauranu nie jest już więcej potrzebna i dlatego też rozwiązuje ją i rozkazuje nam odejść w spokoju do swych domów. Cóż, posłuszeństwo królowej jest naszą drugą naturą, aleśmy oniemieli i nie znaleźliśmy słów, by odpowiedzieć. Złamaliśmy szeregi, zanim pojęliśmy, co czynimy, jak ogłuszeni. Kiedy jednak straży pałacowej rozkazano podobnie rozbroić się i rozwiązać, jej dowódca, Conan, się wyłamał. Mówiono, iż poprzedniej nocy, nie będąc na służbie, spał się. Teraz jednak był całkowicie rozbudzony. Zawołał na gwardzistów, żeby stali tam, gdzie są, dopóki nie otrzymają rozkazu od niego – i tak wielkie jest jego panowanie nad ludźmi, że posłuchali go wbrew królowej. Wielkimi krokami wspinał się na pałacowe schody i przypatrzył się Taramis... i wówczas ryknął: „To nie królowa! To nie Taramis! To jakiś diabeł w przebraniu!”. Potem nastąpiło piekło! Nie wiem, co się właściwie stało. Chyba jeden z Shemitów uderzył na Conana, a ten go zabił. W następnej chwili plac stał się polem bitwy. Shemici spadli na gwardzistów, a ich włócznie i strzały poraziły wielu żołnierzy, którzy zostali już wcześniej rozpuszczeni. Niektórzy z nas pochwycili broń, jaka wpadła w ręce, i przypuścili kontratak. Nie bardzo wiedzieliśmy, o co walczymy, ale na pewno przeciwko Constantiusowi i jego diabłom, przysięgam. Nie przeciw Taramis, przysięgam! Constantius krzychał, żeby wyciąć zdrajców. Nie byliśmy zdrajcami! – Jego głos drżał z rozpacz i oszołomienia. Dziewczyna mruzczała coś współczująco, nie pojmując tego wszystkiego, lecz łącząc się w bólu z cierpieniem ukochanego. Lud nie wiedział, czyją obrać stronę. To było szaleństwo zamętu i ogłupienia. My, którzy walczyliśmy, byliśmy bez szans: bez szyku, bez pancerzy, na wpół uzbrojeni. Strażnicy byli na placu w pełni

uzbrojeni i w gotowości, lecz było ich tylko pięciuset. Zebrali obfite żniwo, zanim ich wycięto, ale dla takiej walki mógł być tylko jeden koniec. A kiedy lud zarzynano na jej oczach, Taramis stała na pałacowych schodach objęta w tali ramieniem Constantiusa i śmiała się niczym piękny, pozbawiony serca demon. Bogowie! To zupełne szaleństwo... szaleństwo! Nigdy nie widziałem człowieka walczącego jak Conan. Wsparł się plecami o mur dziedzińca i zanim go przemogli, wokół trupy zalegały w stosach po uda. W końcu jednak powalili go, setka przeciw jednemu. Kiedy widziałem, jak pada, odczołgałem się, czując, jakby świat rozpadał się pod moimi dłońmi. Słyszałem Constantiusa, który wzywał swe psy do wzięcia dowódcy żywcem... przyglądając węża z tym nienawistnym uśmiechem na przeklętych ustach.

Ów uśmiech pojawił się na ustach Constantiusa w tejże właśnie chwili. Osadził konia pośród gromady swych ludzi – potężnie zbudowanych Shemitów o kędzierzawych, błękitnoczarnych brodach i haczykowatych nosach. Wiszące nisko słońce krzesło skry z ich szłomów oraz posrebrzanych łusek kirysów. Blisko milę za nimi mury i wieże Khauranu wyrastały pionowo spośród łąk.

Przy szlaku karawan umieszczono ciężki krzyż, a na tym ponurym drzewie wisiał człowiek przybity żelaznymi bretnalami na wskroś przez dłonie i stopy. Nagi, poza przepaską biodrową, człowiek ów był wzrostu niemal olbrzyma, a jego mięśnie wyprężyły się grubymi pasmami węzłów na członkach i tułowiu, które słońce dawno temu spaliło na brąz. Twarz i potężną pierś zrosił mu pot śmiertelnej męki, lecz spod zmierzwionej czarnej grzywy włosów, która opadła na niskie, szerokie czoło, jego niebieskie oczy płonęły ogniem nieugaszonym. Krew sączyła się

wolno z pokaleczonych rąk i nóg.

Constantius pozdrowił go szyderczo.

– Przepraszam, dowódco – rzekł – że nie mogę pozostać, by złagodzić tobie ostatnie godziny, lecz mam do spełnienia obowiązki w tym oto mieście. Nie mogę kazać naszej apetycznej królowej czekać! – Zaśmiał się miękko. – Zostawiam cię więc samemu sobie i tamtym ślicznotkom! – Znacząco wskazał na czarne cienie, które wysoko w górze krążyły nieustannie w tę i z powrotem. – Gdyby nie one, mniemam, iż taki silny zwierz jak ty winien żyć na krzyżu całymi dniami. Nie masz co żywić złudzeń w kwestii ocalenia, ponieważ zostawiam cię niestrzeżonego. Już wcześniej obwieściłem, że każdy, kto spróbuje zdjąć z krzyża tve żywe lub martwe ciało, zostanie na placu zgromadzeń żywcem odarty ze skóry wraz ze wszystkimi członkami swojej rodziny. Jestem już w Khauranie umocowany tak pewnie, że mój rozkaz ma siłę równą regimentowi gwardzistów. Nie zostawiam żadnej straży, ponieważ sępy nie zbliżą się tak długo, jak długo ktoś będzie w pobliżu, a nie chcę, by czuły się skrupowane! To właśnie dlatego przywiodłem cię tak daleko od miasta. Te pustynne sępy nie zbliżają się do murów bardziej niż dotąd. A więc, dzielny dowódco, żegnaj! Wspomnę cię, kiedy za godzinę Taramis spocznie w mych ramionach.

Z przebitych dłoni znów popłynęła krew, kiedy podobne do drewnianych młotków pięści zacisnęły się konwulsyjnie na łebkach bretnali. Supły i węzły mięśni w masywnych ramionach ożyły, a Conan pochylił w przód swą głowę i splunął wściekle na Constantiusa. *Wojewoda* zaśmiał się obojętnie, starł ślinę z obojczyka i ściągnąwszy wodze, odwrócił konia.

– Wspomnij mnie, kiedy sępy będą rozrywać tve żywe ciało –

zawołał kpiąco. – Pustynne ścierwojady są rasą szczególnie żarłoczną. Widziałem ludzi wiszących na krzyżu godzinami, bez oczu, bez uszu, bez skóry na głowie, zanim ostre dzioby wygryzły sobie drogę do wnętrzości.

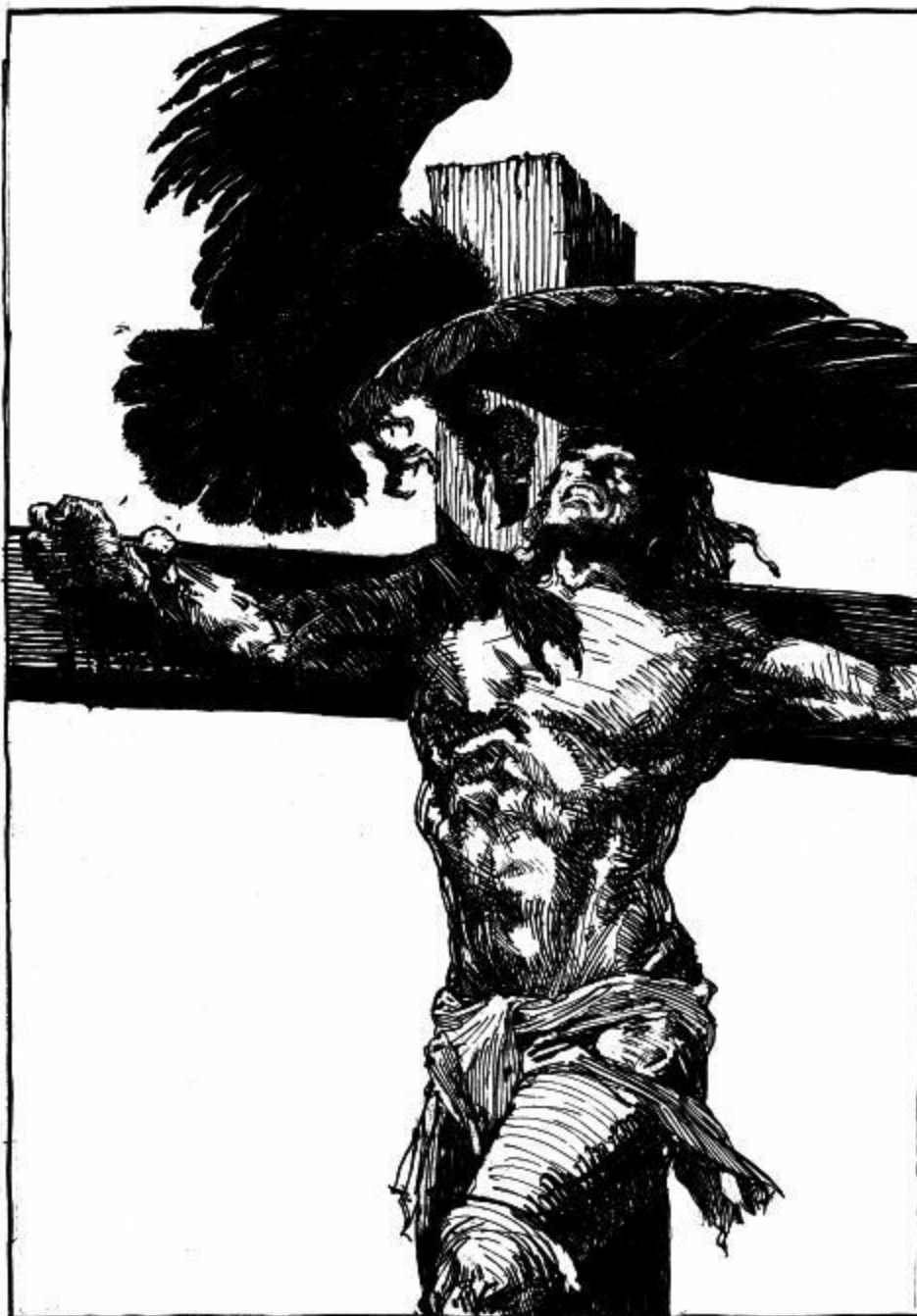
Bez oglądania się za siebie ruszył w kierunku miasta – gibka, wyprostowana postać błyszcząca w swej polerowanej zbroi. Jego beznamiętni brodaci podwładni biegli obok niego. Drogę ich przejścia znaczył ledwie wzbijany pył udeptanego szlaku.

Człowiek wiszący na krzyżu stanowił jedyną drobinę świadomego istnienia pośród krajobrazu, który późnym popołudniem zdawał się opustoszały i przygnębiający. Khauran, o mniej niż milę stąd, mógł się znajdować po drugiej stronie świata, tkwić w innej epoce. Strząsając pot z oczu, Conan zapatrzył się pustym wzrokiem na znajomą okolicę. Po dwóch stronach miasta oraz za nim rozciągały się urodzajne pastwiska, gdzie w oddali pasło się bydło, a równinę znaczyły szachownice pól uprawnych oraz winnice. Zachodni i północny horyzont usiane były wioskami, maciupkami z tej odległości. Bliżej ku południowemu wschodowi srebrzysty blask znaczył koryto rzeki, a za nią zaczynała się nagle piaszczysta pustynia sięgająca coraz dalej i dalej, poza horyzont. Conan przyglądał się połaci głuchej pustki migoczącej jasnym brązem w świetle zniżającego się słońca tak, jak schwyty jastrząb wpatruje się w przestwór nieba. Kiedy spojrzął na błyszczące wieże Khauranu, wstrząsnął nim wstręt. To miasto go zdradziło, uwięziło w sytuacji, za której sprawą pozostawiono go wiszącego na drewnianym krzyżu jak zająca przybitego do drzewa. Gdyby zdołał zstąpić z tego drzewa udreki i dostać się na bezludne pustkowie, odwróci się na zawsze plecami do zwodniczych ulic i otoczonych

murami nor, gdzie ludzie spiskowali, jak tu zdradzić człowieczeństwo.

Żądza krwawej zemsty wymiotła wszelkie myśli. Z ust spływały mu falami przekleństwa. Cały jego wszechświat skurczył się, skupił i został zamknięty w czterech żelaznych bretnalach przytrzymujących go z dala od życia i wolności. Jego wielkie mięśnie drżały, tworząc węzły niczym stalowe liny. Opływając potem, z szarzejącą skórą, usiłował zyskać jakieś oparcie, by wyrwać gwoździe z drewna. Na próżno. Wbito je głęboko. Potem próbował zerwać dłonie z bretnali i to nie przesywające, bezdenne cierpienie sprawiło, iż zaniechał tych wysiłków, lecz ich daremność. Łebki bretnali były szerokie i mocne; nie zdołał przeciągnąć ich przez rany. Napływająca fala bezsilności wstrząsnęła olbrzymem po raz pierwszy w życiu. Zawisł nieruchomo, z głową złożoną na piersi, i zamknął oczy przed oślepiającym słonecznym blaskiem.

Uderzenia skrzydeł sprawiły, że spojrzał w górę, akurat gdy pierzasty cień spadał z nieba. Ostry dziób mierzący w oczy rozciął mu policzek, więc szarpnął głowę w bok, odruchowo zamykając powieki. Wydał chrapliwy i gardłowy rozpaczliwy okrzyk groźby, a sępy rozpierzchły się i wycofały przerażone tym odgłosem. Na nowo zaczęły czujnie krążyć nad jego głową. Krew spłynęła wąską strużką na usta Conana, a on bezwiednie oblizał wargi i splunął, poczuwszy słony smak.



Naprzykrzało się mu wściekle pragnienie. Opił się winem poprzedniej nocy, a jego usta nie tknęły wody od bitwy na placu, od świtu. A zabijanie to zajęcie budzące pragnienie i wyciskające słony pot. Wpatrywał się gniewnie w odległą rzekę jak człowiek patrzący przez otwarte okienko celi. Pomyślał o przepływającej masie

białych wód, przez które niegdyś przychodziło mu się przedzierać obmywanemu po ramiona w płynnym nefrycie. Rozpamiętywał wielkie rogi pieniacego się piwa, łagwie musującego wina pochłaniane niedbale lub rozlewane na podłogę gospody. Zagryzł wargi, by nie ryknąć w nieznośnej udręce, jak ryczy umęczone zwierzę.

Słońce opadało – jaskrawa kula zanurzająca się w ogniste morze krwi. Na tle szkarłatu opasującego horyzont niczym mur wieże miasta wznosiły się nierealne jak we śnie. W jego zamglonych oczach samo niebo przybierało odcień krwi. Obliznął poczerwiałe wargi i zapatrzył się przekrwionymi oczyma na odległą rzekę. Ona także zdawała się szkarłatna jak krew, a cienie nadpełzające ze wschodu zdały się czarne niczym heban.

Jego przytępiony słuch wychwycił głośniejsze bicie skrzydeł. Uniósłszy głowę, obserwował płonącym złością spojrzeniem wilka kołujące nad nim cienie. Wiedział, że krzyki nie odstraszą ich już więcej. Jeden zniżył lot i opadał coraz to bardziej. Conan odchylił głowę do tyłu tak dalece, jak zdołał, wyczekując ze straszliwą cierpliwością przyrodzoną dziczy i jej dzieciom. Sęp nadleciał z hałaśliwym łopotem skrzydeł. Jego dziób śmignął w dół, rozpruwając skórę na brodzie Cimmeryjczyka, kiedy ten szarpnął głowę w bok. Wtem, zanim ptak zdążył odskoczyć, Conan, szczerząc zęby, rzucił głowę w przód z całą siłą potężnie umięsnionego karku i kłapiąc szczękami niczym wilk, zatrzasnął je na nagiej skórze podgardla. Sęp natychmiast wybuchnął skrzeczącą histerią, trzepiąc na ślepo skrzydłami. Ich bicie oślepiło człowieka, a szpony rozdarły mu pierś. Lecz on trzymał mocno, nieubłaganie, aż mięśnie jego szczęk nabrzmiały w grudy. I tymi mocarnymi

szczękami skruszył kości karku ścierwojada. Ze spazmatycznym łopotem ptak zwił bezwładnie. Conan puścił go i wypluł z ust krew. Pozostałe sępy, przerażone losem swego towarzysza, zerwały się, odlatując na odległe drzewo, gdzie przysiadły niczym czarne demony na tajnej naradzie.

Przez otępiały umysł Conana przepłynęła fala zajadłego tryumfu. Życie w jego żyłach zabiło mocno i dziko. Nadal mógł zadawać śmierć, nadal żył. Każde odczuwane ukłucie, nawet agonii, stanowiło zaprzeczenie śmierci.

– Na Mitrę! – Albo wypowiedział to jakiś głos, albo uległ halucynacjom. – W całym moim życiu nigdy nie widziałem czegoś takiego!

Strząsnąwszy z oczu pot i krew, Conan ujrzał w świetle zmierzchu czterech konnych siedzących na swych rumakach i spoglądających w górę na niego. Trzej byli chudymi, odzianymi na białe sokołami, bez wątpienia z plemienia Zuagirów, nomadów zza rzeki. Ostatni ubrany był jak oni, w biały, przepasany *chylat*, a spływająca z głowy chusta, obwiązana na skroniach potrójną przepaską splecioną z wielbłądziej wełny, opadała mu na ramiona. Nie był on wszak Shemitą. Mrok nie był na tyle gęsty ani sokoli wzrok Conana dość zmacony, aby nie zdołał dostrzec rysów jego twarzy.

Wysoki był jak Cimmeryjczyk, choć nie o tak masywnych członkach. Jego ramiona były szerokie, a smukła sylwetka twarda jak ze stali i fiszbinu. Krótka czarna broda niezupełnie zasłaniała agresywnie wysuniętą szczupłą szczękę, a szare oczy, zimne i przenikliwe jak miecz, błyszczały w cieniu *kefii*. Mężczyzna ów, uciszając niespokojnego rumaka szybkim, pewnym ruchem dłoni,

przemówił:

– Na Mitrę, także ja znam tego człowieka!

– Tak jest! – To była gardłowa mowa Zuagirów. – To ten Cimmeryjczyk, który był dowódcą straży królowej!

– Musi pozbywać się wszystkich swych dawnych ulubieńców – wymamrotał jeździec. – Któż by się tego kiedykolwiek spodziewał po królowej Taramis? Wolałbym raczej stoczyć długą, krwawą wojnę. Dałaby nam, ludziom pustyni, okazję do grabieży. A tak przybyliśmy całkiem blisko murów i znaleźliśmy tylko tę szkapę – spojrzał na ładnego wałacha prowadzonego przez jednego z nomadów – i tego zdychającego psa.

Conan uniósł skrwawioną głowę.

– Gdybym mógł zejść z tej belki, z ciebie uczyniłbym zdychającego psa, ty zaporoski złodzieju – wycharczał poczerniałymi ustami.

– Mitro, ta kanalia mnie zna! – wykrzyknął tamten. – Skąd mnie znasz, kanalio?

– Tylko jeden z twojej rasy przebywa na tym obszarze – wymamrotał Conan. – Jesteś Olgerd Vladislav, wódz banitów.

– Tak jest! A niegdyś *hetman kozaków* znad rzeki Zaporoska, jak zgadłeś. Chcesz żyć?

– Tylko głupiec może zadać takie pytanie – wysapał Cimmeryjczyk.

– Jestem surowym człowiekiem – rzekł Olgerd – i twardość jest jedyną cechą, jaką cenię w człowieku. Osądzę, czyś jest mężczyzną, czy mimo wszystko tylko psem zdatnym jedynie lec tutaj i umrzeć.

– Jeśli go zetniemy, mogą nas dostrzec z murów – sprzeciwił się jeden z nomadów.

Olgerd pokręcił głową.

– Mrok jest zbyt głęboki. Masz, weź ten topór, Djebalu, i zetnij krzyż u podstawy.

– Skoro padnie w przód, zmiażdży go – zaproponował Djebal. – Mogę ciąć go tak, że polecą w tył, ale wówczas wstrząs upadku może roztrzaskać mu czaszkę i wyrwać wnętrzności.

– Jeśli godny jest pojechać ze mną, przetrwa – rzekł niewzruszony Olgerd. – Jeśli nie, nie zasługuje na to, by żyć. Tnij!

Pierwsze uderzenie bojowego topora o drewno i towarzyszące temu drgania posłały przez spuchnięte stopy i dłonie Conana salwy cierpienia. Raz za razem ostrze opadało, a każdy cios odbijał się echem w jego skatowanym mózgu, wprowadzając udręczone ciało w drżenie. On jednak zacisnął zęby i nie wydawał żadnych dźwięków. Topór przebił się, a krzyż zachwiało na rozszczepionej podstawie i runął do tyłu. Conan zebrał całe ciało w zwarty węzeł twardych jak stal mięśni, przycisnął mocno głowę tyłem do drewna i przytrzymał ją tak wyprężoną. Belka walnęła ciężko i nieznacznie podskoczyła. Uderzenie rozdarło mu rany i ogłuszyło na chwilę. Walczył z napływającą falą ciemności, nudności i oszołomienia, lecz uprzytomnił sobie, iż żelazne mięśnie oblekające jego wnętrzności uchroniły go przed trwałymi obrażeniami.

I nie wydał nawet głosu, choć krew sączyła mu się z nozdrzy, a mięśnie brzucha drgały od mdłości. Z pomrukiem aprobaty Djebal pochylił się nad nim z parą cęgów używanych do wyciągania hufnali z końskich kopyt i złapał łebek bretnala w prawej ręce Conana, zdzierając skórę, by zyskać dobry chwyt głęboko osadzonej główki. Cęgi były za małe do tej roboty. Djebal pocił się i szarpał, klnąc i mocując się z upartym żelastwem, poruszał nim w tę i z

powrotem – tak w drewnie, jak i w spuchniętym ciele. Po palcach Cimmeryjczyka zaczęła sączyć się krew.

Ten leżał tak nieruchomo, że mógłby uchodzić za martwego, gdyby nie spazmatyczne wznoszenie się i opadanie jego wielkiej klatki piersiowej. Bretnal ustąpił, a Djebal ukazał splamiony krwią przedmiot z pomrukiem zadowolenia. Potem odrzucił go daleko i pochylił się nad następnym.

Cały zabieg się powtórzył, a później Djebal skierował swą uwagę na przybite stopy Conana. Ale Cimmeryjczyk, podniósłszy się z trudem do postawy siedzącej, wyszarpnął cęgi z jego dłoni i gwałtownym pchnięciem posłał go, chwiejącego się, w tył. Dłonie Conana spuchły do rozmiarów dwukrotnie większych niż normalnie. Palce miał jak koślawe kciuki, a zamknięcie dłoni było męką, od której spod zgrzytających zębów popłynęła krew. Jakoś jednak, ścisnąwszy niezdarnie cęgi oburącz, zdołał wyszarpnąć pierwszy bretnal, a potem drugi. Nie były one wbite w drewno tak głęboko jak pozostałe.

Podniósł się sztywno i stanął prosto na spuchniętych, porozrywanych stopach, chwiejąc się niczym pijany, a lodowaty pot spływał mu po twarzy i ciele. Napadły go skurcze, lecz zacisnął szczęki, by przemoc odruch wymiotny.

Obserwujący to obojętnie Olgerd ruchem ręki skierował go ku skradzionemu koniowi. Potykając się, Conan ruszył w jego stronę, a każdy krok stanowił kłujące, tętniące piekło, które powlekło usta krwawą pianą. Zniekształcona, błędząca po omacku dłoń opadła niezgrabnie na łęk siodła, a skrwawiona stopa odnalazła jakoś strzemię. Zacisnąwszy zęby, wspiał się na rumaka i niemal zemdlął w powietrzu; opadł wszak na siodło, a kiedy to uczynił, Olgerd

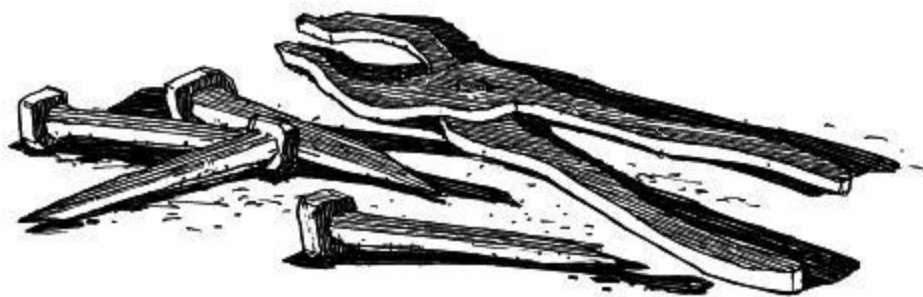
ostro smagnął konia biczem. Spłoszone zwierzę stanęło dęba, a człowiek na nim zakotłosał się i opadł gwałtownie niczym worek piachu, niemal wysadzony z siodła. Conan owinął wodze dookoła każdej dłoni, przytrzymując je dociśniętymi kciukami. Chwiejąc się, wyteżył całą siłę swych zawężlonych bicepsów i szarpnięciem osadził konia, wywichnąwszy mu prawie szczękę.

Jeden z Shemitów pytająco uniósł manierkę z wodą.

Olgerd pokręcił głową.

– Niech zaczeka, póki nie dostaniemy się do obozu. To tylko dziesięć mil. Jeśli ma nadawać się do życia na pustyni, przeżyje jeszcze tyle bez wody.

Grupa pomknęła w stronę rzeki niczym duchy; pośród nich Conan słaniał się w siodle jak pijany, jego przekrwione oczy zaszkliły się, a piana poczęła zasychać na poczerniałych wargach.



III

LIST DO NEMEDII



Uczony Astreas podczas podróży na wschód w swych niezmordowanych poszukiwaniach wiedzy napisał do przyjaciela oraz tak jak on filozofa Alcemidesa, przebywającego w ojczystej Nemedii, list definiujący całą wiedzę zachodnich narodów odnośnie do wydarzeń owego okresu na wschodzie – w mniemaniu ludzi zachodu regionie zawsze mglistym, na wpół mitycznym.

Astreas pisał między innymi: „Trudno ci sobie wyobrazić, mój stary, dobry przyjacielu, warunki panujące obecnie w tym malutkim królestwie, odkąd królowa Taramis wpuściła Constantiusa i jego najemników; zdarzenie to opisałem ci pokrótce w ostatnim, pospiesznym liście. Od tamtego czasu minęło siedem miesięcy,

podczas których zda się, iż chyba sam diabeł wyrwał się na wolność w tym nieszczęsnym państwie. Taramis jakby zupełnie oszalała i podczas gdy wcześniej słynęła z cnoty, sprawiedliwości oraz spokoju ducha, teraz notorycznie optuje za cechami dokładnie przeciwnymi do tych, które dopiero co wymieniłem. Jej życie intymne stało się skandalem – może określenie «intymne» nie jest tu właściwe, jako że królowa nie usiłuje nawet ukryć rozpusty na swym dworze. Nieustannie dogadza sobie podczas okrytych najczarniejszą sławą hulank, do udziału w których zmusza się nieszczęsne damy dworu, młode mężatki, jak również dziewice.

Sama nie zatroszczyła się o to, by poślubić swego konkubenta Constantiusa, który zasiada na tronie obok niej i włada jako królewski małżonek, a jego oficerowie podążają za jego przykładem i nie wahają się zbałamucić żadnej kobiety, której zapragną, niezależnie od jej statusu czy pozycji społecznej. To godne politowania królestwo jęczy pod przesadnie wygórowanymi podatkami. Wiejskie gospodarstwa ogołoczone zostały do cna, a kupcy chodzą w łachmanach będących wszystkim, co zostawili im poborcy podatkowi. Co więcej, mają szczęście, że umknęli z całą skórą.

Wyczuwam twe niedowierzanie, dobry Alcemidesie; boisz się, iż przesadzam co do warunków w Khauranie. Takowe warunki byłyby nie do pomyślenia w jakimkolwiek kraju zachodnim, trzeba przyznać. Ale musisz zdać sobie sprawę z ogromnych różnic istniejących pomiędzy zachodem a wschodem, zwłaszcza tym rejonem wschodu. Po pierwsze, Khauran jest królestwem niewielkich rozmiarów, jednym z wielu pryncypatów, które jednocześnie ukształtowały się we wschodniej części imperium Koth, a które potem odzyskały niepodległość, jaką posiadały we wcześniejszych, spokojnych czasach.

Ta część świata składa się z maleńkich monarchii, miniaturowych w porównaniu z wielkimi królestwami zachodu czy ogromnymi sułtanatami dalej na wschodzie, ważnych wszak przez zgromadzone w nich bogactwo oraz kontrolę nad szlakami karawan.

Khauran jest wysuniętym najdalej na południowy wschód z owych pryncypatów, graniczącym z pustyniami wschodniego Shemu. Miasto Khauran jest jedynym tej wielkości w całym państwie, umieszczonym w zasięgu wzroku od rzeki, która oddziela łąki i pastwiska od piaszczystej pustyni niczym strażnica chroniąca żyzne trawiaste ziemie za nią. Kraj ów jest tak dostatni, że daje trzy- i czterokrotne plony, a równiny na północ i zachód od miasta usiane są wioskami. Komuś przywykłemu do wielkich plantacji i gospodarstw hodowlanych zachodu dziwnie jest oglądać te malutkie poletka i winniczki, a jednak bogate w ziarno i owoce płynące z nich niby z rogu obfitości. Mieszkańcy wiosek są rolnikami i niczym więcej. Wywodząc się z mieszanej, tubylczej rasy, nie lubią wojować, są niezdolni chronić siebie, a nadto zakazano im posiadania broni. W pełni zależni od protekcji żołnierzy z miasta, w obecnych warunkach pozostają bezradni. Zatem gwałtowny bunt ludności, który wśród narodów zachodnich wybuchłby z pewnością, tutaj nie jest możliwy.

Trudzą się poddańczo pod żelazną ręką Constantiusa, a jego czarnobrodzi Shemici jeżdżą bezustannie po polach z batami w dłoniach niczym poganiacze niewolnych czarnych rolników harujących na plantacjach południowej Zingary.

Nie lepiej dzieje się ludowi w mieście. Został ogołocoony z bogactw, najpiękniejsze córki pobrano, by zaspokajały nienasyconą pożądlivość Constantiusa i jego najemników. Ci ludzie są zupełnie pozbawieni litości i współczucia, mają natomiast wszystkie cechy,

jakich nasze wojska nauczyły się nie cierpieć podczas wojen toczonych przeciwko shemickim sprzymierzeńcom Argos: nieludzkie okrucieństwo, pożądlliwość i zwierzęcą zajadłość. Lud z miasta, stanowiący kastę rządzącą Khauranu, to przeważnie Hyboryjczycy, mężni i wojowniczy. Jednak zdrada ich królowej przekazała ich w ręce ciemężycieli. Jediną siłą zbrojną w Khauranie są Shemici, a na każdego z Khauranich, u którego znaleziono broń, nakładane są najbardziej diaboliczne z kar. Prowadzi się okrutne, systematyczne prześladowania zmierzające do wyniszczenia młodych mężczyzn Khaurani zdolnych nosić broń. Wielu zostało bezlitośnie zmasakrowanych, innych sprzedano jako niewolników Turańczykom. Tysiące umknęły z królestwa i albo wstąpili oni na służbę u innych władców, albo zostali banitami, trzymając się na uboczu pośród licznych band pogranicza.

Obecnie istnieje możliwość najazdu od strony pustyni, która zamieszkała jest przez plemiona shemickich nomadów. Najemnicy Constantiusa wywodzą się z shemickich miast na zachodzie – Pelishtim, Anakim, Akkharim – i są żarliwie nienawidzeni przez Zuagirów i inne plemiona koczownicze. Jak wiesz, dobry Alcemidesie, kraj tych barbarzyńców dzieli się na zachodnie łąki i pastwiska, które rozciągają się aż po odległy ocean i na których wznoszą się miasta filistrów, oraz wschodnie pustynie, nad którymi pieczę dzieje chudzi nomadzi. Pomiedzy mieszkańcami miast a mieszkańcami pustyni trwa bezustanna wojna.

Zuagirowie najeżdżali i walczyli z Khauranem od wieków – bez sukcesów – ale mają za złe jego podbój swym zachodnim krewniakom. Krąży plotka, że ich naturalna wrogość podsycana jest przez człowieka, który wcześniej był dowódcą straży królewskiej, a

który uszedłszy w jakiś sposób przed nienawiścią Constantiusa, mimo iż ten go ukrzyżował, umknął do nomadów. Zwą go Conan i sam jest barbarzyńcą – jednym z owych posępnych Cimmeryjczyków, których gwałtowności nasi żołnierze nieraz doświadczyli za cenę goryczy. Pojawiła się pogłoska, że został on prawą ręką niejakiego Olgerda Vladislava, *kozackiego* awanturnika, który przywędrował z północnych stepów i uczynił siebie wodzem bandy Zuagirów. Dochodzą też plotki, że owa banda rozrosła się ogromnie przez ostatnie kilka miesięcy, a sam Olgerd, podburzany bez wątpienia przez Cimmeryjczyka, rozważa nawet najazd na Khauran.

Nie może to być nic więcej jak napad, skoro Zuagirowie nie mają machin oblężniczych ani wiedzy o zdobywaniu miast, a jak dowiedziono wielokrotnie w przeszłości, nomadzi w swym szyku rozproszonym, czy raczej przy braku szyku, nie dorównują w bezpośrednim starciu karnym, w pełni opancerzonym wojownikom z shemickich miast. Rodowici Khaurani mile widzieliby taki podbój, jako że nomadzi nie obeszliby się z nimi surowiej niż aktualni władcy, a nawet całkowita eksterminacja byłaby lepsza od cierpień, jakie muszą znosić. Są wszakże tak zastraszeni i bezradni, że nie mogliby udzielić najeźdźcom żadnej pomocy.

Ich ciężkie położenie jest doprawdy żałosne. Taramis, najwyraźniej opętana przez demona, nie waha się przed niczym. Zniosła kult Ishtar, a świątynię zmieniła w przybytek bałwochwalstwa. Zniszczyła posąg bogini z kości słoniowej, którą ci wschodni Hyboryjczycy czczą (a która, jako niższa od prawdziwej religii Mitry, którego uznajemy my, narody zachodnie, pozostaje nadal wyższa od diabelskich bóstw Shemitów), i zapełniła świątynię Ishtar nieprzyzwoitymi obrazami każdego możliwego rodzaju – bogami i boginiami nocy

przedstawionymi we wszystkich lubieżnych i wyuzdanych pozach z całą budzącą niesmak precyzją, jaką potrafi wyobrazić sobie zwyrodniały umysł. W wielu z tych obrazów można rozpoznać plugawe bóstwa Shemitów, Turańczyków, Vendhyan oraz Khitajczyków, lecz inne stanowią wspomnienie ohydnej, połowicznie pamiętanej starożytności, obrzydliwe, zapomniane poza najbardziej mrocznymi legendami. Gdzie królowa posiadała wiedzę o nich, nie śmiem nawet ryzykować zgadnąć.

Ustanowiła ofiary z ludzi i odkąd spółkuje z Constantiusem, poświęcono nie mniej niż pięciuset mężczyzn, kobiet i dzieci. Niektórzy z nich umarli na ołtarzu, jaki ustawiła w świątyni, a ona sama kierowała ofiarnym sztyletem, lecz większość spotkał los o wiele straszniejszy.

W krypcie pod świątynią Taramis umieściła pewnego rodzaju potwora. Czym jest i skąd przybył, nikt nie wie. Lecz krótko po tym, jak zgniotła rozpaczliwy bunt swych żołnierzy przeciw Constantiusowi, spędziła samotnie noc w sprofanowanej świątyni; samotnie z wyjątkiem tuzina związanych więźniów, a wzdragający się ludzie widzieli gęsty, ciężki, cuchnący dym wznoszący się ponad kopułą, słyszeli przez całą noc szaleńcze, monotonne zaśpiewy królowej oraz krzyki agonii jej torturowanych więźniów; i kiedy miało się ku brzaskowi, w te dźwięki wmieszał się inny głos – przeraźliwe, nieludzkie rechotanie, jakie zmroziło krew wszystkim, co je posłyszeli. Kiedy nastał świt, Taramis wytoczyła się chwiejnie ze świątyni, a jej oczy płonęły demonicznym tryumfem. Więźniów już nigdy nie widziano ani nie słyszano owego rechotliwego głosu. Jednak jest w świątyni pomieszczenie, do którego nie wchodzi nikt poza królową pędzącą przed sobą ludzkie ofiary. I tychże nikt już

nigdy ponownie nie ogląda. Wszyscy wiedzą, że w owej ponurej komnacie czai się jakiś potwór z czarnej nocy dziejów, który pożera wrzeszczących ludzi, jakich przedkłada mu Taramis.

Nie mogę dłużej myśleć o niej jako o kobiecie śmiertelnej, lecz jako o wściekłym demonie z uzbrojonymi w szpony, unurzanyymi w szkarłacie dłońmi przycupniętym w zbryzganym krwią legowisku pośród kości i kawałków swych ofiar. To, iż bogowie pozwalają jej podążać w tak okropnym kierunku, nie powstrzymując,omalże zachwiało mą wiarą w boską sprawiedliwość.

Kiedy porównuję obecne jej prowadzenie się z postępowaniem w czasach, gdy przybyłem do Khauranu siedem miesięcy temu, jestem zażenowany i oszołomiony i prawie skłaniam się ku podtrzymywanej przez wielu wierze, iż jakiś demon posiadał ciało Taramis. Młody żołnierz, Valerius, wierzył w co innego. Był przekonany, że to jakaś wiedźma przybrała postać identyczną z tą należącą do ubóstwianej władczyni Khauranu. Wierzył, że Taramis uprowadzono nocą w magiczny sposób i zamknięto w jakimś lochu, i że owa istota, rządząca w jej miejsce, jest niczym więcej niż kobietą czarnoksiężnikiem. Przysiągł on, iż odnajdzie prawdziwą królową, jeśli wciąż żyje, lecz obawiam się wielce, iż sam padł ofiarą okrucieństwa Constantiusa. Zamieszany w bunt straży pałacowej, uciekł i pozostawał w ukryciu przez jakiś czas, uparcie odmawiając szukania schronienia poza granicami, i to w tymże czasie spotkałem się z nim, a on opowiedział mi o swych zapatrywaniach.

Jednakże zniknął on jak wielu innych, których losu któż zdoła się domyślić, i boję się, że został aresztowany przez szpiegów Constantiusa.

Muszę wszak kończyć mój list i pozwolić mu wysliznąć się z miasta

za pomocą szybkiego gołębia pocztowego, który zanieś go na placówkę, gdzie go kupiłem, na pograniczu Koth. Przez jeźdźca i wielbłądzi transport dotrze on ostatecznie do ciebie. Muszę się spieszyć i zdążyć przed świtem. Jest już późno i gwiazdy połyskują coraz bladziej ponad wiszącymi ogrodami Khauranu. Przejmująca dreszczem cisza otula miasto i słyszę w niej tętniące bicie posępnego bębna z odległej świątyni. Nie wątpię, iż jest tam Taramis majstrująca następne diabelstwa”.

Ale uczony popełnił błąd w swym domniemaniu dotyczącym miejsca pobytu kobiety, którą zwał Taramis. Dziewczyna, którą świat znał jako królową Khauranu, przebywała w lochu oświetlonym tylko migotliwą pochodnią, której blask igrał na jej twarzy, uwydatniając diaboliczne okrucieństwo jej pięknego oblicza.

Na gołej kamiennej posadzce przed nią kuliła się postać, której nagość ledwie okrywały podarte łachmany.



Ową postać Salome trąciła pogardliwie zadartym w górę czubkiem poślaczanego sandała i uśmiechnęła się mściwie, kiedy jej ofiara skuliła się i cofnęła.

– Czyż nie uwielbiasz mych pieszczot, słodka siostrze?

Taramis była nadal piękna, mimo łachmanów, uwięzienia i brutalnego traktowania przez siedem męczących miesięcy. Nie odpowiedziała na szyderstwo siostry, lecz schyliła głowę jak ktoś, kto

dorastał nawykły do drwin.

Taka rezygnacja nie zadowoliła Salome. Zagryzła czerwone usta i stała tak, patrząc z góry na bierną postać i stukając czubkiem buta po końcówkach rozrzuconych włosów leżącej. Salome odziana była z barbarzyńską świetnością kobiet z Shushanu. Klejnoty na jej pozłacanych sandałach, złotym napierśniku i przytrzymujących go delikatnych łańcuchach połyskiwały w świetle pochodni. Złote łańcuszki wokół kostek brzęczały, kiedy się poruszała, na nieosłoniętych ramionach spoczywały ciężkie, zdobne klejnotami bransolety. Wysoko ułożona fryzura charakterystyczna była dla kobiet shemickich, a nefrytowe wisiory trzymały się na złotych obręczach tkwiących w jej uszach, błyszcząc i skrząc się przy każdym niecierpliwym ruchu wyniosłej głowy. Nabijany szlachetnymi kamieniami pas podtrzymywał jedwabną spódniczkę tak przejrzystą, że w samej swej naturze stanowiła cyniczną kpinę z konwenansu, który domaga się, aby nagość była zakryta.

Z ramienia zwisał jej i opadał na plecy ciemnoszkarłatny płaszcz, który pozostawał niedbale zarzucony przez łokieć i zawiniątko trzymane w tej samej ręce.

Nagle Salome schyliła się i wolną ręką chwyciła skudlone włosy swej siostry, siłą odchylając głowę dziewczyny, tak by spojrzała jej prosto w oczy. Taramis przyjęła owo tygrysie spojrzenie, nie cofnąwszy się.

– Nie jesteś już tak chętna do płaczu jak dawniej, słodka siostrze – wymamrotała wiedźma.

– Nie wyciśniesz ze mnie już więcej łez – rzekła Taramis. – Zbyt często upajałaś się widokiem królowej Khauranu szlochającej na kolanach o zmiłowanie. Wiem, że oszczędziłaś mnie tylko po to, by

mnie dręczyć. To dlatego ograniczyłaś tortury do takich męczarni, które ani mnie nie zabiją, ani na stałe nie oszpecają. Ale już się ciebie nie boję; odsączyłaś ze mnie ostatnie krople nadziei, strachu i wstydu. Zabij mnie i będzie po sprawie, gdyż przelałam już ostatnią łąkę dla twej uciechy, ty diablico z piekła rodem!

– Schlebiasz sobie, moja droga siostrze – warknęła cicho Salome. – Jak dotąd tylko twoje atrakcyjne ciało przyprawiałaś o cierpienie, tylko twą dumę i samozachwyty zmiażdżyłam. Zapomniałaś, że odmiennie niż ja, podatna jesteś na udręki duchowe. Zauważyłam to, zabawiając cię opowieściami o komediach, jakie odgrywałam z niektórymi z twych głupich poddanych. Ale tym razem przyniosłam żywszy dowód tychże fars. Wiedziałaś, że Krallides, twój wierny doradca, powrócił skrycie z Turanu i został schwytany?

Taramis pobladła.

– Co... co mu zrobiłaś?

Zamiast odpowiedzi Salome wyciągnęła spod płaszcza tajemniczy tobołek. Strząsnęła jedwabny zawój i ukazała zawartość – głowę młodego mężczyzny o rysach twarzy zastygłych w konwulsjach, jak gdyby śmierć nadeszła w samym środku niehumanitarnego cierpienia.

Taramis wykrzyknęła, jakby ostrze przeszło jej serce.

– Och, Ishtar! Krallides!

– Tak jest! Biedny głupiec, usiłował podburzać lud przeciw mnie, opowiadając mu, iż Conan rzekł prawdę, kiedy stwierdził, że nie jestem Taramis. Jakże ten lud mógłby powstać przeciwko Shemitom Sokoła? Z kijami i kamieniami? Pfff... Właśnie psy pożerają jego bezgłowe ciało na targu, a ten ohydny martwy strzęp zostanie ciśnięty do ścieku na zgnicie. I jak, siostrze? – Przerwała na chwilę, uśmiechając się do swej ofiary. – Czy odkryłaś już, że masz nadal niewylane łzy?

Dobrze! Duchowe udręki zostawiłam na koniec. Odtąd ukażę ci więcej takich widoków jak... ten!

Stojąc tak w świetle pochodni, z odciętą głową w dłoni, mimo swego budzącego trwogę piękna nie wyglądała jak ktoś zrodzony przez ludzką matkę. Taramis nie spojrzała w górę. Leżała twarzą w dół na oślizłej podłodze, jej smukłym ciałem wstrząsał szloch bóleści, a zaciśnięte dłonie uderzały o kamienie. Salome powolnym, spacerowym krokiem skierowała się w stronę drzwi. Łańcuszki na jej kostkach pobrzękiwały posępnie przy każdym kroku, a wisiorki przy uszach mrugały w blasku pochodni.

Kilka chwil potem wyłoniła się z za drzwi pod ciemnym sklepieniem, które wiodły na podwórze przechodzące z kolei w krętą aleję. Stojący tam człowiek odwrócił się w jej stronę – olbrzymi Shemita o ponurych oczach i ramionach jak u byka, którego wielka czarna broda opadała na potężną, osłoniętą srebrną kolczugą pierś.

– Zawodziła? – Jego głos huczał jak byczy ryk, głęboki, nisko postawiony, grzmiący. Był on naczelnym dowódcą najemników, jednym z niewielu spośród towarzyszy Constantiusa, którzy znali tajemnicę królowej Khauranu.

– Tak jest, Khumbanigashu. Istnieją całe obszary wrażliwości, których jeszcze nie tknęłam. Kiedy jeden ze zmysłów staje się otepiały przez ustawiczne okaleczanie, odkrywam nowe źródło jeszcze głębszego bólu. Masz, psie! – Drżąca postać w łachmanach, o brudnych, skołtunionych włosach przybliżyła się, powłócząc nogami; jeden z żebraków sypiających po alejach i na otwartych dziedzińcach. – Masz, głuchoto. Wrzuć to do najbliższego ścieku. Uczyń znak rękoma, Khumbanigashu. On nie słyszy.

Dowódca wypełnił polecenie, a rozczochrana głowa szybko

przytaknęła i jej właściciel odwrócił się mozolnie, by odejść.

– Dlaczego podtrzymujesz tę farsę? – zahuczał Khumbanigash. – Jesteś już tak mocno umocowana na tronie, że nic nie może cię zeń wysadzić. A co, jeśli ci khaurańscy głupcy dowiedzą się prawdy? Nic nie mogą zrobić. Rozgłoś swą prawdziwą tożsamość! Pokaż im ich ukochaną byłą królową i zetnij jej głowę na placu zgromadzeń!

– Jeszcze nie teraz, dobry Khumbanigashu...

Łukowate drzwi trzasnęły głośno przy twardych słowach Salome, grzmiąc niczym gasnące echo wypowiedzi Khumbanigasha. Niemy żebrak przykucnął na dziedzińcu i nie było nikogo, kto dostrzegłby, iż ręce trzymające odciętą głowę mocno drżą – brązowe, muskularne ręce dziwnie niepasujące do przygiętego ciała i brudnych łachmanów.

– Wiedziałem! – rozległ się zawzięty, głęboki szept, ledwie słyszalny. – Ona żyje! Och, Krallidesie, twoje męczeństwo nie było próżne! Zamknęli ją w tym lochu! Och, Ishtar, jeśli miłujesz prawdziwych ludzi, dopomóż mi teraz!



IV

WILK PUSTYNI



Olgerd Vladislav napełnił swój zdobny klejnotami puchar szkarłatnym winem ze złotego dzbana i pchnął naczynie po hebanowym stole do Conana Cimmeryjczyka. Ubiór Olgerda usatysfakcjonowałby próżność każdego *hetmana* znad Zaporoski.

Jego *chylat* z białego jedwabiu wyszywany był na gorsie perłami. Przewiązany w talii bakhauriockim pasem, poły miał rozchylone tak, iż odsłaniały jego szerokie jedwabne spodnie, wepchnięte w niskie buty z miękkiej zielonej skóry zdobione złotą nicią. Na głowie nosił zielony jedwabny turban zawinięty wokół szłomu inkrustowanego złotem. Jego jedyną broń stanowił szeroki,

zakrzywiony cherkesski nóż w pochwie z kości słoniowej przypasany w stylu *kozaków* wysoko na lewym biodrze. Rzuciwszy się na złoczone krzesło z rzeźbionymi orłami, Olgerd wyciągnął swe obute nogi z donośnym westchnieniem zadowolenia i hałaśliwie łyknął musującego wina.

Wobec tego przepychu ogromny Cimmeryjczyk naprzeciwno, ze swoją prosto przyciętą grzywą czarnych włosów, brązowym, poznaczonym bliznami obliczem i płonącymi niebieskimi oczami, był jego zdecydowanym przeciwieństwem. Conan odziany był w czarną kolczugę o małych oczkach, a jedyny element lśniący stanowiła u niego złota klamra od pasa, który podtrzymywał miecz w podniszczonej skórzanej pochwie.

Przebywali sami w namiocie o jedwabnych ścianach obwieszonym gobelinami i wyłożonym bogatymi dywanami oraz aksamitnymi poduszkami złupionymi karawanom. Z zewnątrz dochodził bezustanny niski pomruk – dźwięk, jaki zawsze towarzyszy wielkiemu tłumowi ludzi, czy to w obozie, czy przy innych okazjach. Co jakiś czas podmuch pustynnego wiatru trzepotał liśćmi palm.

– Dzisiaj w cieniu, jutro w słońcu! – oznajmił sentencjonalnie Olgerd, popuszczając odrobinę szkarłatnego pasa, i znów sięgnął po kubek z winem. – Takie są koleje życia. Niegdyś byłem *hetmanem* nad Zaporoską, a teraz jestem pustynnym wodzem. Siedem miesięcy temu wisiałeś na krzyżu pod Khauranem. Teraz jesteś zastępcą najpotężniejszego grabieżcy między Turanem a zachodnimi pastwiskami. Powinieneś być mi za to wdzięczny!

– Że poznałeś się na mojej przydatności? – Conan zaśmiał się i wznosił własny kubek. – Kiedy pozwalasz na podniesienie rangi

jakiegoś człowieka, można być pewnym, że zyskasz na jego poparciu. Zapracowałem na wszystko, co zdobyłem krwią i potem.

– Spojrzał na blizny po wewnętrznej stronie dłoni. Na ciele też miał blizny, takie, jakich nie było jeszcze siedem miesięcy temu.

– Walczysz jak diabelski regiment – przyznał Olgerd – ale nie myśl, że masz cokolwiek wspólnego z rekrutami, jacy roją się wokół, żeby się do nas przyłączyć. Ściągają ich nasze udane napady pod moim świątłym przewodnictwem. Ci nomadzi zawsze szukają przynoszącego pomysłość przywódcy, by za nim podążać, a więcej wiary pokładają w cudzoziemcu niż w kimś z własnej rasy. Nie ma granic dla tego, co możemy osiągnąć! Mamy obecnie jedenaście tysięcy ludzi. Za kolejny rok możemy mieć trzy razy tyle. Dotąd zadowalaliśmy się napadami na wysunięte placówki turańskie i miasta-państwa na zachodzie. Z trzydziestoma albo czterdziestoma tysiącami ludzi nie będziemy już napadać. Będziemy najeżdżać i podbijać, i ustanowimy siebie władcami. Ja będę imperatorem całego Shemu, a ty moim wezyrem, tak długo, jak będziesz wypełniać me rozkazy bez szemrania. Tymczasem myślę, że pojedziemy ku wschodowi i uderzymy na turański przyczółek w Vezek, gdzie karawany płacą myto.

Conan pokręcił głową.

– A ja tak nie myślę.

– Co znaczy, że *ty* nie myślisz? W tym wojsku to *ja* jestem od myślenia!

– W tej bandzie jest już teraz dość ludzi dla mych celów – rzekł Cimmeryjczyk. – Niedobrze mi od czekania. Mam pewien rachunek do wyrównania.

– O! – Olgerd spojrział gniewnie i łyknął wina, a potem

uśmiechnął się szeroko. – Wciąż rozpamiętujesz tamten krzyż, co? Cóż, lubię tych, co porządnie nienawidzą, lecz to może poczekać.

– Powiedziałeś kiedyś, że pomożesz mi we wzięciu Khauranu – przypomniał Conan.

– Tak, ale to było, zanim zacząłem dostrzegać pełnię możliwości naszej potęgi – odparł Olgerd. – Myślałem wtedy tylko o złupieniu miasta. Nie chcę marnować sił na nieopłacalne przedsięwzięcia. Obecnie Khauran jest dla nas zbyt twardym orzechem do zgryzienia. Może za rok...

– W ciągu tygodnia – rzekł Conan, a pewność w jego głosie sprawiła, że *kozak* wytrzeszczył oczy.

– Posłuchaj – powiedział Olgerd. – Gdybym nawet był skłonny głupio wytracić ludzi w takiej bezrozumnej próbie... czego byś oczekiwał? Myślisz, że te wilki są w stanie oblec i zdobyć miasto takie jak Khauran?

– Nie będzie oblężenia – rzekł Conan. – Wiem, jak wyciągnąć Constantiusa na równinę.

– I co wtedy? – krzyknął Olgerd, przeklinając. – Przy wymianie strzał to nasza konnica weźmie baty, gdyż zbroje *asshurich* są lepsze, a kiedy przyjdzie do walki na miecze, ich zwarte szeregi wytrenowanych fehmistrzów rozetną nasze luźne szyki i rozproszą nam ludzi niczym plewy na wietrze!

– Nie, gdyby były trzy tysiące zdesperowanej hyboryjskiej konnicy walczącej zwartym klinem, tak jak mógłbym ich nauczyć.



– A gdzie chciałbyś pozyskać trzy tysiące Hyboryjczyków? –
Pytanie Olgerda ociekało sarkazmem. – Wyczarujesz ich z
powietrza?

– Ja ich *mam* – odrzekł Conan niezmierny. – Trzy tysiące ludzi z
Khauranu obozuje w oazie Akrel, oczekując na moje rozkazy.

– *Co?* – Olgerd spojrział nań gniewnie niczym zaskoczony wilk.

– Tak jest. To ludzie, którzy uciekli przed tyranią Constantiusa. Większość z nich toczyła żywot banitów na pustyni na wschód od Khauranu. Są wychudzeni, twardzi i zdesperowani niczym tygrysy ludożercy. Każdy z nich dorówna okupującym ich ziemię najemnikom. Potrzeba ucisku i znoju, by wzmocnić w ludziach odwagę i wlać piekielny ogień w ich mięśnie. Byli rozbici na małe grupki. Przywódca był wszystkim, czego potrzebowali. Uwierzyli wiadomości, jaką posłałem do nich przez swych jeźdźców, i zgromadzili się w oazie, oddając do mojej dyspozycji.

– Wszystko to bez mojej wiedzy? – W oczach Olgerda poczęły błyskać wściekłe ognie. Złapał za pas z bronią.

– To ja jestem tym, za którym zapragnęli pójść, nie ty.

– I cóż naopowiadałeś tym wyrzutkom, by zyskać u nich posłuch? – Głos Olgerda zadźwięczał niebezpiecznie.

– Powiedziałem im, że użyję tej oto pustynnej hordy, aby pomóc im w pokonaniu Constantiusa, i zwrócę Khauran w ręce jego obywateli.

– Ty głupcze! – wyszeptał *wojewoda*. – Już uważasz się za wodza?

Obaj zerwali się na równe nogi, mierząc się groźnymi spojrzeniami ponad hebanowym blatem. W szarych, zimnych oczach Olgerda tańczyły diabelskie ogniki, a na twardych ustach Cimmeryjczyka pojawił się złowrogi uśmiech.

– Rozerwę cię między czterema palmami – stwierdził *kozak* spokojnym głosem.

– Zawołaj ludzi i każ im to zrobić! – prowokował go Conan. – Zobaczysz, czy cię posłuchają!

Odsłoniwszy zęby w drapieźnym grymasie, Olgerd uniósł dłoń... Wtem się zatrzymał. Na ciemnej twarzy Cimmeryjczyka była jakaś

pewność siebie, która nim wstrząsnęła. Jego oczy zaczęły płonąć jak u wilka.

– Ty męcie z zachodnich wzgórz – wymamrotał. – Ośmieliłeś się próbować podważyć moją władzę?

– Nie musiałem – odrzekł Conan. – Skłamałeś, kiedy mówiłeś, że nie mam nic wspólnego z napływem nowych rekrutów. Mam wiele wspólnego. Przyjmowali rozkazy od ciebie, lecz walczyli dla mnie. Nie ma miejsca dla dwóch wodzów Zuagirów. Oni wiedzą, że jestem człowiekiem silniejszym. Rozumiem ich lepiej niż ty, a oni mnie, ponieważ także jestem barbarzyńcą.

– A co powiedzą, gdy zaprosisz ich do walki za Khauranich? – spytał Olgerd ironicznie.

– Pójdą za mną. Obiecuję im karawanę wielbłądów ze złotem z pałacu. Khauran będzie skłonny zapłacić tyle jako wynagrodzenie za pozbycie się Constantiusa. Potem poprowadzę ich przeciw Turańczykom, tak jak planowałeś. Chcą łupów i niebawem zawalczą o nie z Constantiusem równie dobrze jak z kimkolwiek innym.

W oczach Olgerda zrodziło się uznanie klęski. W swych czerwonych od krwi mrzonkach o imperium przeoczył to, co się działo wokół niego. Zdarzenia i wypadki, jakie wcześniej zdawały się nie mieć znaczenia, błysnęły mu w myślach niczym błyskawica z całym swym prawdziwym przesłaniem, przynosząc zrozumienie, iż mowa Conana nie była czczą przechwałką. Olbrzymia postać w czarnej kolczudze naprzeciw niego była prawdziwym wodzem Zuagirów.

– Nie, jeśli zginiesz! – wymamrotał Olgerd i jego dłoń śmignęła ku rękojeści. Jednak ręka Conana wystrzeliła ponad stołem tak

szybko jak skok wielkiego kota, a jej palce zamknęły się na przedramieniu przeciwnika. Rozległ się wyraźny trzask pękających kości i na pełną napięcia chwilę wszystko zastygło. Mężczyźni stali naprzeciw siebie nieruchomi niczym posągi, pot wystąpił na czoło Olgerda. Conan roześmiał się, nie rozluźniając chwytu na złamanej ręce.

– Jesteś przysposobiony do życia, Olgerdzie?

Jego uśmiech się nie zmienił, kiedy sznury jego mięśni nabrzmiały węzłowatymi pasmami wzdłuż przedramienia, a palce wpiły się, miażdżąc drżące ciało *kozaka*. Rozległ się chrzęst trących o siebie połamanych kości, a twarz *wojewody* przybrała barwę popiołu. Krew pociekła mu z wargi tam, gdzie zagłębiły się w nią zęby, lecz nie wydał z siebie żadnego dźwięku.

Conan puścił go ze śmiechem i wycofał się, a *kozak* zachwiał się i sprawną ręką złapał za krawędź stołu, by dojść do równowagi.

– Daję ci życie, Olgerdzie, jak ty dałeś mi moje – stwierdził Cimmeryjczyk uspokajająco. – Choć to, że zdjąłeś mnie z krzyża, miało posłużyć twym celom. Poddałeś mnie wówczas ciężkiej próbie; nie zdołałbyś jej przetrwać; nie zdołałby nikt inny poza barbarzyńcą z zachodu. Weź swego konia i odejdź. Jest uwiązany za namiotem, a żywność i woda znajdują się w sakwach przy siodle. Nikt nie zobaczy, jak odchodzisz, ale idź szybko. Na pustyni nie ma miejsca dla obalonego wodza. Jeśli wojownicy cię zobaczą, okaleczonego i pozbawionego władzy, nie pozwolą ci opuścić obozu żywym.

Olgerd nic nie odrzekł. Powoli, bez słowa, odwrócił się, sztywno przemierzył namiot i minął wyjście zamknięte łopoczącą płachtą. Nie wypowiedziawszy słowa, wspiął się na siodło wielkiego,

białego ogiera, który stał przywiązany pod osłoną rozłożystego drzewa palmowego, ze złamanym ramieniem wepchniętym za gors swego *chylatu* cugłami zawrócił konia i pojechał ku wschodowi, na otwartą pustynię, z dala od życia ludu Zuagirów.

W środku namiotu Conan opróżnił kubek z winem i cmoknął ustami ze smakiem. Rzuciwszy puste naczynie w kąt, zaciągnął pas i wyszedł zdecydowanym krokiem przez przednie wejście, zatrzymując się na chwilę, by pozwolić spojrzeniu omieść szeregi namiotów z wielbłądziej wełny, jakie rozciągały się przed nim, oraz odziane w białe szaty poruszające się między nimi postaci, spierające się, śpiewające, reperujące popręgi czy ostrzące talwary.

Podniósł głos, który grzmotem potoczył się do najdalszych zakątków obozowiska:

– Ej, psy, nadstawcie uszu i posłuchajcie! Zgromadźcie się wokoło. Mam dla was pewną opowieść.



V

GŁOS Z KRYSZTAŁU



W komnacie w wieży blisko muru miejskiego grupa ludzi słuchała uważnie słów jednego spośród nich. Byli to młodzi mężczyźni, twardzi i żylaści, o nastawieniu, jakie przychodzi tylko na doprowadzonych do rozpaczy przez przeciwnika. Odziani byli w kolcze koszule i wytartą skórę, u pasów zwisały im miecze.

– Byłem pewien, że Conan powiedział prawdę, gdy stwierdził, że to nie Taramis! – wykrzyknął mówca. – Całymi miesiącami nawiedzałem otoczenie pałacu, odgrywając rolę żebraka. W końcu dowiedziałem się tego, w co wierzyłem: że nasza królowa jest więźniem w lochach, które łączą się z pałacem. Dopilnowałem okazji i schwytałem shemickiego dozorcę, ogłuszyłem go, kiedy pewnej nocy późno opuszczał dziedziniec, zaciągnąłem do

pobliskiej piwnicy i przesłuchałem. Zanim umarł, opowiedział mi to, co właśnie wam przekazałem, a co podejrzewaliśmy przez cały czas: że kobieta rządząca Khauranem to wiedźma Salome. Taramis, jak rzekł, przetrzymywana jest w najgłębszym lochu więzienia. Najazd Zuagirów daje nam szansę, jakiej poszukiwaliśmy. Co zamyśla zrobić Conan, nie potrafię powiedzieć. Być może zwyczajnie pragnie zemsty na Constantiusie. Być może zamierza splądrować miasto i je zniszczyć. To barbarzyńca i nikt nie jest w stanie ogarnąć jego myśli. Ale to, co musimy uczynić, to uratować Taramis, kiedy rozgorzeje bitwa! Constantius wymaszeruje na równinę, by wydać bitwę. Jego ludzie już dosiadają koni. Zrobi to, ponieważ w mieście nie ma dosyć żywności, by przetrzymać oblężenie. Conan zjechał z pustyni tak nagle, że nie było czasu na sprowadzenie dostaw. A Cimmeryjczyk jest zaopatrzone na oblężenie. Zwiadowcy zameldowali, iż Zuagirowie mają maszyny oblężnicze zbudowane niewątpliwie wedle wskazówek Conana, który opanował sztukę wojenną pośród narodów zachodnich. Constantius nie pragnie długiego oblężenia, więc pomaszeruje ze swymi wojownikami na równinę, gdzie spodziewa się rozbić siły Conana jednym uderzeniem. W mieście zostawia tylko kilkuset ludzi, a ci będą na murach i wieżach zawiadujących bramami. Więzienie pozostanie prawie całkowicie niestrzeżone. Gdy uwolnimy Taramis, nasze dalsze działania zależą od okoliczności. Jeśli Conan zwycięży, musimy ludziom pokazać Taramis i zachęcić ich do powstania... oni to uczynią! Och, tak, uczynią! Jest ich dosyć, by gołymi rękami przemóc Shemitów pozostawionych w mieście i zamknąć bramy zarówno przed najemnikami, jak i nomadami! Jedni i drudzy nie mogą dostać się

między mury! Potem będziemy pertraktować z Conanem. Był zawsze lojalny wobec Taramis. Jeśli pozna prawdę, a ona zwróci się do niego, wierzę, iż oszczędzi miasto. Jeśli, co bardziej prawdopodobne, szala przechyli się na korzyść Constantiusa i Conan zostanie okrążony, musimy wykraść się z miasta wraz z królową, ratując skórę ucieczką. Czy wszystko jasne?

Pozostali odpowiedzieli zgodnie jednym głosem.

– Zatem poluzujemy nasze ostrza w pochwach, polećmy nasze dusze Ishtar i ruszajmy do więzienia, gdyż najemnicy już maszerują przez bramę południową.

To była prawda. Światło brzasku połyskiwało na szłomach wylewających się równomiernym strumieniem spod szerokiego łuku oraz na jasnych kropierzach bojowych rumaków. To miała być bitwa konnicy, tak jak to możliwe tylko w krajach wschodu. Jeźdźcy przepływali przez bramy miasta niczym rzeka stali – posępne postaci w czarnych i srebrnych kolczugach, o kędzierzawych brodach i haczykowatych nosach oraz nieugiętych spojrzeniach, w których migotał zabójczy przymiot ich rasy: całkowity brak wątpliwości czy miłosierdzia.

Ulice i mury zapełniły się szeregami ludzi, którzy milcząc, oglądali owych wojowników obcej rasy wyruszających, by bronić ich ojczystego miasta. Nie było przy tym żadnego zgiełku; ci wychudzeni ludzie w znoszonym odzieniu, z czapkami w dłoniach, obserwowali tamtych tępo, beznamiętnie.

W wieży, z której rozpościerał się widok na szeroką ulicę wiodącą do bramy południowej, rozciągnięta leniwie w aksamitnym posłaniu Salome przypatrywała się cynicznie Constantiusowi, który zapinał wokół swych smukłych bioder szeroki pas z mieczem i

naciągał pancerne rękawice. Byli w komnacie sami. Z zewnątrz, przez zamknięte złotymi kratami okna, dochodziły rytmiczny szcęk zbroi oraz szuranie końskich kopyt.

– Nim nadejdzie zmrok – oznajmił Constantius, podkreślając swego cienkiego węża – będziesz miała paru brańców, by nakarmić świątynnego diabła. Nie znudziły mu się już miękkie ciała mieszczan? Być może zasmakuje w twardszych mięśniach ludzi pustyni.

– Uważaj, żebyś nie padł ofiarą bestii dzikszej niż Thaug – ostrzegła dziewczyna. – Nie zapomnij, kim jest ten, kto przewodzi tej pustynnej sforcie.

– Nie ma możliwości, bym zapomniał – rzekł. – To jedyny powód, dla którego wychodzę mu naprzeciw. Ten pies walczył na zachodzie i zna sztukę obłączniczą. Moi zwiadowcy mieli pewne problemy ze zbliżeniem się do kolumn jego wojsk, gdyż ich wysunięta straż ma wzrok niczym sokoły, lecz dostali się dość blisko, by ujrzeć maszyny, jakie ciągnie na wozach zaprzężonych w wielbłądy: katapulty, tarany, balisty, mangonele... Na Ishtar, musiał zaprząć dziesięć tysięcy ludzi do pracy w dzień i noc przez miesiąc. Gdzie zdobył materiał do ich budowy, tego w stanie pojąć nie jestem. Być może zawarł pakt z Turańczykami i od nich dostaje zaopatrzenie? Jednakowoż nic mu nie pomogą. Walczyłem już wcześniej z tymi pustynnymi wilkami: najpierw przez chwilę ostrzał z łuków, przed którym moich wojowników ochronią ich pancerze, potem szarża, a moje szwadrony przejdą przez rozproszone mrowie nomadów, zawrócą i przejdą z powrotem, rozpędzając ich na cztery wiatry. Nim zajdzie słońce, przejadę na powrót przez bramę południową z setkami nagich jeńców

ciągniętych na chwiejnych nogach u ogona mego konia. Wieczorem urządzimy święto na wielkim placu. Moim żołnierzom sprawia przyjemność odzieranie swych wrogów żywcem ze skóry. Urządzimy oprawianie hurtem i każemy to oglądać tym mieszczuchom o miękkich kolanach. Co się tyczy Conana, to największej przyjemności dostarczy mi wzięcie żywego, by wbić go na pal na pałacowych schodach.

– Zdzieraj skórę z tyłu, ilu tylko chcesz – rzekła Salome obojętnie.
– Chciałabym suknię uczynioną z delikatnie wygarbowanej ludzkiej skóry. Ale przynajmniej setkę brańców musisz oddać mnie, na ołtarz i dla Thauga.

– Tak się stanie – powiedział Constantius, odgarniając rzadkie włosy z wysokiego, łysiejącego i spalonego słońcem na brąz czoła dłonią opatrzoną w zbrojną rękawicę. – Za zwycięstwo i za nieskazitelną cześć Taramis! – dodał ironicznie, a wsadziwszy sobie pod pachę w pełni zabudowany hełm, uniósł ramię w pozdrowieniu i, pobrzękując, wyszedł z komnaty zdecydowanym krokiem. Jego głos napłynął z powrotem szorstki, podniesiony – wydawał rozkazy swym oficerom.

Salome opadła plecami na leżankę, ziewnęła, przeciągnęła się jak wielki, gibki kot i zawołała:

– Zang!

Stąpający kocim krokiem kapłan o obliczu podobnym do pożółkłego pergaminu obciągniętego na czaszce wszedł bezgłośnie.

Salome odwróciła się ku cokołowi z kości słoniowej, na którym postawiono dwie kryształowe kule, i wzięwszy mniejszą z nich, wręczyła połyskujący przedmiot kapłanowi.

– Jedź z Constantiusem – powiedziała. – Przekazuj mi wieści o

bitwie. Idź!

Człowiek o twarzy podobnej do czaszki pokłonił się nisko, ze zrozumieniem, i ukrywszy kulę pod ciemnym płaszczem, opuścił pośpiesznie komnatę.

Na zewnątrz, w mieście, nie rozbrzmiewały już żadne dźwięki, wyjąwszy stukot kopyt, a po chwili rozległ się brzęk zamykanej bramy. Salome wspięła się po szerokich marmurowych schodach, które wiodły na płaski, ocieniony dach o blankach z marmuru. Znajdowała się powyżej wszystkich innych budynków w mieście. Ulice były wyludnione, a wielki plac przed pałacem opustoszały. Na co dzień zwykle ludzie trzymali się z dala od ponurej świątyni, jaka wznosiła się po przeciwnej stronie placu, lecz teraz okolica wyglądała jak miasto wymarłe. Jedynie na południowym murze i dających widok w tamtą stronę dachach istniały ślady życia. Tam ludzie tłoczyli się gęsto. Nie manifestowali niczego, nie wiedząc, czy pokładać nadzieję w zwycięstwie czy też w porażce Constantiusa. Zwycięstwo oznaczałoby dalszą niedolę pod jego bezlitosną władzą, porażka zaś prawdopodobnie ograbienie miasta i krwawą masakrę. Nie było żadnych wieści od Conana. Nie wiedzieli, czego się spodziewać po jego działaniach. Pamiętali, że był barbarzyńcą. Milczenie tych zbitych tłumów było nieznośne, nieomal mistyczne.

Szwadrony najemników wychodziły na równinę. W oddali od strony rzeki nadciągało właśnie inne ciemne mrowie, ledwie rozpoznawalne jako ludzie na koniach. Przeciwny brzeg usiany był jakimiś konstrukcjami; Conan nie przerzucił machin oblężniczych przez rzekę, wyraźnie bojąc się ataku w środku przeprawy. Przekroczył ją jednak z pełnymi siłami swej konnicy.

Słońce wzeszło i w ciemnym bezliku skrzeszło ogniste błyski. Szwadrony z miasta przeszły w galop, do uszu ludzi na murze dotarł głęboki ryk.

Przewalające się masy zlały się i splotły; z tej odległości stanowiły chaotyczną plątaninę, w której nie wyróżniał się żaden szczegół. Szarzy i kontrnatarć nie sposób było poznać. Pod ciężko stąpającymi końskimi kopytami z równiny wzbiły się chmury kurzu, przesłaniając akcję. W owych wirujących obłokach majaczyły masy pojawiających się i niknących jeźdźców, błyskały włócznie.

Salome wzruszyła ramionami i zeszła po schodach. Pałac pogrążony był w ciszy. Wszyscy niewolnicy znajdowali się na murze, zapatrzeni daremnie wraz z mieszkańcami ku południu.

Weszła do komnaty, gdzie rozmawiała z Constantiusem, i zbliżyła się do cokołu. Spostrzegła, iż kryształowa kula pozostaje mętna, upstrzona krwistymi smugami szkarłatu. Schyliła się nad nią, przeklinając pod nosem.

– Zang! – zawołała. – Zang!

Mgła w kuli zawirowała, rozdzielając się na rozbuchane kurzowe obłoki, przez które przemieszczały się nierozpoznawalne czarne postaci; stał migotała niczym błyskawice w mroku. Wtem ze zdumiewającą wyrazistością ukazała się twarz Zanga; było to tak, jakby rozszerzone oczy wpatrywały się wprost w Salome. Krew ciekła z głębokiego nacięcia na jego czaszkopodobnej głowie, skóra poszarzała mu od pyłu przyklejonego do strużek potu. Usta rozwarły się i wykrzywiły; uszom innym niż Salome zdałoby się, iż twarz w kryształach krzywi się milcząco. Jednak do niej dźwięk z owych poszarzałych ust dochodził równie wyraźnie, jak gdyby kapłan przebywał w tym samym pomieszczeniu co ona zamiast o

całe mile dalej, krzyząc do mniejszego kryształu. Tylko bogowie ciemności wiedzieli, jakie niewidzialne, magiczne nici łączyły te migoczące kule.

– Salome! – przeraźliwie wrzeszczała skrwawiona głowa. – *Salome!*

– Słyszę! – odkrzyknęła. – Mów! Jak idzie bitwa?

– Dopadła nas klęska! – wydarło się trupie oblicze. – Khauran jest zgubiony! Mój koń zabity i nie mogę się stąd wydostać! Wokół mnie padają ludzie! Wymierają jak muchy w swych srebrnych kolczugach!

– Przestań zawodzić i powiedz mi, co się wydarzyło! – krzyknęła szorstko.

– Pojechaliśmy ku tym pustynnym psom, a oni ruszyli nam naprzeciw! – zawodził kapłan. – Strzały przelatywały chmurami między wojskami i nomadowie się zachwiali. Constantius nakazał szarżę. W równych szeregach runęliśmy na nich jak grom. Wówczas masy ich hordy rozstały się na prawo i lewo, a przez tę wyrwę pędem wypadło trzy tysiące hyboryjskiej konnicy, której obecności wcześniej nawet nie podejrzewaliśmy. Ludzie z Khauranu oszaleli z nienawiści! Wielcy mężczyźni w pełnych zbrojach na potężnych koniach! Zwartym stalowym klinem porazili nas niczym piorun. Rozszczepili nasze szeregi na osobne kawałki, zanim stwierdziliśmy, co się z nami dzieje, a wtedy pustynni ludzie zalali nas swą chmarą z obu skrzydeł. Rozpruli nasze szeregi, przełamali nas i rozproszyli! To sztuczka tego diabła Conana! Machiny oblężnicze to mistyfikacja: czcze skorupy z pni palm i malowanego jedwabiu, jakie okpiły naszych zwiadowców, którzy widzieli je z daleka. Podstęp, by wyciągnąć nas z miasta na naszą

zgubę! Nasi wojownicy umykają! Khumbanigash poległ... zarznął go Conan. Nie widzę Constantiusa. Khaurani szaleją między zgniecionym mrowiem naszych niczym lwy pijane krwią, a ludzie pustyni szyją w nas strzałami! Ja... Achch!



Pojawiło się mignięcie jak od błyskawicy albo ostrej stali, trysnęła

jasna krew... Wtem obraz zniknął jak pękająca bańka i Salome wpatrywała się w pustą kryształową kulę, która odzwierciedlała tylko jej rozwścieczone oblicze.

Przez kilka chwil stała całkowicie bez ruchu – wyprostowana, zapatrzona w przestrzeń. Potem klasnęła w dłonie i wszedł kolejny kapłan podobny do kościotrupa, tak cichy i oszczędny w ruchach jak poprzedni.

– Constantius został pobity – oznajmiła szybko. – Jesteśmy zgubieni. Conan zacznie dobijać się do naszych bram w ciągu godziny. Jeśli mnie złapie, nie mam złudzeń co do tego, czego mogę oczekiwać. Ale najpierw zamierzam się upewnić, że moja przeklęta siostra nigdy ponownie nie wstąpi na tron. Chodź za mną! Cokolwiek się stanie, wydamy Thaugowi ucztę.

Kiedy podążali w dół schodami i krużgankami pałacu, posłyszała słaby, narastający pogłos dobiegający z dalekich murów. Stojący tam ludzie zaczęli zdawać sobie sprawę, że bitwa układa się przeciwko Constantiusowi. Przez obłoki kurzu dały się zauważyć chmary jeźdźców pędzących w kierunku miasta.

Pałac i więzienie połączone były długim, ściśle strzeżonym krużgankiem, którego sklepiony sufit wznosił się na ponurych łukach. Spiesząc nim, fałszywa królowa i jej niewolnik minęli ciężkie drzwi na drugim końcu, przez które weszli w zaciemnione zakamarki więzienia. Wyszli na szeroki, sklepiony łukami korytarz w miejscu, w którego pobliżu kamienne schody prowadziły w dół, w mrok. Nagle Salome wzdrygnęła się, przeklinając. W posępnym świetle owego korytarza leżała nieruchoma postać – shemicki dozorca. Jego krótka broda wznosiła się w stronę sufitu, podczas gdy głowa zwisała na wpół przerąbanej szyi. Kiedy do uszu

dziewczyny dobiegły zasapane głosy z dołu, wycofała się w czarny cień łuku, wpychając kapłana za siebie. Jej dłoń poczęła błędzić przy pasie.

VI

SKRZYDŁA SĘPA



Tym, co zbudziło Taramis, królową Khauranu, ze snu, w którym szukała zapomnienia, był kopcący płomień pochodni. Uniósłszy się na rękach, odgarnęła do tyłu rozczochrane włosy i zamrugła, oczekując, iż napotka szydercze oblicze Salome przynoszącej nowe udreki. Zamiast tego do jej uszu dotarł okrzyk żałości i grozy.

– Taramis! Och, ma królowo!

Ów głos był tak dziwny dla jej uszu, iż pomyślała, że wciąż śni. Za blaskiem pochodni potrafiła obecnie dojrzeć jakieś postaci, przebłysk stali, a potem pięć twarzy pochylających się ku niej – nie śniadych, o haczykowatych nosach, lecz szczupłych, o orlich rysach,

zbrązowiałych od słońca. Skuliła się w swych łachmanach, spoglądając dziko.

Jedna z owych postaci skoczyła naprzód i opadła przed nią na jedno kolano z ramionami wyciągniętymi błagalnie w jej stronę.

– Och, Taramis! Dzięki Ishtar znaleźliśmy cię! Czy pamiętasz mnie, Valeriusa? Niegdyś swymi ustami złożyłaś mi dowód uznania po bitwie pod Korveką!

– Valerius! – wyjąkała królowa. Nagle w jej oczach wezbrały łzy.
– Och, ja śnię! To jakaś magia Salome, aby mnie dręczyć!

– Nie! – Ów krzyk zadźwięczał uniesieniem. – To twoi wierni poddani przybyli, żeby cię ratować! Jednak musimy się pośpieszyć. Constantius walczy na równinie przeciw Conanowi, który przerzucił przez rzekę Zuagirów, ale trzystu Shemitów wciąż jeszcze utrzymuje miasto. Zarznęliśmy dozorcę i zabraliśmy mu klucze, a innych strażników nie widzieliśmy. Lecz teraz musimy stąd iść. Chodź!

Nogi królowej się ugięły – nie wskutek słabości, lecz przez całą tę sytuację. Valerius podniósł ją jak dziecko i spiesząc za idącym przed nimi człowiekiem z pochodnią, opuścili loch, i weszli na oślizłe kamienne schody. Zdawały się one piąć w nieskończoność, ale wkrótce wyszli na szeroki korytarz i nim ruszyli.

Mijali mroczną arkadę, kiedy pochodnia drgnęła i upadła, a niosący ją wydał krótki, gwałtowny okrzyk agonii. Erupcja błękitnego ognia rozjaśniła ciemny korytarz oślepiającym blaskiem, który na moment oświetlił wściekłą twarz Salome oraz podobną do dzikiej bestii postać przycupniętą koło niej... a potem ów blask oślepił patrzących.

Valerius próbował chwiejnie podążać z królową dalej

korytarzem; oślepiiony posłyszał dźwięki morderczych ciosów wchodzących głęboko w ciało i towarzyszące im tchnienie śmierci oraz zwierzęce pomruki. Wtem królową brutalnie wyrwano z jego ramion, a wściekłe uderzenie w hełm rzuciło go na podłogę.

Sztywno uniósł się na nogi i potrząsnął głową, starając się pozbyć błękitnego płomienia, jaki nadal zdawał się diabelsko tańczyć mu przed oczami. Kiedy jego oślepiione oczy odzyskały jasność widzenia, znalazł się w korytarzu sam – sam z wyjątkiem trupów. Jego czterej towarzysze leżeli we własnej krwi, głowy i piersi mieli pocięte i rozplątane. Oślepieni i oszołomieni blaskiem z piekła rodem, zginęli, nie mając nawet możliwości się bronić. Królowa przepadła.

Z gorzkim, siarczystym przekleństwem Valerius złapał za miecz i zdarł z głowy rozbity hełm, który upadł z turkotem na płyty posadzki. Z rozcięcia na głowie po policzku spływała mu krew.

Obróciwszy się w miejscu, rozgorączkowany od niepewności, posłyszał głos wzywający z rozpaczliwą gorliwością jego imienia:

– Valeriusie! *Valeriusie!*

Słaniając się, pospieszył w stronę głosu i skręcił za róg akurat na czas, by w jego ramiona wpadła delikatna, gibka postać, która rzuciła się nań zapamiętale.

– Ivga! Oszalałaś?!

– Musiałam przyjść! – załkała. – Szłam za wami... Ukryłam się pod arkadą na dziedzińcu zewnętrznym. Chwilę temu ujrzałam ją, jak wychodzi stąd z jakimś gburem, który niesie na rękach kobietę. Poznałam Taramis i wiedziałam, że ponieśliście klęskę! Och, jesteś ranny!

– Zadraśnięcie. – Odsunął obejmujące go mocno ramiona. –

Szybko, Ivgo, powiedz mi, którądy poszli!

– Umknęli przez plac w kierunku świątyni.

Valerius zbladł.

– O Ishtar! A to demon! Zamierza ofiarować Taramis diabłu, którego czci! Szybko, Ivgo, biegnij pod mur południowy, gdzie ludzie obserwują bitwę! Powiedz im, że odnalazła się ich prawdziwa królowa i że oszustka, która się za nią podaje, zawlekła ją do świątyni! Już!

Dziewczyna popędziła, łkając i tupiąc lekkimi sandałami o kamienny bruk, a Valerius pognał przez dziedziniec, zagłębił się w ulicę, wypadł na plac, na który wychodziła, i pobiegł ku wielkiej budowli, jaka wznosiła się po przeciwnej stronie.

Jego mknące stopy ledwie muskały marmur, kiedy śmigał w górę po szerokich schodach i przez kolumnowy portyk. Najwyraźniej branka sprawiała nieco problemów. Taramis, wyczuwając przeznaczoną sobie zagładę, walczyła z całą siłą wspaniałego młodego ciała. Raz nawet wyrwała się okrutnemu kapłanowi, ale tylko po to, by ten ponownie pochwycił ją mocno.

Całą grupą byli w połowie szerokiej nawy, gdzie na drugim końcu tkwił ponury ołtarz, a za nim wielkie, rzeźbione w obsceniczne sceny metalowe drzwi, przez które przeszło wielu, lecz zza których zawsze wychodziła tylko Salome. Oddech Taramis przeszedł w urywane dyszenie; jej złachmanione odzienie zostało już wcześniej zerwane podczas szarpaniny. Wiła się w uścisku swego małpiego oprawcy niczym naga, biała nimfa w ramionach satyra. Salome przyglądała się temu tyleż cynicznie, co niecierpliwie, zmierzając w kierunku rzeźbionych drzwi, a z półmroku, który czaił się wzdłuż wyniosłych ścian, perwersyjni

bogowie i gargulce spoglądali pożądliwie, jak gdyby przesiąknięci lubieżnym życiem.

Dławiąc się wściekłością, Valerius popędził przez wielkie pomieszczenie z mieczem w dłoni. Na ostry krzyk Salome kapłan o twarzy trupiej główki podniósł wzrok, wypuścił Taramis, wyciągnął ciężki nóż, już usmarowany krwią, i pognął w stronę zbliżającego się Khauraniego.

Jednak wycinanie ludzi oślepionych diabelskim pyłem uwolnionym przez Salome okazało się czym innym niż walka z żyłastym, młodym Hyboryjczykiem, rozpalonym gniewem i nienawiścią.

Ociekający posoką nóż uniósł się, lecz zanim zdołał opaść, długa, ostra klinga Valeriusa przecięła powietrze i pięść, która tamten nóż trzymała, odskoczyła od nadgarstka w deszczu tryskającej krwi. Valerius w szale bojowym ciął ponownie i jeszcze raz, nim zmasakrowana postać zdążyła opaść na ziemię. Jego ostrze prześliznęło się gładko przez ciało i kości. Podobna do czaszki głowa opadła w jedną, na wpół przerźnięty tors w drugą stronę.

Valerius zawirował na palcach, szybki i niepowstrzymany niczym błotny kot; rozejrzał się wściekle za Salome. Musiała zużyć cały swój ognisty pył w więzieniu. Teraz nachylała się nad Taramis, chwytając jedną ręką czarne pukle siostry, w drugiej wznosząc sztylet. Wtem niesiony dzikim okrzykiem miecz Valeriusa zanurzył się w jej piersi z taką furją, że jego sztych wyskoczył pomiędzy łopatkami. Wiedźma opadła ze strasznym wrzaskiem, wijąc się w konwulsjach i ściskając wyciągnięte już nagie ostrze, parujące jeszcze i ociekające krwią. Jej oczy stały się nieludzkie; z więcej niż ludzką żywotnością chwyciła się życia, jakie wypływało przez ranę,

która rozszarpała szkarłatny półksiężyc na jej bielutkim gorsie. Upadła na podłogę głową w przód, drapiąc i gryząc w agonii nagi kamień.

Na ten widok przepelniony obrzydzeniem Valerius schylił się i uniósł na wpół zemdloną królową. Odwróciwszy się plecami do postaci skracającej się na posadźce, pobiegł w stronę drzwi, potykając się w pośpiechu. Wytoczył się spod portyku i zatrzymał u szczytu schodów. Plac był zatłoczony ludźmi. Niektórzy przybyli za bezładnym krzykiem Ivgi, inni opuścili mury w strachu przed nadciągającą z pustyni hordą, umykając bezsensownie do centrum miasta. Niema rezygnacja zniknęła. Tłum wrzał i falował, wyjąc i wrzeszcząc. Ponad wiodącą do murów drogą rozbrzmiewały skądś trzaski pękającego kamienia i drewna.

Zgraja posępnych Shemitów przedzierała się przez tłum – straż z północnych bram śpiesząca w kierunku bramy południowej, by tam wesprzeć swych towarzyszy. Na widok młodzieńca na schodach trzymającego w ramionach bezwładną, nagą postać, ściągawszy wodze, zatrzymali się. Głowy ciżby zwróciły się w stronę świątyni. Tłum zamarł ze zdumienia, do jego skołowanej konsternacji dołączyło kolejne osłupienie.

– Oto wasza królowa! – zawył z całych sił Valerius, by dało się go zrozumieć w panującym zgiełku. Lud odpowiedział rykiem oszołomienia. Nie rozumieli, a Valerius na próżno usiłował podnieść głos ponad ich wrzawę. Shemici ruszyli w kierunku świątynnych schodów, włóczniami oczyszczając sobie drogę.

Wtedy w panujące szaleństwo włączył się nowy, straszliwy element. Z mroku świątyni za plecami Valeriusa chwiejnym krokiem wynurzyła się smukła, jasna postać przybrana szkarłatem.

Lud wrzasnął; w ramionach Valeriusa zwisała bezwładnie kobieta, którą uważali za swą królową, jednakowoż ze świątynnych drzwi wytoczyła się kolejna postać, niczym lustrzane odbicie tamtej. Umysły ludzi się rozchwiały. Patrząc na stojącą niepewnie wiedźmę, Valerius poczuł, jak krew mu się ścina. Jego miecz przeszył ją na wskroś, rozszczepiając serce. Powinna być martwa; wedle wszystkich praw natury powinna być martwa. Jednakże kołysała się na nogach, upiornie trzymając życia.

– Thaug! – wrzasnęła, stojąc niepewnie w progu. – *Thaug!*

Niejako w odpowiedzi na to przerażające wezwanie z wnętrza świątyni huknął grzmiący rechot oraz trzask i łomot drewna i metalu.

– To jest królowa! – ryknął dowódca Shemitów, wznosząc swój łuk. – Zastrzelcie tego człowieka i tę drugą kobietę!

Ale wśród ludu zrodził się tumult pobudzonej, polującej sfory; w końcu odgadli prawdę, zrozumieli szaleńcze nawoływania Valeriusa, pojęli, że owa dziewczyna, która bezwładnie zwisa na jego rękach, jest ich prawdziwą królową. Z przeszywającym do głębi wyciem natarli na Shemitów, rwąc ich zębami i paznokciami, okładając gołymi rękami z desperacją mocno spętanej furii, która ostatecznie wyrwała się na wolność. Ponad nimi Salome zachwiała się i stoczyła po marmurowych schodach, definitywnie martwa.



Wokół Valeriusa śmigły strzały, kiedy biegiem cofał się między kolumny portyku, osłaniając ciało królowej swoim ciałem. Strzelając i tnąc bezlitośnie, konni Shemici trzymali się w starciu z oszalałym tłumem. Valerius wystrzelił ku drzwiom świątyni... i stanąwszy jedną nogą w progu, wzdrygnął się, krzycząc z przerażenia i

rozpaczy.

Z mroku po drugiej stronie wielkiej nawy dźwignął się ogromny, ciemny kształt i ruszył w jego stronę olbrzymimi, niby-żabimi skokami. Ujrzał blask wielkich, nieziemskich oczu, migotanie kłów i szponów. Cofnął się od drzwi, a wówczas świst strzały koło ucha ostrzegł go, iż śmierć czai się także za jego plecami. Odwrócił się pełen rozpaczy. Czterech albo pięciu Shemitów wyrznęło sobie drogę przez tłum i właśnie spinało konie, wjeżdżając na stopnie z łukami wzniesionymi, by go zastrzelić. Skoczył za kolumnę, na której roztrzaskały się drzewce. Taramis zemdląła już wcześniej. Na jego rękach zwisała niby martwa.

Zanim Shemici zdołali strzelić ponownie, wejście zablokowała olbrzymia postać. Z pełnym przerażenia wyciem najemnicy zawrócili i zaczęli przepychać się gorączkowo przez tłum, który wstrząśnięty nagle grozą, ścisnął się, cofając i w popłochu tratując nawzajem.

Ale potwór zdawał się przyglądać Valeriusowi i dziewczynie. Przepchnąwszy swe ogromne, niestałe cielsko przez drzwi, skoczył ku niemu, podczas gdy ten zbiegał już po schodach. Czuł groźbę mającą za plecami, olbrzymiego mrocznego stwora, niczym szpetne skrzywienie natury wycięte z serca nocy, czarny bezkształt, w którym dało się odróżnić tylko wytrzeszczone oczy i błyskające kły.

Nagle rozbrzmiał grzmot kopyt; niedobitki Shemitów, skrwawione i skatowane, przelały się przez plac od południa, przedzierając się przez tłum. Za nimi nadciągnęła jakaś horda jeźdźców wyjących w znajomym języku, wymachując poczerwieniałymi mieczami – wygnańcy wrócili! Wraz z nimi

nadjechało pięćdziesięciu czarnobrodych pustynnych jeźdźców z olbrzymią postacią w czarnej kolczudze na czele.

– Conanie! – zaskrzeczał Valerius. – *Conanie!*

Olbrzym wywrzasnął rozkaz. Ludzie pustyni, nie zwalniając szaleńczego pędu, unieśli łuki, naciągnęli i puścili cięciwy. Chmura strzał zaśpiewała ponad placem, nad falującym mnóstwem głów, i zagłębiła się po pióra w czarnym potworze. Ten zatrzymał się, zachwiał, stanął dęba – czarna plama na tle marmurowych kolumn. Ponownie zaśpiewała dotkliwa chmura i jeszcze raz, aż obrzydlistwo zważyło się i stoczyło po stopniach równie martwe jak wiedźma, która przywołała je z mroku wieków.

Przy portyku Conan ściągnął wodze i zeskoczył z konia. Valerius położył królową na marmurze i zupełnie wyczerpany opadł obok. Lud podszedł i obstąpił ich stłoczony. Cimmeryjczyk odegnał go przekleństwami, uniósł ciemną głowę i ułożył ją na swym opancerzonym ramieniu.

– Na Croma, co jest? To prawdziwa Taramis! Tak jest, na bogów! Ale kimże jest tamta druga?

– Demonem, który przybrał jej postać – wydyszał Valerius.

Conan zaklął siarczyście. Zerwawszy płaszcz z ramion jakiegoś żołnierza, owinął nim nagą królową. Jej długie, ciemne rzęsy zadrżały na policzkach, oczy otworzyły się, wpatrując z niedowierzaniem w pokrytą bliznami twarz Cimmeryjczyka.

– Conan! – Delikatne palce pochwyciły jego szorstkie ramię. – Czy ja śnię? *Ona* powiedziała mi, że nie żyjesz...

– Omalże! – Wyszczерzył się cierpko. – Nie śnisz. Ponownie jesteś królową Khauranu. Rozbiłem Constantiusa, tam, nad rzeką. Większość jego psów nie pożyła na tyle, by dotrzeć do murów,

gdyż wydałem rozkaz niebrania jeńców, z wyjątkiem Constantiusa. Straż miejska zamknęła nam bramę przed nosem, ale ją wysadziliśmy taranami rozhuśtanymi z siodeł. Zostawiłem wszystkie swe wilki za miastem, z wyjątkiem tych pięćdziesięciu. Nie ufałem im na tyle, by wprowadzić ich do środka. Tych khaurańskich chłopaków było dość na straż przy bramie.

– To był jakiś koszmar! – załkała. – Och, mój biedny lud! Musisz pomóc mi wynagrodzić mu wszystko, co wycierpiał, Conanie, odtąd dowódco, jak też doradco!

Cimmeryjczyk się roześmiał, lecz pokręcił głową. Podnosząc się, postawił królową na nogi i skinął na paru swych khaurańskich konnych, którzy nie kontynuowali pościgu za umykającymi Shemitami. Ci zeskoczyli z wierzchowców, gotowi wypełniać polecenia dopiero co odnalezionej władczyni.

– Nie, moje dziewczę, z tym już koniec. Obecnie jestem wodzem Zuagirów i muszę powieść ich na grabież do Turańczyków, tak jak obiecałem. Ten chłopak, Valerius, będzie lepszym dowódcą ode mnie. Ja nie jestem stworzony, by mieszkać wśród marmurowych ścian. Muszę wszelako opuścić cię teraz i dokończyć, co zacząłem. W Khauranie wciąż jeszcze są żywi Shemici.

Kiedy Valerius ruszył w ślad za Taramis przez plac w kierunku pałacu aleją wytyczoną przez dziko wiwatujący tłum, poczuł delikatne palce wsuwające się nieśmiało w jego żylastą dłoń i odwrócił się, by schwycić w ramiona smukłe ciało Ivgi. Przygniótł ją do siebie i spijał jej pocałunki z wdzięcznością znużonego wojownika, który po trudach i zawieruchach znalazł wreszcie odpocznienie.

Ale nie wszyscy szukali odpocznienia. Niektórzy rodzą się, mając

żywołowość burzy w żyłach, niepokojącą zapowiedź przemocy i rozlewu krwi, nie znając innej ścieżki...

Słońce właśnie wschodziło. Pradawny szlak karawan zapełnił się ubranymi w białe szaty konnymi, których chwiejny rząd rozciągał się od murów Khauranu po pewne miejsce daleko na równinie. Na czele owej kolumny zasiadał Conan Cimmeryjczyk – w pobliżu poszczerbionego końca drewnianej belki, która sterczała pionowo z ziemi. Obok tego kikuta wznosił się ciężki krzyż, a na tym krzyżu, powieszony na bretnalch wbitych przez dłonie i stopy, wisiał człowiek.

– Siedem miesięcy temu, Constantiusie – rzekł Conan – to ja wisiałem tam, a ty siedziałeś tutaj.

Constantius nie odpowiedział; oblizał poszarzałe wargi, a jego oczy zaszklily się od bólu i strachu. Mięśnie skrzyły się niczym sznury na całym jego szczupłym ciele.

– Lepiej nadajesz się do zadawania tortur niż ich znoszenia – stwierdził Conan spokojnie. – Wisiałem tam, na krzyżu, jak teraz ty, i przeżyłem dzięki okolicznościom oraz żywotności właściwej barbarzyńcom. Ale wy, ludzie cywilizowani, jesteście delikatni. Wasze życie nie jest związane z siłą charakteru, tak jak nasze. Wasz hart polega głównie na zadawaniu udręk, a nie na ich znoszeniu. Będziesz martwy, nim słońce opadnie. I tak, pustynny Sokole, zostawiam cię w towarzystwie innego pustynnego ptaka.

Skinął w stronę krążących wysoko w górze sępów, których cienie przesuwaly się po piasku. Z ust Constantiusa dobył się nieludzki krzyk rozpacz i przerażenia.

Conan podjął lejce i pojechał w stronę rzeki, która błyszczała w porannym słońcu niczym srebro. Za nim odziani na biało jeźdźcy

przeszli w kłus; spojrzenia wszystkich, gdy mijali pewne miejsce, zwracały się beznamiętnie z typowym dla ludzi pustyni brakiem współczucia w kierunku krzyża i wiszącej tam wynędzniałej postaci, czarnej na tle wschodu słońca. Kopyta ich koni wybijały w pyłe żałobny rytm. Skrzydła głodnych sępów śmigały coraz niżej.





Varia

Szkic bez tytułu (Ludzie Czarnego Kręgu)

Król Vendhyi, Bundha Chand, zmarł w swym pałacu w królewskim mieście Ayodhyi. Jego młoda siostra, Yasmina Devi, nie potrafi pojąć, dlaczego umarł, jako że nie został ani otruty, ani zraniony. Kiedy umierał, wołał do niej odległym głosem, który zdawał się dochodzić zza owiewanych wiatrem otchłani, i stwierdził, że jego duszę pochwycili i uwięzili nocą czarownicy w kamiennej izbie na wysokiej górze, gdzie wicher ryczał pośród wierchów, które wbijały się między gwiazdy. Oni to przeciągali jego duszę do ciała jakiegoś obrzydliwego dziwactwa z mroku, i w chwilowym przeblasku myśli błagał ją, by zatopiła swój złoty sztylet o rękojeści nabijanej klejnotami w jego sercu, żeby posłać jego duszę Asurze, zanim czarownicy zdołają ją ściągnąć z powrotem do wieży na górskim urwisku. Podczas gdy on umierał, w mieście gongi i konchy świętyń porykiwały chrapliwie i grzmiały, a w pomieszczeniu, którego ażurowy balkon wychodził na długą ulicę, gdzie jaskrawo migotały pochodnie, pewien człowiek zwący siebie Kerimem Shahem, nobil z Iranistanu, przyglądał się ukradkiem zawodzącym tysiącom i przemawiał do człowieka w prostej szacie z wielbłądziej wełny zwanego Khemsa. Pytał go, dlaczego młodego króla nie dało się zniszczyć parę miesięcy albo lat temu. Na to Khemsa

odpowiedział, iż nawet magią rządzą gwiazdy. Gwiazdy są właściwie rozmieszczone do zniszczenia Bhundy Chanda – Wąż w Domu Króla. Powiedział, że zdobyto pukiel czarnych włosów króla i posłano go z karawaną wielbłądów przez rzekę Jhumda do Peshkhauri, które strzeże przełęczy Zhaibar, i dalej, przez Zhaibar, na pogórze Ghulistanu. Pukiel włosów w złotej, wysadzonej klejnotami kasetce został wykradzony księżniczce Khosali, która nieszczęśliwie pokochała Bhundę Chanda i ubłagała go o mały dowód pamięci. Za pomocą tego pukla utworzono punkt styczności pomiędzy nim samym a czarownikami, gdyż odrzucane cząstki ludzkiego ciała posiadają niewidzialne więzi z ciałem żywym. To kasta czarowników zwanych Rakhshasami, a przez nich samych Czarnymi Wróżami, skorzystała z czarów, które ograbiły młodego króla z życia i prawie z jego duszy. Kerim Shah ujawnił podczas rozmowy to, co Khemsa już wiedział: iż nie jest księciem z Iranistanu, lecz Hyrcańczykiem [sic!], wodzem z Turanu, emisariuszem Yezdigerda, króla Turanu i najpotężniejszego imperatora Wschodu, władającego na brzegach morza Vilayet. Bhunda Chand pokonał Turańczyków w wielkiej bitwie nad rzeką Jhumdą. Yezdigerd, knując jego zagładę, posłał Kerima Shaha do Vendhyi, by spróbował zwyciężyć kshatriyaskich wojowników za pomocą czarów, skoro siłą się nie dało. W tym samym czasie w pałacu Yasmini [sic!] Devi zadźgała swego brata, by ocalić jego duszę, i padła na twarz na usianą trzcinią podłogę, podczas gdy na zewnątrz kapłani zawodzili, a gongi grzmiały jazgotliwym zgiefkiem. Wówczas akcja przenosi się do Peshkhauri w cieniu gór Ghulistanu. Plemiona Ghulistanu to krewniacy tych z Iranistanu, lecz bardziej nieokrzescani. Niegdyś przez ich doliny maszerowały

wojska Turanu, ale nie podbiły górskich plemion. Główne miasta – Hirut, Secunderam, Bhalkhan – znajdowały się w rękach Turańczyków, lecz Khahabhul, gdzie mieszkał król Ghulistanu, którego władzę plemiona rzadko uznawały, pozostał wolny i Turańczycy nie podejmowali żadnych prób nakładania podatków czy innego rodzaju ucisku na górskie plemiona. Gubernator Peshkhauri pojmał siedmiu Afghulich i zgodnie z instrukcjami z Ayodhyi, posłał w góry wieść, że ich wódz, Conan, wędrowiec z zachodu, który stał się na pogórzcu słynnym bandytą, winien przybyć i sam targować się o ich uwolnienie. Ale Conan był czujny, gdyż Kshatriyasi nie zawsze dotrzymywali dobitych targów z ludźmi ze wzgórz. Nocą gubernator przebywał w komnacie, której szerokie okno, otwarte, by wpuścić chłodny górski wietrzyk dla osłabienia upału równin, sąsiadowało z blankami. Mógł przez nie oglądać błękit himeliańskiej nocy usianej wielkimi, białymi gwiazdami. Pisał właśnie na pergaminie list piórem maczanym w soku z rozgniecionego lotosu, kiedy przyszła do niego zamaskowana kobieta w zwiewnych szatach, które nie skrywały bogatego jedwabnego przyodziewku oraz pasa i spodni; jej pantofle zrobiono ze złotogłowiu, a nakrycie głowy z upiętym welonem, który opadał poniżej piersi, obwiązane dookoła złotym zawojem, przyozdobione było złotym półksiężycem. Gubernator rozpoznał w niej Devi i robił jej wymówki, opowiadając o niepokojach wśród górskich plemion i zawirowaniach wokół ich wodza z zagranicy, Conana, który mnożył napaści pod same mury Peshkhauri. W rzeczywistości nie działo się to w murach, ale w wielkiej fortecy ulokowanej poza nimi, blisko podnóża gór. Ona odparła, iż dowiedziała się, że do zagłady jej brata doprowadzili czarownicy

znani jako Czarni Wróże, a jako że szaleństwem byłoby sprowadzać na pogórze kshatriyaską armię, zamierza wyrzucić zemstę przy pomocy wodza plemion. Rozkazała gubernatorowi zażądać zgładzenia Czarnych Wróżów jako ceny za życie siedmiu Afghulich. Potem wyszła, lecz nie dotarła jeszcze do swych apartamentów, kiedy przypomniała sobie coś jeszcze, co chciała mu powiedzieć, i zawróciła. Być może dostrzegła rumaka uwięzowanego pod murem zewnętrznym. W tym samym czasie gubernator posłyszał, jak na zewnątrz ktoś opada z wieży na blanki, a w następnej chwili przez okno wskoczył jakiś człowiek z długim na jard zhaibarskim kindżalem w dłoni i nakazał gubernatorowi zachowywać się cicho. Był to Conan, wódz Afghulich; był on wysokim, gibkim i mocno zbudowanym mężczyzną w góralskim odzieniu, które zdawało się nie na miejscu, gdyż nie był człowiekiem wschodnim, lecz barbarzyńskim Cimmeryjczykiem. Spytał, czego gubernator od niego chce, a kiedy tamten powiedział, zrobił się podejrzliwy. W tym momencie weszła Devi, gubernator wykrzyknął ostrzegawczo jej imię, a Conan, pojąwszy, kim ona jest, powalił gubernatora ręką noża, pochwycił Devi, skoczył przez okno na parapet, dopadł konia i popędził w stronę gór, wykrzykując w dzikim uniesieniu. Gubernator rozkazem posłał oddział konnych w nieustępliwy pościg. W tym samym czasie dziewczyna, która działała jako szpieg Khemsey, zaniosiła mu wieści. Khemsa i Kerim Shah podążyli za Devi do Peshkhauri. Dziewczyna nalegała, aby Khemsa skorzystał ze swej wiedzy o czarnej sztuce – wiedzy, której jego mistrzowie zakazali mu używać bez ich zezwolenia – i uczynił siebie bogatym. Jej pomysł był następujący: powinni zgładzić siedmiu ludzi w więzieniu, gdyż wiedziała, że ich

uwolnienie to część okupu, jakiego Conan będzie się domagać za Devi, a potem ruszyć w ślad za Conanem w góry, odebrać mu dziewczynę i zagarnąć okup. Dzięki jej pomysłowi na zgładzenie więźniów mieli zyskać na czasie. Zatem Khemsa poszedł do więzienia i zgładził ich za pomocą czarnej magii, a wraz z dziewczyną udali się w góry. W tym czasie Kerim Shah posłyszał o uprowadzeniu – choć gubernator starał się utrzymać to w tajemnicy – i posłał jeźdźca do Secunderamu, żeby poinformował o tym tamtejszego satrapę, i kazał mu wysłać ku południu wojsko dość silne, aby odebrać Devi góralom. On sam poszedł na pogórze z kilkoma irakzaiskimi góralami, których przekupił. W tym samym czasie Conan, który zdążył do kraju Afghulich, przylegającego do przełęczy Zhaibar, stracił okulałego konia i był naciskany tak mocno przez ścigających go Kshatriyasów, że musiał poszukać schronienia wśród Wazulich. Wódz Wazulich był jego przyjacielem, lecz Khemsa, podążając w ślad za Conanem, zabił wodza, a wojownicy próbowali odebrać mu Devi. Po zażartej walce Conan z trudem uszedł, a spotkawszy Khemse, oparł się jego magii i widział, jak ten oraz jego dziewczyna zostają zgładzeni przez większą magię. Czarni Wróże w końcu się zainteresowali. Dziewczyna została zabrana Conanowi i uniesiona na ich wieżę. Conan wpadł na Kerima Shaha oraz Turańczyków. Ten, słysząc, iż Czarni Wróże zwrócili się przeciw niemu, pojechał ze swymi Irakzaimi oraz Conanem. W szturmie na wieżę wszyscy zostali zgładzeni, z wyjątkiem Conana i Kerima Shaha. Potem walczyli oni o dziewczynę i Conan zwyciężył. W tym czasie nadciągnęły siły z Secunderamu i spadły na Afghulich, biorąc ich z zaskoczenia. W górę doliną nadciągały siły Kshatriyasów i Devi odzyskała wolność,

dobijając targu z Conanem i popychając swych wojowników do bitwy, by zgnieść i rozbić Turańczyków. Potem zwrócił ją bezpiecznie ludowi.

W historii jak dotąd...

(Kolejne części *Ludzi Czarnego Kręgu* w październikowym i listopadowym „Weird Tales” z 1934 roku poprzedzone były krótkim podsumowaniem poprzednich rozdziałów. Takie noty pisała zazwyczaj ekipa czasopisma; te, do tej jednej opowieści o Conanie, z nieznanых powodów napisane zostały przez samego Howarda).

(*Ludzie Czarnego Kręgu*) Robert E. Howard

W HISTORII JAK DOTĄD

Yasmina Devi, królowa Vendhyi, poszukiwała zemsty za swego brata, króla Bhundę Chanda, którego spotkała śmierć za sprawą czarów Czarnych Wróżów z Yimshy, magów, jacy mieszkali na pewnej górze w Ghulistanie. Nie wiedziała, że jego śmierć była częścią knowań króla Yezdigerda z Turanu, zmierzającego do podboju Vendhyi. Yezdigerd uzyskał wsparcie Czarnych Wróżów i posłał do Vendhyi szpiega, Kerima Shaha, w towarzystwie Khemсы, akolity Czarnych Wróżów, by zgładzić rodzinę królewską.

Yasmina chciała zapewnić sobie wsparcie Conana, Cimmeryjczyka, lecz także wodza Afghulich z Ghulistanu, dzikiego kraju barbarzyńców. Na jej rozkaz gubernator Peshkhauri, miasta na pograniczu, pojmał siedmiu afghulskich naczelników i zagroził,

że ich powiesi, chyba że Conan odda swe siły do jej dyspozycji. Jednak Conan przybył do Peshkhauri nocą i porwał samą Devi, unosząc ją na pogórze jako zakładniczkę w zamian za uwolnienie swych ludzi.

Zdradziecka dwórnica Yasminy, Gitara, przekonała Khemse, by zbuntował się przeciwko swym mistrzom, Czarnym Wróżom, i spróbował przechwycić Yasminę od Conana dla wyciśnięcia z Vendhyi ogromnego okupu. Khemsa użył czarów do zabicia siedmiu afghulskich jeńców, tak że nie mogli zostać wykorzystani przez gubernatora do uzyskania zwolnienia Yasminy, i wraz z Gitarą ruszył za Conanem oraz jego branką na pogórze. Kerim Shah, opuszczony przez Khemse, przesłał wiadomość do do [sic!] satrapy Secunderamu, wysuniętej placówki turańskiej, nakazując wysłanie wojska do Afghulistanu dla przechwycenia Devi od Conana, i pojechał na pogórze z bandą Irakzaich, żeby spotkać się z nadchodzącym wojskiem i je poprowadzić.

W tym czasie Conan, ścigany przez oddziały gubernatora, znalazł schronienie u swego przyjaciela Yara Afzala, wodza Wazulich. Khemsa zabił Yara Afzala za pomocą magii i podstępem skłonił Wazulich do ataku na Conana, zamyślając wykraść Devi podczas walki. Jednak Conan uciekł z wioski na czarnym ogierze Yara Afzala, unosząc Yasminę ze sobą, a Khemsa, podchodzący przesmykiem między wzgórzami, został zaskoczony i potrącony przez pędzącego konia. Wazuli ścigający Conana zaatakowali Khemse, który spuścił na nich całą grozę swej czarnej magii.

(Ludzie Czarnego Kręgu) Robert E. Howard

W HISTORII JAK DOTĄD

(OSIEM PIERWSZYCH ROZDZIAŁÓW)

Yasmina Devi, królowa Vendhyi, poszukiwała zemsty za swego brata, którego spotkała śmierć za sprawą czarów Czarnych Wróżów z Yimshy, magów, jacy mieszkali na pewnej górze w Ghulistanie, dzikiej, barbarzyńskiej, górzystej krainie.

By zapewnić sobie wsparcie Conana, wodza Afghulich z owego kraju, sprawiła, że gubernator Peshkhauri pojmał siedmiu afghulskich naczelników jako zakładników. Jednak Conan porwał Yasminę i uniósł ją w góry. Troje innych ludzi pragnęło także zapewnić sobie pojmanie Yasminy: Kerim Shah, szpieg Yezdigerda, króla Turanu, który knuł podbój Vendhyi; Khemsa, wcześniej akolita Czarnych Wróżów, i jego ukochana, Gitara, zdradziecka dwórka Yasminy. Ci dwoje pragnęli wycisnąć z Vendhyi ogromny okup.

Khemsa użył czarnej magii do zabicia siedmiu afghulskich naczelników, tak że nie mogli zostać wykorzystani do wykupienia Yasminy od Conana, i wraz z Gitarą ruszył za Conanem na pogórze.

Cimmeryjczyk znalazł tymczasem schronienie u swego przyjaciela Yara Afzala, wodza Wazulich. Khemsa zabił Yara Afzala za pomocą magii i podstępem skłonił Wazulich do wygnania Conana z wioski. Wówczas to usiłował odebrać mu Yasminę, lecz podczas walki między tymi dwoma do akcji wkroczyli sami Czarni Wróże. Zgładzili oni Gitarę oraz Khemse i unieśli Yasminę ze sobą. Khemsa, nim umarł, dał Conanowi stygijski pas o wielkiej magicznej mocy.

Jadąc w kierunku Afghulistanu, aby zebrać swych poddanych na ratunek Yasminie, Conan spotkał pięciuset z nich poszukujących

jego. Dowiedzieli się oni o śmierci siedmiu naczelników i doszli do przekonania, że ich zdradził. Uciekwszy im, napotkał szpiega, Kerima Shaha, z bandą Irakzaich jadących na spotkanie z turańskim wojskiem przedzierającym się przez pogórze, by pojmać Yasmine, która, jak sądzono, jest więziona wśród Afghulich.

Dochodząc do tymczasowego porozumienia, Conan oraz Kerim Shah pojechali razem w kierunku Yimshy.

W tym czasie przebywająca w zamku Yasmina spotkała się z tajemniczą postacią zwaną Mistrzem, on zaś oznajmił jej, iż ma być jego niewolnicą. By przerażeniem skłonić ją do uległości, zmusił do przeżycia na nowo wszystkich jej przeszłych wcieleń, a kiedy się przebudziła, ujrzała przy sobie w mroku zakapturzoną istotę. Zamknęła ona Yasmine w swych kościstych ramionach, a ta wrzasnęła na widok pozbawionej ciała czaszki szczerzącej się w cieniu kaptura.

Szkic bez tytułu

Amalric, syn szlachcica z wielkiego rodu Valerusów z zachodniej Aquilonii, zatrzymał się u okolonego palmami źródła pośród bezludzia pustyni, która leży na południu Stygii. Był z dwoma towarzyszami, członkami bandyckiego plemienia Ghanata, rasy negroidalnej zmieszanej z krwią shemicką. Ghanatasi przy Amalricu nosili imiona Gobir i Saidu. O zmierzchu, kiedy przygotowali do zjedzenia skromny posiłek z suszonych daktyli, nadjechał trzeci członek plemienia – Tilutan, czarny olbrzym znany ze swej zapalczywości i umiejętności władania mieczem. Wiózł przewieszoną przez łęk siodła nieprzytomną białą dziewczynę, którą znalazł upadłą z wyczerpania i pragnienia na pustyni, gdy polował na rzadkie antylopy pustynne. Zrzucił dziewczynę obok źródła i zaczął ją cucić. Gobir i Saidu obserwowali Amalrica, spodziewając się, iż spróbuje jej pomóc, lecz on udał obojętność i spytał ich, który weźmie dziewczynę po tym, jak Tilutan się nią znuży. To uruchomiło spór, a on rzucił parę kości, mówiąc im, by o nią zagrali. Kiedy przycupnęli nad kośćmi, wyciągnął swój miecz i rozszepił czaszkę Gobira. Natychmiast zaatakował go Saidu, a Tilutan odepchnął dziewczynę i ruszył na niego, dobywszy swego strasznego bułatu. Amalric obrócił się dookoła, sprawiając, iż to Saidu otrzymał pchnięcie zamiast niego, i pchnąwszy ранego mężczyznę w ramiona Tilutana, począł mocować się z olbrzymem.

Tilutan obalił Amalrica i zaczął go dusić, potem go puścił, rzucając na ziemię, i wstał, by zaopatrzyć się w broń i odciąć mu głowę. Jednak gdy skoczył na niego, rozwiązał mu się pas i potknąwszy się na nim, upadł. Broń wypadła mu z ręki, a Amalric poderwał ją i niemal urąbał mu głowę. Potem zatoczył się i padł bez zmysłów. Został przywrócony do życia przez dziewczynę, która ochlapała go wodą. Odkrył, że mówi językiem pokrewnym do kothyjskiego, i mogli zrozumieć siebie nawzajem. Powiedziała, że na imię ma Lissa – była piękną młodką o jasnej, delikatnej, białej skórze, fiołkowych oczach i ciemnych, pofalowanych włosach. Jej niewinność zawstydzila zdziczałego młodego żołnierza fortuny i odstąpił od zamiaru jej zgwałcenia. Ona przypuszczała, iż stoczył ze swymi towarzyszami walkę tylko po to, by ją uratować, a on postanowił nie rozwiewać jej złudzeń. Powiedziała, że jest mieszkanką miasta Gazal, leżącego niedaleko na południowy wschód. Uciekła z Gazal pieszo, jej zapas wody się wyczerpał i zemdląła, i taką odnalazł ją Tilutan. Amalric wsadził ją na wielbłąda, sam wsiadł na konia – pozostałe zwierzęta zerwały się i uciekły spłoszone podczas walki – i świt powitał ich podchodzących do Gazal. Amalric był zdumiony, stwierdziwszy, iż miasto to zwałowisko ruin z wyjątkiem wieży w południowo-wschodnim zakątku. Kiedy zagaił na ten temat, Lissa zbladła i błagała go, by o tym nie rozmawiać. Odkrył, iż lud jest senną, przyjazną rasą bez zmysłu praktycznego, oddaną w większości poezji i snom na jawie. Nie było ich zbyt wielu, byli rasą wymierającą. Dawno temu przybyli na pustynię i zbudowali miasto wokół oazy – kulturalna, uczona rasa bez parcia ku wojnie. Nigdy nie zostali zaatakowani przez żadne z dzikich i brutalnych plemion koczowniczych, ponieważ ludzie ci spoglądali na Gazal z pełnym

podejrzliwości lękiem i wielbili stwora, który czał się w południowo-wschodniej wieży. Amalric opowiedział Lissie swoje dzieje – że wcześniej był żołnierzem armii Argos pod zingarańskim księciem Zapayo da Kova, który pożegłował okrętami wzdłuż kushickiego wybrzeża, wylądował w południowej Stygii i usiłował najechać królestwo z tamtej strony, podczas gdy armie Koth najechały je z północy. Ale Koth zawarło ze Stygią zdradziecki pokój i armia na południu znalazła się w pułapce. Odkryli, że droga ucieczki na morze została odcięta, i próbowali przebić się ku wschodowi, licząc, iż osiągną ziemię Shemitów. Jednak armia została unicestwiona na pustyni. Amalric umknął ze swym towarzyszem Conanem, olbrzymim Cimmeryjczykiem, lecz zostali zaatakowani przez bandę dosiadających dzikich koni brązowoskórych ludzi o dziwnych strojach i wyglądzie i Conan zginął. Amalric uciekł pod osłoną nocy i wałęsał się po pustyni, cierpiąc głód i pragnienie, dopóki nie napotkał tych trzech sępów Ghanatasów. Wyznał, iż miasto Gazal jest dla niego czymś nierealnym, a Lissa opowiedziała mu o swym dzieciństwie, ale żarliwym pragnieniu wyrwania się z popadającego w marazm otoczenia i zobaczenia kawałka świata. Oddała mu się tak naturalnie jak dziecko, a kiedy leżeli razem w pokrytym jedwabiem posłaniu w komnacie oświetlonej jedynie światłem gwiazd, z budynku w pobliżu posłyszeli straszne krzyki. Amalric chciał to zbadać, lecz Lissa przywarła do niego, drżąc, i wyjawiała mu tajemnicę samotnej wieży. Mieszkał w niej nieziemski potwór, który od czasu do czasu zstępował do miasta i pożerał jednego z mieszkańców. Co to za stwór, tego Lissa nie wiedziała. Ale mówiła o nietoperzach wylatujących z wieży o zmierzchu i powracających

przed świtem oraz o płaczliwych krzykach ofiar uprowadzanych do tajemniczej wieży. Rozsierdzony Amalric rozpoznał w stworze zagadkowe bóstwo czczone przez pewne sekty wśród plemion negroidalnych. Nalegał na Lisę, by umknęła z nim przed świtem – mieszkańcy Gazal utracili już wszelką inwencję i byli bezradni, niezdolni do walki czy ucieczki, niczym ludzie zahipnotyzowani, którymi – jak sądził młody Aquilończyk – w tym przypadku byli. Poszedł zatem przygotować ich wierzchowce, a wracając, posłyszał okropny wrzask Lissy. Wpadł do komnaty i zobaczył, że jest pusta. Pewnie została schwytana przez potwora, więc popędził do wieży, wspiął się po schodach i znalazł w położonej wyżej komnacie, w której napotkał białego człowieka o niesamowitej urodzie. Pamiętając pradawną inkantację powtórzoną mu przez starego kushickiego kapłana z rywalizującej sekty, powtórzył ją i uwięził demona w jego ludzkiej postaci. Potem nastąpiła straszliwa walka, w której przebił bronią serce owej istoty. Umierając, wrzeszczała okropnie o zemstę i odpowiedziały jej jakieś głosy z powietrza. Wówczas przemieniła się w odrażający sposób i Amalric umknął przepełniony grozą. U stóp schodów spotkał Lisę. Przeraził ją widok jakiegoś stworzenia wlokącego korytarzami upolowanego człowieka i uciekła w niekontrolowanej panice, by się ukryć. Uświadomiwszy sobie, że kochanek udał się do wieży, by jej szukać, przybyła podzielić jego los. On zaś uściskał ją krótko w ramionach i powiódł tam, gdzie zostawił wierzchowce. Świtało, kiedy wyjechali z miasta – ona na wielbłądzie, on na koniu. Spoglądając wstecz na śpiące miasto, w którym nie było żadnych zwierząt, ujrzeli wyjeżdżających z niego siedmiu konnych – postaci w czarnych szatach na kościstych czarnych koniach – podążających

za nimi. Dopadła ich panika, gdyż wiedzieli, że nie są to ludzie. Przez cały dzień popędzali bezlitośnie swe rumaki ku zachodowi, w stronę odległego wybrzeża. Nie znaleźli wody i tuż przed zachodem słońca koń zaczął zdradzać oznaki wyczerpania. Przez cały ten czas czarne postaci nieubłaganie podążały za nimi i kiedy zapadł zmierzch, zaczęły się raptownie przybliżać. Amalric wiedział, iż są upiornymi stworzeniami przywołanymi z otchłani przez śmiertelny krzyk potwora z wieży. Kiedy ciemność zgęstniała, prześladowcy byli już blisko nich. Na tle księżycy objawił się cień o nietoperzowym kształcie i uciekinierzy mogli już poczuć od swych tropicieli odór arkosoliów. Nagle wielbłąd potknął się i upadł, a demony go otoczyły. Lissa wrzasnęła przeraźliwie. Wtem rozległ się tętent kopyt, potężny głos ryknął, a demony zostały starte przez rozpędzoną szarżę grupy konnych. Ich przywódca zsiadł z konia i nachylił się nad wyczerpanym młodzikiem oraz dziewczyną, i kiedy wyszedł księżyc, zaklął znajomym głosem. Był to Conan Cimmeryjczyk. Rozbito obóz, a uchodźcom dano jeść i pić. Towarzysze Cimmeryjczyka byli tymi brązowymi ludźmi o dzikim wyglądzie, którzy zaatakowali jego i Amalricę. Byli jeźdźcami z Tombalku, na wpół mitycznego pustynnego miasta, którego królowie podporządkowali sobie plemiona z pustyni południowo-zachodniej oraz rasy negroidalne ze stepów. Conan powiedział im, że został pozbawiony zmysłów i zawieziony do odległego miasta na pokaz królom Tombalku. Owych królów było zawsze dwóch, choć jeden na ogół pełnił tylko funkcję reprezentacyjną. Sprowadzony przed królów, został skazany na śmierć przez tortury, lecz on domagał się, by dali mu jakiegoś napitku, i na okrągło przeklinał owych królów. Na to jeden

z nich obudził się z drzemki, okazując zainteresowanie. Był wielkim, opasłym negroidem, podczas gdy drugi, o imieniu Zehbeh, był mężczyzną chudym, o brązowej skórze. Negroid zapatrzył się na Conana i pozdrowił go imieniem Amra, Lew. Imię czarnego człowieka brzmiało Sakumbe, był on awanturnikiem z Zachodniego Wybrzeża, który zetknął się z Conanem, gdy ten był korsarzem pustoszącym ów brzeg. Został jednym z królów Tombalku częściowo z powodu poparcia ludności negroidalnej, a po części wskutek machinacji fanatycznego kapłana, Askii, który przerósł siłą kapłana Zehbeha, Daurę. Niezwłocznie uwolnił on Conana i podniósł do godności dowódcy całej jazdy, przy okazji trując aktualnie piastującego to stanowisko niejakiego Kordofa. W Tombalku istniały rozmaite frakcje – Zehbeh i brązowi kapłani; krewniacy Kordofa, którzy nienawidzili obu: Zehbeha i Sakumbe, oraz Sakumbe i jego poplecznicy, z których najpotężniejszy był sam Conan. To wszystko Cimmeryjczyk opowiedział Amalricowi i następnego dnia pojechali w kierunku Tombalku. Conan jeździł po okolicy, by przepędzić z kraju złodziei z plemienia Ghanata. Po trzech dniach dotarli do Tombalku, przedziwnego, fantazyjnego miasta pośród piasków pustyni, obok oazy o wielu źródłach. Było to miasto wielu języków. Kastę dominującą stanowili założyciele miasta, wojownicza brązowa rasa, potomkowie Aphakich, shemickiego plemienia, które zapuściło się na pustynię kilkaset lat wcześniej i zmieszało z rasami negroidalnymi. Wśród plemion podległych znaleźli się Tibu – rasa pustynna o zmieszanej krwi negroidów i Stygijczyków – oraz Bagirmi, Mandingo, Dongola, Bornu i inne plemiona negroidalne z łąk oraz pastwisk południa. Podróżujący przybyli do Tombalku akurat, by stać się świadkami

strasznej egzekucji dokonanej na Daurze, kapłanie Aphakich, przez Askę. Aphaki byli rozjuszeni, ale pozostali bezradni wobec zdeterminowanej postawy swych czarnych poddanych, których sami nauczyli sztuki wojennej. Sakumbe, niegdyś człowiek o niezwykłej odwadze, żywotności i zdolności rządzenia krajem, zdegenerował się do zwalistej masy tłuszczu niedbającej o nic z wyjątkiem kobiet i wina. Conan zagrał z nim w kości, upił się z nim i zaproponował, żeby całkowicie wyeliminowali Zehbeha. Cimmeryjczyk sam chciał być królem Tombalku. Przekonano więc Askę, by publicznie potępił Zehbeha, a w krwawej wojnie domowej, jaka wybuchła potem, Aphaki zostali pokonani i Zehbeh uciekł z miasta ze swymi jeźdźcami. Conan zajął miejsce obok Sakumbe, lecz starając się jak mógł, odkrył, że to negroid jest faktycznym władcą miasta z powodu swego panowania nad rasami czarnymi. W tym samym czasie Askia stał się podejrzliwy wobec Amalrica i ostatecznie potępił go jako zabójcę boga wyznawanego przez sektę, której sam był kapłanem, i zażądał, aby on i dziewczyna zostali wydani na tortury. Conan odmówił, a Sakumbe, zupełnie przez Cimmeryjczyka zdominowany, go poparł. Wówczas Askia zwrócił się przeciwko Sakumbe i zgładził go za pomocą strasznej magii. Conan, zdawszy sobie sprawę, że po zabiciu Sakumbe czarni rozedrą jego i jego przyjaciół, zawołał do Amalrica i wyciął sobie drogę poprzez zdeorientowanych wojowników. Kiedy towarzysze usiłowali dotrzeć do murów, miasto zaatakował Zehbeh i jego Aphaki i w dzikim holokauście ognia i krwi Tombalku zostało niemalże zniszczone, a Conan, Amalric oraz Lissa uciekli.

Wersja bez tytułu

ROZDZIAŁ I

Trzech ludzi przysiadło obok jamy z wodą pod niebem, które zachód słońca wymalował umbrą i czerwienią. Jeden był biały i miał na imię Amalric, pozostali dwaj byli Ghanatasami, ich łachmany z trudem zakrywały żylaste czarne sylwetki. Zwano ich Gobir i Saidu; przykucnięci obok jamy z wodą wyglądali niczym sępy.

W pobliżu wielbłąd głośno przeżuwał jedzenie, a para zmęczonych koni na próżno mościła się w nagim piasku. Mężczyźni bez entuzjazmu chrupali i żuli suszone daktyle, czarni zważali tylko na swe pracujące szczęki, biały sporadycznie spoglądał na szarzejące poczerwieniałe niebo albo poprzez monotonnie płaski krajobraz w dal, gdzie gęstniał i pogłębiał się mrok. Był pierwszym, który dostrzegł konnego, jaki nadszedł i ściągnął wodze szarpnięciem, od którego rumak stanął dęba.

Jeździec był olbrzymem, jego skóra, czarniejsza niż u pozostałych dwóch, jak również mięsiste usta oraz drgające nozdrza mówiły o obfитоści przeważającej u niego niezmiernie

krwi negroidów. Jego szerokie jedwabne pantalone, zmarszczone wokół nagich kostek, podtrzymywał szeroki pas owinięty wielokrotnie wokół ogromnego brzucha. Pas ów podtrzymywał także połyskujący sztychem bułat, którym niewielu byłoby w stanie władać jedną ręką. Z tegoż bułatu człowiek ów słyszał wszędzie, gdziekolwiek ciemnoskórzy synowie pustyni zajechali. Był to Tilutan, duma Ghanatasów.

Na łęku siodła leżała, czy raczej zwisała, jakaś bezwładna postać. Nabierane powietrze syknęło między zębami Ghanatasów, kiedy dostrzegli lśnienie jasnych członków. To biała dziewczyna wisiała przez łęk siodła Tilutana, twarzą w dół, z rozpuszczonymi włosami owiewającymi jego strzemię pomarszczoną czarną falą. Czarny wyszczerzył się w uśmiechu, błyskając białymi zębami, i cisnął ją niedbale w piasek, gdzie zaległa bezwładnie, nieprzytomna. Gobir i Saidu odwrócili się instynktownie w stronę Amalrica, a Tilutan przypatrywał się mu ze swego siodła. Trzech czarnych mężczyzn przeciwko jednemu białemu. Pojawienie się na scenie białej kobiety wywołało subtelną zmianę klimatu.

Amalric był jedynym, który najwyraźniej pozostawał nieświadomy tego napięcia. Nieobecny duchem przeczesał i odgarnął do tyłu swe niesforne płowe pukle, i spojrzał obojętnie na zwiotczalą sylwetkę dziewczyny. W jego szarych oczach pojawił się chwilowy błysk, ale pozostali go nie spostrzegli.

Tilutan zsunął się z siodła, obcesowo rzucając wodze Amalricowi.

– Zajmij się mym koniem – rzekł. – Na Jhil, nie znalazłem żadnej pustynnej antylopy, lecz odnalazłem tę małą klaczkę. Szła

chwiejnje przez piaski i upadła akurat wtedy, gdy się zbliżyłem. Myślę, że zemdlła ze zmęczenia i pragnienia. Trzymajcie się z dala, wy szakale, i pozwólcie mi ją napić.

Wielki czarny przyciągnął ją do jamy z wodą i zaczął obmywać jej twarz i nadgarstki, upuszczając kilka kropel między spierzchnięte wargi. Po chwili jęknęła i lekko się poruszyła. Gobir i Saidu przykucnęli z rękami na kolanach, wpatrując się w nią ponad barczystym ramieniem Tilutana. Amalric pozostał nieco z dala od nich, jego zainteresowanie zdawało się tylko przelotne.

– Dochodzi do siebie – oznajmił Gobir.

Saidu nie powiedział nic, tylko mimowolnie, w zwierzęcym stylu, oblizał swe grube wargi.

Spojrzenie Amalrica wędrowało po skrajnie wyczerpanej postaci – od porwanych sandałów po rozpuszczoną koronę lśniących czarnych włosów. Jej jedyny strój stanowiła krótka sukienka przepasana w talii. Odkrywała ona lewe ramię, szyję oraz część gorsu i kończyła się parę cali nad kolanami. Na owych odsłoniętych częściach spoczął przesycony żarłocznym natężeniem wzrok Ghanatasów przyglądających się dogłębnie jej miękkim kształtom, dziecinnym w swej jasnej kruchości, jednakże zaokrąglonym rozkwitającą kobiecością.

Amalric wzruszył ramionami.

– Kto po Tilutanie? – zapytał niedbale.

Na to pytanie dwie pociągłe twarze odwróciły się w jego stronę, a spojrzenie przekrwionych oczu przesunęło się ku niemu, potem zaś czarni ludzie odwrócili się i popatrzyli po sobie. Nagle między nimi zatrzeszczała iskra rywalizacji.

– Nie walczcie – zachęcił ich Amalric. – Rzućcie kośćmi.

Jego dłoń wyłoniła się spod znoszonej tuniki, by rzucić przed nich parę kości. Porwała je dłoń podobna do szponów.

– Tak jest! – zgodził się Gobir. – Rzucamy... zwycięzca po Tilutanie!

Amalric spojrział chyłkiem w stronę olbrzymiego czarnego, który nadal pochylał się nad swą branką, przywracając do życia jej wyczerpane ciało. Kiedy patrzył, jej opatrzone długimi rzęsami powieki się rozchyliły; oszołomione spojrzenie ciemnofiołkowych oczu spoczęło na pożądliwym obliczu czarnego człowieka. Z mięsistych ust Tilutana wyrwał się gwałtowny okrzyk satysfakcji. Wyszarpnąwszy zza pasa manierkę, przytknął ją do jej warg. Piła wino odruchowo. Amalric unikał jej błędzącego spojrzenia; jeden biały człowiek oraz trzech czarnych – każdy z nich mu dorównujący.

Gobir i Saidu pochylali się nad kośćmi. Saidu zamknął je w ściśniętej dłoni, chuchnął na nie dla szczęścia, potrząsnął i rzucił. W gasnącym świetle podobne do sępich głowy nachyliły się nad toczącymi się sześcianami. Amalric jednym ruchem zerwał się i uderzył. Ostrze rozplątało grubą kark, przecinając tchawicę, i tryskający krwią Gobir padł na kości z głową wiszącą na strzępach skóry.

Równocześnie Saidu z szaleńczą prędkością człowieka pustyni poderwał się na nogi i ciął okrutnie głowę mordercy. Amalricowi ledwie starczyło czasu, by zablokować ów cios uniesioną bronią. Świszczący bułat zbił proste ostrze w dół, na głowę białego człowieka, sprawiając, iż ten się zatoczył. Amalric wypuścił miecz i zarzucił ręce wokół Saidu, przyciągając go blisko siebie, gdzie bułat tamtego pozostawał bezużyteczny. Pod łachami człowieka

pustyni żylaste ciało było niczym stalowe węzły.

Tilutan, pojmując natychmiast, w czym rzecz, cisnął dziewczynę na ziemię i powstał z rykiem. Popędził w kierunku walczących jak szarżujący byk, jego wielki bułat zapłonął mu w rękę. Amalric dostrzegł, jak nadciąga, i zrobiło mu się zimno. Saidu szarpał się i skręcał, pozbawiony bułatu wciąż bezskutecznie usiłował wojować ze swym przeciwnikiem. Ich stopy wirowały i stąpały ciężko po piasku, ciała przywarły jedno do drugiego. Amalric walnął piętą swego sandała w nieosłonięte podbicie stopy Ghanatasa i poczuł, jak kości ustępują. Saidu zawył i padł targany spazmami, Amalric zaś, wspomagając się podrzutem, dźwignął ich obu na własnych nogach. Przechylali się pijacko na wszystkie strony, akurat kiedy Tilutan wyprowadził potężny cios całą siłą swych szerokich ramion. Amalric poczuł, jak stał trze pod jego ręką i z głuchym młaśnięciem wchodzi głęboko w ciało Saidu. Ghanatas wydał śmiertelny wrzask, a konwulsyjne drgawki wyrwały go z uścisku Amalrica. Tilutan wyryczał wściekle przekleństwo i uwolniwszy swą stał szarpnięciem, odepchnął umierającego na bok, lecz zanim uderzył ponownie, Amalric, ze skórą ścierpniętą ze strachu przed wielkim, zakrzywionym ostrzem, zaczął się z nim szamotać.

Kiedy poczuł siłę negroida, owładnęła nim rozpacz. Tilutan był mądrzejszy od Saidu. Upuścił bułat i z głębokim pomrukiem złapał oburącz gardło Amalrica. Wielkie czarne palce zamknęły się jak stal i Amalric, usiłując daremnie pokonać ich uchwyt, został obalony na ziemię i przyszpilony do niej ogromnym ciężarem Ghanatasa. Mniejszy mężczyzna miotany był przez

Tilutana jak szczur w szczękach psa. Jego głowa uderzała dziko o piaszczystą ziemię. Jak przez czerwoną mgłę widział wściekłą twarz negroida, grube usta wywinięte w bestialskim grymasie nienawiści, jaśniejące zęby. Z potężnego czarnego gardła sączył się zwierzęcy warkot.

– Ty jej chcesz, ty biały psie! – wycharczał Ghanatas, oszalały od żądz i gniewu. – Aaaaghhh! Przetrączę ci grzbiet! Wyrwę ci gardło! Ja... Mój bułat! Obetnę ci łeb i każę jej go całować!

Ostatnie zawzięte uderzenie głową Amalrica o twardo ubity piasek i Tilutan na wpół uniósł go, a potem pchnął na ziemię, przepelniony zwierzęcą furią. Powstawszy, czarny, pochylony jak małopod, pobiegł i poderwał swój bułat z miejsca, gdzie ten leżał na piasku niczym szeroki półksiężyc ze stali. Wyjąc w dzikim uniesieniu, odwrócił się i natarł z powrotem, groźnie wywijając wysoko wzniesionym ostrzem. Amalric podniósł się wolno, idąc mu na spotkanie, ogłuszony, rozchwiany, czujący mdłości po brutalnym potraktowaniu, jakiego doznał.

W trakcie walki pas Tilutana rozwiązał się i teraz jego końcówka zwisała mu u stóp. Zahaczył się, potknął i padł na twarz, wyrzuciwszy ramiona, by się osłonić. Bułat wyleciał mu z ręki.

Pobudzony do działania Amalric poderwał bułat i wykonał chwiejny krok w przód. Pustynia falowała mu niejasno przed oczyma. W zapadającym zmierzchu ujrzał przed sobą twarz Tilutana, nagle spopielającą. Rozwarte szeroko usta zastygły w niemym zdziwieniu, oczy się wywróciły, ukazując białka. Czarny zastygł, klęcząc na jednym kolanie, jakby niezdolny do dalszych ruchów. Wówczas bułat opadł, rozszczepiając okrągłą, wygoloną

głowę aż po brodę, gdzie jego drogę przerwało budzące obrzydzenie drgnięcie. Amalric widział niejasny obraz czarnej twarzy, przedzielonej poszerzającą się czerwoną linią, zacierający się w gęstniejącym mroku, a potem nagle ogarnęła go ciemność.

Coś miękkiego i chłodnego dotykało twarzy Amalrica z łagodną uporczywością. Pomacał na ślepo i jego dłoń zamknęła się na czymś ciepłym, zwartym i sprężystym. Wówczas odzyskał jasność widzenia i ujrzał delikatną owalną twarz okoloną połyskującymi czarnymi włosami. Niby w transie przypatrywał się jej bez słowa, pożądliwie chłonąc każdy szczegół pełnych czerwonych ust, ciemnofiołkowych oczu i alabastrowej szyi. Wzdrygnąwszy się, zdał sobie sprawę, iż jego wizja przemawia łagodnym, melodyjnym głosem. Słowa brzmiały dziwnie, jednakże sprawiały wrażenie znajomych. Mała jasna dłoń trzymająca ociekający wodą zwitek jedwabiu przesuwiała się łagodnie po jego pulsującej głowie i twarzy. Usiadł niemrawo.

Była noc pod niebem ochlapanym gwiazdami. Wielbłąd nadal żuł swą strawę, koń parskał niespokojnie. Niedaleko leżała zwalista czarna postać z rozrąbaną głową w okropnej kałuży z krwi i mózgu. Amalric spojrzał w górę na dziewczynę, która klęczała obok niego, mówiąc w łagodnym, nieznanym języku. Kiedy szum w jego głowie ustał, zaczął ją rozumieć. Odwołał się w pamięci do na wpół zapomnianych języków, jakich uczył się niegdyś i jakimi mówił w przeszłości, przypomniał sobie mowę używaną przez klasę uczonych w południowej prowincji Koth.

– Kim jesteś, dziewczyno? – zapytał, przytrzymując małą rączkę w swej stwardniałej dłoni.

– Jestem Lissa. – Imię to zostało wypowiedziane jakby z lekkim seplenieniem. Było niczym szmer maleńkiego strumienia. – Cieszę się, że oprzytomniałeś. Bałam się, że jesteś nieżywy.

– Niewiele brakowało – wymamrotał, spoglądając na rozciągniętego na ziemi straszliwego trupa, który był niegdyś Tilutanem. Ona zaś zbladła i nie chciała podążyć za jego spojrzeniem. Jej ręka drżała, a Amalric pomyślał, że są tak blisko, iż może wyczuć szybkie bicie jej serca.

– To było straszne – wyjąkała. – Niczym okropny sen. Gniew... i ciosy... i krew...

– Mogło być gorzej – warknął.

Zdawała się wyczulona na każdą zmianę głosu czy nastroju. Jej wolna ręka zakradła się nieśmiało w jego dłoń.

– Nie miałam zamiaru cię obrażać. To bardzo odważne z twojej strony ryzykować życie dla nieznajomej. Jesteś szlachetny jak rycerze, o których czytałam.

Rzucił jej szybkie spojrzenie. Jego wzrok napotkał jej wielkie oczy, z których wyzierała jedynie ta myśl, którą przedtem wyrzekła. Już miał przemówić, ale zmienił zdanie i powiedział co innego.

– Co robisz na pustyni?

– Przyszłam z Gazal – odparła. – Ja... uciekałam. Nie mogłam wytrzymać tego dłużej. Ale było gorąco i samotnie, i męcząco, i widziałam tylko piasek, piasek... i jaśniejące błękitem niebo. Piasek palił mi stopy, a moje sandały zużyły się szybko. Moja manierka wkrótce opustoszała, byłam taka spragniona. I wówczas chciałam powrócić do Gazal, ale droga w każdym kierunku wyglądała jak inne. Nie wiedziałam, którą pójść.

Strasznie się lękałam i zaczęłam biec w stronę, gdzie, jak sądziłam, powinno się znajdować Gazal. Potem wiele już nie pamiętam. Biegłam, dopóki mogłam, a gdy przestałam móc biec dalej, musiałam zalec w palącym piasku na chwilę. Pamiętam, jak wstawałam i szłam przed siebie, zataczając się, i na ostatek pomyślałam, że słyszę, jak ktoś woła, i zobaczyłam czarnego człowieka na czarnym koniu jadącego w moją stronę. Od tej chwili nic już nie kojarzę, aż się przebudziłam i stwierdziłam, że leżę z głową na kolanach tego mężczyzny, podczas gdy on daje mi do picia wino. Potem były jakieś krzyki i walka... – Wzdrygnęła się. – Kiedy było po wszystkim, podpełzłam do miejsca, gdzie leżałeś jak martwy, i spróbowałam przywrócić cię do...

– Czemu? – spytał.

Zdało się, że jest w rozterce.

– Czemu? – Wstała niezręcznie. – No bo... byłeś ranny... i... bo to coś, co zrobiłby każdy. Poza tym zdałam sobie sprawę, że walczyłeś, aby chronić mnie przed tymi czarnymi. Ludzie z Gazal zawsze mówili, że czarni są źli i krzywdzą bezbronnych.

– To nie jest wyłącznie cecha czarnych – wymamrotał Amalric.
– Gdzie jest to Gazal?

– Nie może być daleko – odrzekła. – Szłam cały dzień, a potem... Nie wiem, jak daleko zawiózł mnie ten czarny człowiek, po tym jak mnie znalazł. Ale musiał wypatrzeć mnie w okolicy zachodu słońca, więc nie mógł przebyć zbyt wiele.

– W którym kierunku? – dopytywał.

– Nie wiem. Kiedy opuściłam miasto, przemieszczałam się ku wschodowi.

– Miasto? – mruknął. – O dzień drogi z tego miejsca? Myślałem, że przez tysiąc mil jest tu tylko pustynia.

– Gazal jest na pustyni – rzekła. – Zbudowano je pośród palm oazy.

Zostawiwszy jej opowieść na później, podniósł się na nogi, przeklinając cicho, gdy dotknął swego gardła, którego skóra była posiniaczona i podrapana. Po kolei sprawdził trzech czarnych, w żadnym nie znajdując życia. Potem jednego po drugim zaciągnął na niewielką odległość na pustynię. Gdzieś zaczęły zawodzić szakale. Powróciwszy do jamy z wodą, gdzie przykucnięta dziewczyna czekała cierpliwie, zaklął, bo znalazł tylko czarnego ogiera Tilutana wraz z wielbłądem. Pozostałe konie zerwały pęta i czmychnęły podczas walki.

Amalric podszedł do dziewczyny, proponując jej garść suszonych daktyli. Pochłonęła je ochoczo małymi kęsami, podczas gdy on usiadł z brodą na pięściach i obserwował ją z pulsującą mu w żyłach narastającą niecierpliwością.

– Dlaczego uciekaś? – zapytał nagle. – Jesteś niewolnicą?

– W Gazal nie mamy niewolników – odrzekła. – Och, byłam znużona... jakże znużona wieczną monotonią. Chciałam zobaczyć kawałek świata. Z jakiego kraju pochodzisz?

– Urodziłem się na zachodnich wzgórzach Aquilonii – odparł.

Klasnęła w dłonie jak uradowane dziecko.

– Wiem, gdzie to jest! Widziałam na mapach. To wysunięte najdalej na zachód państwo Hyboryjczyków, a jego królem jest Epeus Rębajło!

Amalric wyraźnie doznał szoku. Jego głowa drgnęła, przypatrzył się swej towarzyszce.

– Epeus? Cóż, Epeus jest martwy od dziewięciuset lat. Imię króla brzmi Vilerus.

– Och, oczywiście – stwierdziła nieco zażenowana. – Jestem głupia. Oczywiście, Epeus był królem dziewięć wieków temu, tak jak mówisz. Ale opowiedz mi... opowiedz mi o całym świecie!

– No, to dłuższa sprawa – rzekł wymijająco. – Nigdy nie podróżowałaś?

– To pierwszy raz, kiedy znalazłam się poza zasięgiem wzroku od murów Gazal – oznajmiła.

Jego spojrzenie utkwilo w krzywiznie jej jasnego gorsu. W tej chwili nie interesowały go jej przygody, a Gazal mógł okazać się Piekłem, ale to nic go nie obchodziło.

Zaczął mówić, po czym, zmieniawszy zdanie, pochwycił ją brutalnie w ramiona, jego mięśnie napięły się do walki, której oczekiwał. Jednak nie napotkał oporu. Jej delikatne, uległe ciało spoczęło mu w poprzek kolan, a ona sama spojrzała na niego z niejakim zaskoczeniem, ale bez strachu czy skrepowania. Mogłaby być dzieckiem, które podporządkowuje się nowej zabawie. Coś w jej bezpośrednim spojrzeniu go zmieszało. Gdyby wrzasnęła, załkała, walczyła albo uśmiechnęła się znacząco, wiedziałby, co z nią zrobić.

– Kim ty, w imię Mitry, jesteś, dziewczyno? – spytał szorstko. – Ani nie rusza cię słońce, ani nie toczysz ze mną gierki. Twoja mowa pokazuje, że nie jesteś głupiutkim wiejskim dziewczęciem, niewinnym w swej niewiedzy. Jednocześnie zdajesz się nie wiedzieć nic o świecie i o jego sprawach.

– Jestem córką Gazal – odparła nieporadnie. – Gdybyś ujrzał Gazal, może byś zrozumiał.

Podniósł ją i posadził na piasku. Powstawszy, przyniósł derkę spod siodła i rozłożył ją dla niej.

– Śpij, Lisso. – rzekł głosem ochrypłym od sprzecznych emocji.
– Jutro zamierzam zobaczyć Gazal.

O świcie wyruszyli ku zachodowi. Amalric umieścił Lissę na wielbłądzie, pokazując jej, jak utrzymać równowagę. Chwyciła się mocno siodła rękami, ujawniając nieznamość obchodzenia się z wielbłądami, co ponownie zaskoczyło młodego Aquilończyka. Dziewczyna wychowana na pustyni nigdy wcześniej nie siedziała na wielbłądzie ani, aż do minionej nocy, nigdy nie jechała czy nie była wieziona na koniu. Amalric sporządził jej coś w rodzaju płaszcza, a ona włożyła go bez pytania, nie dociekając, skąd pochodzi, i przyjmując go tak, jak przyjmowała wszystko, co dla niej robił – z wdzięcznością, lecz ślepo, bez dopytywania o powód. Amalric nie powiedział jej, że jedwab, który ją osłania przed słońcem, wcześniej okrywał czarne ciało jej ciemności.

Kiedy tak jechali, znów zaczęła błagać go, by opowiedział jej o świecie, niczym dziecko proszące o bajkę.

– Wiem, że Aquilonia znajduje się bardzo daleko od tej pustyni – oznajmiła. – Stygia leży między nimi, i Ziemię Shemu, i inne kraje. Jak to jest, że się tu znalazłeś, tak daleko od swej ojczystej ziemi?

Przez chwilę jechał w milczeniu z ręką na powrozie wielbłąda.

– Argos i Stygia toczyły wojnę – rzekł nagle. – Wmieszało się w to Koth. Kothianie nalegali na przeprowadzenie jednoczesnej inwazji na Stygię. Argos powołało armię najemników, którzy weszli na okręty i pozęglowali wzdłuż wybrzeża ku południu. W

tym samym czasie wojska kothiańskie miały najechać Stygię od strony lądu. Ja byłem w armii najemników. Napotkaliśmy stygijską flotę i ją pokonaliśmy, spychając z powrotem do Khemi. Powinniśmy byli wylądować i złupić miasto, i podążać dalej wzdłuż koryta Styxu, lecz admirał był ostrożny. Naszym przywódcą był książę Zapayo da Kova, Zingarańczyk. Płynęliśmy ku południu, aż dotarliśmy do pokrytych dżunglą wybrzeży Kush. Tam wylądowaliśmy, a okręty zakotwiczyły, podczas gdy armia parła ku wschodowi, wzdłuż granicy stygijskiej, paląc i grabiąc w trakcie przemarszu. Naszym zamiarem było skrócić w pewnym miejscu ku północy i uderzyć w serce Stygii, by uzyskać połączenie z wojskiem kothiańskim, jakie rzekomo miało podążać z północy. Wówczas nadeszła wieść, iż zostaliśmy zdradzeni. Koth zawarło odrębny pokój ze Stygijczykami. Stygijska armia parła ku południu, by przeciąć nam drogę, podczas gdy kolejna już odcięła nas od wybrzeża. Zdesperowany książę Zapayo powziął szalony pomysł marszu ku wschodowi, licząc na okrążenie stygijskiej granicy i ostateczne osiągnięcie wschodnich Ziem Shemu. Jednak armia z północy dogoniła nas. Zawróciliśmy i walczyliśmy. Cały dzień walczyliśmy i zepchnęliśmy ich trasą wiodącą do ich obozu. Jednak następnego dnia nadciągnęła ścigająca nas armia z zachodu i uczyniła wyłom pomiędzy coraz lichszymi oddziałami naszego wojska. Zostaliśmy rozbici, starci, unicestwieni. Niewielu pozostało, by uciec. Kiedy zapadła noc, przebiłem się ze swym towarzyszem, Cimmeryjczykiem imieniem Conan, człowiekiem nieokrzesanym o sile byka. Pojechaliśmy ku południu na pustynię, ponieważ nie było żadnego innego kierunku, w którym

moglibyśmy pojechać. Conan był już wcześniej w tej części świata i uznał, że mamy szansę przeżyć. Daleko na południu znaleźliśmy oazę, lecz nękali nas stygijscy jeźdźcy i ponownie uciekliśmy – od oazy do oazy, umykając, głodując, cierpiąc pragnienie – dopóki nie znaleźliśmy się w nieznannej jałowej krainie płomiennego piasku i pustego piasku [sic!]. Jechaliśmy, aż nasze konie zaczęły się chwiać, a my niemal popadliśmy w majaki. Wówczas pewnej nocy ujrzeliśmy ogień i pojechaliśmy ku nim, trzymając się rozpaczliwie nadziei, że uda nam się zaprzyjaźnić z nimi. Jak tylko znaleźliśmy się w zasięgu, powitał nas deszcz strzał. Koń Conana został trafiony i stanął dęba, zrzucając jeźdźca. Jego kark musiał pęknąć niczym gałązka, gdyż już się nie poruszył. Ja jakoś umknąłem w mrok, choć koń pode mną zdechł. Tylko przelotnie widziałem napastników – wysokich, szczupłych, brązowych ludzi noszących dziwny barbarzyński strój. Włóczyłem się pieszo po pustyni i napotkałem tych trzech sępów, których widziałś wczoraj. Byli szakalami – Ghanatasami, członkami rozbójniczego plemienia mieszanej krwi: negroidów i Mitra wie kogo jeszcze. Jedynym powodem, dla którego mnie nie zamordowali, było to, iż nie miałem nic, czego by chcieli. Przez miesiąc wałęsałem się i kradłem wraz z nimi, ponieważ nie było nic innego, co mógłbym robić.

– Nie wiedziałam, że to tak jest – zamruczała niewyraźnie. – Mówiono, że tam, w świecie, są wojny i okrucieństwo, ale wydawały się jak sen, bardzo odległe. Jednak słuchając, jak mówisz o zdradzie i bitwach, czuję się, jakbym je prawie widziała.

– Żadni wrogowie nie podciągali nigdy pod Gazal? – zapytał.

Pokręciła głową.

– Ludzie przejeżdżają z dala od Gazal. Czasami widywałam czarne punkciki poruszające się rzędami wzdłuż widnokregu, a starzy ludzie mówili, że to armie idące na wojnę, ale one nigdy nie zbliżały się do Gazal.

Amalric poczuł niewyraźne ukłucie niepokoju. Owa pustynia, zdająca się bez życia, na przekór wszystkiemu skupiała w sobie jedne z najdzikszych plemion na ziemi: Ghanatasów, którzy zapuszczali się daleko na wschód; zamaskowanych Tibu, którzy, jak sądził, mieszkali dalej na południe; a gdzieś w oddali, ku południowemu zachodowi, leżało na wpół mityczne imperium Tombalku rządzone przez dziką i barbarzyńską rasę. Było to dziwne, że miasto pośrodku tej dzikiej ziemi mogło być pozostawione tak całkowicie samemu sobie, iż jeden z jego mieszkańców nie wiedział, co to znaczy wojna.

Kiedy odwrócił wzrok w inną stronę, naszły go dziwaczne myśli. Czyż tę dziewczynę tknęło słońce? Może była demonem w kobiecej postaci, który wyszedł na pustynię, by zwabić go ku jakiejś tajemnej zagładzie? Rzut oka na jej dziecinne przywarcie do szczytu wielbłądziego siodła wystarczył, by rozproszyć owo psioczenie. Wówczas ponownie dopadły go wątpliwości. Czy nie został zaczarowany? Czy aby nie rzuciła na niego jakiegoś zaklęcia?

Zmierzali ku zachodowi w równym tempie, zatrzymując się tylko w południe na poskubanie daktyli i picie wody. Ze swego miecza, pochwy i derek spod siodła Amalric sklecił mizerne schronienie, żeby osłonić ich od palącego słońca. Ona, zmęczona i zeszywniała od rzucania i podskakiwania przy wielbłądzim

chodzie, musiała być zniesiona na jego rękach. Gdy zaś on poczuł znów zmysłową słodycz jej ciała, doznał napływu gorącej namiętności, która rozpałała go całego, i stał tak przez chwilę nieruchomo, odurzony jej bliskością, zanim postawił ją na ziemi w cieniu prowizorycznego namiotu.

Napotkawszy jej czyste spojrzenie, poczuł niemal tchnienie złości przez uległość, z jaką oddawała swe młode ciało w jego dłonie. Było to tak, jakby pozostawała nieświadoma spraw, które mogą ją skrzywdzić. Jej niewinne zaufanie zawstydzalo go i zamykało bezsilny gniew w jego wnętrzu.

Kiedy jedli, nie smakował daktyli, jakie przeżuwał; jego oczy płonęły wpatrzone w nią, pożądliwie się wpijając w każdy szczegół jej gibkiej, młodej sylwetki. Niczym dziecko zdawała się nieświadoma skierowanej ku niej uwagi. Kiedy ją uniósł, aby ponownie umieścić na wielbłądzie, a jej ręce instynktownie objęły jego szyję, zadrżał. Jednak podsadził ją na wierzchowca i na nowo podjęli podróż.

Było tuż przed zachodem słońca, kiedy Lissa wskazała palcem i wykrzyknęła:

– Popatrz! Wieże Gazal!

Dostrzegł je na skraju pustyni – strzeliste iglice i minarety wznoszące się jadeitowozieloną gromadą na tle błękitnego nieba. Ale dla dziewczyny było to, mógłby sądzić, miasto widmo rodem z mirażu. Popatrzył na Lissę z zaciekawieniem; nie okazywała żadnych oznak entuzjastycznej radości z przybycia do domu. Westchnęła i zdało się, że jej szczupłe ramiona obwisły.

W miarę zbliżania szczegóły stawały się coraz lepiej widoczne. Pionowo z pustyni wznosił się mur, który otaczał wieże. I

Amalric spostrzegł, że mur ów w wielu miejscach kruszał. Wieże także, jak widział, były bardzo zrujnowane. Dachy pozapadały się, spękane blanki zionęły dziurami, strzeliste iglice chyliły się jak pijane. Dopadła go panika; czyż do umarłych należało miasto, do którego jechał, prowadzony przez wampira? Szybki rzut oka na dziewczynę uspokoił go. Żaden demon nie mógł zaiść się w tak bosko ukształtowanej powłoce. Spojrzała na niego z dziwną niepewnością w głębi oczu, zabarwioną tęsknotą, odwróciła się niezdecydowana w stronę pustyni, a potem, z głębokim westchnieniem, skierowała swą twarz ku miastu, jak gdyby pochwycona delikatną, fatalistyczną rozpaczą.

Teraz, poprzez dziury ziejące w jadeitowozielonym murze, Amalric ujrzał jakieś sylwetki poruszające się po mieście. Nikt ich nie zatrzymał, kiedy przejechali przez rozległy wyłom w murze i dostali się na szeroką ulicę. W najbliższym otoczeniu, oświetlanym opadającym słońcem, obraz upadku był widoczny jeszcze bardziej. Na ulicach rosła bujna trawa, wypychając potrzaskaną nawierzchnię; trawa rosła bujnie na niewielkich miejskich placach. Ulice i dziedzińce były podobnie zaśmiecone gruzem rozsypujących się budynków i spadłymi kamieniami.

Kopuły wznosiły się popękane i wyblakłe. Portale zionęły pustką, pozbawione drzwi. Na wszystkim ruina położyła swą dłoń. Wówczas Amalric ujrzał jedną nietkniętą iglicę; połyskującą czerwienią cylindryczną wieżę, która wyrastała w najdalej wysuniętym na wschód zakątku miasta. Błyszczała pośród ruin.

Amalric wskazał na nią.

– Czemu ta wieża jest mniej zniszczona od pozostałych? – spytał.

Lissa zbladła; zadrżała i pochwyciła kurczowo jego dłoń.

– Nie mów o niej! – wyszeptała. – Nie patrz w jej stronę... Nawet o niej nie *myśl!*

Amalric zmarszczył brwi. Niedopowiedziany sens jej słów jakoś przemienił wygląd tajemniczej wieży. Teraz zdawała się wznosić niczym węzowa głowa pośród ruin i spustoszenia.

Młody Aquilończyk rozejrzał się czujnie dookoła siebie. Nie miał w końcu żadnej gwarancji, że lud Gazal przyjmie go po przyjacielsku. Widział ludzi przemieszczających się po ulicach bez pośpiechu. Zatrzymywali się i patrzyli na niego, i z jakiegoś powodu skóra mu cierpła. Byli mężczyznami i kobietami o życzliwych obliczach, a ich spojrzenia były łagodne. Jednak ich zainteresowanie zdawało się tak pobieżne – tak mgliste i bezosobowe. Nie wykonywali żadnych ruchów, by się do niego zbliżyć albo przemówić. W tym świecie zwyczajną sprawą mogło być, że uzbrojony konny wjeżdża do ich miasta z pustyni; jednakowoż Amalric wiedział, że nie w tym rzecz, a beztroski sposób, w jaki przyjął go lud Gazal, wywołał w jego piersi lekki niepokój.

Lissa przemówiła do nich, wskazując na Amalrica, którego dłoń wzniosła niczym kochające dziecko.

– To jest Amalric z Aquilonii, który ocalił mnie przed czarnymi ludźmi i sprowadził do domu.

Wśród ludzi zrodził się uprzejmy pomruk powitania, a kilku z nich zbliżyło się, by podać mu dłoń. Amalric stwierdził, że nigdy nie widział tak nieobecnych, życzliwych twarzy; ich oczy były łagodne i delikatne, pozbawione strachu i pozbawione zdziwienia. Jednakże nie były to oczy głupich wołów, lecz raczej

oczy ludzi spowitych w sen.

Ich spojrzenia dawały mu poczucie nierealności; z trudem pojmował, co do niego mówiono. Jego umysł pozostawał pochłonięty niezwykłością tego wszystkiego; cisi, senni ludzie w jedwabnych tunikach i miękkich sandałach poruszający się z bezsensowną bezcelowością pośród zblakniętych ruin. Lotosowy raj złudzeń? Jednak myśl o złowieszczej czerwonej wieży pobrzmiwała w jakiś sposób fałszywą nutą.

Jeden z mężczyzn, o twarzy gładkiej i niepomarszczonej, lecz o siwych włosach, powiedział:

– Aquilonia? Była jakaś inwazja... słyszeliśmy... król Bragorus z Nemedii... jak poszła wojna?

– Zostali odrzuceni – odrzekł krótko Amalric, powstrzymując się od wzdrygnięcia. Dziewięćset lat minęło, odkąd Bragorus powiódł swych włóczników poprzez marchie Aquilonii.

Pytający nie naciskał dalej; ludzie się rozeszli, a Lissa pociągnęła go za rękę. Odwrócił się, sycąc nią swe oczy; w królestwie snów i złudzeń jej delikatne, jędrne ciało stanowiło punkt zaczepienia dla jego błędnych domysłów. Ona nie była snem; była rzeczywista; jej ciało było słodkie i namacalne jak miód oraz śmietana.

– Chodź, odpocznijmy i zjedzmy.

– Co jest z tymi ludźmi? – Oparł się jej. – Nie opowiesz im o swoich przeżyciach?

– Nie zwróciliby na nie uwagi, co najwyżej przez kilka minut – rzekła. – Posłuchaliby trochę, a potem odpłynęli. Z trudem pojęli, że mnie nie było. Chodź!

Amalric wprowadził konia i wielbłąda na zamknięty

dziedziniec, gdzie trawa rosła wysoko, a woda sączyła się z rozbitej fontanny do marmurowej rynny. Tam przywiązał zwierzęta i podążył za Lissą. Wziąwszy go za rękę, poprowadziła przez dziedziniec ku sklepienemu progowi. Zapadła już noc. Na otwartym niebie ponad dziedzińcem gwiazdy świeciły w gromadach poprzecinanych nierówno sterczącymi iglicami. Przez rząd ciemnych komnat Lissa przeszła, poruszając się z pewnością nabytą przez długą praktykę. Amalric poruszał się po omacku za nią prowadzony jej drobną rączką. Jego zdaniem nie była to miła przygoda. W gęstej ciemności wisiała woń kurzu i rozkładu. Pod stopami miał czasem połamane płytki – tak to czuł – a niekiedy wytarte dywany. Jego wolna dłoń dotykała ażurowych łuków przejść. Wtem gwiazdy zajaśniały przez pęknięty dach, ukazując mu przyćmiony wijący się korytarz obwieszony gnijącymi gobelinami. Szeleściły one na słabym wietrze, a dźwięk ten był jak szeptanie wiedźm podnoszące włosy tuż przy skórze głowy.

Potem weszli do komnaty nikło oświetlonej blaskiem gwiazd wlewającym się przez okna i Lissa puściła jego dłoń. Myszkując przez chwilę, wytworzyła pewnego rodzaju słabe światło. Był to szklany guz, który jaśniał złocistą poświatą. Umieściła go na marmurowym stole i wskazała, że Amalric winien ułożyć się na pościeli grubo wyściełanej jedwabiem. Macając po jakiejś tajemniczej niszy, wydobyła złote naczynie z winem i inne, zawierające jedzenie nieznanne Amalricowi. Były tam daktyle; innego jedzenia, bladego i według niego bez smaku, nie rozpoznawał. Wino było przyjemne dla podniebienia, ale nie bardziej uderzające do głowy od pomyj.

Spocząwszy na marmurowym siedzisku naprzeciw niego,

Lissa delikatnie skubała posiłek małymi kęsami.

– Co to za miejsce? – zapytał. – Jesteś jak ci ludzie... a jednak dziwnie niepodobna.

– Mówią, że jestem jak nasi przodkowie – rzekła Lissa. – Dawno temu przybyli oni na pustynię i zbudowali to miasto wokół wielkiej oazy, którą w rzeczywistości stanowił szereg źródeł. Kamienie pobrali z ruin o wiele starszego miasta... tylko ta czerwona wieża... – jej głos przycichł i nerwowo obrzuciła spojrzeniem wypełnione gwiazdami okna – stała tam tylko ta czerwona wieża. Była pusta... wówczas. Nasi przodkowie, zwani Gazali, niegdyś mieszkali w południowym Koth. Znani byli ze swej uczonej mądrości. Ale usiłowali przywrócić do życia kult Mitry, który Kothianie porzucili dawno temu, i król wygnał ich ze swego państwa. Podążyli ku południu, wielu z nich: kapłani, uczeni, nauczyciele, badacze, ze swymi shemickimi niewolnikami. Wzniesli Gazal na pustyni, lecz niewolnicy zbuntowali się niemal w tym samym czasie, kiedy miasto zostało zbudowane, i uciekwszy, zmieszali się z dzikimi plemionami z pustyni. Nie byli źle traktowani; otrzymali nocą wieść – wieść, która przyprawiła ich o szaleńczą ucieczkę z miasta na pustynię. Mój lud zamieszkał tu, ucząc się wytwarzać jedzenie i picie z takich składników, jakie były pod ręką. Ich wiedza była cudem. Kiedy niewolnicy uciekli, zabrali ze sobą wszystkie wielbłądy, konie i osły w mieście. Nie było łączności ze światem. Są w Gazal całe komnaty wypełnione mapami, książkami i kronikami, lecz wszystkie one mają co najmniej dziewięćset lat, gdyż było to dziewięćset lat temu, kiedy mój lud opuścił Koth. Dotąd żaden człowiek ze świata nie postawił nogi w Gazal. I lud ten powoli

znika. Mieszkańcy stali się tak senni i zapatrzeni w siebie, że nie ma w nich ani ludzkiej namiętności, ani ambicji. Miasto popada w ruinę i nikt nie ruszy ręką, aby je naprawić. Groza... – Zakrztusiła się i wzdrygnęła. – Kiedy nadciągnęła groza, nie byli w stanie uciekać ani walczyć.

– Co masz na myśli? – wyszeptał, a zimny wiatr owionął mu grzbiet. Szelest gnijących materii w nieznanym czarnym korytarzach wzniesił w jego duszy niejasny strach.

Ona zaś potrząsnęła głową, wstała, przeszła dookoła marmurowego stołu i położyła ręce na jego ramionach. Jej oczy stały się wilgotne i błyszczały z przerażenia oraz rozpaczliwej tęsknoty, która chwyciła go za gardło. Jego ramię instynktownie przesunęło się, obejmując jej gibką sylwetkę, i poczuł, jak drży.

– Przytul mnie! – poprosiła gorąco. – Lękam się! Och, marzyłam o takim mężczyźnie jak ty. Nie jestem jak mój lud. Oni są umarłymi chodzącymi po zapomnianych ulicach, ale ja żyję. Mam w sobie ciepło i czucie. Łaknę, pragnę i wzdycham do życia. Nie potrafię znieść tych cichych ulic, zrujnowanych budynków i przygaszonego ludu Gazal, choć nigdy nie poznałam niczego innego. To dlatego uciekłam... Tęsknię do życia...

W jego ramionach wybuchła niepoohamowanym szlochem. Jej włosy rozsypały się po jego twarzy, aromat go oszołomił. Jędrne ciało przylgnęło do niego. Ułożyła się mu na kolanach z rękoma zamkniętymi wokół jego szyi. Przyciągnąwszy ją do swej piersi, zmiążdżył jej usta swoimi. Oczy, wargi, policzki, włosy, szyję, piersi zasypywał deszczem gorących pocałunków, dopóki jej łkanie nie przeszło w dyszące westchnienia. Jego namiętność nie była napastliwą przemocą. Namiętność, która drzemała w niej,

przerodziła się w jedną niepohamowaną falę. Żarząca się złota kula, trącona jego błędzącymi dłońmi, stoczyła się na podłogę i zgasła. Tylko światło gwiazd jaśniało przez okna.

Leżąc w ramionach Amalrica na stosie jedwabi, Lissa otworzyła serce i szeptała o swych marzeniach, nadziejach, dążeniach – dziecinnych, doniosłych, strasznych.

– Zabiorę cię stąd – wymamrotał. – Jutro. Masz rację. Gazal to miasto umarłych; poszukamy życia i świata zewnętrznego. Jest pełen przemocy, brutalny, okrutny, ale lepszy niż ta śmierć za życia...

Noc przeszył napawający dreszczem krzyk udręki, grozy i rozpacz. Jego brzmienie sprawiło, że na skórze Amalrica wystąpił zimny pot. Zerwał się z posłania, lecz Lissa przywarła doń desperacko.

– Nie, nie! – błagała gorączkowym szeptem. – Nie idź! Zostań!

– Ale dokonano morderstwa! – wykrzyknął, szukając miecza. Krzyki zdawały się dochodzić z drugiej strony wewnętrznego dziedzińca. Mieszał się z nimi nieopisany odgłos rwania i rozdzierania. Krzyki stawały się coraz głośniejsze i rzadsze, nie do zniesienia w swej beznadziejnej agonii, i rozplynęły się w długim, wstrząsającym szlochu.

– Słyszałem ludzi umierających na stole do rozciągania, krzyczących w ten sposób! – wymamrotał Amalric, otrząsając się z obrzydzenia. – Co to za diabelska robota?

Lissa trzęsła się gwałtownie z gorączkowego przerażenia. Poczuli dzikie walenie jej serca.

– To Groza, o której mówiłam! – wyszeptała. – Groza, jaka mieszka w czerwonej wieży. Dawno temu przybyła... Niektórzy

mówią, że mieszkała tam za dawnych, niepamiętnych lat i powróciła po zbudowaniu Gazal. Pożera ludzkie istoty. Z wieży wylatują nietoperze. Co to jest, nikt nie wie, jako że nie ma nikogo, kto widziałby i przeżył, by o tym opowiedzieć. To bóg albo diabeł. To dlatego niewolnicy uciekli, dlatego ludzie pustyni omijają Gazal z daleka. Wielu z nas zniknęło w jego okropnym brzuchu. W końcu wszyscy znikną, a panować będzie nad pustym miastem, tak jak mówi się, że panowała nad ruinami, z których wzniesiono Gazal.

– Dlaczego ludzie pozostali i dają się pożerać? – dopytywał.

– Nie wiem – zachlipała. – Oni śnią...

– Hipnoza – mruknął Amalric. – Mesmeryzm połączony z rozkładem. Widziałem to w ich oczach. Ten diabeł ich zahipnotyzował. Mitro, co za paskudna zagadka!

Lissa przycisnęła twarz do jego gorsu i objęła go mocno.

– Ale co mamy robić? – spytał niespokojnie.

– Nic nie można zrobić – wyszeptała. – Twój miecz będzie bezradny. Być może *To* nie zrobi nam krzywdy. Dziś wieczór już zabrało ofiarę. Musimy czekać jak owce na rzeźnika.

– Niech będę przeklęty, jeśli mam czekać! – wykrzyknął pobudzony do działania Amalric. – Nie będziemy czekać do rana. Wyjedziemy jeszcze tej nocy. Przygotuj zapasy jedzenia i picia. Ja wezmę konia i wielbłąda i przeprowadzę je na dziedziniec zewnętrzny. Tam się spotkamy!

Jako że nieznany potwór uderzył już wcześniej, Amalric czuł, że może bezpiecznie zostawić dziewczynę na parę minut samą. Ale skóra mu ścierpła, kiedy szukał po omacku drogi przez wijący się korytarz i czarne komnaty, gdzie szeptały kołyszące się

gobeliny. Niepokojne zwierzęta znalazł skulone na dziedzińcu, gdzie je pozostawił. Ogier rżał nerwowo i trącał go nosem, jak gdyby wyczuwał niebezpieczeństwo w bezruchu nocy.

Osiadł na je, nałożył uzdy i powiódł pospiesznie przez wąskie przejście na ulicę. W kilka minut później był już na oświetlonym gwiazdami dziedzińcu. I w chwili, kiedy tam dotarł, wstrząsnął nim straszny wrzask, jaki rozbrzmiał w powietrzu, budząc dreszcz. Dobiegł on z komnaty, gdzie zostawił Lissę.

W odpowiedzi na ten żaloszny krzyk zawył wściekle. Wyciągnąwszy miecz, pognął przez dziedziniec i rzucił się przez okno. Złocista kula jaśniała ponownie, wyłaniając w kątach kulące się czarne cienie. Jedwabie leżały rozrzucone na podłodze. Marmurowe siedzisko zostało wywrócone. Ale komnata była pusta.

Amalrica ogarnęła mdląca słabość, zatoczył się i wsparł na marmurowym stole, przyćmione światło falowało mu zawrotnie przed oczami. Wtem przeniknął go szaleńczy gniew. Czerwona wieża! Tam demon zabrałby swą ofiarę!

Wystrzelił przez dziedziniec, wydostał się na ulicę i pognął w kierunku wieży, która jaśniała pod gwiazdami nieziemskim blaskiem. Ulice nie przebiegały prosto. Przebijał się przez czarne budynki i przecinał dziedzińce, na których wybujala trawa falowała przy nocnym wietrze.

Przed nim, skupione wokół szkarłatnej wieży, wznosiły się sterty ruin, które rozkład przeżarł bardziej okrutnie niż resztę miasta. Najwyraźniej nikt wśród nich nie mieszkał. Chwiały się one i waliły – kruszejąca masa trzęsącego się gruzu – z czerwoną wieżą wznoszącą się spomiędzy nich niczym jadowity czerwony

kwiat z ruin nekropolii.

Aby dotrzeć do wieży, zmuszony był przebyć owe ruiny. Brawurowo zanurzył się w czarne zwałowisko, szukając po omacku drzwi. Znalazł jakieś i wszedł, dźgając przed sobą mieczem. Wtem ujrzał widok, jaki ludzie oglądają czasem w fantastycznych snach. Daleko przed nim rozciągał się długi korytarz widzialny w słabej nadnaturalnej poświacie, a jego czarne ściany obwieszane były dziwnymi, budzącymi dreszcz gobelinami. W jego dali dostrzegł niknącą postać – jasną, nagą, pochyloną, poruszającą się rozchwianym krokiem, ciągnącą coś, czego widok przepęłnił go grozą i sprawił, że się spocił. Potem owo widziadło znikło mu sprzed oczu i wraz z nim zniknęła niesamowita poświata. Amalric stał w bezdźwięcznym mroku, nie słysząc niczego, myśląc tylko o pochylonej jasnej postaci, która długim, czarnym korytarzem wlokła bezwładne ludzkie ciało.

Kiedy zaczął brnąć dalej po omacku przed siebie, w jego umyśle drgnęło niewyraźne wspomnienie – wspomnienie straszliwej opowieści wymamrotanej mu nad dogasającym ogniem w usypanej z czaszek diabelskiej chacie czarnego czarownika – opowieści o bogu, który mieszkał w szkarłatnym domu w zrujnowanym mieście, a który czczony był przez mroczone i ponure sekty w wilgotnych dżunglach wzdłuż posępnych, mętnych rzek. A to ożywiło też w jego pamięci inkantację wyszeptaną mu do ucha lęklwym i przenikniętym dreszczem grozy głosem, podczas gdy noc wstrzymywała oddech, lwy przestały ryczeć nad rzeką, a palmowe liście ustały w szuraniu jeden o drugi.

Ollam-onga, szeptał mroczny wiatr przez niewidzialny korytarz. *Ollam-onga*, szeptał pył, jaki pokrywał ziemię pod jego kroczącymi ostrożnie stopami. Pot wystąpił mu na skórze, a miecz trząśł się w ręce. Skradał się po domu boga i strach pochwycił go swymi kościstymi dłońmi. *Dom boga* – pełna groza tego określenia napełniła jego myśli. Wszystkie pradawne lęki i obawy sięgające poza starożytność i pamięć pierwotną całej rasy naparły wspólnie na niego, kosmiczna i nieludzka groza przyprawiła go o mdłości. Jego liche człowieczeństwo przygniotło go, gdy uświadomił je sobie, przechodząc przez dom mroku, który był domem boga.

Wokół niego migotała poświata tak słaba, że ledwie dostrzegalna; widział, iż zbliża się do samej wieży. Jeszcze chwila, a namacał drogę przez łukowate drzwi i potknął się na dziwnie rozmieszczonych stopniach. Po nich to wszedł i gdy tak się wspinał, ślepa furia, która stanowi ostatnie narzędzie obrony gatunku ludzkiego przed diabelstwem i wszelkimi nieprzyjacielskimi siłami wszechświata, wezbrała w nim i zapomniał o strachu. Płonąc straszliwą ochotą, wspinał się coraz wyżej poprzez gestą od zła ciemność, aż wszedł do komnaty oświetlonej niesamowitą poświatą.

Przed nim stała jasna, naga postać. Amalric przystanął, język przywarł mu do podniebienia. Był to pod każdym względem nagi biały mężczyzna, który stał, przypatrując mu się z mocarnymi ramionami złożonymi na alabastrowej piersi. Rysy twarzy miał klasyczne, gładko rzeźbione, o urodzie więcej niż ludzkiej. Lecz oczy stanowiły kule świetlistego ognia, takie, jakie nigdy nie wyzierałyby z ludzkiej głowy. W oczach tych Amalric

dojrzał mroźne płomienie ostatecznego piekła stykające się ze straszliwym mrokiem.

Nagle owa postać zaczęła rozrastać się w niejasnych konturach. Zachwiał się, przeraźliwym wysiłkiem Aquilończyk rozerwał więzy ciszy i wypowiedział tajemną, straszną inkantację. A kiedy jego przerażające słowa przecięły głuszę, biały olbrzym zatrzymał się, zamarł, jego kształty znów stały się jasne i wyraźne na złotawym tle.

– Teraz chodź tu, przeklęty! – krzyknął histerycznie Amalric. – Związałem cię w twojej ludzkiej postaci! Czarny czarownik mówił prawdę! Dał mi takie oto słowo władzy! Posłuchaj go, *Ollam-onga...* póki nie przełamiesz czaru, uczując na moim sercu, jesteś nie więcej niż tylko człowiekiem, jak ja!

Z rykiem, który był niczym zryw czarnego wiatru, stworzenie zaatakowało. Amalric uskoczył w bok przed uściskiem dłoni, których siła większa była od trąby powietrznej. Kiedy potwór przelatował obok, jeden z zakończonych szponem palców, rozwarty szeroko, zahaczył o jego tunikę, zrywając z niego strój jak przegniłą szmatę. Jednak Amalric, pobudzony przez grozę walki do szybkości większej od ludzkiej, okręcił się dookoła i pchnął swym mieczem w plecy stwora tak, że sztych wystawał na stopę z jego szerokiej piersi.

Wieżę wstrząsnęło demoniczne wycie agonii; potwór zakręcił i ruszył na Amalric, ale młodzieniec uskoczył w bok i pognął schodami na podwyższenie. Tam obrócił się i złapawszy za marmurowe siedzisko, cisnął nim w okropność, która ociężale wspinała się po stopniach. Masywny pocisk trafił ją prosto w twarz, znosząc demona po schodach w dół. Powstał, wyglądał

strasznie, płynąca krew znów skąpała stopnie. W desperacji Amalric uniósł nefrytową ławę, której ciężar wycisnął z niego jęk wysiłku, i rzucił nią.

Siła uderzenia odrzuciła cielsko Ollam-ongi w dół po schodach, gdzie legło wśród okruchów marmuru, które zalała jego krew. Ostatnim rozpaczliwym wysiłkiem uniósł się na rękach z zaszklonymi oczyma i odrzuciwszy skrwawioną głowę, wydał straszny krzyk. Amalric wzdrygnął się i cofnął przed bezdenną grozą tego wrzasku. *A temu odpowiedziano.* Gdzieś z powietrza ponad wieżą niczym echo dotarła nikła mieszanina demonicznych krzyków. Wówczas zmasakrowana postać legła bezwładnie pośród zbryzganego krwią gruzu. I Amalric wiedział, że nie ma już jednego z bogów Kush. Wraz z tą myślą nadeszło ślepe, nedorzeczne przerażenie.

Spowity mgłą panicznego strachu popędził schodami w dół, kuląc się przed stworem, który leżał z wytrzeszczonymi oczami na podłodze. Noc zdawała się głośno winić go i potępiać, wstrząśnięta świętokradztwem. Rozsądek, radujący się z tryumfu, zalany został powodzią niezmiernego strachu.

Kiedy postawił stopy u szczytu schodów, zatrzymał się nagle. Pod górę, z mroku, nadeszła ku niemu Lissa, jej białe ramiona wyciągnęły się, oczy były kałużami przerażenia.

– Amalricu! – Był to niezapomniany okrzyk. Zmiażdżył ją w swoich ramionach. – Widziałam *To* – rzekła łamiącym się głosem – jak ciągnęło korytarzem martwego człowieka. Wrzasnęłam i uciekłam. Potem, gdy wróciłam, posłyszałam, jak krzyczysz, i wiedziałam, że poszedłeś szukać mnie w czerwonej wieży...

– I przybyłaś, by podzielić mój los. – Jego głos był prawie

niezrozumiały. Potem, kiedy, drżąc z ciekawości, próbowała zerknąć za niego, zasłonił jej oczy ręką i odwrócił ją. Lepiej, żeby nie widziała, co leży na szkarłatnej podłodze. Kiedy – na wpół prowadząc, na wpół znosząc ją mrocznymi schodami – rzucił okiem przez ramię, okazało się, iż naga jasna postać nie leży już pośród pokruszonego marmuru. Inkantacja wiązała Ollam-ongę w ludzkiej postaci za życia, ale nie po śmierci. Przez chwilę opanowała go niemoc, wtem, pobudzony do gorączkowego pośpiechu, popędził z Lissą po schodach w dół i przez ciemne ruiny.

Nie zwalniał kroku, dopóki nie dotarli na ulicę, gdzie ogier i wielbłąd przyłgnęły do siebie. Szybko wsadził dziewczynę na wielbłąda i wskoczył na ogiera. Chwyciwszy za wodze, skierował się wprost ku spękanemu murowi. Kilka minut później odetchnął głęboko. Powietrze otwartej pustyni schłodziło mu krew; było wolne od woni rozkładu i odrażającej starości.

U łąku jego siodła wisiał mały bukłak z wodą. Nie mieli żywności, a jego miecz został w komnacie w czerwonej wieży. Nie odważył się go tknąć. Bez jedzenia, nieuzbrojeni, stawali wobec pustyni; jednak jej niebezpieczeństwa wydawały się mniej groźne od obrzydlistwa w mieście za nimi.

Jechali, nic nie mówiąc. Amalric podążał na południe; gdzieś w tym samym kierunku była jama z wodą. O samym świtaniu, kiedy wspięli się na piaszczysty szczyt, spojrzął wstecz w stronę Gazal, nierzeczywistego w różowawym świetle. I zeszywniał, a Lissa wykrzyknęła. Z wyłomu w murze wyjechało siedmiu konnych; ich rumaki były czarne, a jeźdźcy obleczeni w czerń od stóp do głów. W Gazal nie było koni. Amalrica owionęło przerażenie,

odwrócił się i ponaglił wierzchowce do dalszej drogi.

Słońce wzeszło – czerwona, potem złocista i wreszcie biała kula bijąca ogniem. Dalej i dalej uciekinierzy parli, chwiejąc się od upału i zmęczenia, oślepieni przez jasny blask. Od czasu do czasu zwilżali swe wargi wodą. A za nimi tym samym tempem jechało siedem czarnym punktów. Zaczął zapadać wieczór, słońce poczerwieniało i pochyliło się ku skrajowi pustyni. A serce Amalrica pochwyciła zimna dłoń. Jeźdźcy się zbliżali. Jak nadchodziła ciemność, tak też nadciągali czarni jeźdźcy. Amalric spojrzął przelotnie na Lissę i dobył z siebie jęk. Jego ogier potknął się i upadł. Słońce zaszło, w konturze księżyca znienacka objawił się cień o nietoperzowym kształcie. W całkowitym mroku gwiazdy jaśniały czerwienią, a za swymi plecami Amalric posłyszał narastający pęd zbliżającego się wiatru. Przez noc przedzierało się i gnało wielkie skupisko czerni, w którym przebłyskiwały iskry strasznych świateł.

– Jedź, dziewczyno! – krzyknął rozpaczliwie. – Jedź dalej...
Ocal siebie. To ja jestem tym, którego chcą!

W odpowiedzi zsunęła się z wielbłąda i zarzuciła ręce wokół niego.

– Umrę z tobą!

Siedem czarnych postaci zamajaczyło na tle gwiazd, pędząc niczym wiatr. Pod kapturami błyszcząły kule złęgo ognia, kości szczęk zdawały się klekotać o siebie. Wtem coś zakłóciło porządek rzeczy; koło Amalrica przemknął koń, który zdał się jakimś niejasnym kształtem w nienaturalnym mroku. Kiedy ów nieznanym rumak wpadł pomiędzy nadciągające postaci, rozległ się odgłos zderzenia. Jakiś koń zarżał szaleńczo, a podobny

byczemu głos ryknął coś w dziwnym języku. Skądś pośród nocy odpowiedziało mu zgiełkliwe wycie.

Potem nastąpiło jakieś pełne przemocy zdarzenie. Końskie kopyta stąpały ciężko i stukotały, rozbrzmiewał odgłos wściekłych ciosów i ten sam donośny głos jął przeklinać siarczyście. Potem niespodzianie wzeszedł księżyc i oświetlił fantastyczną scenę.

Jakiś człowiek na olbrzymim koniu wirował, rznął i siekł najwyraźniej samo powietrze, a z drugiej strony ciągnęła dzika horda jeźdźców, ich zakrzywione ostrza błyskały w świetle księżyca. W oddali, na szczycie wzniesienia, znikało siedem czarnych postaci, ich płaszcze powiewały niczym skrzydła nietoperzy.

Amalrica pochłonęła fala dzikich mężczyzn, którzy zeskoczyli ze swych koni i zaroili się wokół niego. Umięśnione nagie ramiona unieruchomiły go. Zapalczywe, brązowe, orle twarze powarkiwały na niego. Lissa wrzasnęła. Wtem napastnicy rozstąpili się na prawo i lewo, gdyż przez tłum przejeżdżał człowiek na wielkim koniu. Pochylił się w siodle i przyjrzał Amalricowi z bliska.

– Do diabła! – ryknął. – Amalric Aquilończyk!

– *Conan!* – wykrzyknął oszołomiony Amalric. – Conan! Żywy!

– Bardziej żywy, niż zdajesz się ty – rzekł tamten. – Na Croma, człowieku, wyglądasz, jakby wszystkie diabły pustyni ścigały cię przez noc. Co to za stwory goniły za tobą? Objeżdżałem właśnie obóz, jaki rozbili moi ludzie, by się upewnić, że nie kryją się tu jacyś wrogowie, kiedy księżyc wyłonił się niczym świeca, a potem usłyszałem dźwięki pogoni. Pojechałem w stronę owych

odgłosów i, na Croma, znalazłem się wśród tych diabłów, zanim pojąłem, co się dzieje. Miecz miałem w ręce i robiłem nim wokół siebie... Na Croma, ich oczy płonęły w mroku niczym ogień! Wiem, że moje ostrze ich pokąsało, lecz kiedy wyłonił się księżyc, zniknęli jak podmuch wiatru. Byli oni ludźmi czy demonami?

– Upiorami wysłanymi z Piekła. – Amalric wzdrygnął się. – Nie pytaj mnie o więcej. Niektórych spraw nie należy zgłębiać.

Conan nie naciskał w tej kwestii ani nie wyglądał na niedowiarka. Jego wierzenia obejmowały nocne zjawy, duchy, hobgobliny i krasnoludy.

– Widzę, że znalazłeś sobie kobietę nawet na pustyni – rzekł, spoglądając na Lisę, która podpełzła do Amalrica i trzymała się blisko niego, patrząc strachliwie na otaczające ich zewsząd dzikie postaci. – Wina! – ryknął Conan. – Przynieść flaszkę! Tutaj! – Złapał rzuconą mu skórzaną flaszkę i umieścił ją w ręce Amalrica. – Daj pociągnąć łyk dziewczynie i sam napij się trochę – doradził. – Potem wsadzimy was na konie i zabierzemy do obozu. Trzeba wam jeść, odpocząć i spać. Widzę to.

Sprowadzono konia z bogatym rzędem, rzucającego się i stojącego dęba, a chętne dłonie pomogły Amalricowi zasiąść w siodle. Potem podano mu dziewczynę i ruszyli ku południu, otoczeni przez żylastych brązowych jeźdźców malowniczych w swej połowicznej nagości. Conan jechał na czele, nucąc pieśń najemników.

– Kto to jest? – szepnęła Lissa obejmująca ramionami szyję kochanka; trzymał ją w siodle przed sobą.

– Conan Cimmeryjczyk – mruknął Amalric. – Człowiek, z którym włóczyłem się po pustyni po klęsce najemników. To są

ludzie, którzy go powalili. Zostawiłem go leżącego w mocy ich włóczni, zdałoby się, martwego. Teraz spotykamy go najwyraźniej jako dowódcę, szanowanego przez nich.

– To straszny człowiek – wyszeptała.

Uśmiechnął się.

– Nigdy wcześniej nie widziałas białoskórego barbarzyńcy. Jest wędrowcem i grabieżcą, i zabójcą, ale ma własny kodeks moralny. Nie sądzę, byśmy mieli bać się czegokolwiek z jego strony.

W głębi serca nie był tego taki pewien. W jakiś sposób, można by rzec, utracił prawo do nazywania się towarzyszem Conana, gdy odjechał na pustynię, zostawiwszy nieprzytomnego Cimmeryjczyka na ziemi. Nie wiedział wszak, że Conan nie jest martwy. Amalrica prześladowały wątpliwości. Okrutnie lojalny wobec swych towarzyszy, w swej dzikiej naturze Cimmeryjczyk nie widział powodu, dlaczego nie miałoby się ograbić reszty świata. Żył ze swego miecza. I Amalric stłumił dreszcz na myśl o tym, co mogłyby się zdarzyć, gdyby Conan zapragnął Lissy.

Nieco później, najadłszy i napiwszy się w obozie jeźdźców, Amalric zasiadł przy małym ognisku przed namiotem Conana. Lissa, przykryta jedwabnym płaszczem, drzemała ze swą kędzierzawą głową na jego kolanach. Naprzeciw niego blask ognia tańczył na twarzy Conana, powlekając ją na zmianę światłem i mrokiem.

– Kim są ci ludzie? – spytał młody Aquilończyk.

– Jeźdźcami z Tombalku – odrzekł Cimmeryjczyk.

– Tombalku?! – wykrzyknął Amalric. – Zatem to nie mit!

– Żadną miarą – przytaknął Conan. – Kiedy mój przeklęty

rumak zwał się wraz ze mną, padłem bez zmysłów, a gdy odzyskałem przytomność, te diabły skrupowały mi ręce i nogi. Zezłościło mnie to, więc zerwałem kilka sznurów, którymi mnie spętali, ale związali je na nowo na tyle mocno, że nie mogłem ich rozzerwać... Nawet jednej dłoni nie zdołałem uwolnić całkowicie. Ale im moja siła wydała się niezwykła...

Amalric wpatrywał się w Cimmeryjczyka, nic nie mówiąc. Człowiek ten był wysoki i potężny jak Tilutan, bez nadmiaru ciała, jaką posiadał czarny. Mógłby złamać kark Ghanatasa gołymi rękami.

– Zdecydowali się odwieźć mnie do miasta, zamiast zabić od ręki – ciągnął Conan. – Uznali, że człowiek taki jak ja winien przez długi czas umierać na torturach, a więc dostarczyć im rozrywki. Cóż, przywiązali mnie do konia bez siodła i pojechaliśmy do Tombalku. Jest dwóch królów Tombalku. Zabrali mnie przed ich oblicze: chudego, brązowoskórego diabła imieniem Zehbeh i wielkiego, opasłego negroida, który drzemał na swym tronie z kości słoniowej. Mówili dialektem, który potrafiłem trochę zrozumieć; był bardzo podobny do używanego przez zachodnich Mandingo, którzy mieszkają na wybrzeżu. Zehbeh spytał brązowego kapłana Daure, co powinienem ze mną uczynić, a Daura rzucił kości zrobione z gnatów owcy i powiedział, że powinienem zostać obdarty żywcem ze skóry przed ołtarzem Jhil. Wszyscy się ucieszyli i to zbudziło tego negroidalnego króla. – Splunąłem na Daure i przeklinałem go na okrągło, i królów również, i powiedziałem im, że jeśli mam być oskórowany, to, na Croma, domagam się solidnej porcji wina, która zaspokoi me pragnienie, nim zaczną, i wyzywałem ich od

tchórzcy i złodziei, i synów ladacznic. Na to ten czarny król się podniósł, usiadł prosto i zapatrzył się na mnie, a potem wstał i zawołał: „Amra!”, i rozpoznałem go: Sakumbe, pewien Suba z Czarnego Wybrzeża, grubas i awanturnik, którego poznałem dobrze w dniach, kiedy byłem korsarzem u tego wybrzeża. Parał się handlem kością słoniową, złotym proszkiem i niewolnikami i nawet diabła oskubałby do gołej skóry... Zatem, gdy mnie poznał, zstąpił ze swego tronu i uściskał mnie z radością – czarny, śmierdzący diabeł – i zdjął mi więzy własnymi rękami. Potem ogłosił, że byłem Amrą, Lwem, jego przyjacielem, i że nie może stać mi się żadna krzywda. Potem nastąpiła wielka dyskusja, ponieważ Zehbeh i Daura chcieli mojej skóry. Ale Sakumbe wrzasnął o swego łowcę wiedźm, Askie, i ten przybył ze wszystkimi swymi piórami, dzwonekami i węzowymi skórami... czarownik z Czarnego Wybrzeża i syn diabła, jeśli kiedykolwiek był takowy. Askia tańczył i wznosił inkantacje, i ogłosił, że Sakumbe został wybrany przez Agujo, Samego Mrocznego, a cały czarny lud Tombalku podniósł krzyk i Zehbeh się wycofał. Bo to czarni są w Tombalku realną siłą. Kilka wieków temu Aphaki, rasa shemicka, zapuścili się na pustynię południową i ustanowili królestwo Tombalku. Zmieszali się oni z pustynnymi czarnymi, a skutkiem tego była prostowłosa rasa brązowych, która nadal jest bardziej biała niż czarna. Są oni kastą dominującą, ale pozostają w mniejszości, i na tronie obok władcy Aphakich zasiada zawsze jakiś czysto czarny król. Aphaki podbili koczowników z pustyni południowo-zachodniej oraz negroidalne plemiona ze stepów, które leżą na południe od nich. Ci jeźdźcy, dla przykładu, to Tibu o mieszanej stygijskiej i negroidalnej krwi.

Tak więc Sakumbe poprzez Askie jest prawdziwym władcą Tombalku. Aphaki czczą Jhil, ale czarni wielbią Ajujo, Samego Mrocznego, i jego krewniaków. Askia przybył do Tombalku z Sakumbe i odnowił kult Ajujo, który podupadł z powodu kapłanów Aphakich. Askia zastosował czarną magię, która pokonała czary Aphakich, i czarni okrzyknęli go prorokiem zesłanym przez mrocznych bogów. Sakumbe i Askia rosną w siłę, kiedy Zehbeh i Daura słabną. Cóż, jako że jestem przyjacielem Sakumbe i Askia przemówił, wstawiając się za mną, czarni przyjęli mnie z wielkim aplauzem. Sakumbe otruł Kordofa, naczelnego dowódcę konnicy, i mnie oddał jego miejsce, co zachwyliło czarnych i rozdrażniło Aphakich. Polubisz Tombalku! Stworzono je do złupienia przez ludzi takich jak my! Istnieje tam pół tuzina potężnych frakcji spiskujących i knujących przeciw sobie nawzajem... Na ulicach i w gospodach trwają nieustanne bijatyki, skrytobójstwa, okaleczenia i egzekucje. I są kobiety, złoto, wino... Wszystko, czego najemnik zapragnie! A ja jestem wysoko w łaskach i mam władzę! Na Croma, Amalricu, nie mogłeś przybyć w lepszym czasie! No, o co chodzi? Zdajesz się nie tak pełen entuzjazmu, jak niegdyś bywałeś w tych sprawach, z tego, co pamiętam.

– Chcę cię prosić o wybaczenie, Conanie – usprawiedliwił się Amalric. – Nie braknie mi zainteresowania, lecz znużenie i potrzeba snu mnie zmagają.

Lecz to nie złoto, kobiety i intrygi były tym, o czym Aquilończyk myślał, ale dziewczyna, która spała mu na kolanach; nie czuł radości na myśl o tym, iż zabiera ją w taki zamęt knowań i krwi, jaki opisał Conan. W Amalricu zaszła delikatna zmiana,

niemal bez jego wiedzy.

Szkic bez tytułu (Godzina Smoka)

Akcję rozpoczyna czterech ludzi w komnacie nemedyjskiego zamku przywracających do życia stygijską mumię mającą tysiące lat. Jeden z tych ludzi był potężnym nemedyjskim baronem z ambicją kreowania szczytów władzy. Jeden był młodszym bratem króla Nemedii. Jeden zgłaszał roszczenie do tronu Aquilonii. Jeden był kapłanem Mitry, który został wydalony z zakonu z powodu swych studiów nad zakazanymi sztukami magicznymi. Mumia zaś była dawno temu czarnoksiężnikiem, Hyboryjczykiem z pewnego królestwa, które zostało zniszczone przez Nemedyjczyków, Aquilończyków oraz Argosseńczyków. Nazwa owego królestwa brzmiała Acheron, a jego stolica zwała się Python. Wiele wieków wcześniej lud Acheronu – Hyboryjczycy bardziej cywilizowani od swych sąsiadów na wschodzie i zachodzie – panował nad imperium, które obejmowało to, co później stało się południową Nemedią oraz Brythunią, większością Corinthii, większością Ophiru, zachodnim Koth i zachodnimi ziemiami Shemu, północnym Argos oraz wschodnią Aquilonią. Wraz z obaleniem i zniszczeniem Acheronu przez jego bardziej nieokrzesanych sąsiadów z zachodu jego największy czarnoksiężnik umknął do Stygii i mieszkał tam, aż został otruty przez stygijskiego kapłana Seta, Starego Węża. Potem został z mumifikowany za pomocą osobliwej sztuki, bez usuwania jakichkolwiek organów

wewnętrznych, a mumię umieszczono w ukrytej świątyni. Stamtąd, za namową konspiratorów, została ona wykradziona przez złodziei z Zamory. Imię nemedyjskiego barona brzmiało Amalric; brat króla miał na imię Tarascus; Aquilończyk roszczący sobie prawo do tronu miał na imię Valerius; imię kapłana brzmiało Orastes; imię czarnoksiężnika to Xaltotun. Valerius był lekkomyślnym młodym łotrem, wysokim, płowowłosym, drwiącym z siebie i wszystkiego innego, ale nadto odważnym wojownikiem. Był on dalekim krewnym aquilońskiego króla zgładzonego przez Conana Cimmeryjczyka, gdy ten ostatni obejmował tron Aquilonii. On też jako król wygnał Valeriusa, więc ten włóczył się po świecie jako żołnierz fortuny, aż knowania Amalrica ściągnęły go z powrotem. Miał pomóc konspiratorom w umieszczeniu Tarascusa na tronie nemedyjskim, wówczas oni wynieśliby jego na tron Aquilonii. Amalric był mocno zbudowany, ciemny, bezwzględny, snujący skryte projekty na własną rękę. Pragnął wynieść swe marionetki na ich trony, władać oboma, obalić obu i ostatecznie umieścić siebie na tronie zjednoczonych państw. Tarascus był niskim, ciemnym, młodym mężczyzną, przebiegłym, odważnym, zmysłowym, ale lalką w rękach Amalrica. Orastes był człowiekiem o rozległych horyzontach i miękkich, białych dłoniach; entuzjastą czarnych sztuk. Xaltotun, gdy został przywrócony do życia niezwykłymi inkantacjami, był człowiekiem wysokim, o zręcznych, silnych rękach, dziwnych, magnetycznych oczach oraz gęstych czarnych włosach. Wysłuchał ich przemowy, jako że wyjaśniali mu wszystko, co zaszło od jego śmierci, i zgodził się ich wspomóc. Powiedział jednak, że zanim zdoła odzyskać pełną moc magiczną, oni muszą skraść dla niego klejnot zwany Sercem Ahrimana, który

przechowywany był w sekretnym miejscu w królestwie Aquilonii. Został on mu odebrany, kiedy upadł Python, a on sam był zmuszony uciekać do Stygii. W głębi serca czarownik zaplanował przywrócenie pradawnego królestwa Acheronu. Potomkowie ludu Acheronu byli liczniejsi, niż przypuszczano, mieszkając w twierdzy ze wzgórz, we wspólnotach w wielkich miastach oraz rozsiani po całym królestwie jako kapłani, służący, sekretarze i skrybowie. Klejnot został skradziony, król Nemedii zamordowany przy użyciu czarnej magii i Tarascus trafił na tron. Potem armie Nemedii ruszyły przeciw Aquilonii. W swym namiocie w noc przed bitwą Conan Cimmeryjczyk miał dziwny sen, w którym wiele przeszłych zdarzeń z jego życia przewinęło się w skrócie raz jeszcze. Widział dziwne postaci i zdarzenia i zbudził się spocony od strachu, by wezwać swych dowódców. Nadchodził brzask i wojska zaczęły się przemieszczać. W namiocie króla pojawiła się dziwna zakapturzona postać i Conan został rażony niezwykłym paraliżem. Nie mógł jechać w bój, więc sprowadzono zwykłego żołnierza, który z grubsza go przypominał, i włożono mu pancerz króla, i wyruszył on pod wielkim sztandarem z lwem. Poległ jednak, walcząc wspaniale, a wojsko aquilońskie zostało rozbite i dotknięte gwałtowną klęską. Conan, leżąc bezradnie w swym namiocie, został zaatakowany przez nemedyjskich rycerzy, jego straż wycięto. Walczył mieczem, utrzymując się w pionie dzięki maszтови namiotu, dopóki Xaltotun nie przemógł go magią. W tajemnicy złożono go do rydwanu i w tajemnicy przewieziono do stolicy Nemedii, gdyż Amalric nie chciał, aby dowiedziano się, iż to nie król był tym, kto poległ wcześniej. Conan został wrzucony do lochów pod pałacem, gdzie zaatakował go olbrzymi małpolud.

Jednak dziewczyna z orszaku Tarascusa dała mu sztylet, którym zabił on bestię, i uciekł. Wszedłszy do pałacu Tarascusa, aby go zabić, Conan ujrzał, jak król daje pewnemu człowiekowi jakiś klejnot oraz worek złota i rozkazuje mu zabrać kamień i rzucić go do morza. Klejnot ten – jakkolwiek [sic!] Conan o tym nie wiedział – był Sercem Ahrimana, które Tarascus wykradł czarnoksiężnikowi, ponieważ wystraszył się go i nabrał niejasnych podejrzeń co do zamiarów Xaltotuna. Conan ruszył na Tarascusa, lecz chybił, a potem, opuściwszy miasto, przedzierał się w kierunku granicy aquilońskiej. Dotarłszy do granicy, dowiedział się, że jego lud uznał go za zmarłego, że baroni rozpętali wzajemną wojnę i że Valerius, pojawiwszy się na granicy wschodniej z armią nemedyjską, pokonał wojsko posłane przeciw niemu przez baronów, zajął stolicę i został okrzyknięty królem przez gawiedź, która bała się obcej inwazji. Gunderland na północy i Poitain na południu utrzymały swą niepodległość, Gunderland częściowo, a Poitain w całości, a Conan obrał drogę ku południu, by dołączyć do hrabiego Trocera, swego kanclerza, który dzierżył przełęcz, jakie wiodły dalej, w kierunku równin Zingary. Najpierw wszak obrał drogę do stolicy, która znalazła się w rękach Valeriusa, ponieważ stara wiedźma w górach wschodniej Aquilonii przemawiała doń tajemniczo o Sercu Ahrimana i ukazała mu wizję w przejrzystym, swobodnie unoszącym się dymie; wizję zamoriańskich złodziei grabiących stygijską świątynię i kradnących gorejący klejnot z podziemnej pieczary pod miastem. Tam też Conan dotarł i został podjęty oraz zyskał wsparcie swych wiernych wasali, a udawszy się do pieczary, odkrył, że klejnot zniknął, i stoczył upiorną walkę z niewidocznym stworzeniem, które strzegło tego miejsca. Uciekając, pojął w końcu,

że to Serce Ahrimana było kamieniem, jaki Tarascus dał tamtemu człowiekowi; pozyskał wszak konia i zbroję i wyruszył do Poitain, gdzie odkrył, iż Trocero utrzymuje górskie przełęcze, sprzeciwiając się Valeriusowi. Tymczasem Xaltotun nie dowiedział się o utracie swego klejnotu, ponieważ trzymał go w złotej skrzynce zamkniętej na zawsze, i bez wytchnienia pracował nad swą magią. Tylko wyższa magia wymagała Serca Ahrimana. Conan został jednak rozpoznany w stolicy i pewni ludzie pojechali za nim, podczas gdy inni ruszyli do Nemedii z wieściami. Na przełęczach Conan stoczył bitwę i wraz z Poitainianami pokonał Nemedyjczyków. Ale Trocero nie miał dość wojowników do najechania Aquilonii i pokonania Nemedyjczyków, a baronowie, którzy poddali się władzy Valeriusa, oraz jego lud bali się magii Xaltotuna. Przekonywali oni Conana do pozostania i władania nimi jako odrębnym królestwem i do podbicia Zingary, lecz on zdecydowany był podążyć za człowiekiem, który zabrał Serce Ahrimana. Pojechał w kierunku portów Argos.

Notatki do Godziny Smoka

DZIEŃ PIERWSZY. (DZIEŃ BITWY.)

Conan nad Valkią. Amalric, Tarascus, Valerius i Xaltotun nad Valkią. Orastes pod Belverusem. Prospero w drodze nad Valkię.

Tej nocy.

Conan był w drodze do Belverusu z Xaltotunem. Amalric, Tarascus oraz Valerius obozowali nad Valkią, ich jazda ściga po wzgórzach uciekających Aquilończyków. Prospero wycofywał się w kierunku Tarantii. Orastes był w Belverusie.

DZIEŃ DRUGI.

Conan został jeńcem w Belverusie. Xaltotun i Orastes byli w Belverusie. Tarascus był w drodze z nad Valkii do Belverusu. Amalric oraz Valerius maszerujący przez wzgórza w kierunku Tarantii. Prospero zbliżający się do Tarantii.

Tej nocy.

Conan był jeńcem w Belverusie i uciekł. Orastes i Xaltotun byli w Belverusie, Xaltotun śpiący snem czarnego lotosu ze Stygii. Tarascus osiągnął Belverus. Prospero przybył do Tarantii i odkrył, że wieści o bitwie go poprzedziły. Amalric oraz Valerius obozowali na równinach Aquilonii, pustosząc okolice.

DZIEŃ TRZECI.

Conan przekroczył granicę i schronił się na pogórzcu. Tarascus, ranny, był w Belverusie z Xaltotunem i Orastesem. Królewski giermek ścigał Conana na wzgórzach. Tego wieczoru Prospero ewakuował Tarantię. O zachodzie słońca Amalric i Valerius wkroczyli do miasta bez oporu.

Tej nocy.

Conan spał w chacie Zelaty, wiedźmy. Tarascus i Orastes wyruszyli z Belverusu do Tarantii. Amalric koronował Valeriusa na króla Aquilonii w wielkiej sali koronacyjnej w Tarantii. Xaltotun pozostał w Belverusie.

DZIEŃ CZWARTY.

Conan przedostał się drogą przez wzgórza w kierunku Tarantii. Xaltotun pozostał w Belverusie. Tarascus i Orastes byli w drodze do Tarantii. Amalric i Valerius byli w Tarantii, odbierając hołd.

Tej nocy.

Conan przedostał się drogą przez spustoszone równiny w kierunku Tarantii. Xaltotun pozostał w Belverusie. Tarascus i Orastes byli w drodze do Tarantii. Amalric i Valerius zostali w Tarantii.

DZIEŃ PIĄTY.

Conan, pod wieczór, dotarł na odległość wzroku od Tarantii. Xaltotun pozostał w Belverusie. Amalric z Nemedyczykami właśnie pustoszył okoliczne prowincje. Tarascus i Orastes przybyli do Tarantii. Valerius pozostał w Tarantii, odpłacając za dawne urazy i konfiskując własność.

Xaltotun opuścił Valkię o zachodzie słońca i przybył do Belverusu przed świtem. Podróżował szybciej, niż mógłby podróżować przeciętny człowiek. To oznacza, iż przebył tę drogę w mniej więcej dwanaście godzin. Przeciętnemu rydwanowi zajęłoby to piętnaście, przy zmianach koni. Człowiek na dobrym koniu mógłby przebyć to w czternaście godzin. Jeśli Conan opuścił Belverus po północy, powiedzmy, że w drodze znalazł się o godzinie pierwszej, i gnał jak diabli, jechał sześć godzin, kiedy słońce wstało. Wciąż miałby do przejechania osiem godzin. Odpoczął przez godzinę, co sprawiło, że wybiła ósma. Byłoby około godziny czwartej, kiedy dotarłby na wzgórza. W rzeczywistości obierałby większe skróty, ponieważ opuścił drogę, która wiła się w stronę przełęczy między wzgórzami. Belverus leżał bliżej granicy niż Tarantia.

Conan przemieszczał się wzdłuż doliny Shirki, o dzień i noc forsownego marszu z Tanasulu; Amalric mógł dotrzeć do Tanasulu po marszu trwającym niewiele ponad dzień. Gundermani posuwali się wzdłuż doliny Khor, około trzech dni marszu od Tanasulu; Tarascus był w Galparanie, o dzień i noc marszu do Przełęczy Sokołów oraz nieco ponad dzień marszu z Tanasulu.

DZIEŃ PIERWSZY:

Tarascus w Galparanie;

Amalric, Valerius oraz Xaltotun w obozie blisko Tanasulu;

Conan ku południowemu wschodowi posuwający się wzdłuż Shirki;

Gundermani na północ od wzgórz goraliańskich;

Noc pierwsza:

Tarascus w Galparanie;
Pozostali w obozie; Xaltotun stosujący magię;
Conan podchodzący pod Tanasul;
Gundermani przemieszczający się ku południu w stronę
Tanasulu;

DZIEŃ DRUGI:

O świcie posłaniec dotarł do Tarascusa, który zwinął obóz i dotarł z konnymi do obozu Amalrica o zachodzie słońca; piesi przybyli kilka godzin później;

Amalric i jego towarzysze zalegli w obozie, czekając na Tarascusa;

Conan zbliżający się do Tanasulu;

Gundermani maszerujący przez wzgórza goraliańskie;

Noc druga:

Tarascus, Amalric, Valerius oraz Xaltotun zalegli w obozie na równinie;

Późno tej nocy Conan dotarł do Tanasulu, przeprowił się i rozbił obóz po drugiej stronie.

Gundermani stali obozem bardziej z tyłu, na wzgórzach.

DZIEŃ TRZECI:

Tarascus i wojsko nemedyjskie maszerujące w kierunku Tanasulu dowiedzieli się, że Conan już wcześniej się przeprowił; wypuścił się naprzód ze swą konnicą i przybył pod Tanasul akurat o zmierzchu;

Conan stał obozem na wzgórzach goraliańskich;

Gundermani parli szybko ku południu;

Noc trzecia:

Nemedyjczycy obozowali na równinie przy rzece;
Conan obozował na wzgórzach;
Gundermani dotarli do jego obozu po zapadnięciu nocy.

Część dwóch nocy

Dotarcie do Tanasulu zabrało Conanowi dzień i noc marszu;

Conan maszerował przez cały pierwszy dzień aż do późna w nocy; obozował owej pierwszej nocy i wyruszył przed świtem; maszerował cały drugi dzień; dotarł do Tanasulu późno drugiej nocy. Czas: cały jeden dzień marszu i część dwóch nocy; zabrałoby to innemu człowiekowi dwa dni i dwie noce.

Pierwszego dnia i nocy Amalric zaległ w obozie, czekając na Tarascusa, któremu dostanie się tam zajęło cały dzień. Sam mógł osiągnąć Tanasul po dniu forsownej jazdy; wraz z wojskiem wymagało to dnia i części nocy.

Gdyby wyruszył, tak jak chciał, dotarłby do Shirki pierwszy, lecz Xaltotun chciał, aby zaczekał na Tarascusa.

Szkic bez tytułu (Wiedźma się narodzi)

Historia zaczyna się od Taramis, królowej Khauranu, przebudzonej w swej komnacie na widok punktu światła jaśniejącego na pokrytej aksamitnymi gobelinami ścianie. W tym punkcie ujrzała głowę swojej siostry Salome, którą wywieziono na pustynię, na śmierć, krótko po urodzeniu, ponieważ miała na gorsie znamię wiedźmy – krwistoczerwony półksiężyc. Podczas rozmowy, jaka nastąpiła potem, wyjaśnione zostało, że ponieważ wieki wcześniej królowa Khauranu spółkowała z przedadamowym demonem, co pewien czas w królewskiej rodzinie będzie rodzić się wiedźma. Salome powiedziała, że wiedźmy imieniem Salome zawsze były i zawsze będą. Ona sama, bliźniacza siostra Taramis, została wywieziona na pustynię, lecz odnalazł ją khitajski mag podróżujący w karawanie ze Stygii. Rozpoznał on znamię wiedźmy i zabrał ją, a potem wychował, szkoląc w wielu czarnych sztukach. Teraz powróciła, by przejąć tron. Jej mistrz ją wygnał, ponieważ brakło jej kosmicznej perspektywy prawdziwego czarowania, była zwykłą wszetecznicą czarnych sztuk. Zadurzyła się w kothiańskim awanturniku, jaki dowodził armią zawodowych wojowników, Shemitów z zachodnich miast Shemu. Człowiek ten przybył do Khauranu i poprosił o rękę królową Taramis. W owym czasie obozował on

wraz ze swymi wojskami pod murami miasta. Bramy były uważnie strzeżone, gdyż Taramis nie ufała temu człowiekowi. Salome powiedziała Taramis, że weszła do pałacu potajemnie, uśpiwszy wszystkie sługi królowej. Powiedziała jej, że ona, Taramis, zostanie wtrącona do lochu, a Salome będzie władać w jej pałacu. Właśnie wówczas wszedł ów Kothianin i Salome cynicznie przekazała swą siostrę w jego ręce, aby została przez niego zgwałcona, podczas gdy ona sama wyszła, żeby wydać żołnierzom przy bramach rozkazy wpuszczenia Shemitów.

Następną sceną było to, jak młody żołnierz bandażowany był przez ukochaną, przerażoną, gdy powiedział jej o zdradzie. Królowa Taramis najwyraźniej wydała rozkazy swym osłupiałym żołnierzom, iż ludzie Shemity mają zostać wpuszczeni do miasta. Tak też uczyniono, a ona oznajmiła, że zrobi go królem, by panował u jej boku. Żołnierze i ludność się zbuntowali, lecz w mieście pozostała tylko gwardia. Ta została wycięta przez Shemitów, z wyjątkiem dowódcy gwardii, Conana Cimmeryjczyka, który sprzeciwił się wierze w to, że Taramis to Taramis. Przysiągł, że to jakiś diabeł w jej postaci, i walczył zaciekle, nim go przemogli. Chłopak rzekł, iż Kothianin ukrzyżował go za murami miasta. Tak się stało; Conan odpędził sępy swymi zębami i przyciągnął uwagę wodza bandytów, który prowadził zwiad w pobliżu murów w nadziei na łup. Był to Olgerd Vladislav, Zaporoskanin czy też *kozak*, który przywędrował ze stepów i usadowił się między koczowniczymi plemionami shemickimi z pustyni. Uwolnił on Conana i wziął do swej bandy po okrutnym sprawdzianie wytrzymałości Cimmeryjczyka.

W tym czasie – jak pokazywał list odwiedzającego Khauran

uczonego – Salome, podająca się za Taramis, zniosła kult Ishtar, zapełniła świątynie nieprzyzwoitymi obrazami, wprowadziła ofiary z ludzi i umieściła w świątyni obrzydliwego potwora z zewnętrznych otchłani. Młody żołnierz, przekonany o tym, że Taramis została zabita albo uwieczniona i że w jej miejsce panuje oszustka, nawiedzał pałac i więzienia przebrany za żebraka, a Salome, która, chcąc udręczyć siostrę okazaniem głowy jej zaufanego doradcy, rzuciła tę owemu żebrakowi, aby ją usunął, bezwiednie ujawniła tajemnicę. Chłopak pospieszył do Conana z wieściami. Conan w tym czasie, pragnąc zemsty na Kothianinie, zebrał wielką armię koczowników. Olgerd planował zdobycie i ograbienie Khauranu, lecz Conan pozbawił go władzy i ogłosił własny zamiar ocalenia Taramis i umieszczenia jej z powrotem na tronie.

Młody żołnierz uratował Taramis z więzienia, ale oboje zostali zepchnięci przez Salome do świątyni. Jednak Conan pokonał Kothianina, wpadł do miasta i zgładził potwora. Kothianin został ukrzyżowany, a Taramis osadzona z powrotem na tronie.

Dodatki

Rodowód hyboryjski

Część II

Zapiski na temat tworzenia historii o Conanie

Patrice Louinet

Rok 1933 zakończył się dla Roberta E. Howarda dużo lepiej, niż zaczął. A zapowiadał się katastrofalnie. W 1932 roku wydawnictwo Fiction House wstrzymało wydawanie „Fight Stories” oraz „Action Stories”, dwóch czasopism, które płaciły skromnie, ale regularnie, zapewniając Teksańczykowi skąpy, jednakże systematyczny dochód. Pewną kompensatę stanowiło pojawienie się „Strange Tales” – bezpośredniego konkurenta „Weird Tales” – które płaciło dobrze i raczej po przyjęciu tekstu niż po publikacji, lecz pod koniec 1932 roku Howard dowiedział się, że ten magazyn również wychodzi z obiegu. Kiedy zaczął się rok 1933, został mu tylko jeden rynek: czasopisma Farnswortha Wrighta – docierający się kwartalnik „Magic Carpet Magazine” oraz „Weird Tales”. Pozostało mu zatem robić tylko jedno – przez kilka tygodni Howard dosłownie zalewał „Weird Tales” tekstami, mając jeden jasny cel: sprzedać tyle, ile tylko się da. Pośród przedkładanych tekstów znalazła się większość poślednich opowieści o Conanie, napisanych widocznie na potrzeby szybkiej sprzedaży. Nastąpiła

dopiero wiosna 1933 roku, kiedy Howard, mający imponującą liczbę utworów o Conanie oczekujących na publikację w magazynie Wrighta (*Xuthal o zmroku, Królowa Czarnego Wybrzeża, Sadzawka czarnych ludzi, Stalowe cienie pod księżycem* oraz *Czarny kolos*), zaczął poświęcać uwagę budowaniu innych rynków. Wynajawszy jako agenta Otisa Adelberta Kline'a, Teksańczyk spędził większą część kilku kolejnych tygodni, usiłując sprzedać trochę więcej historii bokserskich i próbując się w gatunkach, które stanowiły dla niego nowość: opowieściach detektywistycznych i westernach. Zaczął również poważnie traktować kwestię praw do swoich tekstów i badać możliwości wydawania zbiorów opowiadań w Anglii.

W październiku 1933 roku Howard powrócił do Conana. „Weird Tales” opublikowało już trzy z zaległych pięciu utworów z tego cyklu, jako że stawało się coraz jaśniejsze, iż postać ta odnosi powszechny sukces. *Diabeł w stali*, ukończony około października 1933 roku, był raczej niezbyt udanym osiągnięciem autora, który nie napisał niczego o Conanie od sześciu miesięcy i czerpał teraz pełnymi garściami z wcześniejszego tekstu *Stalowe cienie pod księżycem*. Obie historie wskazują na twórczy dług, jaki Howard zaciągnął u Harolda Lamba, filara „Adventure”, magazynu, który wywarł prawdopodobnie większy wpływ na Teksańczyka niż „Weird Tales”.

O ile Howard szybko stał się entuzjastą „Weird Tales” – wiemy, iż dowiedział się o istnieniu tego czasopisma mniej niż sześć miesięcy po tym, jak po raz pierwszy pojawiło się na stoiskach z prasą – o tyle jego pierwszą miłością była niewątpliwie literatura przygodowa, o wiele bardziej aniżeli opowieści niesamowite. Odkrycie „Adventure” przez Teksańczyka było wspomnieniem

żywym i pielęgnowanym: „...czasopisma były jeszcze trudniej dostępne niż książki. Było to po tym, jak przeprowadziłem się do «miasta» (mówiąc względnie). Wtedy zacząłem kupować magazyny. Dobrze pamiętam pierwszy, jaki nabyłem. Miałem piętnaście lat. Kupiłem go letnim wieczorem, kiedy dręczące mnie szalone wzburzenie nie dawało mi usiedzieć w spokoju, i z miejsca wyczytałem wszystko do cna. Nigdy nie zapomnę dreszczu, jakiego mi dostarczył. Jakoś nigdy wcześniej nie przyszło mi do głowy, że mógłbym nabyć jakiś magazyn. To był «Adventure». Nadal mam ten egzemplarz. Potem kupowałem «Adventure» przez wiele lat, choć czasami zapłata zań uszczuplała moje skromne środki. Wychodził trzy razy na miesiąc, zatem... skąpiłem i oszczędzałem od jednego wydania do następnego. Kupowałem egzemplarz i brałem go na kredyt, a kiedy wychodził kolejny numer, płaciłem za ten, za który byłem już wcześniej dłużny, i kolejny brałem na kredyt, i tak dalej”.

W 1921 roku, kiedy odkrył go Howard, „Adventure” był już dobrze ugruntowanym magazynem, jednym z wiodących, jeśli nie wiodącym czasopismem beletrystycznym swoich czasów, goszczącym regularnie na łamach takie talenty, jak Talbot Mundy czy Harold Lamb. Arthur D. Howden-Smith dostarczał mu opowieści o wikingach awanturkach, a Rafael Sabatini zaszczycił magazyn swą obecnością po raz pierwszy właśnie owego lata 1921 roku. Autorzy ci wywarli na Howarda dużo większy wpływ niż jacykolwiek pisarze z „Weird Tales”. Jego zainteresowanie „Adventure” wybiegało poza zwyczajne czytanie tekstów – dwa z jego listów opublikowano w nim w 1924 roku, a nadto okresami korespondował regularnie z R.W. Gordonem, który odpowiadał za

dział pieśni ludowych. Najwyraźniej to „Adventure” wzbudził w Howardzie pragnienie, by zostać pisarzem: „Napisałem pierwszy tekst, kiedy miałem piętnaście lat, i wysłałem go... do «Adventure», jak sądzę. Trzy lata później zdołałem wejść do «Weird Tales». Trzy lata pisania bez sprzedaży jednej linijki. (Nigdy nie zdołałem sprzedać niczego do «Adventure»; przypuszczam, że dlatego, iż moje pierwsze podejście załatwiło mnie na amen!)”. Zdania te zostały spisane latem 1933 roku, na kilka tygodni przedtem, nim Teksańczyk miał zacząć pisać literaturę przygodową. Pod na wpół zabawnym, na wpół poirytowanym tonem, którego używa, można wyczuć frustrację, iż nigdy żaden z jego tekstów nie został opublikowany w tym magazynie. Całość zachowanej wczesnej twórczości Howarda z lat 1922–1923 można najtrafniej opisać jako podejmowane przez nastolatka autentyczne próby naśladowania tego, co czytał w „Adventure”. W ten sposób zapoczątkował – lecz nigdy nie ukończył – tuzin opowieści z Frankiem Gordonem w roli głównej. W jego przygodach czerpał z utworów Talbota Mundy’ego, a pseudonim – „El Borak, the Swift” – zapożyczył od Sabatiniego.

Znamienne jest to, iż kiedy w październiku 1933 roku Howard rozpoczął na nowo pisać historie przygodowe, proces ten zapoczątkował wskrzeszeniem równie nieprawdopodobnym jak to Xaltotuna w *Godzinie Smoka* – protagonistą jego pierwszych dojrzałych opowieści przygodowych został Francis X. Gordon, „El Borak”, udoskonalona wersja bohatera stworzonego, gdy miał lat kilkanaście. W ten oto sposób nie badał nowego gruntu, lecz spinał dziesięcioletnią przerwę. W drugim z tekstów o Gordonie, *The Daughter of Erlik Khan*, bohater penetruje miasto Yolgan, wyciosane

w tajemniczej Górze Orientalnej, gdzie jako więzień trzymana jest piękna Yasmeena. W kolejnym utworze Teksańczyka z cyklu o Conanie, *Ludziach Czarnego Kręgu*, tajemnicza Góra Orientalna zowie się Yimsha i to stamtąd Cimmeryjczyk ratuje kolejną piękną Yasmineę. Jak wykrzyknął Howard zaraz po lekturze pierwszych powieści Mundy'ego w 1923 roku: „Yasmini? To jakaś literacka bohaterka, nieprawdaż?”.

O wpływie Talbota Mundy'ego na ten konkretny tekst o Conanie napisano wiele, lecz o ile na temat materiałów źródłowych Howarda do tego opowiadania będzie jeszcze mowa, o tyle twórczość Mundy'ego prawdopodobnie nie jest ich częścią. Wydaje się bardzo możliwe, iż badania i zbieranie informacji przez Howarda do jego „wschodnich przygód” wyposażyły w tło także nowe opowieści o Conanie. Na przykład w *Diabie w stali* zmienił on imię króla Turanu z Yildiza (w *Stalowych cieniach pod księżycem*) na Yezdigerda. Większość akcji tego tekstu rozgrywa się na wyspie Xapur i jest całkiem prawdopodobne, że miana te zostały zaczerpnięte od autentycznego Yezdigerda – zdobywcy i króla perskiego – oraz Shapura, jego ojca. Yezdigerd powrócił w *Ludziach Czarnego Kręgu*, a z nim kilkanaście nowych elementów geograficznych, które Howard dodał w tym tekście do świata hyboryjskiego, takich jak góry Himeliany, Afghulistan oraz Vendhya.

Ludzie Czarnego Kręgu byli jak dotąd najdłuższym utworem o Conanie; to prawdziwa i udana nowela, a nie zwyczajne „długie opowiadanie”. Historia o tej długości nie mogła opierać się wyłącznie na barkach Cimmeryjczyka, a Yasmina okazała się mile widzianą odmianą po drżących i uległych kobietach z

wcześniejszych tekstów. Niemniej jednak to Khemse – rozerwanego między lojalnością wobec swych mistrzów a miłością do Gitary, między pragnieniami duchowymi a przyziemnymi – uczynił Howard pamiętnym bohaterem epizodycznym. A to dlatego, że zgodnie z historiami zgłębiającymi Wschód i Zachód, *Ludzie Czarnego Kręgu* stanowią studium dwoistości – brat i siostra, jedno martwe, drugie żywe; dwie skrajnie kontrastowe pary: Conan i Yasmina, a w opozycji: Khemsa i Gitara (dwie pary, w których rywalizacja o władzę stanowi ważny element związku). Jednakże o ile ci pierwsi są władcami (kolejno: górski wódz i królowa), drudzy pozostają jedynie sługami. Przeciwnieństwo między prymitywnymi góralami a Wróżami z Yimshy, innymi słowy między sferą cielesną a duchową, w sposób oczywisty znalazło pożywkę w prowadzonej cały rok debacie nad tym tematem, jaka zajmowała Howarda i H.P. Lovecrafta przez większość 1933 roku.

Jeśli utwór ten przywodzi czasem na myśl upodobanie Mundy'ego do mistycyzmu, to Howard prezentuje całkowicie własne jego ujęcie. W rzeczy samej, prawdopodobnie Teksasńczyk w ogóle nie musiał zaglądać do Mundy'ego, by odnaleźć inspirację dla mistycyzmu – sam nurzał się w nim od lat. Co więcej, kiedy zeskrobać z tego tekstu orientalne dekoracje, ukaże się historia dziwnie styczna w wielu miejscach z dziejami rodziny pisarza. Jego ojciec, dr Isaac M. Howard, przez całe życie interesował się mistycyzmem, jogą oraz hipnotyzmem. Regularnie stosował hipnozę wobec swoich pacjentów, niekiedy w obecności młodego Roberta E. Howarda, i opatrywał krytycznymi komentarzami swoje egzemplarze *The Hindu Science of Breath* oraz *Fourteen Lessons in Yogi Philosophy* autorstwa Yogiego Ramacharaki. Jeśli Howard

potrzebował dokumentacji na temat wschodniego mistycyzmu, nie musiał ponownie czytać Mundy'ego, jako że posiadał dużo lepsze źródło informacji pod własnym dachem. Początkowa scena – zrelacjonowana śmierć brata Yasminy na jej rękach – to kolejny element uderzająco autobiograficzny. Na polu literatury skłania ona do porównań z kilkoma innymi jego tekstami, w szczególności z *Dermod's Bane*, w którym pewien człowiek doznaje niewymownych cierpień z powodu śmierci swej siostry bliźniaczki. W utworach Howarda bracia i siostry często muszą się rozdzielić i zazwyczaj dzieje się to w bolesnych okolicznościach. Powód takowej obsesji może w prostej linii stanowić domniemane (aczkolwiek niepotwierdzone) poronienie, jakiego doznała jego matka w 1908 roku, kiedy miał on dwa lata. Zachęca nas to do tego, by zakreślić podobieństwa między Yasminą a Howardem, obojgiem doświadczonych utratą rodzeństwa. Jednakże, jak to zwykle w utworach Tekszańczyka, owe elementy biograficzne wkrótce zostały rozmyte i zniekształcone w strukturze opowieści, jaką musiał nadać po to, żeby sprzedać ją Farnsworthowi Wrightowi. Z tych wszystkich powodów *Ludzie Czarnego Kręgu* są tekstem o Conanie szczególnie satysfakcjonującym. Opowieść ta funkcjonuje bardzo dobrze w warstwie eskapistycznej i daleko w tyle pozostawia fabuły stanowiące przeciętną pulpową pożywkę, zarazem wyraźna głębia oraz tekstura we wszystkich jej aspektach ustawia ją w gronie trzech czy czterech najlepszych utworów o Conanie, jakie na tę chwilę Howard napisał.

Farnsworth Wright musiał być chyba pod wrażeniem tego tekstu, jako że między jego przyjęciem a publikacją pierwszego odcinka minęło niecałe pięć miesięcy. Nie był już jednakże tak bardzo

zadowolony z rosnącej swobody, z jaką Howard traktował dialogi oraz jednoznaczność pewnych sytuacji, i w kilku przypadkach ostro stonował niektóre seksualne aluzje czy przekleństwa Cimmeryjczyka.

U początków stycznia 1934 roku, kiedy pisał *Ludzi Czarnego Kręgu*, Howard otrzymał w końcu wiadomość na temat zbioru opowiadań, jaki przedłożył w Anglii Denisowi Archerowi w czerwcu roku ubiegłego. Odpowiedź nie była pozytywna. Co prawda wydawca uznał teksty za „nadzwyczaj ciekawe”, ale to nie wszystko: „Trudnością, jaka powstaje wokół publikacji w postaci książki, jest negatywne nastawienie, właśnie teraz u nas bardzo silne, do zbiorów opowiadań, zatem zmuszony jestem, choć z wielką niechęcią, zwrócić panu teksty. Załączam jednakowoż sugestię, iż kiedy tylko będzie pan w stanie stworzyć pełnowymiarową powieść na jakieś 70–75 tys. słów [angielskich – przyp. tłum.], utrzymaną w klimacie opowiadań, zaprzyjaźniona spółka Pawling and Ness Ltd., która obsługuje biblioteczne wypożyczalnie i może sprzedać pierwsze wydanie w nakładzie 5 tys. egzemplarzy, opublikuje ją bardzo chętnie”.

Z wyjątkiem częściowo autobiograficznej *Post Oaks and Sand Roughs* (1928) Howard nigdy wcześniej nie ukończył powieści, choć właśnie wykazywał, iż uczy się tej sztuki w *Ludziach Czarnego Kręgu*, których ostateczna wersja liczy 31 000 słów [26 500 polskich – przyp. tłum.]. W obliczu wydawcy, któremu udzielenie odpowiedzi zajęło sześć miesięcy, odrzucającego zbiór opowiadań, o jaki prosił w pierwszym rzędzie, wielu innych pisarzy na tym zakończyłoby swe wysiłki. Jednakowoż w dalszej części tego samego miesiąca Howard donosił Augustowi Derlethowi: „Angielska firma, po tym

jak przetrzymywała zbiór moich opowiadań całymi miesiącami, ostatecznie odesłała mi go, stwierdzając, iż panuje u nich negatywne nastawienie do takich zbiorów – opowiadań, znaczy się – i zasugerowała, żebym napisał dla nich pełnowymiarową powieść. Ja jednak nie odnoszę się do tego z nadmiernym entuzjazmem, gdyż tak bardzo się zawiodłem. Naturalnie, zrobię, co będę mógł”.

Howard prawdopodobnie rozpoczął pracę nad powieścią w lutym 1934 roku, lecz porzucił tę historię kilka tygodni później.

Almuric – gdyż z wysokim prawdopodobieństwem to jest powieść, jaką Howard zaczął pisać dla brytyjskiego wydawcy – została porzucona w trakcie pracy, kiedy stworzył jej pierwszą wersję i połowę drugiej. Miała to być trzecia i ostatnia opowieść Howarda o Yasminie/Yasmeenie, po *The Daughter of Erlik Khan* i *Diable w stali*. Podobnie jak jej imienniczki, ta Yasmeena także mieszkała w niezwyklej górze – Yuthli. Dlaczego Howard uporczywie trzymał się tego, że jego Yasmeeny/Yasminy mieszkają w górach o nazwie na literę „y”, prawdopodobnie pozostanie tajemnicą. Powieść wchłonęła kilka kluczowych scen z opowiadań, które pierwotnie były już przedkładane wydawcy. Przykładowo, uskrzydleni Yagowie z *Almurica* ostatecznie zawdzięczają coś skrzydlatym stworom z tekstu o Solomonie Kanie, *Wings in the Night*. Howard naprawdę upewniał się, iż jego powieść będzie „utrzymana w klimacie opowiadań”, jakie uprzednio przedkładał. Niemniej jednak Howard pozostawił *Almurica* niedokończonego z powodów, jakie pozostają zagadkowe. (Powieść będzie powstawać przewlekłe, przez kilka lat, zanim zostanie ostatecznie opublikowana na kartach „Weird Tales” po śmierci Howarda,

dokończona przez innego autora).

Po zaniechaniu *Almurica* Howard prawdopodobnie zdał sobie sprawę, iż jedynym logicznym wyjściem będzie uczynienie głównym bohaterem swej powieści Conana. Sprzedaż *Ludzi Czarnego Kręgu* pod koniec lutego albo w marcu 1934 roku pokazała mu, że potrafi z powodzeniem pisać obszerniej o tej postaci. Co znacznie ważniejsze, umiejscowienie – epoka hyboryjska – oraz sam protagonista zaprzętała bardzo mocno myśli Teksańczyka i mało, bądź wcale, trzeba było wkładać pracy w budowę tła dla zamyślanej powieści. Na koniec wreszcie, utwory o Conanie zostały również włączone do pierwszej partii opowiadań wysłanej do Archera – przedkładałby zatem materiał jeszcze bardziej „utrzymany w klimacie” tego, co już wcześniej zaproponował brytyjskiemu wydawcy.

Zachowany szkic oraz dwudziestodwujęciostronicowa wersja owej pierwszej próby zmierzenia się z Conanem są intrygujące, by rzecz oględnie, stanowią ostre odejście od opowiadań o Cimmeryjczyku. Ta wersja „o Tombalku” zaczęła powstawać i została porzucona po tym, jak Howard ukończył *Ludzi Czarnego Kręgu* i zaniechał *Almurica*, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa w połowie marca 1934 roku. Conan nie jest protagonistą tej historii; rola ta spada na Amalrica (którego imię przywodzi na myśl *Almurica*). Czytając szkic i pierwszą wersję, całkiem łatwo zauważyć, że nie było tu dość dobrego materiału, by zrobić z niego powieść. Po prawdzie, w ogóle niewiele tu dobrego materiału. Związek między pierwszą częścią utworu a tym, co miałoby się stać rozdziałami o Tombalku, jest mało przekonujący, a cała historia wyraźnie zmierza donikąd. Howard szybko to zrozumiał i także

porzucił tę opowieść, by rozpocząć pracę nad trzecią – ostatnią i udaną – próbą napisania powieści: *Godziną Smoka*.

Z dwóch poprzednich prac bardzo niewiele dało się ocalić. Z pozoru naprawdę bardzo mało wskazuje, iż owe trzy utwory spisane zostały w przybliżeniu w tym samym czasie. W *Godzinie Smoka* Conan pokrótce napomyka o nożu Ghanatasów, plemienia wspomnianego poza tym wyłącznie w niedokończonyj wersji o Tombalku; we wczesnej wersji powieści zostajemy powiadomieni, iż Conana nazywano niegdyś „Żelazną Ręką”, takim samym pseudonimem, jaki nosił Esau Cairn na planecie Almuric. W *Godzinie Smoka* pojawia się także wzmianka o „księciu Almuricu”, lecz może ona pochodzić raczej od jego imiennika w *Xuthalu o zmroku* – innego księcia, który dokonał swego losu w rękach Stygijczyków – aniżeli od powieści pod tym samym tytułem.

Jakkolwiek jeden passus z historii o Tombalku mógł w przedmiocie powieści stanowić dla Teksańczyka inspirację:

Jeden z ludzi, o twarzy gładkiej i niepomarszczonej, lecz o siwych włosach, powiedział:

– Aquilonia? Była jakaś inwazja... słydzeliśmy... król Bragorus z Nemedii... jak poszła wojna?

– Zostali odrzuceni – odpowiedział krótko Amalric, powstrzymując się od wzdrygnięcia. Dziewięćset lat minęło, odkąd Bragorus powiódł swych włóczników poprzez marchie Aquilonii.

To była odskocznia dla intrygi w *Godzinie Smoka* – najazd na Aquilonię dokonany przez jej sąsiada, Nemedię. Siedmiu tajemniczych jeźdźców zostało także prawdopodobnie przemienionych w powieści w czterech czarnoksiężników z Khitaju. Amra, przydomek Conana, kiedy był on piratem wśród czarnych korsarzy, również przeskoczył z niedokończonyj wersji do

powieści, a wątek rywalizujących królów jest oczywiście jej zasadniczym składnikiem. Sporo tego materiału wypełniło już tło jednego z wczesnych opowiadań o Conanie, *Szkarłatnej Cytadeli* – stanowiącej część partii tekstów wysłanych do Anglii – która prezentowała Conana jako Amrę oraz obejmowała inwazję (w tamtym przypadku Koth na Ophir). Wskrzeszenie Xaltotuna w wysokim stopniu przypomina Thugrę Khotana w *Czarnym kolosie*, choć ta konkretna opowieść nie znalazła się w pakiecie posłanym do Anglii w połowie 1933 roku.

Howard wiedział, co powinien uczynić z *Godziną Smoka* i jak będzie to robić. Jednocześnie przetwarzał kilka elementów ze swych wcześniejszych historii o Conanie i starał się zdobyć nowych odbiorców. Tym samym musiał zaprezentować możliwie jak najwięcej ze swej epoki hyboryjskiej i jej perspektyw potencjalnym nowym czytelnikom. Nie będzie miał też żadnych skrupułów przy przerabianiu niektórych elementów z wcześniejszych historii, jako że rynek brytyjski wyrażał niechęć do publikowania opowiadań. Czytelnik miałby oto sposobność zetknąć się ze Stygią, ekwiwalentami królestw afrykańskich za czasów epoki hyboryjskiej, a nawet rzucić okiem – za sprawą tajemniczych czarnoksiężników – na kraje na wschód od Vilayet w opowieści, która pozostaje jednakowoż skupiona wokół państw Hyboryjczyków, które są mu znane jako królestwa odpowiadające współczesnej Europie Zachodniej.

Wiele czasu upłynęło, odkąd Howard pisał o Conanie jako o królu, i można by się zastanawiać, dlaczego zdecydował się na powrót do wątku, jaki na długo zniknął z jego historii. Odpowiedź spoczywa prawdopodobnie kolejny raz w rynku, na który

skierowana była powieść. Odbiorca brytyjski był zawsze żywo zainteresowany tematem mitycznych królów, tak jak i sam Howard. Czyż w *Feniksie na mieczu* nie pisał o królu, który zwycięża w walce za pomocą magicznego miecza całkiem podobnego do Excalibura? Czyż w *Szkarłatnej Cytadeli* nie pisał, że król stanowi jedność ze swym królestwem, a ten, co zabija króla, przecina spiny królestwa? Czy król Conan dojrzał do tego, by przyznać się do pokrewieństwa z najsłynniejszym ze wszystkich celtyckich królów, Arturem?

W *Szkarłatnej Cytadeli* udaje się pojmać Conana przez zdradę, a jego ostateczne zwycięstwo jest głównie kwestią lepszej strategii wojskowej. W powieści paraliż Cimmeryjczyka jest odmiennego, ponadnaturalnego pochodzenia, a Howard kładzie nacisk na to, co dzieje się, gdy Xaltotun uniemożliwia Conanowi wzięcie udziału w bitwie. Przez paraliż Conana zasadnicza więź została zerwana przez magię. Conan został odcięty od armii i to był powód, jaki przywiódł ją do klęski. Jak krótko potem stwierdza Pallantides: „Tylko [Conan] mógłby poprowadzić nas dziś do zwycięstwa”. Wraz z pozorną śmiercią Conana, króla Aquilonii, jedność i potęgą Aquilonii znika. Jak wyzna później Cimmeryjczykowi, w słowach prawie powtarzających powiedzenie ze *Szkarłatnej Cytadeli*, pewien oddany mu człowiek: „Ty byłeś sznurem, który trzymał snop razem. Kiedy sznur przecięto, snop się rozsypał”. Tylko domniemana śmierć Conana umożliwia Valeriusowi zajęcie tronu: „Dopóki Conan żyje, stanowi zagrożenie, dla Aquilonii czynnik jednoczący” – oświadcza Tarascus. „Tylko w jedności tkwi siła” – zawtóruje mu później Cimmeryjczyk. Valeriusowi, mimo zwycięstwa militarnego, nie udaje się przywrócić jedności

królestwa i zyskać posłuchu ludu. Komentuje to Conan: „Jedną rzeczą jest przejąć tron z pomocą poddanych i władać nimi za ich przyzwoleniem, inną zaś ujarzmić obce państwo i zawiadywać nim za pomocą strachu”. Cimmeryjczyk jawi się tu prawowitym królem Aquilonii i tylko magia może pokonać jedność, jaka istnieje pomiędzy nim a jego ludem.

To nie Serce Ahrimana sprowadziło klęskę na Conana. Serce nie jest narzędziem zła. Hadrathus, kapłan Asury, potwierdza później, iż: „kiedy znajdzie się w rękach kogoś biegłego, moce ciemności nie zdołają mu się oprzeć. (...) Ono przywraca życie i zdolne jest życie zniszczyć. [Xaltotun] ukradł je nie po to, by użyć go przeciw swoim wrogom, ale żeby powstrzymać ich od wykorzystania go przeciwko niemu”. I konkluduje: „W nim spoczywa los Aquilonii”. Dlaczego w Sercu spoczywa los Aquilonii? Na początku powieści dowiadujemy się, iż klejnot ten „ukryty został w pieczarze pod świątynią Mitry w Tarantii”. Symbolika jest tu oczywista: Serce, jak sugeruje jego nazwa, zostało umieszczone w sercu, pośrodku królestwa. Co więcej, mitraizm jest podczas epoki hyboryjskiej najbliższym odpowiednikiem religii zorganizowanej, oficjalnym wyznaniem Aquilonii, jak również jednym z lepiej ukształtowanych kultów Hyboryjczyków, skutkiem czego jest jego „centralna” pozycja. Tarantia wymaga nieco baczniejszej uwagi. W *Szkarłatnej Cytadeli* stolica Aquilonii zowie się Tamar; Tarantią nazywana jest w powieści. Zmiany nazw u Howarda nie były „okropnym błędem”, za jakie mieli je niektórzy redaktorzy, lecz wynikiem starannego wyboru. Tarantia wywodzi się od Tary, mistycznej i politycznej stolicy Irlandii, uznawanej przez tamtejszych Celtów za serce ich królestwa. „Nie siądziesz ponownie na tronie, jeśli nie

odszukasz serca swojego królestwa” – mówi Zelata do Conana, na co ten odpowiada: „Masz na myśli miasto Tarantię?”. Serce staje się w ten sposób mistycznym kamieniem, który symbolizuje dokładnie centrum kraju, znakiem więzi, jaka jednoczy lud i ziemię z ich królem. Kiedy ta więź uległa przerwaniu, „Serce zniknęło z [tego] królestwa”. Konsekwencje dla ludu i kraju są natychmiastowe i opłakane:

tylko pogorzeliska i popioły wskazywały, gdzie wcześniej stały chaty i wille. (...) Rozległe pokłose spustoszenia przecinało kraj od stóp pogórza ku zachodowi. Conan kłął, kiedy przejeżdżał po poczerniałych połaciach, które wcześniej były żyznymi polami, i widział szczyty sterczących na tle nieba wypalonych do cna domów. Przemieszczał się po pustej, opuszczonej ziemi niczym duch z zapomnianej, dawno minionej przeszłości.

Wszystko to jest idealnie spójne, gdyż w opowieściach o Graalu kraj staje się także ziemią bezpłodną, jałową i od tej chwili król nie może już należycie rządzić swym królestwem. Tym samym konsekwencje porażki Conana poniesionej za sprawą działań spiskowców wychodzą daleko poza pojmanie i pozbawienie Cimmeryjczyka wszelkich środków do życia. Problem *Godziny Smoka* stanowi to, iż Conan najpierw wydaje się nieświadom mistycznej więzi, która łączy go z krajem. Jego chęć odzyskania tronu z rąk wrogów jest od początku skazana na klęskę i nawet najbardziej lojalni poddani odmawiają pójścia za nim w coś, co uważają za przedsięwzięcie samobójcze. Dopiero gdy Conan wszystko zrozumie, będzie mógł rozpocząć poszukiwania: „Jakimże głupcem byłem! Serce Ahrimana! Serce mego królestwa! Odszukaj serce swego królestwa, mówiła Zelata”.

I w ten to sposób niemalże głównym motywem fabuły, która ujawnia się w powieści Howarda, jest poszukiwanie, a dokładniej

poszukiwanie podobne do arturiańskiego – Graala. W tle legendarium arturiańskiego skrywa się obsesja Celtów na punkcie wspólnego króla, którego w ujęciu historycznym nigdy nie posiadali, jednego, który miałby zjednoczyć plemiona przeciwko wspólnym wrogom. Król ów, *rex*, przeciwieństwo rzymskiego pojęcia *imperator*, stały przedstawiciel mocnej, scentralizowanej władzy, miał odgrywać przez większość czasu rolę dowódcy wojskowego. A to, co mówi nam Howard, stanowi dokładnie, iż poszukiwanie Serca przez Conana jest poszukiwaniem idealnej drogi do wypełnienia jego obowiązków jako rexa, a nie jako imperatora, tyrana. Zostało to jasno ukazane w wymianie zdań pomiędzy Conanem a Trocerem w środkowej części książki:

– Zatem pozwól nam zjednoczyć Zingarę z Poitain – podjął temat hrabia. – Pół tuzina książąt walczy tam ze sobą, a kraj rozdarty jest na części wojną domową. Podbijemy go, prowincję po prowincji, i dołączymy do twego dominium. Potem z pomocą Zingarańczyków podbijemy Argos i Ophir. Zbudujemy imperium...

Conan znów potrząsnął głową.

– Niech inni śnią sny o imperiach. Ja chcę zatrzymać tylko to, co moje. Nie pragnę rządzić imperium spojonym w całość krwią i ogniem. Jedną rzeczą jest przejąć tron z pomocą poddanych i władać nimi za ich przyzwoleniem, inną zaś ujarzmić obce państwo i zawiadywać nim za pomocą strachu. Nie chcę być następnym Valeriusem. Nie, Trocero, będę władać całą Aquilonią i niczym więcej albo nie będę władać wcale”.

Ktokolwiek wpadł na pomysł zmiany tytułu powieści Howarda na *Conan the Conqueror*^[3], najwyraźniej nie pojął jej przesłania. Conan może być z natury kimkolwiek, ale nie kimś skłonny do podbojów. Jeżeli jego królowanie musi już zostać uznane za zwieńczenie kolei jego życia, to płynąca z tego lekcja jest całkowicie odmienna od tej, jaką podsuwano całymi latami – Conan król posiada znacznie mniej wolności i władzy (by działać tak, jak chce)

od Conana Cimmeryjczyka.

Jeśli Conan jest Arturem, możemy się zastanawiać, gdzie jest Ginewra. Królowa ta odgrywała bardzo szczególną rolę w krajach celtyckich i jej nieobecność w powieści Howarda może wydawać się zaskakująca, przynajmniej dla czytelników niezaznajomionych z Cimmeryjczykiem. Wielu odbiorców „Weird Tales” musiało doznać wstrząsu, czytając, jak Conan przysięga poślubić Zenobię pod koniec powieści. Można się zastanawiać – i rzeczywiście, kilku krytyków zachodziło w głowę – czy dotrzyma on danego słowa. Nie mamy sposobu, aby odpowiedzieć na tak postawione pytanie, chociaż możemy zauważyć, iż koronacja Zenobii przybliży powieść nawet jeszcze bardziej do mitu arturiańskiego.

W rzeczywistości każda z trzech kobiet w tej historii – Zenobia, Zelata i Albiona – zdaje się uosabiać część symbolicznej roli przypisanej arturiańskiej królowej. Zenobia (której imię we wczesnych wersjach powieści brzmiało Sabina) przypuszczalnie (niebawem) wyjdzie za mąż za króla. Na Zelacie spoczywa odpowiedzialność za wtajemniczenie w arkana poszukiwań; jest tą, która pomaga Conanowi zrozumieć symbolizm Serca Ahrimana oraz więź między królem a jego królestwem. Albiona nosi imię i posiada status, które pomagają nam rozpoznać złożony z tych trzech kobiet z powieści obraz arturiańskiej królowej. Należy ona oczywiście do nobilów, ale zdradza ją etymologia jej imienia, gdyż miano Albiona wywodzi się od słowa *alba*, w j. łacińskim: biała. Żona Artura była wyraźnie celtyckiego pochodzenia: *gwen* – źródłosłów tkwiący u podstaw wszystkich wersji imienia żony króla Artura (Guinevere, Guenie`vre, Gwenhwyfar itd., w j. gaelickim: *finn*) – oznacza biały (a w szerszym znaczeniu: czysty).

Zatem kiedy Conan odkrywa już rolę i znaczenie Serca Ahrimana, w kolejnych rozdziałach powieści można odnaleźć odpowiednik poszukiwań Graala w epoce hyboryjskiej. Owe łotrzykowskie epizody obfitujące w szereg przygód i bitew można znaleźć także w większości tekstów arturiańskich. To w nich tkwi źródło incydentów na zamku Valbrosa oraz ghuli w lesie, zdarzenia z Publiem i buntu na statku, epizodów z Khemi i Akivashą, które, mówiąc wprost, nie wnoszą niczego do całej historii. I to do tego stopnia, że Karl Wagner mógł założyć, iż gdyby jeden rozdział zaginął po drodze od wydawcy angielskiego na łamy „Weird Tales”, byłaby to strata, której nikt by nie zauważył.

Powrót Conana na tron rozpoczyna się z chwilą pozyskania przez niego Serca Ahrimana. Osiąga to pod koniec rozdziału XIX: „[Conan] wywijiał wokół głowy wielkim klejnotem, który rozsiewał bryzgi światła znaczące pokład złocistym ogniem”. Następny rozdział otwiera *passus*: „Zima odeszła z Aquilonii. Liście wyskoczyły na gałęziach drzew, a świeża trawa jaśniała pod dotykiem ciepłych podmuchów wiatru z południa”. Wraz z powrotem Serca we właściwe ręce życie ulega odnowieniu, pustkowie raz jeszcze staje się krainą obfitości z powodu Graala: „Ale w pełni napływu wiosny obiegł upadające królestwo nagły szept, który zbudził kraj ochoczy do życia”. Ten obraz państwa wracającego do życia wraz z powrotem posiadaczy Graala nieodparcie przywodzi na myśl podobną scenę z filmu *Excalibur* Johna Boormana. Porażka Xaltotuna jest obecnie już tylko kwestią czasu. Spiskowcy są podzieleni, podczas gdy siły Conana ponownie się jednoczą. Restauracja królestwa i kraju jest teraz nieunikniona.

Howard pisał swą powieść zdecydowanie z myślą o jej odbiorcy i

prawdopodobnie nie jest to przypadek, iż historia ta zawiera swoiste hołdy złożone pisarzom brytyjskim. Z wysokim prawdopodobieństwem początek *Sir Nigela* autorstwa sir Arthura Conan Doyle'a dostarczył pomysłu na epizod z niemocą w powieści Howarda. Co ważniejsze, raz jeszcze składał on hołd jednemu ze swych ulubionych dramaturgów – Szekspirowi, którego Hamlet zdaje się w sposób znaczący obecny u boku Howarda podczas komponowania utworu. W sentencji „W jego szaleństwie jest metoda” w rozdziale trzecim pobrzmiewa wyraźne echo najśłynniejszej sztuki dramatopisarza. (Howard z całą pewnością chciał, aby to zdanie pojawiło się w jego powieści, jako że w drugiej wersji umieścił je aż w trzech miejscach!). Właściwie wiele opowieści Howarda dotyczących kwestii królowania zachęca do porównań z tą sztuką. W przypadku *Godziny Smoka* analogie są oczywiste – obie historie koncentrują się wokół zmagania króla (bądź potencjalnego króla) usuniętego przez uzurpatora, którego tamten uznawał za sprzymierzeńca! Conan, pozbawiony tronu i martwy (jak sądzono), posiadał w rzeczywistości wszelkie cechy duńskiego króla-ducha. Poitainiański żołnierz, ujrawszy Conana, którego uważał za martwego, staje się szekspirowskim, a my przez chwilę możemy uwierzyć, że jesteśmy na blankach Elsinore^[4]:

Z sykiem nabrał powietrza, a jego rumiana twarz pobladła.

– Zgiń, przepadnij! – wykrzyknął. – Czemu wróciłeś z szarych krain śmierci, by mnie trwożyć? Za twego życia byłem zawsze twym wiernym stronnikiem...

Godzina Smoka jest jak dotąd utworem, do którego posiadamy największą liczbę kart z różnymi wersjami. Obok 241 stron w wersji opublikowanej [w j. angielskim – przyp. tłum.] zachowało się 620 stron wersji wcześniejszych, podczas gdy kilkaset innych (kopia

wersji ostatecznej wykonana przez kalkę jest przynajmniej jedną całą) zaginęło przez lata. Howard spisał pięć wersji swej historii, przepisywanych na nowo w niektórych partiach dwa albo trzy razy. Podczas gdy innym mówił, że tworzenie historii przychodzi mu łatwo, pracował nad nimi znacznie ciężiej, niż byłby skłonny przyznać. Szkic opowieści dostarcza znakomitego przykładu metody pracy Howarda: wypełnione gęstym zapisem, z pojedynczą interlinią, trzy strony obejmują pięć pierwszych rozdziałów z najdrobniejszymi szczegółami i z kilkoma tylko zmianami w stosunku do wersji opublikowanej, podczas gdy kolejne rozdziały są scharakteryzowane dużo mniej szczegółowo, a druga część powieści nie jest tu ujęta wcale. Z niego Howard zbudował wczesne wersje, próbując scen i dialogów. W ten sposób motywacja Xaltotuna, by oszczędzić Conana, zmieniała się kilka razy, kiedy Howard pisał kolejne wersje, coraz lepiej panując nad swymi bohaterami i nad tym, jak działają i oddziałują w obliczu pewnych sytuacji. Passus, w którym Tiberias poświęca siebie, wiodąc Valeriusa i pięć tysięcy ludzi w śmiertelną pułapkę w górskiej gardzieli, został dodany w ostatnim stadium tworzenia, proponując czytelnikowi trochę pamiętnych chwil i napełniając zakończenie powieści poczuciem napięcia i niepewności, którego brakłoby tu w przeciwnym wypadku.

Badanie maszynopisów pokazuje, iż Howard nie rozpoczął pracy nad powieścią o Conanie, dopóki nie ukończył *Ludzi Czarnego Kręgu* oraz opowiadania detektywistycznego, które jego agent otrzymał 10 marca. Istnieje prawdopodobieństwo, że tak naprawdę nie zaczął jej, dopóki nie wysłał swemu agentowi kolejnego tekstu około 17 marca. Czysty traf sprawił, że taka powieść zaczęła powstawać w

dniu św. Patryka. Zapiski ujawniają, iż pomiędzy 19 marca a 20 czerwca agent Howarda nie otrzymał od pisarza nic. Jeśli przyjmiemy 17 marca, dodając lub ujmując kilka dni, za datę rozpoczęcia pisania powieści, wyjdzie wówczas, iż *Godzina Smoka* spisana została w mniej niż dwa miesiące. 20 maja 1934 roku Howard napisał do Anglii, do Denisa Archera: „Jak niewątpliwie pan pamięta, w swym liście z 9 stycznia 1934 roku proponował mi pan przedłożenie pełnowymiarowej powieści, na wzór opowieści niesamowitych przedłożonych uprzednio zaprzyjaźnionej z panem firmie Pawling & Ness Ltd. W osobnej kopercie przesyłam panu liczącą 75 tys. słów [w wersji oryginalnej – przyp. tłum.] powieść zatytułowaną *Godzina Smoka*, spisaną zgodnie z pana sugestiami. Mając nadzieję, iż jej przyjęcie okaże się możliwe...”.

W trakcie tych dwóch miesięcy Howard widocznie nie pisał żadnego innego tekstu, skupiając wszystkie wysiłki na swej powieści, z szacunkową wydajnością 5 tys. słów dziennie przez siedem dni w tygodniu. 20 maja, w dniu, w którym wysłał tekst do Anglii, napisał cztery krótkie listy. Przez owe dwa miesiące *Godzina Smoka* wypełniała mu prawie cały czas. Krótka wizyta Edgara Hoffmanna Price’a w kwietniu stanowiła w tym czasie jego jedyną rozrywkę. Dla kogoś, kto nie oczekiwał wiele po rynku brytyjskim, pełne dwa miesiące pracy wydają się mnóstwem czasu. Można podejrzewać, iż Howard pokładał w swej powieści o wiele więcej wiary i nadziei, niż gotów był przyznać. Wiedział, że jeśli zostanie przyjęta i opublikowana, może stać się dla niego wielkim, może *tym* wielkim przełomem.

Jak można się było spodziewać, Howard zrobił sobie w marcu kilka dni wolnego: „Ukończywszy kilkanaście tygodni sumiennej

pracy, rzucam wszystko na kilka godzin dla wypoczynku i żeby spróbować nadgonić korespondencję, której pozwoliłem gromadzić się skandalicznymi zwałami”. Wybrał się na krótkie wakacje i odwiedził jaskinie Carlsbad^[5], które miały zainspirować go do jednej z kolejnych opowieści o Conanie, lecz wkrótce znów znalazł się przy pracy, ponownie przy Conanie. Ledwie kilka dni upłynęło pomiędzy ukończeniem *Ludzi Czarneho Kręgu* a rozpoczęciem *Godziny Smoka*. Odstęp pomiędzy *Godziną Smoka* a kolejnym opowiadaniem o Cimmeryjczyku był prawdopodobnie taki sam.

Wiedźma się narodzi powstała pod koniec maja bądź na początku czerwca 1934 roku, prawdopodobnie w ciągu kilku dni. Opowieść ta miała najwyraźniej za zadanie uzupełnić zapas tekstów o Conanie posiadany przez Farnswortha Wrighta. W kwietniu 1934 roku opublikował on *Stalowe cienie pod księżycem*. W ślad za nimi w maju poszła *Królowa Czarneho Wybrzeża*, a Howard wiedział, iż *Diabeł w stali* oraz *Ludzie Czarneho Kręgu* zostały zaplanowane na sierpień 1934 roku i na wydania następne, nie pozostawiając żadnych nowych tekstów o Conanie w kolejce do publikacji na łamach „Weird Tales”. Dla Teksańczyka była to sytuacja nowa, jako że *Stalowe cienie pod księżycem* oraz *Królowa Czarneho Wybrzeża* napisane i sprzedane zostały w 1932 roku. Wright przyjmował wówczas utwory o Conanie tak szybko, jak tylko je otrzymywał, i systematycznie honorował je przywilejem ilustracji na okładce (*Królowa Czarneho Wybrzeża*, *Diabeł w stali*, *Ludzie Czarneho Kręgu* oraz *Wiedźma się narodzi*, wszystkie wydane na przestrzeni siedmiu miesięcy, zostały zaprezentowane na okładce). Popularność Cimmeryjczyka wzrastała, a sam bohater przyciągał najprawdopodobniej do „Weird Tales” nowych czytelników.

Kobiety piszące do czasopisma prosiły o więcej Conana, który w ich umysłach ucieleśniał, po części dzięki cenzorskiej pomocy Wrighta, obraz romantycznego barbarzyńcy. *Wiedźma się narodzi* wymagała jedynie dwóch wersji, zanim ostateczny rezultat usatysfakcjonował Howarda. To, że będzie spełniać dokładnie oczekiwania Wrighta, nie ulegało wątpliwości. W liście do Roberta H. Barlowa, datowanym 5 lipca 1934 roku, pisał: „Oto w końcu rękopis, jaki obiecałem ci pewien czas temu. *Wiedźma się narodzi*. Mój najnowszy tekst o Conanie i zdaniem pana Wrighta – najlepszy”.

Wiedźmę... trudno uznać za najlepszą w dorobku Howarda, lecz stanowi ona szczególną opowieść o Cimmeryjczyku z tego względu, że o ile sama jest raczej historią niewartą pamięci, o tyle zawiera najsłynniejszą albo może najbardziej pamiętną scenę z całej serii. Czytając ten tekst, można odnieść wrażenie, że Howard po prostu zaczerpnął ze swego wieloletniego dorobku, by skroić tę historię. Potwór w końcówce opowieści zdaje się kuzynem tego z ostatniego rozdziału *Almurica*. Taramis i Salome przypominają nam o fascynacji Howarda braćmi i siostrami (z występującym po raz kolejny bolesnym rozdziałem przy urodzeniu), a także o jego zainteresowaniu zagadnieniem dwoistości. Paranoja, temat pojawiający się w pracach Teksańczyka równie wcześnie jak historia o Kullu *The Shadow Kingdom* (1926–1927), w tej opowieści rozwija się bujnie, a Howard powtarza, iż ludzie nie zawsze są tym, czym się wydają. To sytuacja występująca u niego często: zło czai się pod osłoną, zdawać by się mogło, niewinnego oblicza. W *Wiedźma się narodzi* tylko Conan – i Howard? – wydają się znać wszelkie fakty. Wszyscy pozostali bohaterowie są równie ślepi na to, co ma miejsce wprost na ich oczach, jak Olgerd Vladislav.

W *Wiedźma się narodzi* Conan staje się bohaterem nadludzkim. Jeśli chodzi o tworzenie, Howard nabierał nadzwyczajnej pewności, o czym świadczy konstrukcja tej opowieści. Znajdujemy się tu całę mile od pulpowych recept: Cimmeryjczyk – protagonista – nadaje życie całej historii, pojawiając się tylko w dwóch rozdziałach. Kuszące jest, aby przeprowadzić analogię między Conanem a tym, co Howard uznał za swe osiągnięcia przy tej serii. Teksańczyk wiedział, iż posiadał asa i może bezkarnie pozwolić sobie niemal na wszystko, nawet na to, by nie umieścić w tekście postaci głównego bohatera, poza środkowymi jego rozdziałami. W całym utworze Cimmeryjczyk dominuje i staje się to jasne w scenie ukrzyżowania. Jak ktokolwiek mógłby zabić bohatera – literacko i dosłownie – który potrafi przetrwać scenę taką jak ta? Przecież zapis ukrzyżowania automatycznie zachęca do porównań z Chrystusem. W tej scenie Conan stał się prawdopodobnie „nieśmiertelny” i można się zastanawiać, w jakim stopniu Howard chciał, aby tak się stało. Historia ta, mimo iż przeciętna, objawia ufność pokładaną przez autora w swym dziele. Tekst został przyjęty przez Farnswortha Wrighta z upodobaniem, opublikowany zaraz po czterech następujących po sobie wcześniej wydaniach „Weird Tales” z Cimmeryjczykiem w roli głównej i raz jeszcze zdobył miejsce na okładce. Howard miał wszelkie powody, by być pewnym siebie.

Na początku 1933 roku Howard miał tylko jeden stały rynek odbiorców. W połowie 1934 roku pojawiał się niemal w każdym numerze „Weird Tales”, a publikujący jego teksty w każdym wydaniu magazyn „Action Stories” udało mu się uczynić nabywcą regularnym. Uznał, iż ma jeszcze jednego systematycznego

odbiorcę w „Fight Magazine” Jacka Dempseya, a dzięki agentowi Otisowi Adelbertowi Kline’owi zamieszczał teksty w kilku nowych, innych czasopismach. Ponadto uważał, iż właśnie sprzedał powieść na rynek brytyjski.

To była iście sielska sytuacja.

Nie miała potrwać długo.

NOTY DO MASZYNOPISÓW ORAZ CHRONOLOGII TEKSTÓW O CONANIE

Patrice Louinet

LISTA ZACHOWANYCH MASZYNOPISÓW O CONANIE (styczeń–czerwiec 1934)

Ostateczne wersje opowiadań publikowane w „Weird Tales” zostały prawdopodobnie zniszczone zaraz po składzie drukarskim i dlatego nie dotrwały do naszych czasów. Zachowany maszynopis *Wiedźma się narodzi* stanowi niestety raczej wyjątek aniżeli regułę.

Nawiązując do terminologii zastosowanej poniżej: wersja jest „niekompletna”, kiedy brakuje przynajmniej jednej ze stron, a „niedokończona”, gdy Howard nie skończył jej pisać. Niekiedy Howard tworzył jakąś wersję i przerabiał tylko jej część. Takie sytuacje powodują wprowadzanie dodatkowego podziału z zastosowaniem numerów (np. wersja b2 zawiera ponownie strony z wersji b1).

Jesteśmy w szczególności dłużnikami Glenna Lorda, który udostępnił egzemplarze maszynopisów wymienione poniżej, oraz Terence’a McVickera za egzemplarz maszynopisu *Wiedźma się narodzi*.

Ludzie Czarnego Kręgu

Szkic, bez tytułu, strony 2.

Wersja a, bez tytułu, stron 80.

Wersja b1, niekompletna i niedokończona (strony 10–92, 94–98 + 47a z 98; numerowane 10–28, 30, błędnie: 30–98; brakująca strona 93; strona 47a odrzucona na rzecz 47b; strony 1–9 zaginione; strony 10–90 zachowane jako kopia wykonana przez kalkę [i ponownie wykorzystane w wersji b2]; strona 91 zachowana w oryginale i jako kopia wykonana przez kalkę; strona 47a oraz strony 92 i 94–98 w oryginale).

Wersja b2 (ostateczna wersja dla „Weird Tales”) składa się z wersji b1, strony 1–10 [zaginione], wersji b1, strony 11–91 [zachowane jako kopia wykonana przez kalkę], plus wersja b2, strona 92 [zaginiona] i strony 93–98 [zachowane jako kopia wykonana przez kalkę].

Dodatkowo w swych wersjach Howard wpisał akapity, jakie pojawiały się przed drugim i trzecim odcinkiem tekstu ukazującego się w „Weird Tales” jako seria, podsumowujące wydarzenia z rozdziałów wcześniejszych. Zachowało się ogółem dziesięć stron: sześć w oryginale i cztery jako kopie wykonane przez kalkę – te drugie identyczne z tekstem, jaki pojawił się w „Weird Tales”.

Historia bez tytułu

Szkic, bez tytułu, strony 3.

Wersja, bez tytułu i niedokończona, stron 29.

Godzina Smoka

Szkic, bez tytułu, strony 2.

Notatki, strony 4.

Wersja a, bez tytułu, niekompletna i niedokończona (strony 1–7, 21–29, 31–119 ze 119).

Wersja b1, bez tytułu, zredukowana do częściowej historii i częściowego szkicu, stron 160 (numerowane 1–70, 72–116, błędnie:

118–162).

Wersja b2, niekompletna i niedokończona, zredukowana do streszczenia (ponowne wykorzystanie wersji b1, strony 1–150, plus część strony 151; strony 151–163, 165–169 ze 169; numerowane 151, 153, 153–163, błędnie: 165–169; brakująca strona 164).

Wersja c, bez tytułu, niedokończona i niekompletna (strony 1, 3–196 ze 196; brakująca strona 2; numerowana 165, błędnie: 67–196).

Wersja d1, niekompletna (strony 210–229 z 229; numerowane 210–227, 229, błędnie: 229; strony 1–209 wykorzystane ponownie w wersjach d2 i d3, a potem zaginione; strony 210–216 również wykorzystane ponownie w wersji d2 i odrzucone).

Wersja d2 (ponownie wykorzystana wersja d1, strony 1–216; numerowane 217–221, 227–237 z 237; mimo numeracji pomiędzy 221 a 227 nie brakuje żadnej ze stron).

Wersja d3 [zaginiona: ta wersja liczyła prawdopodobnie 236 stron, znalazła się wśród dokumentów przesłanych do Otisa Adelberta Kline'a po śmierci Howarda i później zaginęła; strony 1–209 pochodzą z wersji d1; strony 210–236 były nowe].

Odrzucone strony z ostatecznej wersji (wersja e): strony 1–4, 6, 9, 15–18, 24, 38–39, 46–50, 52, 55, 61, 70, 72 (dwie różne), 79–80, 85, 94, 96–99, 101, 111, 113, 117, 122, 128, 134–136, 170, 206, 211–213, 216–217, 221–223, 225–226, 228–229, 232–241 z 241. Istnieje duże prawdopodobieństwo, iż strony te zostały odrzucone i zrewidowane, kiedy Howard przygotowywał powieść do przedłożenia Farnsworthowi Wrightowi.

Wersja e (ostateczna wersja dla „Weird Tales”) [zaginiona: kopia wykonana przez kalkę znalazła się wśród dokumentów przesłanych do Otisa Adelberta Kline'a po śmierci Howarda i później zaginęła].

Arkusz przedłożenia Denisowi Archerowi, z wierszem otwierającym, strona 1.

Wiedźma się narodzi

Szkic, bez tytułu, strona 1.

Wersja a (ta wersja została wysłana Robertowi H. Barlowowi 5 lipca 1934 roku; maszynopis znajduje się obecnie w rękach prywatnych; przebadanie go do niniejszej edycji okazało się niestety niemożliwe).

Wersja b1, niekompletna, strony 53 (strony 1–4, 6–52 zachowane w oryginale, strony 1–53 jako kopia wykonana przez kalkę, z drobnymi różnicami między nimi).

Wersja b2 (ostateczna wersja dla „Weird Tales”: ponownie wykorzystana wersja b1, strony 1–52; strony 53–55 zachowane w oryginale, strony 54–55 jako kopia wykonana przez kalkę [prawdopodobnie R.E.H. zatrzymał w swych papierach błędną, wykonaną przez kalkę kopię strony 53]).

NOTY DO ORYGINALNYCH TEKSTÓW HOWARDA

Materiały do niniejszego wydania tomu 2 tekstów zebranych o Conanie z Cimmerii przygotowali: Patrice Louinet, Rusty Burke oraz Dave Gentzel z pomocą Glenna Lorda. Opowiadania porównano z oryginalnymi maszynopisami Howarda – ich egzemplarze udostępnił Glenn Lord – bądź, gdy okazywały się niedostępne, z pierwszymi wersjami, jakie wydano drukiem. Przejrzano także wszelkie istniejące wersje robocze opowieści, tak aby zapewnić jak największą dokładność. Podjęto każdy niezbędny wysiłek, aby dzieło Roberta E. Howarda zostało ukazane tak wiernie, jak to tylko możliwe.

Studia nad istniejącymi tekstami *Wiedźma się narodzi* (oryginalny maszynopis Howarda, pochodząca od niego kopia wykonana przez kalkę oraz tekst w „Weird Tales”) wykazują niezbicie, że Farnsworth Wright, redaktor „Weird Tales”, cenzurował niektóre akapity opowieści o Conanie, w szczególności kawałki dialogów oraz opisy, które prawdopodobnie uznał za zbyt „wyraziste”. Na szczęście większość późniejszych utworów o Conanie zachowała się w postaci kopii wykonanych przez kalkę, często w całości albo prawie w całości. Porównanie tekstów zachowanych zarówno w maszynopisie, jak i kopii przez kalkę pokazuje, że są one niemal identyczne. Jedyne różnice dotyczą tytułów, podtytułów i podziału rozdziałów historii, które często, ale nie zawsze, na kopiach są

nieobecne. Dodatkowo poprawionych mogło zostać trochę błędów typograficznych czy też jakieś słowo zastąpiono innym. Dopóki oryginalne maszynopisy nie wyjdą na światło dzienne, o ile stanie się to kiedykolwiek, dopóty kopie wykonane przez Howarda przez kalkę oferują nam najczystszy z dostępnych tekstów wielu opowieści o Conanie.

[Od tłumacza: W niniejszym wydaniu, ze względu na nieprzystawalność wersji polskiej do angielskiej, poniżej podano wyłącznie informacje o zmianach ogólnych w tekstach, dotyczących imion i nazw. Pominięto zaś całkowicie zawarte w oryginale uwagi szczegółowe na temat poprawianych pojedynczych wyrazów, fraz, a nawet znaków przestankowych, gdyż odnoszą się one tylko do oryginalnych wersji utworów Howarda].

Ludzie Czarnego Kręgu

Tekst pochodzący z wykonanej przez Howarda kopii przez kalkę, udostępnionej przez Glenna Lorda, oraz z wrześniowego, październikowego i listopadowego wydania „Weird Tales” z 1934 roku. Zachowana kopia jest niekompletna: brakuje stron 1–9 oraz strony 92 z 98 stron maszynopisu; brakujące strony (od początku do „– Czy ten wódz, Conan, boi się ich – zapytała” i od „dlaczego tak chętnie” do „– Nie mogę! Nie mogę! – powtarzała bezsilnie”) pochodzą z łamów „Weird Tales”. Na kopii Howarda rozdziały nie mają tytułów; nie wiadomo, czy śródtytuły są autorstwa Howarda czy Wrighta.

Godzina Smoka

Opublikowana pierwotnie w „Weird Tales” w pięciu częściach,

grudzień 1935 oraz styczeń, luty, marzec i kwiecień 1936 roku. Wiersz nagłówekowy nie pojawił się w czasopiśmie; pochodzi z arkusza przedłożenia powieści przygotowanego przez Howarda dla brytyjskiego wydawcy Denisa Archera w maju 1934 roku (dokument udostępniony przez Glenna Lorda). Nie wiadomo, czy ów nagłówek pozostał włączony, kiedy powieść przesyłana była do „Weird Tales”. W tekście z „Weird Tales” nie ma rozdziału XX – rozdział XIX zamykał część z marca 1936 roku, a część z kwietnia rozpoczynała się rozdziałem XXI. Badanie poszczególnych wersji powieści wykazuje, iż jest to raczej błąd w numeracji aniżeli zagubiony rozdział.

Wiedźma się narodzi

Tekst pochodzący z oryginalnego maszynopisu Howarda udostępnionego przez Terence’a McVickera; w maszynopisie nie ma strony 5; tekst tej strony pochodzi z kopii wykonanej przez Howarda przez kalkę, udostępnionej przez Glenna Lorda.

Szkic bez tytułu (Ludzie Czarnego Kręgu)

Tekst pochodzący z oryginalnego maszynopisu Howarda udostępnionego przez Glenna Lorda. W niniejszej edycji nie naniesiono żadnych zmian.

W historii jak dotąd... (Ludzie Czarnego Kręgu)

Pierwsza strona pochodząca z wykonanej przez Howarda kopii przez kalkę, udostępniona przez Glenna Lorda. Druga strona kopii znalazła się także w archiwum Howarda, lecz była w tak złym stanie, że Glenn Lord musiał ją przepisać, uwzględniając układ oryginalnego dokumentu, tekst oraz przypuszczalne błędy. Tekst

do niniejszej edycji pochodzi z przepisanej przez Glenna Lorda. W niniejszej edycji nie naniesiono żadnych zmian.

Szkic bez tytułu (Amalric...)

Tekst pochodzący z oryginalnego maszynopisu Howarda udostępnionego przez Glenna Lorda. W niniejszej edycji nie naniesiono żadnych zmian.

Wersja bez tytułu (Trzech ludzi przysiadło...)

Tekst pochodzący z oryginalnego maszynopisu Howarda, udostępnionego przez Glenna Lorda. W niniejszej edycji nie naniesiono żadnych zmian.

Szkic bez tytułu (Godzina Smoka)

Tekst pochodzący z oryginalnego maszynopisu Howarda udostępnionego przez Glenna Lorda. W niniejszej edycji nie naniesiono żadnych zmian.

Notatki do Godziny Smoka

Tekst pochodzący z oryginalnego maszynopisu Howarda udostępnionego przez Glenna Lorda. W niniejszej edycji nie naniesiono żadnych zmian.

Szkic bez tytułu (Wiedźma się narodzi)

Tekst pochodzący z oryginalnego maszynopisu Howarda udostępnionego przez Glenna Lorda. W niniejszej edycji nie naniesiono żadnych zmian.

Jestem pełen wdzięczności dla Jerry'ego Tiritillego, Ricka Bernala, Scotta Gustafsona, Geofa Darrowa, Larry'ego Majewskiego oraz Toma Gianniego. Ich entuzjazm dla sztuki i dla fantasy był mi zawsze inspiracją. Także za sugestie i wnikliwe uwagi chciałbym podziękować rodzinie Keeganów, Barry'emu Klugermanowi, Rickowi Vitone, Dave'owi Burtonowi, Markowi Schultzowi oraz Ałowi Wymanowi. Brawa dla Barbary i Jacka Baumów; gdyby nie oni, co by to było? Wreszcie podziękowania dla Marcela Anciano. Jego wizja biblioteki dzieł Roberta E. Howarda – Wandering Star – jest obecnie uważana za standard jakości w wydawaniu pięknych książek.

Gary Gianni

Pragnę podziękować zespołowi Wandering Star za to, że udało się drugi raz. Marcelo, Stuart, Rusty: zrobiliśmy to! Podziękowania dla Glenna Lorda za jego wsparcie dla tego projektu i nieustanną pomoc. Te książki nie powstałyby bez ciebie. Podziękowania także dla Terence'a McVickera za jego wielkoduszność i pomoc przy tym tomie. No i bardzo szczególne podziękowania dla Shelly i Valérie za zwolnienie chłopców z prac domowych, kiedy wzywała wyższa konieczność.

Patrice Louinet

Ogromne podziękowania dla zespołu Wandering Star, szczególnie dla Patrice'a, Marcela i Stuarda, za pilne zaangażowanie w najdrobniejsze szczegóły; dla Glenna Lorda za lata wysiłków poświęconych na rzecz R.E.H. i za jego ciężką pracę przy wsparciu dla tego projektu; i oczywiście dla Shelly, z wielką miłością – dzięki za zwolnienie z prac domowych, kiedy groźnie zamajaczył nad nami ostateczny termin zakończenia prac!

Rusty Burke

Pragnę podziękować Marcelowi, Patrice'owi oraz Rusty'emu za przyjemność pracy z nimi, jeszcze raz Gary'emu za ponowne ożywienie mego zainteresowania Conanem. Podziękowania także dla Mandy i Emmy za cierpliwość i zrozumienie; dla Fishburn Hedges za zgodę na wykorzystanie ich studia projektowego po godzinach oraz w weekendy – znowu (i znowu) – i w końcu dla Phila Watsona, z którym zwykłem wymieniać się książkami Howarda i komiksami o Conanie wiele, wiele lat temu. *Dzięki, Phil!*

Stuart Williams

Kiedy zacząłem pracę przy tych książkach, nie miałem pojęcia, że będę tworzyć całą bibliotekę wydań ilustrowanych. Pragnę podziękować wszystkim, którzy zaangażowali się w ich tworzenie, oraz wielu artystom, jacy byli niewiarygodnie pomocni w mych dążeniach: Ałowi Williamsonowi, Mike'owi Mignoli, Markowi Schultzowi, Geofowi Darrowowi, Neilowi Gaimanowi, Bruce'owi Timmowi, Frankowi Cho, Justinowi Sweetowi, Frankowi Frazecie, Jeffowi Jonesowi i oczywiście Gary'emu Gianniemu. Bardzo szczególne podziękowania dla Jima Keegana, Stuarda, Rusty'ego i Patrice'a, moich zworników, nie zapominając o Edzie Watermanie,

pierwszym wśród web designerów.

Marcelo Anciano

RECENZJE TOMU PIERWSZEGO

Conan i pradawni bogowie

Conan i pradawni bogowie to świetne przypomnienie czytelnikowi (zwłaszcza młodemu), że oprócz nie najlepszego ostatnimi czasy fantasy istnieje jeszcze gatunek „miecza i magii”. (...) Historie z życia Conana są wzniosłe, dynamiczne i gwałtowne, przykuwają do lektury. Czytelnik w końcu ma okazję zapoznać się z absolutną klasyką, nie zaś odgrzewanymi kotletami, jakie masowo produkują dzisiejsi autorzy. Na Croma!

Dawid „Fenrir” Wiktorski,
Gildia.pl

Kto by się w czasach wielotomowych, rozbudowanych i epickich historii przejmował losem jakiegoś umięśnionego dziada, z fatalną fryzurą i prawie osiemdziesięcioma latami na karku?

To jest właśnie ten punkt recenzji, w którym teoretycznie powinienem zacząć bronić zbioru *Conan i pradawni bogowie* przed bezpodstawnym porównywaniem go do współczesnej literatury fantastycznej: zawodzić, że przecież gdyby nie barbarzyńskie opowieści, Andrzej Sapkowski pewnie nigdy nie wymyśliłby postaci Geralta z Rivii (a przynajmniej nie w tej formie, jaką znamy), a wiele ważnych powieści fantasy po prostu by nie powstało. Mógłbym bez końca rozpisywać się, jak to dzika i nieokiełznana osoba Conana

Cimmeryjczyka natchnęła całe rzesze dzisiejszych mistrzów słowa i właśnie przez ten pryzmat należałoby rozpatrywać twórczość Roberta E. Howarda.

Naprawdę mógłbym. Ale po co? Wszystkie tego typu rozważania rozbijają się o jeden, istotny fakt: *Conan i pradawni bogowie* to świetna książka, która broni się doskonale sama, i przy wystawianiu oceny absolutnie nie trzeba jej dawać żadnej taryfy ulgowej.

Tak, wiem, historie te są proste, a od pewnego momentu sprowadzają się w gruncie rzeczy do tego samego: pokonać przedwieczne /niewysłowione/odrażające zło (od razu widać, że Howard prowadził przez długi czas korespondencję z H.P. Lovecraftem) i zgarnąć całusa od pięknej, niepokornej dziewczyny. Prawda, miłośnicy wielotomowych, orgiastycznych epopei, z mrocznymi przepowiedniami, boskim (a co najmniej królewskim) pochodzeniem głównego bohatera i zwrotami akcji występującymi średnio co trzeci rozdział, mogą poczuć się zawiedzeni. A mimo to twierdzę, że powinni przełamać własną niechęć i sięgnąć jednak po *Conana i pradawnych bogów*. W wędrówkach Cimmeryjczyka tkwi bowiem siła, która powoduje, iż nawet takie bojące się własnego cienia chucherko, jak autor tej recenzji, ma ochotę chwycić za miecz i wyruszyć w poszukiwaniu przygód. Czysta magia pióra i wytworzonego przez Howarda klimatu, moi drodzy.

A sam Conan? Ech, takich herosów już się nie tworzy! Cimmeryjczyk – wbrew czarnej legendzie wytworzonej przez hollywoodzkie filmy – nie jest wyłącznie chodzącym pojemnikiem na testosteron, a mężczyzną nietuzinkowym, namiętym, odważnym i pełnym życia, posiadającym swój prosty – acz nie prostacki – system wartości, który trzeźwo potrafi spojrzeć na otaczający go świat, a

trafnością własnych osądów nie raz mógłby zawstydzić człowieka „cywilizowanego”.

That's my kind of Hero!

Na Croma, dlaczego jeszcze czytacie te słowa?! Do księgarni, ale już!

Michał Smyk,
opetaniczytaniem.pl

Okazuje się, że wydanie to jest ukłonem dla fanów. Publikacja w pewnym sensie kolekcjonerska. Piękna okładka namalowana klasycznie, na płótnie. Równie ładne grafiki ilustrujące kolejne utwory. Dwa wstępy, dodatki, a w nich: historia i prawdopodobna geneza powstania Conana, mapy wykonane przez Howarda, esej o epoce hyboryjskiej, notatki autora, szkice i niedokończone opowiadania. Dodatkowo podział tekstu, który pokazuje kolejne strony oryginalnego maszynopisu. To wszystko są smaczki, które fani z przyjemnością będą odkrywać i zgłębiać.

Dobra, dajmy spokój opakowaniu! Na Croma! Przecież ta książka jest o najślawniejszym na świecie barbarzyńcy! Tak jak wielu zafascynowanych jest Lovecraftem i jego mitologią, tak samo wielu wielbi Howarda i jego erę hyboryjską. Zresztą nic dziwnego. Obaj panowie stale ze sobą korespondowali. (...)

Oto postać, która lubi chodzić w szkarłatnym płaszczu, nosić rogaty hełm i mieć zawsze miecz przy sobie. Jest skory do bitki, na umór pije wino i śmieje się gromko. Choć czasem widać u niego pewną zadumę, stara cieszyć się życiem i wyciskać z niego jak najwięcej. Dzięki swojej woli przetrwania przeżyje niejedną zdumiewającą historię. (...)

Kończmy te wywody! Czy polecam? Ba! Jeśli nie znasz, to lepiej poznaj. Pokochasz albo znienawidzisz.

Narmo,
valkiria.net

Conan i pradawni bogowie to kolejna próba zebrania wszystkich oryginalnych utworów Roberta E. Howarda. W odróżnieniu jednak od wcześniejszych, ta zdaje się mieć wszystkie predyspozycje, aby faktycznie być edycją kompletną. Już pobieżne przekartkowanie wskazuje, że nie mamy do czynienia ze zwykłym wydaniem, ale tym z gatunku exclusive.(...)

Nie można natomiast wszystkim utworom odmówić jednego – autentyzmu. Tu nie ma miejsca na fałsz. Czytając prozę Howarda, czuje się, że autor w pełni poświęcił się opowiadanej historii i włożył mnóstwo pracy w swoje dzieło. Dzięki temu wykreowane przez niego postaci zdają się żyć, a poszczególne miejsca, opisywane z najmniejszymi detalami, wydają się na wyciągnięcie ręki. Także powtarzające się niczym mantra stwierdzenie o ciągłej walce barbarzyństwa z cywilizacją brzmi niczym manifest, a nie pusty frazes.

Jednakże część literacka to dopiero przedsmak tego, co nas czeka w dziale dodatków. Oprócz znanego już z wcześniejszych wydań eseju Howarda *Noty o rozmaitych ludach epoki hyboryjskiej* znajdziemy tutaj pierwotną, mocno zmienioną, wersję *Feniksa na mieczu*, liczne szkice i fragmenty nigdy niedokończonych utworów, a także odręczne mapki autora. Jakby tego było mało, wydawcy zaopatrzyli książkę w dwa długie artykuły analityczne.(...)

Gorąco polecam.

Adam „Tigana” Szymonowicz,
katedra.nast.pl

Przypisy

[1] John Henry to legendarny ludowy bohater amerykański, który miał pracować jako fedrownik podczas budowy tuneli dla linii kolejowych. Na wieść o zastępowaniu ludzi maszynami stanął do pojedynku z młotem parowym. Pokonał go, jednakże nadludzki wysiłek sprawił, że sam zmarł z wyczerpania (przyp. tłum.).

[2] Wydanie polskie: *Conan ryzykant*, PIK, Katowice 1992 (przyp. tłum.).

[3] W wydaniu polskim: *Conan Zdobywca*, PiK 1993 (przyp. tłum.).

[4] W tłumaczeniach polskich zwany różnie, np: Elzynorem (William Shakespeare, *Hamlet. Królewicz duński*, tłum. Józef Paszkowski, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1973) czy Elsynorem (William Shakespeare, *Hamlet*, Tower Press, Gdańsk 2000) (przyp. tłum.).

[5] Park Narodowy Carlsbad Caverns w Nowym Meksyku, USA (przyp. tłum.).

Spis treści

[Okładka](#)

[Karta tytułowa](#)

[Dedykacja](#)

[W HOŁDZIE ROBERTOWI E. HOWARDOWI](#)

[Od tłumacza i redaktora wydania polskiego](#)

[Przedmowa](#)

[Wprowadzenie](#)

[Ludzie Czarnego Kręgu](#)

[Ludzie Czarnego Kręgu](#)

[I](#)

[II](#)

[III](#)

[IV](#)

[V](#)

[VI](#)

[VII](#)

[VIII](#)

[IX](#)

[X](#)

[Godzina Smoka](#)

[Godzina Smoka](#)

[I](#)

[II](#)

III

IV

V

VI

VII

VIII

IX

X

XI

XII

XIII

XIV

XV

XVI

XVII

XVIII

XIX

XXI

XXII

XXIII

Wiedźma się narodzi

Wiedźma się narodzi

I

II

III

IV

V

VI

Varia

Szkic bez tytułu (Ludzie Czarnego Kręgu)

[W historii jak dotąd...](#)

[Szkic bez tytułu](#)

[Wersja bez tytułu](#)

[ROZDZIAŁ I](#)

[Szkic bez tytułu \(Godzina Smoka\)](#)

[Notatki do Godziny Smoka](#)

[Szkic bez tytułu \(Wiedźma się narodzi\)](#)

[Dodatki](#)

[Rodowód hyboryjski Część II](#)

[NOTY DO MASZYNOPISÓW ORAZ CHRONOLOGII](#)

[TEKSTÓW O CONANIE](#)

[NOTY DO ORYGINALNYCH TEKSTÓW HOWARDA](#)

[Podziękowania](#)

[RECENZJE TOMU PIERWSZEGO Conan i pradawni bogowie](#)

[Przypisy](#)

[Karta redakcyjna](#)

Tytuł oryginału: *The Bloody Crown of Conan*

Copyright © 2003 Conan Properties International LLC. Used with permission. CONAN, CONAN RED NAILS, CONAN THE BARBARIAN, HYBORIA, HYBORIAN TALES, THE SAVAGE SWORD OF CONAN and related logos, names and character likenesses are trademarks or registered trademarks of Conan Properties International LLC in the United States and certain other territories. All rights reserved. This edition published by arrangement with Conan Properties International LLC.

Illustrations copyright © 2003 by Gary Gianni

Design copyright © 2003 by Wandering Star Books Ltd.

Projekt książki: Marcelo Anciano

Copyright © for the Polish e-book edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2012

Informacja o zabezpieczeniach
W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

Redaktor: Bogusław Jusiak

Opracowanie graficzne okładki: Jacek Pietrzyński

Ilustracja na okładce: © Gary Gianni

Wydanie I e-book
(opracowane na podstawie wydania książkowego:

Conan i skrwawiona korona, wyd. I, Poznań 2012)

ISBN 978-83-7818-076-0

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań
tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40; fax 61-867-37-74

www.rebis.com.pl